

OPOWIEŚCI
ZE ŚWIATA
WIEDZMINA



SOLARIS

Opowieści ze świata Wiedźmina

Wybór i redakcja:

Paweł Laudański, Wojtek Sedeńko

Data wydania: 2013-01-22

SPIS TREŚCI

[Słowo wstępu](#)

[Leonid Kudriawcew. Ballada o smoku](#)

[Michaił Uspienski. Jednooki Orfeusz](#)

[Maria Galina. Lutnia, i to wszystko](#)

[Władimir Arieniew. Wesoly, niewinny i bez serca](#)

[Władimir Wasiliew. Barwy braterstwa](#)

[Aleksandr Zołotko. Okupanci](#)

[Andriej Bielani. Zawsze jesteśmy odpowiedzialni za tych, których...](#)

[Siergiej Legieza. Gry na serio](#)

Słowo wstępu

Pierwsze opowiadanie, którego bohaterem był zmagający się z potworami wiedźmin Geralt, ukazało się w grudniowym numerze „Fantastyki” z 1986 r. Numer ten trafił w moje ręce jakiś miesiąc później. Skłamałbym, gdybym napisał, że tekst ten wywarł na mnie, wtedy kilkunastoletnim chłopaku, jakieś szczególne wrażenie. Ot, opowiadka o wymachującym mieczem superbohaterze, na dodatek tego wymachiwania w samym tekście nie było zbyt wiele. Przeczytałem, wzruszyłem ramionami i zabrałem się za inne, jak mi się wtedy zdawało ciekawsze lektury.

Z perspektywy czasu widzę jednak, że po prostu nie zrozumiałem wówczas, na czym polega siła tej opowieści. Może wynikało to z mojego stosunkowo młodego wieku, a może z dotychczasowych lektur, które mocno odbiegały od tego, co zaproponował autor „Wiedźmina”, Andrzej Sapkowski.

Zrozumienie takie przyszło, jak sądzę, kilka lat później, wraz z czwartym czy piątym opowiadaniem cyklu. Później wraz z wieloma tysiącami czytelników wypatrywałem niecierpliwie kolejnych powieściowych tomów sagi. I tak samo jak oni z wielkim żalem przyjąłem wiadomość, że „Pani jeziora” jest tomem ostatnim, że ciągu dalszego tej wspaniałej opowieści nie będzie.

Bo choć powstał jeszcze komiks, nakręcono serial i stworzono znakomitą grę, to jednak nie były one w stanie zaspokoić naturalnej u większości czytelników potrzeby powrotu do wykreowanego na kartach książek Sapkowskiego świata.

Zawiedzionych takim obrotem sprawy było u nas wielu, Sapkowski bowiem

cyklem wiedźmińskim zyskał sobie w pełni zasłużoną sławę lidera polskiej fantasy. Nie tak wielu jednak, jak na wschodzie, w krajach byłego ZSRR, gdzie cykl wiedźmiński cieszył się - i cieszy nadal - nawet większą niż w ojczyźnie autora popularnością.

Sapkowski był pierwszym po Stanisławie Lemie polskim autorem fantastyki, któremu udało się podbić serca rosyjsko - i ukraińskojęzycznych czytelników. Pierwsze przekłady jego tekstów na te języki ukazały się stosunkowo szybko, bo już w 1990 r.: na rosyjski w antologii polskiej fantastyki „Нѣтъ чароуицъ” (czyli „Zabójca czarownic”), na ukraiński zaś w prestiżowym czasopiśmie „Всесвіт”, gdzie publikowane były obok utworów Raya Bradburego i Kurta Vonneguta.

Jak obliczył Władimir Arieniew, znawca polskiej fantastyki i jej propagator na wschodzie, a także - jeden z autorów niniejszego zbioru - do roku 1993 teksty Sapkowskiego w przekładzie na rosyjski i ukraiński ukazały się czternastokrotnie, przy nakładach oscylujących w granicach 30-110 tysięcy egzemplarzy. To te publikacje położyły solidny fundament pod gmach popularności Sapkowskiego wśród tamtejszych czytelników.

Pierwszy samodzielny tom, stanowiący połączenie polskich zbiorów zatytułowanych „Ostatnie życzenie” i „Miecz przeznaczenia”, ukazał się w Rosji w roku 1996 w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy, i wydany został w prestiżowej serii „Век Апокалипсиса” („Wiek smoka”). Wkrótce okazało się, że nasz Sapkowski stał się najchętniej czytany autorem serii, pozostawiając daleko w tyle takie tuzy światowej fantasy jak Robert Jordan, Glen Cook czy Michael Swanwick. Książki Sapkowskiego, wznawiane po dziś dzień, wciąż znajdują nowych czytelników.

Zdaniem wspomnianego Arieniewa, źródłem sukcesu Sapkowskiego na rynku rosyjskojęzycznym była publikacja jego książek w momencie odkrywania przez tamtejszych czytelników fantasy, które dotąd było w ZSRR praktycznie

nieznane.

Było jednak w prozie Sapkowskiego coś, co wyróżniało ją wśród zalewu podobnych dzieł. Było to fantasy, które można określić jako „swojskie”, z rozpoznawalnymi dla tych czytelników etnograficznymi i kulturowymi realiami, nie wyeksploatowane przez mniej lub bardziej uzdolnionych epigonów i dające wytchnienie od rodzimych literackich klonów, których akcja osadzana była na Rusi Kijowskiej czy w rzeczywistości zachodnioeuropejskiego średniowiecza.

Wiele Sapkowski zawdzięcza swemu tłumaczowi na rosyjski, Jewgienijowi Wajsbrotowowi, który swoje przekłady nasycił licznymi polonizmami, a nazwy własne niektórych mitologicznych postaci podał nie w kanonicznym, lecz we własnym tłumaczeniu.

Nie tylko to jednak sprawiło, że cykl wiedźmiński zdobył tak wielkie uznanie wśród tamtejszych czytelników. Arieniew porównuje go do słonia ze słynnej bajki o ślepych mędrkach, ponieważ każdy zauważa w nim coś innego: jednym przypadają do gustu postaci, innym - sposób, w jaki autor rozgrywa znane baśniowe schematy. Wielu zachwyca się pomysłowością autora, a jeszcze inni jego stylem.

Andrzej Sapkowski napisał historię, która jest w stanie zainteresować wielu czytelników, z których każdy poszukuje w prozie czegoś dla siebie: wartkiej akcji, literackich aluzji, fascynującej koncepcji świata...

Czy ta niekwestionowana popularność opowieści o wiedźminie Geralcie przełożyła się w jakiś sposób na twórczość rosyjskojęzycznych autorów?

Odpowiadając na to pytanie Arieniew wymienia tylko kilka przykładów. Wyraźne inspiracje opowieściami Sapkowskiego znaleźć można na przykład w znanym także polskiemu czytelnikowi cyklu „Wiedźmin z Wielkiego Kijowa” Władimira Wasiliewa, w którym w postapokaliptycznej scenerii wiedźmini zmagają się ze zbuntowanymi mechanizmami. W skład cyklu wchodziło dotąd dziesięć opowiadań, a jedenaste zostało napisane specjalnie na potrzeby

niniejszej antologii.

Geralt pojawił się w powieści („Jesienny lis”) Dmitrija Skiriuka. W jednej z nowel wchodzących w skład tej powieści spotyka go główny bohater.

Pewien wpływ cykl wiedźmiński wywarł zapewne na serię Białorusinki Olgi Gromyko („Zawód: wiedźma”), po części także wydaną w Polsce.

Powstała nadto cała masa fanfików, czyli utworów pisanych przez fanów, publikowanych na łamach rosyjskich fanzinów i w sieci.

Skąd wziął się pomysł na zbiór opowieści inspirowanych cyklem wiedźmińskim, napisanych dlań specjalnie przez autorów z Rosji i Ukrainy?

Bez wątpienia, kluczowe znaczenie miały tu wielkie uznanie i renoma, którymi cieszy się ów cykl wśród rosyjskojęzycznych czytelników, krytyków i... pisarzy. Tłumy na spotkaniach autorskich na tamtejszych konwentach, żywo reagujące na wypowiedzi Sapkowskiego, pozytywne recenzje książek, jak również nie słabnące nimi zainteresowanie, widoczne po nie milknących dyskusjach, a także liczbie wznowień i wysokościach nakładów.

Nasze zaproszenie do udziału w projekcie skierowaliśmy do kilkunastu znanych autorów rosyjskojęzycznej fantastyki. Pozytywnie odpowiedział jakiś tuzin, a ostatecznie swoje teksty przesłało ośmioro z nich: czworo Rosjan (Andriej Bielanin, Maria Galina, Leonid Kudriawcew i Michaił Uspienski) i czterech Ukraińców (Władimir Arieniew, Sergiej Legieza, Władimir Wasiliew i Aleksandr Zołotko).

W naszej ocenie powstał zestaw imponujący. Znaleźli się w nim autorzy szalenie w swych ojczyznach popularni, których nowe książki wydawane są w startowych nakładach na poziomie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy (Bielanin). Zaliczani, w pełni zasłużenie, do klasyków rosyjskiej fantastyki (Uspienski), odnoszący sukcesy na fantastycznym gruncie, zdobywający jednak uznanie również poza granicami fantastycznego getta (Galina), posiadający wyrobioną, mocną pozycję w czołówce rodzimych twórców sf i fantasy

(Kudriawcew, Wasiliew, Zołotko) oraz pisarze stosunkowo młodzi, będący wciąż na dorobku, acz obiecujący i dobrze rokujący na przyszłość (Arieniew, Legieza).

W twórczości Arieniewa znaleźć można szerokie spektrum fantastycznej tematyki: fantasy, klasyczną sf, horror, bajki dla dzieci, humoreski. Jedno z jego opowiadań - „Rara avis” - ukazało się w 2005 r. na łamach miesięcznika „Nowa Fantastyka”.

Bielanin specjalizuje się w humorystycznej fantasy, interesująco rozgrywając motywy baśniowe w zetknięciu ze znaną nam wszystkim rzeczywistością. Kilka jego powieści ukazało się w Polsce nakładem wydawnictw Fabryka Słów (część z nich we współautorstwie z Galiną Czemają) i Amber.

Galina zaczynała od klasycznej sf, ostatnio eksperymentuje z prozą zawieszoną gdzieś pomiędzy fantastyką, realizmem magicznym a mainstreamem. Tworzy to fascynującą mieszankę, docenianą tak przez fanów ambitnej, humanistycznej fantastyki, jak i czytelników stroniących z reguły od dzieł z tego gatunku. Trzy jej książki wydało przed kilku laty Wydawnictwo Solaris, opowiadanie „Jaszczurka” znalazło się w antologii „Kroki w nieznane 2007” tegoż Wydawnictwa.

Kudriawcew znakomicie odnajduje się zarówno w klasycznej sf, jak i w jej różnorodnych odmianach (cyberpunk, historie postkatastroficzne). Znaczną część jego twórczej bibliografii zajmuje jednak fantasy. Dwie powieści Kudriawcewa wydało w Polsce Wydawnictwo Solaris, kilka opowiadań ukazało się na łamach prasy („SFinks”, „Fénix” i „Nowa Fantastyka”). Kudriawcew zajmuje się także przekładami z języka polskiego.

Legieza ma jak dotąd na koncie dziesięć opublikowanych opowiadań, większość zaliczanych do gatunku fantasy. Jako jedyny z autorów zbioru nie był dotąd tłumaczony na język polski.

Uspienski najlepiej czuje się w fantasy, pełnej literackich odnośników, gier

słownych i sytuacyjnego humoru. Jak dotąd w Polsce wydany dwukrotnie, w obu przypadkach na łamach miesięcznika „Science fiction”. Było to opowiadanie „Żółta łódź podwodna”, napisane wspólnie z Andriejem Łazarczukiem, oraz brawurowa, powstała w ramach projektu „Światy braci Strugackich. Czas uczniów” kontynuacja „Przyjaciela z piekła” Strugackich - mikropowieść „Smocze mleko”.

Wasiliew - poza wspomnianą już serią o Wiedźminie z Wielkiego Kijowa - pochwalić się może udanymi wycieczkami na terytorium fantasy, cyberpunku, historii alternatywnej, horroru i space opery. W Polsce autor ten znany jest nadto z opowiadania „Skromny geniusz kolei podziemnej” opublikowanego w antologii „Kroki w nieznane 2005” Wydawnictwa Solaris.

I wreszcie Zolotko, specjalizujący się w mrocznym fantasy i historii alternatywnej. Jak dotąd w Polsce ukazało się jedno jego opowiadanie - „Żywiciele”, w tomie „Kroki w nieznane 2012”.

Czytelnicy, którzy sięgną po tę książkę w nadziei, że przeczytają „ciągi dalsze Wiedźmina” czy też „nieznane przygody Wiedźmina”, mogą czuć się nie w pełni usatysfakcjonowani.

Nie jest to bowiem zbiór „ciągów dalszych” czy „nieznanych przygód”, lecz antologia tekstów, co wymaga jeszcze raz podkreślenia, zainspirowanych światem, w którym żył i działał wiedźmin Geralt. Ba! - Geralt, o ile w ogóle się pojawia, to - poza bodaj dwoma wyjątkami - jedynie pośrednio, w wypowiedziach czy wspomnieniach innych bohaterów.

Trudno ocenić, czy wynika to z obawy przed koniecznością zmierzenia się z oryginałem, czy może raczej ze specyficznego odbioru przez czytelników opowieści stworzonej przez Sapkowskiego: nie jako historii o wiedźminie Geralcie, lecz w pierwszym rzędzie jako wizji świata „pomiędzy” innymi mu podobnymi, świata, do którego, na skutek bliżej niewyjaśnionej katastrofy, przenikają najprzeróżniejszego rodzaju magiczne stwory. Świata, w którym może

wydarzyć się każda, nawet najbardziej niewiarygodna historia, w którym baśń może stać się rzeczywistością, i, co szczególnie istotne, do którego w każdej chwili każdy z nas może trafić.

Najbliższy czytelniczym oczekiwaniom wydaje się być tekst Kudriawcewa, który konstrukcją, tematyką i stylem najbardziej z ośmiu prezentowanych opowiadań przypomina kreację Sapkowskiego. Z jednym jednak, acz istotnym zastrzeżeniem: opisuje przygodę Jaskra, a nie Geralta. I to Jaskier, bez pomocy Geralta, musi poradzić sobie z pewnym smokiem.

Jedyny tekst zbioru, którego głównym bohaterem jest wiedźmin Geralt, to opowiadanie Uspienskiego, przed stawiającym kolejną przygodę Geralta i Jaskra. Robi to jednak w swoim stylu, z wielkim przymrużeniem oka. Opowiadanie skrzy wręcz od gier słownych, tak charakterystycznych dla tego autora. To znakomita możliwość przekonania się, jak mógłby wyglądać cykl o wiedźminie Geralcie, gdyby na pomysł jego napisania wpadł nie Sapkowski, lecz inny mistrz pióra.

W pięknym, nastrojowym, przejmującym opowiadaniu Galina opowiada o ostatnich dniach życia poetki Oczko, będącej jedną z głównych postaci opowiadania „Trochę poświęcenia”. Rosyjska autorka polemizuje z wyrażonym przez Sapkowskiego poglądem, jakoby „prawdziwa historia [Oczko] nie wzruszyłaby przecież nikogo”. Owszem, wzruszyłaby, i to jak!

Arieniew udowadnia, że w świecie wiedźmina Geralta może wydarzyć się każda, najbardziej nawet zwariowana historia. Arieniew interesująco, po swojemu rozgrywa jeden z powszechnie znanych popkulturowych motywów, zwolennicy tego rodzaju literackich gier powinni zatem być jego tekstem usatysfakcjonowani.

Opowiadanie Wasiliewa należy do wspomnianego już wcześniej cyklu o Wiedźminie z Wielkiego Kijowa. To chyba wystarczająca rekomendacja dla tych, którym cykl ten jest znany. A ci, dla których będzie to pierwsze z nim spotkanie,

po jego lekturze zapewne sięgną po wcześniej wydane u nas teksty tego autora.

Najbardziej chyba zaskakujące podejście do tematu zaprezentował Zołotko. Akcja opowiadania toczy się gdzieś w lasach pod Legnicą, na początku lat osiemdziesiątych XX wieku. Sporo w tym opowiadaniu wątków autobiograficznych (autor służył w latach 1981-1983 w jednostce wojsk radzieckich stacjonującej w Legnicy) i rozważań na temat historycznych stosunków polsko-ukraińskorosyjskich. Dla części polskich czytelników zapewne mogą być one co najmniej kontrowersyjne, niemniej jednak przez to ciekawe, warto bowiem czasem poznać punkt widzenia „drugiej” strony. Publikowane w niniejszym zbiorze opowiadanie stanowi pierwszy tekst tego autora z zapowiadanego od dawna cyklu. To, czy on powstanie, zależy w dużej mierze od reakcji czytelników na prezentowaną obecnie próbkę.

Bielanin w swej humoresce pokazuje, jak mogłoby wyglądać życie rodzinne Geralta i Yennefer, gdyby los nie rozdzielił ich ostatecznie. Wnioski wypływające z tego tekstu wydają się być jednoznaczne...

I na koniec - coś dla fanów gier komputerowych i wirtualnych rzeczywistości. Punktem wyjścia dla historii opowiedzianej przez Legię jest któraś z kolei wersja gry „Wiedźmin”. Fantasy w wersji cyberpunk? A dlaczego nie?

O czym by tu jeszcze napisać, by zachęcić Cię, Drogi Czytelniku, do sięgnięcia po ten zbiór, będący efektem wielomiesięcznej pracy grupy zapaleńców, wielbicieli historii o wiedźminie Geralcie i jego świecie, tak wspaniale opisanej przez Andrzeja Sapkowskiego?

Może jednak wystarczy. Jestem przekonany, że zebrane w niniejszym tomie teksty znakomicie obronią się same, dostarczając Ci, tak jak i nam, rozrywki i wielu wzruszeń.

Paweł Laudański

Leonid Kudriawcew

Ballada o smoku

Opowiadanie fantastyczne

Sługa, wielki i silny jak niedźwiedź, wyciągnął Jaskra z karety. Złota, które polyskiwało na jego liberii, starczyłoby poecie na przeżycie roku. I to wcale nie najskromniej; pod solidnym dachem, w cieple, z pełną miską.

Rzucony w kurz drogi, Jaskier zapytał:

- Za co to?

Obok niego upadła lutnia. Struny cicho zadźwięczały.

- Obcując ze szlachetnymi damami, panie poeto, trzeba myśleć, zanim zaczniesz się mleć ozorem - ponuro odpowiedział sługa.

Bard nie zaszczylił go nawet spojrzeniem. Patrzył na okienko karocy, ale za zasłonkami panowała głucha cisza i bezruch..

- Inesso! - zawołał Jaskier.

- Głupiś, bratku - oznajmił sługa. - Na kolanach powinienesz dziękować naszej najpiękniejszej pani, że tak się to dla ciebie skończyło. Gdyby to ode mnie zależało, obdarlbym ci zadek ze skóry.

Lokaj wzruszył ramionami i wgramolił się na tył powozu. Stangret świsnął batem i kareta ruszyła.

- Ech, kobiety... - westchnął poeta.

Wstał i otrzepał ubranie z kurzu. Podniósł lutnię i dokładnie ją obejrzał. Struny ocalały, korpus nie pękł. Obszukał kieszenie i wyciągnął w końcu chudą

sakiewkę. Przeliczył monety i mruknął do siebie:

- Cóż, kobiety... będą i następne.

- Czyżby? - usłyszał za plecami ochrypły głos.

Poeta odwrócił się.

Przed nim stało dwóch mężczyzn. Obwiesie w skórzanych kurtach, z mieczami w dłoniach. Uśmiechali się paskudnie.

- Ostatni raz podobny podarunek od losu otrzymałem w dzieciństwie - odezwał się ten z prawej strony - kiedy to moja narwana siostrzyczka, przewróciła na siebie kocioł z wrzątkiem.

- Miejcie na uwadze - powiedział Jaskier - że mam bogatych krewnych, którzy będą mnie szukać. Wystarczy tylko, że powiem...

- Czyli będziemy musieli zatroszczyć się o to - ryknął ten, który stał z lewej - żeby o niczym się nie dowiedzieli. Domyślasz się chyba, jaki jest na to sposób? No, a teraz dawaj monety, ale już!

- Ubranie ma dobre - stwierdził stojący z prawej. - I buty... jak dla mnie.

- Zobaczymy - wyszczerzył się jego towarzysz. - Zdaje się, że i na moje nogi wleżą.

- Aha, a niby jak?

Bandyci popatrzyli na siebie ze złowrogimi uśmieszkami.

Zdając sobie sprawę, że drugi, tak dogodny moment może się nie powtórzyć, Jaskier błyskawicznie odskoczył w bok i, niczym zając, rzucił się do ucieczki. Wpadł w przydrożne chaszczki, staranował je, nie zwracając uwagi na gałęzie szarpiące odzież. Dalej rozpościerał się wąwóz. Poeta, nie zwalniając biegu, rzucił się w dół. Lutnię przyciskał mocno do piersi, osłaniając ją, na ile się dało. Odzież, rzecz nabyta, ale pozyskać dobry instrument, nie jest już tak łatwo.

Cudem wręcz udało mu się nie upaść i po chwili znalazł się na dnie parowu. Tuż za nim słychać było łomot butów prześladowców. Bard zdawał sobie doskonale sprawę, że gdyby spróbował wdrapać się na strome zbocze, wpadnie

prosto w ich ręce. Pobiegl zatem dnem wąwozu.

Pod nogami szeleściły zeszłoroczne liście, chlupotała woda, trzeszczały zgniłe pędy. Bandyci nie zostawali w tyle. Pędzili górą, wzdłuż skraju wąwozu, starając się nie tracić z oczu uciekiniera. Jeden z nich krzyknął:

- A biegnij sobie, przed nami i tak nie uciekniesz! Nie takich już łapaliśmy!
- Ucieknę - burknął Jaskier.

Droga przed nim rozwidlała się. Doświadczenie podpowiadało, że to jedyna szansa ucieczki przed pogonią. Prześladowcy biegną po lewej stronie jaru, kalkulował bard, a przy rozwidleniu, oczywiście, rzucają się w dół. Tam trzeba przyspieszyć i skręcić w prawo. Najważniejsze, żeby nie wpaść w ślepy zaułek. To pewna śmierć.

Los sprzyjał poecie. Jaskier skręcił w odpowiednią stronę i przekonał się, że po kilku metrach wąwóz znowu się rozwidla. Za plecami wciąż słyszał gromkie przekleństwa zbiegających w dół bandytów. Dobiegł do rozwidlenia i skręcił w lewo. Wkrótce parów rozdzielał się znowu. Tym razem należało skręcić w prawo. Trudno było przewidzieć, czym zakończy się to odgałęzienie. Zbocza parowu gęsto zarosły płaczącymi wierzbami, których gałęzie, opadające niemal do samego dna, zasłaniały widok.

Znowu się udało!

Pod osłoną gałęzi bard zaczął wdrapywać się po stoku. Wiedział, że od tej decyzji zależy wszystko; nie szczędził nóg ni rąk. Kiedy znalazł się na górze, przystanął i niemal bez czucia przypadł do pnia najbliższego drzewa. Dopiero teraz nadarzyła się sposobność, by odpocząć kapkę i rozejrzeć się.

W ciągu kilku minut stało się jasne, że udało mu się zbić z tropu prześladowców. Sądząc po dobiegających z parowu dźwiękach, cały czas jeszcze biegali po dnie, szukając zbiega w jednym z odgałęzień. Uciekł w samą porę.

Jaskier ostrożnie zrobił krok w kierunku uskoku i zaczął nasłuchiwać. Zrobił jeszcze jeden krok i znowu zamarł.

Wyglądało na to, że jego manewry pozostały niezauważone.

Poeta nabral otuchy, rozejrzał się i, starając się stąpać jak najciszej, ruszył przed siebie.

Z parowu dochodziły wciąż niewybredne wrzaski:

- Zdobycz nam umknęła! Wszystko przez ciebie, ty ośle o kosmatym ryju!

- Tak, a ty to niby kto! Patrzcie go, jaki kogut hamburski!

Jaskier uśmiechnął się.

Soczyście klną. Gdyby się tak zatrzymać, to pewnie jeszcze niejedno można by usłyszeć. Tylko, czy warto ryzykować? W końcu ważniejsze jest należycie odpocząć, doprowadzić odzież do porządku i uciszyć żołądek.

Nie ryzykował powrotu na bitą drogę. Ruszył lasem, starając się nie tracić gościńca z oczu, żeby nie zablądzić.

Pod wieczór spotkał Raido.

Miejsce na odpoczynek wybrali w suchym parowie między wzgórzami. Widać tu było wyraźne ślady pazurów jakichś wielkich zwierząt, które, tyjąc w tym miejscu, pogłębiły wykrot. Dzięki temu blask ognia był całkowicie niewidoczny z drogi.

Siedzieli razem przy ognisku. Raido przypiekał na rożnie tuskę zająca. Jaskier, półgłosem wyrzekając na diabła, próbował zaszyć dziurę w kaftanie. Nie najlepiej mu to jednak wychodziło, szew szedł krzywo, nie wyglądnie jakoś.

- Mamie szyjesz - stwierdził Raido, zerknąwszy na jego pracę. - Od razu widać, że doświadczenia nie masz.

Mówiąc to, uśmiechnął się. Rysy twarzy miał poważne, nieekspresywne, ale nawet lekki uśmiech zmienił je, jakby rozświetlił od środka. Stało się jasne, że nowy znajomy poety, w rzeczywistości nie jest jeszcze taki stary. Po chwili jego oblicze znowu stało się surowe. W kącikach ust zarysowały się ostre zmarszczki, dodając mu z piętnaście lat.

- Że niby ja nie mam? - burknął Jaskier. - Żebyś wiedział, że w swoim życiu

więcej dziur zacerowałem niż niejedna krawcowa. Światła od ognia idzie mało. Gdyby było więcej, już ja bym...

- Akurat; zlej baletnicy przeszkadza... wiesz, co?

- Zlej? - prychnął rozeźlony poeta. - A skąd ty możesz wiedzieć, jak ja tańczę? Sam byś tak nie potrafił.

- Ty śpiewasz i tańczysz, ja pomagam wyrabiać oręż - przypomniał Raido. - Każdy z nas ma swoją robotę.

Ruchem głowy wskazał duży arbalet, leżący tuż obok niego.

- Tutaj, w lesie? - parsknął Jaskier.

- Oczywiście, że nie. Jutro ruszam w dalszą drogę do wolnego miasta Dżaks. Jestem pewien, że dla tak biegłego czeladnika jak ja robota się znajdzie.

Czeladnik rzeczywiście wyglądał na sprawnego. Szeroki w barach, prawdopodobnie bardzo silny. Poruszał się też, jak przystało na pracującego, albo wojującego człowieka; zwinnie i pewnie. Miecza nie miał. Przy pasie wisiał tylko zwyczajny nóż, bez jakiego nikt by w drogę nie ruszył. Czyli rzeczywiście; mógł być czeladnikiem.

- A czemu by nie jakaś stała praca? - zapytał poeta. - Myślę, że każdy majster cię przyjmie.

- Przyjmie - odpowiedział Raido - tylko że ja nie pójdę. Nie potrafię siedzieć na jednym miejscu. Stąd i moje imię... mateczka jakby przeczuwała. Znasz taką runę?

- Oczywiście. Zatem planujesz całe życie włóczyć się od miasta do miasta?

- A ty?

Pytanie zaskoczyło Jaskra. Chrząknął, podrapał się w głowę. Z ukosa spojrzął na czeladnika i w końcu wydusił:

- Hm... myślę, że po prostu nie dożyję tego czasu, kiedy wypada osiąść gdzieś na stałe.

- Liczysz więc na lut szczęścia? - zapytał Raido.

- A czy to źle? - pozornie beztrąsko odpowiedział pytaniem Jaskier.

- Rozumiem - rzekł prosto czeladnik. - W takim razie siadajmy do kolacji, a po niej kładźmy się spać. Ubranie naprawisz jutro, zanim ruszymy w drogę. Sądzę, że w Dżaksie będziemy koło obiadu, nie później.

Zdjął z ognia rożno, ściągnął z niego tuszkę królika i sprawnie podzielił na dwie części.

- Dziękuję, jesteś bardzo uprzejmy - stwierdził Jaskier.

Przez kolejne piętnaście minut nie padło ani jedno słowo. Za to rozlegało się mlaskanie, chrzęst rozgryzanych kości i inne dźwięki towarzyszące posiłkowi porządnie wygłodzonych mężczyzn, nie skrępowanych obecnością kobiet.

Po skończonym posiłku Jaskier położył się tuż przy ognisku. Co dziwne, nagle przestał przejmować się tym, że jego modny kaftan może się ubrudzić. Chciało mu się tylko leżeć na trawie, spoglądać w nocne, usiane niezliczonymi gwiazdami, niebo; dłużyć w zębach zaostrzonym patyczkiem i o niczym nie myśleć.

Trochę radości z tego przyjemnego stanu wywiałoby pytanie czeladnika:

- A czegoż to szuka bard w wolnym mieście Dżaksie? I czy nie jest to aby związane z żyjącym w jego pobliżu smokiem?

- Ballada - odpowiedział krótko poeta.

Raido zdziwił się:

- W jaki sposób ze smokiem może wiązać się brzdąkanie na lutni i rymowane słowa?

- Chcę napisać balladę o smoku. Prawie ich już nie ma.

- Ballad?

- Smoków, rzecz jasna. A już zwłaszcza takich, co żyją w pobliżu wolnego miasta. To już w ogóle chyba jedyny na świecie. Współżyjący z ludźmi. Że też są jeszcze ludzie potrafiący zaprzyjaźnić się ze smokiem?! Czy to nie zdumiewające?

- Zdumiewające - potwierdził czeladnik.

- I w tym skrywać się musi historia na balladę. Jestem tego pewien.

- I sądzisz, że mieszkańcy Dżaksu tak po prostu odsłonią przed tobą swój sekret?

- A czemu by nie? - wzruszył ramionami poeta. - Przecież jestem znanym na całym świecie bardem. Moja ballada rozśławi ich miasto. A któż pogardzi reklamą? Jeśli dobrze wnioskuje, dzięki smokowi miasto rozkwita.

- Całkowita racja.

- Rozgłos tylko zwiększy dochody mieszkańców.

- Sądzisz, że będą ci wdzięczni, jeśli rozgłosisz po całym świecie, w jaki sposób zawarli ugodę ze smokiem?

- A nie?

- To może im się nie spodobać. Nagle mogą pojawić się naśladowcy.

Jaskier zmarszczył brwi.

- A co mnie obchodzą jacyś tam naśladowcy. Chcę po prostu napisać balladę i pragnę dowiedzieć się, w jaki sposób ludzie zawarli sojusz ze smokiem. Mogę się założyć, że nie obeszło się tutaj bez romantyzmu; wielka miłość, zdrada, kipiąca namiętność. Oto materiał na mistrzowski utwór.

- A jeśli go nie znajdziesz? - zapytał Raido.

Poeta westchnął, ułożył wygodniej pod głową kapelusik z czaplim piórem.

- W takim wypadku przyjdzie mi go wymyślić.

- A nie prościej zrobić to już teraz?

- Co ty tam rozumiesz? Aby powstało prawdziwe arcydzieło winna być zachowana sprawdzona od wieków procedura.

- To dokładnie tak, jakby ktoś próbował wykuć podkowę?

- Tak, wszystkie działania ściśle według ustalonego porządku.

- Kto by pomyślał? - zdziwił się czeladnik. - Czyżby i w poetyckim rzemiośle wszystko było poukładane, jak w każdym innym?

- Jeszcze bardziej nawet - oznajmił trubadur z mocą.

- Kładź się, bracie. Trzeba wypaść się dobrze, zregenerować siły. W wolnym mieście Dżaksie będą ci potrzebne. A ballada... podstawy do niej zawsze się znajdują. Możliwe, że nie takie, jak myślisz, ale znajdują się.

Pijanica z ogromnym brzuchem i czerwoną, niczym natartą burakiem, fizjonomią, wytoczył się z drzwi zajazdu; dotarł na środek ulicy i, potknąwszy się, runął plackiem w ogromną kałużę. Prosto na śpiącą w niej burą świnię. Dziwna rzecz, ale locha nawet się nie przebudziła. Chrząknęła tylko parę razy z zadowoleniem i ucichła z błogim wyrazem ryja. Ochlapus zaklął głośno, pokręcił się, umościwszy wygodniej, położył głowę na świńskim udzie i w końcu zasnął. Uśmiechał się błogo przez sen.

- Wzruszający sojusz - mruknął Jaskier. - W wolnym mieście Dżaksie.

Obejrzał się i zobaczył, że na drugim piętrze domu, który właśnie minął, otworzyło się okno, z którego wysunęła się pełna wdzięku rączka z nocnikiem. Pewny, wypracowany ruch i kałuża, w centrum której znajdował się symbol zjednoczenia człowieczej i zwierzęcej natury, powiększyła się.

- Rączka - pożądliwie uśmiechnął się poeta - całkiem zgrabna. Kto by pomyślał...

Zwolnił kroku, starając się wymyślić sposób, jak tu poznać bliżej jej właścicielkę. Niemal już wymyślił, jednak natychmiast zapomniał, po co mu ten fortel, bowiem ujrzał niedaleko szyld karczmy „Ogon Smoka”.

Dusza jego wyrwała się w kierunku błęgiego przybytku, a Jaskier nawykły był kierować się porywami duszy.

Przy samej karczmie stanął oko w oko z lokajem, w szytej na miarę złotej liberii.

- Przeżyłeś? - zdumiał się ten, zagroziwszy mu drogę. - Dziwne. Zaiste, tam gdzie cię wysadziłem, było przecież jeszcze dwóch... wędrowców. Wyglądali mi na ludzi zdolnych złapać szczęście za ogon. A mimo to im umknąłeś... Sprytny jesteś jednak, wierszokleto, jednak sprytny!

- A ty uważałeś mnie za gamera? - uśmiechnął się wyniośle Jaskier.

- A nie jest tak?

- Żebyś ty wiedział, za kogo ja ciebie uważam...

- Niby za kogo?

Jaskier uśmiechnął się i powiedział. Jak każdego człowieka, pracującego ze słowem, natchnienie w takich wypadkach nie opuszczało go nigdy.

- Jak coś takiego mogłoby się zdarzyć? - zdziwił się lokaj.

- Toż to jakby przeciwko naturze.

- Jakbyś miał odrobinę oleju w głowie - ze szczerością odpowiedział poeta - mógłbyś to sam wywnioskować. Gdy zawitasz na ojcowiznę, do domu, zadaj parę naprowadzających pytań matce.

Po tej przemowie należało obejść gracko ogłupiałego zawałidrogę i dostojnie się oddalić. W teorii.

Chwała, niestety, była krótkotrwała; bowiem gdy tylko Jaskier odwrócił się do lokaja plecami, ten kopnął go z całej siły w zadek. A mocy miał niemało. Poeta pokonał sporą odległość w powietrzu i wylądował na kupie końskiego nawozu. Ślizgając się, zrobił jeszcze parę kroków i, nie utrzymawszy równowagi, runął na drogę. Na szczęście nie w kałużę.

Podniósł się i zaczął otrzepywać odzież z kurzu. Za sobą słyszał zadowolony rechot lokaja. Nie zwracając na to uwagi, poeta podniósł z drogi lutnię i dokładnie ją obejrzał. Instrument był cały. Teraz można było dać ujście emocjom.

- Drań! - zwracając się do oprawcy, krzyknął bard. - Zapłacisz mi za to!

- Jeszcze ci mało? - uśmiechając się bezczelnie, zapytał lokaj. - Wynoś się na swoje śmieci, wierszokleto. Mścić się będzie, widzieliście go? Nie w tym życiu.

- Ja... ja... - jękał się Jaskier.

- Co? Ułożysz o mnie piosenkę i zaczniesz ją mamrotać pod nosem na każdym rogu? A dalej, próbuj. Nic mnie to nie obchodzi. Jednak, jeśli ośmielisz

się wspomnieć w niej o mojej pani - nie daruję. Znajdę cię wszędzie i uduszę jak parszywego kundla. Zrozumiałeś? Chociaż słowo, chociażby jedna aluzja...

Nie trzeba było dużo myśleć, by mieć pewność, że powiedział to ze szczerego serca.

Jaskier spojrzał na lokaja z zainteresowaniem. Współczująco zapytał:

- Zatem nawet nie o siebie się troszczysz? - O prestiż pani. Zresztą, ty, włóczęgo i krętacza, nie pojmiesz tego. - Gdzież tam mnie... - poeta chrząknął.
- Nie przywykłym tak o cudze się martwić. - Jeszcze szydzisz?! - zagotował się lokaj. - Już ja ciebie... Nie czekając na ciąg dalszy, Jaskier poszedł sobie. Głowę starał się trzymać wysoko, a plecy prosto. Pokazywał, że wroga się nie boi. A ten, jak słyszał poeta, zrobił parę kroków, jakby chciał go gonić, ale nagle zatrzymał się. Rozmyślił. Najprawdopodobniej dlatego, że niedaleko pokazali się miejscy strażnicy.

- Radzę ci - dał się słyszeć głos lokaja - wynoś się z miasta! I to zaraz! Będziemy tutaj bawić jeszcze jakiś czas. Nie chcę, żeby moja pani zobaczyła gdzieś twoją ckliwą fizjonomię. Nie życzę sobie, rozumiesz. A jak się nie wyniesiesz, stłukę cię za każdym razem, kiedy cię zobaczę. Za każdym razem!

Jaskier tylko pokręcił głową.

- Ckliwą? - mruknął pod nosem. - A to niby dlaczego? Kłamliwą i podłą moją fizjonomię już nazywali, ale żeby ckliwą? Nie pojmuję.

- Nie zadzieraj z nim więcej, mój kochanieńki - powiedziała ze współczuciem babka, handlująca pod karczmą suszoną rybą. - Silny z niego chłop. A zadek da się wyleczyć. Patrzcie go, jak dołożył, potwór jeden. Znachorka mieszka niedaleko bram. Wszelkie niedomogi leczy z wielkim znanstwem.

Jaskier tylko chrząknął.

A to wcześniej kopniaków nie dostawał? A jakże, dziesiątki. Jakby po każdym chciał biegać za znachorkami, żadnych pieniędzy by nie uzbierał.

Nie należało na oczach lokaja zachodzić do karczmy. Ten mógł przecież pójść za nim. Dlatego Jaskier ją ominął. Całe zdarzenie nie poprawiło nastroju. Chciało mu się piwa i rozrywek.

Nie zdążył odejść od „Ogona Smoka” nawet półsetki kroków, kiedy przypałało się jakieś pachole.

- Dobry panie, dajcie monetę!

Jaskier nie zaszczylił go nawet spojrzeniem, nie zwolnił też kroku.

- Panie, widzę, żeście dobrzy. Dajcie sierocie miedziaka. Jednego. W imię Chrystusa.

Poeta spojrział na chłopca.

Dziwna sprawa, ale ten nie wyglądał na brudasa. Ubranie na nim nie było, oczywiście, nowe; lata na łacie, ale te pozszywane były starannie, widać, że z wprawą. To rokowało jakąś nadzieję. Profesjonalni żebracy raczej bez wahania klamią jak z nut, ale ten tutaj może i prawdę powie.

- Zapracuj - zaproponował Jaskier.

- Jak?

Poeta wyciągnął z sakiewki miedzianą monetę.

- Odpowiedz na moje pytania.

- Tylko tyle?

- Tak. Opowiedz mi o smoku na początek. Wszystko, w najdrobniejszych szczegółach. Chcę dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Widzisz, chłopcze, jestem znanym poetą i zbieram wstępne informacje w celu stworzenia nowego dzieła. Pojmujesz?

Powiedziawszy to, Jaskier dumnie zadarł głowę.

- No pewnie! - chłopiec chytrze zmrużył oczy. - Myślę, że informacje najlepiej zbiera się za stołem. Czyż nie tak?

- Hm, możliwe.

- A gdzie można posiedzieć za stołem, jak nie karczmie? Oto i ona, na

wyciągnięcie ręki. No, a jak już będziemy w środku, grzech nie poczęstować. Czy nie tak, jaśnie panie sławny poeto?

Jaskier obejrzał się.

Karczma stała na swoim miejscu. A lokaj już sobie poszedł. Czyli droga wolna, a i pretekst się znalazł.

- Do czego zmierzasz, szelmo?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie dodałbyś do obiecaney monety jakiejś strawy? Z pełnym żołądkiem łatwiej wszystko ci wyłożę. Co do joty. Pojmujesz?

Poeta westchnął i powiedział:

- Młodzieńcze, jesteś niezłym cwaniakiem.

- No, co wy, panie? - oburzył się chłopak. - Chcę tylko przetrwać. Matula umarła, tatkę ubili. Nie ma kto dać kęsa chleba. Muszę sam tak się mordować.

Oczy miał równie błękitne, jak Jaskier. I bardzo szczerze z nich patrzyło. No tak, jeśli się dzieciaka nie nakarmi, to do wieczora umrze z głodu.

-... I wtedy na pola przed murami miasta wyszli mieszkańcy grodu. Wszyscy w najlepszym odzieniu. Na przedzie szedł mer i starszyzna, po prawdzie mówiąc, szli z miejską kapelą, z werblami i sztandarami. No, to znaczy, mer ich nie niósł. Do tego mamy specjalnych ludzi. A smok, który przyleciał zawrzeć sojusz, po prawdzie mówiąc, już na nich czekał, polegając na najdalszym krańcu łąki, ogniem sobie poparskiwał. I tedy to starszyzna, a także i mer nasz...

Jaskier ziewnął.

- Nie ciekawi was to? - zapytał chłopiec, który, jak się okazało, zwał się Chwat.

- Niezupełnie - odpowiedział poeta. - Słyszałem już dzisiaj tę historię, będzie ze sześć razy. Są różnice w detalach, ale w istocie, to ona taka sama. Opowiedz mi może o samym mieście.

- Zapłaciłeś - przypomniał chłopiec. - Chcesz wiedzieć, dlaczego ta karczma

nazywa się „Ogon Smoka”? A wiesz, że na drugim końcu miasta jest jeszcze jedna, pod szyldem „Głowa Smoka”. Zgadnij, jak ochrzcili zajazd w centrum miasta?

- „Tulów Smoka”? - rzucił Jaskier.

- Dokładnie tak. Jest ich tam kilka. Każdy nosi nazwę od jakiejś części ciała gada. W tym mieście wszystko związane jest ze smokiem. Czyżbyś nie zauważył?

- A jużci. Trudno nie zauważyć. A smoka na własne oczy widziałeś?

- A po cóż mi to? - zdziwił się chłopak. - Miałbym się w popiół obrócić?

- Miasto zawarło pokojowy układ ze smokiem - przypomniał Jaskier. - Bez mała dwieście lat temu.

- Po pierwsze, to gad nigdy nie napada - oznajmił Chwat.

- Ale w przypadku głupców, którzy postanowili go niepokoić, umowa nie działa. Ci wyruszają wprost do jego pieczary i tam się pojedynkują. Dla wszystkich innych droga jest zamknięta.

- A tacy, co to chcą się zmierzyć z gadem pojawiają się często?

- Oczywiście.

- Drogi ktoś pilnuje?

- A jużci - potwierdził chłopiec. - Straż miejska i... są jeszcze rycerze smoka. Strzegą jego spokoju. Obcy nie zdoła ich oszukać. Insza sprawa to miejscowi, którzy znają wszystkie ścieżki. Tylko że oni do pieczary nie chadzają. A nuż się to smokowi nie spodoba? Przecie to nasz karmiciel.

- I twój także?

- A jużci! - chytrze uśmiechnął się Chwat. - Kto by mnie ugościł i dał obiecany grosz, gdyby go nie było.

Jaskier chrząknął.

- Dam, ale najpierw odpowiedz mi...

- Czego malca męczysz? - zapytał Raido, dosiadając się do stołu. W rękę

trzymał kufel piwa.

- Malca? - burknął Jaskier. - Żre on, nawiasem mówiąc, jak słoń. Za morzem żyje taki zwierz, rozmiarów góry.

- Dajże mu, o co prosi i niech stąd ucieka. Wszystkiego, co mógłby ci powiedzieć, dowiesz się ode mnie. A na niego już czas, jak mi się zdaje; czas do domu.

- To bezdomny - powiedział Jaskier.

- Doprawdy? - zdziwił się czeladnik. - A jak tu szedłem, to widziałem niewiastę, szukającą jakiegoś postrzeleńca. Wedle jej opisu, twój towarzysz jest bardzo do niego podobny. Ej, mały, co na to powiesz?

- Niech najpierw da monetę - naburmuszył się Chwat. - Obiecał.

- Dawaj - nakazał Raido. - Nie nadaremnie schodziłem pół dnia po wolnym mieście. Szukałem, póki nie znalazłem. I dowiedziałem się sporo ciekawostek.

Jaskier spojrział na niego ze zdziwieniem.

- A cóż to za ciekawostki? Podobno żaden smok nic cię nie obchodzi? A robota... Chyba szukałeś pracy?

- Monetę... daj monetę... - sępił chłopczyk.

Jaskier zmarszczył brwi, ale sięgnął do sakiewki. Otrzymawszy swoją zapłatę, chłopak mocno zacisnął ją w piąstce i rzucił się do wyjścia z karczmy szybciej od uciekającej przed wilczarzem kotki.

Odprowadziwszy go wzrokiem, poeta pociągnął duży łyk ze swojego kufla i rzekł:

- Opowiadaj.

- Z ochotą - lekko uśmiechnął się Raido. - Widzisz, jak już zdążyłeś zauważyć, także zainteresowałem się historią smoka i przeprowadziłem własne dochodzenie. Podejrzewam, że moje źródła informacji są bardziej wiarygodne. Wspominał ci ktoś o kopalniach?

- O kopalniach?

- No tak. Wydobywali w nich rubiny. A smoki, jak zapewne wiesz, bardzo je lubią. Powiadają, że nasz piękniś, który uszlachetnił swoją obecnością miasto, pojawił się tutaj właśnie z ich powodu.

- Jakże to? Opowiadaj - Jaskier przysunął się bliżej do współbiesiadnika. - Wyłuszczaaj wszystko, co wiesz.

- Zatem...

W tym momencie, jak grom z jasnego nieba, na ramię poety opadła silna dłoń i dał się słyszeć schrypnięty głos:

- Czy ty jesteś wierszokletą Jaskrem? - Tak, ja - odpowiedział Jaskier, nawet nie próbując się obejrzeć, ponieważ dobrze wiedział, kto ma w zwyczaju w taki sposób zaczynać rozmowę.

- Mer chce cię widzieć. Rozkazano dostarczyć cię po dobroci. Pod warunkiem, że nie zaczniesz się przeciwstawiać.

-...Zatem, ponieważ dogodziłem jego wysokości - zakończył Jaskier - usłyszawszy o moim losie, może uznać on, iż w waszym mieście nie lubią sztuki i oświaty. Wielka to przewina, karana bezlitośnie. Powtarzam - bezlitośnie. Po cóż wam, panie, podobne problemy z powodu jakiegoś wierszoklety i jego niewinnych opowieści?

Mer wpatrywał się przez chwilę w opadający mu na pierś złoty łańcuch, znak piastowanego urzędu i rzekł:

- Pluję na to! Mamy tu wolne miasto. Wolne! Rozumiesz, co to oznacza?! Nikt nam tu nie będzie rozkazywać. A jak chcecie wojować, proszę bardzo. Nie zaznaliście jeszcze ognistego oddechu smoka? Szybko leczy on z myśli o przymusowej oświacie. Sprawdzone to już nie raz. Zdarzały się takie incydenty ze sto lat temu. Od tamtego czasu, nikt nie próbuje okazywać niezadowolenia. Nawet daleko poza granicami miasta.

- Jak to? - zapytał Jaskier.

Nie bał się, chociaż pojmował, że mer go nie oszukuje. Status wolnego

miasta i rozumna polityka podatkowa przynosiły całkiem niezły dochód. A jak wiadomo, duże pieniądze zapewniają bezkarność i otwierają przed miastem nieograniczone możliwości. Przy dobrej woli.

- Nie rozumiesz? - zapytał mer.

Był tłusty, miał nawet nie dwa, a trzy podbródki, ale sądząc po oczach, umysłem odznaczał się ponadprzeciętnym.

- Rozumiem - przyznał Jaskier.

- No, to już całkiem nieźle.

- Ciekawym, jak się dowiedzieliście o moim przybyciu do miasta? - zapytał poeta. - Było nie było, nie jestem aż tak sławny, żeby mnie na ulicach ludziska rozpoznawali. Powiedzcie szczerze.

Mer wzruszył ramionami.

- Mogę powiedzieć, bowiem człowiekowi, który powiadomił nas o twoim pojawieniu się w mieście, żadnej szkody uczynić nie zdołasz. Ręce za krótkie, nawet dla ulubieńca rodziny królewskiej.

Bard uśmiechnął się krzywo:

- Mocarny, szeroki w barach, cały w złocie? - zgadywał. Mer ledwie zauważalnie przytaknął. W tym momencie wyglądał jak żaba, która złapała tłustą muchę. Bardzo zadowolona żaba.

- Ot, pożałowała kotka mysiej lezki - kwaśno skomentował bard.

- Wróćmy do tematu - przypomniał mer. - Życzę sobie, żeby twoja ballada była... hmm... dostatecznie lojalna wobec naszego miasta. Rozumiesz, o czym mówię?

- Cenzura?

- Dokładnie tak. Uprzedzam; krok w prawo, krok w lewo... ale dalej... sam wiesz, o co chodzi.

Jakby na potwierdzenie jego słów w korytarzu zgrzytnęło żelazo o żelazo i dały się słyszeć ciężkie kroki jednego ze strażników.

- Dogadaliśmy się - powiedział Jaskier. - Ale za to...

- Po ukończeniu ballady odejdziesz z miasta cały i zdrowy. Jeśli dzieło okaże się napisane z dużą dozą talentu, choć bardzo w to wątpię, twoja sakiewka wypełni się brzęczącą monetą. Reklama nam nie zaszkodzi.

- A materiały, źródła... - ożywił się poeta.

Mer zmarszczył brwi.

- Tak, oczywiście. Będziesz miał dostęp do archiwum. Możesz tam szperać, ile tylko chcesz. To wszystko?

Jaskier podrapał się po głowie.

- Tak jakby...

- W takim razie mam jeszcze kilka ważnych pytań. Ten człowiek, który powiadomił nas o twoim pojawieniu się w mieście, twierdzi też, że jesteś wieloletnim przyjacielem wiedźmina Geralta, znanego łowcy potworów. Czy to prawda?

- Tak.

- Czy prawdą jest też, że pojawiłeś się tutaj z zamiarem szpiegowania dla niego? Podobno ma on zleczone ubić naszego smoka, a ty masz znaleźć słaby punkt gada?

- Geralt nigdy nie zabijał smoków! - krzyknął zaskoczony Jaskier. - To wbrew jego zasadom. A przy okazji, dlaczego was to niepokoi? Słyszałem, że każdy wędrowny rycerz, każdy łowca szczęścia, ma prawo zmierzyć się ze smokiem. A ten jest na tyle silny i sprytny, że do tej pory nikomu nie udało się zwyciężyć. Czyżby bał się wiedźmina?

- Nikogo się nie boi. A my tylko troszczymy się o jego zdrowie. Tak zwani bohaterowie mają niezbywalne prawo do pojedynku. Nawet smok powinien od czasu do czasu się rozerwać. Dochodzi do tego jeszcze kwestia oszczędności środków, przeznaczonych na jego wyżywienie. Ale dla profesjonalisty do pieczary wejścia nie ma. Wiemy, że wielu z nich zabija potwory za pomocą

sprytu, nikczemnych forteli, czarnoksięstwa. Co będzie, jeśli jeden z nich takim sposobem zniszczy podstawę naszej wolności?

Mer zamilkł. Poeta czekał.

W korytarzu znowu zabrzęczało żelazo, ponownie zadudniły ciężkie kroki. Jaskier próbował rozwikłać zagadkę, po co straż zakłada na siebie tyle żelastwa. Przecież służą na dworze, a nie na wojnie? W jakim celu tak się pocą w swoich niedorzecznych zbrojach? Chciał nawet zapytać o to mera, jednak powstrzymał się wielkim wysiłkiem woli.

- Zatem, twój przyjaciel nie ma zamiaru odwiedzić naszego miasta? - zapytał na koniec mer.

Dawało się odczuć, że przyjął to już za pewnik, a pytanie zadaje tylko dla porządku.

- Jeszcze raz powtarzam, ze smokami wiedźmin nie wojuje - odpowiedział poeta.

- A ty sam przyjechałeś tylko z powodu pragnienia napisania ballady? Ha?

- Dokładnie tak.

- Zatem jesteśmy umówieni. Jak tylko spłynie na ciebie natchnienie, wyjedziesz, nie zapominając uprzednio zapoznać mnie z jego efektami.

- Oczywiście.

Po chwili milczenia mer rzekł jeszcze:

- Miałem wielką pokusę przeprowadzić tę rozmowę w bardziej malowniczej scenerii. Wiesz; łańcuchy na ścianach, rozpalony piec i kamrat w czerwonym kapturze z arsenałem błyszczących narzędzi. Wtedy wiele byś powiedział. W takim miejscu wszyscy śpiewają jak słowiki, a balladami sypią jak z rękawa. Na szczęście twoje tajemnice zupełnie mnie nie interesują. Przynajmniej na razie. Ale uważaj, jeden nieprzemyślany ruch może odmienić wszystko.

- Zrozumiałem.

- Doskonale. A teraz idź.

Z uczuciem nieopisanego ulgi Jaskier wstał od stołu i ruszył do drzwi. Zdążył już nawet zrobić dwa kroki, gdy wrodzona ciekawość wzięła jednak nad nim górę i, odwróciwszy się, zapytał:

- A jak to jest z tą wojną?

- O czym mówisz? - zainteresował się mer.

- No, z wojną. Jeśli smokowi może zaszkodzić jeden profesjonalista, to jak można go wykorzystać na polu bitwy?

Mer wzruszył ramionami. - Na wojnie smok atakuje z nieba, będąc ogniową bronią masowego rażenia. Najważniejsze jest to, że jego obecność gwarantuje wysokie morale żołnierzy, daje im pewność, że są niepokonani. A pewność w tumultach bitewnych, to rzecz zasadnicza. A co do profesjonalnych niszczycieli potworów... cóż, na polu walki ani jeden z nich nie zdoła podejść w pobliże smoka. Tego pilnujemy bardzo starannie. Rozumiesz?

- Tak.

- Pojętny z ciebie chłopak. A propos, pewnemu bardzo gadatliwemu lokajowi, pewni ludzie napomkną, że nie wypada przeszkadzać w procesie tworzenia znanemu wierszoklecie. Jeśli temuż lokajowi przyjdzie do głowy jeszcze raz puścić w ruch jakąś kończynę, bardzo szybko ją też straci. A teraz idź. Nie zabieraj czasu zajętemu człowiekowi.

Archiwum było pełne kurzu. Był i strażnik archiwista. Zaszuszonego staruszka, do cna przesiąknięty zapachem cebuli. Odprowadzając Jaskra do wyjścia, mamrotał:

- Chwali się, kiedy młodzież interesuje się historią. Bardzo się chwali.

- Rzadko widujecie podobnych do mnie, dziadku? - uśmiechając się bezczelnie, zainteresował się poeta.

- Bardzo rzadko. Z ciebie porządny młody człowiek. Ani się obejrzyj, a tak zainteresujesz się pracą tutaj i sam zostaniesz archiwistą. Płacą niby mało, ale za to masz poważanie. Zdarza się, że nawet strażnicy witają się ze mną. Jestem

pracującym człowiekiem, na utrzymaniu miasta, jak i oni. Rozumiesz?

- Kusząca propozycja, a jużci - odpowiedział Jaskier.

- Może nie od razu, ale po mojej śmierci to miejsce się zwolni. Poczekaj z dziesięć lat, a będziesz żył jak pączek w maśle.

- Poczekam.

Jaskier pchnął grube drzwi, z żelaznymi okuciami, a te otwarły się z głośnym skrzypieniem. Archiwista jeszcze coś tam mamrotał za jego plecami, ale poeta już go nie słuchał. Wyszedł z wieży archiwum i od przyływu świeżego powietrza zakręciło mu się w głowie. Przypadłszy do ściany, zakrył oczy, oślepiony blaskiem słońca. Ale cały czas nie mijало wrażenie, jakby do palców przykleiły się kruche, łamliwe stronice, będące mieszaniną pleśni, brudu i świecowego loju. Zapragnął niezwłocznie umyć ręce.

Kilka chwil później zrobiło mu się lepiej. Przetarł oczy, rozejrzał się i wreszcie mógł o własnych siłach odejść spod murów archiwum. Idąc krzywą, porośłą pokrzywami uliczką, rozmyślał o informacjach, które wyszperał w ciągu ponad pół dnia żmudnej pracy. Czy mu się przydadzą? Oto jest pytanie.

Całkiem niedaleko przed nim słyszał gwar; klębił się tłum ludzi, krzyczały handlarki, ktoś gwizdał, ktoś rechotał, inny śpiewał pieśni. Był to plac targowy. A tutaj, w bocznej uliczce, panowała cisza i spokój. Zdawało się, że wszystko zamarło, tak jakby archiwalna wieża posiadała właściwość spowalniania czasu na przylegających do niej kwartałach.

Myśl wydała mu się na tyle szaleńcza, że aż uśmiechnął się mimowolnie. Od razu też pomyślał, że z tej mąki jeszcze będzie chleb, że natchnienie wciąż go nie opuszcza. A zatem i ballada narodzi się prędzej czy później.

Zaułek wił się między budynkami. Kolejny raz skręciwszy za róg, Jaskier zatrzymał się gwałtownie. Nawet zrobił krok w tył, zamierzając rzucić się do ucieczki, ale było za późno. Trzech rosłych typów, wyraźnie czekających właśnie na niego, doskoczyło do poety i przyparło go do parkanu, biorąc w półokrąg. I

jak tu uciekać?

- Co, wierszokleto, miłe ci życie? - wykrzywiając się w paskudnym uśmiechu, rzekł jeden z oprychów.

Brak przednich zębów sprawił, że uśmiech ten był zaiste obrzydliwy. Drugi najemnik, zarosły aż po oczy gęstą, zmierzwioną brodą, zerwał z ramienia poety zawieszoną na rzemieniu lutnię i niedbale odrzucił na bok. Trzeci, o bladym, pozbawionym wyrazu obliczu, spojrzal na stojącego nieopodal człowieka w bogato zdobionej złotem liberii i zapytał:

- Zaczynać?

- Najpierw powiem mu parę słów. Tak od serca.

Lokaj podszedł niespiesznie, patrząc na barda ze znudzonym wyrazem twarzy. Po cóż zbędne emocje? Ptaszek już wpadł w sidła.

- Żeby wszystko było jasne - odezwał się, zatrzymując parę kroków przed Jaskrem. - To dla mnie tylko praca. Nic więcej. Przychodziło mi już wykonywać i brudniejszą robotę.

- Wyobrażam sobie - z drwiną powiedział poeta.

- Nie wyobrażasz - zaprzeczył lokaj. - I w tym twoje szczęście.

- Merowi nie spodoba się twoja praca. A nie zapominajmy, że jest on merem wolnego miasta.

- Uprzedzono mnie - stwierdził lokaj. - I przyjąłem to do wiadomości. Dlatego nie tknę cię nawet palcem. Jeśli ktoś zapyta, wszystko to dzieło jakichś nieznamomych. A ponieważ było ich trzech, przestraszyłem się. Nawet nie myślałem, by iść na ratunek. Jakie mogłem mieć szanse z takimi osiłkami? Nieprawdaż, chłopaki?

- Tak jest - burknął brodac.

- Zaczynać? - powtórzył pytanie ten o bladej twarzy.

- Poczekaj no - odpowiedział lokaj - nie skończyliśmy rozmawiać. No, co tam jeszcze zacwierkasz? Nie bój się, kaleczyć cię nie będą. Ot, tylko boki

ugniotą, żeby dodać rozumu.

- Rozumu? - zapytał Jaskier. - O czym ty mówisz?

- A o tym, że pora, żebyś zaczął myśleć - twarz lokaja skr2ywiła się, jakby zjadł cytrynę. - I przestał swawolić, naprzykrzać się poważnym ludziom.

- Ha, wtedy poważni ludzie, nie będą najmować zbirów, żeby mnie obić, ponieważ boją się zrobić to własnymi rękami?

- Zbiry, to złe słowo - wtrącił się brodaty. - Za takie odzywki przyjdzie ci zapłacić i jeszcze przeprosić. Będzie bolało.

- Klient dopłacać nie będzie - dalej strugał bohatera Jaskier. - A tacy, jak ty...

- Możemy bezpłatnie. Dla własnej satysfakcji.

- Zaczniemy wreszcie? - bladolicy zamachnął się, celując ofierze w szczękę.

- Stop! - rozkazał lokaj. - Jeszcze za wcześnie. A ty grafomanie ubogi, wszawy rymokleto, nie przerywaj. Słuchaj, kiedy mówię.

Poeta drgnął, ale zapytał złym głosem:

- A więc postanowiłeś zabawić się w mojego tatkę?

- Bynajmniej. Powiem tylko wszystko, co już od dawna chciałem ci wygarnąć. Powiem, bowiem tacy jak ty wywołują jedynie odrazę. Trutniu, żyjesz na koszt innych. Obijasz się, kiedy inni muszą pracować na każdy grosz w pocie czoła. Ale uważaj, jeżeli się nie opamiętasz, zdechniesz pod plotem i nikt nie poda ci nawet kromki chleba. Stary, żalosny, nędzny, nikomu niepotrzebny.

- Aha, zatem ty sam liczysz na to, że doczekasz starości w ciepłe i dostatku? Liczysz na wdzięczność tych, którym służysz? Ależ z ciebie kretyn! Wyrzucą cię na zbity pysk, jak tylko wyczerpią się twoje siły i nie będziesz już zdolny do służby. Wątpisz w to?

- O! Jak widzę, rozgorzał między wami najprawdziwszy ideologiczny spór! - w głosie brodacza dało się słyszeć szczerzy szacunek.

- Nie twoja sprawa! - krzyknął poeta.

- Zamknij mordę! - ryknął z kolei lokaj.

- W przypadku, jeśli klient się rozmyśli, nie ma zwrotu zaliczki - uprzedził bezzębny.

- Nie denerwuj się - uspokoił go Jaskier. - W przypadku takich, jak ten tutaj, lokajczyków, jeśli pieniądze zapłacone, trzeba odpracować. Za każdą monetę udusi.

- Ach, ty...! - zawył lokaj.

Poeta zdążył tylko pomyśleć, że teraz to już na pewno zaczną go tłuc. Miał ochotę zamknąć oczy, ale zanim zdążył to zrobić, zobaczył, jak od strony bazaru, zza zakrętu wyszedł Raido.

Czeladnikowi wystarczył jeden rzut okiem, żeby ocenić sytuację.

- Rozrywacie się panowie? - zapytał, bez pośpiechu podchodząc do zgromadzonych. - W nieodpowiednim miejscu, pozwólcie zauważyć.

- A to dlaczego? - zapytał brodaty i ruszył na spotkanie Raido. Chwilę później tuż za nim ruszył bladolicy. Teraz Jaskra blokował tylko bezzębny.

- A w czym to miejsce jest gorsze od innych? - znowu zapytał brodaty.

Przechodząc obok lokaja, czeladnik nawet na niego nie spojrzał. Interesowali go tylko najemnicy. Zatrzymał się naprzeciwko nich i odpowiedział:

- A w tym, że stanęliście mi na drodze.

- Mamy to w rzuci - oznajmił brodaty. - Chcesz się bawić w szlachetnego obrońcę?

- A czemu by nie? - padła odpowiedź. - Tym bardziej, że byliście tak głupi, żeby za obiekt zabawy obrać mojego znajomka.

- Ach, więc to tak? - brodaty uśmiechnął się złowieszczo.

Wyciągnął zza poly krótką węzłowatą pałkę i szybkim krokiem ruszył ku Raido. Jego kamrat był tak pewien tego, że obrońca poety rzuci się do ucieczki, że ruszył do ataku dopiero po chwili. To przesądziło o wszystkim.

Brodaty zdążył tylko wziąć zamach. Raido zadał mu cios pięścią w szczękę i, zakręciwszy się w miejscu, z całej siły wbił przeciwnikowi łokieć w brzuch, aż ten stracił oddech. Cios był skuteczny i pałka wypadła z bezsilnych rąk brodacza. Czeladnik zdążył złapać ją w powietrzu i natychmiast wbił w kolano drugiemu zbirowi, który już biegł z odsieczą towarzyszowi.

Pałka najwidoczniej była obciążona ołowiem. Bładolicy upadł jak ścięty i zawył z bólu. Raido odwrócił się tymczasem do brodacza i niemal bez wysiłku uderzył go po ręce. Kość trzasnęła głośno. Najemnik przycisnął zdruzgotaną rękę do brzucha i rzucił się do ucieczki.

- Ja was zaraz...! - krzyknął Raido, rozglądając się po polu boju w poszukiwaniu przeciwników.

Ale nie było już z kim walczyć. Bezzębny z brodatym uciekali. Bładolicy zaś kuśtykał w ślad za nimi, postępując i chwytając się parkanu.

A jednak, patrząc na tę drakę, wnioskuje, że mój obrońca nie jest profesjonalistą, pomyślał Jaskier. Nie dawało się odczuć w jego ruchach tej płynności, tego zdecydowania, które osiąga się tylko dzięki niezliczonym treningom. Bić się musiał nie raz, trudno temu zaprzeczyć, ale walka nie wydawała się być sensem jego życia. Szybkość reakcji, oto co pozwoliło mu zwyciężyć. I do tego fart. Najemnicy nie docenili przeciwnika, a kiedy zauważyli pomyłkę, było już za późno.

Poeta uświadomił sobie nagle, że cały czas stoi z plecami przyciśniętymi do parkanu. Odsunął się od niego i przypomniał sobie o jeszcze jednym uczestniku starcia. Jego inicjatorze. Nie było go. Jakby zapadł się pod ziemię i nawet nie wiadomo, w którym momencie.

- To ci dopiero wyczucie... - mruknął poeta.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby jednak wyjechać z miasta? - zapytał czeladnik, dokładnie oglądając pałkę. - Uważaj, tak łatwo nie odczepią się od ciebie.

Chrząknawszy sceptycznie, przerzucił broń za parkan i skrzyżował ręce na piersi.

- Nie mogę - powiedział Jaskier. - Muszę napisać balladę. Muszę, rozumiesz?

- Nawet, jeśli przy tym rozbiją ci głowę?

- Nie rozbiją.

Poeta podniósł z ziemi lutnię i dokładnie ją obejrzał. Była cała.

- Po co ci ballada? - zainteresował się Raido.

- To moja praca. Myślę, że po to się urodziłem.

- I, według ciebie, każdy powinien wykonywać swoją pracę?

- A jużci. Nie będzie szczęśliwym ten, kto sprzeciwia się swojej naturze.

Czeladnik uśmiechnął się.

- Słuszna myśl. Jednak znalazłem się tutaj, ponieważ szedłem w pewnej sprawie. A czasu coraz mniej. Wieczorem bądź w karczmie, tam pogadamy.

Poeta patrzył w ślad za czeladnikiem, póki ten nie zniknął za zakrętem.

- Grafoman - mruknął Jaskier. - Miał rację; dokładnie grafoman.

Ze złością zmiął zapisaną gęsto z obu stron kartkę i rzucił ją w kąt, gdzie już zebrał się pokaźny stosik.

- Papier jest wiele wart - odezwał się ktoś zza sąsiedniego stołu. - Lepiej kupiłbyś za to piwa.

- Biedak - stwierdził inny. - Patrzajcie jeno, jak to w różny sposób można rozum stracić.

Poeta westchnął ciężko i sięgnął po kolejny arkusz z ryzy leżącej przed nim na stole. Zanurzywszy pióro w atramencie, zerknął na przechodzącą obok młodą służącą. Wyglądała całkiem ponętnie.

- Hej, ślicznotko - zawołał Jaskier. - Nie zechciałabyś zostać moją mużką? - Jak sobie chcecie - odpowiedziała dziewczyna, zatrzymując się przed nim. - Ile płacicie?

Jaskier westchnął ponownie.

- Muzy pracują za darmo.

- Za darmo, to tylko ptaszki śpiewają - parsknęła służka i poszła precz.

Poeta odprowadził ją tęsknym wzrokiem i znowu chwycił za pióro. Zanim zdążył dopisać stronicę, ławka po przeciwnej stronie stołu skrzyknęła pod ciężarem sadowiącego się na niej Raido.

- Podoba ci się rym „smok” i „trok”? - zapytał Jaskier.

- Lepiej porozmawiajmy o czymś innym - czeladnik skinął ręką na służącą. Kufel z piwem pojawił się przed nim błyskawicznie. Widomy znak wyplącalności. Pod tym względem intuicja posługaczek była bezbłędna.

- Będiesz się bawił? - zagadnął Jaskier.

- Potem. Teraz mamy robotę. Zainteresował mnie wielce ten miejscowy smok.

- Na tyle, że poszedłeś szukać informacji w archiwum?

- Na tyle. Poszedłem, a już ci. Ciebie, jak zrozumiałem, smok interesuje ze względu na balladę i też przekopałeś archiwum.

- Strata czasu i atlasu. Ciągle jeszcze nie mam historii - pozałił się poeta. - Ani miłości, ani zazdrości, ani nawet kapki cierpienia. Czym mam wywołać u słuchaczy empatię? Opisem smoka? Przecież nawet go nie zobaczę.

- A historia o pojawieniu się smoka w mieście? - podpowiedział Raido.

- Historia? Nie ma dwóch zdań, że jest w tym jakaś tajemnica. Baśniowa geneza, można by rzec. Było sobie miasto, żyjące z kopalni rubinów. Potem złoża drogocennych kamieni wyczerpały się i nastaly trudne czasy. I wtedy, jak na zawołanie, pojawił się zaklinacz zwierząt i przyprowadził smoka. Miasto zawarło ze smokiem porozumienie. Potem była krótka epoka wojen, podczas której sąsiedzi, posmakowawszy smoczego ognia, zdecydowali, że to nie na ich zęby orzech. Następnie nastął czas dobrobytu, który trwa do tej pory. Nuda śmiertelna. Za taką historię nawet miedziaka nie dadzą.

- Zaklinacz zwierząt? Nie słyszałem o takich ludziach. Gdzieżeś ty się

dokopał wzmianki o tym?

- W archiwum, w zatechłej, zapomnianej szafie - oznajmił poeta. - Pod księgami podatkowymi sprzed stu lat. Ale uwaga, nikt w mieście nie wspomina o tym fakcie, gdy opowiada historię osiedlenia się smoka w okolicy grodu. Jaszczur przyszedł sam, powiadają. Z drugiej strony, o zaklinaczach zwierząt nikt nie słyszał już ze sto lat. Minęło zapotrzebowanie na takich.

- A kim byli? Czym się zajmowali?

- To ludzie zdolni dogadać się ze zwierzętami, znający ich język. Kiedyś, gdy ludziom z jakiejś wioski dokuczały dzikie zwierzęta, przychodził taki zaklinacz i zawierał z nimi umowę. Albo wyprowadzał zwierzęta jak najdalej od siedliska ludzi, by więcej nie wracały.

- Zabijał?

- Ależ nie! Dogadywał się z nim. Przy czym zawieraj porozumienie korzystne dla obu stron. Ale potem ludzi było coraz więcej, urosli w siłę i...

- I nie było już potrzeby dogadywać się ze zwierzętami - dopowiedział Raido.

- Dokładnie tak.

- Czemu to nie temat na balladę? Napisz o tym, jak ludzie, utraciwszy zdolność dogadywania się ze zwierzętami, zapłacili za to... czym? Co stracili? Przyszłość? Albo o tym, że pokrewieństwo ze zwierzętami jednak w nich zostało. Wcześniej czy później zew natury przypomni o sobie. A jeśli nie zdoła powrócić porozumienie, to cena, którą przyjdzie zapłacić, będzie wysoka. Uniknąć tego można tylko w jeden sposób - na nowo ucząc się rozmawiać ze zwierzętami.

Jaskier pokręcił głową.

- Takiej uczonej ballady po karczmach nie pośpiewasz. Nie dadzą za nią ani monety. Lud lubi o miłości, krwi, namiętności. Sam rozumiesz...

- Pisziesz tylko dla pieniędzy?

- Nie. Obecnie muszę jednak wypełnić sakiewkę. Opustoszała mi trochę. Potrzebuję więc ballady dla prostego ludu. Uwierz mi, napisać taką, to niełatwe zadanie. Popatrz tylko - tu Jaskier wskazał palcem na stos zmiętych brudnopisów.

- Jak chcesz - czeladnik wzruszył ramionami.

- A ciebie dlaczego ta historia interesuje? - zapytał poeta.

- Mam w niej swój interes - odpowiedział Raido. - Pogadamy o nim później.

A póki co, nie powinniśmy aby wypić kapkę, by uczcić ocalenie twojej skóry?

Pokusa była wielka.

Jaskier rzucił okiem na czysty arkusz, ponownie spojrzął na kupę zmiętego papieru i zgrzytnął zębami.

- No i jak, namyśliłeś się? - zapytał czeladnik.

- Nie - odpowiedział poeta. - Innym razem, nie teraz. Ballada...

Za górą ryczał smok. Bardzo przekonująco to robił, głośno. W jego ryku dawało się słyszeć wściekłość i pragnienie nowej zdobyczy.

- Nie przepuścimy was - oznajmił wąsaty strażnik. - Jeśli nie masz zamiaru walczyć ze smokiem, nie przejdiesz. Żaden łachudra nie ma nic do roboty w pobliżu pieczary.

- A cóż my możemy mu zrobić? - zapytał Jaskier, w tym momencie już tylko z czystej ciekawości, porzuciwszy nadzieję na dogadanie się ze strażnikiem.

- Kto was tam wie?

Strażnik spojrzął na niego spode łba i mocniej ucałił halabardę. Jego chudy, bardzo wysoki towarzysz dodał:

- Nawet jakbyśta przeskoczyli przez nas, to na drugim końcu wąwozu stoją rycerze smoka. A oni żartów nie lubią. Ze spryciarzami rozmowa u nich krótka.

- Chodźmy - powiedział Raido, mocno chwycił poetę za łokieć i pociągnął za sobą.

Ten spróbował się opierać, ale czeladnik wyraźnie nie miał zamiaru go

puścić. Na przekleństwa i szarpanie barda nie zważał, tylko szedł przed siebie, jak gdyby nigdy nic. Poeta odzyskał swobodę dopiero, kiedy odeszli od strażników na dobre sto kroków. Puściwszy jego rękę, Raido zapytał:

- Uspokoileś się wreszcie?

- Ballada - udręczonym głosem jęknął Jaskier. - Nie daje spokoju, a napisać jej nie mogę. To są właśnie męki tworzenia, rozumiesz? I coś mi się zdaje, że wszystko zakończy się dopiero wtedy, kiedy zobaczę żywego smoka.

- A wcześniej nie widywałeś?

- To się nie liczy. Potrzebuję miejscowego.

- Jeśli wpadniesz w ręce rycerzy smoka, nie będą mieli dla ciebie litości. Mają w rzyci to, że jesteś znanym minstrelem. Sam przecież mówiłeś, że mer cię uprzedzał...

- Też mam to w rzyci.

- Ech, bracie; ależ cię wzięło. Nie ma rady, trzeba znaleźć jakieś wyjście. Musi przecież takowe istnieć.

- Wyjście...

Jaskier popatrzył tęsknie na wejście do wąwozu, od którego odciągnął go czeladnik. Było na tyle wąskie, że postawiwszy na sztorc po jego brzegach dwa kamienie i wbiwszy w nie zawiasy, udało się podwiesić na nich masywne wrota. Przejście, które się za nimi znajdowało, wiodło przez góry i zapewne kończyło się przy samej pieczarze smoka. Gdyby tylko wrota nie były zamknięte i strzeżone.

- Trzeba iść naokoło - odpowiedział Raido. - Górą. Ciężko, a i modną kurteczkę można poszarpać, ale za to napiszesz balladę. Sam rozumiesz, sztuka wymaga poświęceń.

Jaskier obrzucił spojrzeniem góry, które musieliby pokonać i spochmurniał.

- A tobie to na co? - zainteresował się.

- Mam w tym interes. Już mówiłem.

- Jaki? Nie ciągnij kota za ogon. Nie jestem aż tak głupi, żeby wyruszyć w niebezpieczną wędrówkę z człowiekiem, o zamiarach którego nie mam najmniejszego pojęcia.

Poprawiwszy na ramieniu arbalet, czeladnik objaśnił niechętnie:

- Nie udało mi się najać do żadnej pracy. Nie ma wolnych miejsc. A zarobić na życie trzeba, bez dwóch zdań.

- A co ma do tego pragnienie ujrzania smoka?

- Potrzebuję punktu zaczepienia. Kiedyś miasto żyło z rubinowego źródła, ale to wyschło. Smok się w nim osiedlił. Spodobało mu się tu. Wyszperałem w archiwum pewne informacje. Może i rubiny rzeczywiście się skończyły, ale było tam jeszcze coś, równie cennego. Jeśli uda mi się wziąć ze źródła próbki i moje domysły okażą się słuszne, to te informacje będzie można z zyskiem sprzedać. Już ja będę potrafił zrobić z nich pożytek.

- A cóż tam może być?

Zanim padła odpowiedź, Raido rozejrzał się wokół. A potem oznajmił:

- Mithril.

- To rzeczywiście wartościowa rzecz - tonem znawcy potwierdził Jaskier.

- Bardzo wartościowa. Dla czegoś takiego można zaryzykować. To niełatwe przedsięwzięcie, dlatego lepiej wyruszyć we dwójkę. To jak, pójdiesz?

Jaskier jeszcze raz spojrzął na góry, smętnie skalkulował, ile będzie trzeba się nachodzić i odpowiedział:

- Ruszajmy. Muszę napisać balladę. Muszę.

- Uff - westchnął Raido. - Niewiele już drogi zostało. Sądzę, że za tym zejściem będziemy prawie na miejscu. A tam trzeba tylko zachować szczególną ostrożność. W wypadku, gdy rycerze nas zauważą, nie wtrącaj się. Zostaw to mnie, wiem, co robić.

- Dogadasz się z nimi? - zainteresował się Jaskier.

Droga przez góry zmieniła jego ubranie niemal w lachmany.

- Spróbuję - odpowiedział czeladnik. - Nie ma człowieka w pełni zadowolonego z tego, co posiada. Zatem, żeby zechciał stanąć po twojej stronie, należy jedynie zaproponować należytą cenę.

- To po co walczyłeś z bandytami w zaułku? Nie mogłeś zgadnąć, czego im potrzeba? - Zgadłem od razu - uśmiechnął się czeladnik. - Tylko żał było pieniędzy, niezbędnych do tego, żeby ich przekupić.

- Ach, więc to tak? - drwiąco prychnął poeta. - Mając sakiewkę monet można dogadać się z każdym. Fakt.

- Każda prawdziwa mądrość - stwierdził Raido - jest w swojej istocie bardzo prosta. Ale dlaczego się zatrzymaliśmy? Schodzimy.

Ruszyli w dół po zboczu, które stopniowo stawało się coraz bardziej łagodne.

Początkowo trafiały się pojedyncze drzewa, aż w końcu zanurzyli się w niewielkim zagajniku. Przeszli go, zatrzymując się co jakiś czas, żeby rozejrzeć się i nasłuchiwać. Dalszą drogę zagroził im wielki skalny odłam. Prawą krawędzią stykał się ze stromym, prawie pionowym zboczem, więc obejść można go było tylko z lewej strony.

- Teraz musimy zachować szczególną ostrożność - półgłosem powiedział Raido.

- Słyszę te słowa co pół godziny - burknął Jaskier. - Od trzech dni, w czasie których czolgamy się po górach.

- Ale teraz musimy być jeszcze ostrożniejsi, niż dotychczas. Sądząc po wszystkim, kopalnie są blisko. Możliwe, że już za następnym zakrętem.

Starając się stapać jak najciszej, pokonali zakręt i zatrzymali się gwałtownie, poruszeni tym, co zobaczyli.

- Co to? - szeptem zapytał poeta.

- Zdaje mi się, że róg - czeladnik wzruszył ramionami. - Bardzo duży róg.

Róg rzeczywiście miał nie mniej niż dwadzieścia stóp długości, ale porażał

nie tylko jego rozmiar. Niczym żółtawe cielsko, oplatała go cała pajęczyna grubych i wąskich miedzianych trąbek, sprężynek, zaworów i kłapek. Do zwężającego się końca przymocowane były ogromne kowalskie miechy.

- To ci sztuka - odezwał się Jaskier, podchodząc bliżej do dziwnego urządzenia.

Idący za nim Raido stwierdził z westchnieniem:

- Oto mamy prawdziwego smoka.

- Co?

Jaskier podszedł do samego rogu i ostrożnie położył na nim rękę. Powierzchnia okazała się doskonale wypolerowana. Przesunął dłoń dalej i poczuł chłód miedzianej obręczy, w którą wpleciony był rząd zaworów. Jak na dętej trąbie.

- Właśnie za pomocą tej konstrukcji straszą rykiem smoka - ponuro powiedział Raido, podchodząc bliżej. - Teraz rozumiesz? Zamiast potwora jest tylko jego fałszywy ryk.

- Kto uruchamia tę maszynę? - Ludzie. A któż by? Na szerokość dłoni od głowy czeladnika przeleciała strzała i uderzyła w pobliską skałę. Posypały się odłamki kamienia. Raido błyskawicznie zdjął z ramienia arbalet, ale obróciwszy się, zrezygnował ze strzału. Nie miałoby to sensu. Przeciwników było bowiem ze dwie dziesiątki i byli już bardzo blisko.

- To rycerze smoka? - zapytał Jaskier.

Odpowiedzi nie otrzymał.

Tymczasem zbrojni, wzięwszy ich w szeroki półokrąg, zbliżali się w szybkim tempie. Każdy był uzbrojony; przy czym nie tylko w arbalety, dodatkowo mieli miecze. Odziani byli w solidne, usiane metalowymi płytami, skórzane kurtki. Na niektórych matowo połyskiwały kolczugi. Drogie wyposażenie, nawet jak na rycerzy lokalnego smoka. Twarze wszystkich były pełne, rumiane; jak u ludzi, którzy syto i regularnie jedzą. Ale oczy mieli zimne, wyblakłe. Oczy bandytów i

zabójców.

- Może uda się z nimi dogadać? - zasugerował poeta.

- Spróbujemy - mruknął Raido.

Piętnaście kroków od nich rycerze smoka zatrzymali się. Jeden, wyglądający na przywódcę, podszedł do nich bliżej. Krzepki chłop w kolczudze; z cienkimi, niczym dwa sznurki wąsami. Postać chwilę, przypatrując się jeńcom, po czym zapytał:

- Kim jesteście?

- Poeta Jaskier i czeladnik rusznikarza - oznajmił Raido.

- Ja jestem czeladnikiem. Chciałbym obejrzeć kopalnie. Wasz smok mnie nie interesuje.

- Czego w kopalniach szuka czeladnik?

- Kiedyś wydobywano z nich rubiny, które w końcu się wyczerpały. A ja przypuszczam, że jest tam jeszcze mithril. Jeśli moje domysły się sprawdzą, ci, którzy będą mieli pod kontrolą wyrobiska, staną się bogaczami. O ile dobrze rozumiem, kopalnie w tej chwili należą do was.

- A czego tu szuka poeta?

- Chcę napisać balladę o... - zaciął się Jaskier. - Hmm... o kopalniach, o tym jak trudno wydobywać z nich rudę.

- Rozumiem - powiedział przywódca.

Machnął ręką i jeden z jego ludzi; chudy, z bielmem na oku, niemal biegiem pokonał dzielącą ich odległość; wyrwał z rąk Raido arbalet i odrzucił go daleko na bok. Następnie zerwał lutnię z ramienia Jaskra i pytająco popatrzył na wodza. Ten wzruszył ramionami. Chudzielec, zanim powrócił do szeregu, z całej siły lupnął instrumentem o leżący w pobliżu wielki głaz. Zadźwięczały struny, odłamki giyfu usiały trawę.

- Wołają na mnie Ekk - oznajmił przywódca. - Liczę na szczerść z waszej strony. Ostatni raz radzę wam powiedzieć prawdę, kim jesteście. Jeśli znowu

zelżecie, na początek każę wbić każdemu po strzale w nogę. O mithrilu możecie nie wspominać. Nigdy nie sąsiadował w jednej kopalni z rubinami. To niepodważalny fakt. Poeta najprawdopodobniej przylazł tutaj zobaczyć smoka. Na próżno, rzecz jasna.

- A nawet jeśli rzeczywiście przyszedłem popatrzeć na waszego nieistniejącego smoka - z obrazą w głosie odezwał się Jaskier - to po co lutnię rozbiliście?

- Martwi na lutniach nie grają - wyjaśnił Ekk. - Jakbyś nie był śpiewakiem, może byś i ocalał. A tak, po co zostawiać wśród żywych człowieka, który rozniesie naszą tajemnicę po wszystkich okolicznych karczmach? Źle się to odbije na naszych dochodach.

- Utrzymanie od miasta, możliwość bezkarnego prowadzenia zbrodniczej działalności, morderstwa, kradzież mienia pogromców smoków, którzy zaryzykowali wyprawę do pieczary - wyliczył Raido. - O niczym nie zapomniałem?

- Procent ze wszystkich transakcji handlowych w granicach miasta - dodał przywódca rycerzy. - Zauważ, jestem bezwzględnie szczery. Usłyszę wreszcie w odpowiedzi prawdę? Kim jesteś i czego chcesz?

- Dobrze - odpowiedział Raido. - Oto szczerą prawdą. Jestem zaklinaczem zwierząt. Potrafię porozumieć się i ugodzić z każdym zwierzęciem. Domyśliłem się, że nie ma tutaj smoka, jak tylko usłyszałem ryk trąby.

- Jeśli wiedziałeś wszystko wcześniej, to po co lazałeś przez góry i jeszcze tego durnia, poetę nieszczęsnego, ze sobą taszczyłeś?

Jaskier uniósł hardo głowę, chcąc odpowiedzieć coś nad wyraz godnie, ale nie powiedział ani słowa. Wyczuł, że to nie czas na okazywanie ambicji, czy walkę o urażoną dumę.

- Dogadajmy się - odpowiedział Raido. - Mam smoka i trzeba mu siedliska. Wy smoka nie macie, ale są tu idealne warunki dla jego bytowania; jest miasto,

które go potrzebuje. Czy nie pora zakończyć wreszcie tę maskaradę? Wieści niewątpliwie się rozejdą. To nieuniknione. A potem nastanie koniec waszego beztroskiego życia. Samozwańczy rycerze, którzy nie zdążą zabrać nóg za pas, zostaną odprawieni na szubienicę. Kto chytrzejszy, zajmie się grabieżami na traktach i odłoży zysk z nich na pół roku, rok, nie więcej. Nowy król obiecał zatroszczyć się o to, żeby kupców nikt więcej nie nękał; a on słowa dotrzymuje. W sumie nie za wesoła maluje się przed wami przyszłość. A taki prawdziwy smok wszystko zmieni, nada sens istnieniu waszej drużyny. Wymaże uprzednie grzeszki. Jeśli zmienicie maniery i styl życia, możecie zostać nawet najprawdziwszymi rycerzami.

- A jeśli nie? - zapytał któryś z szeregu.

- Przypuszczam, że słyszeliście, iż smoki to rozumne stworzenia? Nie oszczędzają ludzi, którzy mają grabieżczy stosunek do otaczającego świata. Smoki takich nie tolerują w swoim otoczeniu. Jednak, jeśli się zmienicie, to mój smok was uzna. A to oznacza puszczenie w niepamięć grzechów. Następnie własny dom, stabilne, bezpieczne życie, a w przyszłości - rodzinę, dzieci, spokojną starość. Wystarczy zawrzeć porozumienie i to wszystko stanie się waszym udziałem.

- To wszystko, co masz do zaoferowania? - zapytał Ekk.

- A to mało? - uśmiechnął się Raido.

- Co rzekiecie, chłopaki? - przywódca rycerzy smoka zwrócił się do swojego oddziału. - Złożono nam szczerą propozycję. Zadowoleni?

- Teraz ich zabijemy, czy jeszcze popytamy? - zapytał stojący najbliżej przywódcy. - Może jeszcze coś zabawnego powiedzą?

Twarz miał opuchniętą jak człowiek, który często zagląda do kieliszka.

- Ot, widzisz - Ekk odwrócił się plecami do wojaków. - Nie wierzą ci. Ani trochę.

- A ty wierzysz?

- Wierzę, jakkolwiek dziwnie to brzmi. Bowiem człowiek z ciebie, na moje oko, rozumny, a mieć nas podobną historią mógłby próbować jedynie idiota. Tylko, sam osądź, jeśli nawet naprawdę jesteś zaklinaczem zwierząt, to cóż z tego? Gdybym zechciał, to mógłbym nawet zaryzykować i pozwolić ci przyprowadzić tutaj smoka i wykupić wasze życie. Zabijając takiego gada, można by zyskać więcej niż z dziesiątków tych, którzy przyjechaliby zmierzyć się z nim tutaj. Tylko, widzisz, wojsko mam takie nieudane. Zastrzelić rycerza z arbaletu przychodzi im bardzo łatwo, ale takiemu wielkiemu zwierzowi nie dadzą rady.

- Skórka za twarda, co? - wtrącił Jaskier.

Ekk zmarszczył brwi.

- Nie radzę wyrażać się w ten sposób w obecności uzbrojonych ludzi. Zresztą, co za różnica? Swojego losu, panie poeto, już nie zmienisz.

- Pomszczą mnie - przypomniał Jaskier.

- A już ci. Jeśli rzeczywiście jesteś Jaskier, to może za tobą stanąć co najwyżej białowłosy wiedźmin. Niech przychodzi. Moi ludzie pokażą mu, co potrafią. W unicestwianiu wszelakich bohaterów mają spore doświadczenie. Zresztą, może to i dobrze? Zbyt wielu ich się narobiło. Rzucisz kamieniem i od razu trafiasz w bohatera albo głupca, który wbił sobie do głowy, że na świecie panują jakieś zasady; belkoczących o tym, że trzeba żyć dla przyszłości. I przecie nie tylko mielą ozorem, a jeszcze przy tym machają przeróżnym żelastwem. Nie powiem, niekiedy nawet bardzo umiejętnie, ale dziesiątka strzał z arbaletu zdolna jest uspokoić każdego. Uspokoić na wieki.

- Jak rozumiem, oznacza to odrzucenie zaproponowanej ugody? - zainteresował się Raido.

- Targujemy się dalej - wzruszył ramionami Ekk. - Ale na naszych warunkach. A smok nijak nam nie pasuje. Co innego, jeśli przyprowadzisz piątkę jednoroźców. Wtedy dobijemy targu. Możesz znaleźć w pobliskich lasach pięć jednoroźców? Łatwiej je zabić i sporo są warte. Za róg takiego zwierzaka, ludzie,

co na rzeczy się znają, płacą duże pieniądze. Za niewielki dodatek puścimy i śpiewaka. Będziemy musieli uciąć mu język, ale za to żyć będzie. Pomyśl, ja nie rzucam słów na wiatr. Zresztą, czy masz wybór?

- Mam, oczywiście. Ostatni raz radzę się wam zastanowić. Wasza przyszłość...

- A na czorta nam przyszłość! - warknął przywódca fałszywych rycerzy. - Nasza droga, to droga tych, którzy jej nie mają. Każdy z tu obecnych wiedział, na co przystaje. Starczy tego mielenia ozorem. Jeśli nie chcesz wykupić waszego życia., to na tym musimy zakończyć te negocjacje. He?

Raido szeroko rozłożył ręce.

- Samiście tego chcieli - powiedział.

- Głupi jesteś, bracie - Ekk odwrócił się do swoich strzelców. - No, jak tam chłopaki, potrenujemy? Pierwszemu, który jednemu z nich wsadzi strzałę w prawe oko, dostanie się pełnowartościowa złota moneta. Strzelać po kolei, na moją komendę.

Mistrz zwierząt gwałtownie klasnął w dłoń.

Niczego więcej przywódca rycerzy powiedzieć nie zdążył. Tuż nad jego głową pojawiło się bowiem coś w rodzaju mglistej plamy rozmiarów domu, z której błyskawicznie wysunęła się zębata, uwieńczona grzebieniem głowa i zionęła słupem ognia.

- Jeśli nawet cię oszukałem - powiedział Raido - to tylko trochę. Nie jestem czeladnikiem, a mistrzem. Zaklinaczem. Czy to zmienia postać rzeczy?

Siedzieli przy wejściu do kopalni. Znajdowała się ona wystarczająco daleko od miejsca spotkania z rycerzami smoka, żeby nie dolatywał tu zapach spalonego mięsa. Prawdziwa ulga dla Jaskrowych nozdrzy.

Zaklinacz zwierząt pociągnął z wielkiej, oplecionej słomą butli i podał ją towarzyszowi. Usadowiwszy się wygodniej, poeta pociągnął duży łyk i zwrócił gąsiorek.

W głębi kopalni krzątał się smok. Wyraźnie słyhać było chrzęst łuski i zgrzytanie pazurów o kamień.

- Rzecz nie w terminach - powiedział Jaskier - a w sednie rzeczy. A smok, co też tam robi?

- Zakopuje kości poprzednika. Grzebie je. Podejrzewam, że tamten został otruty. Chciałbym wiedzieć, kto go zabił, ale minęło zbyt wiele czasu, by móc to stwierdzić jednoznacznie.

- Zadziałał profesjonalista?

- Możliwe - Raido kolejny raz pociągnął z butli. - Niezłe to zbójnickie wino. Aż zawiść bierze. Włóczęg się po lasach nieczęsto ma się okazję pić takowe.

- A kto cię zmusza?

- Takie moje przeznaczenie. Nie warto sprzeciwiać się swojej naturze. Każdy powinien robić to, do czego się urodził. Czy to aby nie twoje słowa?

- A moje - przyznał poeta. - A tak w ogóle, to skąd wziął się ten cały smok? Wyciągnąłeś go z kieszeni?

- Oczywiście, że nie. Nie wiadomo, gdzie jest świat, w którym żyją szczęśliwie baśniowe stworzenia. Smoki, jednorożce, gryfy i wiele innych. Sądzę, że żyje im się tam całkiem niezłe, ale czegoś jednak brakuje. W przeciwnym wypadku, po co by się tutaj pchały? Potrafię odprawiać je z powrotem, mogę też przywołać do naszego świata. Przy odrobinie dobrej woli.

- Gdzie znajduje się ten świat?

Raido uśmiechnął się.

- Już mówiłem - nie wiadomo.

- Nie wiesz?

- Domyślałam się, ale nie mam dowodów. Zapytaj lepiej o coś innego.

- Jasne, nic prostszego. Na przykład, co dalej? Rycerzy samozwańców zlikwidowałeś. Ulokujesz tu smoka i wyruszysz w swoją drogę, szukać miejsca dla kolejnego czarodziejskiego zwierzątka? Wkrótce nadejdzie kolejna banda

opryszków. Zabiją twoje stworzenie i znowu ogłoszą się „rycerzami smoka”. Wszystko zacznie się od początku. Strażnicy nawet się nie zająkną, toć oczywiste, że mieli w tym swoją dolę i chętnie otrzymają ją znowu.

- Nie będzie tak źle - odpowiedział mistrz zwierząt. - Rozejrzałem się po mieście. Jeszcze nie przegniło, a i mer, chociaż przystał na obecność fałszywych rycerzy, zadowolony z tej sytuacji ewidentnie nie jest. Po prostu, nie miał wyjścia. A ja mam dla niego propozycję. I nie zapominajmy, że jest jeszcze śpiewak, zdolny stworzyć pieśń o nieistniejącym smoku, jeśli nie dogadamy się z merem. Pieśń ta błyskawicznie rozejdzie się po świecie. I jak, wystarczy?

- To dlatego mnie ze sobą ciągnąłeś? - zapytał Jaskier.

W tym momencie, jak na zawołanie, smok wysunął głowę z pieczary. Jaskier pomyślał, że jaszczur jest cudowny, wręcz niebywale urodziwy. Czy znajdą się słowa, żeby pokazać ten urok? I natychmiast przyszedł mu do głowy sposób, w jaki mógłby oddać kolor łusek na pysku gada. Widniała tam plama wprost niezwykle pięknego odcienia złocistej zieleni.

- Powiem tak - odpowiedział Raido. - Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, nic więcej. I czy rzeczywiście cię oszukałem? Zobaczyłeś go. Teraz na niego patrzysz.

- Możliwe - mruknął Jaskier. - Ale sedno rzeczy w...

Nie mógł oderwać oczu od głowy smoka, wręcz pożerał ją wzrokiem.

Chwilę później jaszczur schował się do pieczary, gdzie dalej mościł swoje nowe siedlisko; zdawało się, że nawet zaczął sobie porykiwać.

- No, co tam z tym sednem? - zapytał zaklinacz zwierząt.

- Co ci się nie podoba?

- Wiele - odpowiedział poeta. - Ale na początek wyjaśnij mi, jak widzisz dalszą przyszłość? Wiesz, jak to jest, ludzie mają tę właściwość, że trzymają się zawartych umów tylko dopóty, dopóki jest im z nimi wygodnie. A wkrótce ludzie staną się silniejsi od smoków. Wynajdą broń, za pomocą której z

łatwością będą je zabijać, jak zwyczajne zwierzęta. Czym wtedy zajmie się taki zaklinacz?

Raido roześmiał się.

- Da bóg dzień, da i jedzenie.

- A na poważnie?

- Zawsze pozostanie jeszcze rodzaj ludzki. Po tym, jak skończą ze zwierzętami na tym świecie, zostaną oni. A jednorożce i smoki, a także inne czarodziejskie stworzenia są i pośród ludzi. Po tym, jak ten świat przestanie potrzebować prawdziwych magicznych zwierząt, nadejdzie kolej na dziwnego człowieka. Takiego, który, na przykład, układa nikomu niepotrzebne pieśni, maluje niepokojące obrazy, wymyśla niewiarygodne opowieści. Taki osobnik też nie jest do końca przystosowany do zwykłego świata i potrzebuje opieki. Kogoś, kto by za niego zawierał umowy, troszczył się o jego sprawy. Pojmujesz, o czym mówię?

- I niby ja jestem jednym z tych dziwnych stworzeń?

- Bardzo możliwe, bardzo możliwe...

- A ty mnie podstawileś - powiedział rozżalonym głosem poeta. - Strachu się przy tym najadłem...

- Trudno zaprzeczyć - przyznał zaklinacz. - Rzeczywiście cię podstawilem. Rzecz jasna, do najgorszego bym nie dopuścił. Niemal na pewno. Poza tym, jestem gotów zrekompensować twój uszczerbek. Jak tylko zawrzemy umowę z merem, moje możliwości w tej kwestii staną się wprost przeogromne. Ciężka sakiewka, jako zapłata za balladę. Co chciałbyś oprócz monet?

- Lutnię - powiedział Jaskier.

- Jakże bez niej? Dostaniesz. Co jeszcze?

- Najpiękniejszą dziewczkę w mieście.

- Tego nie mogę obiecać. A i sam nie zechcesz. Miłość z obowiązku, to nie miłość. Ale jeśli już nie możesz wytrzymać, to może lepiej zażyczysz sobie

płatnej dziewczki.

- Ale najpiękniejszej w mieście? Dobrze.

- Jeszcze coś?

- Tak... - oczy Jaskra rozbłysły, niczym u kota, który zobaczył upragnioną mysz. - Jest taki jeden lokaj, który wyzwał mnie od grafomanów. Do wszystkich innych obelg już przywykłem, ale tego wybaczyć nie mogę. Zatem...

Przełożyła Iwona Czapla

Michał Uspienski

Jednooki Orfeusz

...Iżyca zaatakowała nagle, wyskoczyła dosłownie znikąd. Była długa, czarna i błyszcząca. Jej okrągła głowa z ostrymi żuchwami i odrażającymi kłami, funkcjonowała niezależnie od tułowia. Zdawało się, że monstrum brak szyi, a czerep trzymał się nie wiedzieć na czym. Na tej pustce złamał się już chyba brzeszczot niejednego bohatera.

Dlatego Geralt ciał mocno obok niewidzialnej szyi. Wiedźmin musiał się przy tym uchylić przed uderzeniem łapy potwora, wyposażonej w ostrą piłę, zupełnie jak u pasikonika, chociaż temu stworzeniu nie służyła do letniego cykania.

Brunatna ciecz o mdlącej woni chlusnęła na trawę. Groźne kończyny załamały się. Drgnęły parę razy i zamarły. Poczwarą zdechła, lecz nie całkiem: jej głowa wciąż kłapała zębami, tocząc się po ziemi jak kula.

- Nie pojmuję, czemu nasza starszyzna radziła nie zbliżać się do tych stworzeń - rzekł Geralt. - Spluwali na samo wspomnienie. Przeklinali jak przepite gnomy. Okazało się, że to nic takiego. Prosta sprawa...

- Pół setki w miech, to nie grzech - stwierdził Jaskier.

Bard stał teraz obok, chociaż wcześniej przezornie skrył się w pobliskich leszczynach, rzekomo by nazbierać orzeszków.

Geralt zerwał liść lopianu i dokładnie wytarł klingę.

- Wieśniacy sami mogli dać sobie radę - powiedział. - Tym bardziej, że kosa

w tym wypadku byłaby poręczniejsza od miecza. Widać mają pieniądze na zbyciu... Nawet nie wypada brać za to zapłaty...

- Dobra, bierz trofeum i chodźmy po wypłatę - odparł poeta. - Orzeszkami się nie najesz.

Nie było im dane.

Głowa potwora dotoczyła się do odciętego tułowia i zaczęła go łakomie pożerać.

- Hej, jeżeli zaraz nie przestanie - zatrwożył się bard - odrodzi się i wojuj z nią choćby do wieczora...

- Nie odrodzi się - oświadczył wiedźmin. - Wystarczy przysypać garścią piachu lub błota, jeśli wcześniej nie przypaliłeś żywym ogniem.

W tej chwili także zjadany korpus zaczął ożywać. Piłowate łapska zawirowały w powietrzu, tnąc czerep na drobne kawałki.

- Przeczuwałem coś takiego - oznajmił Jaskier. - Będzie problem...

I problem zaraz się pojawił.

Nie pozostał nawet najmniejszy szczątek poczwary, jaką straszono wiejskie dzieciaki, tylko smuga cuchnącej cieczy na trawie.

Wiedźmin i trubadur zdumieni spojrzeli na siebie.

- I co z trofeum? - wyjąkał Jaskier.

Geralt bluznął wiązką przekleństw jak przepity gnom.

- To dlatego wiedźmińska starszyzna się pieklila! - krzyczał. - O to im chodziło! I to miał na myśli Proton Mocarny w Kompendium potworów, określając iżycę jako „zaliczającą się w poczet istot zjadających same siebie”. Pogromca nie ma czego przedstawić zleceniodawcy.

- Ubey sibja apstenu! - zaklął truver w języku elfów. Przynajmniej epitafium dla potwora wybrzmiało w Starszej Mowie. Miejskowy sołtys był starym wygą. Nie na darmo przeżył parę lat w wielkim mieście. Ściślej w miejskim więzieniu, ale kogo obchodzą drobiazgi.

- Tak nie można, panie wiedźminie - rzekł, rozkładając krótkie rączki. - Coś tu wasza miłość namieszał. Trzeba przynieść zewłok ubitego stwora lub jakąś jego część. A tak nie ma dowodu. Byle przybłęda mógłby...

- Bacz na słowa! - krzyknął bard.

Poetycka intuicja podpowiadała mu, że brzęczące monety pozostaną przy właścicielu.

- Mój przyjaciel wyeliminował zagrożenie wiszące nad wami, o czym sami się wkrótce przekonacie. Marchwiowy Las jest już bezpieczny. Należy się nagrodzić!

Geralt milczał, gdyż ustalili po drodze, że kwestię honorarium załatwi złotousty Jaskier.

- Byłoby to oczywiste - rzekł sołtys - ale gdzie dowód? Jeśli wasze miłości pomieszkają tu z nami do zimy, przekonamy się, czy iżycia faktycznie ubita. Jak mawia prosty lud: Udowodnij, że jesteś wiedźminem!

- Horribile dictu! - jęknął bard. - Do zimy! Bez grosza!

- Będziecie za to mieszkać w mojej karczmie - oznajmił wieśniak. - Przekonamy się, ile jest prawdy w tym, że nas ocaliliście. Wypitka w święta darmowa... wspólny dzban dla wszystkich...

- Afftar vypej jadu! - groźnie przeklinał truwer.

Niestety ani łacina, ani Starsza Mowa nie podziałały na chłopca. Nie bez powodu sędzia w Novigradzie chciał go powiesić, ale się łajdak wywinął.

- Nie pozostaje ci nic innego - podsumował Jaskier - jak przyjąć moją propozycję.

- Wykluczone - odpowiedział Geralt. - Nie mamy czym zapłacić strażnikom u miejskich wrót. Nie mówiąc już o innych sprawach. Nasze konie mogą żywić się trawą, ale mnie ściska w żołądku...

- Pochrup orzeszków - zaproponował poeta, wyciągając pełną garść w stronę przyjaciela. - Nie proponuję ci głupich pięćdziesięciu orenów, lecz trzy tysiące prawdziwych dukatów.

- „tylko w tym przypadku, jeśli zwyciężysz w turnieju trubadurów - zauważył wiedźmin. - A co do tego mam wątpliwości. Sam mówiłeś, że biorą w nim udział najlepsi z najlepszych...

- Aha, a ja to niby grzebię w śmietnikach - odparował poeta z goryczą. - Ja nigdy nie wątpiłem w twoje zdolności tępicieła szkodników, a ty... Wątpliwości! To nie po przyjacielsku!

- To dwie różne sprawy - wyjaśnił Geralt. - Nie powinno się porównywać zabijania i tworzenia. Usuwam szkodniki obiektywnie: były, a teraz ich nie ma. Co innego w Sztuce. Każdy ma o niej własne zdanie. Nie w każdej tawernie zarobiłeś śpiewem na dzban piwa, a z niektórych cię wykopali...

- Bo nie mieli słuchu, tak jak i ty - odparł Jaskier. - Kto tam będzie sędziował? Komisja złożona z mieszczan. Adwokacyny i kupczyki. Nie mają swoich truwerów w Novigradzie. Zaspokoje ich niewyszukany gust. Zagram na nucie lokalnego patriotyzmu. Coś w stylu: „Marzę o wielkim Novigradzie i mojej w nim przygodzie...”. Albo: „Słysz, Novigradzie, zaśpiewam o tobie w balladzie...”. Kupią to, głupki!

- Najpierw - zauważył Geralt - trzeba wejść do miasta. Wyobrażam sobie, ile liczą za wejście...

- Nie ma problemu. Będzie tam pełno trubadurskiej braci, pożyczę od kogoś na poczet nagrody...

Wiedźmin uniósł dłoń i pokazał Znak Figi.

- Dobrze znam wasze bractwo - oznajmił. - Żadnej solidarności. W łyżce wody jeden drugiego by utopił...

- A Essi Daven? - zaproponował Jaskier. - Od dawna o mnie zabiega...

- Jeśli Essi o kogoś zabiega - sprostował Geralt - to z pewnością nie o ciebie. A w ogóle nie mam co robić w tym mieście. Nie pomogę ci w śpiewie.

- Na sali powinien być choć jeden mój wielbiciel - stwierdził bard. - Wiemy słuchacz jest tak samo potrzebny poecie, jak tobie wiedźmiński medalion!

Zawistni rywale zdolni są do wszystkiego! Zakwaszą piwo, na przykład, by zniszczyć mój piękny głos albo żebym przynajmniej ochrypl!

- Mam może jeszcze próbować twego jadła i napojów? - mruknął Geralt. - Jak kucharz królewski.

- Bez trudu wyczujesz każdą truciznę - rzekł poeta. - Podzielimy się nagrodą po połowie.

- Nie ma mowy o nagrodzie - odparł wiedźmin. - Dadzą ją swemu faworytowi, jak zawsze... Dobrze, jeśli dostaniesz choć dyplom uczestnictwa!

- Mówilem już, że nie mają własnych śpiewaków ani wierszokletów - zawołał bard. - Tamtejsi sędziowie to ciemna masa. Puszczę w kurs swoje klasyczne bajery...

- Więc praktycznie nie masz konkurencji? - złośliwie zapytał Geralt.

Jaskier ciężko westchnął.

- Jest taki jeden - przyznał. - Z nim może być trudno...

- Valdo Marx z Cidaris? - podsunął wiedźmin.

- Zapomnij o tym beztalenciu - warknął Jaskier. - Też mi rywal! „Wczoraj jeszcze moje smutki zdawały się tak odległe...”. Faktycznie, wczorajszy trubadur! Jest ktoś znacznie gorszy...

- Kim jest ten nędznik? - zainteresował się Geralt. - A może nędznica?

- Niejaki Pompejusz Smyk z Movietonu, zwany Jednookim Orfeuszem. Na pewno o nim nie słyszałeś. Tego Movietonu nie znajdziesz na żadnej mapie. A sam chwyt niedawno się objawił. Nie bywałem na jego występach, ale poinformowali mnie dobrzy ludzie. Głuchawy grafoman! Ponoć kiedyś wybili mu oko, bo tak niemiłosiernie fałszował! Brak sensu i melodii, a jednak umie oczarować słuchaczy. Płaczą i szafy rwą! Zasypują go prezentami. Ogromny sukces!

- To nie masz się co z nim mierzyć - ocenił Geralt. - Miej odwagę przyznać, że pojawił się większy od ciebie talent. Sam rzekłeś, że umie czarować

słuchaczy...

- I o to właśnie chodzi - rzekł Jaskier. - Dlatego jesteś mi potrzebny.

- Nie widzę związku - stwierdził Geralt. - Chyba nie chcesz, żebym tamtego chłopaka po prostu ni z tego, ni z owego, ordynarnie zarąbał?

- Ugryź się w język! - odrzekł bard. - Zarąbiesz, a potem powiedzą, że cię nasłalem z podłej zawiści... Poeta Jaskier nigdy nie był zawistny! Zdaje mi się jednak, że coś nie jest w porządku z tym samozwańczym Orfeuszem...

- W jakim sensie?

- A w takim, że czaruje ludzi nie w przerośni, tylko naprawdę. Rzuca na nich jakiś urok. A twój medalion... reaguje na każdą magię. Zdemaskujesz i oskarżysz tego typu o stosowanie niedozwolonych sztuczek!

- W Novigradzie powinni mieć własnego czarodzieja - rzekł Geralt. - Szybciej ode mnie rozszyfruje oszusta i prędzej mu uwierzą...

- Nie ma - odparł poeta, wzdychając. - W tym właśnie sęk, że Novigrad nie ma aktualnie własnego maga. Był kiedyś, lecz poszedł do więzienia za długi. Procenty od procentów procentami gonily. Nic nie wskórał magicznymi sztuczkami przeciw prawu bankowemu. Tacy tam żyją ludzie!

- Szczerze mówiąc, ciebie także mogą zdemaskować - zauważył wiedźmin. - Twoja lutnia jest dziełem elfów! Wydobywasz z niej nadludzkie dźwięki...

- A czy jest na niej pieczętka „Made in Elfland”? - sparował poeta.

- No to jedźmy - zdecydował Geralt. - Zawsze to lepsze niż nic. Daj jeszcze tych orzeszków...

Zmierzchało. Płotka i Pegaz wlokły się noga za nogą, lecz nie mieli sumienia poganiać wygłodzonych wierzchowców.

- Gdybyś się ze mną nie sprzeczał - rzekł Jaskier - zdążylibyśmy wjechać do miasta przed zmrokiem...

- Nie chce mi się nawet komentować - odparł wiedźmin, machając ręką. - Nie mamy ani grosza, rozumiesz? Co mamy zrobić: zebrać u strażników, czy

ograbić kogoś po drodze? Lepiej zanocować tu, na skraju lasu. Nie pierwszozna...

Wieczór robił się coraz chłodniejszy. Bard zatrząsł się z zimna.

- Mam już dosyć takiego życia. Pamiętam, że gdzieś tutaj powinna być karczma. Postawili ją specjalnie dla tych, co nie zdążyli przed zamknięciem bram. Co prawda zdzierali w niej skórę...

- Poprosimy o nocleg w stajni - powiedział Geralt. - Właściwie, możesz zaproponować karczmarzowi swoje usługi śpiewacze. Może się zlituje? Ostatecznie to twoja praca...

- Zobaczmy na miejscu - odparł Jaskier.

Karczmą był duży, stary, z lekka przechylony budynek. Niewielka magiczna kula nad wejściem oświetlała zniszczony, wyblakły szyld: „Cukrowany szcz...” ostatnie litery nie przetrwały próby czasu.

- To przysmak novigradczyków - wyjaśnił bard.

- Nie narzekają na brak klientów - zauważył Geralt. - Spójrz, na dziedzińcu pełno wozów, furmanek i furgonów. Przywieźli towary do miasta, lecz nie zdążyli na czas. Obawiam się, że nie znajdziemy miejsca nawet w stajni...

- Nie kracz, Biały Wilku - syknął dobitnie poeta.

Brauna była zamknięta, toteż wiedźmin musiał użyć na sztabie odrobiny telekinezy.

Jeźdźcy wjechali na dziedziniec. Tęgie chłopisko z hołobłą w rękach, siedzące na wiązce siana, ochraniało wozy i stajnię. Ścisłej mówiąc, zdawało mu się, że ochrania... spał bowiem w najlepsze.

Zsiedli z koni.

- Coś cicho w środku - zwrócił uwagę wiedźmin. - A przecież wozacy zwykli bawić się głośno i wesoło!

- Spili się, więc ucichli - stwierdził Jaskier. - Zastukaj. Może nie dadzą po łbie.

Nie trzeba było jednak kolatać, gdyż drzwi były półotwarte. - Tak się skuli - ocenił poeta - że zapomnieli się zaryglować. Widać razem z karczmarzem...

W karczmie nikt nie spał.

Co więcej, za stołami siedziała milcząca taka kompania, że...

- Będzie jatka - szepnął Jaskier, prawie nie poruszając ustami.

- Nie kracz, Postrzelony Słowiku...

Gęby ponure, nieogolone, pokryte szramami. Zmierzwił kudły. Ludzie, krasnoludy, gnomy i jeden półelf. Znoszone ubrania. Noże wbite w blat stołu. Ogryzione kości na podłodze. I ta cisza...

Oberżysta stał za kontuarem. Swą zakazaną gębą nie ustępował gościom. Długie, obwisłe wąsy miał zawiązane pod brodą w wymyślny węzeł.

- Co tak stoicie w progu, dobrzy ludzie - powiedział. - Wejdźcie i siadajcie. Ludziska się przesuną... Chłopak stajenny zajmie się waszymi końmi.

- Coś jest nie tak - szeptał Jaskier. - Czegoś tu brakuje...

I nagle spłynęło nań straszne olśnienie.

- Oni są trzeźwi - stwierdził z niedowierzaniem. - Co do jednego...

Wiedźmin drgnął, tknięty złym przecuciem, lecz zaraz wziął się w garść. Może sprawa się rozejdzie po kościach...

Przyjaciele nie wyglądali na oberwańców, a kwestię braku pieniędzy można było odłożyć na później. A to, że jeden z przybyszów jest uzbrojonym po zęby wiedźminem, było aż nadto widoczne.

- Dzięki, karczmarzu - powiedział Geralt. - Powitać zacną kompanię. Jesteśmy spokojnymi ludźmi, choć czasami wojujemy. Ja walczę z potworami, mój przyjaciel zaś ze smutkiem i nudą. Może i was rozweseli!

Goście zahuczeli z aprobatą, ale też lekką rezerwą.

- Tylko nie za głośno - rzekł karczmarz. - Nie trzeba nam hałasu. Tu sami poważni, spokojni ludzie...

- To widać - ocenił bard. - Znajdę dla nich poważne, spokojne pieśni.

- Proszę bardzo - odparł gospodarz. - Wysłuchamy twych pieśni, ale najpierw nakarmimy cię do syta, jak należy.

- Dziękujemy - odrzekł Geralt. - Tylko wpierw zaprowadzimy konie do stajni. Jak należy.

Przyjaciele wyszli na dwór. Nie znaleźli na miejscu Płatki ani Pegaza, usłyszeli tylko znajome rżenie ze stajni.

- Podejrzanie dobrze nas przyjęli - orzekł poeta. - To oznacza, że nas otrują albo wbiją nóż w plecy...

- Nie - zaprzeczył Geralt. - Nie wyczuwam zagrożenia, choć zachowują się dziwnie.

- Rozpoznaję niektórych - wyznał Jaskier. - Franek Cebula i Kandyd Ogryzek to najwięksi złodzieje po tej stronie Jarugi. Gnomy Kili i Fili to znani maruderzy, powinienes ich pamiętać z ostatniej wojny...

- Czyje więc są te wszystkie wozy? Czyżby ograbili karawanę i wyrzneli kupców? Żebyśmy tylko przez nich nie wpadli w kłopoty... Lepiej było zanoć w lesie!

- Tylko nie to - zripostował bard. - Mam ochotę na dobre żarcie. I muszę poćwiczyć przed występem w mieście.

- Niech będzie, jak chcesz - zgodził się wiedźmin. - Nie chcę jednak tu rzezi... chociaż mogą mnie zmusić do pracy...

Wrócili do gospody. Zwolniono już dla nowych gości stół w kącie, a nawet przyniesiono jadło i dzban piwa.

- Jedz bez obaw - rzekł Geralt. - Nie wyczuwam w tym pożywieniu trucizny ani niczego odurzającego. Nawet tłuczonego szkła...

Jaskier już wcinął, aż uszy się trzęsły i niczego nie słyszał...

Potem, rozluźniony i zadowolony, nastroił lutnię i zaczął:

Przede mną daleka droga,

Ścieżka ciernista i sroga.

Wędrownicze, o pomoc nie błagaj,

Głupi, kto ci pomaga!

Karczmarz zakaszlał głośno i Jaskier przerwał śpiew.

- Bez urazy, panie śpiewaku - rzekł basem gospodarz - lecz powiedziałem już, że takich pieśni słuchać nam się nie godzi. Tutaj ludzie solidni, a nie jakaś hołota. Pragną czułych pieśni o kraju rodzinnym, miłości dziewiczej i męskiej przyjaźni. Albo o tym, jak najdroższa matka czeka pod brzošką na synka. Tylko żeby syn nie wracał z więzienia, lecz bił się dzielnie za ojczyznę... Inaczej, co o nas poczciwi ludzie pomyślą!

- O, takiego materiału mam pod dostatkiem! - zapewnił wesoło bard i znów położył zręczne palce na strunach.

- No widzisz, a tak się bałeś!

Nikt im nie zatrul jedzenia ani nie zamordował we śnie. Co więcej, w mieszkach poety wreszcie coś zabręczało! A ich konie nakarmiono owsem i jęczmieniem!

- Nikogo się nie bałem - zaprzeczył wiedźmin. - Po prostu nie lubię zabijać ludzi. Nawet takich jak oni.

- Mają tutaj melinę - ocenił Jaskier, siodlając Pegaza. - Nie chcą się ujawniać, nie życzą sobie rozgłosu. Pod twój miecz też się nie pchają. Mówilem, że jakoś to będzie!

- Mimo wszystko to dziwne - stwierdził Geralt. - Na co im te puste wozy? Nie jechali kupować soli, to pewnie! Nie ufam temu, co mówił karczmarz. Nawet piwa nie pili...

- A co nam do tego! - zawołał poeta. - Udało nam się wszystko po dobroci i nad czym tu dumać! Niech się teraz wzajem pozarzynają, nie będę po nich płakał. Wiemy, czym się kończą takie zebrania...

Strażnicy bramni zainkasowali odpowiednią łapówkę (jej wysokość sprawiła, że wiedźmin i bard jęknęli unisono), życzyli powodzenia, a nawet wymienili

nazwę gospody, w której zbierali się uczestnicy turnieju śpiewaczego.

W Novigradzie było mnóstwo gospód, nie mniej niż banków, lombardów i kas pożyczkowych. Budynki były obszerne, wysokie, od trzech do pięciu pięter. Owych jednostajnych budowli nie zdobiły jednak żadne sztukaterie wokół okien, ani wesołe barwy, ani jaskrawe szyldy. Nawet kołatki u drzwi były proste i niewymyślne.

Bliźniacze, podejrzanie ciche place targowe z równymi rzędami kramów, szare sklepy, spichlerze, baraki... Szubienice, szafoty...

- Nie rozumiem, po co tutejszym mieszkańcom ten truwerski festiwal - rzekł Geralt, gdy minęli kolejne architektoniczne paskudztwo. - Jak kwiatek do kożucha...

- Właśnie po to, by wywyżżyć się ponad inne miasta - odparł Jaskier. - Niemilo im słyszeć o sobie: handlarze i lichwiarze, plugawe plemie... Brakuje im piękna, więc ufundowali cenną nagrodę! A nam, kapłanom sztuki, w to graj! Nie marudź zatem. Chcą pieśni, będą je mieli. Szkoda, że nie umiem malować. Ciekawe, ile dają za efektowny bohomaz...

- A ja i tak nie mam tu nic do roboty - stwierdził Geralt z westchnieniem. - Nie ma potworów żywiących się pieniędzmi.

- W zasadzie pełno tu takich - ocenił bard - lecz nie z twojej dziedziny.

Gospoda zwała się „Novigradzki Parnas” i była chyba największa w mieście. Zameldowano w niej przybyszów, wydano im kwity za konie i broń, którą trzeba było oddać w depozyt.

Geralt wyraził wątpliwość w kwestii swojego miecza, czy można powierzyć tak cenną broń w obce ręce.

- Na litość, panie! - zawołał oburzony urzędnik. - Odpowiadam za każdy zaginiony guzik u gościa, a cóż dopiero za miecz! Tu nie Esgaroth ani Petluria! Strażnicy w bramach mają dobrą pamięć do twarzy, żaden rzezimieszek nie wejdzie do miasta, nie mówiąc już o gorszych zbirach... To Novigrad, moi mili!

Surowe prawo!

Prawo to prawo.

Podwójna izba (Jaskra zakwaterowali bezpłatnie jako uczestnika konkursu) nie była zbyt komfortowa, ale można się było umyć w kamiennej wannie, a z jednego kranu leciała nawet ciepła woda!

- Novigrad to cywilizacja - ocenił poeta - a nasze współzawodnictwo to kultura. Istotna różnica...

Oporządziwszy się, przyjaciele zeszli do głównego holu. Tłoczyło się w nim sporo trubadurów. Dźwięczały struny i kielichy, śmiechy i przyjacielskie powitania...

- Hipokryci - rzekł pogardliwie Jaskier. - Najchętniej rzuciliby się sobie do gardel, ale teraz tylko: drogi kolego, utalentowany druhu... Zważ, że wszyscy mi zazdroszczą! Ani jednego szczerzego człowieka!

Jak się okazało, istotnie wszyscy zazdrościli, lecz wcale nie Jaskrowi.

- Valdo, przyjacielu! - wołał jeden z poetów, ściskając ponurego brodacza w grubo dzierganej kurcie. - Zawsze mówiłem, że jesteś niesamowicie utalentowany! Jesteś godzien głównej nagrody, mówię to prosto z serca!

- Nie jestem godzien - odparł brodacz, wzdychając. - Jest na tym świecie większy artysta ode mnie. I od ciebie zresztą też, choćbyś był nawet geniuszem. Do diabła z geniuszem! Poszedłem na próbę tego Pompejusza Smyka z Movietonu. Zajmuje niedaleko własny pawilon. Może sobie na to pozwolić, parszywiec! To, co tam wyczynia ten pokraka jest wprost nie do opisanial! To ponad ludzkie pojęcie! Cały jesteś pod urokiem, we władzy tego obdarowanego przez bogów szczeniaka... Proste, chwilami wręcz chropawe wiersze tego łajdaka sugerują inne, wyższe treści, melodia początkowo wydaje się prymitywna, lecz czuje się w niej taką głębię, że...

Widać było, że słowa pochwały przychodzą Valdo Marksowi z Cidaris z ogromnym trudem.

- Do tego jeszcze podlec nie śpiewał pełnym głosem! Raczej podśpiewywał. Boję się myśleć, co będzie na koncercie tej jednookiej ropuchy! - zakończył smętny brodacz swój specyficzny panegiryk.

- Ars longa, vita brevis - przytaknął smutno Jaskier.

W tej chwili rzuciła się Geraltowi na szyję szczuplutka blondynka.

- Essi! - zawołał wiedźmin. - Miło cię widzieć.

- Mnie także - powiedziała Essi Daven. - O, Jaskier też tutaj! Biedak! Przywykłam już do dyskryminacji ze strony tępych samców, ale on także niczego nie wskóra, choć jest szalenie utalentowany! Jednooki piękniś z Movietonu sprowadził nas wszystkich do jednego szeregu. Jestem gotowa... Jestem gotowa dla niego na wszystko! Na każde szaleństwo, drodzy koledzy!

- Ja krevedko! - zaklął siarczyście Jaskier.

Wielu go zrozumiało, jak to zazdrośnicy zazdrośnika.

- Nie pójdziesz do tego pawilonu - oświadczył Geralt. - Nie masz nic do roboty na jego próbie. Specjalnie daje się podglądać i podsłuchiwać konkurentom, żeby im ręce opadły i głos odebrało...

- Chyba masz rację - rzekł z westchnieniem poeta. - Nie należy od razu nastawiać się na przegraną. Wleżę lepiej do tego kamiennego koryta i pomarzę o nadchodzącym sukcesie...

- Przy okazji się wykąpiesz. Czerp pełnymi garściami ze zdobyczy cywilizacji - doradził wiedźmin. - A ja pójdę na zwiad...

- Bez miecza? - rzekł Jaskier z powątpiewaniem.

Geralt, zamiast odpowiedzi, pokazał Znak Sza.

Jaskrowi przyśniło się, że dostał zasłużenie pierwszą nagrodę, a Jednooki Orfeusz został wygwizdany przez kompetentną publiczność i zmuszony do ucieczki. Zwycięzcy wręczono ogromny, zdobiony klejnotami trzos. Czujni konkurenci zbliżyli się do triumfatora, by rozdzielić sumę po koleżeńsku. Podeszli z pustymi butelkami, szczypcami kominkowymi i taboretami, bo

przecież musieli zdać broń przy wejściu.

Wiedźmina nie było akurat pod ręką. Pewnie zdradziecka Essi Daven zawlokła go do swego pokoju.

Jaskier biegnie przez Novigrad, przyciskając do drżącej piersi ciężki miecz, za nim zaś pędzi banda zawistników z wrzaskiem: „Podzielić po równo!”. Jaskier miota się zaułkami, stuka w ciężkie bankowe wierzeje, wzywając pomocy. Żaden z tchórzliwych novigradzkich bogaczy nie otwiera drzwi...

W końcu śpiewak dostrzega otwarty wjazd do kanału. W brudnej wodzie odbija się księżyc. Jaskier skacze w dół bez namysłu...

„Jak to możliwe, że tonę? Jestem przecież świetnym pływakiem!” - myśli nieszczęsny bard...

Silna dłoń chwyta go za włosy...

- Zachłysłbyś się, idioto! Nie można cię zostawić nawet na chwilę! - krzyknął wiedźmin. - Twój kolezka na pewno później powiedzieliby, że utopiłeś się przed występem, bo wreszcie uświadomiłeś sobie swój brak talentu!

Na te ostre słowa Jaskier momentalnie oprzytomniał, wylazł ze zdobyczy cywilizacji i owinał się prześcieradłem.

- I co? - zapytał. - Wyczuleś magię? Jesteś gotów zdemaskować tego nędznego Smyka?

Geralt zastanowił się chwilę.

- Nie w pierwszym odczuciu. Amulet chwilami podrygiwał, jakby przeskakiwała przez niego iskra. Jakaś zła magia. Twój kolezka Valdo powiedział jednak, że na próbie Jednooki Orfeusz nie śpiewał pełnym głosem, nie ujawnił wszystkich atutów. Wygląda na to, że przyłapać go na gorącym uczynku można tylko w trakcie występu. Prześpij się póki co, a ja się skoncentruję...

- Swoją drogą, można spuścić z wanny brudną wodę i nalać świeżej - powiedział poeta. - Jest tam taki specjalny korek...

- Zauważyłem - oznajmił wiedźmin. - Jednak jest jakiś pożytek z tych bankierów...

- Myślałem, że wybudują na festiwal specjalny pawilon - rzekł poeta. - Na całe stulecia! Jasny, przestronny, z tak chytrze zbudowaną kopułą, żeby nawet szept ze sceny wszędzie docierał... Ale nic z tego! Poskąpili grosza!

Novigradzcy bankierzy faktycznie znaleźli proste i ekonomiczne wyjście: ustawili na Placu Wzajemnego Kredytu ogromną budę krytą brezentem. Napis nad wejściem głosił:

„Pompejusz to nasz Orfeusz!”.

Pod dachem stały proste drewniane ławy, wcale nie nowe, tylko przytaszczone z okolicznych targowisk. Handlować można i na stojąco!

- Wielu miało nadzieję, że będzie to doroczny festiwal - dodała Essi Daven uczepiona ramienia Geralta. - A okazał się jednorazowy. Jutro rozbiorą ten cyrkowy namiot, bo sprzedali już brezent dla nilfgaardzkiej floty wojennej.

- Poszli po rozum do głowy - przytaknął Jaskier. - Całkiem niepotrzebnie.

- Powiniennem sięść w pierwszym rzędzie - stwierdził Geralt - żeby od razu wskoczyć na scenę, chwycić samozwańczego Orfeusza za kołnierz i oskarżyć publicznie...

Zamiar wiedźmina nie powiódł się. Najbliżej estrady stało parę rzędów foteli zarezerwowanych dla najważniejszych gości. Już rozpierała się w nich miejscowa elita: bankierzy, kupcy, adwokaci, sędziowie i jurorzy trzymający w rękach drewniane tabliczki do punktacji.

Od kompanii zasiadającej w „Cukrowanym szcz...” różnili się czystą, starannie pozapinaną odzieżą, gładko ogolonymi licami, a także towarzystwem małżonek, dzieci i krewniaków.

- Pociesz się, Jaskrze - powiedział Geralt. - Ci ludzie nie nagrodzą Pompejusza Smyka. Nie pozwolą wynieść poza mury miejskie ani miedziaka. Na przykład obciążą zwycięzcę zapłatą za wynajem miejsca albo kosztami

reklamy... Muszę jednak znaleźć dla siebie odpowiednie miejsce!

Wiedźmin ułożył palce w Znak Apsik, lecz ku jego zdumieniu nikt z miejscowej socjety nie zareagował na ową prostą magię.

Biały Wilk musiał usiąść na ławce uczestników, między Jaskrem a Essi Daven. Wokół rozchodziły się nieskładne dźwięki miedzianych i srebrnych strun, bo artyści stroili instrumenty.

Uderzenie w gong obwieściło początek imprezy.

Pierwszy wyszedł na scenę Valdo Marx, odwieczny rywal Jaskra.

- Ma pecha, biedaczek - obłudnie współczuł bard. - Otwierać turniej poetycki to tak, jakby w ogóle nie wziąć w nim udziału. Publiczność od razu o tobie zapomni. Lepiej mi się powiodło, występuję jako dwudziesty ósmy. Na koniec wystąpi ten upiór z Movietonu. Nie ma się do czego przyczepić, osobiście losowaliśmy!

- Są sposoby na losowanie - oświadczył wiedźmin. - Na przykład potrzymać konkretną płytkę z numerkiem w lodzie albo przeciwnie, podgrzać... Pompejusz pierwszy wkładał rękę do worka?

- No tak - przyznał Jaskier. - Swolocz ma szczęście.

- A przecież dawniej szczęście było przywilejem głupców - zauważył Geralt.

- O tempora, o mores! - przytaknął Jaskier.

Nikt prawie nie słuchał recitalu, wszyscy wokół rozmawiali, przeszkadzając utalentowanemu koledze na estradzie.

Valdo Marx z Cidaris ze złości rozwalil lutnię o scenę i cisnął jej szczątkami w bankierów, po czym oddalił się z godnością. Jaskier szyderczo zaklaskał.

Geralt przysnął w trakcie piątego występu. Nawet głośniejsze czasem oklaski nie zdołały wyrwać go z odrętwienia. Ocknął się tylko na chwilkę, by przepuścić Essi w paradnej sukni z niebieskiego jedwabiu, przyciskającą do piersi niewielką cintryjską gitarę.

Wiedźmin nawet z uwagą wysłuchał jej ballady Mój biały koń w malinowym

czapraku, po czym znów się wyłączył.

Ponownie ożywił się, gdy na scenę wyszedł nilfgaardzki tercet „Żaba z Nierdzewnej Stali” w czarnych kominiarkach i rękawiczkach. Po deskach scen spływały kłęby śmierdzącego, gęstego dymu, po to by zaskoczyć czymś widzów, bo repertuar był niezwykle męczący: przybysze z północy śpiewali a cappella groźnymi basami, czyniąc wrażenie, jakby mieli za chwilę wszystkich wymordować.

- To prawdziwe straszidła. Wszyscy trzej! - mruknął. - Jaskrze, czy coś takiego jest u was dopuszczalne?

- Nie hałasuj - ostrzegł poeta. - Nie rozpraszaaj się. Zbieraj siły do najważniejszego czynu. Weź lepiej chusteczkę i otrzyj lzy panience...

Przyszła wreszcie kolej na Jaskra. Potrząsnął ramieniem wiedźmina i nakazał mu:

- Klaszcz jak należy! W tobie cała nadzieja! Jestem tu primus inter pares!

Geralt zawsze był wiernym druhem. Nawet trochę poczarował, by wywołać większą owację, wyginając palce w Znak Klak. Wystarczyła odrobinka magii, bo Jaskier śpiewał jak w transie, a lutnia elfów to w końcu nie jednostrunowiec górskich gnomów!

Lecz co tu dużo gadać, Poecie coś nakazać, Nie może ani jeden król!

Tak zakończył swą niepokorną Balladę o wolności słowa, zebrawszy gorące brawa.

Geralt pomyślał, że poeta ma realną szansę wygrać ten dziwaczny turniej trubadurów i jest faktycznie najlepszy.

Pompejusz Smyk samym jednak pojawieniem się rozwał wszelkie iluzje. Publiczność poderwała się jak jeden mąż, ledwie wszedł na scenę artysta z nieznanego nikomu Movietonu.

Nowy Orfeusz rzeczywiście był jednooki. Nie wyglądał na piewce romantycznej miłości. Zmierzwiona czupryna, brązowa szczecina na policzkach,

szeroka szczęka... Skórzana kurtka z frędzlami, wysokie buty z wyłogami...

Wszyscy poprzednio występujący truverzy śpiewali na stojąco, lecz dla Jednookiego przyniesiono taboret i nie tylko. Pompejusz Smyk zasiadł ciężko. U jego nóg asystenci ustawili spory bęben i perkusję. Pałeczki do bębna i talerzy wprawiane były w ruch specjalnymi pedałami.

Na kolanach Smyka spoczywały niewielkie gęśle, a do nich dołączona była skomplikowana konstrukcja, sięgająca ust artysty, gdzie przymocowane zostały trąbka, rożek, fletnia Pana i pastusza fujarka.

Jednym słowem, wszystkie typy instrumentów: strunowe, dęte i membranowe.

- No, no - mruknął Jaskier - zobaczymy, jak sobie da radę z tą orkiestrą...

- Piosenka o dalekiej drodze - oznajmił Smyk silnie przepitym tenorem.

Przebiegł palcami po strunach, uderzył w bęben, brzęknął talerzami i zaczął:

Szkoda w domu wycierać gacie, Na świat popatrzeć macie! Ruszajcie, baby, chłopcy i dzieciaki Za mną na dalekie szlaki! Publiczność osłupiała, a prawdziwy poeta Jaskier zawołał: - Nieskładne rymowanki, godne nawalanki! Parę osób zachichotało. Essi Daven prychnęła wzgardliwie: znalazł się kpiarz! Śpiewak nie zaszczycił zuchwalca spojrzeniem, wygrał na fletni gamę i zadał w trąbkę. Wyszło mu to okropnie.

Jeszcze wczoraj Geralt, choć pozbawiony słuchu muzycznego, skonstatował, że ten człowiek nie umie grać ani śpiewać, a słuch ma znacznie gorszy od wiedźmina.

W końcu Jednooki Orfeusz dorwał się do pastuszej fujarki...

I nastąpił cud.

Smętny dźwięk musnął uszy każdego, wprawił w drżenie bębenki słuchowe...

I od razu dla wszystkich stało się jasne, że nie ma po co siedzieć w tej okropnej budzie, że na zewnątrz jest przepiękna pogoda, że dom rodzinny,

kantor lub warsztat to istne więzienie, rodzina ciężkimi okowami, a w nogach buzuje niepoohamowana, radosna moc i trzeba, trzeba koniecznie iść za tym wysłannikiem z innego, lepszego świata w niewiadomą, bezkresną dal...

- Tak, tak! - powtarzał Jaskier, szeroko otwierając szkliste oczy. - Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć? Nie byłem wędrownym bardem, tylko marnym domokrażcą w porównaniu z tym największym śpiewakiem wszech czasów i narodów! W drogę, Geralcie! W drogę, Essi! Przed nami nieskończoność!

Poeta nie zauważył wielu rzeczy. Na przykład tego, że ciężki medalion z wilczym łbem na piersi wiedźmina uniósł się, ustawiając łańcuch równolegle do ziemi, a w końcu podskoczył do góry!

Co oznaczało, że magia przekroczyła wszelką możliwą skalę.

Nawet Geralt wstał i ruszył wraz z innymi do wyjścia. Oprzytomniał dopiero na zatłoczonym placu.

Jednooki Orfeusz zostawił instrumenty na estradzie i prowadził pochód grając wciąż na fujarce.

Ze wszystkich domów wolnego miasta Novigradu wybiegali ludzie: rachmistrze, kasjerzy, rzemieślnicy, kobiety z gromadkami dzieci. Strażnicy porzucali swe posterunki, ustawiali się trójkami i wybijając równy rytm na bruku, dołączali do procesji.

Pochód zamykały gęsi domowe i bezdomne psy.

Geralt zgubił w tłumie Jaskra, tylko Essi, odrzuciwszy gitarę, ciągle trzymała się ramienia wiedźmina, powtarzając:

- Prawda, że jest cudowny? Prawda, że jest cudowny?

Rzeka ludzi wypłynęła przez bramę, zabierając po drodze wartowników łapówkarzy i sunęła dalej drogą. Jednooki Orfeusz oglądał się co pewien czas, potem znowu podnosił flecik do ust i przedziwna melodia wlewała w słuchaczy nowe siły...

Potem Pompejusz Smyk zszedł z traktu i poprowadził ludzi przez łąkę.

- Ludzie, dokąd idziecie?! - krzyczał Geralt. - Zatrzymajcie się! Tam jest bagno! Ciemne trzęsawisko! Kikimory!

Nikt go nie słuchał.

Wyrwał się z tłumu, w którym byli już pierwsi przewróceni i zdeptani. Biegł obok, wołając:

- Oto gdzie się podział flet Szczurolapa! Na to czekali zbóje w karczmie! Do tego potrzebne im fury! I dlatego ten łotr włożył wysokie buty!

Wiedźmin przyspieszył kroku i dogonił Pompejusza Smyka z Movietonu, zwanego Jednookim Orfeuszem.

- Mają serca z kamienia! - oburzał się Jaskier następnego dnia. - Uratowaliśmy ich miasto, nie daliśmy spłądować bankowych skarbców, uchroniliśmy domowy dobytek, pomogliśmy schwytać złoczyńców, którzy już ładowali łupy na wozy! A co tam pieniądze i inne duperele! Ocaliliśmy ludzi przed trzęsawiskiem! Były tam również dzieci! I oto wdzięczność!

- Sam byłeś w tłumie zauroczonych mieszczan - rzekł wiedźmin. - Też mi wolny poeta. Poszedłeś za pierwszym lepszym... Wasze szczęście, że chociaż ja zachowałem trzeźwy umysł. Dopiero gdy odebrałem waszemu bożyszczu fujarkę... Choć właściwie masz rację. Nie ma co oczekiwać wdzięczności od groszorbów.

Geralt gniótł z roztargnieniem w palcach kawałek pergaminu. Ów dokument dawał posiadaczowi dożywotnie prawo do bezprocentowego kredytu w każdym banku, lombardzie lub kasie pożyczkowej wielkiego Novigradu. Nic więcej.

- Posłuchaj - odparł Jaskier. - A gdyby tak zamienić słowo „bezprocentowy” na „bezzwrotny”? Wiesz, jak potrafię podrabiać dokumenty!

Wiedźmin zachichotał.

- Kto uwierzy w prawdziwość takiego kwitu? Bezzwrotny! Oczy im wyjdą na wierzch! Podziękuj, że udało mi się wywalczyć fundusz festiwalowy od tych

wyrodków...

- Aha - odparł poeta. - Wywalczyłeś i podzieliłeś między wszystkich uczestników. A przecież, wedle zasługi, należała mi się jakaś premia!

- Oczywiście, przyjacielu - potwierdził Geralt. - Jesteś przecież, kolego, wielce utalentowany! Co do mnie, chcę się jak najszybciej wydobyć z tych brudów. Dlatego zabierzemy się stąd jeszcze przed świtem. Nie mam ochoty oglądać efektów miejscowej praworządności...

Nie udało im się jednak tego uniknąć. Kiedy o brzasku przejeżdżali przez bramę miejską, novigradzka praworządność już zadziałała. Chcąc nie chcąc, ujrzeli jej efekty.

Sędziowie podzielili bandytów na szczęściarzy i pechowców. Szczęściarzy powiesili, pechowców wbili na pal. Stracili wszystkich: ludzi, krasnoludy, gnomów maruderów i jednego półelfa.

Głowa Pompejusza Smyka została przygwożdżona nad bramą. W zdrowe oko wbito kawałek czarodziejskiego fletu.

- Szkoda - powiedział wiedźmin. - Nie dowiedziałem się, skąd Jednooki Orfeusz wziął ten legendarny artefakt. Śledztwo zostało utajnione, pojmujesz... Zawsze to samo: sprawiedliwości stało się zadość, a i tak chce się rzygać.

- Pererat mundus et fiat iustitia - podsumował z westchnieniem poeta. - Swoją drogą, jak się ustrzegłeś czarodziejskich fluidów?

- Po pierwsze, jak wiesz, brak mi słuchu - wyznał Geralt.

- Po drugie osłoniłem się.

- Czym?

- Tym - odparł wiedźmin, składając palce w Znak Fuck You.

Przełożył Witold Jabłoński

Maria Galina

Lutnia, i to wszystko

- Jaskrze... Essi podrzuciła na dłoni kamyk i cisnęła płasko na wodę, tak że zakręcił się wokół własnej osi i podskoczył parę razy, pozostawiając na powierzchni serię drobnych, rozchodzących się kręgów.

- Chociaż mnie nie okłamuj. Jaki z ciebie wicehrabia?

- Jestem wicehrabią, Pacynko.

Jaskier szperał w szorstkim przybrzeżnym piachu, szukając odpowiedniego kamyka. W szczelinach między większymi kamieniami stała woda. Niedawno skończyły się sztormy i fale obficie zalewały wygładzone wiatrami zielonkawe bryły. W kałużach, cieplejszych niż morze o tej porze roku, pławiła się i pełzała rozmaita morska drobnica. Raczek bokopław uszczypnął go w palec i Jaskier nerwowo szarpnął dłonią.

- Mój tatko był hrabią i jestem najstarszym synem, czyli wicehrabią.

- Wiesz to od matki?

- No tak... hm...

- No to w najlepszym razie jesteś nieprawym synem hrabiego.

- Jak to nieprawym? Na pewno by mnie uznał, gdyby, hm... poznał.

Zresztą, ze strony matki też jestem wicehrabią, Pacynko.

Jaskier znalazł wreszcie odpowiednio płaski i gładki kamyk.

- Moja mama była najstarszą córką pierworodnego syna starego hrabiego. Babcia była pokojówką jaśnie pani.

- Bajdurzysz, Jaskier. Prawdziwy z ciebie bazarz.

- I tu się mylisz, Pacynko - zaprzeczył łagodnie Jaskier.

- Wzięli potajemnie ślub. Babcia Luiza i pierworodny starego hrabiego. Mamuśka do dziś przechowuje akt zawarcia małżeństwa w Świątyni Melitele, bardzo wygnieciony... A stara hrabina była prawdziwą poczwara... Przyparła moją młodą babkę do muru i w końcu...

- Dziewczyna zmięła? - zasugerowała Essi.

Siedziała na piasku i wymachiwała w powietrzu długimi botkami z klamerkami w kształcie kwiatów.

- Tak! - zawołał Jaskier, dumny z tego epizodu rodzinnej biografii. - Dokładnie! Nienawidziła jej młodości i urody. Potem hrabiostwo znaleźli dla swego synalka młodziutką i tłuściutką skarbonkę, a moją biedną mamę, bezbronną kruszynę podrzucili do Świątyni Melitele w wyszywanych srebrem pieluszkach! Młody panicz, choć zdemoralizowany przez okrutnych i bezdusznych rodziców, zdążył potajemnie podrzucić w powijaki...

- Jaskrze - odparła z westchnieniem Essi, zdejmując z lewej brwi niesforny kosmyk, dzięki czemu młodzieniec ujrzał niebieskie oczko, przymrużone, podobnie jak drugie, od ostrego słońca. - Pieluszek nie wyszywa się srebrną nicią. Za ostra. Nie wchłania wilgoci. Byłyby odparzenia i zapocenia.

- No, znaczy... najpierw zawinęli ją w co trzeba, a później...

Jaskier też zmrużył oczy, zgrabnie się zamachnął i jego kamyk zatańczył na falach, pozostawiając głębsze i dłuższe ślady niż żaloszny rzut Essi. Wyglądało to tak, jakby po wodzie przeszedł ktoś niewidzialny, o którym w Mariborze opowiadano mnóstwo bajek.

- Po prostu twoja żeńska linia była, hm... słaba od początku - oceniła, wzruszając ramionami. - Uznana za niepożądaną. Zwłaszcza w wyższych sferach, Jaskrze. Z powodu snobizmu, jednym słowem. I właśnie z tego względu...

- Nie obrażaj mojej babuni - wtrącił na wszelki wypadek Jaskier. - Ani mateczki.

- W Wyzimie - podjęła, z irytacją odsuwając z czoła nieposłuszny pukiel - znalazłam pewnego doktora... Damy walily doń drzwiami i oknami. Wiesz, takie z dziwnymi, wyszukanymi chorobami, których absolutnie nikt nie potrafił wyleczyć. Zgadnij, co z nimi robił? Kładł na kozetkę i...

- Resztę znamy? - zasugerował domyślnie Jaskier.

- Rozmawiał z nimi, Jaskrze.

- Tylko rozmawiał? I tyle?...

- I tyle. Tłumaczył im, że te ich nieznośne migreny i inne objawy spowodowane są głębokimi psychicznymi traumami z wczesnego dzieciństwa. Na przykład karmicielka za wcześnie odstawiła je od piersi. Albo za późno. Albo matka nie kupiła dziecku lodów i jeszcze dała klapsa... Pacjentki na kozetce opowiadały o swoim dzieciństwie, o pierwszym laniu, jakie dostały i takie różne...

- No i co? - zaciekawiał się Jaskier. - Wracały do zdrowia?

- Wyobraź sobie, że tak! Zgarniał forszę garściami, wręcz łopatami. Nawet nocnik miał złoty, inkrustowany kością słoniową. A przecież nie był magiem, Jaskrze!

Skinął głową w zadumie.

- Kobiety lubią, jak się z nimi rozmawia. Zwłaszcza o ich dzieciństwie. Szczególnie te leciwe... jak by to powiedzieć... w wieku przekwitania. Słowem, jego klientelą były starsze panie. A skąd wiesz, jaki miał nocnik?

- Nooo - zmieszala się Essi, podrygując nerwowo noskiem bucika - czystym przypadkiem... Wracając do traumy z dzieciństwa, zawsze zastanawiałam się, dlaczego jesteś tak beznadziejnie zepsutym, egoistycznym osobnikiem? To wszystko przez ciężkie rodzinne dramaty. Uciekłeś od nich w świat muzyki i, szczerze mówiąc, słabych, szalenie wtórnych pieśni. I to twoje bezwzględne, tak,

Jaskrze, naprawdę bezwzględne traktowanie kobiet. Powiedziałabym nawet, instrumentalne...

- Nieprawda.

Jaskier pogrzebał w kałuży, lecz nie znalazł kolejnego kamyka.

- Ubóstwiam was, Pacynko, tę... wieczną kobiecość. Niepojętą potęgę kobiety. Zważ na to, że kocham każdą z was. Praczkę o spierzchniętych dłoniach, pomywaczkę, dziwkę, markizę. Co w tym złego?

- Typowa ignorancja - odpowiedziała chłodno. - Choćby jedna z ostatnich twoich piosenek o nieznanym dziewczynie w speluncie, przechadzającej się wśród pijaków, to kompletny banal. - Zmarszczyła nieskazitelny nosek. - Nie czujesz tego? Przyznaj, Jaskrze! Pachnąca perfumami i dymem... Tfu!

- Prawdziwe arcydzieło, Pacynko - stwierdził całkiem poważnie - powinno być nieco banalne. Chcesz wiedzieć, dlaczego zostałam, hm, artystką drugiej kategorii? Gubi cię dobry gust. Raczej w ogóle sam fakt jego posiadania, a to znaczy...

- To komplement, czy zarzut? - spytała kwaśno, układając wygodniej lutnię na podółku.

- Gorzka prawda, Pacynko. Chociaż, jak na kobietę, sporo osiągnęłaś. Choćby ta twoja ballada, jak on wchodzi po schodach, a ona czeka i ze zdenerwowania nakłada rękawiczkę nie na tę dłoń... Wiesz, że coś w niej jest. Możesz jeszcze osiągnąć sukces. A wracając do szlacheckiego pochodzenia... mało mnie obchodzą tamte niewczesne tytuły. Moi przodkowie, elfy...

- Ach tak, jak mogłam zapomnieć. Elfy.

- Droga Essi, na pierwszy rzut oka...

- Na pierwszy rzut oka widać, Jaskrze, że jesteś babiarz i elegancki lajdak.

Nie zamierzał się sprzeczać. Przekomarzał się tylko, by sprawić przyjemność Essi. Jak za dawnych, dobrych czasów, gdy wszystko było przed nimi, a oni byli młodzi, głodni i utalentowani. Wszyscy przyjaciele jeszcze żyli. Nawet

wrogowie. Z tym, że Jaskier zawsze był babiarem i eleganckim łajdakiem.

Od morza nadciągały chmury ciężkie jak namokły wojłok. Rozlane po wodzie światło stało się szarawe, przyćmione i Jaskier pomyślał z roztargnieniem, że takie światło można opisać w balladzie. Coś w rodzaju: „Nad wodą rozlewała się zorza koloru starego srebra...”. A jaki rym? Żebra? Biodra? Wiadra? Wiatru? Wiatr byłby nieco banalny. Coś jak „żagli” i „w dali”. Banal jest oczywiście dobry, ale nie do tego stopnia.

W dali istotnie, niczym pajak na nitce, wynurzał się zza horyzontu żaglowiec. Widać już było kadłub. Jaskier przyjrzał mu się z uwagą.

- Spójrz, Pacynko - powiedział w końcu - czy nie taki, jak twój...

- Ten holk?

Essi przyłożyła do oka zwiniętą na podobieństwo lunety dłoń.

- Ten kog - sprostował Jaskier. - Najwyższa pora nauczyć się odróżniać... Holk jest zazwyczaj jednomasztowcem. Dobry statek handlowy powinien być solidny. Ten ma trzy maszty. Pochylony w stronę dziobu to fokmaszt z kwadratowym żaglem, dalej grotmaszt też z kwadratowym i bezanmaszt z ukośnym. Wyporność około pięciuset ton, zanurzenie mniej więcej trzy metry, szerokość... typowa dla takich wymiarów. Myślę, Pacynko, że niedawno zmienił specjalizację, wcześniej pływał w konwoju. Widzisz lawety armatnie? Oczywiście, nie widzisz.

- Daj spokój, Jaskrze, ty też ich nie widzisz.

- Dalekowzorność elfów, Pacynko. Wiesz dobrze, że potrafiały wypatrzyć na pięćset kroków wiewiórkę. Odziedziczyłem to po dalekich przodkach, wraz z absolutnym słuchem muzycznym i czystym głosem, wciąż czystym, bez względu na próby, jakim go poddawałem...

- Pochlebiasz sobie, Jaskrze.

Essi wstała, szybko poprawiając jasnoniebieską, niegdyś lazurową sukienkę. Jej skraju uczepiła się lodyżka wodorostów na podobieństwo koronki.

- Tak, pochlebiam - zgodził się gładko.

Także wstał. Pióro na przepięknym aksamitnym berecie wystrzępiło się. Trzeba będzie w ogóle zająć się garderobą, pomyślał mimochodem. Wdowa po burmistrzu nieobojętna jest muzyce i innym sztukom, a dla takich dam, bratnich dusz, Jaskier miał parę gotowych rymowanek, wystarczyło podstawić właściwe imię...

- Trzeba iść.

Essi nie patrzyła na Jaskra, tylko na szary piach. W miejscu, gdzie woda uderzała o linię przyboju i cofała się, zostawały szarawe, drgające na wietrze kłębki piany, piasek był bury i wilgotny, mewy i wrony grzebały w grudkach mocno pachnących wodorostami z nadzieją znalezienia czegoś smakowitego.

- Ucieszy się, jeśli ja...

- Essi...

Jaskier także nie patrzył na nią, tylko na pianę. Od historii z księciem Aglovałem i schodami wiodącymi w głąbinę, nie przepadał za morzem. Wcześniej też zresztą niezbyt lubił, nawet jeśli w portowych tawernach i bogatych domach wyśpiewywał na chwałę swobodnego żywiołu. Jaka może być swoboda, skoro wokół pełno wody?

- Czy jesteś przekonana, że...

- Wiedziałam, że w końcu to powiesz!

Znów z irytacją odgarnęła kosmyk z twarzy, odsłaniając błękitne oczko, nie gorsze od drugiego, cały czas widocznego.

- Tak, jestem przekonana! Jak najbardziej! Zbyt długo już na to czekałam! Zbyt długo byłam egoistką, a teraz mogę przynajmniej uszczęśliwić porządnego człowieka... Już nie myślę tylko o sobie, lecz o nim! To dla mnie całkiem nowe, bardzo piękne uczucie!

Jaskier, który do tej pory szedł, wpatrując się w noski wytwornych cizem z kłamrami, uniósł głowę i przyjrzał się jej uważnie.

- No tak - podjęła Essi, choć Jaskier nie rzekł słowa - tak, masz rację. Za dobrze się znamy, żeby teraz się oszukiwać, prawda? Nie chcę do końca życia włóczyć się po gościńcach. Nie chcę śpiewać na cudzych weselach, wiedząc, że nie doczekam własnego. Za rok, dwa przestaną mnie już zapraszać, Jaskrze. Komu potrzebna stara poetka, szarpiąca struny lutni pomarszczonymi rękami? A mój głos, Jaskrze?! W końcu go stracę przez zimne wiatry i bezsensowną tułaczkę po cudzych domach...

- No, do tego jeszcze...

- Daj spokój, Jaskrze! Dobrze wiesz, że to prawda. Tak będzie, wszystko jedno, za rok, czy za dziesięć lat... Chcę żyć i umrzeć w ciepłe. Mieć rodzinę. Moje życie jest straszne. Zimne, puste i straszne. Widzę, jak inne kobiety grzeją się przy domowych ogniskach... Czy naprawdę jestem skazana na włóczęgę po cudzych domach, bo mam ten przeklęty dar zręcznego poruszania strunami ludzkich serc? Co mi zostaje? Przechodzące z rąk do rąk dzbany, wylizane do czysta półmiski, wszelkie... ciemne zakamarki, jeśli w ogóle się zdarzą... twarde, zapluskwione materace. A majtki? Majtki, które jeszcze nie zdążyły wyschnąć po praniu, ale musisz je założyć, bo na występ trzeba być czysto ubranym, jak na śmierć lub do lekarza... A kiedy czujesz dojmujący ból w podbrzuszu i tłuczesz się dylizanssem, nie możesz nawet powiedzieć woźnicy, by się zatrzymał. W takie dni zazwyczaj strasznie boli brzuch, lecz musisz wycierpieć, bo w karecie siedzą obcy mężczyźni, woźnica też jest facetem, a ty się wstydzisz swojej słabości. Mam tego dosyć. On mnie kocha. Kocha i żałuje.

- I rozumie?

- Zrozumie. Przyzwyczajamy się do siebie z czasem, dotrzemy.

- A ty go kochasz?

Essi przygryzła wargę tak, że aż zbielała i zapatrzyła szeroko otwartymi oczami w przestrzeń. Potem cicho rzekła:

- Nie mów mi więcej o miłości, Jaskrze.

Kiepską byłaby poetką, gdyby nie romantyczna natura, myślał Jaskier, wbijając w piasek obcasami maleńkie muszelki, podłużne i szpiczaste jak damskie paluszki, choć nie powinien był ich niszczyć. Westchnął cicho i do samego portu szli w milczeniu.

Port jeszcze nie odżył w pełni po długich zimowych sztormach i blokadzie wojennej. Magazyny czerniały w oddali mroczne i огоłocone („Jak trumny żebraków”, pomyślał Jaskier), cumowiska obrosły czapami glonów, na palach zwieszały się zielonkawe brody wodorostów.

Wkrótce napłyną tutaj towary z Nilfgaardu, rozważał trubadur, a nilfgaardzkie flagi załopoczą na wietrze. Ta sama siła, która zdławiła portowe tycie, teraz doda mu nową energię. Wojny, dumal dalej, bez względu na szkody, jakie przypisują im kronikarze, wymykają się w końcu spod ludzkiej kontroli, jak wielki pożar albo trzęsienie ziemi. To oczywiście straszne, przerażające... lecz na popiołach roślinność rozrasta się znacznie bujniej.

Na przystani stała grupa ludzi, ciemne sylwetki na tle skłębionych chmur. Mocno wiejący wiatr zmuszał ich, by przytrzymywali nakrycia głowy, co sprawiało wrażenie, jakby podnieśli ręce w geście poddania.

- Który z nich to ten twój?

Essi, mrużąc oczy, wskazała podbródkiem niewysokiego człowieka, który tak jak inni przytrzymywał zagrożony kapelusz i wydawał polecenia drugiemu, jeszcze niższemu i mocniej zbudowanemu. Obaj nosili peleryny na modłę nilfgaardzką. W podbitym kraju lepiej upodobnić się do zwycięzców, skoro są silniejsi, a zatem lepsi. Surowi Nilfgaardczycy, uważający nas za zniewieściałych, na pewno wkrótce zaczną kopiować nasze hafty i koronki... Tak właśnie odbywa się wymiana kulturalna, rozumował cynicznie Jaskier, patrząc jak naczelnik portu wyciąga szyję, wypatrując statku. Ojciec miasta i przywódca miejscowych kupców. Trubadur dobrze ich znał, nie mając często wyboru, czy zaśpiewa danego dnia w portowej tawernie, czy królewskiej komnacie albo na

wieczery cechu foluszników na przykład. Trzeba jednak dużego sprytu, by złowić narzeczonego, śpiewając na weselu jego córki!

- No to jazda - rzekł - biegnij do swego milego!

Essi chwilę się wahała, potem wzięła go pod ramię, drugą ręką wdzięcznie ujmując rąbek sukni. Przy okazji ledwie zauważalnie strzepnęła ziarnka piasku z materiału.

- Za kogo mnie uważasz, Jaskrze? Nigdy się nie wstydziałam swoich przyjaciół.

Partykuła „nie” niczego w tym wypadku nie zmienia, pomyślał poeta, to tylko słowo. Człowiek nie mówi tego, o czym nie chce myśleć. Kobieta zapewniająca, że nie będzie płakać, właśnie przelyka łzy. Gdy mówi: „Nie zazdroścę jej”, na pewno zazdrości. Kiedy mężczyzna powiada: „Nie zależy mi na sławie i władzy”, to znaczy, że pragnie tego całym sercem. Gdy człowiek mówi: „Nie boję się”, na pewno się boi. Nieraz opowiadałem o tym w balladach.

Kiedy jednak ktoś mówi: „Nie kocham”, chyba rzeczywiście nie kocha... - Mistrzu Jaskrze! Niemłody człek w porządnym sukiennym stroju skłonił mu się uprzejmie. Kurczowo przytrzymał kapelusz - miejscowi mistrzowie cechów zdejmowali nakrycia głów tylko przed królami, kiedy jeszcze byli tutaj królowie.

- Jestem zaszczycony. Essi tak wiele opowiadała o panu.

- Nawzajem, szanowny panie - odparł Jaskier.

- Mam nadzieję, że uświetni pan swoją sztuką nasze wesele.

Jaskrowi spodobał się ton, pozbawiony lekceważącego „zaśpiewaj dla gości”. Mistrz cechu zawsze uszanuje drugiego, nawet odmiennej specjalności.

- Z radością, szanowny panie. Nie zażądam większej zapłaty niż zwykle.

Mistrz Holm uśmiechnął się ledwie zauważalnie samym kącikiem wąskich warg.

- Tę sprawę omówimy później. Gdzie się pan zatrzymał, mistrzu?

- W „Niebieskim Kogucie”.

Essi puściła wreszcie ramię Jaskra i podeszła do narzeczonego, jednak nie wzięła go pod rękę, po prostu stała obok. Wiatr od morza rozwiewał jej suknię.

- Tam jest w miarę, hm... czysto. I karmią nie najgorzej. Będziemy jednak radzi, ja i pani Daven, gościć pana u siebie.

- Dziękuję, mistrzu Holm. Lecz wie pan, ja... nie lubię żadnych zobowiązań. Nawet wobec kolegów z cechu ani ich bliskich.

- Rozumiem.

Rozmawiali ze sobą ostrożnie, trochę nieufnie, przypominając dwa niezbyt agresywne, lecz niezależne psy, obwąchujące się z dala i próbujące utwierdzić wzajemnie w przekonaniu, że walka w tym zaułku nie jest konieczna.

Kog akurat podpływał do nabrzeża wzdłuż mola, podprowadzany przez szybką łódkę holowniczą, pozostawiając za sobą ciemną, nierówną smugę, ściągając łopoczące na wietrze żagle jak, hm... uległa kobieta suknie, pomyślał Jaskier. Szczęśliwy koniec włóczęgi... gdy w dali łopoczą wstęgi... gdy słyszy się trzepot chorągwi... i лыknął porządnie ze stągwi... dosyć podróży na drągu... skrzypiącym, złamanym dyszlu. Mistrz nie powinien posługiwać się pierwszym z brzegu rymem, jaki przyjdzie do głowy. Zostawia to pomniejszych poetom. Mistrz powinien szukać oryginalności. Tego, na co nikt inny nie wpadnie.

Kog zacumował, prawdę mówiąc, tak sobie. Nieczysto. Uderzył burtą o pnie mola, odskoczył, lina naprężyła się, knecht zaskrzypiał. Kotwica plusnęła do wody, wznosząc chmurę rozbryzgów. Mewy, kołyszące się na falach niczym spławiki, poleciały w niebo z wściekłym skwirem, być może dlatego zagniewane, że spłoszone ryby wypłynęły akurat z dna na powierzchnię.

- Proszę wybaczyć, mistrzu, moja droga...

Mistrz Holm uklonił się ponownie.

- Sami widzicie, jeśli nie dopilnuje się wyładunku... Ej, chłopcy - krzyknął do stojących opodal tragarzy, leniwie puszczających kłęby dymu z małych fajeczek - jak spuszcza trąp, do roboty! Zaraz lunie deszcz i zamoczy paki, a kto

będzie za to odpowiadał? Co?

Sternik zastopował wreszcie koło sterowe i coś krzyknął, przykładając do ust dłoń zwiniętą w trąbkę.

Mistrz Holm podszedł do trapu, a z nim komendant portu, inspektor celny i jeszcze paru ludzi, których Jaskier nie znał, zapewne z gildii kupieckiej, może też przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego... Pierwszy prawdziwy statek handlowy od dawna, nie licząc kutrów rybackich. Powinien być witany orkiestrą dęta, fanfarami trąb i wielkim „dzyń!” blaszanych talerzy! A zresztą, wystarczające honory jak na nilfgaardzki statek.

Holm także zwinął dłoń w trąbkę, przystawiając do ucha. Kiwnął głową na znak, że usłyszał niesione wiatrem słowa sternika, potem odwrócił się do komendanta. Ten także skinął głową i zwrócił się w stronę stojącego obok, jakby witający postanowili ni z tego, ni z owego zagrać w „gluchego posłańca”. Jaskier obserwował, jak komendant wskazał dłonią kołyszący się na linach kog i powiedział coś na ucho sąsiadowi z rumianym, wesołym obliczem, jakie mógł mieć tylko medyk portowy, przyzwyczajonym znosić z filozoficznym spokojem wszelkie troski, jakich nie szczędziło mu życie. Ten jednak nikomu dalej nie przekazał wieści, przeciwnie, szybko wdrapał się na rozbujany trap ze zręcznością linoskoczka, machając torbą lekarską, aby utrzymać równowagę.

- Ktoś tam zaniemógł - zauważył z umiarkowanym zainteresowaniem Jaskier. - Niewykluczone, że sam kapitan.

- Dlaczego tak uważasz?

- Pacynko, jest takie niepisane prawo, a może nawet spisane, nie wiem. Cumowanie nadzoruje kapitan. Ten statek poprowadził zastępca.

- Skąd wiesz?

- Przyjrzyj się mu. Dobrze, jeśli to pierwszy oficer, chociaż myślę, że nawet nie drugi. Wygląda, że trzeci, sądząc po tym, jak beznadziejnie zacumował. Sama widziałas. Może zaszкодziło im coś, co zjedli w mesie oficerskiej...

- To dobry człowiek - powiedziała nagle Essi, patrząc pod nogi. - Naprawdę dobry... - Nie przeczę - przytaknął Jaskier. - I naprawdę mnie kocha. - Oczywiście. Od razu widać. - Nie zniechęcaj mnie! - No co ty, Pacynko. Kto cię zniechęca? - Nie nazywaj mnie Pacynką. Łypnęła nań groźnie niebieskim oczkiem. - Dobrze, Essi - zgodził się potulnie - już nie będę. - Oddam cały swój talent za... - Essi - zamruczał cicho, tak by jego słowa wiatr zaniósł prosto w jej ucho - nie musisz się przede mną tłumaczyć.

Lina okrętowa napinała się, to obwisała. Jaskier nie od razu zauważył toczącą się po niej szarą kulkę.

Szczur przeskoczył na pieńek cumowniczy, rozcapierzając szeroko różowe łapki, ze zjeżoną sierścią na grzbiecie.

Jakby mało było miejscowych, pomyślał trubadur. Całe szczęście, że Essi spoglądała akurat w drugą stronę. Kobiety boją się szczurów, powierzchownie sądząc, przesadnie i głupio, a jednak ten lęk ma głębokie uzasadnienie: dziecko pozostawione bez opieki jest wobec nich bezbronne. Koty chronią nas przed nimi, zastanawiał się dalej, ale czy zawsze mieliśmy koty? Co za ohydne stworzenie! Szczur... statek i sznur...

Opowieści ze świata wiedźmina z wiatrem spór... Nie, po czorta ten szczur? Statek na linie... nie zginie. Może ujdzie.

Tymczasem szczur, dopadłszy desek mola, przyczaił się i nie uciekał, jak można było oczekiwać, lecz stał z podkulonym ogonem. Niespodziewanie podskoczył i opadł na cztery wyprężone łapki.

- Patrzcie - odezwał się jakiś oberwaniec, który ujrzawszy maszty statku, przyplątał się w nadziei zarobku. Stał z rękami w kieszeniach płóciennych spodni obok sterty desek u wejścia na molo. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby szczur wyprawiał coś takiego!

Gryzoń znów podskoczył, wygięty w łuk, opadł tym razem na bok i leżał nieruchomo, jak brudny kłębek.

- Fúj, co za świństwo.

Essi zaalarmowana słowami oberwańca, zmarszczyła cudny nosek.

- Chodźmy stąd, Jaskrze!

- Skoro nie chcesz tu zostać... - Nie chcę. Popatrzyła na zaaferowanego mistrza Holma, skubiącego skrawek tkaniny wystający z rozprutej paki.

- Myślę, że gdy mężczyzna jest zajęty, nie należy mu... Mój miły!

- Tak, turkaweczko?

Mistrz Holm odwrócił się szybko ku niej, wciąż z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Pojadę obejrzeć tapety do sypialni i bawialni, dobrze? I tkaniny na obicia.

- Oczywiście, turkaweczko.

- Widziałam takie... srebrnozielone we wzorki z liśćmi wierzby i liliami...

- Wybierz, co ci się podoba.

Holm uśmiechnął się z roztargnieniem i zwrócił się znów do pakunków. Być może towary zamokły, pomyślał Jaskier.

- Turkaweczko? - powtórzył, kiedy szli brukowaną uliczką wiodącą na plac portowy.

- No, o co ci chodzi...

- O nic, Pacynko. Zupełnie o nic.

Za ich plecami kog tańczył na falach, ciemne burty kołysały się, odbijając się w szarej wodzie. Miedziane litery rozmywały się w żółte plamy i nawet przy dużym wysiłku nie dawało się odczytać nazwy statku, zresztą można było ją poznać, podnosząc nieco wzrok. Nazywał się „Catriona”.

W „Niebieskim Kogucie” Jaskier zamówił grzane wino z cynamonem i plasterkami jabłka, serem oraz grzankami i kazał zanieść to wszystko do izdebki na poddaszu, którą zajmował w pojedynkę. Była niewielka, ze spadzistym stropem, lecz dzięki swemu położeniu ciepła i sucha, nawet w tę deszczową i wietrzną pogodę, typową dla wczesnej wiosny.

Przysuwając bliżej porcelanową czarękę, z której unosił się wonny opar, uzbrojony w poręczny nożyk z rękojeścią zdobną masą perłową, zajął się rozpieczętowywaniem nagromadzonej w czasie jego nieobecności poczty. Jeden z listów w porządnej wąskiej kopercie z herbową pieczęcią, zaadresowany do Juliana de Lettenhove, obrócił w dłoniach i nie otwierając wsunął do kieszeni kamizeli. Pozostałe, pisane do „mistrza Jaskra”, otworzył i w trakcie czytania rozkładał na dwie kupki: jedne, by odpowiedzieć, „Dziękuję za zaproszenie, niezawodnie się zjawię”, drugie: „Dziękuję za zaproszenie, ale ten wieczór mam już zajęty”. Ta pierwsza, z obietnicą przybycia, była mniejsza, ale według trubadura wiązała się z pełnym mieszkaniem i podtrzymaniem prestiżu, zresztą prawdziwy artysta nie kłopotuje się o sakiewkę i reputację, lecz... O co winien się kłopotać ktoś taki, jak on, miał zamiar wyjaśnić tego wieczoru na kartach swego dzieła Pół wieku poezji. Miał już w głowie parę interesujących i niebanalnych przemyśleń na ten temat.

Z błyskotliwymi myślami taki wszakże kłopot, że dopóki kłębią się w głowie, wydają się rzeczywiście ciekawe, a nawet genialne. Kiedy jednak próbujesz przelać je na papier... Papier jest, skonstatował Jaskier, marszcząc z rozdrażnieniem czoło, niczym bezlitosne zwierciadło, a zdawałoby się, że nie ma mocy ujawniania twych niedostatków.

Tym niemniej, pomagając sobie gniewnym lub wyniosłym grymasem twarzy, pracowicie zaczerniał kartkę, ciesząc się, że pióro kuroliszka, подарowane mu kiedyś przez Geralta, nie potrzebuje specjalnego ostrzenia. Gdyby nie było tych bestii, pomyślał mimochodem, na pewno musielibyśmy używać stalowych piór. Byłyby znacznie wygodniejsze. Trzeba będzie podsunąć ten pomysł jakiemuś zdolnemu rzemieślnikowi i wejść z nim w spółkę. Patent, pakiet kontrolny akcji i potrącenie podatku... no, powiedzmy... Do licha!

Kiedy minstrel, który pragnie stać się Mistrzem, zapyta mnie, jak to możliwe, skoro liczba rymów jest z natury ograniczona, podobnie jak prawidłą używanego

języka, a z rymów, jakich użyłeś do swej pieśni, na pewno korzystało już mnóstwo bardów, odpowiem, że wszystko zależy od osobistego mistrzostwa. Inaczej mówiąc, umiejętność znalezienia rymów nieużywanych powszechnie jest cechą Mistrza. Dodam jeszcze, iż taki rym, wyszukany ze sluchu, wybawia barda z jeszcze jednego kłopotu: obawy przed banałem, zwłaszcza, gdy rym jest rzadko spotykany. Najlepiej, jeśli uwieńczy dzieło zaskakujący zwrot, odpowiedni do zastosowanego rymu. Dodam jednakowoż, iż...

I kto by pomyślał, że tak ciężko opisać twórcze zmagania, westchnął Jaskier, ocierając koniuszek pióra aksamitną szmatką. Rozmaite jeżeli” i jeśli” naszpikowały traktat gęsto niczym kolce jeża, opłotły jak kolczaste jeżyny. A jeśli napiszesz prostym językiem, bardziej potocznym, nie będą cię czytać, zmarszczą uczone nosy i wydadzą werdykt, że napisał to jakiś prostak, który jakoby nie potrafił posługiwać się wysokim stylem... tym gorzej. Tego, że słowo jakoby” samo się składa z „dupowy” ich mądre umysły nawet nie zauważą.

Skoro bard ma prawdziwy dar, po prostu zrobi tak, że nikomu, włącznie z nim samym, nie przyjdzie do głowy zastanawiać się, czy użyty rym jest banalny, czy nie - zakonkludował stanowczo. Zarówno on sam, jak i słuchacze będą urzeczeni nie pięknymi rymami, czy formą, lecz samą osnową pieśni. Jednakże cała rzecz w tym, że daru uwodzenia ludzkich serc nie sposób nauczyć. Ma się go albo nie, moi mili, próżni koledzy po piórze.

Jaskier chrząknął, odczytując to, co napisał, chwilę się zastanawiał, czy nie podrzeć gęsto zapisanej kartki, w końcu machnął ręką i odłożył ją na stosik pozostałych.

Jestem zagadkową i przewrotną osobowością, rzekł do siebie, a krytycy i interpretatorzy niech sami się nad tym pomęczą.

Zaostrzone pióro znowu zawisło nad kolejną kartką, jak włócznia wojownika nastawiona do boju, lecz ostrze włóczni, to jest, tfu, pióra nie spadło na papier, ponieważ z głównej sali na dole dobiegły dźwięki lutni.

Jaskier był przekonany, że może rozpoznać każdego z żyjących obecnie bardów po samym sposobie dotykania strun, a jednak... do tego jeszcze głos, czysty i wysoki, jakby upajający się sobą... wydawał się nieznajomy. Ktoś grał i śpiewał znakomicie, a wsłuchawszy się uważniej, można było rozróżnić poszczególne słowa. Starodawna ballada o Larze Dorren i słynnym czarodzieju... hm... Wykonanie całkiem nietradycyjne, nowatorskie, można rzec, adaptacja. Kto jest taki utalentowany?

Essi mogłaby zaśpiewać coś w tym rodzaju, ale skoro ma zostać uczciwą mieszczką, zapewne jej śpiew będzie odtąd cieszył uszy tylko małżonka i wybranych gości. Jak powiedział Mikula z Wyzimy, domorosły filozof: „Skoro gdzieś ubędzie, to gdzie indziej przybędzie”. Naczynia połączone.

Jaskier z oczywistym żalem (i skrytą ulgą) odłożył pióro, przycisnął kartkę nożykiem o rękojeści z masy perłowej, przelożył nierozpieczętowany list do wewnętrznej kieszeni kamizeli i zszedł na dół. Uznał przy tym, że potrzebuje więcej grzanek i sera do tak ciężkiej pracy umysłowej.

Kobieta z lutnią siedziała przy palenisku. Jaskier pomyślał, że tylko dlatego śpiewa, by mieć możliwość ogrzać się i wysuszyć ubranie. Stary barankowy kożuszek mocno parował, wydając niezbyt miłą woń.

Głowa, nisko pochylona nad lutnią, owinięta była chustą. Widać było tylko blade, zapadłe policzki, czarne kosmyki włosów i koniuszki cienkich palców przebierające po strunach.

„Zimne wiatry i bezsensowna tułaczka po cudzych domach... Przechodzące z rąk do rąk dzbany, wylizane do czysta półmiski, wszelkie... ciemne zakamarki, jeśli w ogóle się zdarzą... twarde, zapluskwione materace”.

Jaskier dotychczas nie zastanawiał się zbyt, co to znaczy być kobietą minstrelem. Tym bardziej, iż obawiał się, że jeśli nawet się zastanowi, mimo wszystko nie zrozumie.

„Niebieski Kogut” był całkiem przyzwoitą gospodą. Jaskier wybrał ją

właśnie dlatego, że zatrzymywali się tutaj solidni kupcy i mistrzowie cechów, którzy schodzili do głównej izby nie po to, by oceniać piwo, lecz rozmawiać o cenach sukna i wytwornych koronek. Kuchnia była tu znakomita. Dlatego też przyjezdni i miejscowi uznali zjawienie się lutnistki jako przeszkodę w spożywaniu posiłku i spokojnych rozmowach. Gdyby zajazd był uboższy, pewnie dziewczynę przyjęto by lepiej. Jaskier wywnioskował, że musi od niedawna zarabiać na chleb jako wędrowna śpiewaczka i jest, jak to mówią, żółtodziobem. Właśnie jeden z siedzących opodal mieszczan, odwrócony od Jaskra szerokimi plecami okrytymi kosztownym sukniem, przywołał młodego praktykanta i szepnął mu coś na ucho.

Przegonią ją, pomyślał Jaskier.

Usiadł przy zarezerwowanym tylko dla niego stoliku w głębi sali (wygodnie było obserwować gości z tego miejsca, samemu nie będąc zbyt widzialnym, a dla Jaskra kwestia prywatności była zawsze istotna, przynajmniej w odniesieniu do niego samego). Spozrzeglwszy nadchodzącego rzutkiego właściciela gospody, przyzywał go gestem, zanim tamten skierował się ku dziewczynie. Ten zawahał się chwilę, lecz szybko uznał, iż niezmiennie hojnego Jaskra należy potraktować poważnie.

- Tamta... e... dziewczyna - oznajmił leniwie Jaskier. - Chciałbym wieszczę bez muzyki.

- Zaraz ją wyproszę, mistrzu - rzekł skruszony karczmarz.

- Panowie siedzący przy tamtym stole też są niezadowoleni...

- Chciałbym zatkać jej buzię jedzeniem - wyznał szczerze trubadur. - Zaciekawiała mnie ballada, którą wykonuje.

- Ależ ona jest strasznie brudna, mistrzu. Niech pan tylko popatrzy!

- Zanieście więc jedzenie do mego pokoju w podwójnych porcjach. I proszę powiedzieć Matyldzie, żeby zagrzała wodę.

Ponieważ wzmocnił swe polecenia brzęczącym argumentem, karczmarz nie

próbował protestować. Artysta może mieć w końcu swoje kaprysy...

Dziewczyna jednak była chyba zbyt zmęczona, by od razu pojąć, czego od niej chcą albo przeciwnie, zbyt dobrze wiedziała, czego mogą zażądać. Jedną brudną ręką przycisnęła lutnię do piersi, drugą wczepiła się w masywny stół, z którego nie zamierzała wstać. Karczmarz usiłował skłonić dziewczynę do pójścia na górę jak tylko się da najciszej, aliści wbrew temu pobożnemu życzeniu znalazł się, jak to zwykle bywa, w centrum uwagi, przez co poczerwieniał na gębę, nadał się i zaczął mocniej naciskać, niż należało. Dziewoja tym bardziej stawała okoniem. Gniewnie rozdęte nozdrza i oczy, błyskające spod chusty, zapowiadały zebranym dodatkowe widowisko. Jasne było, że wygonią przybłądę i zabawnie było obserwować, jak to się stanie.

Jaskier wstał z westchnieniem, odsuwając ciężkie krzesło i podszedł do paleniska.

Śpiewaczka zerwała się, odepchnąwszy nogą taboret. Bezceremonialnie wsadziła lutnię do plecaka, pozostawiając rękę za plecami, jakby się szykowała do ataku. Co tam ukrywała? Nóż? Zapewne...

- Ej - warknął karczmarz, cofając się - uważaj, ty...

Dziewczyna wyszczerzyła się w odpowiedzi. Miała drobne i równe ząbki. Zbyt drobne i zbyt równe. I bardzo białe.

- Dotknij mnie choć brudnym palcem, Dh'oine!

- Chodźmy - powiedział łagodnie Jaskier. - Chodź ze mną, Toruviel.

- Dlaczego się za mną wstawiłeś?

Elfka zręcznie i energicznie kroila wielki kawał ociekającego sosem mięsa własnym nożem, bardzo ostrym w istocie.

- Tak miło patrzeć na pognębionego wroga?

Czując się tutaj bezpieczna, zdjęła chustę z głowy, odsłaniając niewielkie, szpiczaste uszy.

Jaskier zastanowił się chwilę.

- Mógłbym odpowiedzieć, że nie walczę z kobietami... albo, że żadna nie jest mi wroga... lecz skłamałbym, Toruviel. Bywają jednak różni wrogowie. Uznaj, że obudziła się we mnie... powiedzmy, solidarność rasowa. Wiesz, że krew elfów daje o sobie znać nawet w ósmym pokoleniu.

- Wspaniale!... Nie masz w sobie ani kropli krwi elfów, mały Dh'oine.

Wbiła się w mięso ostrymi, nieludzkimi zębami.

- Jakże to?! - oburzył się Jaskier. - A moja uroda? Szczupła sylwetka i wysoki wzrost? Czy jestem podobny do... swoich? Sama powiedz?

- Jakich swoich? - zainteresowała się od niechcienia.

- Nieważne.

Zawahał się chwilę, potem z nowym animuszem chwycił dwoma palcami starannie zaczesaną grzywkę.

- I na dodatek te loki?

- Loki jak loki. Jak je zakręcasz? Śpisz całą noc w papilotach? Możesz imponować krwią elfów samiczkom Dh'oine, ale nie mnie.

Wzruszyła toczonymi ramionami, nie przestając kroić mięsa.

- Nie masz pojęcia, jak widać, że praktycznie nie ma udanego potomstwa ludzi i elfów. Niedługo żyje...

- Konflikt genetyczny - potwierdził Jaskier bez cienia irytacji. - Ale czasem zdarza się miłość, Toruviel. A miłość pokona wszystko...

- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

- Nie - wyznał Jaskier. - To jednak o niczym nie świadczy. Przede wszystkim, że miłość nie istnieje... Sama rozumiesz: jestem w końcu poetą. Gdyby nie cynizm, mamy byłby ze mnie bard. Ale gdybym jednocześnie nie skrywał na dnie swej cynicznej duszyczki wiary, że miłość jest jednak możliwa... też byłbym kiepskim bardem. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Toruviel kiwnęła głową w zadumie, wygarniając skibką chleba resztki sosu z

talerza.

- A co to takiego?

- Placek. Nazywają go mariborski pudding... danie pastucha... czy jakoś tak.

- Z czym to jest?

- Z cynaderkami, cebulą i marchewką.

- No dobrze. Wy, Dh'oine, czasami umiecie gotować. Nie tak źle, jak można się obawiać.

- Nauczyliśmy się. Przez tyle lat...

- Jak długo wam to zajęło? Żalodne...

- Tym bardziej zostaliśmy... obdarowani... i w końcu się nauczyliśmy.

Wiesz, Toruviel, tam jest ciepła woda w balii. Mogę wyjść, jeśli chcesz. Zaczekam w jadalni.

- Znam wasze przysłowie o darmowym serze w pułapce na myszy.

- Jesteś piękna - przyznał szczerze Jaskier. - Z moją urodą i talentem nigdy jednak nie musiałem płacić za miłość. Tym bardziej gorącą wodą... Właściwie, prawie nigdy. Za młodu różnie bywało...

- W burdelu?

- No tak, ale tylko w porządnym burdelach, że tak powiem. Prosta sprawa. Jesteś minstrelem. I kobietą. Mam pewną... przyjaciółkę. Właśnie dzisiaj powiedziała mi, że nigdy nie zrozumie, co to znaczy być jednocześnie kobietą i wędrownym minstrelem. Pomyślałem, że marny ze mnie poeta, skoro nie potrafię sobie tego wyobrazić. Próbowałem więc...

- Co?

- Możesz poprosić o co zechcesz. W granicach rozsądku, oczywiście.

- Jaki tam ze mnie trubadur?

Toruviel przysunęła do siebie placek i zaczęła pałaszować tak prędko, że Jaskier, który nie zdążył zjeść jak należy, śledził ze smutkiem każdy znikający kęs.

- Co najwyżej wyrobnik. - Masz jednak dobry głos - ocenił szczerze. - Nie ustawiony jak należy, ale mocny i czysty. Grasz też nie najgorzej, choć według innej szkoły, to jasne od razu. Oczywiście tylko dla specjalisty. Ciekawa aranżacja muzyczna. Tylko pieśń, którą śpiewasz, wyszła z mody sto lat temu.

Toruiel odsunęła pusty talerz i cicho beknęła.

- Więc teraz znów stanie się modna.

- Nie jestem pewien. Ażeby poruszyć ludźmi potrzebna jest artystyczna prowokacja. Wyzwanie. Coś, czego jeszcze nie było. Coś na wpół zakazanego. Dwuznacznego. Za to zechcą zapłacić. Trzeba rzucić im prawdę w twarz, ale jakby w przebraniu. Żeby ujrzeli w tym krzywym zwierciadle, jacy są podli, brudni i ohydni, a zarazem mogli być z siebie dumni. Rozumiesz?

- Nie.

- Jakżeby inaczej - mruknął Jaskier, zerkając z ukosa na przyciśnięty nożykiem rękopis Pół wieku poezji. - Jakżebyś mogła. Przecież nie jesteś człowiekiem. Dlaczego nie uciekaś?

- Co?

- No przecież chodziły słuchy, że wam się udało... Za chwilę otworzą się wrota albo już są otwarte i...

- Ard Gaeth... tak... Skąd o tym wiesz?

- Przecież jestem wędrownym bardem. Zawodowym zbieraczem pogłosek. Płacą za nie równie dobrze, jak za wzruszające ballady i przedstawienia... w każdym razie gotowi są zapłacić. Dlaczego więc nie wyjechałaś?

Toruiel powiodła palcem po blacie stołu w miejscu, gdzie pozostał okrągły ślad po kubku z grzanym winem.

- Wyjeżdżam. Wszyscy wyjeżdżamy. Ci, co jeszcze zostali. Zostałam, ale na krótko. Czekam na statek. Ostatni statek.

- Jakoś ci się nie spieszy. Ty przecież tak nienawidzisz ludzi... sam widziałem, jak wtedy aż przebierałaś nogami, żeby...

- Ponieważ...

Przestała rozmazywać na blacie kroplę wina, odwróciła się ku niemu i spojrzała prosto w oczy. Jej oczy były ciemne i błyszczące. Aby osiągnąć taki efekt jej rasię niepotrzebna jest belladonna, pomyślał. To przykre.

- Ponieważ, kiedy odchodziliśmy...

- Uciekaliście... - Złamałam nogę. Nie mogłam chodzić ani jechać. Kostka była pęknięta. Miałam gorączkę. A oni tak bardzo się spieszyli...

- Zostawili cię swoi? - spytał powoli Jaskier.

- Groziło nam niebezpieczeństwo.

Toruviel uniosła podbródek.

- Ściagała nas ta potworna... ta wasza... Czarna Dzierzba ze swoją zgrają zbirów. Kompletna wariatka. Psychopatka.

- Prawie tak ładna jak ty?

- Nie porównuj mnie z tą zdzirą. To był nasz świat, zanim tutaj się zjawiliście i zbrukaliście go swymi brudnymi łapskami.

- Tak, tak - odparł Jaskier łagodząco - oczywiście. Więc porzucili cię?

- Zostawili. Lepiej poświęcić jedną osobę, niż...

- Rozumiem, rozumiem. I co się z tobą stało?

- Leżałam na stogu siana. W końcu znaleźli mnie... Dh'oine. Ich syn zginął jako ochotnik, a córka... W każdym razie, kiedy nadeszła Dzierzba...

- Ukryli cię, napoili, nakarmili i opatrzyli nogę. A potem skierowali pościg w inną stronę. Zatrzymali u siebie, dopóki nie mogłaś chodzić.

- Tak. Skąd wiesz?

- Jestem człowiekiem.

- A jednak, wygadał się! A tak zmyślał! Krew elfów, Aen Seidhe... Po co ci to było, Jaskrze?! Na co?

- Dlatego że... W ogóle nie słuchałaś, co mówiłem o zwierciadle i mówieniu prawdy w oczy? Widzisz, Toruviel: bard po to jest bardem, żeby upiększać

banaly, ale my, ludzie, jesteśmy naprawdę zdolni do wszystkiego. W ostateczności stać nas na wiele. Wybacz, ale tym różnimy się od waszej nacji. Po was... zawsze wiadomo, czego się można spodziewać. Szybko się spalamy. Brak nam czasu, by wyrobić w sobie chłodny rozsądek. Musimy działać szybko, by przeżyć. Nieprzewidywalnie. Nielogicznie. W rozpacz i radości. W miłości i nienawiści. Wszystko to się mieści w każdym człowieku. Często jednocześnie, w tej samej chwili. Rozumiesz?

- Nie bardzo.

- O to właśnie chodzi - mruknął Jaskier. - O to chodzi.

- Zaraz... Jeśli ci, którzy jedzą teraz na dole... zorientowaliby się, że jestem elfką, zabiliby mnie? Tylko za to?

- Mogliby. - A mogliby... klepnąć po ramieniu, powiedzieć: „Nieźle wam dołożyliśmy!” i postawić piwo?

- Mogliby - potwierdził sztywno Jaskier. - Posłuchaj... Masz tam ciepłą wodę. Całą balię. Najeść się, wykapać i wyspać w ciepłej izbie, cóż może być lepszego dla nas, samotnych podróżników?

Toruviel uniosła powoli rozgrzane dłonie i rozchyliła poły męskiej kurtki, zdjęła ją, potem brudną, szerniałą na mankietach jedwabną koszulę, wyszywaną we wzór irysów i lilii, jak mimochodem zauważył truwer. Nie nosiła gorsetu. Piersi okazały się niewielkie ze sterczącymi ostro ciemnymi sutkami. Wystające obojczyki i żebra. Nie kobieta, lecz płaska decha. Nie zwracała na Jaskra uwagi bardziej, niż na psa siedzącego u stóp. Sprawdziła końcami palców stopy temperaturę wody w bali. Paznokcie u paluszków były różowe i błyszczące jak płatki róż. I całkiem czyste.

Nie mógł oderwać wzroku od jej stopki, cienkiej w pęcinie i wysokiej w podbiciu, która mogłaby zmieścić się w jego dłoni. W tym właśnie tkwił jej urok.

Wyczuła jego spojrzenie i odwróciła się, celując weń ostrymi szczytami

piersi.

- I oczywiście mam ci zapłacić w naturze, mały Dh'oine?

Jaskier wzruszył ramionami.

- Spałem już z elfką. Nic specjalnego.

- Ach, ty! - prychnęła gniewnie. - Jesteś samcem krótko żyjącego gatunku.

Więc jak śmiesz...

Nie zadał sobie trudu, by odpowiadać. Zaczął grzebać w torbie podróżnej i wydobył z niej po chwili czystą koszulę, co prawda nie jedwabną, lecz z cienkiego, gładkiego płótna, parę batystowych chusteczek do nosa, majteczki i pończochy.

- Mam jeszcze zapasową parę spodni do jazdy konnej - oznajmił - lecz obawiam się, że się w nich nie zmieścisz. Jesteś szersza w biodrach ode mnie...

- Jak to? - prychnęła znowu, siedząc już w wodzie po pas i dziarsko polewając się wodą z kubka, wznosząc fontanny rozbryzgów, jakby była wyskakująca z toni morską klaczką. - Jak to, szersza?! Ty napalony poecino, ty...

Przy każdym kolejnym rozprysku Jaskier kiwał głową z zadowoleniem.

- Bezczelny, pucułowaty, różowawy, ohydny...

- Ogień nie dziewczyna - zamruczał pod nosem.

- Czekaj - zreflektowała się w końcu - kpisz sobie, tak?

- No, nareszcie!

Jaskier usiadł z westchnieniem na krześle, wyciągając nogi.

- Gratuluję! Z poczuciem humoru u twojej rasy zawsze było nietęgo...

- Głupek - stwierdziła z pasją. - Bloede arse.

- W pewnym stopniu - przyznał Jaskier, napawając się od niechcienia widokiem długich, mokrych kosmyków oblepiających smukłą szyję i kościste ramiona. - Wiesz, Toruviel, naprawdę żałuję, że odchodzicie. Bez was będzie... nudno.

- Za to nam bez was...

- Teraz tak sądzisz. Zobacysz, Toruviel. Va'esse deirdeath aep eigan. Naprawdę. Wszystko ma swój kres. To naturalne. Fakt, że magia odchodzi z naszego świata wraz z czarodziejstwem... to również prawidłowe. Magia nie jest dla ludzi. Wam, żyjącym na wyżynach, łatwiej się nią parać. Myślę jednak, że nie zniknie całkiem. Zostanie jakiś ślad. Wspomnienie nieziszczalnego marzenia. Nostalgia.

- Dobrze wam tak - rzekła mściwie Toruviel, wyciągając z wody długą, białą nóżkę i wymachując nią w kłębach pary. - Wszystkie te przemądrzale czarodziejki i zarozumiali magowie będą nadymać się, udając, że mają moc niedostępną dla innych i zaczną uciekać się do tandetnych sztuczek. W końcu staną się tylko jarmarcznymi sztukmistrzami. Kuglarzami. To smutne.

- Dlaczego?

Noga natrafiła na opór. Toruviel wyprostowała drugą, tak samo białą i długą, co nietrudno było przewidzieć. Jaskier przyglądał się jej spod oka, jakby obserwował dzikie zwierzę. Trochę inne proporcje, bardziej wydłużone niż u naszych kobiet, cienko tam, gdzie u naszych szeroko... Kiedy elfki znikną, nasze niewiasty zaczną je naśladować, dręczyć ciało dietami w pogoni za niedościgłym ideałem. Nosić wysokie obcasy albo koturny, by przydać sobie wzrostu.

- Wasi czarodzieje są zbyt pewni siebie. Uważają się za mądrzejszych od innych. Według nich świat należy do nich, a reszta ludzkości to pył pod stopami. Dobrze im tak!

Toruviel owinęła ręcznik wokół bioder i energicznie otrząsnęła z siebie krople wody.

- Zmuszony jestem przyznać ci rację, Sor'ca. Nasi magowie stracili kontakt z rzeczywistością i może się to na nich zemścić dość szybko... ale nie o to chodzi. Ważniejsze jest to, że zanikną możliwości tam, gdzie wcześniej istniały. Pustka w miejsce nadziei. Wołanie bez odpowiedzi. I jak bardzo byśmy nie zadzierali nosa i wpatrywali się w pustkę, ona pozostanie pustką. Niebiańskie sfery... pozostaną

nieme. Bogowie... odejdą? Kto zostanie? Będziemy... samotni?

- Może to i lepiej.

Stała wiotka i blada koło balii. Wokół jej drobnych stopek zebrała się kałuża wody. - Wy, Dhtoine, nie znosicie żadnej konkurencji. Prędeż, czy później wyniszczycie wszystkie inne rasy. Wszystkie, jakie zostały: krasnoludy, niziolki, syreny, ostatnie driady. Wszyscy będą zmuszeni odejść albo, jeśli kochają wasz świat, a są i tacy, mój mały, różowy Dh'oine, zaczną się kryć po kątach, dziczeć, zamieniać się w potwory z dziecięcych bajek, w cień za plecami. Straszny cień, Ard taedh, zważ na to. Bo każdy cień w końcu staje się straszny!

- A czy wy, ludzie wyżyn, znosicie kogoś prócz siebie?

- Wszystkich oprócz was.

Odrzuciła ręcznik i stała teraz całkiem naga w drgającym świetle lampy olejnej, które zdawało się przenikać jej blade, szczupłe ciało, jakby na wpół przezroczyste.

- Wszystkich oprócz was. Mieliśmy nadzieję, że sami siebie zniszczycie w tej przeklętej wojnie, a my wam trochę w tym pomożemy, to wszystko.

- Ładne „trochę” - burknął, odwracając wzrok.

Wstał, ciągle na nią nie patrząc.

- Posłanie należy do ciebie. Zejdę na dół posiedzieć przy ogniu. Noc to dobra pora dla minstrela. Może uda mi się dopisać kolejny rozdział traktatu. Całkiem nieźle mi idzie, swoją drogą.

Elfka milczała. Mokre pasmo włosów leżało jej na ramieniu jak czarna żmijka.

- Dopiszesz go jutro.

- Nie myślę się co do twoich zamiarów?

- Mam nadzieję, że nie.

Zostawiając mokre ślady, podeszła do skrzypiącego łóżka, które przetrzymało już niejedne miłosne zmagania. Położyła się na koldrze,

zakładając dłonie pod głowę.

- Caemm a me, mały Dh'oine.

- I nie udusisz mnie podczas snu?

- Nie ręczę za to.

- Ufam, że to się stanie w porywie namiętności - rzekł Jaskier.

Była mokra i zimna jak żmija wodna, lecz jej dłonie okazały się ciepłe, podobnie jak oddech wionący w jego policzek.

- Powiedz... mówileś prawdę o tamtej elfce?

- Nie - przyznał się Jaskier. - Nigdy nie byłem z elfką.

- Też jestem pierwszy raz z takim, jak ty.

Uniosła się lekko na łokciach i zajrzała mu w oczy. W jej źrenicach odbijał się płomyk lampy, której nie zdążył zgasić.

Ona także nie kłamie, pomyślał.

- Piękny statek.

Toruviel z odrazą przekroczyła błotnistą kałużę na brukowanej uliczce.

- Bez wątpienia - uprzejmie zgodził się Jaskier.

W końcu każdy statek, który mógł ją zabrać daleko od śmierdzących Dh'oine, musiał być dla niej piękny. Chociaż tej nocy w pewnej chwili wydało mu się, że jest inaczej...

- Białe i lekkie jak mewa... albo półprzezroczysta muszla, świecąca od wewnątrz. Statki w ogóle są piękne, prawda? Czyste. Pachną dziegciem, drewnem i solą.

- Dziegieć jest środkiem sterylizującym - zauważył Jaskier. - Konowały przygotowują na jego bazie maź uzdrawiającą, bardzo pomocną w procesach zapalnych. Wyciągnie wszelki gnój...

- Tfu. Dlaczego musisz koniecznie wszystko trywializować? I dlaczego tutaj tak śmierdzi?

- To duże miasto. Piętnaście tysięcy mieszkańców to nie w kij dmuchał. A

ludzie, Elaine, jedzą, piją, a potem wydalają. Elfy tego nie robią? Czy też wydzielają, wybacznij ignorancję, wyjątkowo pachnący nektar?

- Zaczniemy od tego, że elfy nie mieszkają w miastach. Jak można żyć w takim brudzie i takiej ciasnocie?

- A... Shaerrawedd?

- To nie było miasto - sprostowała z rozdrażnieniem, omijając kolejną kałużę. - Przynajmniej w waszym rozumieniu tego pojęcia. To był pałac. Obiekt pielgrzymek i zachwyty, miejsce spotkań, dla piękna i miłowania. Wzrastał w środku lasu jak kwiat. Sam był kwiatem, wspaniałym kwietnym ogrodem. Był...

- Tak, rozumiem.

I oczywiście była tam sprawna kanalizacja, dodał w duchu.

Wdychał woń miasta nie tyle z przyjemnością, co z rodzajem nostalgii. Pachniało nie tylko ściekami. Z pobliskiej piekarni dochodził przemiły zapach upieczonego chleba. Z targu rybnego przy porcie lekki wiaterek przynosił odorek świeżych i, niestety, także nieświeżych ryb. W tawernie już od rana gotowali danie dnia: mięczaki, stwierdził Jaskier, pociągając nosem, raki morskie i dorady... Trzeba będzie tam zajrzeć w drodze powrotnej, znam tę tawernę, dania rybne mają doskonale. Jak to dobrze, że wojna się skończyła i można myśleć o zupie rybnej, nie zaś o głodzie i śmierci, a w perspektywie zostało jeszcze dużo życia bez lęku. Nawet jeśli za taką cenę. Jestem tchórzliwym defetystą. Wskoczyłbym na najbliższą gałąź, zamiast wziąć udział w bitwie pod Brenną... Bądźmy wobec siebie uczciwi. A może bym nie wskoczył. Sposób postępowania zależy od sytuacji. Czasem trzeba postąpić tak, a nie inaczej. Bo jesteś wśród przyjaciół, a wroga masz przed sobą. I jeśli nie ruszysz zadka i nie wspomogiesz drużyny, nie staniesz ramię w ramię i nie przetrzepiesz wrogom tyłka, stracisz szacunek do samego siebie.

A jak tworzyć ballady, nie ceniąc samego siebie?

Potem jednak wszystko się kończy i trzeba dalej żyć.

Zupa rybna to dobra rzecz. Zwłaszcza z mięczakami i koperkiem. Niezwykle ważne składniki. I różowe szyjki rakowe. Gdy zaczerpniesz łyżką, wyglądają na jej dnie jak płatki kwiatu. I wspaniałe białe kawałki ugotowanej, mocno pachnącej ryby. I zielenina.

Niektórzy dodają także seler, ale różne są zdania na ten temat. Jestem zwolennikiem starej szkoły, według której seler nie pasuje do zupy rybnej. Co innego por!

- No dobrze.

Stała trochę przygarbiona, z rękami w kieszeniach zapasowych skórzanych spodni Jaskra do jazdy konnej. Były na nią wyraźnie za duże, chociaż nie trzeba było podwijać nogawek. Dobrze zbudowana bestyjka!

- Pójdę już.

Jaskier przestąpił niezgrabnie z nogi na nogę. Nie mógł się w tej chwili pożegnać. Tym bardziej na zawsze.

- Na razie, Sor'ca, siostrzyczko. Nie smuć się, kiedy zostaniesz bez nas, ludzi - rzekł, wzruszając ramionami - i jeśli będziesz mogła... napisz choć kilka słów.

- Wyślę pierwszym feniksem pocztowym.

Uśmiechnęła się lekko wąskimi wargami i odwróciła, wciąż z rękami w kieszeniach (włosy i szpiczaste uszy skrywała pod Jaskrowym jedwabnym szalikiem). Odeszła krzywym zaułkiem. W kamieniach brukowych odbijało się mokre, szare niebo. Chyba też nie lubiła pożegnań.

Jaskier spoglądał za nią. Początkowo uliczka wznosiła się, dalej opadała i Toruviel odchodząca w porannej mgle wyglądała jak statek niknący za horyzontem. W końcu zdecydowanym gestem nasunął beret na czoło i zawrócił.

Krąży zamieć nad Brenną - mamrotał po drodze - krąży nad Jarugą... idziemy drogą niezmierną... niezmierną... ja wraz ze swoją lubą... wrogowie nas nie złamią... ani mnie, ni mą lubą... szumi wiosna nad Brenną... szumi nad Jarugą... pójdziemy w przepaść ciemną... wraz z pieśnią i mą lubą... w czarną

ziemię Brenny... nad spienioną Jarugą. Kłamali wam minstrele... nie ma miłości wiele na tym ziemskim padole... nie mówiąc o łożnicy... w której brak połowicy...

Nieźle się komponuje, ludzie to lubią. Beznadziejna miłość, przyprawiona szczyptą gorzkiego cynizmu. Przede wszystkim jednak trzeba spróbować ostrej, gorącej zupy z kopą mięczaków i szyjek rakowych. Potem trzeba zamówić wędzone węgore i dzban ciemnego piwa. Toruviel miała trochę racji, gdy chodzi o to miasto: do czego to podobne, żeby po ulicach laziły szczury? I w dodatku tak leniwie, jakby ktoś struł paskudy.

Trzeba by jeszcze dodać coś o białych wierzbach, które niczym damy kolyszą srebrzystymi wachlarzami nad zieloną wodą... Wierzba rozkłada srebrny wachlarz, jakby oczekiwała, że staniesz na brzegu swą białą stopą... by staremu poecie dać ostatnie schronienie... w dłoniach drobina światła... nienawidzę cię za to... i kocham.

Trzeba, swoją drogą, powiedzieć mistrzowi Goldkranzowi, żeby puścił w obieg niewielkie poręczne notesiki, łatwe do schowania w torbie albo kieszeni. I żeby miały przyczepiony na sznurku ołówek, zawsze na podorędziu. Wśród trubadurów rozejdą się jak świeże bułeczki, takie z cebulą i baraniną, które jak ugryziesz, pocieknie z nich gorący, ostry sos... Jedyna korzyść z tych przeklętych Nilfgaardczyków to ich kuchnia narodowa. Zaraza, ale jestem głodny! Przecież jadłem śniadanie!

Zazwyczaj mistrz Goldkranz, wydawca, którego Jaskier zaszczylił pierwokupem dwudziestu rozdziałów Pół wieku poezji, otwierał swą drukarnię wczesnym rankiem, pragnąc nieść kaganek oświaty ciemnym masom, lecz tym razem drzwi były zamknięte.

Jaskier zmartwił się z lekka. Miał zamiar złożyć świeżo napisany fragment i odebrać następnego dnia pachnącą farbą drukarską i klejem, oprawioną w skórę kopię. Bardzo na to liczył. Oczywiście bogacze mogą wesprzeć finansowo

minstrela z czystej miłości do sztuki, ale jeśli wręczy się takiemu mecenasowi egzemplarz swego dzieła z wymyślną, dziękczynną dedykacją... Jaskier wymyślił to całkiem niedawno, lecz rezultat zdążył go już przyjemnie zaskoczyć.

Dlatego też mocniej załomota! w masywne, okute żelazem drzwi.

Ledwie zdążył odskoczyć, gdy rumiana mieszcza w nocnym czepeczku wylała z balkonu zawartość nocnika wprost do rynsztoka.

- Szuka pan mistrza?

Niewiasta oparła bujne piersi o poręcz, wyraźnie pyszniąc się ich białoróżową obfitością. Dekolt był, że ho, ho, Jaskier widział to nawet z dołu.

- Ślicznotko!

Poeta strząsnął batystową chusteczką kroplę brunatnej cieczy z koronkowego mankietu. Chusteczka i tak przypominała ścierkę, podobnie jak mankiet.

- Jesteś równie bystra, jak piękna. Oczywiście, że szukam mistrza.

- Zachorował. - Biust zakolysał się uwodzicielsko. - Mówi, że brzuch go boli. Wszystko przez te ostrygi. Mówiłam mu, nie jedz, panie, ostryg poza sezonem. Ale czy mnie posłuchał? Zjadł wczoraj tuzin na kolację, więc go dzisiaj dopadło. Pan to pewnie mistrz Jaskier? Miałam okazję słuchać pańskiego śpiewu. Pieśń była taka smutna, że się spłakałam...

- Schlebia mi to, moja piękna.

Jaskier oglądał mankiet, marszcząc nos. Może by wrócić do gospody? Jednak słowo „ostrygi” miało dlań nieodparty urok. „Pod Flądrami” zawsze podawano świeże, kto jak kto, ale on wiedział o tym najlepiej. Zamiast ostryg można zamówić półmisek owoców morza w sosie cytrynowym z tartym czosnkiem... A może lepiej bez czosnku? Ma jeszcze parę wizyt przed sobą.

Dlatego też truver skłonił się, uchylając beretu.

- Proszę przekazać mistrzowi życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Ponownie uchylił beretu, po czym, podnosząc nogi wysoko i przeskakując

kałuże, by nie pobrudzić wytwornych ciżem z klamrami, skierował się ku narożnej kamienicy, przyozdobionej lekko kołyszącym się na zardzewiałych łańcuchach szyldem z niewyraźnym wizerunkiem flądry. Ślepiec ryby były, nie wiadomo dlaczego, jasnoniebieskie... Widocznie malarz zakochał się akurat w jakiejś błękitnookiej... flądrze? - domniemywał Jaskier.

Morska bryza wmieszała się w bijący z otwartych drzwi zapach smażonych ryb, przynosząc lekką woń spalenizny. Jaskier wciągnął nosem powietrze. To nie z kuchni „Flądry”, lecz z portu. Co się tam pali?

Okazał się jedynym klientem. Poranny tłumek pracowników portowych, wpadających tu przekąsić coś przed robotą, już się przewinał. Daleko było jeszcze do wieczora, gdy schodzili się stali bywalcy. Próżniacy pijący tutaj za dnia widocznie okazali się bardziej rozleniwieni od Jaskra.

Dlatego dorodna niewiasta w czepku (kopia tamtej, która wylewała zawartość nocnika z balkonu, tylko bardziej rumiana i pulchna, co było tutaj w cenie) radośnie i ochoczo wysłuchiwała zamówienia (długo się zastanawiał, co wybrać: zupę rybną czy z mięczaków) i wkrótce powróciła, stawiając przed gościem fajansową wazę, białą w niebieskie kwiatki. Głęboki talerz, z którego dumnie sterczała srebrna (pomyśleć tylko!) łyżka, zapotniały dzban zimnego piwa, kopa pąsowych raków w sosie cytrynowym posypanych koperkiem (gdyby Jaskier był malarzem, zamiast jeść chciałby je zaraz malować), świeżo wypieczona bagietka, masło czosnkowe i na oddzielnym talerzyku podsmażone dzwonka małej rybki, zwanej tu, nie wiadomo dlaczego, „babulka”.

Jaskier podwinął mankiety i niespiesznie zabrał się do raków. Dlaczego nikt nie pisze wierszy o jedzeniu? Jakże piękne są te raki i żółty szczupak morski z niebieskimi płetwami! Tyle piszą o miłości, a nic o jedzeniu. A przecież jedzenie jest lepsze, człowiek częściej się nim cieszy niż miłością... Jedzenie dodaje siłę, miłość odbiera. I w ogóle...

- Pusto tu dzisiaj, gospośiu.

Z chrzęstem ułamał ceglasczerwone szczypcy, z których sterczało różowe mięso, przypominające kwiatowy płatek.

Posługaczka wzruszyła pulchnymi ramionami.

- Też się zdziwiłam. Myślę, że zejda się do wieczora.

Stała za kontuarem, wspierając się o wilgotne, pociemniałe drewno łokciami z dołeczkami na przedramionach.

Jaskier wciągnął nosem powietrze. To nie z kuchni „Flądry”, lecz z portu. Co się tam pali?

Okazał się jedynym klientem. Poranny tłumek pracowników portowych, wpadających tu przekąsić coś przed robotą, już się przewinał. Daleko było jeszcze do wieczora, gdy schodzili się stali bywalcy. Próżniacy pijący tutaj za dnia widocznie okazali się bardziej rozleniwieni od Jaskra.

Dlatego dorodna niewiasta w czepku (kopia tamtej, która wylewała zawartość nocnika z balkonu, tylko bardziej rumiana i pulchna, co było tutaj w cenie) radośnie i ochoczo wysłuchała zamówienia (długo się zastanawiał, co wybrać: zupę rybną czy z mięczaków) i wkrótce powróciła, stawiając przed gościem fajansową wazę, białą w niebieskie kwiatki. Głęboki talerz, z którego dumnie sterczała srebrna (pomyśleć tylko!) łyżka, zapotniały dzban zimnego piwa, kopa pąsowych raków w sosie cytrynowym posypanych koperkiem (gdyby Jaskier był malarzem, zamiast jeść chciałby je zaraz malować), świeżo wypieczona bagietka, masło czosnkowe i na oddzielnym talerzyku podsmażone dzwonka małej rybki, zwanej tu, nie wiadomo dlaczego, „babulka”.

Jaskier podwinął mankiety i niespiesznie zabrał się do raków. Dlaczego nikt nie pisze wierszy o jedzeniu? Jakże piękne są te raki i żółty szczupak morski z niebieskimi płetwami! Tyle piszą o miłości, a nic o jedzeniu. A przecież jedzenie jest lepsze, człowiek częściej się nim cieszy niż miłością... Jedzenie dodaje siłę, miłość odbiera. I w ogóle...

- Pusto tu dzisiaj, gospośiu.

Z chrzęstem ułamał ceglastoczerwone szczypce, z których sterczało różowe mięso, przypominające kwiatowy płatek.

Posługaczka wzruszyła pulchnymi ramionami.

- Też się zdziwiłam. Myślę, że zejda się do wieczora.

Stała za kontuarem, wspierając się o wilgotne, pociemniałe drewno łokciami z dołeczkami na przedramionach.

- Wcześniej nie będzie tłoku.

- Dla takiej zupki i rybki rzuciłbym wszystko - oznajmił szczerze.

Pokój to nie tylko przeciwieństwo wojny, pomyślał. Odwołanie powszechnej mobilizacji, zamówienia dla budowniczych, prawie bezpieczne gościńce, negocjacje dyplomatów i zmiany na mapie politycznej. Pokój to także raki i smażona rybka. Już chciał zapytać szynkarkę, którą z uprzejmości nazywał „gosponią” (jakkolwiek nic nie wiedział o jej relacjach z właścicielem tawerny, choć z pewnością być jakieś musiały, sądząc po jej kształtach!), dlaczego ową rybkę nazywają „babulką”, lecz nagle wzdrygnął się i dłoń niosąca do ust rakową szyjkę ociekającą słonym sosem zastygła w pół drogi.

- Nie smakuje? - zaniepokoiła się szynkarka. ‘

Jaskier wskazał głową na jeden ze stolików u lady. Coś pod nim się poruszało.

- Och - rzekła dziwnie spokojnie posługaczka, choć nieco skonfundowana - tfu, co za paskudztwo!

Wyskoczyła zza kontuaru z miotłą na sztorc (jej biust zakolysał się przy tym pociągająco) i energicznie wetknęła ją pod stół. Coś tam pisnęło.

Jaskier przelknął odruchowo ślinę i odłożył rakową szyjkę na talerz.

- Kot wczoraj zdechł - tłumaczyła się niewiasta - zachorował nagle i zdechł. Dobrze łowił myszy. Dopóki polował, nie mieliśmy tu myszy ni szczurów... Trzeba będzie znaleźć nowego, bo paskudy harczą, kiedy kota w domu nie czują. Przy kuchni nie można sypać trutki...

- To pocieszające - stwierdził ponuro Jaskier.

Nagle stracił apetyt, chociaż dopiero co dosłownie konał z głodu. Oplukał końce palców w wodzie z plasterkami cytryny i chciał wytrzeć dłonie chustką do nosa, gdy nagle przypomniał sobie balkon i brunatną plamę na mankiecie.

- Piękna czarodziejko - rzekł czule - możesz podać mi ręcznik?

- Jak to? - zdumiała się, klaskając w pulchne dłonie. - A co ze szczupakiem?!

- Następnym razem.

Rzucił na stół kilka monet, potoczyły się z brzękiem po wygładzonym setkami rąk blacie, gdzie, częściowo zasłonięty półmiskiem raków, widniał wyskrobany napis: „Marta to dziwka!”. Ciekawe, co to za Marta? Przeniósł wzrok na dłonie szynkarki, białe, pulchne, z dołeczkami.

- Gosposiu? - spytał cicho. - Co to jest?

- To?

Nieco podwinęła rękaw, obnażając masę różowych plamek na przedramieniu.

- Od rana mam wysypkę. Nie boli, tylko swędzi. Zwykle, kiedy kwitnie goryczka, miałam taką piekącą, ale ta prawie nie...

Jaskier nie słuchał dalej.

Odsunawszy zydel, wybiegł na ulicę. Ledwo zdołał skryć się za rogiem, by zgięty wpół zwymiotować wszystko, co przed chwilą tak ochoczo spożywał.

„Catriona” płonęła pośrodku akwenu. Z kubryku wydobywał się gęsty, czarny dym, żagle czerniały i rozlaziły się, jakby ktoś chlusnął kwasem żrącym na obraz marynistyczny, maszty drżały w rozpalonym powietrzu. W ciemnej wodzie kołysało się i rozmazywało odbicie płonącego statku.

Tłumek gapiów, stojąc na pirsie, obserwował ginący kog.

Za ich plecami płonęły magazyny, również osnute kłębami czarnego, duszącego dymu. Płaty sadzy wirowały i osiadały na twarzach gapiów, na kamieniach brukowych, na błękitnej kamizelce Jaskra.

Nie wiedzieć skąd pojawili się strażnicy w szarych mundurach, którzy zaczęli energicznie rozpraszać tłumek na pirsie z okrzykiem: „Rozejść się!”. Gapie jednak nie dawali się łatwo rozpędzić.

Dowódca szarych stał opodal. Na rękawie jego skórzanej kurtki tańczył odbłaski pożaru.

- Pan także nie ma tu nic do roboty - zwrócił się do Jaskra.

- Nikt nie ma tu nic do roboty - odparł ponuro trubadur.

- A co z załogą koga?

Dowódca wskazał wygolonym podbródkiem na zajazd płonący wraz z magazynami. Stamtąd walił najgęstszy dym.

- Jasne - rzekł Jaskier, kiwając głową. - Tylko że to nic nie da. Zaraza jest już w mieście i rozchodzi się niczym pożar.

- Otrzymałem rozkaz - odparł z niechęcią kapitan - zabezpieczyć port i nikogo nie wpuszczać. Rozejść się!

Jego podwładni osaczyli tłum i zaczęli go spychać na boczne schody prowadzące do miasta.

- Będzie kwarantanna?

- Oczywiście. Zadba o to straż portu.

- Pewnie już się tym zajęli - zasugerował ze smutkiem Jaskier.

Znalazł ją siedzącą na pryzmie nadmorskich głazów. Port widoczny był stąd jak na dłoni, lecz szare morze i pusty horyzont ledwie majaczyły za gęstą zasłoną dymu, bijącego z nad portowego akwenu.

Siedziała, oplatając rękami kolana i wpatrywała się w morze.

- Nie przyplyną - rzekł Jaskier.

Toruviel drgnęła i odwróciła się.

- Co?

- Kwarantanna - wyjaśnił. - Widzisz ten dym? Wiesz, co oznacza?

Pokręciła głową.

- Wraz z „Catrioną” dotarła tutaj zaraza. Straszna epidemia. Nigdy nie słyszałem o takiej, Toruviel. Nawet magowie są wobec niej bezradni. Niechybna śmierć. Jeszcze dzień, dwa i w mieście nie zostanie żywej duszy...

Toruviel milcząc wzruszyła ramionami.

- Sądzę - podjął, siadając obok niej na kamieniu, a ponieważ siedziała na najwyższym, musiał zadzierać głowę, żeby patrzeć jej w oczy - że miasto zostanie zamknięte, by nie rozprzestrzeniać dalej zarazy. To im się jednak nie uda. Wojsko uciekło. Rozumiesz? Okupanci wzięli nogi za pas. Pożegnaliśmy ich drwinami i oklaskami, ciesząc się, że odchodzą. Kwarantanna jednak będzie utrzymana. Dlatego nie przyplynie żaden statek, Toruviel. Zwyciężą śmierć i strach. Jak zawsze, jak wszędzie. Śmierć i strach.

Mocno pocił się pod pachami. Odwinął mankiet i podciągnął rękaw do łokcia, by obejrzeć rękę. Skóra była wciąż czysta.

- Uciekaj stąd, Toruviel, Sor’ca. Nie zdążą ustawić bariery, mają za mało ludzi, ale wojska nilfgaardzkie mogą przecież zawrócić. Otoczą gród tak, że mysz się nie przemknie. Rozumiesz?

Milczała.

Fale przyływu zaczęły z lekka podmywać kamień, na którym siedział Jaskier. Podpływały i cofały się. Każda kolejna podchodziła trochę wyżej i dalej.

- Przyplyną po mnie - powiedziała, zapatrzona w horyzont.

- Komendant kazał spalić każdy statek, który próbowałby zawinąć do portu.

- Spuszczą szalupę. Podpłyną nocą. Po cichu. Przemytnikom się udawało, dlaczego nie naszym żeglarzom?

- Nie znają tutejszych mielizn i godzin przyływów. Nikt też, nawet elfy, nie zechce się pchać do zarażonego miasta.

To łączy ich z ludźmi. Nasz komendant nie boi się tego, co przyjdzie z zewnątrz, lecz tego, co lub kto wyrwie się stąd. Nie pozwolą ci uciec. Nasi ani twoi. Uchodź póki jeszcze możesz. Dopóki blokada nie jest szczelna.

Fale oblepiały kamień, na którym siedział Jaskier, ciemnymi pasmami wodorostów.

- My nie chorujemy, Dh'oine - oznajmiła głucho, nie podnosząc głowy. - Nie zarazę się. Wasza epidemia niestraszna tym, co przyjdą po mnie. Zaczekam. To żaden problem. A dlaczego ty nie uciekasz, złotousty Taedh? Co tu jeszcze robisz? Czemu nie uchodzisz dopóki możesz?

- Oczywiście, że uciekam, a jak myślałaś? Póki... ach, Bloede arse!

Wstał szybko, by zaraz zorientować się, że stoi w wodzie, która okrążyła na dobre jego kamień. Głaz, na którym siedziała Toruviel, został oddzielony od brzegu. Zastygła na podobieństwo kamiennej rzeźby, jaką w kraju księcia Aglovala wystawili na cześć syreny Sh'eenaz. Syrenka ponoć nie cierpiała owego monumentu. Twierdziła, że nawet z rybim ogonem wyglądała o wiele ładniej.

Jaskier, niewiele myśląc, pobiegł, plaskając mokrymi ciżmami, w stronę portu i białych schodów.

- Spójrz na to! Prawda, że śliczne?

Suknia była istotnie wspaniała, z szaroniebieskim atlasowym stanikiem wyszytym motywami passiflory, w rozcięciach błękitnych aksamitnych rękawów przeblyskiwał biały atlas...

- Zobacz zapinki na gorsecie. Też jak kwiatuszki passiflory. Kość słoniowa i masa perłowa. I malutkie owoce granatu. Gorset i tiumiura na wielorybich fiszbinach. Ostatni krzyk mody. Sprowadzał je z Nilfgardu. A woal aż z Zerrikanii. Zwróć uwagę na te srebrne pasemka na niebieskim... Jest jeszcze zielonozłoty, ale trzeba uszyć do niego drugą suknię...

W zielonym mi nie bardzo do twarzy, jak sądzisz? Potrzebna jednak będzie suknia wizytowa i jest materiał... Ciemnozielony aksamit, a gdyby tak obszyć go po brzegach...

- Essi - przerwał Jaskier.

Spojrzała na niego ciemnoniebieskim oczkiem, potem drugim, gdy

odgarnęła grzywkę.

- Jutro mu się polepszy. To tylko lekkie niedomaganie. Nie trzeba się o niego troszczyć, wszystko gotowe... Kucharka trochę się spóźnia. Wysłałam pacholka, ale jeszcze nie...

- Essi...

- Do tego pantofelki - podjęła z troską. - Mam atlasowe, haftowane, ale nie pasują kolorem. Zobacz...

- Essi - powtórzył po raz trzeci. - W mieście panuje dżuma. Sprowadziła ją na nas „Catriona”. Nie wiem, co za cholera, ta dżuma, nie słyszałem jeszcze o takiej. Ludzie konają na ulicach. Nie zmyślam, po drodze tutaj widziałem dwa trupy. Twój Holm nie zapadł na zwykłą gorączkę. Miał styczność z „Catrioną” jako jeden z pierwszych. Kucharka pewnie leży teraz w malignie, jeżeli jeszcze żyje. Pacholek nie wraca, bo pewnie uciekł na wieść o zarazie. Rozumiem go zresztą. Sam...

Miał ochotę wyrwać jej z rąk ten przeklęty fatalaszek i rozedrzeć na dwoje. Powstrzymał się, zgrzytając zębami.

- Bałem się, że i ciebie dopadła. Zaraza nie oszczędza nikogo. Gdybyś tylko zobaczyła, co się dzieje w mieście. Uciekajmy, póki władze się nie spostrzegły. My... to znaczy ja nie jestem idiotą, przeczekał to w lesie... Miesiąc lub dwa. Żeby uniknąć zarażenia. Weźmy jak najwięcej prowiantu, żeby nie musieć żreć trawy. Dopóki panuje chaos... Na razie mają za mało ludzi, ale kiedy rzecz dojdzie do Nilfgaardu, najeźdźcy utworzą kordon. Wtedy nawet mysz się nie przemknie.

Komuś już to niedawno mówiłem? To o myszy... Ach tak, Toruviel. Kurwa mać, wszystko miesza mi się w głowie. Może już dla mnie za późno. Może się zaraziłem.

- Uciekać? - spytała, szeroko otwierając oczęta. - Nie przesadzasz, Jaskrze? To tylko twoje poetyckie fantazje, prawda?

- Wychodziłaś dzisiaj na zewnątrz?

- Nie, miałam tu tyle zajęć... I Holm trochę zaniemógł. Posłałam po medyka, ale także się spóźnia...

- Uciekł albo nie żyje - podsunął ponuro Jaskier.

Odczuwał swędzenie na całym ciele. Szczególnie nieprzyjemnie piekło pod pachami. Znów ukradkiem zerknął na swoją rękę. Na razie niczego.

- Skoro jeszcze nie zachorowałaś, może ujdiesz cało. To niemożliwe, by wszyscy zarazili się jednocześnie. Jeśli się pospieszysz...

- A Holm?

- On jest stracony, Pacynko. Zostało mu najwyżej parę godzin życia. Wkrótce zacznie majaczyć i... nawet nie będzie wiedział, czy jesteś przy nim. Będzie mu wszystko jedno.

- Myślę...

Essi patrzyła przed siebie, machinalnie mnąc w dłoniach jedwab i niebieski aksamit, palce przebierały po kwiatnych zapinkach.

- Myślę, że cała służba się rozproszy. Rozbiegną się, prawda? Każdy woli umierać w domu. Nawet w najnędzniejszej chatynce... Zawsze, dom. Nigdy nie miałam domu, w którym chciałabym umrzeć. Dziwne, prawda? A kiedy wreszcie go mam...

- Essi!

- Wśród swoich.

Essi wstała, wzdychając. Suknia zsunęła się z jej kolan i zastygła u stóp jak malutkie oczko wodne. Nie patrząc, odkopnęła ją na bok czubkiem bucika.

- No dobrze, Jaskrze. Wybacz, muszę iść do Holma. Na pewno mnie wołał, tylko tutaj nie słyhać. To duży dom.

Jaskier chwycił ją za rękę. Jej dłoń była zimna, paluszki lekko drżały.

- Essi, ten cały Holm... nie kocha ciebie i nigdy nie kochał. Związał się z tobą z próżności. Schlebiali mu to, jak to burżujowi. Szykownie mieć za żonę

znakomitą śpiewaczkę. Żeby śpiewała dla gości... dla ważnych person. Żeby... polepszyć warunki transakcji. Rozmiękczyć kontrahentów. Zrobiłby wszystko w tym celu. To nie ma nic wspólnego z miłością, Essi. Zwykle wyrachowanie. Ktoś musi prowadzić dom i podejmować gości, dyrygować służbą. Żeby było czysto i obiad podany na czas. Ty też go nie kochasz. Chciałaś po prostu cichej, spokojnej przystani. Później, w ogniu sprzeczki, jakie często bywają między małżonkami, nie omieszkałby ci wypomnieć, że wziął za żonę wędrowną bardkę o wątpliwej reputacji, biedną jak mysz kościelna. Że powinnaś mu być dozgonnie wdzięczna... Tak, myszko... To też był rodzaj kontraktu. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparła, kiwając głową. - Ja... no tak... on jest dobrym człowiekiem, sam wiesz... ale jak mogłam go pokochać? Kto raz widział słońce, nie zadowoli się byle świeczką.

- No widzisz! Sama przyznajesz. Chodźmy stąd, Essi.

Coraz mocniej świerzbiło go pod pachami. Czy to już?

Strasznie szybko!

Puścił jej palce i zaczął się drapać dyskretnie.

- Lepsza jednak świeczka w garści, niż... Możemy ją sami zapalić. - Wyprostowała się, prężąc ramiona. - Rozumiesz? To zależy od nas. Słońce jest daleko na niebie... Zostaję, Jaskrze.

Jaskier wyobraził sobie, jak zbiega po schodach kamienicy, przebiega między dwiema niepotrzebnymi, czysto symbolicznymi kariatydami u bramy i biegnie dalej pustymi ulicami, a stukot butów odbija się echem w zaułkach. Kurwa mać i tak już po nim!

Westchnął głęboko.

- Zaczekam na ciebie, Essi.

- Naprawdę?

- Naprawdę, Pacynko.

Też westchnęła przeciągle, pochlipując jak dziecko.

- Tak się boję - powiedziała cicho ze łzami w oczach. Odbijający się w nich szary świt okazał się jaśniejszy, niż był w istocie.

- Nie bój się, moja mała - rzekł, obejmując ją ramieniem.

- Jestem przy tobie i nie zostawię cię. Artystyczna bohema powinna trzymać się razem.

Palilo go pod pachami.

Mistrz Holm majaczył.

Drobna początkowo wysypka na rękach zamieniła się w większe plamy, później w wydłużone sine smugi. Spod półprzymkniętych powiek wyzierały białka.

- Essi...

Uniósł się na łokciu, nie unosząc powiek, choć Jaskier widział rozbiegane gałki oczne, jakby chory chciał obejrzeć cały pokój.

- Tak, kochany?

Essi wyjęła szmatkę w miednicy z rozpuszczającym się lodem, zamoczyła i znowu położyła na jego twarzy.

- Jestem tutaj.

- Ciągłe cię wołam - wymamrotał kapryśnie.

- Jestem przy tobie, kochany.

- A dlaczego cię nie widzę?

- Dlatego, że...

Na chwilę zacięła się, przygryzając wargę.

- Dlatego, że jest ciemno.

- Aha.

Nieco uspokojony położył się znowu. - Spodobała ci się suknia? Przymierz ją, dobrze? - Dobrze, mój miły. - I pokaż się w niej. Daj na siebie popatrzeć. Jesteś taka piękna. Essi, trzymając go za rękę, zaszlochała i drugą dłonią otarła

lżę. - Zerrikański jedwab. Gładki i lśniący jak wodna tafla... Najgładszy na świecie, wiesz o tym?

- Niewiele wiem o zerrikańskim jedwabiu - odparła, znowu szlochając.

- W Nilfgaardzie też wyrabiają jedwab, ale gorszej jakości. Nie potrafią wyhodować tak długich nici... Dobrych nici jedwabnych. Długich na dwa tysiące łokci. Wiesz, że Nilfgaardczycy warzą kokony, by wygotować kleisty śluz... sam widziałem, jak lekkie są te kokony. We wrzątku się rozpadają na poszczególne nitki i właśnie tak je uzyskują. Zerrikanie robią inaczej, sprytniej. Wyciągają nić z samego środka kokonu, dopóki w nim siedzi jedwabnik i...

Kurwa, klął w duchu Jaskier, rzucając ukradkowe spojrzenia na ciągle czyste i białe nadgarstki, nigdy nie sądziłem, że jedwab tworzy się z takiego paskudztwa.

- Chciałem dla ciebie wszystkiego, co najpiękniejsze. Wszystko rozumiem, turkaweczko. Jestem zwyczajnym kupcem. Znam się tylko na jedwabiu... i na suknie. Sukno sprzedaje się lepiej od jedwabiu, wiem co mówię. Tu na północy wyrabialiśmy piękne sukno, nie gorsze od nilfgaardzkiego. Dopóki Nilfgaardczycy nie spalili wszystkich szwalni. Sprzedajemy teraz ich wyroby. Oto przyczyna, dla której obie strony rzuciły się sobie do gardeł. Kto komu ma sprzedawać sukno. W gruncie rzeczy, turkaweczko, polityka sprowadza się do kwestii sukna. Wojna jest przedłużeniem polityki. To bardzo proste. Żadnego waszego... patriotyzmu. Jesteś tu jeszcze?

- Tak, umiłowany - odpowiedziała Essi i otarła nosk łokciem, bo trzymała teraz Holma za rękę obiema dłońmi.

- To dobrze. Przywidziało mi się, że odeszłaś w ciemność. Wiem, że mnie nie kochasz, prawda? To wszystko dlatego, że... miałaś dosyć włóczęgi. Rozumiem, jakie to ciężkie, zwłaszcza dla dziewczyny. Dla młodej kobiety. Szczególnie w jesienny wieczór... gdy wszyscy idą do domu, a ty nie masz dokąd iść... chciałoby się mieć swój dom. Ognisko domowe. Spanie w czystej

pościeli. Pomyślałem, że moja turkaweczka chce uwić gniazdo. Byłem taki szczęśliwy, że chcesz się u mnie zadomowić. Bałem się, że ty... Wiesz, marynarze łą, że na dalekich wyspach mieszkają ptaszki bez łapek, które nigdy nie siadają na ziemi ani na gałęziach. Rodzą pisklęta, kochają się, żywią i umierają w niebie. Nazwałem cię turkaweczką, ale gołębice, moja ukochana, zawsze wracają do domu. Ty jesteś rajskim ptakiem, wciąż krążącym po niebie... Bardzo chciałem, żeby było ci u mnie dobrze. Ta suknia jest jak upierzenie rajskiego ptaka... Czemu tutaj tak ciemno? Essi... To twoja ręka? Essi...

Westchnął, drgnął i zeszywniał.

Essi płakała bezgłośnie, tylko łzy ciekły po policzkach.

- Nikogo nie należy oszukiwać, prawda? - rzekł Jaskier, ujmując jej ramię. - Zwłaszcza losu. Chodź... polatamy po niebie.

- Jak to?

- Melitele zatroszczy się o niego. To miłosierna bogini. Przeprowadzi go przez bramy niebios. Nie obchodzi jej, czy został należycie pochowany. Zresztą zaraz tu może zjawić się ekipa grzebalna.

- Doprawdy? - spytała dociekliwie.

- Oczywiście.

Pchnął ją lekko w stronę drzwi. Ekipa grzebalna zjawia się z hakami i pochodniami, ale tego nie chciał jej mówić.

- Lutnia! - krzyknęła, klaskając w dłonie. - Moja lutnia.

A czort z nią, miał ochotę rzec Jaskier, lecz się powstrzymał.

- Tylko szybko. Bierz lutnię i w nogi.

Pod kariatydami leżało coś podobnego do kupki szmat. Dalej jeszcze jedna. Essi zadrżała i chwyciła go za rękę.

- Nie patrz.

Jaskier ominął martwego szczura z łapkami rozplaszczonymi na bruku.

- Zaraz stąd wyjdziemy, będzie lżej.

- Co tak śmierdzi?

Essi zmrużyła oczy i wczepiła się w jego ramię jak przerażone dziecko.

- Pewnie pożar.

Nie mógł zamknąć oczu i bardzo tego żałował.

- To nie zapach palonego drewna.

- Dużo różnych rzeczy się pali.

Gęsty czarny dym snuł się nad kwartałem domów garbarzy i dalej, nad dzielnicą rybaków. Niebo wisiało nad miastem ciężkie, szarawe i oślizgłe jak rybia łuska.

Essi trzymała go za rękę, oczy miała przymknięte tak, żeby trochę widzieć przez rzęsy, zazwyczaj puszyste, teraz wilgotne i sterczące jak igielki.

Mijali domy z szeroko otwartymi drzwiami i takie, gdzie drzwi i okna były zawarte na głucho. Z niektórych dochodziły kobiece lamenty, inne pograżone były w ciszy, niczym w stojącej wodzie.

- Miasto to jednak ohyda.

Essi trzymała go za rękę, nie mógł się więc podrapać, podczas gdy skóra nie świerbiła już, ale paliła.

- Nie cierpię smrodu rynsztoków i śmietników. Masz rację, Jaskrze, miasto nie jest dla takich, jak my. Chciałabym być teraz w lesie. W takim prawdziwym, sosnowym, świetlistym. I żeby był mech i takie żółte kwiatuszki... jak one się nazywają? Narcyzy... A może inaczej? Zielone i żółte. I żeby przez gałęzie padały promienie słońca. Luki światła pomiędzy pniami jak słoneczne kolumny. Pachnie sosnami, nagrzaną trawą i mchem, i...

- Narcyzami? - wymamrotał Jaskier przez zęby.

- Tak! I żeby była tam jakaś woda. Mały strumyczek przebijający się wśród kamieni i mchów, wiesz, taki...

Mówiła półprzytomnie, Jaskier zaś, ostatecznie przekonany, że plaga „Catriony” dotknęła go swymi kościstymi palcami, nie mógł się zorientować, czy

Essi bredzi w gorączce, czy wyraża w ten sposób swój zapal.

- Czysta, chłodna woda... i tańczące na niej światło. A gdy zaczerpniesz jej garścią, jest jak zimny, przezroczysty kamień, jak płynne szkło, kąsa zęby, ale jest słodka, tak, Jaskrze, słodka jak cukier. Mówią, że nie ma smaku. Bzdury. Tutaj, w mieście nie ma smaku, ale w lesie...

Nie słuchał zbyt uważnie jej bełkotu. Niech gada, skoro od tego jej lżej.

Szli w górę portu i szum morza, odbijający się echem w krętych zaułkach, był coraz cichszy.

Solidne kamienice, zamieszkałe przez porządnych kupców i mistrzów cechowych, zastąpiły niewielkie białe wille, figlarnie wychylające się z ogródków i przystrzyżonych żywopłotów. Ulice stały się szersze, otwarte na place z rześzystymi fontannami, jezdniami nieskażonymi stopą przechodniów, po których swobodnie mogły jeździć powozy z poczwórnym zaprzęgiem. Teraz były puste.

- Otwórz oczy, Essi.

Jaskrowi znudziło się odgrywać rolę małego przewodnika ślepego barda.

- Już można.

Ufnie uniosła powieki. Nawet pachniało tutaj inaczej: kwiatami, zielenią i mydłem, jakim zmywano marmurowe płyty.

- Proszę państwa! Na ganek wybiegła dziewczynka. Jej zgrabne pantofle deptały syreni ogon na mozaice.

Essi drgnęła, jakby chciała uciekać, stanęła jednak, z całej siły przytrzymując Jaskra, który nie miał zamiaru odwracać się, chociaż nie przyspieszył też kroku.

- Tak, dziecko - mruknął niechętnie.

Panienka była dobrze wychowana, nie zapomniała zatem wykonać pospiesznego dygnięcia.

- Mama zachorowała. Powiedziała, że głowa ją boli, zamknęła oczy, położyła się i nie wstaje. Chciałam posłać po pomoc służącą, ale gdzieś zniknęła.

Teraz Jaskier miał ochotę zamknąć oczy.

Podczas wojny, pomyślał, widziałem sporo trupów kobiet i dzieci. Na początku było mi ich żal i zbierało się na płacz, potem jednak dusza skamieniała i odwracałem oczy od małych trupków, jakby to były połamane lalki lub coś w tym rodzaju. Lalek byłoby nawet bardziej żal, gdyż były rzadsze. Dlaczego więc teraz coś takiego sprawia ból? Kim oni są, by testować naszą wytrzymałość? I po co?

- Wiesz, gdzie mieszka lekarz, dziecko?

Dziewczynka niepewnie wskazała w głąb ulicy.

Jaskier potarł w zadumie wargę.

- Wiesz co - rzekł w końcu - możemy cię zaprowadzić do doktora. Ulice stały się... trochę niebezpieczne, pełne złych ludzi.

- Tak - zgodziła się panienka. - Mama mówiła, żebym sama nie chodziła po ulicy, w żadnym wypadku. Bo zdarzają się źli ludzie. Są brudni i brzydko pachną. Mogą ubliżyć, mówiąc złe, ordynarne słowa. Nie może pan sam pójść po doktora?

Widocznie, uznał Jaskier, jesteśmy dla niej wystarczająco brudni, by to uczynić.

- Nie, dziecko. Spieszmy się w swoich sprawach.

- Jaskrze - powiedziała cicho Essi - możesz mnie chwilę posłuchać?

- Wiem, co mi powiesz, Pacynko - odpowiedział szeptem.

- Wiem też, co ty mi powiesz: Ile dzieci umiera teraz w tych cichych domach za zamkniętymi drzwiami. Jaki sens zajmować się tą jedną...

- Zaproponowałem, że odprowadzę ją do lekarza. Nie mogę zaciągnąć jej siłą.

- A jeśli doktor... skoro go już nie ma? Biedna dziewczynka.

- Całkiem bogata.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Pozwolisz umierać jej tutaj w gorączce, bez

żadnej pomocy ani opieki? Pozwolisz stać się ofiarą rabusiów? Maruderzy na pewno się zjawia, Jaskrze. Wieczorem, gdy stanie się jasne, że władze są bezsilne i... Geralt nie pozwoliłby na to.

Spochmurniała, a wielkie niebieskie oczy utkwiała w jednym punkcie. Jaskier znalazł to spojrzenie.

- Zrobiłby wszystko, co w jego mocy...

- Nie kluj mnie w oczy Geraltem - wybuchnął. - Dlaczego od razu uważasz mnie za podleca?

- Wybacz, nie chciałam...

Panienska obserwowała ich oboje z zainteresowaniem, jakby czekała, kiedy zaczną mówić złe, ordynarne słowa. Potem na wszelki wypadek znowu dygnęła.

- To może jednak pan mnie zaprowadzi do lekarza? Lepiej, jak pójdę z wami - oznajmiła z godnością. - Nie jesteście tak bardzo brudni. Chyba bywają gorsi.

- Chodź - zgodził się Jaskier, machnąwszy ręką z rezygnacją. - Dokąd trzeba iść? Tam?

- Zgadza się. Najpierw duży dom z kolumnami, większy od naszego. I ogród. Dalej następny ogród i dom doktora. Ma całkiem ładny zaprzęg, wicie? Prawie jak nasz. Tylko nasze konie są czarne, a jego siwojabłkowite.

- Jasne. Siwojabłkowite.

Co zrobimy, jeśli doktor też się zmienił w pacjenta? Ciągnąć ze sobą tę dzierlatkę?

- Myślę, że mama umiera - rozmyślała głośno panienska, tupocząc na gładkich płytach chodnika - i zostanę sierotą. Ciocia Agata mówiła, że będę kiedyś bogatą dziedziczką.

- A tatko? - spytał ostrożnie Jaskier.

- Papa już nie żyje - oznajmiła.

Jaskier nie zrozumiał, czy jej ojciec zmarł dopiero co, czy też jakiś czas temu, lecz wolał tego nie roztrząsać.

- Biedactwo - powiedziała Essi, pociągając nosem.

- Wszyscy współczują sierotom - stwierdziła dziewczynka, ufnie ujmując dłoń Jaskra. - Dają im cukierki i różne takie.

- Miejmy nadzieję - bez przekonania rzekł Jaskier. - Miejmy nadzieję.

- I nie mają guwernantek - dodała marzycielsko.

- Zamilknij, dziecko, dobrze? - zasugerował bard.

Gdzieś całkiem blisko zabrzęczało osypujące się szkło. Rabusie najwyraźniej nie zamierzali czekać do wieczora.

Bo faktycznie można się nie doczekać. A ja mam tylko lutnię i dwie baby, przy tym jedna całkiem malutka. Choć i na taką znajdują się amatorzy.

- Chodźmy szybciej.

Jaskier ścisnął mocniej delikatną rączkę cudzej córeczki i przyspieszył kroku.

- Co się dzieje, Jaskrze? - zaniepokoiła się Essi.

- Myślę, że to źli ludzie - rezolutnie stwierdziła panienka.

- Owszem - potwierdził, rozglądając się za odpowiednią kryjówką. - Źli ludzie.

- Nie dacie rady ich zabić?

- Czym? - zapytał sucho Jaskier. - Moją lutnią?

- A nie macie sztyletu? Guwernantka czytała mi o przygodach dobrego zbója Orlando. Kiedy napadło na niego aż dziesięciu złych zbójców...

- Zamilcz, proszę - syknął Jaskier przez zęby.

Zastygł w cieniu masywnego, kamiennego muru, dając znak Essi, by także się przyczaiła, i zaczął nasłuchiwać.

Brzęk szkła rozległ się znowu, lecz jakby trochę dalej. Potem z większej odległości dobiegł kobiecy krzyk.

- O co ci chodzi? - burknął ponuro Jaskier, odpowiadając na spojrzenie Essi.

- O nic - odparła, lekko wzruszając ramionami.

Nie jestem wiedźminem, myślał trubadur, usiłując uspokoić kołatanie serca.

Nie walczę z potworami. Nie bronię słabych i uciśnionych. Szczerze mówiąc, jestem tchórzem, ale poeta ma prawo być tchórzliwy. Specyfika profesji. Nadmiernie rozwinięta wyobraźnia. Wojna się nigdy nie kończy. I coraz częściej ludzie okazują się najgorszymi potworami...

- Oni także są zarażeni - zauważyła ze smutkiem Essi. - Nie rozumieją tego?

- Właśnie o to chodzi, że rozumieją. Chodźmy, tylko cichutko. Trzymajmy się muru, Essi, tego gęstego bluszczu...

- Ukryjemy się, tak? - powiedziała dziewczynka. - Dobry zbój Orlando też się ukrywał, gdy go ścigali żołdacy barona Czarnego Lasu... Wykopał sztyłem niewielką jamę... Doktor też jest przystojny jak Orlando, ale starszy, jak pan.

- Dzięki - odparł z roztargnieniem Jaskier, wsłuchany w odległe hałasy.

Czarny dym, unoszący się nad dzielnicą rzemieślników, stał się gęsty jak ściana, a chociaż nie dotarł wciąż tutaj, dzięki wieczornej bryzie, w powietrzu czuć było swąd spalenizny.

Doktor istotnie był młody i przystojny, jaki powinien być lekarz w bogatej dzielnicy. Miał pięknie podstrzyżone loki i wytworną kamizelkę. Zaprzęg miał także wytworny. Świetna para klusaków, pomyślał Jaskier, paradna. Medyk sadowił się właśnie w powozie. Bryczka też była niezła, choć niespecjalnie ozdobna.

- Nawiewa pan?

Jaskier zastąpił drogę i chwycił za końską uzdę.

- Daje drapaka? Bierze nogi za pas?

- A co można zrobić innego? - Doktor momentalnie ocenił sytuację i wybrał ton poufnych zwierzeń. Głos także miał piękny. - To przecież dżuma. Niesamowicie sroga gorączka krwotoczna. Nigdy nawet nie czytałem o takiej. Stuprocentowa śmiertelność. Nikomu się już nie pomoże.

- Ale służba zdrowia...

- A pan kto? - zapytał oschle medyk.

- Poeta. A bo co?

- Powinien pan cierpieć za miliony. A też zwiewa.

- Nie składałem przysięgi lekarskiej...

- W dupie mam przysięgę - odrzekł doktor, zerkając na bat przy koźle. -
Mówilem, że nikomu nie można pomóc.

- Wielmożny panie doktorze! - zawołała dziewczynka, puszczając dłoń Jaskra i wybiegając naprzód. - Pamięta mnie pan? Ja pana dobrze pamiętam. Pan przychodził do mojej mamy. To ja, Mitzi Golbah!

- Oczywiście, że pamiętam, dzieciно.

Ewidentnie wolałby, żeby panna Golbah miała gorszą pamięć.

- Mama zachorowała - trajkotała panienska, wyraźnie ucieszona widokiem znajomej twarzy - a służąca gdzieś znikła. Myślę, że umarła. Albo uciekła. Chciałam posłać po pana, ale ci mili ludzie łaskawie zaproponowali, że mnie zaprowadzą, chociaż tak się bałam, tak bałam...

- Wszystko to bardzo ciekawe - odparł doktor, ostrożnie pociągając za lejce, choć Jaskier nie wypuścił uzdy - ale bardzo się spieszę, dzieciно...

- Jest pan kompletnym lajdakiem? - zapytał cicho Jaskier.

- A pan? - tak samo spytał medyk, patrząc mu prosto w oczy.

Po chwili namysłu rzekł:

- Dobrze. Słuchaj, dzieciно... Podwiń rękawek, podciągnij go, o tak...

- Po co?

- W celach medycznych... W zasadzie skóra czysta. Żadnych oznak.
Wsiadaj.

- Pan...

Dzieweczka zachłysnęła się aż z zachwyty i machinalnie dygnęła.

- Zabierze mnie z sobą? Pojedziemy powozem? Czy tak?

- To bogata dziedziczka - rzekł z namysłem doktor, zwracając się do Jaskra -
i wkrótce pełnoletnia.

- Ciocia Agata - przytaknął bard - mówiła to samo.

- Pieniądze złożone w nilfgaardzkich bankach i to niemałe. Jeśli uda się potwierdzić prawo do spadku... Mój brat jest prawnikiem.

- Naprawdę się pan ze mną ożeni?

Panienska bez namysłu wdrapała się do powozu i usiadła, rozkładając wdzięcznie fałdy spódniczki.

- We właściwym czasie - odrzekł z roztargnieniem.

Jaskier puścił uzdę i zszedł na bok. Lekarz ujął lejce, wzdychając z ulgą.

- Nie jestem zupełnym draniem - szepnął - lecz tamci są zarażeni. Mój asystent dzisiaj nie przyszedł. Aptekarz... Wszystko jasne.

- Aha - zgodził się bard z odrazą. - Wszystko jasne.

- Tak więc proszę wybaczyć, mistrzu - rzekł lekarz, uruchamiając pojazd - i ty, pani. Pozostanę waszym wielbicielem.

Obserwowali, jak powóz coraz szybciej toczy się po ulicy. Doktor znakomicie powoził, kopyta rumaków krzesaly iskry, a panienska machala rączką, dopóki nie zniknęli za rogiem.

- Niczego jej nie żal? - zdziwiła się Essi. - Zostawiła konającą matkę?

- Pożałuje po latach. Gdy zyska świadomość, co się stało. Jeśli kiedykolwiek zrozumie. I oczywiście, jeśli przeżyje.

- Mała... gadzina!

- Po prostu dzieciak. Jesteś idealistką, Pacynko. Zawsze nią byłaś. Widać to w twoich pieśniach. Zawsze ci mówiłem, że szczypta cynizmu jest konieczna... bez niego wszystko jest mdłe.

- Och, zamknij się.

Swąd spalenizny narastał, paliło się gdzieś niedaleko, nad jedną z willi wznosił się słup rozedrganego żarem powietrza.

- Tym bardziej doktor - głośno myślał Jaskier. - Wszyscy lekarze to cynicy. A ten jeszcze i podlec. Zamierzał uciulać kapitał, lecząc migreny bogatych dam.

Jak tamten twój od kozetki... Wierz mi, że wydostaną się z miasta. Gorzej z nami...

- Dlaczego?

- Obejrzyj się.

- Załedwie ośmiu - stwierdziła lekceważąco Essi. - Dobry zbój Orlando rozprawilby się z nimi lewą ręką.

- Do dupy z tym waszym Orlandem... Jazda, Pacynko! Daj rękę i spadamy!

Przeskoczyli przez wytworną balustradę i znaleźli się na jakimś tylnym dziedzińcu, potem za bramą, później w czyściutkim zaułku, na który wychodziły tylne ściany eleganckich kamienic... Nie było się gdzie schować.

- Ej! - slyszeli za plecami. - Paniczyku! Damulko! Stój, ślicznotko! Kocham cię, mała! Ko... cham...

- Żywe trupy - złowieszczco wysyczał Jaskier przez zęby.

Miał kolkę w boku. Dogonią nas, myślał z rozpaczą. I co wtedy? Powiem: Uciekaj, zatrzymam ich? Nie jestem gotów na bohaterstwo...

Zaułek wychodził na rozległy plac ze wspaniałą fontanną, od którego odchodziły kolejne uliczki. Miejsce to okazało się nieoczekiwanie tłoczne. Miało się wrażenie, że cała okoliczna złota młodzież postanowiła urządzić festyn pod gołym niebem, rozstawiając wokół fontanny dębowe stoły i wnosząc z domów ławy, wyścielane krzesła oraz skórzane fotele wsparte na drewnianych lwich łapach. Krucha porcelana na białych lnianych obrusach i srebra wspaniałej roboty odbijały na różowo migoczące światła pochodni. Jaskier dopiero teraz zorientował się jak szybko, niezauważalnie nadszedł zmierzch.

Pachniało pieczonym mięsiwem. Nie mdłą spalenizną, tylko dobrym jadem. Rozlegały się dźwięki lutni. Ktoś nie grał naprawdę, jedynie brzdąkał.

Kilka panien, nierówno pląsających przy dźwiękach strun, rozerwało taneczny krąg, biegnąc ku przybyszom.

- Nowicjusze! Nowicjusze! - szczebiotwały radośnie, otaczając kołem Jaskra i

Essi. Dzieweczki były młodziutkie, świeżutkie i pijaniuteńkie.

Stając na palcach, Jaskier spojrział ponad jasnymi i ciemnymi główkami. Prześladowcy zapewne zlekli się tłumu i rozplynęli w coraz bardziej mrocznym zaułku.

Tymczasem dziewczęta, zbiwszy się w ciasny krąg, popychały nowych gości ku stolom. W odpowiedzi na nieme pytanie w oczach Essi, Jaskier także milcząco wzruszył ramionami.

Tańcząc i podskakując, zaprowadzono ich na poczesne miejsca. Siedział tam na wysokim krześle rosły młody człowiek, najwyraźniej prowodyr owego zajścia.

- Wszystkiego dobrego, mili goście! - przywitał ich dźwięcznie.

- Nawzajem, drogi panie - odrzekł sucho Jaskier, któremu niezbyt podobano się owo towarzystwo.

Zastawa na stolach była wspaniała, lecz różnorodna. Najwidoczniej chwymano, co było pod ręką.

- Nie pytam, dokąd idziecie - oznajmił prowodyr, szerokim gestem wychlustując na obrus różowe strugi wina - lecz proszę uprzejmie, byście przyjęli nasze zaproszenie na ucztę. Pragniemy milej kompanii.

- Nie idziemy donikąd, lecz skądś - odparł Jaskier. - Szczerze mówiąc, uciekamy z miasta.

- Rozumiem, oczywiście. Wszyscy uciekają z miasta. Nadchodzi jednak noc i niełatwo będzie wam przemknąć się przez kolejne dzielnice. Lepiej posiedźcie z nami. Na pewno jesteśmy mniej niebezpieczni.

Jaskier przyjrzał się prowodyrowi, na którego ramieniu spoczywała główka siedzącej obok bladej damy i zamyślił się. Nie wyglądali groźnie. Po prostu zwariowali. Na dodatek zgłodniał i zaschło mu w gardle.

- Nie zadajemy pytań o tytuły i miana - podjął prowodyr, znowu wykonując nieostrożny gest z pucharem w dłoni. - Widzę jednak, że jesteście ludźmi dobrze wychowanymi i szlachetnie urodzonymi.

- Niewątpliwie.

Jaskier wreszcie uspokoił oddech i ból w boku ustąpił. Za to znów zapiekło go pod pachami. Nie odważył się jednak podwijać mankietu i sprawdzać przy ludziach stan swojej skóry.

- Jestem wicehrabią.

- Co za trafi A pańska towarzyszka?

- Słynna poetka, Essi Daven.

- Co za zaszczyt - rzekł animator zabawy, lekko się unosząc i kłaniając, przy czym jasna główka siedzącej obok damy, pozbawiona oparcia, opadła na stół. - Znam pani twórczość. Sam także czasem pisuję. Siadajcie, wyświadczyć mi tę grzeczność.

Na pewno będzie chciał coś nam przeczytać, pomyślał Jaskier, przysuwając sobie półmisek z szynką.

- Z jakiej okazji ta uczta? - zapytał, odkrawając różowy płat mięsa.

Można było stąd dojrzeć wiszącą nad dachami purpurową lunę pożaru. - Oczywiście z okazji dzumy - odparł prowodyr, wzruszając ramionami. Jaskier zerknął na Essi, która powoli dochodząc do siebie, zaczęła podejrzenie siąkać nosem.

- Zjedz chociaż trochę - szepnął do niej i dodał głośno: - Nie widzę powodu do świętowania.

Prowodyr napelnił swój puchar.

- Zmysły z czasem tępieją. Zużywają się. Szczerze oplakujemy bliskich, lecz kilka godzin później zastanawiamy się, co zjeść na kolację. Dusza nie znosi ciągłego bólu. Z rozpaczki szuka pocieszenia w towarzystwie... takich samych upadłych dusz. To bardziej uczciwe, niż cierpieć na pokaz, a jednocześnie rozmyślać o kolacji, zgodzicie się?

- Jest pan prawdziwym poetą - stwierdził Jaskier, zmagając się z kolejnym plastrem szynki - ponieważ zwykli ludzie cierpią i zarazem myślą o kolacji, nie

odczuwając żadnego rozdziwienia jaźni. Tylko poeta widzi wszystko na opak, przekonując się, że wszystko marność nad marnościami i dlatego można sobie pozwolić na każde świństwo.

Biedne sukinsyny, myślał jednocześnie, mało kto z nich dożyje rana. Wszyscy umrą. Wszyscy umrzemy.

- Niech pan przyzna, czy w głębi duszy nie prześladują pana podobne myśli? Czy w cierpieniu nie myśli pan... chociażby o tej szynce?

- Rozumiem to, ale się z tym nie zgadzam. Ujmuje pan sprawę w taki sposób, jakby myślenie o szynce było czymś wstydlwym. Jakby koniecznie należało stłumić w cierpieniu uczucie głodu, napawając się zarazem zakazanymi przyjemnościami. A skoro już się zgrzeszyło, jedząc szynkę, skora tak nisko upadliśmy, dlaczego nie popełnić cięższych grzechów? Domyślam się, że zanim plaga spadła na gród, był pan idealistą? Czystym i surowym stróżem prawa? Obrońcą wartości rodzinnych?

Prowodyr milczał. Na jego twarzy tańczyły cienie w purpurowym odbłasku pochodni. W końcu wzdrygnął się i wstał, wspierając się dłońmi o stół poplamiony winem.

- Przyjaciele - rzekł dźwięcznie - samo niebo nam błogosławi. Zaszczyciło nas swym towarzystwem dwoje znakomitych bardów, mistrz Jaskier i jego urocza przyjaciółka, poetka Essi Daven. Powitajmy ich!

Od wszystkich stołów dobiegły niezborne oklaski. Jaskier uniósł głowę i zobaczył, że mrok zgęstniał i zapadła ciemna noc, rozjaśniona jedynie blaskiem płonących dzielnic.

- Za łaskawą gościnę, za chleb i wino odpłacą nam pieśnią! Prosimy! Prosimy!

- Prosimy! - zawtórowali mu ucztujący.

- Ja... - Essi nie płakała, lecz w oczach pełnych łez odbijały się płomienie pochodni. - Nie mogę...

- Zgódźcie się - zasugerował prowodyr z ledwie wyczuwalną drwiną. - Niegrzecznie byłoby odmówić. Jesteście naszymi gośćmi, pijecie nasze wino... Ostatecznie jesteście artystami do wynajęcia, moja droga. Zawodowcami.

Essi milczała, rozmazując rozlane wino palcem na obrusie.

- Skoro nie zechcecie śpiewać, po prostu was wyprosimy - rzekł animator, spoglądając znacząco na Jaskra. - Jak dotąd omijają nas obcy, a trochę ich tam jest, sami wiecie...

Kurwa, pomyślał Jaskier, byle doczekać ranka. A może czort z nim, w ciemności niczego nie widzisz, ale i nas nie widać. Chociaż ciemno nie będzie, gdy wszystko będzie płonąć... Noc to czas demonów. Za dnia ludzie się jakoś kontrolują, aczkolwiek nie wszyscy. Ten cały prowodyr jest na pewno stuknięty.

- Ta pani - zaczął ostrożnie - niedawno straciła...

Essi otarła nos wierzchem dłoni i wyprostowała się.

- Zaśpiewam - oznajmiła spokojnie i zwróciwszy się w stronę Jaskra, ściągnęła pokrowiec z lutni. - Pokażemy im, Jaskrze.

Jaskier wstał, odsunął krzesło i postawił stopę na siedzeniu.

- Zaczynaj, Essi. Tak żeby niebiosa płonęły. Chociaż i tak płoną.

Essi położyła palce na strunach.

Kiedy na ciebie czekałam,

Niemato też wylałam...

Zaśpiewała niskim, piersiowym głosem.

Nie ma w tym mojej winy,

Co znaczą łzy dla mężczyzny,

Odpowiedział jej Jaskier.

Pragnę być zawsze przy tobie,

W szczęściu, w biedzie, chorobie,

Zawodziła Essi.

Dla męża najgorsza dola,

*To małżeńska niewola,
Kląskał słowiczo Jaskier.
Jeszcze przyprawisz mi rogi,
Na nic małżeńskie okowy!*

A gdyby tak napisać dramat wierszem, myślał jednocześnie, żeby noc oświetlona pochodniami i ta upiornie wesoła kompania ze swym prowodyrem... Niech to zostanie uwiecznione i niech to nie będzie grafomania, lecz wybitny hymn na cześć dzumy. W tym momencie niech spadnie nań piorun i gdy wzniesie zbielale dłonie ku czarnemu niebu, niechaj spłyną nań rozpacz i pogarda dla śmierci... Może być wielkie dzieło! Jesteśmy złączeni jak skała I równo bijąca w nią fala!

Od tej chwili śpiewali razem:

*Miłości się nie wywiniesz,
Ulegniesz jej albo zginięsz!
Trzyma się ciebie jak kleszcz
Albo uparta wesz!
Zawsze się zrozumiemy,
Jak trawa i wiatr, deszcz i gromy,
Jak słodko, że razem będziemy!*

Essi wykonała na koniec skomplikowany pasaż, po czym oboje kłaniali się z godnością, oklaskiwani przez ucztujących.

- Droga pieśniarko - spytał pobłaźliwie prowodyr - co to za dzieło?
- Duet Cyntii i Vertvema z Próżnych zabiegów - objaśnił Jaskier.
- Niezły, niezły... Kto jest autorem?
- Ja.
- Bardzo mi miło - oświadczył prowodyr, znów szeroko machając ręką, widać był to jego ulubiony gest. - Dziękuję i zapraszam do stołu.
- Powala mnie pańska gościnność - mruknął przez zęby Jaskier. - Siadaj,

Essi... Essi?!...

- To pański wybór - rzekł Jaskier unosząc głowę. - Umierajcie wszyscy, jeśli chcecie, za tymi cholernymi stolami, z mordami w salatkach. Ja pójdę... może jeszcze zdążę ją donieść...

- Jak pan chce. Zabiją was na ulicy.

- Nikt się nie ośmieli nas tknąć. Nikt nie podejdzie. Znam ludzi nie gorzej od pana.

- Wyobraża pan sobie, co się teraz wyrabia w szpitalu?

Idiota pomyślał Jaskier. Doskonale wiem, co się dzieje w szpitalu. Na pewno wszyscy lekarze i sanitariusze uciekli. A może jednak ktoś został? Powiniennem zrobić wszystko, co w mojej mocy. Wszystko, do czego jestem zdolny. Inaczej... jak mam żyć dalej, kurwa?

Essi spoczywała w jego ramionach, trzymając go za szyję, lecz jej uścisk stopniowo słabł.

No cóż, ponuro myślał Jaskier, stąpając po gładkim bruku, teraz na pewno się zaraziłem.

- Co? Co mówisz, Pacynko?

Musiał zbliżyć ucho do jej warg, by zrozumieć niewyraźny szept.

- Lutnia, moja lutnia...

- Mam ją na plecach, Pacynko.

- Nie... zostawisz mnie, Jaskrze?

- Nie, Pacynko. Jesteśmy razem. Cyntia i Vertvem. Jak zaśpiewam duet bez ciebie? Cierpliwości, wszystko będzie dobrze, wynajmiemy jakiś powóz i...

- Chcę do lasu. Tam jest cicho. Zielony mech i... źródło. Szare, poznaczone żyłkami kamienie, a spośród nich bije...

Natrafili na bandę maruderów, którzy na ich widok rozstąpili się w milczeniu, umożliwiając przejście. Jeden z nich zdjął czapkę i stał tak, dopóki Jaskier ze swym brzemieniem nie zniknęli za rogiem.

Potem trubadur minął bezforemny stos, z którego sterczały bielejące w mroku ręce i nogi, a dalej ludzi biegnących w stronę tej góry trupów z wiadrami smoly i płonącymi pochodniami...

Wszystko wokół wydawało się przezroczyste i kruche, jakby świat wypełnił się szklaną masą i stał się nie do końca realny. Jakby był to koszmarny sen, z którego należy się przebudzić, by wszystko wróciło do normy. Albo jakby rzeczywistość zwielokrotniła się i trzeba było znaleźć w owej mgłę właściwą ścieżkę, by znaleźć się w świecie, gdzie nie ma i nigdy nie było dżumy, a Essi jutro włoży ślubny welon.

Szpital był jedynym oświetlonym budynkiem w okolicy. Łuczywa łopotały na wietrze, oświetlając potężny dziedziniec, cały zasłany brudnymi materacami, na których ciemniały ciała. Jedni miotali się w gorączce, inni leżeli nieruchomo. Omijając barłogi, Jaskier przeniósł Essi do środka i zaraz tego pożałował - tu ciała leżały stosami.

- Jest tu kto?! - zawołał, wyszarpując łydkę z wczepionych w nią czyichś palców. - Lekarza!

Z bocznego korytarza wyłoniła się biała postać i Jaskier omal nie upuścił ze strachu majaczącej Essi. Potem odetchnął z ulgą. Zbliżyła się ku nim tęga, jowialna kobieta w białej niegdyś szacie siostry miłosierdzia. Jej okrągła, poczciwa twarz zdawała się być odporna na otaczający ją koszmar. Jaskier miał natychmiast chęć wyplakać się na jej ramieniu i żeby gładziła go przy tym po głowie, obiecując, że dżuma zaraz się skończy i wszystko znów będzie dobrze.

Po chwili ją rozpoznał, chociaż trochę się przez ten czas roztyła.

- Iola?

Zmrużyła krótkowzroczne oczy, przypatrzyła się...

- Jaskier?

- Iola!

Miał ochotę rzucić się jej w objęcia, lecz wciąż trzymał Essi w ramionach,

coraz bardziej bezwładnie ciężącą.

- Co tutaj robisz?

- Pracuję u pana Milo Vanderbecka, chirurga - oznajmiła z godnością. - pomagałam mu w szpitalu polowym i stwierdziłam, że tego chciałam przez całe życie: pomagać ludziom. Mateczka Nenneke zwolniła mnie ze ślubów, a Vanderbeck był tak dobry, że zgodził się wziąć mnie do siebie, chociaż nie miałam żadnego doświadczenia.

- Znam go? - spytał na wszelki wypadek Jaskier.

- Nie sądzę. To bardzo dobry człowiek. A kto jest z tobą, Jaskrze?

- Essi - wysapał z wysiłkiem.

- Bogowie! - jęknęła, przesłaniając usta mocną dłonią. - Co tak stoisz? Trzeba ją położyć... choćby tutaj albo u mnie, czy w pokoju lekarskim. Nikogo tam nie ma. Zostaliśmy tylko ja i Rusty. To znaczy Vanderbeck. Jak oni mogli?

Nieświadomie ruszała mocnymi ramionami.

- Przecież składali przysięgę. A jednak uciekli. Padamy z nóg. Tylu chorych. Nieszczęśnicy.

- Iolu - mamrotał Jaskier, idąc za nią i wpatrując się w jej szerokie plecy z zawiązkami fartucha - czy ktoś wyzdrowiał? Iolu?!

Tym razem wzruszyła ramionami świadomie.

- Więc nie ma nadziei? - spytał z rozpaczą.

Nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową. Otworzyła jedno z drzwi. Znajdowała się za nimi maciupenka komórka, w której wcześniej składano chyba niepotrzebne rupiecie, z wąską pryczą zaścieloną surowym, lecz czystym płótnem. Na niewielkim stoliku płonęła lampka oliwna, której światło było nieoczekiwanie silne i czyste, zapewne wspomagane magią.

- Połóż ja tutaj, Jaskrze - powiedziała, odsuwając koldrę.

- Biedaczka. Przyniosę wodę. Tyle ich jest... nie nadażam zamykać im oczu. A przecież każdy chce, żeby ktoś przy nim był, trzymał za rękę... żeby nie było

tak strasznie.

Jaskier delikatnie położył Essi na posłaniu, dopiero teraz odczuwając ból w omdlałych rękach.

- Wiesz, jak leczyć tę zarazę, Iolu?

Spojrzała na niego smutno.

- Jest nieuleczalna. Rusty mówi... że chorzy schodzą tak szybko, iż nie nadąża z leczeniem. Mówi, że to nowa plaga, która przyszła nie wiadomo skąd, być może z innego świata. Znane nam choroby nie zabijają człowieka natychmiast.

- Co więc tutaj robicie, skoro nie możecie leczyć?

- Żywimy nadzieję - odparła cicho Iola.

Essi poruszyła się na pryczy, mamrocząc coś niespokojnie.

- A gdzie jest pan Vanderbeck? To przecież niemożliwe, żeby nikomu nie pomógł. Iolu?...

- Śpi.

Iola zasepiła się i opuściła ciężko głowę.

- Wciąż był na nogach od chwili, gdy przynieśli pierwszych zarażonych...

- Iolu, chodzi o Essi!

Milczała. Oczywiście zakochana w tym swoim Rustym, jak to kobieta. Zwłaszcza taka, jak Iola, która koniecznie musi się dla kogoś poświęcać.

- Jeśli chcesz, uklękę przed tobą! Niech chociaż ją obejrzy, a potem znów idzie spać. Może coś wymyśli. A może już coś wymyślił! We śnie! Czasem zdarzają się we śnie takie wielkie odkrycia! Kiedyś przyśniły mi się dwie zwrotki nowej pieśni, nad którymi męczyłem się cały wieczór...

- Co ty bredzisz, Jaskrze! Co mają do tego twoje głupie poezje?

Zacisnęła wargi i zamknęła oczy. Jaskier zawstydzził się.

- Spalaś w ogóle, Iolu?

- Ja... nieważne. Jestem silna.

- Iolu! Zastąpię cię, wariatko! Idź się wyspać. A to kto?!...

Jaskier nie orientował się, skąd dochodził głos, dopiero gdy opuścił wzrok, zobaczył, że w drzwiach stoi niziołek, w brudno zachlapanym kitlu, którego tasiemki ledwie dawały się zawiązać na pękatym korpusie.

- Pan... Rusty?

- Rusty to przezwisko - odparł opryskliwie karzełek, wdrapując się na krzeselko i machając w powietrzu kosmatymi nóżkami. - Dla pana jestem Milo Vanderbeck, chirurg polowy. Dyplomowany chirurg, dodajmy, z dwudziestoletnim stażem. Niestety, nie epidemiolog, kurwa mać. Epidemiolog zwiął.

- Dlaczego pan wstał? - zapytała Iola zza pleców Jaskra. - Wszystko tutaj w porządku. To jest...

- Nie przynoszą więcej chorych, tylko od razu składają do grobu - dokończył za nią niziołek. - Oczywiście to dobry znak. A niech to! - zawył, wczepiając się grubymi palcami w rudą czuprynę. - Dlaczego na tę zarazę nie ma sposobu? Próbowałem wszystkiego, włącznie z rtecją! A także ekstraktu z pleśni. Bardzo dobry na stany zapalne. Tylko że gdyby był z niego jakiś pożytek, potrzebowalibyśmy tego całe beczki! Beki! A to kto znowu?...

- Znana poetka, Essi Daven.

- Nie znam - odparł, kręcąc głową. Stękając zszedł z krzesła i podszedł do chorej, chwycił szeroką łapą jej wąski przegub, odczekał minutę, błyskając rozpalonymi oczyma.

- No, to już niedługo.

- Jest pan lekarzem - jęknął śpiewak cienkim, żalonym głosem. - Powinien jej pan pomóc!

- Powinienem. Ale nie mogę. Mam tutaj takich setki, kurwa, nawet tysiące! I nikomu nie mogę pomóc. Czemu się pan drapie?

Jaskier zreflektował się, że od dawna powstrzymywał się, by sprawdzić, co

się dzieje z jego skórą na rękach i pod pachami. Teraz mógł.

Zdjął kamizelę i odwinął rękawy koszuli. Rękawy były brudne, lecz w jasnym świetle lampy widać było, że ręce pokryte są małymi, brunatnymi plamkami.

- Panie Vanderbeck - szepnął niewyraźnie - co to takiego?

Niziołek puścił przegub Essi i bezceremonialnie chwycił rękę Jaskra, wykręcając ją w łokciu.

- Ukąszenia - powiedział. - Ukąszenia pcheł. Tak myślałem. Wszystko przez pchły, Iolu, i szczury z „Catriony”. Kurwa, wystarczyło nie wpuścić szczurów do miasta. To bardzo proste. Uczepić na linach cumowniczych gładkie metalowe płytki, żeby szczury nie mogły przejść. I oczywiście zrobić kwarantannę. Dwa tygodnie kwarantanny, a mielibyśmy statek pełen trupów i ocalone miasto. Nasze służby miejskie należy utopić w kloace.

- Jestem chory?

Rusty pokręcił kędzierzawą głową.

- Ukąszenia są stare - oświadczył. - Przynajmniej te tutaj. I tutaj. Te są świeższe. Swędzą oczywiście. Reakcja organizmu.

- A... kiedy mi się pogorszy?

- Teoretycznie nie powinien być pan dożył do południa. Być może jest pan uodporniony. To dziwne. Czy nie ma pan przypadkiem odrobiny krwi elfów?

- Nie wiem - odparł zmieszany Jaskier. - Czasem o tym lgałem dla szpanu.

- Elfy są odporne na ludzkie infekcje. To szczególnie widoczna różnica. Tylko ludzie się zarażają, ale nie elfy, nie krasnoludy ani niziolki.

- Tak, lecz Iola... nie ma ani kropli krwi elfów, jest tylko chłopska. Wszyscy jej przodkowie byli rolnikami. Niech pan popatrzy na jej dłonie... A zajmuje się tutaj chorymi...

Niziołek podrapał się w głowę.

- Iola to klasyczny przypadek. Podczas epidemii najmniej zarażają się lekarze

i sanitariuszki. Nie wiadomo, dlaczego. Może uodparniają się podczas pracy. Może to cud. Skąd mam wiedzieć? Cuda się jeszcze zdarzają na tym świecie. Magia ofiarna, wie pan.

Znów się podrapał.

- Pójdę znów trochę pospać. Strzyka mnie w stawach.

- Panie doktorze - szepnęła Iola.

Lampa zamigotała i przygasła, tworząc półmrok. Jaskrowi wydało się, że oczy Ioli zamieniły się w dwie czarne otchłanie.

- Bzdura! - rzekł, machnąwszy krótką ręką. - Niziołki nie zapadają na wasze głupie choroby. Jestem po prostu zmęczony. A wy... po prostu przy niej posiedźcie. To już niedługo. Nic wam nie grozi, a jej będzie lepiej. Wszystko to beznadziejne... beznadziejne...

Burcząc tak, wyszedł na korytarz, potykając się o ciała leżące na podłodze. Iola pobiegła za nim.

- Jaskrze!

Odwrócił się. Essi wpatrywała się weń szeroko otwartymi, suchymi, błyszczącymi oczami.

- Tak, Essi.

- Czy jestem bardzo... oszpecona?

- Nie, Essi. Buzię masz gładką, a reszta... przejdzie ci.

Przysiadł na skraju łóżka.

- Nie przejdzie, Jaskrze. Na chwilę jest trochę lepiej. Jestem taka zmęczona. Dobrze, że jesteś przy mnie. Myślałam... że mnie zostawisz. Myślałam, że znam ciebie. Że jesteś tchórzem.

- No tak - zgodził się, głaszcząc ją po głowie - w zasadzie tak.

Mówiła bardzo cicho, przebierając palcami po medalionie na srebrnym łańcuszku. Perła osadzona w srebrze, jak w płatkach kwiatu. Dlaczego takie delikatne, uduchowione kobiety szaleją na punkcie brutalnych samców?

- Obiecaj mi, wiesz, co?
- Co, Essi?
- Że mnie tu nie zostawisz. Chcę spocząć w lesie. Tam tak cicho...
- Zaniose cię do lasu, Essi. Obiecuję.
- To dobrze.

Uspokojona zamknęła oczy, potem znów otworzyła.

- Powiem ci coś, czego nigdy nie mówiłam. Teraz mogę.

Przyciągnęła go osłabłą dłonią, a on nachylił ucho do jej warg. Nawet tutaj, wśród szpitalnych woni, w gęstym zaduchu ekskrementów i chloru, wyczuł lekki aromat werbeny.

- Tak, Essi?
- Ten twój berecik z piórkiem jest naprawdę okropny.

Zamknęła oczy i więcej ich nie otworzyła.

„Jaskier wyniósł ją na rękach spomiędzy palonych na stosach trupów i pochował daleko od miasta, w lesie, samotną i spokojną, a razem z nią, tak jak prosiła, dwie rzeczy - jej lutnię i jej błękitną perłę”.

Nieopodal wzgórzka pokrytego świeżą darnią i kiścią żółtawych narcyzów, Jaskier zasiadł na powalonym drzewie i odpieczętował list nożykiem.

Drogi synu!

Mama jeszcze się gniewa, ale bardzo chce Cię zobaczyć. Kiedy Carlos poległ na polach Rivii, zaczęła się bać, że zostanie sama. Bardzo niepokoi ją obrany przez Ciebie wędrowny żywot. A chociaż zapewniałaś, że ukrywasz swoje prawdziwe imię, obawia się, że tak czy inaczej zostanie ono zszargane. Przyszłemu hrabiemu nie godzi się wałęsać z lutnią po cudzych domach. Czekamy na Ciebie, synku. Rozumiem, że za młodu każdy musi się trochę powłóczyć po świecie i poznać życie, lecz Twoja młodość wkrótce się skończy.

*Przyjedź,
tesknimy*

czekamy

i

Ojciec.

Jaskier uniósł głowę.

Podeszła bezszelestnie, co naprawdę umiała robić. Las był jej domem.

Podeszła i siadła obok.

Starannie złożył list, włożył do koperty i schował do kieszeni.

- Chcesz coś zjeść?

Skinął głową.

Toruviel rozwinęła czystą szmatkę, wydostała chleb, podsuszony kawałek sera i zręcznie odkroiła pajdę niezwykle ostrym nożem.

- Nie wzięłam wody - powiedziała. - Tam była skażona. Tutaj płynie strumyk między kamieniami. Słyszysz, jak śpiewa?

- Tak - potwierdził - słyszę.

Milczeli chwilę.

- I co - spytał, przeżuwając kolejny kęs - twoi się nie zjawili?

W milczeniu pokręciła głową.

- Jeszcze się zjawią. Masz mnóstwo czasu. Całą wieczność.

- Thaess aep.

- Dobra, milczę. Objąwszy rękami kolana i oparłszy na nich podbródek, jakiś czas oglądała zielony wzgórek. Potem podniosła głowę.

- Co teraz będziesz robić, Taedh?

- A co robią truverzy? Będę śpiewał... i tworzył kolejne pieśni. Nocował po cudzych domach. W gospodach. Jak zwykle...

- Wiesz - powiedziała - duety zarabiają więcej.

- No tak, zazwyczaj.

- Co o tym sądzisz...

- Nie masz słuchu - orzekł bardzo poważnie.

Rozdęła nozdrza, patrząc na niego gniewnie.

- Ach, ty...

Uśmiechnął się.

- Caelm Sor'ca. Nie gorączkuj się.

- Żartowałeś, prawda? - spytała niepewnie.

- Chwała niebiosom. Nareszcie na to wpadłaś. Tak, oczywiście, żartowałem.

Jasne, duety dostają więcej. Znasz Duet Cyntii i Vertvema?

Pokręciła głową.

- Nauczę cię wieczorem.

Wstał i zaczął aż zawiąże tobolek z jedzeniem.

Odwrócił się w stronę zielonego wzgórką.

- Va faill, Essi, turkaweczko. Chodźmy, Toruviel. En'ca digne. Idziemy dalej.

Przełożył Witold Jabłoński

Władimir Arieniew

Wesoły, niewinny i bez serca

Ognie świętego Elma były wszędzie. Przenikały mgłę niezdrowymi szmaragdowymi światełkami, jakby mrugając do siebie.

Ramio przyłapał się na tym, że stara się nie mrugać. Zdawało mu się, że jeśli spuści je z oka, zaczną przeskakiwać z rei na maszty, zaplączą się w obwisłych żaglach i pomiędzy linami oraz w odzieży śpiących na pokładzie przesiedleńców.

Karawela dryfowała przez mglistą noc i wszystko było w porządku. Trzecią dobę pod rząd morze było gładkie i spokojne.

Ramio wyczarował niewielką, jasnożółtą kulę i pchnął ją przed siebie nieco po skosie, żeby go nie oślepiła, a także, uświadomił - sobie, by zbiła z tropu kogoś, kto może się kryć w ciemności.

Właz trzasnął ogłuszająco. Na pokład wyszedł, lekko się chwiejąc na nogach, krępy, tęgawy mężczyzna. Czknął, podkręcił czarny wąs i podszedł do lewej burty.

Nawet z drugiego krańca statku Ramio widział fantazyjny wzór na szykownych gaciach tamtego, drapieżny motyw roślinny, ostatni krzyk mody w portach Fabioli. Za to obnażonego torsu eleganta, zgodnie z tamtejszymi zwyczajami, nie zdobił tatuaż. Tylko mnóstwo blizn. Plus dwa świeże zadrapania na plecach... chyba całkiem świeże.

Tylko żeby nie było skandalu, pomyślał Ramio.

- Cisza i spokój? - spytał, nie odwracając się, mężczyzna.

Otrząsnął się i przeciągnął, zadowolony, syty, pewny siebie.

- Przygaś tę kulę, kolego - dorzucił. - Przyciąga węże morskie równie silnie

jak ćmy.

Ramio zaczerwienił się i gestem ręki odesłał kulę w niebyt.

- To nic, jeszcze się nauczysz.

Mężczyzna przejechał dłonią po gładko wygolonej czaszce, westchnął i wsparł się o burtę. Z otwartych poniżej luków kajuty załogi dochodziły śmiechy i stukot kości do gry.

- Nauczysz się - powtórzył partner. - Kiedy popłynąłem w pierwszy rejs, tyle rzeczy napsulem...

Ramio oczekiwał dalszego ciągu, lecz oczywiście się nie doczekał.

Zamiast tego u lewej burty rozległo się dźwięczne szuranie, a potem ktoś ochryplym głosem wezwał Jednookiego Davy'ego, Szkarłatnego Albatrosa i Otchłań Kerbina.

Ramio osłupiał. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, kolega wyciągnął dłoń: spokojnie, mały. Podciągnął spodnie i tylko zapytał:

- Mam cię od razu zastrzelić, czy najpierw się przedstawisz?

Miał puste ręce, a za pasem ni pistoletu, ni noża. Tamten jednak widocznie tego nie wiedział.

- Rozmawiasz z marynarzem - odpowiedział ochryply bas.

- Trzy razy pytał nie będę.

- Nazywają go Teredo - odezwał się drugi głos, twardy i oschły, z wyraźnie wyczuwalnym elfim akcentem. - Ja nazywam się Reinar. Jest jeszcze z nami Mo Gaduła. Trzech nas jest, jeśli umiesz liczyć, wilku morski. Podpłynęliśmy szalupą do waszego statku i chcemy wejść na pokład. Rzecz jasna nieuzbrojeni.

- A co robicie we trójkę w szalupie pośrodku oceanu?

- Chętnie o tym opowiem, najlepiej kapitanowi, żeby nie powtarzać dwa razy.

Ramio podszedł do burty tak, by nie zauważono go z łódki.

- Rzuć im linę - zdecydował partner, wzruszając ramionami - i nie spuszcza

z oczu.

Na pokładzie pod grotmasztem śpiący sennie mamrotali, ktoś ziewnął i zainteresował się, co za czort tak hałasuje. Sąsiad kazał mu się zamknąć. Inni syknęli na obu, wszystko do wtóru chropawego chrapania z pięciu czy sześciu gardel.

Towarzysz Ramio skinął na jednego z wachtowych, a ten milcząc skoczył do okienka. Drugi szeptem nakazał niespokojnemu przesiedleńcowi wezwać kapitana.

Ludzie się pobudzili, przeklinając, że odebrano im wszelką broń przy okrętowaniu. Najbardziej przewidujący wydobywali ukradkiem z tobołków pałki na szczury własnej roboty.

- Przejdźcie dalej - przykazał im partner Ramio - i nie płączcie się pod nogami.

Przywołał gestem chłopca okrętowego i szepnął mu coś na ucho. Ten zaraz pobiegł na kwarterdek.

Głosy z kajuty załogi zahuczały głośniejsze i bardziej alarmująco, ktoś zaklął.

Nad balustradą pojawiła się głowa w sfatygowanej czapce. Piękne rubinowe pióro falowało na wietrze.

- Szacunek, panowie.

Korsarz Reinart podciągnął się na rękach i wskoczył na pokład. Wyglądził polity karmazynowego kaftana i potoczył wzrokiem po okrążających go ludziach.

- Mogę rozmawiać z kapitanem?

Ramio usunął się nieco w cień, by nie widać było jego rąk. Reinart miał około czterdziestki, był wysoki, żylasty i ogorzwały. Szpiczaste wąsiki, szpiczasty podbródek, orli nos i uważne, złe spojrzenie.

Trochę za stary jak na mistrza powodzenia, ale na pewno nim był.

A to z kolei mogło oznaczać, że należał do załogi „Ślepego Brendana”.

Ramio poczuł, że drżą mu dłonie. Załoga „Brendana” to byli najbardziej

okrutni, bezlitośni piraci, buszujący na Wschodnim Wybrzeżu.

Wraz z mistrzem Reinarem pojawił się na pokładzie półnagi drab, wyższy na dwa łokcie od swego towarzysza, czarnoskóry i muskularny. Bez słowa stanął obok. Był nieuzbrojony, lecz Ramio od razu się połapał, że czarnoskóry Mo sam w sobie jest najlepszą bronią.

A zresztą, pomyślał, tych dwóch oraz trzeci, który został w szalupie, zapewne są wygnańcami. Tak, na pewno ich przegnali i zostawili pośrodku oceanu, okazano im pirackie miłosierdzie, skazując na powolną śmierć głodową. A jednak przeżyli. Tak czy owak, bez wątpienia są niebezpieczni, ale cóż mogą zdziałać we trzech przeciwko całej załodze karaweli, składającej się z silnych, uzbrojonych facetów? W dodatku jestem magiem...

- Kim jesteście, w imię Elma Wspomożyciela?

Kapitan wyszedł na pokład i stanął wsparty pod boki.

- Sam pan widzi, kim jesteśmy - odparł spokojnie Reinara.

- Ważniejsze, dlaczego jesteście tutaj. Potrzebujemy pomocy, kapitanie.

- Pomoc dla rozbójników? Od uczciwego kapitana?

Angus Strzala dowodził statkami ćwierć wieku, jego dwaj bracia zginęli z rąk piratów, trzeci oślepl na zawsze.

- Panowie - dodał, zwracając się do Ramio i pozostałych podwładnych - postarajcie się wziąć ich żywcem. Nie będę się gniewać, jeśli się wam nie uda. Tak czy owak dorzucę po trzydzieści dublonów do waszego żołdu.

Czarnoskóry Mo nawet nie drgnął, ale coś zmieniło się w jego wyglądzie. Ręce... Ramio zauważył, że tamten złożył palce lewej dłoni w Znak Hasta, prawą zaś schował za plecami.

Miejscowy mag, leworęczny, lecz doświadczony. Do czorta!

Reinara pokręcił głową.

- Jeszcze nie teraz, Mo. Nie spiesz się. Kapitan to uczciwy człek o gorącym sercu, ale wszak nie jest głupcem i rozumie, że wiedzieliśmy do kogo idziemy i

czym nam to grozi. Dobrze się na to przygotowaliśmy. Prawda, Mo?

Czarnoskóry mag skinął głową, nie spuszczać z oka Ramio. Nawet się lekko uśmiechnął, jak do starego druha.

- Zjawiliście się na mej karaweli bez białej flagi - odrzekł cicho Angus Strzała. - Nawet jednak gdybyście okręcili się bielą od stóp do głów... cóż, nie musielibyśmy tracić płótna na całuny. Chyba zgłupielście, jak zawsze licząc na łut szczęścia. - Kapitan pokręcił głową. - Bardzo pomogło wam w siedemdziesiątym drugim, kiedy wzięliście szturmem fort verdeński i wycięliście wszystkich w pień. W siedemdziesiątym trzecim, gdy sztorm zniszczył ścigające was statki. W siedemdziesiątym piątym, kiedy spaliliście górską świątynię Perperuny. Teraz jednak mamy siedemdziesiąty siódmy, najwyższy czas, byście zdechli.

Przesiedleńcy i załoga zahuczeli z aprobatą. Ramio zauważył, że marynarze rozdają pasażerom ostrą broń i pistolety. Sprowadzili dzieci do ładowni, ale kobiety w większości postanowiły zostać, uzbrojone, ramię w ramię z mężczyznami.

Oczywiście nikt nie kwapił się podchodzić do nieproszonych gości.

Ramio pomyślał, że głupio to wygląda: cała karawela na dwóch bezbronnych... jednego bezbronnego i maga.

- Tak po ciemku, we mgle?

Reinar znowu pokręcił głową i strzelił palcami.

- Zaczekajcie chociaż do świtu, na litość!

Nadchodził świt. Ognie świętego Elma pofrunęły w górę, oświetlając cały statek i na moment oślepiając wszystkich obecnych na pokładzie.

Wszystkich, oprócz Ramio i jego towarzysza.

Młody mag nie uderzył wprost w Mo i Reinara, lecz w wiszący nad ich głowami żagiel. Chmara kul pofrunęła w powietrzu i rozpadła się, jak płatki kwiatu. Pięć z nich uderzyło w liny, przecinając je. Nie było ognia, tak jak

uczono go w Akademii.

Żagiel opadł z łopotem. Nie na głowy piratów jednak, lecz na trzy niewidzialne drągi, na których zawisnął. Mistrz szczęścia wraz z paroma stojącymi obok ludźmi znaleźli się jakby pod namiotem. Czarnoskóry Mo patrzył przed siebie i trzymał ręce z uniesionymi dłońmi. Palce maga pulsowały jak żyłka na jego skroni.

Wszystko stało się w parę sekund. Towarzysz Ramio stał już za plecami Reinara, trzymając mu nóż na gardle. Nie wiadomo skąd go wytrzasnął.

- No pięknie - rzekł Reinara, zezując na ostrze na własnej grdyce. - Niepotrzebnie to zaczęliśmy.

Kilku ludzi chwyciło za skraj żagla i pociągnęło.

- Prosta arytmetyka, panowie - rzekł Reinara podniesionym głosem, by wszyscy go usłyszeli. - Oczywiście nie widzicie tego, że we mgle stoi i czeka „Ślepy Brendan” z wycelowanymi armatami. Widać was jak na dłoni, chwała świętemu Elmo.

- Ty tak twierdzisz - odrzekł Angus Strzała, uśmiechając się pogardliwie. - Nikt nie wie, jak jest naprawdę. Chcesz, bym ci uwierzył na słowo i zwyczajnie poddał statek?

- Nie chcę statku - oświadczył tamten. - Za dużo pan mówi, a za mało słucha, kapitanie. Potrzebujemy pomocy. Potrzebny nam ten wiedźmin, który trzyma mi nóż na gardle. Chcemy pana wynająć, mistrzu. A dokładniej: podkupić. I zanim pan odmówi...

Zamilkł na chwilę, cierpliwie czekając, aż ściągną żagiel. Tkanina przejechała mu po twarzy i strąciła czapkę z głowy, lecz pozostał niewzruszony.

- Zanim pan odmówi, proszę wziąć pod uwagę: „Ślepy Brendan” płynie w ostatni rejs. Potem załoga rozejdzie się na zawsze. Niektórych prędzej czy później dopadną ludzie wicegubematora, Kompanii albo Korony. Pozostali unikną kary. Na oceanie robi się spokojniej. Proszę to rozważyć, mistrzu. Pan

też, kapitanie. Wiem, że Kompania wynajęła dla bezpieczeństwa wiedźmina i maga na każdy statek, ale przepłynęliście już najgorszą toń. Przy pomyślnym wietrze za sześć dni będziecie w Czerdanie, a w razie czego... Chłopak jest niezły, prawda, Mo? Da sobie radę.

- A jeśli odmówimy?

- Osiem dział „Brendana”, wiedźminie. Bartholomew nigdy nie chybia, a my już od trzech lat nie atakujemy bez salwy.

Angus Strzala rzucił się do przodu.

- Nie rób tego, Stefanie!

Tamten powstrzymał się. Ramio widział w oczach kolegi zmęczenie i zwątpienie oraz coś jeszcze, czego nie umiał rozpoznać.

Wiedźmin opuścił nóż i odszedł na bok.

- Prosta arytmetyka: on ma rację, kapitanie. Gdyby nasz statek był okrętem wojennym, opór miałby sens. Odpowiada pan jednak za tych ludzi. Ramio jest dobrym, utalentowanym magiem. Da radę. Powie pan w biurze Kompanii w Czerdanie, by zatrzymali moje miejsce. Choćby i na pół roku.

Skinął na chłopca okrętowego, żeby przyniósł mu z kajuty wiedźmińską torbę. Odwrócił się, bo coś powiedziec Ramio. W tej chwili trzasnęły drzwi i na pokład wytoczył się purpurowy markiz de Marmotte. W lewej dłoni dzierzył kaftan wyszywany fantazyjnym haftem w kwiaty lipy i kaktusy, w prawej odbezpieczony pistolet.

- Haklandzki wyskrobku! - dyszał ciężko markiz z groźnie zmarszczonym licem. - Jak śmiałeś dobierać się do Elizy swymi brudnymi łapskami!...

- Zajmuje się pan drobiazgami, wasza...

Huknął strzał.

Kilku mężczyzn rzuciło się na markiza, wykręcając mu ręce.

Wiedźmin był zalany krwią. Przed nim zastygł Reinar, nieco chwiejąc się na nogach. Jakim cudem zdołał doskoczyć i zasłonić?...

- Rana nie jest śmiertelna - rzekł pół odwrócony, przytrzymując lewe ramię.
- Ale jeśli zaraz nie przekażemy sygnału na „Brendana”...

Nie dokończył. Z kłębow mgły dała się słyszeć komenda: „Cel! Pal!”.

- Mo! - rozkazał Reinara. - Bierz chłopaka, sam nie dasz rady!

Ramio nie zdążył niczego zrobić. Czarnoskóry był już przy nim i opuścił gigantyczne łapska na jego ramiona, kiwając głową. Z bliska widać było jak bardzo jest wyczerpany. Cały czas, od momentu wejścia na pokład, podtrzymywał osłonę... i nadal trzymał.

Wszystkie działa wystrzeliły naraz. Ramio chwycił odruchowo nadgarstki czarnoskórego. Prosty chwyt „katamaran”, którego się uczyli na pierwszym roku Akademii. Byle tylko utrzymać równowagę i nie przechylić „łodzi”, inaczej zginiesz szybciej, nim policzysz do pięciu. Raz się zdarzyło...

Usiłował się bronić, lecz tamten był silniejszy, czerpiąc z mocy chłopca pełnymi garściami. Ramio przestał cokolwiek pojmować, patrzył tylko jak na masztach i żaglach ognie Elma gasną jeden za drugim, powoli i jakby niechętnie, ale ich twórca legł w niemocy i nie pomógłby na to żaden, umówiony wcześniej, magiczny znak...

Schrypnięty Teredo okazał się zaskakująco młody, pod trzydziestkę. Ponury, czarnowłosy mikrus, obrzydliwie cuchnący moczem.

- Weź się do wiosel, wiedźminie - powiedział, pomagając wsiąść Reinarowi.

Mo pólleżał już w łodzi, kurczowo wczepiając się dłońmi w burtę łódki.

- Coś tam u was źle poszło?

Wiedźmin w milczeniu odciął sznur, którym Reinara był podwiązany dla bezpieczeństwa i siadł obok Teredo. Nawet nie spojrzął na sznur ani na drabinkę, kiedy je wciągnęli na pokład.

- Dokąd wiosłować?

- Wiosłuj - rzekł mikrus. - A dokąd, to zajęcie Reinara.

Łódka była wąska i stara, na jej dnie chlupotała woda.

Wiedźmin położył swoją torbę, żeby nie zamokła, na piersi maga. Położył tamże pas z mieczem i pistoletami. Zerknął na Reinara. Tamten skinął głową.

- Proszę wiosłować, aż nas przechwycą.

Zamknął oczy, ciężko dysząc. Kaftan przesiąknął na ramieniu czerwienią i chociaż pirat przyciskał ranę dłonią, krew przeciekała przez palce. Paskudna sprawa.

- Macie lekarza na statku?

- Słuchaj - warknął Teredo. - Masz wiosłować, a nie mędrkować, gnojku. Czas ucieka, a ty jeszcze...

Wiedźmin wzruszył ramionami.

- Wybacz. Słowem go nie uleczy my. Gorący gość z ciebie. A może się mylę? Zawsze tak śmierdzisz, czy tylko...

- Potem - odparł konus - już po wszystkim, wyjaśnię ci to dokładnie, haklandzkie ścierwo!

- Oduść, Teredo - wtrącił Reinara, nie otwierając oczu. - Wiedźmin chciałby się dowiedzieć, do czego jest nam potrzebny, tylko duma mu nie pozwala zapytać. Albo głupota. Wiosłuj, mistrzu, wiosłuj.

- A pan niech mówi - doradził wiedźmin. - Jeśli chce pan żyć, proszę nawet na chwilę nie milknąć. Skoro pan straci przytomność, mogę nie odratować.

Zakasał rękawy, podwinął kaftan i siadł obok Teredo. Mikrus początkowo wiosłował nierówno, bryzgając wodą na wszystkie strony, w końcu się dostosował.

Reinara podniósł się, przewiązał ranę oderwanym skrawkiem rękawa i gadał, krzywiąc się z bólu.

- Cóż to - zapytał - nie uprzedzasz o swej wąskiej specjalizacji? „Wiedźmin nie zabija rozumnych istot... kodeks jest najważniejszy... nigdy nie podniesie ręki na drugiego człowieka...”.

Trudno orzec, czy wiedźmin wzruszył ramionami, czy tak się przykladał do

wiosła.

- Sam pan wie - odpowiedział. - Nie tknę nikogo, dopóki płyniemy wspólnie tą łódką. Później... zobaczymy.

Teredo zarechotał.

- Słyszysz, Reinar, on nam groził! Jeden gruby zasraniec grozi całej załodze „Brendana”. To ci dopiero!...

- Z tym że - podjął wiedźmin jak gdyby nigdy nic - na pewno nie brakuje na waszym statku prawdziwych zabijaków. Gorzej z mózgownicami...

Reinar wyszczerzył się w uśmiechu.

- Powiedz mi, czy znasz dużo załóg pływających dłużej niż dwa, trzy lata? Zazwyczaj wystarczy im piętnaście do osiemnastu miesięcy. Kto się nachapie - schodzi na brzeg. Inni, wierząc, że są niepokonani, właśnie przez to wpadają. Następni wyczerpują swój limit szczęścia i po prostu giną od kul, zakazań, sztormów lub w paszczach dzikich bestii. Pływamy na tych wodach siedem lat, a nasz kapitan nawet dłużej. Sądzisz, że to jedynie fart?

- Ciekawsze jest pytanie: czemu tak długo?

Nie zabrzmiało to jak pytanie, raczej jak diagnoza.

- Dowiesz się w swoim czasie - zapewnił Reinar. - Jeśli okażesz się naprawdę tak dobry, jak o tobie mówią.

Wiedźmin rozejrzał się. „Ślepy Brendan” właśnie wynurzał się z mgieł. Wysłużony, ale wciąż jeszcze solidny statek. Wyglądało na to, że był niedawno remontowany: burty czyste, gładkie, żadnych muszelek ni wodorostów. Nowe olinowanie i żagle.

Załoga też była niezła. Średnio wiek piratów zazwyczaj nie przekraczał trzydziestu pięciu lat, mało kto dożywał czterdziestki. Chodziły słuchy, że na tym statku służą ludzie po czterdziestce. Doświadczeni? Bez wątplenia, ale nie tak zręczni jak dawniej.

Dobrze wiedzieli, czego chcą. I właśnie do tego „czegoś” potrzebny był im

wiedźmin.

- Czy umrze? - odpowiedział wiedźmin. - Naturalnie. Wszyscy jesteśmy śmiertelni, kapitanie.

Obejrzał kajutę i zasiadł na masywnym kufrze z okuciami w kształcie krakenów. Łebki gwoździ imitowały oczy, kute macki wily się na wszystkie strony, oplatając zamek.

- Stracił dużo krwi - podjął. - Wyjąłem kulę, oczyściłem i opatrzyłem ranę. Co dalej... zobaczymy. Osobiście nie liczyłbym na zbyt wiele.

- On „osobiście” także chyba nie liczy.

Kapitan siedział za długim i wąskim biurkiem i przyglądał się uważnie przybyłemu. Założył ręce na piersiach, tę z drewnianą protezą trzymał na wierzchu. Wiedźmin nie od razu zorientował się, że to kikut. Dłoń wykonał prawdziwy mistrz i wyglądała jak ręka w skórzanej rękawicy. Palce i nadgarstek były jednak sztywne.

Kapitan był po pięćdziesiątce, nazywał się Ahavel. Przesiedleńcy w swoim czasie nadawali swoim dzieciom takie wydumane, pseudoelfickie imiona, wierząc, że przynoszą szczęście. Elfy odeszły na Zachód, a ludzie zostali... Tak więc wszystko, co elfie, było w modzie.

Ironia losu sprawiła, że kapitan w najmniejszym stopniu nie przypominał Seidhe. Szpiczasta siwa bródka, cienkie wąsiki, pomarszczona, wąska, koścista twarz. Wyglądał jak głowa ważnego rodu z pretensjami i ambicjami, aczkolwiek chwilowo handlującego mięsem. Przydomek miał także ponad stan: Wielorybnik.

- Skoro już mowa o liczeniu - podchwycił wiedźmin. - Wasi ludzie tak mocno nalegali, że zmuszony byłem opuścić statek Kompanii, czyli tym samym zerwać kontrakt. Nie wiem, czy znów mnie wynajmą, ale w najlepszym razie będę musiał zapłacić karę za niedotrzymanie warunków umowy. Diabelnie wysoką.

- Opuszczając statek Kompanii - powtórzył za nim Ahavel - uratowałeś tym samym załogę przed śmiercią, karawelę przed zatopieniem, a Kompanię przed stratami. Ściągnęliśmy cię na „Brendana” nie dla rozrywki i całkiem sensownie będzie od razu omówić warunki. Są bardzo proste, mistrzu Żurawiu. Popłyniesz z nami i będziesz chronił statek wraz z załogą. Potem zostaniesz wynagrodzony.

Wymienił taką sumę, że wiedźmin aż gwizdnął.

- Trzy tysiące fabiolskich dukatów?!

- W jakiej zechcesz postaci: monety, klejnoty, weksle.

- Dajecie weksle?

- Poprzez międzynarodowy bank Giancardi. Wszystko absolutnie legalnie. Sam rozumiesz, że nie może być inaczej: nie moglibyśmy tyle lat pływać bez zaufania ludzkiego i sposobów... To czysty pieniądz, nie obawiaj się.

- W wolnych chwilach uprawiacie rzepę? Prowadzicie rejestry w świątyniach Perperuny? Rozmnażacie króliki?

- Inwestujemy w akcje Kompanii - wyjaśnił kapitan z uśmiechem. - I nie tylko. Jednakże, mistrzu Żurawiu, nie jesteśmy tutaj po to, by omawiać szczegóły mojej polityki finansowej.

- Otóż to, kapitanie. Pomówmy o tym, do czego wam wiedźmin. Do tej pory sami dawaliście sobie radę. Ze zdobyciem fortu verdeńskiego, ze strażnikami górskiej świątyni i z ludźmi wicegubematora. A ten śmiały napad na karawelę wiozącą złoto!... Podejrzewam, że wszystko to spowodowało wzrost akcji Kompanii.

Ahavel słuchał go z ledwie zauważalnym uśmieszkiem. W końcu kiwnął głową.

- Dokładnie tak, mistrzu Żurawiu. Ten rejs jest jednak specjalny. Ostatni dla „Ślepego Brendana”.

- Tak, Reinar wspominał, że po jego zakończeniu wszyscy się rozejdą. Wierzy pan w to, kapitanie? Po tylu wspólnych latach nagle wszystko się

skończy? Zabrakło wam ducha?

- Nie wierzę - odparł Ahavel. - Wiem. - Skinął dłonią. - Słyszysz, jak trzeszczą liny, czujesz ruch statku? Kiedy zajmowałeś się Reinarem, złapaliśmy dobry wiatr. To znaczy, że już niedługo. Powinieneś odpocząć, mistrzu Żurawiu. Wkrótce się zaczniesz. Do Miedzy płynie się dobie.

- A co potem?

- Kurs na północny wschód. Morze Szalone za Miedzą.

- Tam, gdzie po Drugiej Koniunkcji Sfer światy nie w pełni się połączyły? Gdzie, jeśli wierzyć wielkiemu Godfrydowi Alcedorowi, jutro gra w berka z wczoraj, a gwiazdy spływają z oblicza niebios słonymi łzami”, gdzie „nie ma pomyślniej fali i wszystko wiedzie do oblędu”? Dlaczego od razu nie wyskoczyć za burzę, kapitanie?

- Ponieważ - wyjaśnił Ahavel, zapalając fajkę - muszę coś tam odnaleźć. Wszyscy musimy. Idź więc i wypocznij, mistrzu Żurawiu, dopóki jeszcze czas.

Ślepy Brendan wznosił miecz obręcz nad głową. Na oczach miał czarną przepaskę, na twarzy widniały gniew i determinacja.

Całkiem niedawno pomalowali go od nowa, ale nawet w gorszych latach, obtłuczony i odrapany, posąg wyglądał groźnie. Jego pierwowzór, pewien fabiolski sędzia, oślepił sam siebie, by nie kierować się uprzedzeniami. Sędzia siał strach wśród złodziei, drewniany Brendan wśród uczciwych żeglarzy. Pierwszy karał w imię sprawiedliwości, drugi dla wzbogacenia się i obaj byli na swój sposób bezlitośni.

Wiedźmin stał na dziobie i obserwował, jak kolorowa figura z mieczem frunie nad wodami. Po prawej, znacznie wolniej, wznosiło się ponad topielą zamglone słońce.

- Wszystkiego dobrego.

Mówiący te słowa zbliżył się, szurając lewą nogą, jakby dawał znać, że nie zamierza się cichcem podkradać.

Wiedźmin odwrócił się w jego stronę.

- Miło pana widzieć na pokładzie „Ślepego Brendana”.

Był to staruszek dobrze po osiemdziesiątce, malutki, zgarbiony i pomarszczony. Kłaki siwych włosów sterczały mu zza uszu i przylegały do łysiny. Spojrzenie niebieskich oczu było jednak zadziwiająco przytomne.

- Dzięki za uratowanie Reinara, mistrzu. Mojrus zajął się nim, ale z samym Mo nie dalibyśmy sobie rady.

- Uznajcie, że spłaciłem dług. - Stefan kiwnął głową marynarzom wspinającym się na wantach. - Wiedzą dokąd płyną? Pan też wie?

- Oczywiście, mistrzu, oczywiście! Jesteśmy zgraną drużyną, można powiedzieć.

- Nikt się nie wylamuje, jak podczas wspólnej grabieży...?

Staruszek spokojnie pokiwał głową.

- Grabieży i zabijania. Dobrze jest mieć do czynienia z inteligentnym profesjonalistą, mistrzu Żurawiu. Wie pan, że opowiadają o tobie legendy? Ta historia o kamieniach gryfonów i wazie... słyszałem o niej dwie, może trzy ballady.

Wiedźmin wzruszył ramionami i musnął wąs.

- Myślę, że wystarczająco wiele pan w tyciu widział, by nie wierzyć w ballady i bajki.

- Widziałem wystarczająco dużo, by wierzyć w jedno i drugie. Ale, ale - zreflektowałem się nagle - nie przedstawiłem się jeszcze! Jestem tutejszym kukiem, a nazywam się Renni Wątróbka. Proszę za mną, pokażę panu nasz arsenał. Powinien to zrobić Mo, ale... sam pan wie.

Poszli w stronę grotmasztu. Staruszek poprosił gestem, by podać mu rękę i szedł wspierając się, przy czym palce mu lekko drżały. Wiedźmin starał się iść wolniej, dostosowując się do jego kroków. Po drodze obserwował załogę, notując wszystko w pamięci.

Marynarze odprowadzali ich zciekawionymi spojrzeciami, niektórzy kiwali głowami albo salutowali. Wiedźmin nie od razu zorientował się, że oddają honory nie staremu Renniemu, lecz jemu. Byli też tacy, którzy spluwali lub odwracali się z nachmurzonym obliczem.

Staruszek spoglądał na to z lekkim uśmiechem. Być może śmiał się w duchu.

- Jest pan dla nas znakomitym gościem, mistrzu wiedźminie. Długo oczekiwany i drogocenny. Reinar i Gaduła strasznie się przejmowali, gdy okazało się, że mają przekazać panu zaproszenie!...

- Czemu stworzył barierę?

- Co proszę?

- Wasz Mo od chwili wejścia na pokład dzierzył magiczną barierę.

Wiedźmin rozpiął guziki kurtki i pokazał medalion: tańczący żuraw wpisany w okrąg.

- Wyczułem to od razu za pomocą medalionu i Mo dobrze wiedział, prawda? Dlaczego?...

Staruszek zerknął na niego spode łba, jakby nie był pewien, czyjego rozmówca żartuje, czy też mówi serio.

- Potrzebujemy pana, mistrzu. Na morzu wszystko się może zdarzyć, więc się obawiali. Słusznie, jak widać.

- A gdyby coś poszło nie tak? Gdybym odmówił? Albo spróbowalibyśmy uwięzić wszystkich trzech i zgasić te wasze ogniki?

Starzec chwycił go mocniej za rękę.

- Poszukalibyśmy innego statku i drugiego wiedźmina. A z wami obeszlibyśmy się tak, jak obiecaliśmy. Wie pan, że najważniejsze w takich sprawach to dotrzymać słowa.

Zeszli po schodkach do wąskiego korytarza, gdzie dwóch ludzi mijalo się z trudem. Renni stuknął w najbliższe drzwi.

- To moje królestwo. Może pan zajrzeć, jeśli chce. Na razie idziemy dalej, o tam, aha...

W końcu korytarza, blisko rufy, były jeszcze jedne, solidne, dębowe drzwi. Renni Wątróbka wsunął wolną dłoń za pazuchę, zaczepił palcem i wyciągnął klucz na łańcuszku, wystarczająco długim, by nie zdejmując, dosięgnąć zamka.

Weszli do komory. Wątróbka zapalił ze zgrzytem masywną lampę wielkości jego głowy. Zawiesił ją na haku i rozłożył ręce.

- Proszę się rozejrzeć, mistrzu.

Różne rodzaje broni sterczały ze stojaków, jak laski w przedsionku u jakiegoś wielmoży: miecze, pałasze, topory... Na ścianach wisiały różnej wielkości harpuny, a także pęta lin i sznurów. Oddzielnie, w specjalnej, wąskiej skrzyni leżały ogromne kopie. Drzewce były oznaczone znakiem, podobnie jak groty, jakby ktoś przykładał rozżarzony do białości metalowy krążek.

- Jak to wynosicie na górę?

Starzec w milczeniu wskazał na pętle i zasuwę nad głową.

- A broń palna?

- U drugiej burty, w takiej samej komorze. Są też, oczywiście, armaty. W ich sprawie trzeba się zgłosić do Bartholomew, ale to później, teraz śpi i lepiej go nie budzić...

Wiedźmin skinął głową i pierwszy wyszedł na korytarz.

- Niech pan powie, czcigodny, z czym przyjdzie nam się zetknąć? - zapytał.

Tamten parsknął gniewnie.

- Jakby pan nie wiedział! To przecież Morze Szalone, gdzie diabeł mówi dobranoc! Nazwa nie wzięła się znikąd, nieprawdaż?

- Miałem na myśli, co czeka nas po tej stronie?

Starzec zgasił lampę, wyszedł ze zbrojowni i gładko zamknął drzwi. Schował klucz pod koszulą. Wyjął z kieszeni drugi, podobny i podał wiedźminowi.

- Wie pan co - odpowiedział - byłem wtedy jeszcze gówniarzem, gdy siadaliśmy za stołem z ojcem w piętnaście głodnych gąb i każdy wiedział, że się nie naje do syta. Rodzic zawsze powiadał: „Nie chwytaj więcej, niż możesz przelknąć za jednym razem”. I dawał po łapach, jeśli ktoś się ośmielił brać za dużo. Dopiero później zrozumiałem, że miał rację, mistrzu Żurawiu.

Renni Wątróbka poszedł w stronę kambuza. Nagle się odwrócił.

- Bez względu na to, co nas czeka po tej stronie, niech pan o tym nie myśli, dobrze radzę.

- Panu się to udaje?

Staruszek nie odpowiedział. Nie musiał, wyraz jego twarzy wystarczył.

Wiedźmin obudził się na mgnienie, nim ktoś zapukał do drzwi. Zbudził go wewnętrzny krzyk. Od pewnego czasu budził się tylko tak. - Mistrzu Żurawiu? - rzekł rosły, kanciasty marynarz ze szramą na szyi. - Wątróbka to panu przysłała, bo kolację pan przespał.

Postawił na kufrze miskę z polewką, kubek grogu i dołożył parę sucharów.

- Dziękuję - rzekł wiedźmin.

Marynarz zawahał się chwilę, jakby chciał o coś spytać, w końcu jednak uklonił się i wyszedł.

Wiedźmin zapalił świeczkę w latarence, włożył kaftan, wydobyl drewnianą łyżkę i przysiadł u kufra. Jadł bezmyślnie, w roztargnieniu. Potem sprawdził zawartość torby, zapiął pas, wziął specjalną rzemiennoprzedzalnianą „uprząż”, zgasił świecę i wyszedł.

Drzwi nie zamykały się z zewnątrz ani od środka. Postał chwilę w wąskim korytarzyku, wsłuchując się w skrzypienie drewnianych przegródek i chrapanie. Zazwyczaj na pirackich statkach nie było osobnych kajut, z wyjątkiem kapitańskiej lub nawigatorskiej. Na tym tylko prości marynarze spali wspólnie w ładowni lub, wedle ochoty, na pokładzie, pozostali mieli swoje kabiny.

W ogóle wszystko tu wyglądało tak, jakby „Brendana” od razu budowano z

uwzględnieniem jego przyszłej „profesji”: lekki, szybki statek, przeznaczony do walki i długich rejsów. W ciągu siedmiu lat padały jego łupem nawet większe i lepiej uzbrojone korabie. Ahavel jednak nie zamieniłby „Brendana” na żaden zdobyczny. Zatapiał je lub sprzedawał w Czerdanie za bezcen na czarnym rynku.

Na pokładzie wiał wiatr. Księżyc co jakiś czas wynurzał się zza chmur, marmurowo biały, świetlisty. Wiedźmin wciąż nasłuchiwał. Z mostka kapitańskiego dobiegało ciche mamrotanie. Wiedźmin kaszlnął i zrobił parę kroków, celowo stąpając po najbardziej skrzypiących deskach.

- Dobry wieczór, mistrzu nawigatorze.

- O! Dobry wieczór, mistrzu Stefanie! Dobrze pan spał?

- Jak zabity.

Nawigator skinął głową. Latarnia oświetlała go od dołu i z boku, przez co dziobate oblicze zdawało się jeszcze bardziej odrażające, a on sam znacznie starszy niż był. Długa fajka sterczała mu z ust jak drewniany kiel.

- Daleko jeszcze do Miedzy?

Gwałtownie zaciągnął się dymem, potem parsknął gniewnie.

- Jeśli wiatr się nie zmieni, to jeszcze przed świtem. Lepiej, by się pan przygotował.

- Właśnie to robię. Wiedźmin zasalutował i poszedł na dziób. Złożył swą „uprząż” pod fokmasztem, po czym zszedł do zbrojowni i przyniósł z niej kłęb mocnej liny. Jeden koniec umocował u podstawy masztu, drugi w rzemiennych węzłach „uprzęży”. Przyczepił też kiść splawików i sprawdził, czy dobrze się trzymają.

Gdy wszystko było gotowe, przysiadł u lewej burty. Wyszukał to miejsce, kiedy wiązał sznury. Nie widzieli go teraz ani nawigator, ani obserwator na bocianim gnieździe.

Wydobył miecz z pochwy i zaczął go polerować, wciąż nasłuchując.

Na każdym statku, nawet w nocy, słychać dziesiątki głosów: bosman i kwatermistrz wydają rozkazy, wachtowi coś burczą pod nosem, czekający na swoją zmianę mamroczą przez sen, lub rozmawiają półgłosem, jeśli nie śpią.

Z ładowni docierał szept.

- Myślisz, że da radę?

- Zależy, komu wierzyć.

- Na razie wszystko jest tak, jak zapowiadał Wielorybnik. Ze szczegółami.

- Z nimi nigdy nie wiadomo. Wielorybnik nie raczył uprzedzić nas, że bierzemy na pokład kukulczego podrzutka.

- Może sam nie wiedział?

- Nie wiedział, a potem się dowiedział? Od początku to planowali, ot co! Ahavel, Reinar i inni.

- Zgadza się, ale dlaczego? Dlatego, że ten Kukulek jest najlepszy! Tego potwora nie pokona zwyczajny wiedźmin.

- Nawet ten łysy Kukulek nie da rady! Ma inną specjalność. Mój kum, celnik z Novigradu, opowiadał, jak na tych wodach znaleźli w zeszłym roku „Królewską Fortunę”. Na statku nie było żywej duszy!

- A niech to!

- Właśnie: „niech to!”. Kiedy znaleźli statek, rekiny krążyły wokół jak szalone. Wszyscy z załogi leżeli na pokładzie i w ładowni. Padli, gdzie akurat stali... Wszędzie pełno krwi i smród jak w rzeźni. Dlatego tak szalały.

- Trupy?!

- Rekiny! I to już nie pierwszy raz, powiadał kum, parę razy do roku zdarza się, że znika piracki statek wraz z załogą. Był... i przepadł.

- No i co z tego? Normalna sprawa. Ile takich było, a ile jeszcze będzie...

- Normalna, tak. Tylko potem znajdują martwe statki. Czasem wypełnione ciałami, czasem puste, tylko zlane krwią. I często rozbite ptasie jajka. Jakby jakiś znak. Powiadają, że to jakiś zawzięty łowca, rycerz, bojownik o sprawiedliwość.

Najmuje się na statek, jak my wszyscy, a potem robi swoje. Wypycha innych z gniazda.

- A gdzie sam się potem podziewa?

- Może zabiera go inny statek w umówionym miejscu, może ma zdolności magiczne.

- Może jest magiem w służbie wicegubematora kolonii fabiolskich i Wysp Jedwabnych.

- Nie pleć, co ślina na język przyniesie, tylko rusz mózgiem. Jeśli ten nasz wiedźmin jest Kukulkim, nie planuje zabić potwora, tylko nas wszystkich.

- To dlaczego do tej pory nie zabił? Taki chytry, czy taki głupi?

- Słuchajcie, szkoda gadać. Nikt nie wie, czy to naprawdę Kukulek. Jest znakomitym wiedźminem, w dodatku znanym. Trzeba go obserwować. Gdy przepłyniemy Miedzę i Wielorybnik rozda nam broń, weźcie lysego na cel. Nie widziałem jeszcze maga, którego nie powstrzymałaby ołowiana kulka. Starczy już tej paplaniny, chcę spać.

Wartownik na rufie uderzył w dzwon. Na chwilę wszystko pograżyło się w ciszy, tylko niknął w powietrzu głęboki dźwięk.

A potem Stefan usłyszał za plecami cienki głosik:

- Nie ma pan nic przeciwko, żeby z nim posiedzieć?

Odezwał się nad samym uchem, choć mało komu udawało się podkraść niepostrzeżenie do wiedźmina.

Stefan uśmiechnął się.

- Widzę, że wasz kapitan nie jest przesądny.

W tym momencie zorientował się, że to nie dziewczyna, lecz trzynastoletni wyrostek, zapewne „małpka prochowa”. Określenie wzięło się stąd, że zazwyczaj noszą kule i antalki z prochem, otwierają i zamykają luki armatnie, ale poza tym zmywają pokład, pomagają kukowi i pilnują, by woda nie zalala ładowni. Ogólnie odwalają na statku najczarniejszą robotę.

Chłopak nie odpowiedział na uwagę wiedźmina. Przeszedł z nogi na nogę i przysiadł obok. Poruszał się zręcznie, był niewysoki, smukły, o delikatnych rysach. Odzież miał dopasowaną, wyglądającą prawie jak nowa, na skórze żadnych okaleczeń czy wrzodów. Zresztą Reinard i Ahavel też byli dobrze ubrani, a pozostali marynarze mieli chyba koszule na zmianę. Bogaty statek, fartowny.

- Dawno jesteś z nimi? - zapytał wiedźmin.

Chłopiec zamrugał i zamyślił się chwilę. - Chyba siedem lat... a wydaje mi się, że od zawsze. - Odpowiada ci takie życie? - Nie znam lepszego! Spojrzał pytająco na wiedźmina, wyciągając dłoń w stronę miecza. - Mogę? - Tylko nie kłam, że nigdy nie miałeś broni w rękach. - Jasne, że miałem - prychnął chłopaczek. - Tysiące razy! Ale to przecież specjalny, wiedźmiński miecz!

- Lepiej się nie pchać pod niego, zapewniam.

Podał małemu rękojeścią do przodu. Chłopak pochwycił ją, poderwał się i zaczął wymachiwać orężem.

- Rety! Jak dobrze wyważony! To prawda, że zaczarowany? Wykuty inaczej, niż zwykle? Hartowany smoczą posoką?

- Nieprawda.

- Brat mówił mi, że tak robią. Bez czarów się nie obejdzie!

Zaśmiał się z cicha i jego twarz pojaśniała, jakby rozświetlona od wewnątrz.

- Będzie zawiedziony, kiedy się dowie! Lepiej nic mu nie mówić.

- Jest tutaj, na „Brendanie”?

- Oczywiście!

Chłopak zrobił parę wypadów w powietrze. Czynił to umiejętnie, nie wyginając ręki w przegubie i nie usztywniając przedramienia.

Wskoczywszy na balustradę, przebiegł po niej balansując, zeskoczył z powrotem, wykonał salto i stanął znów przed wiedźminem. Wszystko stało się w mgnieniu oka. Widać było, że nie od dziś tak dokazywał na „Brendanie”, poznawszy statek jak własną kieszeń.

- Wspaniały miecz!

Przysiadł znów koło Stefana, chrząknął i przeciągnął palcem po ostrzu. Jęknął bardziej z zachwyty niż bólu.

- Ostrożnie!

- Ech, głupstwo!

Chłopak wsadził palec do buzi. Wpatrywał się chwilę w noc, potem poderwał się.

- A, jeszcze jedno. Mówią, że wiedźmini zabijają tylko bezrozumne stwory. Mortheny, żagnice, przerazy, serpentusy... ale nie trytony. Ictiocentaurów także nie, prawda?

- Ogólnie rzecz biorąc, tak - odparł wiedźmin po chwili milczenia. - „Kodeks Białowłosego” obowiązuje we wszystkich krajach Fabioli, istnieją jednak wyjątki od reguły.

- Dlatego że - podsunął znany cytat - „ludzie bywają gorsi od najstraszniejszych potworów”?

- Dlatego, że czasem nie ma wyboru.

Wiedźmin wyciągnął dłoń i chłopak oddał mu broń, nieco się ociągając.

- A później - podjął malec szczególnym tonem - budzi pana wewnętrzny krzyk z powodu koszmarów. I zrozumienie, że opowieści o naprawieniu zła to kłamliwe bajki. Ponieważ...

Zamilkł nagle, i wpatrzył się w coś pod nogami. Ostrożnie, nie odrywając ich od pokładu, podniósł najpierw jedną, potem drugą stopę.

Wiedźmin pokręcił głową. Nie patrzył na chłopca, tylko na fale w oddali, zwieńczone czapami piany.

- Nie, mały. Nie dlatego. Koszmary są tylko częścią ceny. Po prostu jedni wiedzą, kiedy trzeba ją spłacić, inni dowiadują się później - dorzucił ponuro, zwracając się w stronę malca.

- Za młody jesteś, by zastanawiać się nad takimi sprawami. Jutro pogadam z

kapitanem, żeby...

Zaciął się nagle.

Chłopak na chwilę oderwał się od oglądania podeszew swoich stóp i uśmiechnął się.

- Żeby co? Wysadził mnie w najbliższym porcie? Wychłostał? Postawił do kąta?

- No, z najbliższym portem - mruknął wiedźmin, pocierając szyję - raczej mamie, prawda?

Chrząknął znacząco, potem rzucił od niechcienia:

- A ty w ogóle wiesz, dokąd płyniemy?

Speszony młodzik wpatrywał się chwilę w wiedźmina, potem dźwięcznie zachichotał.

- Nie powiedzieli panu? Absolutnie żaden nic nie powiedział?! Figlarze!

Przewrócił się na bok i zaczął tarzać po pokładzie, trzymając się za brzuch, prychnął, łkając i roniąc łzy. Na chwilę się uspokajał, ale co spojrzał na wiedźmina, znowu zaczął się śmiać.

Wiedźmin czekał w chmurnym milczeniu.

Nagle z góry dobiegł krzyk i młodzik od razu umilkł.

- Miedza! - wołano z bocianiego gniazda. - Zbliżamy się do Miedzy!

Stefan wstał, tak samo chłopak. Na jego twarzy nie było już nawet cienia uśmiechu.

- No dobrze - rzekł wiedźmin - biegnij, kolego, do ładowni i nie wychylaj się! Klepnął młodzika po ramieniu i pobiegł do siebie przebrać się. Kiedy wrócił, wszystko się wokół zmieniło: na rejach i bukszprycie płonęło kilka „świateł bezpieczeństwa”, zaspani marynarze wychodzili z ładowni i wdrapywali się na wanty, żeby zwinąć żagle. Jednooki majtek z ognistą czupryną stojący obok pilota, rzępolił na skrzypkach Trzech panów w łódce.

Przebiegający obok Teredo zachichotał na widok wiedźmina.

- Hej, maestro, widzę, że z ciebie modniś!

Żuraw miał na sobie osobliwy, ściśle przylegający do ciała kombinezon z dobrze wygarbowanej skóry, przy czym odsłonięte były tylko twarz i dłonie. Na piersi i biodrach miał kieszenie, za pasem z pochawkami wetknięte rękawice.

Nie zareagował na przytyk.

- Jazda, Teredo - wrzasnął bosman. - Zdażysz jeszcze wyznać miłość naszemu gościowi. - Zadarł głowę do góry i zawył, bryzgając śliną: - Z życiem, sztywniaki! Ruszcie dupy, sukinsyny!

Gębę miał okraszona wrzodami i stracił połowę zębów. Wstawiono mu w zamian sztuczne, lecz dość nieudolnie, bo sterczały w różne strony, nadając twarzy jednocześnie groźny i komiczny wyraz.

- Stanę tutaj na skrzyni - oznajmił wiedźmin. - Nie będę przeszkadzał?

Bosman prychnął gniewnie.

- Jak dla mnie, wszędzie przeszkadzasz. - Splunął w miarę celnie. - Ahavel i Reinard tak zdecydowali, ich prawo. Według mnie, sami dalibyśmy sobie radę bez jaśnie pana.

Odwrócił się i poszedł na rufę, wykrzykując od czasu do czasu rozkazy i dając sygnały gwizdkiem.

Wiedźmin przysiadł pod masztem i zaczął zakładać „uprząż”. Zapiął rzemienie, poprawił mocowania, żeby go nie ocierały i nie kaleczyły. Jeszcze raz sprawdził, czy lina trzyma mocno. Ktoś zdążył już przeciąć ją starannie, zachowując nienaruszony węzeł.

Wiedźmin uśmiechnął się i na nowo zawiązał linę.

Nadchodził świt, jednak niebo nad głowami pozostawało wciąż mętnie blade, tak jak tafla wody. Ocean pienił się grzywami fal, bałwany wznosiły się jeden za drugim i zderzały ze sobą. W powietrzu unosił się ohydny smród, jakby otwartej mogiły.

Na nadburciu pokładu rozlewała się bezforemna czarna plama. Któryś z

majtków nastąpił na nią i teraz zostawiał wszędzie smoliste, cuchnące ślady. Bosman pieklil się, próbując dojść, kto tak zapaskudził pokład?!...

Obok pilota pojawiła się szczupła sylwetka Ahavela. Kapitan założył ręce na piersi i czas jakiś obserwował załogę, potem dał znak podwładnemu, a ten wydobył z podręcznej szafki blaszaną tubę i zagrzmiał przez nią:

- Wszyscy uwaga na mostek!

- Uwaga na mostek, wilcze plemię! - odezwał się echem bosman. - Cicho tam, baby plotkarki! Mówi kapitan!

Skrzypce ucichły, rozmowy urwały się.

Pilot chciał podać tubę kapitanowi, lecz ten nie zamierzał jej brać. Powiedział głośno i wyraźnie, by wszyscy go usłyszeli:

- Pod fokmasztem stoi człowiek, dla którego całkiem niedawno ryzykowaliśmy swoją skórę. Czy było warto? Niektórzy z was sądzą, że nie. Jeśli jednak mnie wzrok nie myli, jest właśnie gotowy nadstawić za nas karku. Serdecznie się tym raduję! A wy?

Załoga odpowiedziała okrzykami i gwizdami, ktoś bębnił w wieko beczki, drugi uderzał chochlą o nadburcie.

- Widzę, że nie ma sprzeciwu - powiedział Ahavel, kiedy ucichli.

Uśmiechnął się przy tym krzywo. Oczywiście było, że gdyby ktoś się sprzeciwił, kapitan rozmazałby go po pokładzie.

- A zatem, gdyby ktoś jeszcze nie wiedział, to nowy członek załogi, mistrz Stefan Żuraw. Nie musicie go lubić, ale powinniście szanować. Wkrótce przepłyniemy Miedzę. Macie słuchać wiedźmina jak mnie samego. Są pytania?

- A jeśli - spytał Teredo - każe nam wszystkim wyskoczyć za burtę? Albo...

- Wyskoczysz pierwszy - osadził go kapitan - ale najpierw podziękujesz mistrzowi za dobrą radę. Jeszcze jakieś pytania?

Mikrus pochylił głowę, zerkając spode łba na wiedźmina.

Kapitan skinął na bosmana, a ten rozkazał korsarzom rozejść się do swoich

zająć. Wyglądało na to, że w swoim czasie tylko krzywousty Lawur studiował dokładnie bestiariusz, ale bez powodzenia. Wiedźmin zawołał go, ten podszedł niechętnie.

- Wszystkich zbędnych ludzi odprawcie do ładowni, czy gdzie trzeba, żeby na pokładzie nie było gapiów. Ponadto otwórzcie luk do zbrojowni, niech ktoś będzie gotów podać mi od razu, czego będę potrzebował. A najważniejsze - dodaj głośniej, by usłyszeli też pozostali - żeby nikt się sam nie pałętał. Lepiej od razu skaczcie za burtę.

Wielu spojrzalo odruchowo na morskie bałwany. Nad spienionymi grzywami fal wisiała gęsta mgła. Statek dosłownie w niej tonął. Osnuła stanowiska armatnie, zrównała się z nadburciem, zalewając go wraz z falami, białymi jęzorami lizala pokład, wślizgiwała się przez poręczę, spływała po mokrych schodkach, po kłębach lin, unosila się do kolan, potem już sięgała po pas, po pierś. Ktoś krzyknął mimo woli. Latarnie świeciły mętnie, jedna zasyczała i zgasła. Mgła sięgała już podbródka, nosa i oczu, rozkołysanym ruchem uniosła się wyżej i cały statek zniknął. Przestał być widoczny dla stojących na pokładzie i dla tych, którzy byli na masztach.

Wiedźmin przykucnął pod fokmasztem i czekał.

Płynęli przez mlecznobiałe morze, tracąc miarę odległości. Żadnego wrażenia ruchu, żadnego cienia czy dźwięku.

W końcu na mostku zagrały skrzypce. Odezwały się dwa lub trzy niezestrojone głosy, lecz po chwili dołączyły do nich następne.

Żagle staw, chwytaj wiatr!

Obcy statek to nie brat!

A szczęście to mit...

Mgła zadrgała i poruszyła się. Pierwsze wrażenie ruchu od chwili, gdy statek się w niej rozplynał.

Śpiewała już cała załoga, oprócz milczącego wiedźmina.

Ujrzał po chwili, jak mgła przed nim rzednie i unosi się.

Rzućcie za burtę wszystko, Co wam pachnie krwią, Ceną to niewysoką...

Na pokładzie przed nim znalazły się dwie giętkie półprzezroczyste macki ze szczypcami na końcach.

„Ślepy Brendan” szarpnął się do przodu, niemal zarył dziobem w fale. Z tyłu po prawej rozległy się krzyki i metal uderzył o drewno. W powietrze wzbila się jeszcze jedna przezroczysta macka, tym razem bez szczypiec.

Przez burtę pelzło prosto na wiedźmina coś masywnego i zarazem pełnego wdzięku. Wywijalo rozlicznymi kończynami, skrobało pazurami po deskach, mrugało z bezrozumną agresją.

Oczy potwora miały długie czułki, szczeciniasty ogon uderzał o burtę. Ogólnie, gdyby nie błoniaste skrzydła, można by go uznać za przerośniętą krewetkę.

- Co za powitanie - rzekł wiedźmin - a liczyłem, że obejdzie się bez szarpaniny. Bosman! - zawołał, nie odwracając się. - Harpun z jak najdłuższym ostrzem!

Krewetka jakoś w końcu wdrapała się na dziób i stała chwilę bezmyślnie zamiatając powietrze dwoma długimi, wijącymi się odnóżami. Jedno było trochę krótsze, z kikuta kapala na deski zielonkawa ciecz.

- No co jest?!...

Wiedźmin obejrzał się gniewnie i niemal nos w nos zderzył się z rozdygotanym majtkiem. Niósł harpun w wyciągniętych dłoniach, nie spuszczać oka z poczwary.

- Przynieś jeszcze jeden na wszelki wypadek - polecił wiedźmin. - I patrz pod nogi, bo się zabijesz, durniu.

Krewetka tymczasem odetchnęła i po namyśle doszła do wniosku, że uszkodzenie kończyny było głęboko wbrew jej naturze. Prężąc się gwałtownie, wystrzeliła przed siebie ocalale odnoże. Wiedźmin uchylił się, podskoczył i w

mgnieniu oka znalazł się przed ostro zarysowaną paszczą. Macki wyposażone w szczypcę pomknęły ku niemu. Znow się uchylił, lekko dźgnął ostrzem kadłub, potem odskoczył piruetem ku burcie. Krewetka zapiszczała po kobiecemu i popelzła za nim.

Znow uderzył, uchylił się i odskoczył.

Uważając, by nie zaplątać się w liny, osłabiał bestię powoli. „Brendan” płynął szybko, bez wstrząsów.

Krewetka ściagała wiedźmina, ten uskakiwał, prowadząc ją w pułapkę. Najważniejsze było nie stracić tempa.

Kiedy znaleźli się przy samej burcie, coś spowolniło potworę. Zamarła, wznosząc ku niebu liczne przednie odnóża, krótkie i długie, cienkie i grube, ze szczypcami, pazurami, ząbkami...

A potem zarechotała.

Bosman, wbił w jej brzuch drugi harpun. Potem splunął i napał na drzewce, wbijając je głębiej. Bluznęła mlekowata ciecz. Brzuch był ogromny i napęczniały.

- A niech cię - szepnął wiedźmin.

Brzegi rany rozeszły się i wypadły z niej na pokład okrągławe stawonogi, każdy wielkości talerza. Krewetka wciąż rechotała bezdusznie i mechanicznie. Wiedźmin zamachnął się ostrzem jak kosą i ściał cały pęk ohydnych czulek. Za drugim ciosem broń uwięzła w pancerzu, mocnym, choć przezroczystym.

Wiedźmin cofnął się dwa kroki i stanął na balustradzie. W tym samym miejscu stał przed świtem chłopiec okrętowy. Trudno było utrzymać równowagę, bo powierzchnia była śliska i gładka.

Zresztą nie musiał długo balansować. Poczwarą w końcu skoczyła, schwyciła wiedźmina i razem wypadli za burtę.

Zakryła ich fala. Gdy lina naciągnęła się do końca, Stefan poczuł szarpnięcie w pasie i ramionach.

Wypatroszona krewetka, przytrzymująca wiedźmina ocalałymi szczypcami, zamachała skrzydłami. Najpierw rozchlapała wodę, potem zaczęła się unosić. Odnóża wily się po tafli wodnej, jakby potwór biegł po powierzchni.

Wiedźmin wydobyl nóż z za pasa i trzema celnymi cięciami uwolnił się od szczypiec. Drugą ręką uczeplił się czułki ocznej.

Woda zalewała mu twarz, oczy i nozdrza. Znów poczuł szarpnięcie, tym razem silniejsze. Puściwszy rękojeść, podciągnął się i wylądował na wielkiej, syczącej głowie.

Nad nim łopotaly skrzydła. Krewetka frunęła nad falami, trzymając się prawej burty „Brendana”. Z rozerwanego brzucha spływała do morza biaława ciecz.

- Zaraz będzie... jeszcze weselej...

Uniósl się, szukając wzrokiem zagłębienia między głowokorpusem a brzuchem. Nie udawało mu się wciąż obrócić, lina ciągnęła do przodu, wciskając w pancerz krewetki.

Sięgnąwszy dłonią do pasa, namacał jeszcze jeden nóż i przeciął sznur przed splawnikami.

Z „Brendana” rozległy się krzyki, wystrzały, głuche uderzenia. Ktoś wypadł za burtę.

Krewetka zapikowała, nie przestając chichotać rozzdzierająco. Wiedźmin podniósł się i celnie jak chirurg, wbił ostrze w szczelinę między dwiema częściami pancerza. To było proste, jeśli wiedziało się, gdzie znajdują się synapsy.

Znacznie prostsze, niż utrzymać się na grzbiecie spadającej do morza krewetki.

Coś go uderzyło, szarpnęło, pociągnęło na dno. Stefan puścił rękojeść i wypłynął trzema silnymi ruchami. Fala zalala mu twarz. Wypluwając morską wodę, starał się zorientować, co dzieje się wokół.

Woda była ciepła, czysta i zadziwiająco spokojna. Niebo jasnoniebieskie jak na tandetnych widoczkach.

Pierwszego trupa wiedźmin zauważył niemal natychmiast. Marynarz kołysał się na falach twarzą do dołu. Pod koszulą buszowały stawonogi. Jeden siedział na plecach między łopatkami i coś wyżerał, pomagając sobie szczypcami.

Wiedźmin popłynął hikiem, by nie zwrócić na siebie uwagi ohydnych krabów.

Odpiął uprząż i zrzucił kombinezon. Wygarbowana skóra miejscami wystrzępiła się, ale to było normalne. W rejsach między Novigradem a Czerdianem zużywało się około dziesięciu takich strojów, dobrze, że chociaż jeden mu został. Szybko przemakały, lecz uratowały życie niejednemu wiedźminowi.

Stefan śledził wzrokiem odrzuconą uprząż i kombinezon. Przez czystą wodę daleko w dole prześwitywało dno, a raczej pokrywające je krzywawe, połamane sylwetki. Czarne, cynamonowe, lazurowe, rubinowe, złote... Szczątki i odłamki, kości i szkielety wraków.

Dziesiątki, setki statków.

Rozpoznawał zębate nadbudówki na kogach i złocone wzory na burtach karawel, groźne paszcze na dziobach drakkarów Skellige, wydłużone dziobnice nilfgaardzkich holków, łabędzie kształty ciryar Starszego Ludu. Zalegały dno wymieszane, roztrzaskane, zniszczone, unicestwione korwety, brygi, brygantyny, karaki... a między nimi wily się węzowe cienie i z półmroku spoglądały na wiedźmina zimne, okrągłe oczy.

Odwrócił się od nich i popłynął, robiąc silne, równomierne wymachy. „Brendan” znajdował się w polu widzenia, lecz niezbyt blisko. Należało oszczędzać siły.

Rozpoznał bosmana po zwróconej ku górze krzywej gębie. Płynął leniwie z szeroko rozłożonymi ramionami. Chwilami znikał pod wodą, potem znowu

wypływał. Lina ze splawikami, obwiązana wokół kostki u nogi, nie pozwalała mu iść na dno. Dwa krągłe stworki wylazły spod koszuli i machały w powietrzu przednimi łapkami. Jeszcze jeden wyjrzał zza bosmańskich zębów, trwożliwie zgrzytając. Miały żółte i czarne paski jak osy, co mogło oznaczać, że są jadowite. Wiedźmin zanurkował. Pod spodem operowały jeszcze trzy stworki: uchwyciwszy parami odnóży za tkaninę, rozrywały ją i szarpały ciało.

Starając się ich nie spłoszyć, wiedźmin podплыł powoli i wyciągnął rękę do prawego buta bosmana. Najpierw trzepnął cholewkę, a skoro nic spod niej nie wyskoczyło, sięgnął głębiej i wydobył krótki nóż z szerokim ostrzem. Naciął linę, która trzymała mocno, bo węzeł zacisnął się na kostce.

Stefan wynurzył się i odetchnął. Trzy siedzące na wierzchu stworki przepelzły na nogi bosmana. Nie żarły, tylko czekały. Też czekał. Ciało płynęło w ślad za statkiem. W innych warunkach można byłoby pluć na to i przeć dalej, ale z tymi czarnożółtymi lepiej nie ryzykować.

Znów zanurkował, chwycił za sznur i dalej go piłował, szybko, ale ostrożnie. Trzy stworki zaskrzeczały nerwowo i ruszyły po prawej nodze w stronę wiedźmina. Stefan zamachnął się niefortunnie i jeden wbił się pazurkami w nadgarstek, zaczął też natychmiast żądlić raz za razem... Przechwycił nóż lewą dłonią i zadał celny, pewny cios z góry na dół, po czym oderwał stworka od swego ciała.

Ręka zaczęła puchnąć. Nareszcie uporał się z liną i pozwoliwszy sobie na kilkuminutowy odpoczynek, przywiązał końcówkę do pasa. Ze statku nie dobiegały już krzyki, trudno jednak było orzec, co się tam działo. Obejrzał się. Ciało bosmana z każdą chwilą się oddalało. Wsadził nóż za pas i zaczął wybierać linę. Spieszył się, dopóki prawa była jeszcze sprawna.

Zauważył, że na dziobie kilku ludzi stoi w szeregu, jakby chcieli powstrzymać coś niewidzialnego. Potem w polu widzenia pojawił się stary Renni Wątróbka. Kuk dzierżył w dłoni tasak na długim trzonku i energicznie uderzał

nim w pokład, jakby ćwiartował mięso.

- Hej! - zawołano z mostka. - Co z panem?

Przewieszony przez poręcz chłopiec okrętowy obserwował wiedźmina.

- Oho - stwierdził - źle pan wygląda. Zdrowszych do grobu kładą.

Wiedźmin uświadomił sobie, że już od jakiegoś czasu usiłuje tylko utrzymać się na powierzchni. Nie pamiętał, kiedy zaplątał sznur na prawej ręce, ale to właśnie go uratowało.

Zadarłszy głowę, skonstatował, że chłopiec znikł.

Renni dalej metodycznie rąbał na dziobie tasakiem. Wokół niego latały wióry i mokre kawałki. „Ogniem! - ktoś zasyczał.

- Ogniem by ich...!”

- Trzymaj!

Obok wiedźmina spadła lina ze zgrabną pętlą.

Należałoby zapytać chłopaczka, czy solidnie przywiązał drugi koniec, lecz nie starczało sił. Stefan włożył zdrową dłoń do pętli i przerzucił ją przez głowę, zaczął rozplątywać węzeł na prawej ręce... I nagle wszystko jakby wróciło do momentu, gdy przepływali Miedzę.

Teraz jednak nie statek zatonął we mgle, lecz on sam.

Wiedźmin leżał na pokładzie. W powietrzu unosił się odór jak z rozkopanego kurhanu. Pierwszym co zobaczył, kiedy otworzył oczy, był czarnożółty stworek, przerąbany na pół.

Stefan spróbował poruszyć prawą ręką, ale była całkiem zdrtwiała.

- Szybciej, szybciej! - wrzasnął ktoś nad jego uchem. - Za burtę to świństwo!

Osobnik wołał głębokim basem z charakterystycznym krasnoludzkim akcentem.

- Stawiajcie fokmaszt i marsreję, kapitan chce wynieść się stąd jak najprędzej.

Na gardle wiedźmina zacisnęły się twarde, tłuste paluchy. Uderzył na ślepo lewą dłonią, lecz chybił.

- Aha - powiedział bas. - Miałem zamiar zbadać puls, ale teraz widzę, żeś żywy, chwała bogom. Leż, nie szarp się. Poznajmy się: jestem Bartholomew de Forbin.

Stefan próbował coś powiedzieć, lecz nie dał rady. Zakaszłał, podniósł się nieco i wypluł szeroki na dłoń, przeżuty płatek z czerwonymi smużkami. Widocznie, gdy leżał nieprzytomny, ktoś wsunął mu go pod język.

- Pozwól...

Siwy krasnolud z bokobrodami pochylił się i wziął w dwa palce znaleźisko, roztarł i powąchał.

- No jasne, płomienica. Masz fart, mistrzu.

- Skąd? - spytał ochryple wiedźmin.

- Skądś się wzięła...

Krasnolud rzucił płatek pod nogi i ryknął do marynarzy:

- Pomóżcie podnieść mistrza Żurawia!

Dwóch rzuciło miotły i chwyciło wiedźmina pod ramiona. Skrzywił się. Wracało czucie w ręce i było diabelnie bolesne.

- Sam dam radę, dziękuję.

Rozejrzał się i pokiwał głową.

- Ile ich było?

Na dziobie leżały ciała czterech majtków. Dwa były porąbane na kawalki, a wokół nich wały się szczątki czarnożółtych krabów.

- Dwadzieścia dziewięć - odparł Bartholomew. - Prawie wszystkie przyssały się od razu do Widena i Samsona.

- I - dodał Stefan - ktoś wpadł na to, by przynieść tasak Renniego.

Bartholomew skinął milcząco głową.

- A pozostałe ofiary?

- Oprócz tych, trzech wypadło za burtę: Lawur, Skawr i Gastou, głupek, który nie posłuchał twojego rozkazu i zawałił sprawę. Jak się czujesz, mistrzu?

- Na razie będę musiał pracować jedną ręką. Potrzebuję nowego miecza i sztyletów... Co z Mo? Byłoby dobrze, gdyby zastąpił mnie na parę godzin.

Omijając parę paskudnych plam i szurając nogami, zbliżał się do nich Renni Wątróbka.

- Gaduła - powiedział - poczuł się lepiej i rwie się do walki. Póki co obaj powinniście odpocząć. Jeszcze tego brakowało, byście się narażali.

- A czy nie po to wzięliście mnie na pokład?

Wątróbka tylko się uśmiechnął.

Marynarze doprowadzali tymczasem statek do porządku, wyrzucali za burtę szczątki krabów, ciała kolegów zaszywali w płótno żaglowe.

Na mostku pojawił się kapitan. Prawą nogawkę miał rozdartą, twarz pobladła z gniewu. Po pierwsze objechał pilota, że razem z innymi zabijał stworki.

- Twoja praca to pilnować steru, mistrzu Roderigo. Sam wiesz.

Tamten Opuścił głowę.

- Mój błąd, kapitanie.

- Co z kursem?

Roderigo Dwugłosy wypuścił z fajki kłęby siniego dymu. Pokasłując, sprawdził kompas.

- Zdaje się, nie zesliśmy. Zablokowałem koło sterowe zanim...

Ahavel chciał coś dodać, lecz zrezygnował, spostrzegłszy wiedźmina. Chmurząc się, podszedł do Stefana, Bartholomewa i Wątróbki. Po drodze nabił tytoniem swoją fajkę, zapalił i zaciągnął się dymem.

- Widzieliście kiedyś takie stwory? Bo ja nie.

- Tysiąc razy - odparł wiedźmin. - Tyle że były nie większe od paznokcia na małym palcu. Pasożyty, żyjące w trzewiach gatunku Psalidopus, czyli po prostu w krewetkach, jakie nieraz pewnie jedliście.

- I co dalej? - spytał wiedźmina kapitan. - Monstrualne meduzy? Żółwie

ogromne jak wyspy?

Wiedźmin kręcił w zadumie wąs.

- Nie sądzę. W Morzu Szalonym zdarzają się różne relikty, ale osobiście spodziewałbym się innych dziwów, mniej materialnych, że tak powiem.

- Niechętnie, napatrzyłem się ich ostatnim razem do syta. Mistrzu Stefanie, niech pan idzie do siebie i odpocznie jak należy, bo źle pan wygląda. Wezwiemy, jeśli zajdzie potrzeba. Proszę coś zjeść, opatrzyć rany i wyspać się. Nasz medyk Mojrus zajrzy do pana, jak skończy z innymi.

Wiedźmin zachnął się.

- Sam się opatrzę, nic wielkiego. Często przepływał pan Miedzę?

- Nieczęsto - odparł sucho kapitan. - Bartholomew, pomóż mistrzowi zejść do kajuty. Renni, bądź tak miły i zajmij się obiadem, bo straciliśmy śniadanie. Wyślij też kogoś, niech sprawdzi, czy wszystko w porządku z Reinarem.

- Sam do niego zajrzę - oświadczył wiedźmin. - Do tej pory mu nie podziękowałem.

Kapitan kiwnął głową i odwrócił się, skupiając na czymś innym.

Reinar leżał z zamkniętymi oczami, lecz choć wiedźmin wszedł z pozoru bezszelestnie, ranny poderwał się z poduszki i wsunął dłoń pod materac. Potem zachichotał.

- Nie spodziewałem się!

- Czego konkretnie?

- Że jeszcze będę musiał walczyć o życie. - Wyjął pustą dłoń spod materaca i położył na koldrze. - Oho, widzę, że oberwałeś. Jeśli słuch mnie nie myli, wszyscy pozostali żywi?

- Mniej więcej - odparł wiedźmin.

Postawił obok łóżka dwie miseczki i dwa kubki, wyjął suchary.

Jakiś czas jedli w milczeniu. Słychać było z pokładu melancholijną grę skrzypiec.

- A wiesz, założyliśmy się z Ahavelem, kiedy rzeczywiście spróbujesz...

Uniósł znacząco duży palec.

- Dlatego tak się spieszył do Miedzy.

- Dlatego?

- Na Morzu Szalonym samotnik nie przeżyje, wiesz o tym dobrze. Miałeś dobę w zapasie. Wątróbka miał ci dodać jakiś niegroźny środek nasenny dojedzenia, ale usnąłeś wcześniej. Potem znaleźliśmy się trochę za blisko Miedzy, nie chciał więc ryzykować. Mo nieprzytomny, ja ranny, nie można cię było stracić...

Podniósł się, podłożył wygodniej poduszkę i usiadł, przesywając wiedźmina uważnym, chłodnym spojrzeniem.

- Więc po co?

- Mam wrażenie, że lepiej się czujesz.

- Daj spokój, widziałeś ślady na skórze. Nie są zaraźliwe ani śmiertelne.

Znasz się przecież na tym, mistrzu Stefanie.

- Znam.

Dopił kubek i otarł wąsy spłowiałą chustką.

- Dawno się to zaczęło?

- Zaraz po splądrowaniu świątyni Perperuny. Została mi taka pamiątka...

Zakaszlał i przesunął dłonią po wargach. Na palcach pojawiła się czerwień.

- Mogło być gorzej. Dlaczego ty... Dlaczego my wszyscy jeszcze żyjemy? Jeśli prawidłowo rozumię, miałeś dosyć czasu, by przynajmniej spróbować.

- Nie lubię kłamać - powiedział wiedźmin. - Dlatego nie będę zapewniać, że cieszę się, iż przyszedłeś do siebie. Obaj wiemy, że nie na długo. Jeśli będziesz walczyć, może pożyjesz jeszcze tydzień, dwa. Uznaj to za moją wdzięczność, że tak ofiarnie podstawileś się pod lufę. Wystarczy ci tydzień, by zobaczyć spełnienie tego, co wymyśliliście?

- Dasz nam cały tydzień? - spytał z uśmiechem Reinart. Wiedźmin milcząco

patrzył mu w oczy. - Wystarczy - stwierdził pirat. - Powinno starczyć. Zdechnę, ale tyle wytrzymam! Wiedźmin skinął głową i zrobił krok w stronę drzwi. - Tak - rzekł, ujmując klamkę - niepotrzebnie wzięliście ze sobą tego chłopaczka, skoro wiedzieliście, dokąd plyniecie.

Pirat zachnął się.

- Mojrus jest już duży, tylko na tym statku wymagają od niego więcej, niż od innych. Ma swój rozum. Ejże, czy nie z powodu tego młodzika rozmyśliłeś się, mistrzu?

Wiedźmin uniósł brwi.

-,„Rozmyśliłem się”? O czym mówisz?

Wyszedł od Reinara i przystanął na jakiś czas, przysłuchując się temu, co działo się na pokładzie. Zanim poszedł do swego wybawcy, przebrał się i wypił parę mikstur. Tymczasem pokład został oczyszczony, a teraz oporzędzali takielunek. Statek płynął powoli, lecz równo. To dobrze, oznaczało, że nie osiada na mieliźnie. Chodziły słuchy, że na Szalonym jest sporo wysp, lecz nie wszystkie były od razu widoczne...

Zamierzał iść do siebie, lecz się rozmyślił. Dotarł do końca korytarzyka i zastukał w wąskie, odrapane drzwi.

- Tak, tak - odpowiedział zmęczony głos. - Proszę wejść. Uprzedzałem przecież, żeby od razu wchodzić, jeśli ktoś ma ranę, czy choćby zadrapanie. Te kraby...

- Ja w innej sprawie - powiedział wiedźmin. - Można?

Lekarz okrętowy gnieździł się w ciasnej kajucie, zawałonej niezliczonymi apteczkami. Stały jedne na drugich całymi stosami, zostawiając jedynie tyle miejsca, by otworzyć drzwi do połowy. Drzwiczki szafek były oznaczone literami oraz symbolami alchemicznymi i astrologicznymi. Na każdych były też solidne, pociemniałe ze starości zasuwki.

Pod jedynym oknem, przy wąskim stoliku wyglądającym jak parapet, siedział

młody chłopak.

- Mistrz Mojrus?

Zamknął księgę i wstał, poprawiając płócienną bluzę.

- Pan jest zapewne mistrzem Żurawiem? Jak pańska ręka?

- Ręka w porządku, płomienica bardzo pomogła.

Młodzik miał nie więcej niż osiemnaście lat. Zmienił się na twarzy, gdy zagościł na niej uśmiezek.

- Płomienica? To wielkie szczęście, że udało się panu ją zdobyć. Pozwoli pan?

Delikatnie, praktycznie nieodczuwalnie musnął końcami cienkich palców nadgarstek wiedźmina, potem zakasał jego rękaw i uważnie przyjrzał się skórze.

- Tak - odpowiedział Stefan po chwili. - Faktycznie duże szczęście.

Mojrus pokręcił głową z goryczą.

- Wie pan, jak oni się szykują... Wszystko na ostatnią chwilę, w pośpiechu!... Potem patrzysz: jedno zioła się przesuszyły, inne pokryły pleśnią... Poprzedni lekarz miał niesamowite zbiory driakwi, ale jaki sens gromadzić takie zapasy?

Zamachał rękami, zaczepiwszy ramieniem o jedną z szafek, lecz chyba nie poczuł bólu.

- Ludzie umierają, a ja w niczym nie mogę im pomóc!

- Od dawna pływa pan na „Brendanie”?

- Nie, co pan! Pierwszy raz! Inaczej byłby ze mnie większy pożytek. Wywalić do diabła połowę tego, czym zapchane są te półki i zamienić na prawdziwe lekarstwa...

Stefan pokiwał głową.

- Student?

- No tak... W ogóle nie jestem medykiem tylko specjalistą od starożytnych języków, ale sam pan rozumie, że na statku każdy musi być użyteczny. Nieźle się

orientuję w ziołach i anatomii. W Oxenfurcie to teraz kursy obowiązkowe od pierwszego do trzeciego roku, bez nich nie przejdziesz dalej.

- Byłem tam dawno temu - stwierdził wiedźmin. - I jak pan czuje się na „Brendanie”?

- Nie wiem, nie mam z czym porównać. Załoga bywała w świecie, zjedli razem niejedną beczkę soli. Są jednak i tacy, których najeli razem ze mną... Nie na uniwersytecie, w porcie! Wzięli mnie dlatego, że poprzedni lekarz zginął, więc go zastąpiłem.

Zmieszał się i zamilkł.

- Z powodu brata? - spytał ostrożnie wiedźmin.

Mojrus zamrugał.

- No tak... A skąd pan?... Co ja gadam! To przecież oczywiste! Jaki inny powód...

- Myśli pan, że uda się go uratować?

Chłopak spochmurniał.

- Skąd można wcześniej wiedzieć? Zapewniam, że zrobię wszystko, co będę mógł! Są szanse...

Stefan szczypał czubek wąsa w zamyśleniu.

- Wie pan co, mistrzu Mojrusie - rzekł w końcu - mam dla pana pewną propozycję uczciwej umowy. Postaram się panu pomóc.

- Spróbuje pan ocalić Lukę? - Owszem. W zamian jednak proszę obiecać: jeśli nic mi z tego nie wyjdzie, opuści pan statek. Na pierwszy mój rozkaz, bez sprzeciwu ani zwlekania.

- Może się pan mylić! Nikt przecież nie wie na pewno...

- Jestem od pana starszy, mistrzu Mojrusie - stwierdził, kładąc ciężką dłoń na ramieniu młodzieńca - i może być pan pewien, że wyniosę żywego, cokolwiek by się nie działo.

Mojrus przelknął ślinę, lecz wytrzymał jego dłoń i spojrzenie.

- Dlaczego mam panu wierzyć? Słyszałem, co ludzie szepczą... o wiedźminach.

- Słyszał pan, jak ludzie mówią, że wymorduję całą załogę - stwierdził spokojnie Stefan. - Nieraz to robiłem. Jeśli jednak był pan gotów uwierzyć w tanto, co szkodzi uwierzyć w coś bardziej prawdopodobnego?

- W pańską dobrą wolę?

- W to, że tycie człowieka jest warte więcej niż jednego miedziaka, nie tylko w pańskich oczach, mistrzu medyku. Zgadza się pan?

Młodziak milcząco skinął głową.

- A zatem rozumiemy się: na pierwszy mój rozkaz!... Niech pan przygotuje porządną szalupę, nie tę dziurawą, jaką przysłali po mnie. I proszę po trochu, żeby się nie spostrzegli, gromadzić zapasy. Trzeba też zdobyć kompas. Rozumie pan: zapasy dla trzech.

- Kto będzie trzecim?

Stefan wzruszył ramionami.

- Luka, a któżby inny. Mówilem, że ocale go, choćby nie wiem co.

Mojrus pochylił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Tylko po co to wszystko, skoro wpadniemy na...

- Wyspa! - krzyczał ktoś na pokładzie. - Wyspa z prawej burty!...

To było oczywiste, że Ahavel szukał za Miedzą wyspy (i kto wie, czego jeszcze?), ale na pewno nie tej, do której się właśnie zbliżali.

Z gęstej mlecznobiałej mgły za prawą burtą wynurzył się zielony stok. Choć skrzypiało olinowanie i przekrzykiwali się majtkowie, słuchać było, jak śpiewają drozdy lub dzwońce. Stefan nie znalazł się na ptakach.

Mgły kłębiły się między grubymi pniami i gałęziami ciężkimi od jablek. Od samego zapachu ciekła ślinka do ust.

- Szykujcie szalupy! - rozkazał Ahavel. - Chyba dotarliśmy!

Wtedy Stefan zobaczył, że po lewej stronie z kosmatych szuwarów wypływa

plaskodenna łódź, niezgrabna i kanciasta, niczym świńskie koryto. Siedział w niej mężczyzna w czarnej skórzanej kurcie. Białowłosy, ale nie starzec. Wspaniała grzywa przewiązana była wzorzystym rzemykiem.

Kierował łódkę wzdłuż brzegu, nie zwracając uwagi na statek. Krótkie wiosło co rusz pograżało się w wodzie, roniąc kryształowe kropelki. Mężczyzna poruszał się lekko i zgrabnie, a tylko ktoś uważnie się przyglądający zauważyłby, że jest ranny. Kurtka była rozpięta i widać było bandaż pod koszulą. Stefanowi wydało się nawet, że dostrzega krople krwi przeciekające przez tkaninę. A może to był tylko zwykły pot.

Białowłosy płynął w stronę przylądka, nad którym zwieszały się gałęzie wierzby. W jej cieniu stała delikatna kobieca postać. Powiał wiatr i Stefan wyczuł drażniący nozdrza zapach agrestu.

- Nie - powiedział cicho Żuraw - zwracaj, Bartholomew.

Ten chciał się sprzeciwić, lecz spojrzawszy w oczy Stefana, skinał głową.

Rozgniewany Ahavel zbiegł z mostka, stukocząc obcasami.

- Dokąd by pan nie płynął - powiedział mu wiedźmin - to nie jest pańska wyspa. Nie widzi pan? Naprawdę nie pamięta?

- Co, w imię Elma Wspomożyciela, mam widzieć i pamiętać?

- Wiosło, kapitanie - wtrącił de Forbin. - Proszę spojrzeć na wiosło.

Ahavel wyjął fajkę z ust, najwidoczniej po to, by wyrazić dobitnie, co sądzi o wiedźminach i krasnoludach w związku z wiosłami, a nawet osłami.

Zamiast tego zakaszlał i wsadził z powrotem cybuch między wargi. Zaciągnął się głęboko i wrócił na mostek spowity kłębam dymu.

„Ślepy Brendan” popłynął dalej w zupełnej ciszy. Marynarze z zapartym tchem odprowadzali wzrokiem wyspę, dopóki nie znikła im z oczu, dopóki nie skryła się w oddali kobieca postać, jabłonie, mężczyzna płynący łodzią, póki nie rozplynęło się we mgle wiosło roniące kryształowe kropelki.

Kropelki spadały, nie pozostawiając kręgów na wodzie.

- A to prawdziwie królewska uczta, bez wątpienia! - rzekł wiedźmin. - -
Wspaniała! Nie macie przypadkiem jajek?

Nie zwracając uwagi na grobową ciszę panującą przy stole, przecisnął się
wzdłuż ścianki i zajął puste miejsce.

Współbiesiadnicy wiedźmina, dwóch krasnoludów i dziewięciu ludzi,
siedzieli z ponurymi minami, tylko Renni Wątróbka dobrze się bawił.

- Niestety, nie trzymamy drobiu na statku - odpowiedział.

- Proszę wybaczyć, mistrzu.

- No trudno, jakoś to przeżyję. Wybaczcie, że musieliście na mnie czekać. -
Stefan podkręcił węża i podrapał się w udo.

- Czyściłem broń, tak na wszelki wypadek.

Z dobrodusznym uśmiechem wydobyl drewnianą łyżkę. Ahavel akurat
wytrząsnął fajkę i położył obok talerza.

- No cóż - powiedział - dosyć tej gadaniny. Zaczynaj, Reinar. Pierwszy oficer
nie wyglądał zbyt dobrze. Siedział wsparty o ścianę, blady, z kroplami potu na
czole. Mówił jednak wyraźnie i spokojnie.

- Bogowie widzialni i niewidzialni, duchy wody, powietrza, ziemi i ognia,
zwracamy się ku wam my, mistrzowie powodzenia, rycerze „Ślepego Brendana”.
Poprowadźcie nas przez burze i miraże, uchronicie przed chorobą i niemocą,
pozwólcie porwać się na niemożliwe, dokończyć rozpoczęte, spełnić zamysły.
Przyjmijcie tę ofiarę, darowaną wam w imię waszego miłosierdzia. Dziękujemy
wam z całej duszy i na was polegamy.

Modlitwę powtarzali wszyscy, nawet krasnoludy i to zupełnie szczerze.
Wiedźmin milczał i obserwował.

- Dobrze - powiedział Ahavel - a teraz do dzieła.

Skinął na Renniego, ten zaś zaczął nalewać zupę i grog oraz rozdzielać
suchary.

Nikt nie rzekł słowa przy jedzeniu. Jadło na statkach, zwłaszcza pirackich,

zawsze było dość marne: zabierano tylko niezbędne produkty, a i te szybko się psuły. Woda była zatechła, suchary robaczywe, słoninę prędzej czy później podżerały szczury... W miarę możliwości urozmaicali jadłospis rybami, nie co dzień jednak był udany połów. Dzisiejszy okazał się zresztą nie najgorszy. Załoga powinna chociaż na chwilę odreagować swoje lęki. Wszyscy byli wystraszeni. Co mądrzejsi sami domyślili się, kto płynął w płaskodennej łodzi. Pozostali woleli nie wnikać w szczegóły, ale czuli sprawę. W ogóle krople spadające z wiosła i nie pozostawiające śladu na powierzchni wody, były ostatnimi kroplami przelewającymi czarę goryczy. Załoga wreszcie zrozumiała, na jakie wody wypłynął „Brendan”.

Dlatego tego wieczoru Ahavel zarządził odpoczynek. Nakazał dryfować i zastawił między grotmasztem i fokiem wielki stół dla marynarzy, a mniejszy w kajucie kapitańskiej. Dla starych „rycerzy” ze „Ślepego Brendana”, cokolwiek to oznaczało.

- Ma pan znakomitego kuka, kapitanie - ocenił wiedźmin, kiedy wszyscy zjedli kolację i zaczęli nabijać fajki - nawet pomimo braku świeżych jaj.

- Chcesz - warknął Teredo - to cię nakarmię twoimi jajami, haklandzkie ścierwo!

- Dostyc! - rzekł cicho Ahavel.

- Kpi sobie z nas! Niech pan kapitan spojrzy na tę zadowoloną gębę! On...

- Nie kpi - wtrącił Reinar. - Mistrz ma taki styl konwersacji. Bartholomew de Forbin zakaszlał znacząco. - Zagadki - zauważył - są ciekawe, ale czy nie pora przejść do rozwiązań, mistrzu? - Według mnie czas najwyższy - poparł go Johann Hebel, barczysty, czarnowłosy krasnolud. Chwycił masywną łapą za kubek, siorbnął głośno, ze smakiem, i pociągnął nosem. - Nie ma co dalej się guzdrać. Zaraz podniesie się wrzawa...

- Żeby rozwiązać zagadki - zauważył Stefan - trzeba najpierw je sformułować. Oto pierwsza: jak doszło do tego, że kapitan uważa wiedźmina za

mordercę? Osobnika, który przedostaje się na statek, by wyróżnić całą załogę? Odpowiedź wydaje się prosta: wiedźmin pracuje dla Kompanii, w której interesie jest, aby było mniej piratów.

- Zgadza się - przytaknął Ahavel. - Mniej więcej.

- Pamiętasz, Reinar, jak mówiłem, że wasi ludzie mają nie po kolei w głowie? To właśnie ta sytuacja.

Wiedźmin pochylił się i w świetle lampy błysnął jego gładko wygolony czerep.

- Powiedzmy, że ktoś przedostaje się na piracki statek. Powiedzmy, że skazuje na śmierć wszystkich obecnych na okręcie. Powiedzmy także, iż jest gotów wypełnić tę misję. Co wtedy robi?

Renni Wątróbka zaniósł się drżącym, starczym śmiechem. Tak mocno potrzasał głową, że zdawało się, iż resztki jego włosów rozniosą się po kabinie jak pyłki dmuchawca.

- Brawo, mistrzu! To prawda, że pomyśleliśmy o tym!

- Teraz niech pan wyjaśni pozostałym - powiedział chłodno Ahavel.

- Prosta sprawa - rzekł wiedźmin, uśmiechając się pod wąsem. - Wszystkie statki, jakoby naznaczone przez Kukulka, te, na których znaleziono ptasie jaja, niby jego znak, straciły załogę w ten sam sposób. Ludzie byli zabijani z zimną krwią za jednym zamachem. Nie byli wyrzucani kolejno za burtę, nikt im nie podrzynał gardel we śnie. Nie zastrzelił z pistoletu. Jeden człowiek przeciwko pięćdziesiątce, może siedemdziesiątce zabijaków. Brzmi ciekawie, prawda? Dlaczego zrobił to właśnie tak? Przecież o wiele prościej i bezpieczniej byłoby wynająć się jako kuchcik i przy nadarzającej się okazji wsypać truciznę do kotła, by zabić wszystkich od razu.

Milcząco spoglądali po sobie. Próbowali zrozumieć.

- To wszystko bzdura - oświadczył wiedźmin. - Oto ciekawsza zagadka: pewien kapitan święcie wierzy, że przyjął na pokład Kukulka. Gotów jednak

zaryzykować i popłynąć przez Miedzę na Morze Szalone. Wiedźmin jest rzekomo potrzebny do tego, by chronić statek przed potworami. - Stefan w zadumie pokręcił łyżką. - Chronić doświadczonych marynarzy i zabójców. A co najciekawsze, tego wiedźmina jedni z was nie chcą widzieć, inni gotowi ocalić go nawet za cenę własnego życia.

Ogarnął wszystkich spojrzeniem.

- Po co jestem wam naprawdę potrzebny?

Ahavel spojrzał mu prosto w oczy.

- Jesteś mądrym człowiekiem, mistrzu. Po co? Na pewno nie po to, by naprawiać żagle.

Krasnoludy zerknęły na siebie. De Forbin wstał.

- Proszę się nie gniewać, kapitanie, obrzydła mi ta gadka. Przejdźmy do rzeczy. Mistrzu Stefanie, weźmy chociażby mnie. Plywam na „Brendanie” od początku i widziałem niejedno. Wcześniej zarządzałem fabryką, której nie otrzymałem w spadku, lecz oczywiście kupilem, bo wśród krasnoludów nie ma arystokratów. Za sto lat może będzie inaczej, teraz się kupuje. Nie robiłem tego dla siebie, lecz chciałem przekazać synowi, a ten wnukom... - Zatopił palce w brodzie. - Wszystko jednak poszło nie tak.

- Syn zmarł?

- Zaginął. Wieczorem był jeszcze w łóżku, rano go nie było. Otwarte okno, pościel na podłodze, błoto i garść suchych liści na parapecie.

- To było jesienią?

- Latem, mistrzu Stefanie.

- Dawno się to stało?

- Z dziesięć lat temu. - Bartholomew strzelił palcami. - Dziesięć lat... Zacząłem go szukać. Mój Dago nigdy nie był psotnikiem, nie przyszłoby mu do głowy robić takich żartów.

Johann Hebel pokiwał głową.

- Potwierdzam. Porządny był z niego chłopak.

- Wiedziałem, jak to bywa. Złych ludzi... i, hm, krasnoludów na świecie bez liku. A w Czerdanie ich chyba najwięcej, w końcu to port. Wszystko mogło się zdarzyć, ale zawsze zostaje jakiś ślad. Kogoś albo czegoś.. Z kim ja się nie kumalem, kogo nie prosiłem o pomoc... i nic. Jak kamień w wodę. Potem okazało się, że już wcześniej zdarzały się podobne przypadki. Nie tylko w Czerdanie, ale i w innych miastach.

- Słuchałem - dodał Johann Hebel - sam nie będąc słyszany.

- Mój szwagier rzeczywiście był dobrym słuchaczem. Dziwne, że nie było innych śladów. Jakby jakiś latający stwór porywał dzieci z sypialni.

- Tylko z sypialni? - zapytał wiedźmin.

- Nie tylko - zaprzeczył cicho nawigator Roderigo Dwugłósy, zmiatając ze stołu niewidoczne okruchy. - Zdarzało się, że dzieci znikaly prosto z kajuty. Szkunier płynął wzdłuż brzegu w zwykłym kabotażu, nic specjalnego... - Zaciął się, westchnął przeciągle, potem mówił dalej zmienionym głosem: - Porywał ich prosto z kabiny, okna i drzwi były zamknięte... Jakby wyszli na chwilę!

- Oczywiście obszukaliście statek - powiedział wiedźmin.

- Znaleźliście coś dziwnego? Jakieś drobne niewyjaśnione anomalie, wyglądające na nieistotne głupstwa?

- Lustro zauważył - podchwycił Reinar. - Teraz nawiguje, lecz potem może go pan zapytać. Krótko mówiąc, jego córeczka skarżyła się, że ktoś ją obserwował.

- Kiedy się jej tak zdawało?

- Przed snem. Jakby ktoś zaglądał przez okno. Lustro oczywiście uznał, że to typowe dziecinne lęki, w rodzaju gremlinów pod łóżkiem i kobolda w piwnicy.

- Koboldy nie mieszkają w piwnicach.

- W tym rzecz. Tak więc Lustro nie zwrócił na to uwagi, a przypomniał

sobie zbyt późno. To jedyny znany przypadek, kiedy porwana była dziewczynka.

- Komu znany?

- Nam, mistrzu. Tym, którzy postanowili uwolnić świat od tego latającego potwora.

- Wie pan - powiedział Renni Wątróbka - jeśli ktoś czegoś szuka, wcześniej czy później styka się z tymi, którzy pragną tego samego.

- Z podobnie myślącymi - podsunął wiedźmin.

- Istotnie. Opowiadając swoje historie, szybko się zorientowaliśmy, że wszystkim przytrafiło się to samo nieszczęście i mamy wspólnego wroga. Pozostawało tylko go odnaleźć. Trzeba było na to poświęcić dużo środków i czasu, sporo sił oraz pewnych... narzędzi. Rzadkich i wyjątkowych. Im więcej się dowiadaliśmy, tym jaśniej rozumieliśmy, jak trudno będzie dorwać naszego przeciwnika.

- Wiemy, na co idziemy - wtrącił ochryple Teredo. - Wiemy.

- I zrobimy to bez względu na cenę - oznajmił kapitan.

Wiedźmin skinął głową.

- Wspaniale. Chcecie zbawić świat i pomścić swoje krzywdy. Co prawda cudzymi rękami, ale tak już bywa, to normalne. Wstrząsające - dorzucił, przyglądając się im z ciekawością.

- Nie podoba mi się pański ton, mistrzu Stefanie - powiedział Ahavel.

Siedział wyprostowany, poblady, z zaciśniętymi ustami. Na skroni pulsowała mu żyłka.

- Ile lat - zwrócił się do niego wiedźmin - czekaliście na ten dzień? Dziesięć? Siedem? Czyli przez cały ten czas, kiedy grabiliście i topiliście statki, pładrowaliście świątynie i mordowaliście, mieliście na uwadze inny cel? Wspaniały, wysoki i czysty.

- Pan tego nie zrozumie.

- Nawet nie będę próbował. Chcecie, żebym zabił potwora, zgadza się?

Starczy tej gadaniny - orzekł, uderzając dłonią o stół. - Interesują mnie tylko fakty. Resztę zobaczymy.

Na parę minut w kabinie zapanowała cisza. Z pokładu słychać było grę skrzypiec i śpiew marynarzy.

Ahavel i Renni spojrzeli na pierwszego oficera, ten skinął głową i zaczął:

- Fakty są, ogólnie rzecz biorąc, następujące. Porwania dzieci zdarzają się od czterdziestu lat. Pierwsze odnotowane w portach Fabioli i na statkach znajdujących się dwa dni drogi od brzegu. Dzieci znikają z pokoi sypialnych lub takich, w których miały spać. Głównie chłopcy z różnych warstw społecznych. W większości ludzkich, choć zdarzały się też porwania spośród krasnoludów albo niziołków. Nigdy żadnego nie odnaleziono. Czasem ginęły wraz z nimi różne, mało cenne rzeczy: ulubione zabawki, stare ubranka, drobiazgi...

Bartholomew de Forbin przytaknął.

- Wraz z Dago przepadł drewniany smok. Sam go zmagistrowałem, skrzydła na zawiasach, łapy... Dago rzadko się z nim rozstawał.

- To wszystko?

- Nie - odparł Reinar. - To był zaledwie początek. Kupiliśmy mapę i zaznaczyliśmy na niej wszystkie miejsca, gdzie działał potwór. Odwiedziliśmy rodziców, których zdołaliśmy odszukać.

- Albo najbliższych krewnych - dorzucił Roderigo Dwugłosy.

- Nie znaleźliśmy żadnego punktu zaczepienia - oświadczył Renni, splatając nerwowo palce. - Zupełnie nic.

- Chłopców porywano z sypialni - zauważył wiedźmin - i zakładam, że nocą. To może być jednak zwykły zbieg okoliczności. Powiedzcie mi lepiej coś innego, drodzy panowie: nie przyszło wam nigdy do głowy, że nie ma żadnego potwora? Po prostu jakiś wyjątkowy łajdak zarabia w ten sposób, że dostarcza chłopców do nielegalnych burdeli dla amatorów specjalnych usług.

- Przychodziło - zabasował przysadzisty, brodaty marynarz. Na lewym policzku miał znamię wielkości spodeczka, pokryte białą, jakby martwą skórą. - Poszliśmy tym tropem na samym początku. Niejedno widzieliśmy. Ci wstrętni ludzie nie mają związku ze sprawą. - Westchnął przeciągle. - Jakbyśmy błędzili po labiryncie: gdziekolwiek się nie ruszysz, wyjścia nie ma.

- A potem - powiedział Ahavel - dowiedziałem się o Manuskrypcie.

Wydobyl kapciuch i niespiesznie zaczął nabijać fajeczkę.

- Kiedy przyszli do mnie rycerze „Brendana”, nie byłem już nowicjuszem. Wszystko było absolutnie legalne: patent podpisany przez ówczesnego wicegubematora... Odpalaliśmy część zdobyczy, nie atakowaliśmy swoich... Wystarczali nam południowcy. Był środek wojny.

- Szkoda, że się skończyła, prawda? Korsarskich patentów nie wydają już od dziesięciu lat.

Ahavel zachnął się.

- Potrzebowaliśmy pieniędzy, by kontynuować poszukiwania. I załogi, żeby dotrzeć do Manuskryptu.

- I broni - zachrypiał Teredo - żeby kapłanki się nie opierały.

Reinar zakaszlał, otarł chustką z warg krwawą pianę i uśmiechnął się.

- Otóż to: żeby. Wszystko mogło się skończyć inaczej, mniej krwawo.

- A zatem - przypomniał Stefan - Manuskrypt.

- Tak, Manuskrypt Krakena. Słyszał pan o nim?

Słyszał. Była to jeszcze jedna legenda Nowego Świata, na równi ze złotymi miastami autochtonów, eliksirem nieśmiertelności, czy doliną pradawnych jaszczurów. Pochodzenie Manuskryptu wiązano z mitycznym ludem, żyjącym tysiące lat przed Pierwszym Połączeniem Sfer i przybyciem elfów. Oczywiście „tysiące” oznaczały w tym wypadku „nikt nie wie kiedy”.

Manuskrypt znajdował się jakoby na wysepce pośrodku oceanu. Typowe: właściciele podobnych artefaktów nie trzymali ich pod ręką, na półce w

gabinecie, lecz wynajdywali odległą skrytkę za siedmioma morzami. Dostyc mieli rozsądku, by ukryć jak najdalej tak niebezpieczną rzecz. Nie mogli po prostu jej zniszczyć ze względu na magiczne właściwości.

W określonych kręgach zawsze był popyt na Manuskrypt. Co jakiś czas pojawiali się ludzie twierdzący, że na własne oczy widzieli jego kolejnego właściciela. W antykwariatach na obu kontynentach pojawiały się kopie Manuskryptu, jedna starsza od drugiej. Sądząc po nich, oryginał miał złożoną strukturę i został napisany w dwudziestu dziewięciu językach, które powstały później. Bez wątpliwości potwierdzało to jego proroczy charakter.

- Jak na kogoś żyjącego z piractwa, jest pan zdumiewająco łatwowierny, kapitanie.

Ahavel uśmiechnął się pogardliwie. - Mimo wszystko miałem fart. Darujmy sobie szczegóły, inaczej musielibyśmy siedzieć tutaj do rana. Dowiedzieliśmy się, gdzie jest Manuskrypt i kto go chroni. Potem doszliśmy do tego, jak zabić strażnika. Zdobyliśmy broń. Znaleźliśmy wyspę, załatwiliśmy sprawę i zawładnęliśmy Manuskrytem. Teraz wiemy nieco więcej o tej bestii... Nazwijmy ją pteropterem.

- Latający stwór? Jak wygląda?

- Opis jest niejasny. Mieszka na jednej z wysp Szalonego Morza. Wzrostem przypomina niziołka, lecz delikatniejszej budowy. Jest humanoidem, ale zamiast rąk ma skrzydła i grzebień na głowie. Usypia ofiarę, a potem zanosz do swego siedliska.

- Mając wymiary niziołka? W takim razie musi ich być minimum czterech lub pięciu. Wątpię, aby był delikatnej budowy - mówił wiedźmin spokojnie, niemal leniwie. - Lot od wybrzeża do Miedzy trwa parę dni. Muszą latać parami. Skrzydła powinny być długie i wąskie. Z pewnością ma mocne nogi, przecież nie przenosi dzieciaków w zębach. Jeśli w ogóle przenosi. Jestem zdania, że rozprawia się z ofiarami od razu. Jaki sens nieść zdobycz kilka dni? Chyba żeby -

dodał, wzduszając ramionami - nakarmić pisklęta. Albo złożyć jaja, jak na przykład czynią niektóre osy.

- Albo żeby odprawiać jakieś mroczne rytuały - zabasował brodac z białawym znamieniem. - Czemu nie? Wszystko możliwe.

- Jedno jest jasne: ofiary nie żyją długo. Najwyżej dwie doby.

Stefan zwrócił się do kapitana:

- Chciałbym zobaczyć ten wasz Manuskrypt. Być może coś przeoczyliście.

- W swoim czasie na pewno pan zobaczy, ale na razie...

- rzekł kapitan, kręcąc głową - wie pan wystarczająco dużo.

Proszę to przemyśleć, mistrzu. Chcemy, żeby odpowiednio się pan przygotował i nie popełnił błędu.

Wiedźmin kiwnął głową i wstał.

- Postaram się nie zawieść waszego zaufania. Jeśli to wszystko, panowie, dziękuję za kolację. Pójdę się przygotować.

Inni także zaczęli się zbierać w ponurym milczeniu. Tylko Ahavel pozostał na miejscu i kurzył fajkę ze zmrużonymi oczami. Jakby na coś czekał.

Stefan przeszedł się z rufy na dziób, potem z powrotem. Nie znalazł wśród marynarzy Mojrusa ani Luki, nie brali także udziału w kolacji u kapitana.

Po niebie przetoczył się grzmot, gdzieś daleko blysnął piorun. Z ciemności dochodziły smutne westchnienia i warkoty niewidzialnych stworów.

Wiedźmin przyjrzał się po drodze trzem szalupom „Brendana”. Jedna była całkiem nowa, dwie pozostałe miały już swoje lata, lecz wyglądały nie najgorzej. Tylko w jednej można było ustawić żagiel, lecz ta właśnie zdawała się przykrótka i trudna do pokierowania. Człowiek nigdy nie jest w stanie przewidzieć, jak wiele zależy od zwykłego przypadku.

Minęło wystarczająco dużo czasu. Stefan pospiesznie udał się do kabiny kapitana. Zastukał i wszedł.

Ahavel siedział wciąż nieruchomo, palił i czekał. Podniósł łyżkę Stefana z

kufra, na którym tamten siedział i położył na stole.

- Zapomniał pan czegoś?

- Zadać parę pytań.

Stefan podniósł łyżkę i w zamyśleniu obracał w dłoniach.

- Wiedźmin nie jest wam potrzebny, żeby zabić tego... latawca, prawda? Załoga „Brendana” bez trudu rozprawiliby się z całą chmarą pteropterów. Problem polega jednak na tym, że załoga nic o nim nie wie. Tak?

- Wie - odparł kapitan, wypuszczając chmurę dymu. - Co prawda wierzą, że na wyspie jest ukryty skarb, chociaż nikt im tego nie mówił. O czymś takim wystarczy napomknąć.

- Nie są wszak prostakami, kapitanie.

Tamten wzruszył ramionami.

- Żeby powrócić wystarczy piętnastu ludzi. Takich, którzy gotowi są rzeczywiście walczyć za sprawę. Zapłata w kontynentalnym banku Giancardi pozwoli im zacząć nowe życie. Pozostali... Pan jest przecież na usługach Kompanii, chyba więc pamięta o jej interesach? Obawiam się, mistrzu Stefanie, że wkrótce nastąpi moment, kiedy postanowi pan zerwać z nimi współpracę. Nie mówię już o pańskich interesach związanych z pewnymi weksłami. Szkoda, że nie jest pan Kukulkiem. Tym razem nie będzie pan jedyny.

- Pozostali wiedzą?

- Wiedzą Reinar i Wątróbka. To wystarczy, żebyśmy w razie czego byli gotowi.

Wiedźmin milczał chwilę.

- Dobrze - powiedział w końcu - wszystko jasne. Jeszcze parę pytań i zostawię pana w spokoju. Wspominał pan, że bywał za Miedzą. Kiedy i po co?

Ahavel podniósł uszkodzoną rękę i ściągnął z niej rękawicę. Drewniana proteza zgrabnie przylegała do kikuta, jakby weń wrosnięta. Każdy palec był pięknie wyrzeźbiony, a we wnętrzu dłoni rzemieślnik wyciął linie wieku i

przeznaczenia.

- Bywałem - wyznał Ahavel. - Sto lat temu, można rzec w poprzednim życiu. Byłem smarkatym sierotą. Przekradłem się na statek z imigrantami i schowałem w ładowni. Żywiłem się tym, co udawało mi się wyrwać szczurom. Przy odrobinie szczęścia także samymi szczurami. W końcu mnie wykryli. Machnęli ręką i postanowili nie wyrzucać za burtę, lecz zatrudnić jako „małpkę prochową”. Może pan sobie wyobrazić...

- Mogę.

- Ogólnie byłem zadowolony. Miałem robotę i jedzenie. Czego trzeba więcej? Nawigator był doświadczonym i mądrym człowiekiem, tylko nie przepuścił żadnej spódniczce. Przez niego zesliśmy z kursu. Podczas gdy rozwijał swe krasomówstwo przed kolejną ślicznotką, statek wpłynął w mgłę na Miedzy. Tam, czyli tutaj, straciłem rękę, ale to już osobna historia.

- A kiedy dołączył pan do rycerzy „Brendana”?

- Prawie od razu. Potrzebny im był kapitan... powiedzmy, niezbyt przesądny i ostrożny. Gotów w razie czego zaryzykować własną skórę.

- Dla pieniędzy?

Ahavel uśmiechnął się.

- To już nie pańska sprawa, wiedźminie.

Zaczął ostrożnie wkładać rękawicę na protezę.

- Ostatnie pytanie - rzekł Stefan. - Zawodowa ciekawość. Ciężko było zabić kaszalota?

Rękawica utknęła. Ahavel szarpnął nią parę razy.

- Kaszalot pilnował wejścia do zatoki. Nie wypuszczał krakena... i w ogóle nikomu nie pozwalał opuścić wyspy. Na brzegu stało parę rozsypujących się szalasów, na słomianych matach leżały szkielety. To zrozumiałe: stwory te liczyły sobie około trzystu, czterystu lat. Stare, uparte poczwary. Pan by zapewne powiedział, że jeden z nich służył Chaosowi, a drugi Ładowi. Elfy lub

krasnludy wyjaśniłyby to po swojemu. Z mego punktu widzenia nie było w tym niczego magicznego ani nadprzyrodzonego. Jak te olbrzymie żółwie z Wysp Jedwabnych, żyją długo i rozrastają się ponad normę. Wpłynęliśmy do zatoczki bez przeszkód. Zabiliśmy krakena... Myśleliśmy, że wszyscy zginiemy, ale Mo zdołał wbić mu oszczep prosto w oko. Zabraliśmy kufer z Manuskryptem i naprawiliśmy statek. Odplynęliśmy nocą, cicho i spokojnie. Czekał na nas przy ujściu. Zginęła połowa załogi. Kiedy przebiliśmy mu łeb harpunem, zawył i zapłakał. Ludzie zaczęli wyskakiwać za burtę.

Rzucił rękawicę na stół i zabębnił drewnianymi palcami po deskach.

- Ale daliśmy wtedy radę. Teraz także damy.

Wiedźmin wzruszył ramionami. - Latające stwory rozmiaru niziołka. Wątpię, czy będzie trudniej niż z kaszalotem? - O, mistrz Stefan!... - Pozwoli pan? - Tak, proszę. Przepraszam za bałagan... Słowa te odnosiły się do rozrzuconych po stole papierów i rozwartej księgi. Poprzednio Mojrus od razu ją zamknął, teraz zaczął zbierać kartki.

- Daleko pan zaszedł? - zapytał wiedźmin. - Po jakimu to?

Młodziak zaczerwienił się i zamarł z kartkami w dłoniach.

- Chyba nie sądził pan, że kapitan będzie trzymał to przede mną w tajemnicy?

- Polecono mi nikomu... Chociaż faktycznie, ma pan rację. - Mojrus poprawił niesforne kosmyki i usiadł przy stoliku.

- Trudno powiedzieć. Wygląda na Starszą Mowę z elementami innych starożytnych języków, przede wszystkim wyspiarskich i południowych.

- Niech mi pan pokaże fragment, w którym mowa o latającym stworze.

Chłopak zamrugał.

- Przepraszam, ale chyba jeszcze do niego nie doszedłem. Kapitan wskazał mi dwa urywki, jakie interesują go w pierwszym rzędzie. Z jednym męczyłem się jeszcze w Oxenfurcie, gdzie dostarczył mi kopię tekstu. Jest w nim opisany jakiś

rytuał, nie do końca zrozumiałem, o co chodzi, lecz kapitan chyba wie, w czym rzecz.

- A teraz?...

- Jeszcze trudniej. Mnóstwo homonimów, co krok dwuznaczności... żadnych konkretnych stwierdzeń, metafora goni metaforę...

W odróżnieniu od rękopisu wzrok wiedźmina był wystarczająco wymowny i jednoznaczny. Mojrus zakaszlał.

- Wie pan... jak w sagach ze Skellige z tymi ich kenningami...

- Mogę to zobaczyć?

Mojrus wzruszył ramionami i podsunął mu kartki.

- Dlaczego nie? Wątpię tylko, czy coś pan z tego... To jeszcze bardzo surowy przekład, trzeba go dopracować. Potrzebuję paru dni...

Przesadzał z tą „surowością”. Kartki były gęsto zapelnione literami, strzałkami, prostokątami, oddzielnymi słowami w paru językach. Na kilku stronach znalazł tylko dwie frazy: „głębia pamięci, czarniejsza niż otchłań, zmienna jak rtęć...” i „nasycić nienasyconego”.

- To jakaś poezja? - Tak, oczywiście! Wszystkie święte teksty w tamtej epoce spisywano w formie poematów.

Stefan pokiwał głową i siadłszy na wąskiej skrzyni obok stolika, wziął księgę do ręki. Nie pachniała wodorostami ani pleśnią, lecz roztaczała suchą i ostrą woń. Na okładce z łuskowatej skóry widniał odcisk podobny do rozwiniętej macki krakena. Grube karty były wystrzępione po brzegach, ale atrament nie spłowiał i litery były wyraźne. Wiedźmin przewrócił parę stronic, spostrzegając słowa z trzech dialektów Starszej Mowy i z zupełnie nieznanymi języków.

Niektóre nagłówki mógł jednak rozszyfrować i wcale mu się nie spodobały. Niczego innego nie oczekiwał.

- Co z zapasami, Mojrus?

- Odkładam ukradkiem. Znalazłem w ładowni worek pokruszonych

sucharów, odłożony na czarną godzinę. Może wystarczy. Jutro albo pojutrze spróbuję go przenieść.

- Dokąd?

- Tutaj, oczywiście!

Otworzył drzwiczki jednej z szafek i wskazał zawartość.

- Widzi pan woreczek z trupa czaszką i napisem „Trucizna”? Jest w nim trochę suszonego mięsa.

- Szczury się doń nie dobiorą? Nie umieją czytać.

- Wie pan, wszystko tutaj zrobiono porządnie, aż dziw bierze. Ścianki są grube, zasuw solidne...

- No i dobrze. Teraz posłuchaj mnie bardzo uważnie. Wkrótce dopłyniemy do wyspy. Zrób co się da, żeby się wcisnąć do szalupy. Potem zostań na brzegu, aby jej przypilnować. Przyjdziemy z twoim bratem, jak tylko zdołamy.

- Nie zdołam wziąć ze sobą zapasów ani kompasu...

Stefan uśmiechnął się pod wąsem.

- Nie trzeba. Zawrócimy potem na „Brendana” i albo namówimy pozostałych, żeby płynęli dalej, albo... popłyniemy sami. Oczywiście łódką - dorzucił - ale na to chyba już wpadłeś, sądząc po minie.

- Tak, ja... - zmieszał się Mojrus - trochę się boję, mistrzu Stefanie.

Wiedźmin zamknął księgę i wstał.

- To dobrze. Tylko głupcy i wariaci niczego się nie boją, chłopcze.

Mojrus zaczerwienił się jeszcze mocniej.

- Reszta dzieli się na trzy kategorie - powiedział Stefan. - Ci, którzy potrafili okiełznać swój strach oraz łajdaki i umrzyki.

Legł do snu na pokładzie. Marynarze powinni do niego przywyknąć. Jeśli uznają cię za swego, przestaną zwracać uwagę i dokądkolwiek byś poszedł, pozostaniesz niezauważony.

Wiedźmin umościł się tam, gdzie poprzednio, razem z innymi, ale jednak na

uboczu. Nie należało się zbytnio spoufaląć.

Prawie od razu zasnął. Obudził się około półtorej godziny później, czując na sobie czyjeś przenikliwe spojrzenie. Udając, że dalej śpi, przewrócił się na drugi bok. Przy balustradzie stała niewysoka postać, obserwująca go z rękoma założonymi na piersi.

Wiedźmin wstał lekko i zbliżył się. Reszta spała, tylko na stanowisku nawigatora przechadzał się zastępca Roderigo Dwugłosego, a obserwator na bocianim gnieździe mruczał jakąś piosenkę. Odzywały się też stwory z ciemności, chichocząc i wzdychając.

- Gdzie się podziewałeś?

Luka wzruszył ramionami.

- A... miałem robotę. Z armatami dużo mitręgi. Dobrze, że pan wciąż żyje. Od razu weselej.

- To fakt - rzekł Stefan z uśmiechem. - Dzięki, że mnie wyciągnąłeś i za płomienicę także dziękuję. Skąd ją w ogóle wzięłeś?

- Można bez trudu zdobyć, tylko trzeba znać miejsce.

- A ty znasz?

- No pewnie! - prychnął chłopaczek.

Wyglądał na zadowolonego, jak kot objedzony śmietaną.

- Co z kompasem? Chcemy z twoim bratem wybrać się na przejażdżkę i wziąć cię ze sobą.

- A dlaczego?

- Dlatego, że obiecałem mu zatroszczyć się o ciebie. - Stefan uniósł dłoń. - Wiem, wiem, sam potrafisz o sobie się troszczyć, jesteś przecież duży, prawda? On jednak martwi się o ciebie. Sam rozumiesz, Mojrus to mól książkowy, łatwiej mu obcować ze starożytnymi rękopisami, niż... z takimi ludźmi, jak tutejsza załoga.

Chłopczyk zamrugał, potem na jego buzi pojawił się zadziorny uśmiech.

- Coś takiego! Obiecał mu pan mnie uratować, tak?

- Coś takiego.

- Dał pan słowo honoru?

- Mogę dać również tobie. No więc, Luka, czy mają na „Brendanie” zapasowy kompas? Powinien być...

Chłopaczek znowu zamrugał, potem parsknął śmiechem.

- To głupstwo! Zdobędę dla pana sto tysięcy kompasów, mistrzu wiedźminie!

Okręciwszy się na pięcie, wskoczył na balustradę i błyskając w mroku wyszczerzonymi zębami, zaczął bezszelestnie wykonywać dziki taniec. Kiedy się opamiętał, zeskoczył na pokład i spytał od niechcienia:

- Mojrus już odcyfrował manuskrypt?

- Sam go możesz zapytać. Pewnie ucieszy go twój widok.

Luka zamyślił się, później kiwnął głową.

- Tak zrobię! Dzięki za radę!

Pomknął jak cień w stronę rufy.

Wiedźmin położył się na rozścielonej opończy, ale sen nie przychodził. Coś mu nie dawało spokoju, jakaś przeoczona drobnostka. Być może niejedna.

Zdrzemnął się w końcu i zbudził o świcie, zlany zimnym potem. Zrozumiał.

Skierował się do ładowni, starając się nie robić hałasu. Tam, w półmroku, obejrzał armaty. Były cztery u każdej burty, zgrabne, śmiercionośne, ozdobione wzorem splątanych węży i sztyletów. Na pierwszy rzut oka wszystko z nimi było w porządku. Wiedźmin uniósł daszek jednego z działowych stanowisk, żeby mieć trochę więcej światła i zajrzał do lufy. Zaklął. Pochyliwszy głowę, by nie uderzyć w przegrodę, poszedł do następnej. Wsadził dłoń w gardziel i wydobyl całą garść piachu.

Nie wątpił, że w pozostałych znajdzie to samo.

Przegrody skrzypiały wokół ogłuszająco, statek jęczał, wzdychał i płaczkliwie

użalał się nad sobą. Marynarze chrapali, charkocząc gardłowo jak mantikory.

Stefan przysiadł na jaszczyku z nabojami i przemyślał sprawę. Po chwili uniósł wieko i zajrzał do środka. Wszystkie woreczki były rozprute, a proch wysypywał się z nich, zmieszany z mokrym piaskiem.

Wiedźmin wziął szczyptę i roztarł w palcach. Piasek był miałki, biały, jakby dopiero co wzięty z plaży.

Za późno usłyszał zbliżające się kroki.

- Nie wykonuj gwałtownych ruchów - usłyszał za plecami.

- Unieś powoli ręce, tak żebym je widział. I stój spokojnie.

- To pomyłka, Bartholomew - odpowiedział, nie odwracając się. - Zdawało mi się, że ktoś chodzi na dole i poszedłem zobaczyć...

- Wszystko widzieliśmy, mistrzu wiedźminie. Myślisz, że straciliśmy cię z oka? Widziałem twego współnika, szkoda, że nie zdążyłem złapać, za późno się ruszyliśmy. Widzieliśmy, jak odczekawszy do rana, schodzisz na dół. Ręce! Trzymaj je na widoku!

Tak zrobił.

- A to zasraniec - mruknął Johann Hebel. - Zobacz, Bart, co ten gówniarz narobił!

- To nie ja - starał się przemawiać spokojnie i rozsądnie wiedźmin. - Sami pomyślcie, czy zdążyłbym...

Nie dokończył, ponieważ ktoś, zapewne de Forbin, walnął go w potylicę kolbą pistoletu. Tak mocno, że zobaczył wszystkie gwiazdy przed oczami.

Wyspa wyglądała jak rozwichrzona chłopięca czupryna: palmy, trawy po pas, liany, wszystko splątane i sterczące w różne strony, targane wiatrem. Po lewej wystawała z zieleni jedyna skała, jak długi, ciekawski nos.

Wiedźmin napawał się tym widokiem, bo nie miał innego wyboru. Przywiązali go mocno do fokmasztu, omotali gęsto linami. Nawet piskorz by się z tego nie wywinął.

Teraz wszyscy byli zajęci „Brendanem”, zostawili więc na razie w spokoju Stefana. Jeśli ktoś jednak przebiegał obok, nie zaniechał kopnąć lub splunąć. Widocznie zniszczenie pocisków mocno ich rozgniewało.

Kolejny raz sprawdził językiem. Dwa zęby lekko się chwiały. Zakrzepla krew na wardze i wąsach. Nie mógł tego sprawdzić, lecz wiedział, że na prawym policzku rozlewał się solidnych rozmiarów siniak.

„Brendan” wpływał spokojnie i bezpiecznie do zatoki. Plaża miała czystością, drzewa zachęcały ochłodą i wypoczynkiem.

- Sami pomyślcie - kolejny raz rzekł wiedźmin - jak długo byłem na dolnym pokładzie? Czy zdążyłbym pozatykać wszystkie działa? Zniszczyć naboje, zasypać piachem i zalać wodą? Skąd wziąłbym tyle piachu?

Usłyszał za plecami ciężkie, gniewne kroki.

- Na pewno stąd - odpowiedział Ahavel.

W polu widzenia pojawił się stary worek z płótna żaglowego. Kapitan wyrzucił go i pod nogi wiedźmina posypał się piasek. Taki sam jak ten na plaży.

- Załoga jest bardzo rozczarowana - oznajmił cicho Wielorybnik. - Nie trzymam na pokładzie takich, którym nie ufam - podjął kapitan, odrzuciwszy worek i nabijając fajkę. - Oczywiście, nie mogłeś tego zrobić sam. Hebel potwierdza, że z kimś tam gadałeś. Byłem gotów zaryzykować i wziąć na statek Kukulka, ale nie szczura. - Zaciągnął się dymem i spojrzał jeńcowi w oczy. - Kim on jest?

Stefan wzruszyłby ramionami, lecz nie pozwalały mu na to sznury. - Nie wierzysz mi, gdy mówię, że mnie podstawili, ale gotów jesteś uwierzyć, jeśli wydam zdrajcę?

- Prosta logika - powiedział Renni Wątróbka, trzymający w dłoni krótki toporek, którego ostrze błyszczało w słońcu tak, że więzień zmrużył oczy. - Ktoś to zrobił. Ty byś nie zdążył. Był więc ktoś jeszcze. Ktoś z załogi albo przyjaciel z karaweli, który przyplynał tu za tobą i ukrył się w ładowni.

- Rozumie się, że płynął z workiem piasku na plecach.

- Nie, dlaczego?

Renni przelożył broń do lewej dłoni i podrapał się w szyję. Grdyka latała w górę i w dół pod fałdami obwisłej skóry.

- Piasek można wyskrobać na miejscu, w jaszczkach albo ładowni. Płatek płomienicy też nie tak łatwo zdobyć. Nawet Kukulek nie mógł się jednak dostać na pokład bez pomocy kogoś z załogi.

Znowu przelożył toporek, wzdychając.

- Jestem starym człowiekiem, mistrzu Stefanie i szkoda mi czasu. Zapytam tylko raz. Jeśli nie odpowiesz, uderzę. Nie wątp w to. Jesteś nam potrzebny, ale nie do zarżnięcia. Wybacz grę słów. A zatem: skąd wzięłeś płomienicę?

- Nie wie... - zaczął wiedźmin i zaciął się.

Kapitan zaklął pod nosem i podjął męską decyzję.

- Rozwiążcie go!

- Kapitanie?

- Rozwiązać wiedźmina i szykować łodzie. Trzymać broń w pogotowiu! Reinar i Wątróbka do mnie. Ten... także.

Odwrócił się ze skrzywionym licem i pulsującą żyłką na skroni.

- Gdzie, u licha, jest Mojrus?! Kiedy po niego posłałem?!

Z kwaterdeku przywłókł się Teredo. Odkasznął lekliwie i zameldował:

- Nigdzie go nie ma, kapitanie! To znaczy: Mojrusa. Wylamaliśmy zamknięte drzwi do kajuty, ale go tam nie było. Luk otwarty, ale nie ma sznura ani drabinki. Przecież nie wyskoczył...

- Co?! - Ahavel skoczył do przodu i walnął otwartą dłonią tak, że Teredo aż się zatoczył. - A księga? Zapiski?!

- Nie pytał pan o księgę - odparł wściekle tamten. - Jeśli chce pan wiedzieć...

- Chcę, żebyś zamknął gębę i robił, co do ciebie należy. De Forbin, poślij

ludzi, niech przeszukają statek od dołu do góry. Meldować o każdym podejrzanym szczególe. Reszta niech się szykuje do zejścia na ląd. Broń mieć pod ręką. Najwyższa gotowość, słyszycie! Ten potwór musi być tutaj!

Wątróbka w końcu połapał się i zaczął rozcinać węzeł toporkiem. Ręce mu się trzęsły.

- Wiesz już, Renni? - szepnął Stefan. - Wiesz, kogo ścigamy?

Węzeł poddał się wreszcie. Starzec skinął na dwóch piratów, żeby rozwiązali wiedźmina, sam zaś poszedł do kabiny kapitana. Tasak kołysał się w bezwolnie opuszczonej ręce, wywołując słoneczne „zajaczki”, skaczące po wodnej gładzi, pokładzie, żaglach i zdumionych obliczach.

Kapitan przerzucił Manuskrypt przyniesiony przez Teredo. Drgała mu powieka na lewym oku.

- Z kim mamy, według ciebie, do czynienia? Ze zwykłym chłopaczkiem?

Wiedźmin wzruszył ramionami.

- Zwykłym? Nie sądzę. Oczywiście, z chłopakiem. Związałbym go już pierwszej nocy i wypytał o wszystko.

Ahavel zaniósł się skrzeczącym, nerwowym śmiechem.

- O niczym nie zapomniałeś, mistrzu wiedźminie? Od czterdziestu lat porywa i morduje dzieci. Unosi się w powietrzu, lekceważąc prawa natury. „Związałbym i wypytał”!...

- To demon - sucho rzekł Renni. - Dziecię Chaosu.

Siedział wyprostowany, z rozłożonymi ramionami i zadartym podbródkiem. Tasak położył przed sobą jak sędziowski młoteczek.

- Demon - powtórzył Wątróbka - przyjmujący postać chłopca. Siejący zło i rozpacz. Trzeba go unicestwić.

- Nie będę się sprzeczać na temat zła i rozpaczy. Jesteście w tym względzie zawodowcami. A co do ostatniej sprawy... Demony nie istnieją, drodzy panowie. Mówię to zawodowcom. Swoją drogą, czy widzieliście trupy dzieci?

Widzieliście, jak je unosił? Jak latał po niebie? Na razie wiem tylko jedno: ten wasz „demon” to chłopiec o niezwykłych zdolnościach. Wesoly, niewinny...

- I bez serca - dodał Reinar. - Niech pan pokaże mu listy, kapitanie.

Ahavel otworzył kuferek i rzucił na stół pakiet listów przewiązany wstążką.

- Czytaj.

Stefan zdjął przewiązkę i rozwinął pierwszą kartę. Od razu rozpoznał charakter pisma. Najlepszy kaligraf w Czerdanie, Saison Encrer, pracujący na skraju placu Chmielnego, biorący skuda od strony, piszący od razu ze słuchu, czysto, starannie, z charakterystycznymi zawijasami.

„No i co, przyjedziesz? Czy ze strachu nawaliłeś w portki? Znajdę cię prędzej czy później. Kiedy będziesz jeść, spać, pić ze swoimi druhami, gdy będziesz sądził, że jesteś bezpieczny, zapukam do twoich drzwi. Może więc lepiej tego nie przeciągać? Przyjedź! Będzie wesoło!”.

A na drugiej: „Wszyscy się tu zanudzamy na śmierć. Marzymy, by zatańczyć z tobą i twymi szakalami. Wiesz już, że im dłużej to odwlekasz, tym gorzej. Przyjedź, nie będzie bolało”.

Na następnej: „Zwykły z ciebie łotr, bratku! Tchórzliwy łotr! Oddaj, co moje i odejdz jak mężczyzna!”.

- Pytaliśmy kaligrafa - oznajmił Reinar. - Za każdym razem zamawiała list ta sama osoba. Chłopak w wieku około dziesięciu, trzynastu lat. „Zabawny, bystry dzieciak”, jak go określił mistrz Encrer.

- „Dziesięciu, trzynastu lat”?

- Rośnie - odparł Reinar, wzruszając ramionami - chociaż powoli. Tak samo powoli jak jego ofiary.

- Co w tych zapiskach świadczy o braku uczuć? - spytał Stefan, rzucając kartki na stół. - Dyktujący złościł się na adresata i pragnął zemsty. Kto je otrzymywał?

- Ja - powiedział Ahavel. - Listy były podkładane pod drzwi, przynoszone

przez kuriera, przybite strzałą do ramy okiennej. Jeden przyniesiony na półmisku z pieczoną kaczka.

- Co pan mu skradł, kapitanie?

- Bzdurne wymysły! - ryknął Ahavel. - Niczego nie ukradłem!

- Dlaczego zatem jest taki na pana zawzięty? Czemu pisze te listy do pana? Renni Wątróbka uniósł dłonie.

- Proszę zrozumieć, mistrzu Stefanie, mamy do czynienia z potworem, przepelnionym złem i wściekłością. Kapitan Ahavel jest jednym z nas i to całkowicie wystarczy, by...

- Polewka to pańska specjalność, udaje się panu znacznie lepiej, niż innym. Może warto zainteresować się jeszcze czymś?

- Stefan wskazał z uśmiechem na drzwi. - Na przykład marynarze. Może mają jakieś pytania do pana.

Od jakiegoś czasu dochodził z pokładu stłumiony gwar. Nie wyglądało na to, żeby piraci wypełnili drugie polecenie kapitana i spuścili szalupy na wodę.

- De Forbin do mnie! - rozkazał Ahavel. - Natychmiast! Wsunął pistolet za pas i kiwnął na wchodzącego krasnoluda. - Dać wszystkim po kielichu najlepszego rumu. Wybierz najwierniejszych, część z nich pozostaw na pokładzie. Reszta do łodzi, niech rozbiją obóz na brzegu i uzupełnią zapasy, narąbiają drzew, byle tylko nie siedzieli bez zajęcia. „Rycerze” niech będą gotowi wyruszyć na poszukiwania.

Kiedy drzwi się zamknęły, zwrócił się do obserwującego go z ciekawością wiedźmina.

- Dziękuję za pomoc, mistrzu.

Stefan wzruszył ramionami.

- Sam by pan dał sobie radę. Proszę się nie łudzić...

- Do licha ze złudzeniami. Zrobisz coś? Czy będziesz czekał z założonymi rękami, aż tamten dobierze się do nas?

- A damy sobie z nim radę? To znaczy ja, nie pan, oczywiście.

- Spodobał ci się Mojrus - zauważył Reinar - więc chyba pomożesz go uratować. A właściwie - dodał zniżając głos - ją.

- Ją?

Reinar skinął głową.

- W tej sprawie potrzebowaliśmy dwojga zawodowców. Wyobraź sobie, że ten świat pełen jest osobników gotowych zabijać potwory za pieniądze, ale brakuje takich, co znalazłyby martwe języki. Przygnębiające, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

- Co z jej bratem?

- Półtora roku temu zniknął z sypialni w domu rodzinnym. Chłopiec skończył właśnie trzynaście lat. Mieszkali na wybrzeżu, w Kuliarczu. Badając takie przypadki, dowiedzieliśmy się, że rodzice mieli starszą córkę studiującą w Oxenfurcie.

- Od razu wyjaśnię - dodał Ahavel - że w Manuskrypcie nie ma ani słowa o tym, jak odnaleźć wyspę. Wiedzieliśmy to z listów... tamtego, pisał o tym nie raz. Manuskrypt pomoże nam zabić poczwarę. Gdyby był to zwyczajny człowiek lub zwierz, sami byśmy tego dokonali, mistrzu Stefanie. Ale on...

Kapitan pokręcił głową.

- Zwyczajna broń go się nie ima, stal ani proch, nawet magia.

Wiedźmin milczał.

- Wybraliśmy się po ciebie, kiedy Mojra sporządziła brudnopis przekładu. Zostało już tylko parę dni, bliska była rozwiązania zagadki.

Stefan podszedł, podniósł notatki Mojry i po chwili odrzucił z niechęcią. Same myślniki, strzałki, kółka i czasem oddzielne słowa.

- Myślę - powiedział - że istotnie bliska jest rozwiązania zagadki. Bliższa niż kiedykolwiek.

Obudziła się na łące. Wiatr targał jej włosy i laskotał w szyję. Słońce biło w

oczy, lecz Mojra nie spieszyła się z ich otwarciem.

- Ha, ha! Żałośni tchórze! Tak o wiele lepiej! Chodźcie tu! Peter czeka na was!

Słyszała, jak ktoś podskakuje obok, ścinając kijem pąki kwiatów. Potem lekko uniosła powieki i skonstatowała, że to nie kij, ale miecz.

- Peter - powiedział nieznajomy zmienionym głosem - to ja. Nie zapominaj o tym! Czemu on nazwał mnie „Luka”? Na pewno to jakiś chytry podstęp, żeby zbić mnie z pantalyku! Jest taki sam, jak mój brat! Taki sam! Jeden ukradł wspomnienia, drugi chce zabrać imię! Nie uda się wam, bydlaki!

Odwrócił się szybko i nie zdążyła udać, że wciąż jest nieprzytomna.

- Aha! Wreszcie!...

Miał wąską i bladą twarz, oczy niezwykle wielkie i bystre. Błękitne jak niebo majowe. Cienkie, bezkrwiste wargi i lekko zadarty nos. Nie sprawiał sympatycznego wrażenia, chociaż coś w sobie miał.

- Wstań - rzekł chłopak, wyciągając dłoń.

Paznokcie miał połamane i poobgryzane, lecz Mojra nie takie już widywała na „Brendanie”.

- Zobacz, jednak starczyło im odwagi!

Peter zaprowadził ją na skraj skały i wskazał na dół. Wyspa widoczna była jak na dłoni: pagórki, rzeczka, zielona płaszczyna dżungli... W zatoce po prawej podpływały do brzegu łódki, z tej wysokości nie większe niż lupinki.

- Nareszcie schodzą na ląd!

Chłopak triumfował, a ją przeniknął strach. Nawet pierwszego dnia na statku nie czuła takiego lęku.

- Kim jesteś? Skąd ja tu...?

Nagle wszystko sobie przypomniała. Był wczesny ranek. Obudziło ją stukanie w okienko. Za szybą zwisał głową w dół chłopczyk o wielkich oczach. Szepnął: „Otwieraj, szybciej!” i Mojra mu otworzyła. Chwycił ją pod ramiona,

wszystko wokół zawirowało, zobaczyła wznoszące się fale i przesuwały się po nich jej cień. Coś z tym było nie tak, jak powinno, ale nie zdążyła sobie uświadomić, co. Po chwili zresztą straciła przytomność.

Chłopak wziął się pod boki i parsknął śmiechem. - Ja? Jestem największym bohaterem obu wybrzeży, rycerzem bez lęku i skazy, postrachem rekinów, druhem trytonów, zdobywcą Twierdzy Sinych Kłów, weteranem Bitwy nad Rzeką i kapitanem Wolnych Chłopaków. A ty możesz nazywać mnie po prostu: Peter.

- A co tutaj robimy, „po prostu: Peter”?

Natychmiast znalazł się przed nią, przytykając ostrze miecza do jej podbródka.

- Nigdy nie kpij ze mnie! Słyszysz?! Nigdy!

- A ty - odparła, starając się opanować drżenie głosu - nigdy nie podnoś na mnie ręki. Nikt cię nie nauczył dobrych manier, „rycerzu”?

Chłopczyk sapnął nerwowo i schował miecz do pochwy, żeby podrapać się pod łopatką.

Mojra czekała, co będzie dalej.

- No, dobrze - rzekł Peter - umowa stoi. Jesteś mi potrzebna... Gotowa jesteś?

- Na co?

Puknął się w głowę.

- Ależ ze mnie gapa! Nie powiedziałem ci najważniejszego. Zaraz polecimy, żebyś poznała Wolnych Chłopaków.

Mojra przypomniała sobie Lukę i nogi się pod nią ugięły. Peter tego nie zauważył. Znów chwycił ją pod ramiona i pofrunęli oboje, wzniesli się do góry, jakby nic nie ważyli.

Przyjrząwszy się, stwierdziła, że chłopak nie jest skrzydlaty. Peter obdarzył ją zadziornym uśmiechem i zawołał:

- Nie bój się, nie upuszczę!...

Trzymał ją rzeczywiście mocno, choć zarazem delikatnie.

- Patrz! Ci tchórze postanowili tutaj zamieszkać!

Peter niósł ją prosto na plażę, gdzie wylądowali piraci. Łódki wróciły po następnych, a ci, co zostali na lądzie, rąbali drwa na ognisko. Dwóch ciągnęło pustą beczkę do źródelka, trzech zdawało wybierać się na polowanie.

- Hej, hej! - zawołał Peter i gwizdnął tak przenikliwie, że Mojrze zadzwoniło w uszach. - Szykujcie się do walki, gównozjady!

Wszyscy naraz podnieśli głowy i broń. Mojra zmrużyła oczy. Wiatr bił ją w twarz i osmalał gorącym powiewem. Oczekiwała, że za chwilę kule zrobią to samo: uderzą i osmala...

- Nie odważą się - szepnął do niej Peter. - Nie bój się, słyszysz? Będziesz naszą mamą, a mamy niczego się nie boją. Ja to wiem.

Uniół się wyżej i teraz frunęli nad czubami palm. Papugi ściagały ich swą gadaniną. Mojra otworzyła oczy, chociaż teraz bała się jeszcze bardziej. Migwały pióropusze liści i jakieś zdumione pyszczki z nosami, dziobami i kolczastymi grzebieniami. W pewnej chwili zobaczyła w dole ruiny starej twierdzy z parą wież.

- „Będę mamą”? - powtórzyła, byle tylko coś powiedzieć.

- Jesteście sierotami?

- W pewnym stopniu - odpowiedział Peter po chwili. - Ja, na przykład, mam brata, ale to nieważne... Po prostu nie rozumiesz! Każdy chłopak potrzebuje mamy.

- A co tu do zrozumienia! - nie wytrzymała Mojra. - Oczywiście, że jest potrzebna, żeby zmieniać pościel, opowiadać bajki na dobranoc i ucierać noski, prawda?

- Nie - odparł cicho. - Nie po to. Jakbyś nie wiedziała!... Mama jest potrzebna, by kochać.

Lecieli dalej w milczeniu nad pagórkami i rzeką. Mojra w końcu odważyła się spojrzeć w dół i pojęła to, czego jej rozum, wyuczony na oxenfurckim racjonalizmie, nie chciał zaakceptować. Po pierzastych liściach, trawie i płaszczyźnie wodnej, wszędzie tam, gdzie lecieli, przesuwiał się tylko jej cień.

Peter nie rzucał cienia.

- Rozwałę leb pierwszemu, który wystrzeli - oznajmi! Ahavel.

Stał przy łodziach, kurzył fajkę i obserwował zmrużonymi oczami oddalające się postaci Mojry i chłopaczka. Nawet nie spojrział na tych, których miał na myśli.

- Przecież sam pan chciał - zachrypiał Teredo. - To na pewno on, kapitanie!

- Zalatwilbym go - rzekł pirat z siwymi włosami zaplecionymi w warkoczyki, spluwając i patrząc buntowniczo na Wielorybnika. - Bez problemu. Każdego można poczęstować ołowiem.

Ahavel prychnął gniewnie.

- A co z Mojrusem? Z jakiej wysokości zdjąłbyś go? Bez problemu?

Podpłynęły kolejne dwie łodzie z ludźmi. Renni Wątróbka zeskoczył do wody i pierwszy wyszedł na plażę.

- Zostało siedem godzin do zmierzchu. Kiedy ruszamy, kapitanie?

- Czekaliśmy tylko na was. De Forbin?...

- Wszystko gotowe, mistrzu Ahavelu. Zastąpi go tutaj Lustro. Reinar i Mo doglądają statku... Wziąłbym go ze sobą, lecz skoro taka pańska wola...

Wyruszyli niewielkim oddziałem, liczącym dziesięciu ludzi. Prowadził ich ten z siwymi warkoczami. Nazywali go Demiro Strzelec i widać było po nim, że zanim dostał się na „Brendana”, niejedną noc buszował na Wyspach Jedwabnych. Po pierwsze kazał wszystkim założyć buty i wysoko podnosić nogi. Potem wyznaczył trasę poszukiwań i powtórzył dwa razy, żeby nikt nie zostawał w tyle, nie chwytal się bez potrzeby gałęzi ani listowia, nie hałasował i nie palił bez pozwolenia, idąc w szeregu. Wysłuchali go w milczeniu, ku niejakiemu zdumieniu Stefana. Co więcej, bez szemrania podporządkowali się jego poleceniom.

Niewiele światła przenikało przez baldachim liści. Ziemia ugiwała się pod stopami, czasem głośno mlaskając. Kwiaty roztaczały omdlewający aromat, jakieś stworzenia świstały, skacząc po gałęziach i wzajemnie się nawołując.

Po paru godzinach zrobili pierwszy postój. Demiro pozwolił wszystkim

odpocząć u niewielkiego źródelka, sam zaś wybrał się na zwiad.

- W taki sposób - burczał Hebel - możemy pałętać się tutaj do śmierci. Najważniejsze, co dalej? Odnajdziemy jego legowisko i...? Skoro nie imają się go kule, ostrza ni magia...

Stefan zwrócił się do Ahavela.

- Dawno już chciałem spytać, czemu jesteście tego tacy pewni? - Bo sprawdziliśmy to - wyjaśnił Renni.

Siedział wsparty plecami o omszały głaz, ciężko dysząc i co chwila ocierając pot z czoła.

- Sprawdziliście?

Ahavel pochylił się nad strumykiem, zaczerpnął wody garściami i spryskał twarz oraz szyję.

- Słyszałeś - rzekł, nie odwracając się - o kantorze Costelloi Costello? - Zbankrutowali w sześćdziesiątym piątym, czy jakoś tak. Czerdzańscy strażnicy dwie doby pili z radości. Nieoczekiwanie pozbyli się ludzi odpowiedzialnych za większość skrytobójczych zamachów w mieście.

- Działali na całym wybrzeżu - potwierdził Wątróbka - ale pokpili sprawę. Ahavel znowu spryskał kark i przejechał dłońmi po twarzy. - Wynająłem ich, zanim poznałem „rycerzy”. Listy zacząłem otrzymywać we wrześniu sześćdziesiątego trzeciego, w tym również z wyzwaniem. Costello zrobili zasadzkę na placu Chmielnym. Uważali, że wystarczy wysłać trzech ludzi. Przepadli jak kamień w wodę. Zrobili kolejną zasadzkę z takim samym rezultatem. Po mieście rozeszły się słuchy, że Costello nie dają rady... Wiesz, jak to bywa. Dla braci stało się to sprawą honoru. Do spółki z Costello wynajęliśmy karakę z załogą. Statek był dobry i załoga niezgorsza. Ostatni raz widziano ich w pobliżu Miedzy.

- Pięciu magów bojowych - dorzucił Renni. - Do dziś nie mogę w to uwierzyć. - Najlepsi z najlepszych, bracia byle kogo nie najmowali. - I jak to wytłumaczycie? - zapytał Stefan. - Rozumiem, że nie udowodniono na razie uczestnictwa bogów ani demonów... Szczerze mówiąc, tamten nie wygląda na żadnego z nich. Po prostu niesforny chłopak, którego próbowaliście zabić.

Ahavel otworzył torbę, którą miał u boku i wydobyl notatki. Dosiadł się do wiedźmina i Wątróbki.

- Myślę, że wyjaśnienie jest tutaj. Może spróbujesz je znaleźć, mistrzu? O ile wiem, wiedźmini znają Starszą Mowę. Co to może znaczyć: „nasyć nienasyconego” i „głębia pamięci”?

Stefan nawet nie spojrzal na kartki.

- Wątpię, by ktoś się w tym połapał, z wyjątkiem Mojrusa. On chyba też zresztą niczego nie odczyta. Wie pan, dlaczego, kapitanie.

Wielorybnik wzruszył ramionami i zaczął przeglądać zapiski, rozpaczliwie pykając z fajki. Wątróbka siedział nieruchomo z półprzymkniętymi oczami.

Opodal krasnoludy rozprawiały o czymś półgłosem. Johann Hebel przeciął ręką powietrze, Bartholomew kręcił głową. „Przypuśćmy, że tak, i co potem?”

- A jeśli oni wciąż żyją? - niespodziewanie odezwał się Roderigo Dwugłosy.

Wszyscy zamilkli i spojrzeli na niego.

- Jeśli jednak - podjął nawigator - nasze dzieci wciąż żyją? Myślę, że to... Czemu nie? Można tu przeżyć wiele lat, żywiąc się samymi owocami, nawet bez polowania! Nie wiem, jak wy, ale my z krewniakami uciekniemy z wybrzeża. Na Równiny, a może ku wodospadom, gdzie nigdy nie słyszeli o „Brendanie” i tym przekętym stworze. Chłopcy powinni otrzymać porządne wykształcenie. Pieniądzy na pewno wystarczy. Tacy jak ja wszędzie znajdą robotę. Będziemy żyć jak w niebie.

Ogarnął wszystkich trwożnym spojrzeniem.

- Czemu milczycie? Nie wierzycie? Gadajcie: Bartholomew, Makren, Johann, Teredo, Renni? Kapitanie?

- Z początku - zachrypiał cicho Teredo - też wierzyłem. Sam wiesz, Derigo: kiedy w nocy przewracasz się z boku na bok, bez przerwy rozmyślasz. Ale to wszystko bzdury. Zrozumiesz to, kiedy ruszysz głową. Minęło tyle lat. Jeśli ciągle żyją...

Dwugłosy chciał się sprzeciwić, ale Teredo podniósł głos.

- Jeśli wciąż żyją, powiadam, przez ten czas zmienili się, tak jak i my.

- Otóż to - przytaknął Makren, pocierając białe znamię na policzku i kiwając głową. - Czasem myślę, że może faktycznie wciąż żyją. Kto wie. To przecież Morze Szalone. Potem usiłuję przypomnieć sobie, jak on wyglądał. Twarz Bilfa... Jego matka wciąż pamiętała, gdy ją ostatni raz odwiedziłem. Czasem myślę, że lepiej byłoby... - dorzucił głucho.

- Dostyc - powiedział Wątróbka. - Wszystko to czcza gadanina. Pomyślcie ilu ten stwór porwał w ciągu czterdziestu lat. Powinno być tutaj całe miasto gówniarzy.

Milczeli dłuższą chwilę. Wokół skrzeczały swarliwie ptaki, buczały trzmiele wielkości truskawek. Wiedźmin sprawdzał ostrze sztyletu wziętego ze zbrojowni.

Parę minut później wrócił Demiro Strzelec.

- No i co tam? - spytał Ahavel, odrywając wzrok od notatek.

Tamten odpowiedział krótko, w stylu, że sami zobaczą i lepiej, żeby się pospieszyli. Zmienił się porządek pochodu: zamykał go Makren, Stefan szedł zaraz za przewodnikiem.

- Mam nadzieję - rzekł mu półgłosem - że wie pan, co robić, gdy znajdziemy tego szczeniaka.

- Mam inny problem - równie cicho odpowiedział wiedźmin. - Czy dadzą mi coś zrobić?

Teraz Demiro wiódł ich prosto w zarośla, kierując się ledwie widocznymi nacięciami na drzewach i nadłamanymi gałązkami.

- Nie łatwiej byłoby ścieżką? - gderał Wątróbka.

- Byłoby - odparł Strzelec. - Tylko czeka tam siedem pułapek. Chyba nie chcecie, żeby wiedział, gdzie teraz jesteśmy? Chociaż nie sądzę, że możemy liczyć na zaskoczenie - dodał z uśmiechem.

Wkrótce weszli na wzgórze, z którego rozciągał się widok na pasmo porośniętych drzewami pagórków. Na stoku jednego z nich znajdował się niewielki fort. Drewniany częstokół, wysoki na półtora człeka, okalał dwie krzywe wieże i coś, co wyglądało jak kamienny dom mieszkalny.

- „Całe miasto gówniarzy”? - zacytował Roderigo. - No i masz, Wątróbka...

- Patrz uważnie! - zawołał Ahavel. - Nie ma tam żywej duszy.

- Obserwowałem jakiś czas - poinformował spokojnie Demiro. - Pusto. Może ktoś ukrywa się w środku. Niedaleko stąd znalazłem świeże ślady.

- Najwyższy czas wyjaśnić - wtrącił wiedźmin - żeby potem nie było nieporozumień.

Ahavel zwrócił się ku niemu, lecz Stefan uniósł dłoń.

- Wysłuchajcie mnie, bo to ważne. Zmusiliście mnie, bym z wami popłynął i mówiliście, że mam was bronić przed potworami z Miedzy. Potem okazało się co innego: mam zabić jakąś latającą poczwagę. Która okazała się trzynastoletnim chłopcem.

- Czterdziestosiedmioletnim!

- Chłopcem - powtórzył wiedźmin - liczącym czterdzieści siedem lat, który jednak wygląda i zachowuje się jak trzynastolatek. Obecnie u tegoż chłopaczka przebywa w gościach albo w niewoli wasz medyk, który, co zapewne zdziwi niektórych, okazał się dziewczyną.

Przetrzywał falę zdumionych i potępiających spojrzeń.

- To wszystko prowokuje proste pytanie: czego tak naprawdę chcecie? Także

ode mnie. Mojra nie zdążyła rozszyfrować Manuskryptu, stal zaś, proch i magia są bezsilne wobec tego chłopaka. Rzuciliście się w pogoń, nie przewidziawszy, co zrobicie, gdy go dogonicie. Rzecz jasna liczyliście na stal, proch i magię oraz specjalne umiejętności wiedźmina. Oto, co ma do powiedzenia wiedźmin: cała ta historia śmierdzi na milę.

Powiódł oczami po wszystkich. Dwóch umknęło wzrokiem.

- Pragnę uratować dziewczynę i dlatego chcę wiedzieć, co się tutaj naprawdę dzieje. Dla was to nieważne, o wszystkim już zdecydowaliście. Jeśli jednak Manuskrypt jest tak istotny, bez Mojry nie dacie rady. To oznacza, że nie należy strzelać do chłopaka, gdy tylko go zobaczycie. Tylko on wie, gdzie możemy ją znaleźć. Spróbujcie to sobie uświadomić.

- Brzmi rozumnie - przytaknął Bartholomew de Forbin.

- Proponuję na razie skupić się na tym, by... - Zakaszłał nerwowo. - By zdobyć fort. Tfu, brzmi głupio, ale...

- Słusznie - poparł go Rodrigo. - Wiedźmin ma rację.

Teredo splunął i wzruszył ramionami.

- Gówno nie rację. I bez niego zdecydujemy strzelać, czy nie strzelać. Chciałbym go widzieć, jak...

- Starczy! - uciął Wielorybnik. - Mistrz Stefan powiedział, a my go wysłuchaliśmy. Teraz chodźmy.

Zeszli w dolinę, kierując się w stronę częstokołu. Z bliska wyglądał żałośnie. Bierwiona nieociosane jak należy, wetknięte zostały w płytkie dolki z mamie udeptaną ziemią i chaotycznie powiązane lianami, które tymczasem zgniły i zwisały jak szerniale jelita (i podobnie śmierdziały). Wszystko zawaliłoby się od pierwszego szturm. Wzniesić coś takiego mogła tylko banda półgłówków. Co więcej, ślepych półgłówków: po prawej stronie czerniał wyłom wielkości miejskiej bramy.

Demiro powiedział, by poczekać na niego na zewnątrz. Chwilę nasłuchiwali, czy coś dzieje się za częstokołem.

Zjawił się po jakimś czasie, bardziej ponury niż zwykle.

- Są ślady sprzed dwóch lub trzech dni. Najlepiej się rozdzielić i przeszukać wszystko od góry do dołu. Potem zdecydujemy, co dalej.

Weszli na dziedziniec i zorientowali się, że rzekomy fort nie jest w istocie dziełem rąk ludzkich. Wieże i dom były dziwnie uformowaną skałą, zwietrzałą i chropawą. Niegdyś zapewne obrobioną, lecz opuszczoną wiele miesięcy temu.

- Bądźcie bardzo ostrożni - rzekł Demiro. - Jeśli znajdziecie coś dziwnego i ciekawego, zawołajcie mnie i wiedźmina. Nie ruszajcie tego. Pamiętajcie, że ktoś na tej wyspie zastawia pułapki. Ten latający smarkacz albo ktoś inny.

- A także - wtrącił Roderigo - nie zapominajcie, że gdzieś tutaj mogą być dzieci!

Podzielili się po dwóch, trzech i rozeszli się, jedni do „wież”, drudzy do kamiennego „domu”. Johann i Wątróbka mieli przeszukać dokładnie dziedziniec.

- Możesz być pewny, mistrzu - rzekł de Forbin do Stefana, kiedy kroczyli w stronę lewej „baszty” - jesteśmy z tobą, ja i Johann. Zabijać zawsze zdążymy. Chcemy go przesłuchać, kimkolwiek jest. Chcemy wiedzieć, co zrobił Dago.

Wiedźmin nie zdążył odpowiedzieć. Z oddalonej części dziedzińca dobiegł zdumiony okrzyk. Krzyczał Johann Hebel i zdawał się mocno wystraszony.

Wkrótce stało się jasne, dlaczego.

- No to jesteśmy w domu.

Poczuła jego oddech na policzku. Zwyczajny ludzki oddech, nic niezwykłego.

Obok szumiał wodospad. Mojra i Peter stali na wąskiej kamiennej półce, okalającej skałę. Woda perlila się, spływając po ścianie, w powietrzu unosił się srebrzysty pył.

- Zaczekaj tu chwilę.

Znowu musiał zbliżyć wargi do jej ucha, inaczej niczego by nie usłyszała. Nie miał zamiaru krzyknąć.

- Chcę zrobić im niespodziankę.

Uśmiechając się porozumiewawczo, zniknął w zaroślach. Zwyczajny ludzki chłopak, który nie rzucił cienia.

Mojra odczekała parę minut i poszła za nim. Nie mogła dłużej czekać. Luka zniknął dziewiętnaście miesięcy temu i od tego czasu, od chwili, kiedy się o tym dowiedziała, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Wiedziała, że to głupota, ale jednak wierzyła, że gdyby posłuchała rodziców i nie pojechała do Oxenfurtu, nic by się Luce nie stało. Chociaż miał wtedy dwanaście lat, nie sześć, a pojechać na studia to nie to samo, co pójść z koleżankami na występy akrobatów. Przy tym przepaść bez wieści to całkiem co innego, niż spaść z drzewa i złamać nogę.

Kamienna ścieżka wiodła do wodospadu. Mojra nabrała powietrza w płuca i przeszła przez lodowatą, przezroczystą ścianę. Oczywiście przemokła do suchej nitki, ale teraz był to najmniejszy problem.

Po drugiej stronie znajdował się niewysoki gzyms, a trochę dalej szeroki,

zaokrąglony otwór. Stał tam, pociągając nosem, pucowałowy chłopaczek.

- Cześć - powiedziała Mojra. - Co tu robisz?

Spojrzał na nią, jakby zobaczył zjawę. Miał nie więcej niż dziesięć lat.

- Cześć... A ty... skąd się tutaj wzięłaś?

Czknął nerwowo i spróbował zetrzeć wilgoć z twarzy.

- Jestem ze statku - odparła. - A ty?

- Jestem z Czerdiana. - Miał zaczerwienione oczy i bladą skórę, pełną zadrapań. - My... się tutaj bawimy.

- Od jak dawna?

Zastanawiał się chwilę.

- Nie wiem - odrzekł cicho. - Chyba od dawna. A ten twój statek... jest gdzieś tutaj? - Na jej potakujące skinienie, zaszeptał ledwie dosłyszalnie: - Zabierzesz mnie ze sobą?

- Nie podoba ci się ta zabawa?

Zatrząsał się cały. Zaraz wpadnie w histerię, zauważyła Mojra. Niemądra jestem, że zadaję takie pytania! Przysiadła przed nim na piętach i położyła mu dłonie na ramionach.

- Uspokój się, proszę. Oczywiście, że cię zabiorę. Jakżeby inaczej? Najpierw jednak musisz mi pomóc, słyszysz?

Zadziwiająco szybko wziął się w garść. Nadal siąkał nosem i drżały mu ramiona, lecz odpowiadał sensownie i bystro.

- Jak się nazywasz?

- Chomik. A naprawdę Mark... Wittcover.

- Dobrze, Mark. Ilu was jest tutaj?

- Różnie bywa. Teraz siedmiu, jeśli wliczyć Petera.

- Gdzie są wszyscy?

- W Domu. - Wskazał podbródkiem w głąb tunelu. - Peter także.

- A czemu ty tu jesteś?

Głębokie, pełne gorczy westchnienie.

- Stoję na warcie. Pilnuję, żeby nikt się nie podkradł. Wczoraj cały dzień szykowaliśmy pułapki...

Kolejne westchnienie.

- Nie wiedziałem, że on wróci tak szybko. Jak odlatywał na statek, nieprędko... Zaraz! Jesteś z tego samego statku?

Przytaknęła. W pobliżu raczej nie było innego statku.

- Och... No to koniec ze mną.

- Dlaczego, Mark?!

- Dlatego, że zasnąłem na posterunku. Wszyscy tak robią, ale mnie wyznaczył sam Peter. Dzisiaj jest jakiś nieswój. Och...

- To przecież tylko zabawa...

- A właśnie, że nie - zaprzeczył Peter, wylaniając się ze ściennego otworu. - Wcale nie. Wszystko na serio, a Chomik od początku wiedział, co mu za to grozi. Prawda?

Uśmiechał się, patrząc na nich całkiem innym wzrokiem. To spojrzenie i uśmiech były znane Mojrze. Identyczne miał dziadek Klemens, kiedy wchłaniał swą poranną porcję rumu, po której tylko szalenić mógłby się mu sprzeciwić. Z takim samym wyrazem twarzy chłopcy z sąsiedztwa strzelali z luków do ptaków i podpalali mrowiska.

Zacisnęła pięści i wstała, by zasłonić sobą Marka.

- Chciałeś przecież, żebym została waszą mamą. Wszyscy więc będziecie musieli mnie słuchać. Przestań go straszyć Peter, i zostaw w spokoju.

Jakiś czas patrzył jej prosto w oczy, potem wzruszył ramionami.

- Nie rozumiesz tego. Spał na warcie, a piraci nie są tacy dobrodusznymi jak my, prawda, Chomik? Nie budzą wrogów, tylko zabijają we śnie. - Peter splunął pogardliwie i dodał cicho: - I żebyś wiedziała, ja nikogo nie straszę!

Mojra ledwie się powstrzymała, by nie dać mu po karku.

- Słuchaj, Peter, nikt tu nikogo nie będzie zabijał we śnie ani na jawie. Rozumiesz?

Tylko się uśmiechnął i znów wzruszył ramionami.

- Dobrze - powiedział. - Chodź, poznasz pozostałych. Jak chcesz, możesz iść z nami, Chomik.

- Jak to? Już nie będzie strażników?

- Sam słyszałeś - odciął się Peter - nikt nikogo nie będzie zabijał. Chodźmy!

Tunel wiódł do ogromnej jaskini z kolumnami ze zrośniętych stalaktytów i stalagmitów, emanujących przyćmionym bursztynowym światłem. Wystarczająco jasnym, by Mojra zauważyła błoto na ziemi i wilgotne zacieki na ścianach. Wszystko inne także.

- Oto nasz podziemny Dom! Tajna baza Wolnych Chłopaków! Gdzie się podziewacie, leniuchy? Przywitajcie naszą mamę!

Stali w pobliżu za dwoma centralnymi filarami, patrząc szeroko otwartymi oczami.

- Dzień dobry - powiedziała Mojra. - Cieszę się, że was widzę.

Peter zrobił gniewny gest ręką i tamci wyszli wreszcie z ukrycia.

- Powiedźcie coś, matoly! Nie zwracaj na to uwagi! Całkiem tutaj zdziczeli!...

Mojra skinęła głową z wysiłkiem. Miała ochotę krzyknąć. Wziąć ich wszystkich za ręce, zabrać stąd, wykapać, uczesać, czysto ubrać i nakarmić. Zając się nimi tak, żeby z umorusanych twarzących zniknął grymas zaszczucia.

Miała ochotę płakać.

Dwaj najstarsi mieli głębokie blizny na policzkach i piersiach. Krzywe i postrzępione, ale przynajmniej zszyte czysto. Chuderlawy młodzik miał wylamany przegub lewej ręki, którego nikt nie umiał nastawić. Buzię młodego niziolka pokrywała czerwona wysypka. Wyglądała na alergiczną, ale trudno było ocenić na oko. Dawno nie myte czupryny upodobniły się do ptasich gniazd. Brud za paznokciami, wystrzępione lachmany zamiast odzieży. Cuchnęli też odpowiednio.

- Czolem - bąknął chuderlawy, zaciekle drapiąc szyję i wzdychając. - My także bardzo... cieszymy.

Dwaj najstarsi zerknęli na siebie i wyszczerzyli się, kiwając głowami.

- No to do stołu! - zawołał Peter. - Pora na wielką ucztę! Dziś jest najważniejszy dzień w historii!

- Super! - krzyknął niziołek. - A... dlaczego?

- Dlaczego, tumanie? Dlatego, że w końcu zjawila się nasza mama! To po pierwsze. A po drugie już wkrótce mój przeklęty wróg dostanie na co zasłużył. niesprawiedliwość sprzed czterdziestu lat zostanie naprawiona. Zaczniemy żyć dostatnio, lepiej niż poprzednio!

Peter podskoczył do powały, wydając wojenny okrzyk. Chłopcy odkrzyknęli nieskładnie w odpowiedzi, wznosząc w górę pięści.

- A co dzisiaj na obiad?

Peter podszedł do niewielkiego, wytwornego stolika z drewna, zdobionego mozaiką z kości słoniowej przedstawiającą bitwę morską. Na blacie leżały nadgniłe owoce, po których laziły stonogi i tłuste powolne żuki.

Peter wzgardliwie odepchnął stolik i zwrócił się do chłopaków.

- To ma być według was odświętny obiad? Z okazji dnia, który przejdzie do historii? Orzeł, Jaguar, pójdziemy zdobyć jedzenie. Reszta niech się przebierze i posprząta Dom! Dobrze mówię, mam?

- Niech się umyją - zażądała twardo Mojra - i ogarną.

- To też - rzucił Peter przez ramię.

Podszedł ku wyjściu do tunelu, machnął niecierpliwie ręką, żeby szli za nim i

zniknął w ciemności.

Chłopcy stali tymczasem w rozterce. Potem dwaj najstarsi wzruszyli ramionami i poszli za Peterem.

- Coś nie tak? - spytała Marka Mojra.

- Gubi się - szepnął chuderławy ze złamanym przegubem.

- Zawsze gdy robi mu się gorzej.

- A gdzie tam - wtrącił niziołek - nigdy nawet nie próbował zapamiętać naszych imion. Wszyscy tu mamy przezwiska:

Węgorz, Wieprzek... a ja jestem Słoń. Uważa, że to śmieszne. Faktycznie, śmieszne: dla niego.

- Tak - dodał Mark - kiedy robi się mniejszy, pamięć też mu się zmniejsza. Płaczą mu się nasze przezwiska. Wymyśla nowe na poczekaniu.

- Przypominamy mu - rzekł ostronosy z sińcem na policzku. - Tak mimochodem. Ty też mu przypominaj. Kiedyś, dawno temu, była tu inna mama, jeszcze przed nami, a on może...

- Jak to „przed wami”?

- No, bo my prawdę mówiąc, jesteśmy tu od niedawna. Orzeł i Jaguar to prawdziwi dziadkowie.

- A co się stało z tymi, którzy byli przedtem?

Chłopcy spuścili wzrok.

- Może zrobmy porządek - rzekł błagalnym tonem chudzielec. - Niedługo wróca!

Chłopcy podbiegli do stolika, wyciągnęli skądś płócienny worek i wrzucili do niego owoce. Mark kręcił głową na boku.

- Hej, nikt nie widział miotły?

Mojra szła wzdłuż ściany, wśród stosów zwiędłych liści i śmieci, w których buszowały myszy i stawonogi, wśród zbutwiałych kufrów, beczek i innych rupieci. Obok jakiś piękny fotel i rzeźbiona szafa...

- Jak wy tutaj mieszkacie?

- Skoro mu się tu znudzi, my też odejdziemy - powiedział Mark. Znalazł coś na kształt miotły i sposobił się do sprzątnięcia. - Ciągłe zmieniamy Domy. To duża wyspa. - Marku - szepnęła - mówiłeś, że jest was teraz siedmiu. A poprzednio? Wzruszył ramionami. - Co jakiś czas Peter przynosi nowych. Czasem... sama rozumiesz, zdarzają się niebezpieczne przygody. Od tego są przygody, prawda?

- Kiedy przyszedł i Peter cię obsztorcował, nie bałeś się... przygody.

Mark przelknął ślinę.

- Czasem robi się... gorszy. Gorszy, rozumiesz? Wtedy musi kogoś ukarać. To wszystko.

- Zabija was?

- Lepiej gdyby zabijał - mruknął chuderlawy, wlokąc do wyjścia worek ze śmieciami.

- Peter nas skraca - szepnął Mark. - Bierze nóż i skraca. Dzisiaj uznał, że ja będę następny.

W dalszej części dziedzińca, za kamiennym „domem” rosły dwie akacje. Jedna była mniejsza, niska i krzywawa, druga większa i potężniejsza. Na niej właśnie wisiał chłopak na pętli.

- Dobrze, że tutaj zajrzałeś - powiedział Ahavel.

Demiro w milczeniu okrążył drzewo, nie spuszczać oka z wisielca, nad głową którego miotaly się podrażnione muchy.

- Dzień albo dwa dni temu - stwierdził na koniec Strzelec. Roderigo wygiął się, by zobaczyć twarz dzieciaka. Potem odetchnął z mieszaniną ulgi i przerażenia.

Wiedźmin wydobyl pistolet i strzelił. Kula przebiła sznur i ciało spadło na ziemię.

- Po jakiego czorta? - zasyczał Ahavel. - Umawialiśmy się, że nie będziemy przyciągać uwagi.

Stefan wzruszył ramionami i przykucnął nad trupem.

- Nie zauważyłem, żeby ktoś się kwapił wejść na drzewo i ściągnąć go innym sposobem.

Szybko obejrzał ciało, wstrzymując oddech. Potem poszedł umyć dłonie w pobliskim strumyku.

- Samobójstwo? - spytał Demiro.

- Na to wygląda. Ręce i nogi nie były związane, w ogóle żadnych śladów walki. Pewne oznaki wycieńczenia, ale to normalne, skoro przebywał tu jakiś czas.

- Sugerujecie - upewniał się Wątróbka - że sam się powiesił? - Już mówiłem. A swoją drogą, czy był wśród zaginionych dzieciaków jakiś ze złamaną nogą cztery lub pięć lat temu?

- Trudno tak od razu sobie przypomnieć...

- Jeśli skojarzycie takiego, można uznać, że to właśnie on. - Stefan wytarł dłonie w kurtkę i zwrócił się do Demiro:

- Bardziej interesuje mnie co innego. Tylko ja to zobaczyłem? A dokładniej, nie widziałem tego, co powinienem zobaczyć?

Sądząc po zdziwionych spojrzeniach, tak właśnie było.

- W porządku - rzekł wiedźmin. - Pewnie mi się zdawało, nie inaczej. Trzeba znaleźć łopatę albo kilof, Demiro... a potem zwijać się stąd jak najszybciej.

- Działamy zgodnie z planem - podsumował dla wszystkich Strzelec. - Obszukamy wszystko, potem pochowamy dzieciaka i pójdziemy dalej. Zdecydujemy dokąd, po obchodzie twierdzy. Jakikolwiek punkt zaczepienia...

Punktów zaczepienia znaleźli do licha i trochę.

Ci, którzy tutaj mieszkali, nie odznaczali się zamięłowaniem do czystości ani porządku. Na piętrze „baszty”, które przeszukiwali Stefan i de Forbin, leżało pełno ogryzionych owoców i ptasich kosteczek. Na kamiennym postumencie pozostała skorupa zaschniętego wosku. Wypłoszona z gniazda kukulka, miotała się wściekle po podłodze, atakując z wściekłym krzykiem intruzów.

Krasnolud splunął gniewnie i zawrócił.

- Niczego tu nie znajdziemy, mistrzu. Myślę, że nikt tu nie mieszkał od pół roku. W ogóle nie rozumiem, jak tutaj można było żyć.

- Ale tu byli.

- To najdziwniejsze. Mój Dago nigdy nie zechciałby...

Machnął wymownie ręką i schodził dalej w milczeniu.

Druga „baszta”, według relacji Teredo i Roderigo, wyglądała podobnie.

- Przydałoby się jeszcze - gderał de Forbin - wywiesić flagę na wieży, by dać znak największym tępakom.

- Gdybyśmy wiedzieli! - zachrypiał Teredo.

Krasnolud machnął ręką.

- Nikt was nie wini. Tak czy owak, na wszelki wypadek przydałby się obserwator na górze.

W tej chwili wyszedł z „domu” Makren z własną relacją i na jakiś czas zapomnieli o „basztach”.

Wnętrze stanowiło nierówną półkulę z mnóstwem otworów. Część z nich była zavalona kamieniami i belkami, inne służyły za przejścia. W głębi znaleźć można było kilka pieczar, jedną większą i pięć mniejszych. Łączyły je tunele, niektóre tak niskie, że można się było w nich tylko czołgać.

W jednej z jaskiń Johann znalazł skarbiec. Można się było dostać do niego przez ciasny i długi właz, a w samej jamie mogło się pomieścić tylko dwóch ludzi, do tego zgarbionych wpół.

- Coś mi mówi - rzucił Demiro - że to znalezisko nie uraduje załogi. Może mieli też inne skarbcce.

Otrzeptał kolana i na stoliku stojącym w centrum głównej pieczary postawił niewielką, połyskującą pozłotą szkatułkę, w jakich zazwyczaj składa się klejnoty rodzinne. W tej znajdowały się ołowiane żołnierzyki, stare, szerniale, z połamanymi rękami i nogami. Była też miniaturowa armatka i dwie mysie czaszki w osobnym zawiniątku.

- Są tam całe góry takich „skarbów” - oznajmił Ahavel. - Jakies kamyczki, muszelki, piórka, drewniane zwierzątka, kukielki...

- Czasem ktoś to przetrząsa - dodał Strzelec - lecz większość rupieci leży od lat pod zwałami kurzu.

Tymczasem Wątróbka chodził wzdłuż ścian od świecy do świecy i przypalał knoty. Świece były stare, w dużym stopniu wypalone, z niektórych pozostały tylko rozplynięte ogarki.

- Myślę - rzekł Renni - że składa tutaj niepotrzebne zabawki, to znaczy, kiedy ich właściciele umierają. Jest jak wiewiórka.

- Jak wiewiórka?

- Robi skrytki, a potem o nich zapomina. Gdy ma odłożyć coś nowego, przypomina sobie, lecz nie na długo. Sami spójrzcie: który chłopak wyrzekłby się takich skarbów?

- Taki - odparł Demiro - który znalazł lepsze zabawki.

W tym momencie z włazu do skarbcza wyszedł Johann Hebel, niezgrabnie wydzwigając na rękach ciężki korpus. Gdy się wyprostował, był cały zakurzony, brodę miał osnutą pajęczyną i dziki wzrok.

- Bart! - wysapał. - Bart!...

De Forbin podskoczył ku niemu.

- Co?!

- To... Johann podniósł dłoń zaciśniętą na znalezionej zabawce. Drewniany smok zwiesił na bok głowę, jedno skrzydło miał połamane.

- To.

Bartholomew wziął zabawkę ostrożnie jak niemowlę. Ręce mu drżały, ale twarz była jak z kamienia.

- To znaczy... - jęknął głucho. - Och, Dago, mój Dago!

Demiro położył mu dłoń na ramieniu.

- Trzymaj się, przyjacielu.

De Forbin skinął półprzymkniętymi oczami i poszedł ku wyjściu z pieczary, niosąc

zabawkę w wyciągniętych rękach.

- No cóż - stwierdził Wątróbka - zostaniemy tutaj co najmniej do jutra. Trzeba wydobyć wszystkie te rzeczy i zanieść na statek, spisać i spakować.

- Nie zapomniałeś o czymś, Renni?

- Nie, Wielorybniku. Niczego ani nikogo. Nikogo z tych, których ja i nasi „rycerze” poświęciliśmy przez te wszystkie lata. Żadnego, kto pomagał nam jak mógł: pieniędzmi, kontaktami, informacjami. Dużo ich, Ahavelu. Te pamiątki będą im droższe niż złoto.

- Możemy wrócić tu później! Do licha, to tylko przedmioty, nigdzie nam nie uciekną! Musimy uratować Mojrę i znaleźć chłopaka!

- Zostaniemy tutaj, Wielorybniku. Nieczęsto sprzeciwiałem się twoim rozkazom. Jesteś i pozostaniesz kapitanem. Dziś jest jednak inaczej. Pochowamy dzieciaka i zabierzemy stąd wszystko, co znajdziemy. Będziesz miał czas, by raz jeszcze przejrzeć notatki Mojry.

Ahavel zacisnął pięści aż trzasnęły stawy, lecz w końcu przytaknął.

- Rozkazuj, Renni. Mam nadzieję, że masz rację.

Stworzyli żywy łańcuch. Chudy Teredo wskoczył do skarbcza, pochylony nad włazem Makren podawał pamiątki pozostałym. Wątróbka i Johann składali je na dwóch przysuniętych do ściany stolikach.

Wysłali Roderigo, żeby trzymał wartę na „baszcie”. Ahavel, Stefan i Demiro przeszukiwali dalej „dom”. W jednym ze schowków znaleźli stare, przerdzewiałe łopaty. Dwie miały nadłamane styliska, pozostałe nadawały się do użytku. W efekcie kapitan sam oglądał kolejne jamy, a Stefan i Demiro poszli do akacji.

- Co właściwie przeoczyłeś? - zapytał Demiro. - Czym nie chciałeś wystraszyć innych?

Wiedźmin zadarł głowę i spojrzał na słońce. Minęło południe i cienie zaczęły się wydłużać. Od północy nadciągały ciężkie, czarne chmury.

- Prościej pokazać to, co widoczne i niewidoczne. Od dawna sądziłem, że „Ślepy Brendan” nie bez powodu został nazwany od nieprzekupnego sędziego i tak dalej...

Demiro wbił łopatę w ziemię nieopodal martwego chłopca.

- Jestem od niedawna z „rycerzami”, ale znam tę historię. Renni nigdy nie był ślepy, tylko przed posiedzeniami zakładał czarną opaskę na oczy. Mówił, że to mu ułatwia podjąć decyzję. Myślę, że nie musiał też patrzeć w oczy tym, na których wydawał wyrok.

Strzelec oznaczył prostokąt końcem łopaty.

- To co, zaczynamy?

Zaczęli kopać.

- I kiedy - podjął Demiro - był już czas odejść na emeryturę, Renni zetknął się z historią porwanych dzieci. Poprzysiągł, że odnajdzie sprawcę. Wielu rozkładało ręce, myślało to, co większość rodziców. No cóż, różnie bywa... Renni miał własny motyw. Zniknęły wnuki dawnego przyjaciela, przez co rodzina się rozpadła, a stary druh zmarł chyba na atak serca, czy coś takiego. Nie wiem dokładnie, Renni nie lubi o tym... Warto dodać, że miał zarówno środki, jak i znajomości, zaczął więc pociągać za odpowiednie sznurki i prędko odnalazł kolejnych poszkodowanych. Oczywiście byli to różni ludzie, niektórzy nie chcieli rozdrapywać dawnych ran. Gdy w naszych czasach znika dzieciak, w ostatnim rzędzie myślisz o tym, że porwał go czarodziejski latawiec. Przede wszystkim myślisz o handlarzach żywym towarem i o zakazanych burdelach. - Splunął.

- Dużo to mówi o nas samych, nieprawdaż? W każdym razie większość tych, których odnalazł Renni, chciała odnaleźć i ukarać porywacza. Pragnęli także odzyskać dzieci, lecz mało kto wierzył, że to jeszcze możliwe.

- I tak się pojawili „rycerze Brendana”.

- Dokładnie, mistrzu. Potem środki zaczęły się wyczerpywać i Renni dogadał się z Ahavelem...

- Nieprzekupny sędzia zawarł umowę z piratem?

- A kto z nimi nie miał interesów? Są szanowani i poważani na całym wybrzeżu. Ich agenci sprzedają towary i statki, a oni kupują prowiant, proch, płótno żaglowe, liny... Kto przynosi największy dochód karczmarzom? Dziesięć lat temu tych samych ludzi władze nazywały bohaterami. A Renni? Każdy z nas ma prywatny interes. Poświęciliśmy tej sprawie nie tylko pieniądze, ale i własne losy.

Otarł pot z czoła.

- Przez te lata wielu z owych „piratów” bardzo się zmieniło. Sam wiesz, każdy zabity odmienia też ciebie, czy chcesz tego, czy nie. Też krzyczysz po nocach, chociaż nie jesteś jednym z nas...

- To inna sprawa - odparł wiedźmin. - Kiedyś ci wyjaśnię.

Podszedł do nich de Forbin z zabawką w dłoniach. We trzech na zmianę wykopali grób. Kiedy chcieli wziąć ciało, wiedźmin szepnął do Demiro:

- Widzisz to?

Tamten milcząc opuścił powieki.

Połamanego smoka krasnolud położył obok chłopca i zasypali mogiłę.

Tymczasem w „domu” opróżnili pierwszy skarbiec i znaleźli kolejny, Dwa stoliki nie pomieściły wszystkiego. Johann, Rodrigo i Makren przytaszczyli z odległego kąta wielki, masywny stół, służący kiedyś do ucztowania. Cały blat był poplamiony i zadrapany.

- Skoro postanowiliśmy tutaj zostać do rana, pójdę upolować coś do jedzenia - oznajmił Demiro. - Przydałoby się także narąbać drewno.

- Ja się tym zajmę - zaoferował de Forbin - a jeśli mistrz wiedźmin zmieni Johanna, we dwóch się szybciej справimy.

Stefan kiwnął głową i podszedł bliżej, by przyjrzeć się przedmiotom rozłożonym na stołach. Stare lalki, medaliony, korkowce, monety dawno nieistniejących państw, drewniane, kościane i metalowe figurki, nawet z kolb kukurydzy...

Liczne wyglądały tak, jakby długo leżały pod wodą. Niektóre obrosły muszelkami lub kłęczami wodorostów.

- Hej, a to co?!

Ahavel stał w kącie, skąd wzięli stół i wskazywał palcem na ścianę, a ściślej na okrągły kamień leżący przy niej.

Kiedy go odtoczyli, okazało się, że jest za nim jeszcze jeden właz.

- Ilu ich tutaj zdążył przywlec. - Wątróbka przejechał drżącymi palcami po szczęce. - Wygląda na to, że wiedzieliśmy tylko o niewielkiej grupie...

Tymczasem Teredo wziął świeczkę i wszedł do środka. Wkrótce usłyszeli przytłumiony okrzyk:

- Hak ci w smak! Musi pan to zobaczyć, kapitanie!

Wyskoczył wzburzony, bez świecy, z szablą w dłoni. Broń była starodawna, zerrikańska, z rękojeścią ozdobioną klejnotami.

- Tyle tam tego, że można uzbroić całą armię! Nigdy czegoś takiego nie widziałem!

- Ciekawe - rzekł Ahavel. - Chyba miałeś rację, Wątróbka, warto było tu zostać. Skoro ma tutaj arsenał, na pewno się zjawi i to szybko. Roderigo, niech ktoś uważnie obserwuje niebo!

- Zwrócił się do Teredo: - Dużo tam kurzu?

- Ani kurzu, ani pajęczyn, czysto jak na porodówce.

- Dobrze - rzekł z uśmiechem Wielorybnik. - Po prostu wspaniale. Zaczekajmy zatem na noworodka.

W tej chwili przybiegł Roderigo ze złą wieścią.

Jaguar i Orzeł wrócili koło południa, przynosząc pęki owoców, zawinięte w liście plastry miodu i jakieś ślimaki... Wszystko to wyłożyli w centrum pieczary i zaczęli dzielić w dwanaście wyciągniętych rąk.

Jaskinia została tymczasem w miarę wysprzątana. Mojra pracowała na równi z innymi, wypytyując przez ten czas o ich życie. Niechętnie opowiadali. Sami nie wiedzieli, czego się bardziej bać: gniewu Petera czy ewentualnej nadziei, że Mojra pomoże im stąd uciec.

- Skąd się tu wszyscy wzięliście? Czyżby porwał was i przyniósł na tę wyspę? Przecież chyba broniliście się, wrywaliście, krzyczeliście...

Odwracali wzrok i udawali, że przypomnieli sobie o jakiejś ważnej pracy, którą koniecznie trzeba wykonać w drugim końcu pieczary, jak najdalej od Mojry.

Tylko Mark pozostał, choć ociągając się.

- Nie rozumiesz? - zaszeptał. - Peter nigdy nie zabiera tych, którzy nie chcą z nim lecieć. Bywa zły, lecz nie jest podły ani zepsuty... Nie zabrał nigdy nikogo wbrew woli. W tym właśnie rzecz. Kiedy podlatuje do okna jest taki... jak z baśni. Opowiada o przygodach i walkach w dzikich krainach.

- Wzruszył ramionami. - Tysiąc razy ostrzegano mnie przed nieznajomymi, którzy mogą omamić i uprowadzić. Wszystkich ostrzegają. Kiedy jednak zjawia się Peter, wierzysz mu. Nie tylko dlatego, że unosi się w powietrzu, choć nie ma skrzydeł. Jest taki szczerzy, prawdziwy. Dobrze wiesz, że przybył z miejsca, w którym zawsze chciałeś się znaleźć. Słucha się go jak starszego brata. On jest... czarujący. Sama wiesz - dodał.

Mojra poczuła rumieniec na twarzy.

- Potem niesie cię gdzieś wysoko i to jest bardzo zabawne. Trochę też zimno i strasznie, lecz mimo wszystko fajnie. Potem jest wyspa i wszystko... jak w baśni albo we śnie!

- Ale wcześniej czy później trzeba się obudzić.

Mark westchnął. - W końcu tak, oczywiście. U Petera jest wszystko inaczej. Jest fajny, kiedy ma dobry humor. Wyczynialiśmy takie rzeczy, wprost nie do wiary! Gdy się razem bawimy, świat się zmienia według woli Petera. A kiedy się rozzłości...

- Hej! - krzyknął Orzeł. - Nie będziecie nam pomagać? Peter kazał, żeby wszystko było gotowe, jak przyjdzie.

- A gdzie teraz jest?

Mojra i Mark podeszli do chłopców warzących korzenną polewkę w kociołku

i mieszających w nim wielką chochlą.

- Dlaczego z wami nie wrócił?

Jaguar drgnął.

- Mówił, że jest zajęty. W Twierdzy są jacyś nieproszeni goście i dlatego musiał polecieć na nasz plac ćwiczebny - wyjaśnił, dostrzegając zdziwione spojrzenie Mojry.

- Trenujecie?

- No jasne! Walka na miecze to nie to samo, co wyszywanie.

- Jestem lekarką - oświadczyła Mojra z uśmiechem. - Gdybyś był ranny, sam byś się przekonał, co można zdziałać igłą i nicią.

Jaguar nie odpowiedział, udając, że skupił się na gotowaniu.

- Posłuchaj - szepnęła Mojra. - Mam pytanie do ciebie i Orła. Jesteście tutaj od dawna, prawda?

- Być może - odparł chłodno Jaguar.

- Czas płynie tutaj inaczej, nie wiadomo, ile go minęło - dorzucił Orzeł, chcąc wynagrodzić grubiaństwo swego druha.

- Szukam pewnego chłopca. Przybyliśmy tutaj, poszukując krewnych: braci, synów i wnuków... Chcemy ich odnaleźć i zabrać do domu. Rozumiecie?

Spoglądali po sobie ponuro. Orzeł wzruszył ramionami, Jaguar pokręcił głową.

- Może pamiętacie Luke? Kędzierzawy, piwne oczy, trochę kulał na jedną nogę.

- Lepiej nie pytaj - rzekł Orzeł.

- Zwłaszcza przy Peterze - dodał Jaguar. - Nawet nie próbuj.

Mojra zmieszała się. Nie chciała zanadto naciskać, ale ci dwaj na pewno coś wiedzieli, ona zaś musiała...

- Hej! Dajecie sobie radę beze mnie?

Peter wszedł szybkim, sprężystym krokiem. Niedbale rzucił u wejścia jakieś wąskie zawiniątko, które podejrzenie brzęknęło. Klepnął niziołka po ramieniu, mrugnął do Marka. Pachniał prochem. Na rękawie miał świeżą plamę, lecz wszyscy udali, że tego nie zauważyli.

- To co, zaczniemy wielką ucztę? Zapalcie świece, wyjmijcie naszą najlepszą zastawę. Najemy się do syta, zalejemy robaka i do boju! Mamy dziś nadzwyczajne święto! Przybyła do nas mama! Behemot, Jeżozwierz i ten, no... Żółw! Ruszajcie się!

Chłopcy nie próbowali zgadywać kogo miał na myśli. Rzucili się nakrywać

stół ze zdwojoną energią. Ze starego kredensu wydobyto złote talerze, kielichy zdobne klejnotami i wymyślnie rzeźbione sztucce.

- Skąd to wszystko macie? - zdziwiła się Mojra. - I te meble?

Peter machnął lekceważąco dłonią.

- Od przyjaciół, a czasem wrogów. Mieliśmy wiele przygód, prawda, bracia?

Chłopcy przytaknęli gorliwie.

- Siadaj - powiedział Peter. - Wszyscy do stołu!

Klasnął w dłonie, wskoczył z nogami na wygodne krzesło z wielkimi poręczami i rzeźbionym oparciem. Spojrzał pytająco na chłopaków.

- Mowa! Mowa! - żądali.

Peter udawał, że się zmusza.

- Nie ma o czym gadać! Jesteśmy najbardziej waleczną drużyną na świecie! Najwierniejszymi druhami! W jakich bywaliśmy opałach, ilu wrogów wycięliśmy w pień! I oto nadeszła wiekopomna chwila. Znaleźliśmy naszą mamę! Zuchy z nas! Prawda, mamó?

- Oczywiście - odparła Mojra. - Jeszcze większe będą z was zuchy, jeśli umyjecie ręce przed jedzeniem. Czas zacząć, bo wszystko stygnie.

- Słyszeliście? Do kogo się mówi?

Peter tupnął nogą, choć to nie było konieczne. Wszyscy pobiegli myć ręce w wodospadzie.

- Podoba ci się tutaj? - spytał Peter Mojrę, gdy wszyscy odeszli. Stracił zwykłą butę, jakby obawiał się odpowiedzi.

- Całkiem miło.

- Byli grzeczni? Słuchali ciebie?

- To dobrzy chłopcy, Peter.

- Najlepsi na świecie - przytaknął z powagą.

Nagle, na mgnienie, jego twarz odmieniła się: zadarta górna warga obnażyła błyszczące, śnieżnobiałe kły, źrenice się rozszerzyły.

- Tylko za szybko... zbyt... Zaciął się i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Twarz powróciła do poprzedniego wyglądu. Po prostu chłopiec o bladej karnacji, swoją drogą bardzo pociągający.

- Kim jesteś?

- Ja?

- Nie, zaczekaj, sam zgadnę... Jesteś mamą, tak? Byłaś już kiedyś inną? Pam...

Zadrzał na całym ciele i przelknął ślinę. Zamknął oczy i zbladł jeszcze

mocniej.

- Dobrze się czujesz, Peter?

Spojrzał na nią tak, że się cofnęła.

- Pora dorosnąć - rzekł głucho. - Już od dawna. Teraz, natychmiast!

Rzucił się w stronę przyniesionego przezeń zawiniątka, lecz w tym momencie wrócili chłopcy. Popatrzył na nich pustym wzrokiem, potem kiwnął głową i zawrócił na swoje miejsce.

- Mowa... - zaczął uparcie niziołek, lecz uciszyli go syknięciami.

- Jedzcie - zezwolił Peter. - Jak najszybciej! Potrzeba nam dziś dużo sił! Dzisiaj - dodał cicho - spotka nas niewiarygodna przygoda! Najbardziej pasjonująca!

Jedli w milczeniu, pospiesznie, rozdzielając kęsy rękami, mlaskając. Mojra postanowiła, że nie będzie od nich wymagać zachowania zasad dobrego tonu. Nie dziś i nie teraz.

Po kilku minutach Peter ożywił się nieco. Zaczął żartować, drażnić chłopaków, wspominać opaly, w jakich nieraz bywali i o jakich nie mieli pojęcia, sądząc po wyrazach twarzy. Wszyscy jednak potakiwali i dodawali zmyślane na poczekaniu szczegóły.

-...I kiedy trytony z Miedzy prowadziły nas na wyspę i nie pozwoliły zytrionom na nas napadać. Chociaż i tak by nam nic nie zrobiły, za słabe na nas! W końcu kto jest najodważniejszy na świecie?

- Jasne, że ty!

- Kto nie boi się żadnych wrogów?

- Nikt, tylko ty!

- Kto jest najlepszy?

- Ty, Peter!

- I co zrobiliśmy potem?

- Kazałeś nam... eee... wrócić i pokazać im, kto tu rządzi.

- I tak zrobiliśmy, prawda? Ha! To była wspaniała bitwa. Nie tak krwawa, jak dawniej bywało, a jednak wspaniała. - Odchylił się na oparcie krzesła i odchrząknął. - Zwyciężyliśmy! A potem wróciliśmy do domu i ty, mamó, dałaś nam najsmaczniejszą kolację na świecie i pogasiłaś świece u naszych łóżek. Czytałaś nam bajkę o kraju, w którym...

Zaciął się.

- Peter?

Wstał i ogarnął wszystkich rozbieganym spojrzeniem.

- To wszystko nie tak. Pamiętam, oczywiście, tę bajkę i biszkopty jedzone w Novigradzie. Nasza ostatnia noc przed odpłynięciem. Nikt wtedy się nie spodziewał... Pamiętam!... Tak, pamiętam!

Za złości dwukrotnie uderzył pięścią w stół. Mojra zauważyła, że na skórze nie pozostał żaden ślad.

- Co tak milczycie?! Wasze twarze... cały czas mającą i znikają.

Pomachał dłonią przed oczami, poderwał się, odepchnął fotel i zakrzyknął:

- Wystarczy tego! Przygoda! Czas najwyższy udać się jej na spotkanie! Tylko najpierw...

Rysy twarzy znów odmieniły się na sekundę: źrenice stały się ogromne, górna warga zadrgała, skóra na policzkach pofałdowała się.

- Muszę trochę urosnąć.

Mark pobladł. Mojra wstała. Zaraz zdarzy się coś strasznego.

- Zaczekaj, Peter - powiedziała.

Peter zamarł i zamrugął.

- Przecież nie zostawisz mnie tutaj samej?

- Nie! - odparł trzęsąc głową. - Nawet o tym nie myśl. Nie pójdziesz z nami, to zbyt niebezpieczne! Nie ma mowy.

- Więc zostaw ze mną kogoś - powiedziała spokojnie. - Najlepiej Marka, to znaczy... Chomika. Niech się poprawi, skoro zawinił. Będzie mnie strzegł. Będziecie się bawić bez niego.

Oczy Petera były rozbiegane jak u zaszczutego zwierzątka.

- Nie mogę.

- A dlaczego? Ty tutaj rozkazujesz. Chomik pomoże mi urządzić się tutaj i przygotować dla was kolację.

- I pościelić - podsunął Mark drżącym głosem. - Zaścielić łóżka.

Peter machinalnie skinął głową.

- Dobrze byłoby pościelić! - stwierdził, patrząc na nią. - Dobrze, zostawię z tobą Chomika, ale najpierw zabawimy się z nim, no nie?

- Nie - zaprzeczyła twardo Mojra. - Chłopcy, umyć ręce po jedzeniu. Peter czekał z kamienną twarzą. Tamci wyszli, niemal wybiegli. - A teraz - rzekła Mojra - bądź łaskaw zapamiętać jedną ważną rzecz. W odróżnieniu od nich, przyniosłeś mnie tu wbrew woli. Mówiłam już, że skoro potrzebujecie mamy, musicie mnie słuchać. Inaczej nic z tego, Peter. Nie tkniesz nawet palcem Chomika. Nigdy.

- Ale ty nie rozumiesz... - No to wyjaśnij. Pamiętaj, że jesteś człowiekiem i

po to masz język, by... Cała jego twarz zaczęła się poruszać, jakby mięśnie pod skórą ożyły i każdy miał własną wolę. Kąciki ust drgały, nozdrza się rozdymały, wyostrzyły policzki...

Na jeden moment Mojra dostrzegła coś ludzkiego w jego spojrzeniu. A raczej, pomyślała zaraz, niekoniecznie ludzkiego, bardziej kogoś z Seidhe. Przypomniała sobie baśnie czytane jej w dzieciństwie przez mamę, zwłaszcza tę ulubioną o Pięknej i Bestii. Tyle że Mojra nigdy nie była piękna, a chłopak przed nią na pewno nie wyglądał jak potwór. Choć w pewnym sensie był nim ten bladokóry chwalipięta z rozpaczą w oczach.

- Nie mogę.

Ledwie poruszał ustami i Mojra dziwiła się, jakim cudem rozróżnia poszczególne słowa.

- Ile razy próbowałem nie... - Przelknął ślinę. - Po prostu muszę to zrobić. Inaczej będzie jeszcze gorzej.

- Posłuchaj - powiedziała - naprawdę wiem, co czujesz i wiem, że im dalej, tym gorzej. Jeśli chcesz się od tego wyzwolić, musisz przestać. Pomogę ci, Peter. Wszyscy ci pomożemy. Przejdziesz przez to i będziesz wolny na zawsze.

Najpierw patrzył na nią z nadzieją, potem z goryczą i smutkiem, od których serce jej się krajało.

- „Wyzwolić się” - powtórzył beznamiętnie. - Oczywiście, że się wyzwolę. Zaraz zacznę.

- Peter!

Ominął ją i ruszył w stronę zawiniątka. Kiedy go podniósł, coś znowu w nim zabrzęczało.

- Peter!

Już w korytarzu odwrócił się i rzekł tym samym, pozbawionym emocji głosem:

- Nie bój się, nie tknę Marka. Masz rację, muszę przestać. Skończyć z tym raz na zawsze.

- Peter! Odszedł. Usiadła i pozwoliła sobie na łzy. Jak na ironię Reinar zasnął, chociaż specjalnie stanął na mostku kapitańskim, by wszystko śledzić, obserwować i kontrolować. Poleciał, by przyniesiono mu fotel z kajuty Wielorybnika, na którym zasiadł z nogami wspartymi o balustradę. Mając lunetę pod ręką, rozłożył na kolanach zaczytany do cna tomik poezji Juliana de Lettenhove... I zasnął jak dziecko.

Zbudził się ze zdławionym krzykiem, w wilgotnym półmroku, zdając sobie

sprawę, że wszystko poszło nie tak. Już dawno, jego mać. Splunął na bok, przetarł wargi chusteczką. Przetrzyma jeszcze tydzień? Nie był pewien, czy zostało mu tyle czasu. Niczego już nie był pewien.

Słyszał płacz skrzypiec Rudego na brzegu u ogniska. „Mój miły się zadał z rusalką, mój miły nie wróci do domu!...”.

Reinar rozejrzył się. Na pokładzie drzemali marynarze pozostawieni na statku. Na dziobie sterczał nieruchomo, niczym druga figura Brendana, Mo z harpunem w dłoni. Reinar uśmiechnął się, wstał z fotela i spojrział na brzeg przez lunetę. Powinni byli napelnić świeżą wodą beczki z „Brendana”. Wioząca je łódź odplynęła dwie godziny temu, ale być może nikomu nie spieszyło się z powrotem. Z obozu dochodziły śmiechy i trzaskanie ognia, a Rudy ciągle brał muzyką za serca: „Mój miły polubił trytona, mój miły nie wróci do domu!...”.

Złożył lunetę i zauważył, że Mo zbliża się szybkim krokiem.

- Co jest?

Szaman wzruszył ramionami, co w mowie jego ciała znaczyło, że niby wszystko w porządku, ale ma złe przeczucia.

Reinar kiwnął głową.

- Zbudzę załogę i każę zająć się działami. Niech odsieją piasek i proch... A ty spróbuj zorientować się, co jest nie tak.

Mo przytaknął skinieniem i już miał odchodzić, gdy nagle zastygł z rozłożonymi ramionami, wpatrując się intensywnie w brzeg.

- Co tam?... - spytał Reinar. Poczul na plecach zimny pot. - Co?

I nagle zrozumiał.

Skrzypce. Dopiero co grały: „Mój miły oddał się całkiem kostusze, mój miły nie wróci do domu!...”. Teraz nagle zamilkły.

Gdy Mojra uspokoiła się i zaczęła sprzątać ze stołu, wszedł Mark. Widocznie czekał na korytarzu, krępując się. Zapytał:

- Jak się czujesz?

- W porządku. Nie tknął ciebie?

Chłopczyk pokręcił głową, ale nie wyglądał na spokojnego.

- Coś nie tak?

Przysiadł na skraju krzesła.

- To nie potrwa długo. Prędzej czy później Peter kogoś ukróci. Tak jak twojego Luke...

- Luke?!

- Jakies dwa tygodnie temu - oznajmił Mark, wzdychając. - Wszystko teraz

idzie u niego szybciej, coraz gorzej z nim, sama widziałaś.

- Zaraz, powoli! Co było z Luką?

- Peter go ukrócił pomalutku - powiedział Mark. - Potem Luka uciekł... Właściwie zniknął. Może to i lepiej - dodał bardzo cicho. - Nie wiem. Boję się!

Mojra siedziała jak skamieniała. W sercu czuła pustkę, nawet płakać nie mogła.

- Gdy Peter wróci - wyjaśnił chłopiec - na pewno mnie ukróci. Sama widziałaś...

- Co widziałam?!

- Jeszcze przed obiadem... wszyscy zauważyli.

- Nie!

Mojra cisnęła na stół szmatę, którą ścierała ogryzki i okruszki.

- Nikogo nie będzie skracał. Chodźmy na statek. Znasz drogę?

Mark przytaknął i pobiegł w oddalony kąt jaskini. Wrócił po chwili z nożykiem i staromodnym kompasem.

- W ogóle to tak... ale nie wiem...

Patrzył na nią niemal z takim samym lękiem, jak na Petera. Mojra pojęła, że chłopak musi się oswoić z myślą o ucieczce. Później go wypyta o wszystko.

Znała już zresztą odpowiedź na najważniejsze pytanie.

Wyszli przez wodospad i ruszyli kamienną ścieżką na drugą stronę skały. Droga wiodła na szczyt przez dżunglę. Mark jakby się opanował i ruszył przodem, odchylając i przytrzymując gałęzie. Mojra starała się nie deptać mu po piętach, choć pragnęła jak najprędzej dostać się na statek. Trzeba będzie wydostać także pozostałych chłopców. I powstrzymać Petera. Nie była pewna, ratunek to, czy kara.

- Zaraz wyjdziemy na Majak, z którego widać całą zatokę. Potem zejdziemy w dół i będziemy u celu. Każda droga jest tutaj prosta, gdy się ją zna. Wydaje się, że w dżungli można zablądzić, ale tak naprawdę...

Mojra, milcząc, szła za nim w ślad, schylając się pod gałęziami. Chociaż niewiele uszli, czuła się zmęczona.

Droga szła ciągle w górę, gdzieś niedaleko szumiał niewidoczny strumyk.

- Daleko jeszcze?

- Prawie jesteśmy na miejscu. Zaraz będzie wierzchołek Majaka.

- Mark?

- Tak?

- Co to znaczy, że Luka zniknął?

Zatrzymał się i spojrzal na nią niemal z przestraczem.

- To nie takie proste...

Po chwili opanował się i westchnął.

- Dobrze, powiem ci. Wcześniej czy później dochodzi do tego, że Peter postanawia kogoś ukrócić. Trzeba się na to zgodzić, sprzeciw jest bezcelowy.

Mojra wolala nie pytać, dlaczego. Wyspa, z której nie ma ucieczki. Chłopcy skazani na wspólne życie, zmuszeni zdobywać pożywienie... Nietrudno zrozumieć.

- Luka sprzeciwił się. Wiedział, co się stalo z innymi i bał się tego. Tak jak my wszyscy... Peter był wściekły.

- Mogę sobie wyobrazić.

Mark pokręcił głową.

- Nie możesz. Luka to wytrzymał i w końcu zwyczajnie uciekł. Tydzień przebywał w dżungli. Peter tropił go i pomagał mu.

- Pomagał?

- Mało go jeszcze znasz, on... nie jest pamiętliwy! W gruncie rzeczy ma dobre serce. W końcu Luka się poddał. Pewnie zrozumiał, że nie ma wyjścia albo zabrakło mu sił. Potem odszedł, jak prędzej czy później odchodzą wszyscy. Dwa dni temu Orzeł i Jaguar widzieli go w Twierdzy.

- Zaraz, Mark! To znaczy, że jeszcze żyje?!

Malec zaciekle kopnął wystający z ziemi purpurowy korzeń.

- Źle mówię! Zrozum: Luka umarł już wtedy, gdy Peter go skrócił. Ciało zostaje, ale sam człowiek... jakby zanika. W końcu umiera też ciało.

Do Majaka dotarli w milczeniu. Prędko zmierzchało, lecz wokół po pniach, lianach i listowiu pełzały chmary świetlików, toteż Mark znajdował drogę bez trudu.

Majak okazał się ogromnym platanem, którego koronę dawno temu ściał piorun. Tam właśnie znajdował się niewielki pomost.

- To na wypadek, gdy Peter odlatuje daleko w morze - wyjaśnił Mark. - Na pomoście jest kamienne palenisko, gdzie można rozpalić ogień.

- A pomost się nie zapali?

Mark wzruszył ramionami.

- Dotychczas się nie zdarzyło.

- Ale po co to wszystko?

- Myślę, że im dalej Peter jest od wyspy, zapomina wszystko bardziej, niż zwykle. Wracając, mógłby zabłądzić. A tak w końcu zauważa Majak i leci prosto

w...

Mark zaciął się.

- Ogień?

- Tak, ogień! Popatrz!...

Odwróciła się, spojrzała na zatokę i zrozumiała, że nie ma dokąd wracać.

Wiedźmina obudził jak zawsze jego własny krzyk.

Podniósł się i przejechał dłonią po mokrym czole. W pieczarze płonęły świece, wokół wstawali przebudzeni piraci. Wbiegł Ahavel z pistoletami w dłoniach.

- A niech cię!... Słysząc było nawet przy „baszcie”.

- Wybaczcie.

Wiedźmin wstał, powoli kojarząc fakty. Wiedział, że już nie zaśnie.

- Proszę się położyć, kapitanie, zmienię pana na posterunku. Czy wrócił Demiro?

Wielorybnik pokręcił głową.

Minęło siedem godzin od chwili, gdy Roderigo usłyszał wystrzały w dżungli. Najpierw jeden, po chwili znowu dwa. Może Demiro strzelił, może strzelali do niego.

Wieczorem wszyscy byli rozdrażnieni. Nie mogli od razu zasnąć, wielu majaczyło w półśnie. Teraz wstawali, ziewając i klnąc pod nosem.

- Uważam, że trzeba wracać do obozu - po raz któryś powtórzył Teredo. - Potrzebne nam posiłki. Tylko spójrzcie, ile tego...

- Rano zdecydujemy - powiedział Ahavel.

Rzucił płaszcz na ziemię i przysiadł na nim.

- Możesz jeszcze odpocząć - rzekł do Stefana. - De Forbin mnie zastąpił.

Wyjął fajkę i nabił tytoniem.

- Stojąc na straży, przemyślałem to i owo. Mam propozycję dla mistrza Żurawia i wszystkich pozostałych, chodźcie więc bliżej ognia, żebym nie musiał powtarzać. Najważniejsze są dla mnie fakty.

Stefan przykucnął. Wątróbka rozniecał przygasłe ognisko, pozostali dosiadali się ze zdziwionymi minami. Gdzieś w oddali ponuro pohukiwała sowa.

- Pora zagrać w otwarte karty - powiedział Ahavel.

Sięgnął do torby i wyłożył przed sobą notatki Mojry.

- Powiem wam to, co wiem. Najpierw jednak mistrz Stefan odpowie na parę pytań, szczerze i bez wykrętów.

Zamilkł na chwilę.

- Prędzej czy później poleje się krew. Może w ciągu najbliższej godziny. Chcę się upewnić, po czyjej będziesz strone.

- Można spróbować - odparł wiedźmin.

- Najprościej zacząć od Kukulka.

- Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że już to słyszałem.

- My też słyszeliśmy i nie mogliśmy się dogadać. Nie udowodniłeś, że nie trzymasz ich strony. Argument, że zamiast sprawiać rzeźnię wygodniej wsypać truciznę do kotła był całkiem logiczny i przemówił do mnie. Potem jednak powiedziałem sobie: zaraz, zaraz, ktoś jednak wymordował tamte załogi.

- I to też słyszałem - rzekł wiedźmin. - Nawet wiem, jaka będzie moja następna odpowiedź. To błędne koło, kapitanie. Odpowiem, że nie jestem Kukulkiem, pan mi nie uwierzy na słowo i zażąda dowodów, ja powiem, że ich nie mam. Przynajmniej takich, jakie was przekonają.

- Dlatego spytam o coś innego.

Kapitan wyjął pistolet i odwiódł kurek.

- Proste pytanie, jak obiecałem. Nasz człowiek w Kompanii doniósł nam, że pewien wiedźmin Stefan o przydomku Żuraw mniej więcej od roku zaczął się interesować statkami, na których działał Kukulka. Ciekawy zbieg okoliczności. Żuraw i Kukulka. Pewnie czysty przypadek. Jest jeszcze jeden: byłoby na rękę Kompanii, gdyby zmniejszyła się liczba piratów. Mówi się, że istnieje nawet specjalny pododdział do takich zadań, ale to tylko plotki... - dodał, rozkładając ręce.

Paru piratów też wyciągnęło pistolety albo sięgnęło po szablę.

Stefan uśmiechnął się milcząco.

W tym samym momencie Reinard rozłożył lunetę i popatrzył na brzeg. Na płaszącą cienie wokół ogniska w obozie.

Spojrzał i zrozumiał, że miał rację. Nie ma tygodnia w zapasie.

Wrzasnął, by marynarze trzymali oczy szeroko otwarte i byli gotowi do walki, jego mać.

Potem sprawdził, czy pistolety są nabite, a szablę lekko wychodzi z pochwy.

Kto inny na jego miejscu kazałby spuścić na wodę szalupę i pospieszył na pomoc kamratom na brzegu. Reinard wiedział jednak, że to nic nie da.

Po pierwsze, nie zdążą. Po drugie za chwilę sami będą potrzebować pomocy.

- Co innego, kiedy na własne uszy słyszysz krzyki tego wiedźmina - podjął Ahavel. - Krzyczy we śnie, czasem bez sensu, a czasem coś zrozumiałego. Na przykład hasło „Królewska Fortuna”.

Wiedźmin roześmiał się.

- Podziwiam waszą czujność. Czego nie da się powiedzieć o orientacji. Zabójca, który lekką ręką wymordował dziesiątki ludzi, zdradza hasło i nie może spokojnie spać? Nie próbował pan znaleźć prostszego wyjaśnienia?

- Wolę usłyszeć twoje.

- To łatwe. Byłem na karaweli, która natknęła się na „Królewską Fortunę”, kiedy było po wszystkim. Jako pierwszy zobaczyłem statek i z pięcioma ludźmi z załogi wszedłem na pokład. Faktycznie, nie mogę zapomnieć tego, co tam zobaczyłem.

Milczał chwilę.

- Od ponad roku usiłuję rozwikłać tę zagadkę i znaleźć Kukulka. Kompania nie wie o wszystkim. Wasz człowiek nie był dostatecznie poinformowany.

- I co - spytał Renni - udało ci się wyjaśnić?

- Praktycznie nic. Rozmawiałem z tymi, którzy znajdowali inne statki, oglądałem te, które zawięły do portu. Żadnego punktu zaczepienia.

Wątróbka kiwnął głową i zwrócił się do Ahavela:

- Brzmi wiarygodnie.

- No, nie wiem...

- Ostatecznie miałeś nadzieję złapać prawdziwego Kukulka. Dajmy już z tym spokój, szkoda czasu. Powiedz nam to, co chciałeś.

Gdyby armaty były sprawne, można byłoby ostrzelać brzeg. Z pewnością swoi by oberwali, ale wróg także by ucierpiał. Mogli tylko biernie obserwować.

Reinar był przekonany, że podpłyną do nich łodzią. Znów się pomylił. Tamci dobili rannych i rozplłynęli się we mgle. Reinar mógł się tylko domyślać, dokąd pobiegli i po co. To zresztą nie był jego problem. Problem zbliżał się drogą powietrzną.

Szczupła, zgrabna postać. Wzrostu niziolka, lecz bez żadnego grzebienia na głowie ni skrzydeł. Nadlatywał zwyczajny chłopiec.

Zwykły chłopak z mieczem w dłoni.

- Nie chciałem wszystkiego ujawniać - oznajmił Wielorybnik - i zaraz zrozumiecie, dlaczego. Całą historię znali tylko Renni i Reinar. Pozostałym powiedziałem, jakobym czytał fragmenty Manuskryptu dotyczące naszego wroga. To połowa prawdy. Rzeczywiście wiedziałem o Manuskrypcie o wiele wcześniej, nim spotkałem „rycerzy”. Cała sprawa zaczęła się od niego.

Wszystko stało się bardzo szybko. Reinar nigdy jeszcze nie widział, żeby żywa istota poruszała się z taką szybkością.

Chłopiec leciał prosto na Mo, ale w ostatniej chwili skręcił i uniósł się wyżej. Ciśnięty przez maga harpun wpadł do wody, wzniecając fontannę bryzgów.

- Brońcie się! - krzyknął chłopak. - Walczcie, gównozjady!

Mo cisnął weń garścią kul ognistych, ale chłopak znów uskoczył. Większość pocisków poleciała w niebo, ale parę z nich przypaliło olinowanie.

- Jego mać! - syknął Reinar.

Chwilę wpatrywał się z fascynacją, jak płomienie pną się po linach, jak zaczynają lizać skraj żagla...

W tej chwili rozległ się zdławiony krzyk. Reinar zerknął odruchowo w tamtą stronę. Na dziobie stały dwie postaci: bliżej grotmasztu chłopak uzbrojony w miecz, dalej potężna sylwetka Mo.

Z tym ostatnim coś było nie tak i Reinar zorientował się po chwili, że w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się głowa czarodzieja, tryskał w górę strumień czarnej posoki.

- Wspaniała przygoda! - zachichotał malec. - Najlepsza ze wszystkich! Kto następny?

Rozległy się strzały. Tamten padł.

Wstał po chwili i ruszył ku nim sprężystym, niemal tanecznym krokiem.

- Nasza rodzina mieszkała w Novigradzie - opowiadał Ahavel - ale gdy rozeszła się wieść o Wielkiej Migracji, ojciec uznał, że to nasza szansa. Był nauczycielem w miejskiej szkole. Miał nadzieję na wyższe stanowisko...

Rodzice sprzedali wszystko: dom, meble, nawet ojcowski księgozbiór i wykupili miejsca na statku Kompanii. Resztę zachowali na kupno skrawka ziemi w nowym miejscu.

W pierwszym tygodniu podróży okazało się, że na statku znalazło się paru ludzi chorych na gorączkę krwotoczną. Zaczęła się epidemia. Rodzice zachorowali i zaczęli tracić świadomość. Słyszeliście o tej chorobie? Najpierw pojawia się uczucie żaru, wysypka na całym ciele, potem mózg zżera gorączka. Jedno za drugim znikają wspomnienia. Odczuwacie to dokładnie tutaj. - Kapitan wskazał na skroń. - Nieznośne świerzbienie, które doprowadza do szału. Krzyczycie, rozdrapujecie skórę, zaczynacie bić głową o ścianę... Na szczęście rodzice tego nie dożyli. Odeszli na wcześniejszym etapie. Lekarz stwierdził, że serca nie wytrzymały.

- Dostyc dokładnie pamiętam, co było dalej - podjął z gorzkim uśmiechem. - Chociaż słowo „pamiętam” niezbyt tutaj pasuje. Spotkaliśmy pośrodku oceanu samotnego żeglarza. Płynął małą łódką, lecz nie wyglądał na specjalnie

wystraszonego ani zrozpaczonego. Kierował się na wschód i lekko się zmartwił, kiedy dowiedział się, że płyniemy do Czerdianu. Można go było zrozumieć. Płynął już tak od dawna, żywił się złowionymi rybami, dzięki deszczom uzupełniał zapasy słodkiej wody... A w końcu spotkał statek, na którym panowała zaraza.

Okazał się naszym wybawcą. Nazywał się Nesiphoro i potrafił wyleczyć chorych nawet w poważniejszym stadium, jak choćby mnie.

Ostatecznie przeżyłem, chociaż straciłem częściowo pamięć. I pieniądze, które przypadły jak podejrzewałem, nie bez udziału lekarza okrętowego. Obszukując trupy, znalazł pewnie kluczyk na łańcuszku na szyi mego ojca i dobrał się do naszego kuferka. Oczywiście dzieci nie wyrzuca się za burtę, nawet na statkach Kompanii, ale... - Ahavel wzruszył ramionami. - Życie moje i mego brata zmieniło się nieodwracalnie.

- Chwileczkę - wtrącił Roderigo - miał pan brata?

- Miałem brata - odpowiedział Stefan zamiast kapitana - i mam, jak sędzę. Najciekawsze jest, dlaczego czas go oszczędził.

Potrzebowali kilku chwil, żeby do nich dotarło.

Pierwszy otrząsnął się Teredo. Zerwał się na równe nogi i szczerząc się groźnie, wycelował palec w kapitana.

- To prawda? Przez wszystkie te lata ścigaliśmy pańskiego brata i pan o tym wiedział?

- Pański brat... porywał nasze dzieci? - spytał cicho Roderigo.

- Zabijał nasze dzieci - dorzucił Hebel.

Zrywali się wszyscy, chwytając za szable i pistolety.

Wiedźmin siedział spokojnie, jak poprzednio. Tak samo Wątróbka i Ahavel.

- A zatem - podsumował Stefan - chce pan zabić własnego brata, tylko nie wie jak. Dlatego zwerbował pan mnie i Mojrę. Wie pan, jak stał się... taki?

Kapitan nie zdążył odpowiedzieć. Do jaskini wbiegł de Forbin, tocząc wokół oszalałym wzrokiem.

- Mamy gości, piraci! Nie spodoba się wam to, co mają do powiedzenia.

W pierwszej chwili nie uwierzyli. Mojrą musiała wszystko powtarzać: o spalonym statku i co się stało w obozie na brzegu.

- Wszystkich? - pytali.

- Wszystkich - powtórzyła smutno.

Mark siedział obok i potakiwał. Patrzył na zebranych szeroko otwartymi oczami. Z nadzieją, której Mojrze zabrakło.

- Dajcie im zjeść i odetchnąć - wtrącił się w końcu wiedźmin. - I... jest jedna rzecz, Mojro, którą trzeba zrobić jak najszybciej. Kapitanie?

Ahavel podał jej kartki, na których rozpoznała ze zdziwieniem własne notatki.

- Tak?...

Wiedźmin uniósł dłoń.

- Wszystko zrozumiesz, ale najpierw musisz coś zjeść. Renni?

- Zaraz coś zorganizujemy.

- Pan, kapitanie, zdąży tymczasem dokończyć swoją opowieść. Myślę, że Mojra też ją powinna usłyszeć.

- Hej - zachrypiał Teredo - nie dokończyliśmy tamtej sprawy...

Wiedźmin zerknął na niego niemal z politowaniem.

- Gotów jestem założyć się, że tamci już tutaj idą albo właśnie zauważyli, że Mojra uciekła z chłopcem. Sam mam parę pytań do waszego kapitana, ale żeby je zadać, trzeba pozostać żywym. Dlatego Ahavel powinien zakończyć swoją historię, a Mojra rozszyfrować tekst. Zgadza się?

Teredo splunął mu pod nogi i odszedł, mamrocząc pod nosem.

- Dziękuję - rzekł do wiedźmina kapitan i wzruszył ramionami. - Dalsza opowieść jest bardzo prosta. Kiedy zostaliśmy sierotami, znalazł się tylko jeden człowiek, którego obchodził nasz los.

- Tajemniczy podróżnik i wybitny lekarz Nesiphoro.

- Dokładnie, mistrzu Stefanie.

Kapitan milczał chwilę.

- Potem zrozumiałem, że nie był całkiem bezinteresowny. Nesiphoro potrzebował asystentów. Był człowiekiem o ogromnych ambicjach! Komu zresztą innemu przysłoby do głowy przepłynąć samotnie pół oceanu w małej łódce... Miał przy sobie jakiś rękopis, z którym nie rozstawał się we dnie ani w nocy. Kiedy szedł spać, wieszal w zamkniętej torbie pod sufitem, by nie dobrały się do niego szczury. Była to kopia Manuskryptu.

- Kolejna rzekoma kopia?

- Nie, skopiował osobiście z oryginału. Co ważniejsze, dokonał także przekładu.

- Chwileczkę, sam pan mówił, że kaszalot nie pozwalał nikomu opuścić wyspy.

- Nikomu, kto próbował ukraść Manuskrypt. Nesiphoro wiedział o tym wcześniej i przygotował się. W jednym z szalasów znaleźliśmy stolik i przybory

do pisania, ale nie było szkieletu. Moi ludzie uznali, że nieszczęśnik zginął przy próbie ucieczki, ale ja znałem prawdę. Udało mu się uciec. Przyplął na wyspę, skopiował manuskrypt i spokojnie odpłynął. Magiczne moce dodawały mu pewności siebie. Wystarczyły, by zmylić potwora.

- I właśnie cichcem wracał do Novigradu, by zdobyć władzę nad światem, gdy spotkał waszą karawelę...

- Zapewne. Nie mógł zwyczajnie odmówić i oznajmić, że dalej popłynie sam. Nie pozwoliliby mu. Zorientowaliby się, że skrywa jakiś skarb.

Wiedźmin skinął głową.

- A nie znalazłszy skarbu tym bardziej by go podejrzewali.

- Dlatego został z nami. A potem najwyraźniej wykorzystał przypadek. Nie chciał dłużej czekać. Zrobił z nas asystentów, z bezradnych sierot, w tym jednego z częściową utratą pamięci. Rozstawiliśmy świece i w odpowiednim momencie rzucaliśmy na rozżarzone węgle jakieś proszki i mieszanki ziołowe, on zaś odczytywał śpiewnie nieznane słowa, robiąc dziwaczne gesty. Czasem zwierzał się nam.

- Nie mógł wytrzymać?

Wielorybnik odchrząknął.

- A kto by to wytrzymał? Podjął się czegoś, o czym nawet nie marzyli najwięksi czarodzieje, którzy dotychczas nim gardzili i uważali za nieudolnego! Myślę, że do chwili, kiedy spotkaliśmy jego łódkę, ryby latające i morscy mnisi bali się do niego zbliżyć, on zaś chlubił się swoim triumfem. Teraz miał prawdziwie oddanych słuchaczy. Nie zauważył jednak dwóch faktów. Po pierwsze, byliśmy nad wiek rozwinięci, bo ojciec nam nie pobrażał. Umieliśmy czytać i stopniowo zaczęliśmy sporo rozumieć z jego eksperymentów. Po drugie, coraz silniej odczuwałem swoją ułomność. Choroba zniszczyła najważniejsze wspomnienia z domu rodzinnego. Peter opowiadał mi o rodzicach, ale nie mogłem nawet przypomnieć sobie ich twarzy, chociaż od ich śmierci minęło zaledwie parę tygodni!

Ahavel wytrząsała fajkę i zaczął nabijać na nowo, dociskając tytoń końcem dużego palca.

- Oczywiście zajrzeliśmy do jego notatek, ale rozumieliśmy je piąte przez dziesiąte.

- Jak udało się wam do nich dorwać, skoro mag nie spuszczał z nich oka?

- Kiedyś musiał spać. Ufał nam. Po cichutku zdejmowaliśmy torbę z haka, wyciągaliśmy po kilka stron, potem znów chowaliśmy. To i owo zapisywaliśmy

na skrawkach papieru, tak dla zgrywy. Pewnego razu natknęliśmy się na zaklęcie odbierające pamięć człowiekowi i przenoszące ją na innego. Teraz wiem, jak naprawdę działało. Wtedy postanowiliśmy „podzielić” się pamięcią i wspomnieniami, żeby więcej ich nie ubyło.

Zaciągnął się dymem, przymykając oczy i chmurząc oblicze.

- Co najgorsze, Peter mi to zaproponował. Widział, jak się męczę, nie mogąc przypomnieć sobie rodziców i nalegał. Nie miałem zamiaru się sprzeciwić. Obaj nie do końca wierzyliśmy w owe sztuczki. Nesiphoro niewiele dotychczas osiągnął, a był magiem, podczas gdy my tylko dwoma szczeniakami.

- Słyszałem gdzieś starą baśń o uczniu czarnoksiężnika - powiedział wiedźmin - i o miotłach, nad którymi stracił kontrolę.

- Znowu trafiłeś w sedno, mistrzu Stefanie. Od samego początku wszystko poszło na opak. Nakreśliliśmy kredowy krąg, wyrysowaliśmy gwiazdę, nanieśliśmy odpowiednie znaki... Nie pytajcie jakie, to było czterdzieści lat temu! Oczywiście nie mogliśmy przewidzieć, że pewna dama ulegnie tej nocy zalotom nawigatora i znieśie nas na Miedzę. Do dzisiaj nie wiem, czy to miało znaczenie, ale zaklęcie podziałało. Staliśmy w kręgu świec, nasze cienie nakładały się na siebie, a gdy odczytałem słowa zaklęcia, jakbyśmy zrosli się w jedno. Było to dziwne, niesamowite odczucie, które pamiętam do dziś. Jakby ktoś wlewał cudzą duszę w człowieka, w jego ciało, głowę i myśli... Jakby powstał ktoś inny i zajął twoje miejsce w tym świecie. W pierwszej chwili osłupiałem ze strachu, a Peter, sądząc po wyrazie oczu, też się wystraszył. Nie było jednak drogi odwrotu. Wziąłem przygotowany wcześniej sztylet i... W rękopisie nazywają to „ukróceniem”.

- Ukróceniem?! - krzyknęła Mojra.

- Trzeba przeciąć nożem u stóp, jakby się odcinało cięń.

Kapitan wykonał właściwy gest.

- A potem przypalić.

- Ale Peter nikogo nie przypala! - zawołał Mark. - Tylko skraca i już.

- Może całkiem odebrało mu pamięć o tym, co wtedy zaszło. A może na odwrót, zbyt dobrze pamięta, co stało się potem.

Ahavel wypuścił gęstą chmurę dymu i zaczął zdejmować rękawicę z okaleczonej ręki.

- A potem wydarzyło się to - podjął. - Rozwarł się właz i do ładowni wpadł rozsierzony Nesiphoro. Być może tym samym naruszył hermetyczność przestrzeni, w której odbywał się rytuał. A może po prostu wywołał przeciąg.

Płomień świecy, którym powinienem był przypalić rozcięcie, przeskoczył na cień. Peter krzyknął. Nikt nigdy nie krzychał tak ostro i rozpaczliwie. Reszta nastąpiła w mgnieniu oka. Ogień pochłoniął cień Petera i przeskoczył z krawędzi koła z powrotem, jak morska fala napotkawszy przeszkodę. Zwęglił skórę na mojej dłoni, zawylem i upuściłem świecę, odskoczyłem... i wyszedłem z kręgu.

Pokazał wszystkim drewnianą dłoń z wyrzeźbionymi liniami życia, losu i przeznaczenia.

- I tak miałem szczęście, że ciało ogień zżerał wolniej niż cień. Ten sam lekarz, który pozbawił nas ojcowskich zasobów, pozbawił mnie też resztek spalonych palców, ale to było później. Wtedy padłem na kolana, wyjąc z bólu. Nesiphoro uniósł dłonie i zaczął wygłaszać zaklęcie. Nie wiem, co chciał tym osiągnąć, na pewno nie to, co otrzymał. Powinien był uważniej patrzeć pod nogi. Bezwiednie nastąpił na linię kredową... A może jednak był kiepskim, nieudolnym magiem, nie wiem. Zaciął się nagle w pół słowa, chwycił za gardło, zacharczał i upadł na podłogę. Peter także leżał bez czucia. Starczyło mi rozumu, by podbiec do pierwszego z brzegu, przykrytego płótnem kuferka, zebrać materiał i zdusić płomień, zanim zemdląłem z bólu. Następne dni pamiętam tylko fragmentarycznie. Bolało.

Wielorybnik wskazał protezę i skroń.

- Dawne wspomnienia stopniowo wracały. Nie moje jednak. Widziałem siebie jakby z boku, a Petera w ogóle. Został tylko jeden dzień, przed odpłynięciem, którego nie pamiętam. Potem, gdy już nieco doszedłem do siebie, powiedzieli mi, że zostaliśmy uratowani przypadkiem. Karawela nadziała się na coś za Miedzą i bosman wysłał majtków na dół, żeby sprawdzili, czy nie ma dziury w burcie i wtedy nas znaleźli.

Znów wciągnął dym.

- Nas, czyli mnie i Nesiphoro. Peter znikł bez śladu, jakby go nigdy nie było. A czarodziej oszalał. Nie od razu to stwierdzili, bo tylko milczał, wodząc dzikim spojrzeniem. Zanieśli biedaka do kajuty, uznawszy, że powinien trochę odpocząć. Ktoś potem wpadł na to, żeby zajrzeć do kabiny, by mu zaproponować posiłek. Propozycja okazała się spóźniona, bo Nesiphoro właśnie się pożywiał skrawkami papieru.

- Kopią Manuskryptu.

- Bez wątpienia. Trudno powiedzieć, czy ją wcześniej czymś zmiękczył. Oto cała historia - dodał, rozkładając ręce.

- Spotkał ich pan później? - spytał Mark.

- W Czerdanie widziałem raz żebraka bardzo podobnego do niego. Wątpię, czy to naprawdę był on, przecież już gdy go spotkaliśmy, miał dobrze po sześćdziesiątce. A co do Petera... Umarł czterdzieści lat temu podczas rytuału. To, co zawładnęło jego ciałem... na pewno nie jest Peterem.

- Dlatego nie rośnie?

- Nie, mistrzu wiedźminie, nie dlatego. Przecież... widziałem go dawno temu, zanim zaczęły przychodzić te listy. Chyba nie wiedział, że przeżyłem albo ostatecznie nie był pewien. By się nie wdawać w szczegóły - dodał, zerkając na Marka - odwiedzałem wtedy pewien dom. Moja dama miała dzieci. Zazwyczaj, gdy przychodziłem, już spały, ale tym razem matka w żaden sposób nie mogła ich ułożyć do snu. Zdawało się im, że ktoś zagląda do okna, które znajdowało się na drugim piętrze. Poszedłem do ogrodu upewnić się, czy nie czai się tam złodziej albo ktoś jeszcze gorszy i niemal zderzyłem się z owym pseudoPeterem. Obaj byliśmy nieco wstrząśnięci. On uciekł, ja zaś... nigdy więcej nie odwiedziłem tego domu. Półtora roku później ta istota mnie odnalazła, obwiniała o kradzież wspomnień i zaatakowała. Bronilem się, choć wiedziałem, że długo nie wytrzymam. Był równie niewiarygodnie szybki, jak zły.

- Co go powstrzymało?

- Sam nie wiem. Może strażnicy, którzy nadbiegli, słysząc hałas, lecz wątpię. Załatwilby ich bez trudu, jakby to była zabawa. Tak czy inaczej uciekł, a potem... od czasu do czasu przysyłał listy. Podejrzewam, że faktycznie ma luki pamięciowe i czasem zapomina o moim istnieniu, później sobie przypomina i wszystko zaczyna się od nowa. - Ahavel wzruszył ramionami.

- Listy same w sobie nie przestraszyły mnie, tylko rozdrażniły.

Kiedy się dowiedziałem o tych wszystkich dzieciach... zająłem się poważnie tą sprawą.

- Wygląda, że to wasza rodzinna cecha - rzekł wiedźmin - zajmować się sprawą poważnie. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego uważa pan, że to nie Peter.

- Dlatego, że widziałem, jak się zachowuje, wygląda i rozmawia. Dużo o tym myślałem, mistrzu Stefanie i doszedłem do wniosku, że brak cienia zamienił go w wampira.

- Logiczne. Skoro wylupię komuś oko, zamienię go w cyklopa. Chce pan usłyszeć moje zdanie? Chłopak zmienił się niewątpliwie. Coś zrobiliście z jego pamięcią i zapewne nie tylko nią. Jeśli Mojra rozszyfruje Manuskrypt, być może da to nam klucz do rozwiązania zagadki. A potem... kto wie, może uda nam się

przeprowadzić rytuał i wszystko odwrócić?

Wątróbka zaśmiał się oschle.

- Z pana, mistrzu Stefanie, większy żartowniś, niż sądziliśmy. Kiedy powiada pan, żeby „wszystko odwrócić”, ma pan też na myśli wszystkie porwane dzieci i ich dawne rodziny, z których część się rozpadła?

- A także wszystkich, których musieliście zabić i ograbić, aby dostać się tutaj? Nie, mistrzu Brendanie, nie myślę aż tak szeroko. Wierzę, że prawo sprawiedliwej odpłaty nieczęsto działa. Nie da się odtworzyć tyle samo dobra, ile wcześniej uczyniono zła. Można jednak zrobić to, co możliwe. Spróbować zmniejszyć zasięg zła.

- Czasem można zrobić tylko jedno - odciął się stary sędzia. - Usunąć przyczynę zła. Wypalić to, czego nie można wyleczyć.

Wiedźmin wstał, wzruszając ramionami.

- Wypalić? A ja myślałem, że właśnie nasz szanowny kapitan uświadomił nam, czym kończy się wypalanie.

Ahavel wstał także.

- Cała ta gadka funta klaków niewarta - oznajmił.

Demonstracyjnie wytrząsnął fajkę i spojrział drwiąco na Stefana.

- Główne pytanie, jak się zachowasz, kiedy ten stwór przystawi ci ostrze do gardła. Wszelkie dywagacje na temat dobra i zła sprowadzają się w końcu do tego.

Wiedźmin nie zdążył odpowiedzieć. Z zewnątrz doszedł ich dźwięk metalu uderzającego o drewno i krzyk wielu głosów:

- Wychodźcie! Wychodźcie!

- No cóż - mruknął Ahavel.

Wyszli.

Nad „twierdzą” wisiał piękny księżyc, jakby wycięty z rowkowanego papieru. Na dziedzińcu było pusto i jasno. Gdy zjawili się Mojra i Mark, piraci zapomnieli wystawić straż, lecz przeciwnicy byli na tyle uprzejmi, iż nie zjawili się bez uprzedzenia.

Czekali. w ciemnym wylomie. Cztery niewielkie postaci z hardo zadartymi głowami i dłońmi na rękojeściach mieczów. Broń nie była zbyt okazała, a jednak budziła respekt.

Gdy tamci czterej zobaczyli ludzi Ahavela, ruszyli do przodu z ciemności do światła i można było dojrzeć ich twarze zbryzgane krwią, pozlepiane włosy, a także stare i świeże rany. Jeden lekko kulał, pozostali poruszali się szybko i

energicznie. Zapewne po drodze zrobili sobie postój, by trochę odpocząć.

- Bogowie litościwi - zachrypiał Teredo. - Toż to dzieci!

Oczywiście, że były to dzieciaki, choć teraz bardziej przypominały dzikusów albo leśne złe duchy.

- Nie dzieci - sprostował kulejący - lecz Wolne Chłopaki!

- A ja - dorzucił głos z nieba - jestem ich kapitanem!

Na szczycie lewej „baszty” stała szczupła figurka. Zasalutowała mieczem i skoczyła w dół. Ktoś jęknął, ktoś chciał strzelać...

- Opuścić broń! - ryknął wiedźmin, nie oglądając się. - I cicho tam!

Obserwował, jak postać sfruwała z rozkrzyżowanymi ramionami, krzywiąc twarz w paskudnym uśmiešku. Nagle zrobiła salto nad ich głowami... Mignęła alabastrowa twarzyczka, przypominająca maskę pośmiertną.

Wiedźmin zaśmiał się.

Na chwilę zapanowała martwa cisza.

- Zawsze lubiłem występy cyrkowców - oznajmił wiedźmin.

- Zwłaszcza takich, którzy są uprzejmi zapowiedzieć wizytę.

Wystarczyło jedno uderzenie serca, by Peter stanął przed nim. Miecz w uniesionej ręce nawet nie drgnął, jakby wcale nie ciążył chłopięcej dłoni.

- Zawsze się zapowiadam - odparł Peter.

W martwej twarzy tylko oczy zdawały się żywe. Płonący wzrok miotał się od pirata do pirata.

- Nigdy nie zabijam wrogów we śnie lub ciosem w plecy! To niegodziwe. I nie jestem cyrkowcem - wycedził.

- I to nasz dom! - dodał jeden z chłopców.

- A to mój miecz - spokojnie odpowiedział wiedźmin.

Chwycił dwoma palcami koniec klingi, uniósł lekko, by przyjrzeć się rękojeści.

- Na pewno mój.

- Zgubiłeś go w oceanie!

- Tak, Peter. A ty oczywiście go znalazłeś i postanowiłeś mi zwrócić. Nie trzeba, zostaw sobie na pamiątkę uratowania mi życia. Nie wiedziałem, swoją drogą, że potrafisz tak głęboko nurkować.

Peter uśmiechnął się.

- To moi druhowie, trytony, wydobyli miecz.

- I wszystko jasne. Skoro tak, chodźcie gdzieś się umyć i odpocząć... Wiedźmin uśmiechnął się i położył mu dłoń na ramieniu. Peter zachnął się,

wznosząc miecz. - Starczy tego! Wiesz, po co tutaj przyszliśmy! Wszyscy wiecie!
- Nie! - odparł wiedźmin na tyle głośno, by zagłuszyć szmer za plecami. - Nie wiemy. Przyszlście znowu przelewać krew? A może chcesz mnie przeprosić za to, że mnie okłamałeś? Albo za zniszczenie armat? Za statek, co się właśnie dopala w zatoce?

- Armaty - syknął Peter. - A jakie było ich przeznaczenie? W jakim celu przyplłynął ten statek? Żądam sprawiedliwości! Żeby oddano, co mi się należy. Niech złodziej płaci!

Wskazał mieczem na Ahavela.

- I jeszcze - dodał ciszej - chcę odzyskać naszą mamę. Jest z wami?

- Na razie jest zajęta - uciał wiedźmin. - A co do sprawiedliwości... głupio o niej mówić, gdy jeden z nas grozi bronią.

Stefan demonstracyjnie rozłożył ręce, ukazując chłopakom puste dłonie.

- Nie bez powodu zaproponowałem: schowaj miecz do pochwy, chodźmy do środka, gdzie usiądziemy przy ognisku i porozmawiamy jak człowiek z człowiekiem.

Peter milczał, mierząc go zimnym, wrogim spojrzeniem. Słowa Stefana podziałały jednak ewidentnie na pozostałych chłopców, o czym świadczyły ich porozumiewawcze gesty i spojrzenia.

- Nie.

Peter ujął wygodniej miecz, krzywiąc usta w uśmiešku.

- Myślisz, że nie słyszałem, o czym gadaliście na statku? Wszyscy marzycie tylko o tym, żeby mnie zabić. Nawet ty, wiedźminie. Do tego cię wynajęli.

- Można pomarzyć?

Było to niczym ostatnia kropla. Peter wzbil się w powietrze i w jednej chwili znalazł się za plecami wiedźmina.

Kolnął go sztychem między łopatkami, chociaż ręce mu teraz drżały.

- Są tylko dwa wyjścia - wycedził. - Sąd albo...

- Albo krew - spokojnie sprecyzował wiedźmin.

- Tak! Albo krew. Chcę, by się wszystko odbyło uczciwie! Sprawiedliwie! Żeby oddano, co moje.

- A wiesz, że my także! - nie zdzierzył Teredo. - My też chcemy, żebyś oddał to... tych, których nam zabrałeś!

Jego słowa jakby przerwały tamę: „wojownicy” zaczęli mówić naraz, zadźwięczała stal, szczęknęły odwiedzione kurki pistoletów...

- Niczego nie ukradłem! - ze złością zawołał Peter. - Zapytajcie ich!

Zapytajcie!

- Ej, chłopcy - zawołał wiedźmin - czy to prawda?

Chłopcy spoglądali po sobie w rozterce. Dwaj starsi (zapewne Orzeł i Jaguar, o których mówiła Mojra), wymamrotali:

- W zasadzie prawda...

- My sami...

Pozostali kiwnęli głowami, spuszczać oczy.

Zapadła cisza. Słychać było tylko odległe krzyki ptactwa.

W końcu Roderigo Dwugłosey wyszeptał drżącym głosem:

- Dzieci! Moi chłopcy! Co było nie tak? Louis! Domingo!

Rzucił się do nich, zanim zdołano go powstrzymać. Przysiadł przed nimi w kukki, ostrożnie wziął za ręce, zaglądał w oczy z rozpaczliwą nadzieją.

- Przecież troszczyłem się o was! Dawałem wszystko, co najlepsze! Nie mogłem niczego zmienić, ale rodziców się nie wybiera...

Reszta słów uwięzła mu w gardle.

Orzeł i Jaguar patrzyli na niego z lękiem.

- Co za czort - rzekł cicho Teredo. - Co za...

- Nie sprzeciwiajcie się mu - szepnął Renni. - Lepiej ustępować we wszystkim, a potem... zobaczymy.

- Teraz wróćcie? - pytał Roderigo. - Obiecuję wam...

- My...

- Oczywiście, że wrócą!

Wszyscy obejrżeli się ze zdziwieniem. W wejściu do „domu” stała Mojra.

- Wrócą - powtórzyła, podchodząc do wiedźmina i Petera.

- Prawda, Peter?

- Nie wiem. Możliwe. Nie wiem. Dlaczego uciekłaś?! Dlaczego...

Zaciął się, patrząc na Orła i Jaguara.

- Wystarczy, Peter. Nawet najdłuższa zabawa musi się kiedyś skończyć. Pora przestać.

Ostrze powoli odsunęło się od pleców wiedźmina.

- Wystarczy? Tak zwyczajnie skończyć? Zabrać zabawki i wrócić do domu? Odpocząć. Według mnie to brzmi dobrze.

Usiadł na ziemi. Błada, martwa twarz bielą w ciemności.

- Jest tylko jeden problem. Nie mam dokąd wracać. Nawet nie pamiętam, jak wyglądały mój dom i twarze rodziców. Tam stoi starszy brat, który odebrał mi to wszystko. Który pół życia tchórzliwie ukrywał się i uciekał. Który wynajął

zabójców, by się ode mnie uwolnić. Teraz przypląnął tu z wami i wszyscy chronicie złodzieja! Chcecie mi odebrać przyjaciół? Bierzcie ich! Chcecie moich skarbów? Wydobędę ich jeszcze więcej! Ale - cicho dodał - najpierw odzyskam co moje. I lepiej, żeby nie stawał nikt między mną a moim bratem.

- Peter!...

Patrzył na nią dłuższą chwilę, jakby chciał na zawsze zapamiętać jej twarz. Potem pokręcił głową.

- Nie wiedziałem, że może tak być... Nie wiedziałem...

Odsunął Mojre i skoczył do Ahavela.

- A co z moim bratem? - krzyknęła za nim. - Z Luką, którego ukróciłeś? I wszystkimi, których...

Udał, że nie słyszy.

Wiedźmin delikatnie objął ją ramieniem, kręcąc głową.

- Dostyc tej gadaniny - rzekł Renni Wątróbka, wychodząc naprzód - i duchowych rozterek. Do rzeczy. Wiesz, kim jestem?

- Domyślam się - potwierdził Peter. - I co dalej?

- Dalej... Jestem Brendan o przyzwisku Ślepy, prawdziwy czerdiański sędzia, którego nikt nie pozbawił pełnomocnictw. Słyszałem twoje wołanie o sprawiedliwość. Jesteś gotów na prawdziwy sąd? Uznasz mój wyrok, jakikolwiek by był?

Wiedźmin spytał o coś Mojre półgłosem. Skinęła głową i wyszeptała odpowiedź. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, spojrzenia wszystkich skierowane były na Petera i starca.

- Nie - odparł Peter. - Nie uznaję. Ma pan odpowiedni przydomek, tyle że ta ślepotą nie wynika z uczciwości. Jest pan jak wszyscy tutaj: także kogoś stracił i chce się zemścić.

- Jakiego więc sądu żądasz?

- Bożego. Niech ordalia wykażą, kto z nas ma rację.

- Próba wody? Ognia?

- Tylko pojedynek! Ja i on.

Peter wskazał na Ahavela zapalającego fajkę.

- I żeby wszyscy, moi i wasi, przysięgli się nie wtrącać. Jeśli zwyciężę, odda mi moje wspomnienia. Wie jak.

- A jeśli przegrasz?

- Może mnie zabić. Renni wznosił ramionami i spojrzał na kapitana, który skinął głową. - Zgadza się? - spytał pozostałych Wątróbka. Roderigo było

wszystko jedno, stał ze „swoimi chłopcami”, wciąż zaglądając im w oczy. Krasnoludy zgodziły się niechętnie, Teredo i Makren z uśmiechem.

- Więc niech tak będzie - stwierdził sędzia. - Skoro się wszyscy zgadzają...

- Nie.

- O co chodzi, wiedźminie?

- Nie zgadzam się.

Ostrożnie odsunął dziewczynę i stanął między Peterem i jego bratem.

- Kategorycznie. A jeśli choć trochę pomyślicie o tym, co opowiadała nam Mojra, sami zrozumiecie dlaczego.

- Przysięgłeś mnie bronić - wtrącił Peter. - Pamiętasz?

- Nie po to, byś bezkarnie zabijał. Gdzie twój cień, Peterze? A dokładnie: gdzie jest cień, który zabrałeś Luce? Jak wszystkie poprzednie, obumarł, zgnił, zamieniając się w smrodliwe plamy tam na pokładzie „Brendana”. Obaj wiemy, że gdy zawnadniesz czyimś cieniem, na moment stajesz się znowu człowiekiem. Dawnym Peterem. Wtedy można cię zranić i dlatego skaleczyłeś się moją klingą. Potem, gdy cień umiera, znów jesteś niepokonany. Jak dzisiaj. Dlatego nic ci się nie stało podczas walki o „Brendana”. Po prostu nikt nie mógł cię zranić.

- I co z tego? Gdyby mój brat nie spalił...

- Wiem, Peter. Sam jednak pomyśl: tego, po co przyszedłeś, pragnie zwykły człowiek. Nie nadprzyrodzony duch, lecz ktoś z krwi i kości. Stań się nim. Weź cudzy cień i bądź równy temu, którego zwiesz swoim bratem.

Nieruchome oblicze Petera drgnęło i jakby na moment ożyło. Rysy twarzy wykrzywiły się, w oczach błyszczały ból i zdumienie.

- Przysięgałeś!...

Przestępował z nogi na nogę, uśmiezek zmienił się w bolesny grymas.

- Zresztą wszystko to głupota - rzekł, opanowawszy się w końcu. - Tak, głupota! Kto mi odda swój cień?

- Ja - odrzekł wiedźmin.

I zanim ktoś inny zdążył się odezwać, dołączyła doń Mojra:

- I ja.

- Nie! - krzyknął Peter.

- Roderigo też odda swój, prawda? - podjął wiedźmin. - Dla dobra chłopców? Tamten zadrzał i zamrugał. - Dla dobra chłopców? Tak, oczywiście. Co by nie było... Oczywiście! - Widzisz, Peter, jacy jesteśmy zgodni. Ty też się zgodzisz? Peter znowu się zaczął kołysać, a uśmiech stawał się wciąż szerszy, niemal rozcinając twarz na pół...

- Tak - oznajmił w końcu, mrugnawszy do Mojry. - Zgadzam się! To będzie całkiem zabawne. Na co czekacie? Do dzieła!

Wszystkim kierowała Mojra. Ahavel chwilami zwracał na coś uwagę, lecz generalnie stał z boku i kurzył z fajki. Peter demonstracyjnie nie wtrącał się, obserwując wszystko ze szczytu „baszty”.

Co jakiś czas Mojra zerkala na niego. Sprawiał teraz wrażenie samotnego i nieszczęśliwego, opuszczonego i zdradzonego przez wszystkich. Aż się chciało mu współczuć...

A jednak nie, powiedziała do siebie. Nie chciało się. Wspomniała o Luce i dziesiątkach innych chłopców. I o niziołku, którego widziała w jaskini za wodospadem. „Różne się zdarzają przygody, również niebezpieczne”. Miała nadzieję, że ta przygoda będzie dla Petera śmiertelnie niebezpieczna.

Pozostali chłopcy początkowo się boczyli, lecz uspokoili się, kiedy ujrzeli Marka. Rozprawiali o czymś między sobą, popatrując na Petera i wiedźmina.

Ten zdążył tymczasem zamienić parę słów z Wątróbką i Ahavelem, a teraz pomagał Mojrze. Reszta załogi znosiła świece z „domu” i ustawiała je w ogromnym kręgu pośrodku dziedzińca. Wszystkie śmieci zabrano i teraz Mojra z wiedźminem rysowali magiczne symbole.

- O czym rozmawialiście z kapitanem?

- Podziękowałem im, że wraz z sędzią powstrzymali załogę od... hm... pochopnych i nieprzemyślanych działań.

Stefan klepał się w plecy, rozgniatując krwiożerczego komara. Kiedy zapalili świece, zleciało się ich mnóstwo. Jak oszalałe wpadały do oczu i nosa, rzucały się w płomienie.

- Po skończonym rytuale trzeba trochę przeciągnąć sprawę. Potrzebuje tego zwłaszcza Ahavel. To będzie trudne, skoro nasz młody zuch pała pragnieniem, by zakończyć rzecz jak najszybciej.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Im szybciej, tym lepiej!

Przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Tak mocno życzysz mu śmierci? - I co w tym dziwnego? Wszyscy jej pragną! Dążyliście do tego i sprawiliście, że się zgodził.

Wiedźmin nie odpowiedział, skupiając się na wyjątkowo skomplikowanym symbolu.

Wreszcie wszystko było gotowe.

Stanęli wokół w parach: Peter naprzeciw wiedźmina, Roderigo naprzeciw Mojry.

Pozostali przyglądali się z daleka, chłopcy przemieszani z piratami.

Wiedźmin wyjaśnił pokrótce, co trzeba zrobić. Skinął na Mojrę i ta zaczęła śpiewnie odczytywać zaklęcie. Stefan i Roderigo powtarzali za nią. Peter milczał, blady i ponury.

Między nimi legły cienie jak martwe ciała. Mojra nie zauważyła, kiedy się to dokładnie zaczęło, ale odkąd zaczęła wygłaszać dziwne, obce słowa, cienie układały się równo i wyraźnie, jakby z każdym mgnieniem stawały się coraz bardziej realne i namacalne.

Doczytała do końca i poczuła się, jakby stała zanurzona po szyję w gęstej wodzie. Świat poza okręgiem przestał istnieć. Tu zaś było czworo ludzi i trzy przemieszane, splatające się cienie.

- Pozwolisz?

Wiedźmin wziął miecz Petera i w miarę dokładnie odciął jedną trzecią swego cienia. Machnął władczo ręką.

- Ogień!

Mojra pochyliła się i przypaliła miejsce nacięcia, czyli przesunęła płomień świecy w bruzdzie na ziemi, jaką zostawiło ostrze.

- Dalej!

Wiedźmin odciął trzecią część cienia Roderigo.

Mojra przypaliła i wyprostowała się, szykując się na ból albo coś jeszcze gorszego.

Wiedźmin zrobił to szybko, jednym ruchem. Potem wziął od niej świecę i przypalił.

Zabolało, lecz Mojra nie umiałaby powiedzieć, gdzie, nawet pod grozą śmierci.

- I jak, Peter?

Spojrzał na wiedźmina ciemnymi, ogromnymi oczami.

- Dziwnie - odpowiedział ochryple. - Inaczej, niż zwykle, ale to nic takiego. Nie spodziewajcie się zbyt wiele.

Wiedźmin skinął głową i dał znak Mojrze, by zakończyła rytuał. Przeczytała kluczową frazę... i zrozumiała, że znów może odetchnąć pełną piersią. Gęsta topiel zniknęła. Wraz z nią znikło coś jeszcze, czego nie była w stanie sobie uprzytomnić. Przypominało to dziurę po wyrwanym zębie. Po paru dniach przyzwyczajasz się do niej i nie jesteś całkiem pewien, jak było bez niej.

Peter podskakiwał, jakby przymierzał nowe buty. Podniósł jedną nogę, potem drugą.

- Czuję się innym człowiekiem - oznajmił.

Wiedźmin kiwnął głową.

- Masz ochotę coś zjeść? - zapytał. - Na parę minut przed pojedynkiem, by dojsć do siebie?

Peter wyciągnął rękę w milczeniu. Nieco się ociągając, Stefan oddał mu miecz.

Troje ludzi opuściło krąg, pozostawiając Petera. Patrzył wyzywająco na widzów, złożonywszy ręce na piersi.

- Sędzio?

- Tak, oczywiście.

Renni rozłożył ręce i nakazał gestem Ahavelowi wejść w krąg. Ten ruszył do przodu z fajką w zębach i klingą w pochwie.

Sędzia pomilczał chwilę, westchnął i machnął dłonią.

- Zaczynać!

Obchodzili się wkoło, nie spuszczać nawzajem z oka, z mieczami w pochwach. Aby utrzymać odległość, Peter poruszał się trochę szybciej od kapitana. Pozornie zdawało się, że walka będzie nierówna, lecz wiedźmin nie ludził się co do tego.

- I co, bracie - cicho zapytał Peter - często wspominałeś rodziców? Przez wszystkie te lata? I to bez związku ze mną. Może te wspomnienia nie są ci wcale potrzebne? Z jakiego powodu to wszystko?

- Z powodu brata - odparł Wielorybnik.

I zaatakował.

Szabla błysnęła w płomieniach świec i rozcięła na dwoje ćmę fruującą między walczącymi.

Peter uskokzył i klasnął w dłoń.

- No, bracie! To wszystko, na co cię stać? Zabijanie ciem?

Ahavel nie słuchał go. Robił wypad za wypadem, spychając Petera na skraj kręgu.

- Ach, bracie, to ci za...

Błysnął miecz wyciągnięty z pochwy.

- Po...

Ostrze skierowało się pozornie na prawicę Ahavela...

- Powiadam!

Uderzył płazem po lewym kolanie Ahavela. Kapitan wybił się z rytmu i Peter narzucił mu własny. Chłopak miał dość rozsądku, by nie parować uderzeń i

unikają ich, a zaraz potem atakować, osaczając przeciwnika.

Wiedzmin liczył minuty. Obawiał się, że Ahavel długo nie wytrzyma. A wtedy wszystko będzie na próżno, bez względu na zwycięzcę.

Peter krążył wokół kapitana, uderzając raz po raz. Dźgał, uderzał płazem, drażnił wroga, wszystko to z bezrozumną, nadludzką szybkością.

Kapitan nie nadążał z odparowywaniem i w końcu przeszedł do kontrataku. Peter znów się uchylił, lecz Ahavel zdołał zahaczyć go samym koniuszkiem ostrza. Z nacięcia na kurtce pociekła krew.

Peter zbladł jeszcze bardziej, ale też zaśmiał się. Jego ruchy stały się mamiąco płynne, jakby to był powolny taniec pod wodą.

I jak gdyby w zgodzie z prawidłami owego tańca, klinga chłopca dwukrotnie uderzyła po palcach kapitana. Szabla wypadła z ręki. Peter skoczył do przodu, grożąc błyszczącym ostrzem. Wielorybnik zmuszony był się cofnąć. Piraci jęknęli rozczarowani.

- Nazbyt szybko i łatwo - stwierdził Peter.

Nawet się nie zasapał, oczy mu błyszczały.

- Walczmy dalej! Zgadzasz się, bracie?

- A nie boisz się?

- Nie tak. „Nie boisz się, bracie?”. Powiedz tak, a oddam ci miecz.

- Mój brat zmarł w ładowni karaweli... Zaraz, jak ona się nazywała?... Nie pamiętasz. Podczas rytuału wszystko poszło na opak i on się zmienił w wampira. Istotę bez cienia, bez wieku, bez pamięci. W ciebie.

Ahavel wzruszył ramionami i zaczął ściągać rękawicę z prawicy.

- Sądzę, iż musisz najpierw dowieść, że jesteś nim. Wiesz cokolwiek z tego, co wiedzieliśmy tylko my dwaj? Pamiętasz coś wyjątkowego tylko dla nas?

Peter wciąż się uśmiechał, ale wargi mu drżały.

- Bajka - odparł niepewnie. - Była bajka. I biskopcy. W Novigradzie. W tamtą noc.

Potrząsnął głową.

- I była jeszcze potem gorączka krwotoczna, czerwona gorączka.

Powtarzał jakby wyuczone słowa, których znaczenia nie rozumiał.

Ahavel zawahał się chwilę, potem pokręcił głową.

- O nie, „bracie”, tego mogłeś się od kogoś dowiedzieć.

Zaciągnął się ostatni raz i wyjął fajkę z ust.

- Na statku było pełno ludzi. Nie przypominam sobie niczego na temat bajki ani biskopców.

Policzki Petera lekko poczerwieniały. Splunął Ahavelowi pod nogi.

- Kłamiesz! Wiesz, że kłamiesz! Bądź przeklęty!

Rzucił się nań, wymachując mieczem.

Tamten zdążył wytrząsnąć żar na drewnianą dłoń. Potem uskoczył, wymachując protezą, aż zajęła się ogniem.

Ahavel wyszczerzył się w uśmiechu i zaatakował płonąca prawicą. Peter uskoczył w bok z rozpaczliwym okrzykiem, niemal się potykając, lecz w ostatniej chwili odzyskując równowagę. Ahavel wydobył nóż zza pasa i zaatakował chłopca, robiąc pozorne wypadki to z prawej, to z lewej. Płomień rozjaśniał noc, ćmy trzepotały wokół, kilka padło z opalonymi skrzydełkami. Pachniało spalenizną i otwartym grobem.

Wiedźmin czekał.

Na moment tamci dwaj zwarli się. Ostrze noża zgrzytnęło o miecz, prawica musnęła i osmalila ucho Petera.

Potem kapitan zaryczał z bólu. Ogień ogarnął całą dłoń i przeniósł się na przegub. Odrzuciwszy nóż, Ahavel próbował oderwać protezę, ale było za późno. Zajął się właśnie rękaw kapitańskiego kaftana...

- Brendan! - krzyknął wiedźmin. - Niech mu pan pomoże!

Sam rzucił się w stronę Teredo, który otwarcie chciał się włączyć do walki. Nie było czasu na słowa, trzeba było polegać na celnym ciosie. „Wojownik” padł Stefanowi pod nogi, ten przeskoczył przez niego i rozejrzał się, czy nie ma innych chętnych.

Chętnych nie było.

Tymczasem Ahavel padł na kolana, usiłując dosięgnąć noża, by odciąć dymiące resztki protezy albo zrobić coś jeszcze bardziej szalonego.

Peter stał nad nim z mieczem w dłoni.

Słaniający się, zmartwiał chłopak zdawał się wpatrywać w nicość rozszerzonymi źrenicami. Potem zaczął krzyczeć, tocząc wokół dzikim wzrokiem.

- Nie! Nie! Nie!!!

Odrzucił miecz jak jadowitą żmiję.

Padł również na kolana i wyrwał nóż spod dłoni brata.

Stefan nie zdążyłby do nich dobiec, decydowały sekundy, więc po prostu skoczył. Pchnął ramieniem Ahavela, przetoczył się i chwycił mocno chłopaka od tyłu, by ten nawet nie zdołał drgnąć. Złapał za przegub dłoni z nożem i szepnął:

- Rzuć to, natychmiast! To już koniec... Peter jakby go nie słyszał. Zaciskał palce na trzonku, usiłując unieść ostrze ku własnej piersi.

Trzeba było wykręcić mu rękę, a kiedy chłopak upuścił nóż, przycisnąć go do ziemi. Cały czas próbował wywinąć się z uchwytu, krzycząc wciąż rozpaczliwie.

- Już dobrze, dobrze...

Stefan widział, jak krasnoludy podbiegły do Ahavela. Jeden przysiadł na lewym, drugi na prawym przedramieniu kapitana. Nadbiegł Renni z tasakiem. Wcisnął między zęby Wielorybnika trzonek noża, później wycelował i uderzył, odcinając protezę. Narzucił płaszcz na kikut, żeby zdusić ogień.

- Nie chcę! - wył spazmatycznie Peter. - Nie chcę!!!

Nagle zamilkł jak nożem uciął. Zemdlał.

Wiedźmin sprawdził mu puls. Wstał, otrzepując się.

Teraz zaczynało się to, co najtrudniejsze.

Stali półokręgiem, nie spuszczać zeń oczu. Jedni zdecydowani, inni ciągle niepewni.

- Mojro - rzekł wiedźmin zwykłym tonem - prawda, że w Oxenfurcie młodzi lekarze składają przysięgę Vanderbrecka: „Pomagać wszystkim potrzebującym”? Chyba jej nie przekreśliłem? To nie stój jak słup, tylko lecz i pomagaj. Masz swoich potrzebujących, jeden jest nieprzytomny, a drugi... tak samo. Zajmij się najpierw kapitanem, przynieś moją torbę z jaskini, zobaczymy co się przyda. Przydałoby się też coś przeciwbólowego. Wypytaj malców, na pewno lepiej od nas znają się na tutejszych ziołach. Rośnie tu gdzieś blisko płomienica, chłopaki? Skoczcie po nią na jednej nodze.

Chłopaki pobiegli ku wyjściu z „twierdzy” i zniknęli. Radzi byli uciec. Potrzebowali czasu, by ochłonać... Wszyscy potrzebowali czasu.

- Nie należy ich nigdzie przenosić - oznajmił wiedźmin - i w ogóle niepokoić. Jeden doznał szoku bólowego, drugi... w najlepszym razie emocjonalnego. Nie wiem, jak odbywa się do końca taki rytuał. Tym bardziej, że razem z Mojrą trochę go poprawiliśmy.

Wyglądził wąsy i spojrzął na piratów. Teredo już doszedł do siebie, siedział na ziemi i jęczał, trzymając się za głowę. Roderigo podtrzymywał go za ramię. Swoją drogą Dwugłosey wyglądał lepiej niż przed ukróceniem. Krasnoludy były nachmurzone, obok nich stał Makren z rękami założonymi na piersi. Wątróbka dokładnie przecierał ostrze tasaka kępką zerwanej trawy, ale nie spuszczał oka z wiedźmina.

- Nie będą mogli chodzić od razu - podjął Stefan. - Potrzebują parę dni... My

nie możemy tracić czasu. Hebel, dobierz sobie pomocnika i idźcie do zatoki sprawdzić, co zostało ze statku i czy łódki są całe. Jeśli cały spłonął, mamy mnóstwo roboty. Jesteś teraz najcenniejszym załogantem, bo bez ciebie się stąd nie wydostaniemy. Bądź więc uprzejmy nie nadebrać na skorpiona i nie jedz podejrzanych owoców... Co zresztą dotyczy wszystkich.

Mojra właśnie wróciła z „domu” z torbą wiedźmina i dwiema matami. Położyła je na ziemi i skinęła na krasnoludów, żeby pomogli jej przenieść ciała. Zwinięta kurtkę podłożyła pod głowę Ahavela, wciąż odwracając wzrok. Wiedźmin zwinął swój kaftan i rzucił go Mojrze, dziewczyna chwyciła i podsunęła pod głowę Petera. Potem zaczęła przetrząsać zawartość torby.

- Zrobione - stwierdził Stefan. - Teraz możemy zająć się spełnieniem najskrytszych marzeń.

Odszedł na bok i kiwnął na Renniego.

- Kto pierwszy?

- Co?

- Pozostała nam jedna niezalutwiona sprawa, dla której tutaj przybyliście. Jeśli mnie pamięć nie myli, twoi „rycerze” zamierzali zabić tego chłopaka. Możecie to teraz uczynić. Chociaż to trochę nieładnie, nie po rycersku. Zaczekajcie aż się ocknie. Zapewniam, że sam was będzie o to błagał.

Wiedźmin podrzucił czubkiem buta nóż, którego chciał użyć Peter.

- Gdybym go nie powstrzymał...

- Objaśnij to po krasnoludzku - rzekł pokaszując de Forbin. - Albo po ludzku.

- Przechytrzył nas - oświadczyła Mojra, mieszając jednocześnie maź znaną w torbie. - Owinął nas wszystkich wokół palca: mnie, was, kapitana, nawet Petera. Przekłety wiedźmin.

Stefan skłonił się jej.

- Do usług, panienko. Nie wiedziałem, czy mi się uda, ale to był jedyny sposób.

- Bądź przekłety! - nieoczekiwanie wysyczał Wielorybnik. Leżał z zamkniętymi oczami i oddychał ciężko, wciągając ze świstem powietrze. Wyrażnie oprzytomniał dopiero co. - Jedyny sposób, też coś!

- Jedyny sposób, by uratować chłopaka - rzekł Renni zmęczonym głosem.

- Jego, was, kapitana... Bez cienia Peter pokonałby każdego. Bez cienia i bez pamięci. Przeżyłby po prostu jeszcze jedną wesołą przygodę. A tak... zyskał nowy cień, a wraz z nim nasze wspomnienia. Było w tym oczywiście ryzyko, że

przejmie nie to, co trzeba i nie tak. Mogłem mieć tylko nadzieję, że jeden z nas zmusi go spojrzeć na wszystko ze swego punktu widzenia. Zobaczyć Wolnych Chłopaków oczami Mojry. Przeżyć to, co przeżywał Roderigo, utraciwszy potomków. Znaleźć się wraz ze mną na pokładzie „Królewskiej Fortuny”. Chłopcy lubią się bawić w wojnę i on też lubił. Przygody! Idę o zakład, że właśnie on był Kukulkiem, którego tak długo wszyscy szukali. Skąd by się wzięły te wszystkie skarby w „domu”?

- I wiedząc o tym, pozwoliłeś mu?...

Wiedźmin wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? Oto on, podejdźcie. Kto z was jest gotów wymierzyć karę? Kapitanie, ma pan wciąż naładowany pistolet. Za chwilę Mojra skończy namaszczać pański kikut. Niech pan strzela. Leży pan obok, więc na pewno nie chybi. Nie? To może pan, sędzio? De Forbin? Roderigo?

Stali wokół i patrzyli na niego: z nienawiścią, z szacunkiem, ze strachem.

- Dlaczego to wszystko robisz?

- Ponieważ - odparł wiedźmin - on nie pamiętał tego, co robił. I nie rozumiał tego. Moja praca to zabijanie potworów. On był faktycznie potworem: wesolym, niewinnym i bez serca. Dając mu cień wraz z naszymi wspomnieniami, zlikwidowałem potwora. Wy zaś, jeśli chcecie, możecie zabić chłopca. Skoro go zostawicie przy życiu - dodał - wiecie, co się stanie? Powiem wam: Peter przebudzi się w ciągu doby, wszystko sobie przypomni i zapragnie umrzeć. Ze wstydu i przerażenia tym, co zrobił. Sami widzieliście, jak chwycił za nóż. Jeśli nie uczynicie tego, po co tu przyplłynęliście...

Wzruszył ramionami.

- Będzie mu nielekkko, naprawdę ciężko. Dorastanie jest zawsze trudne i bolesne. Są rzeczy, z którymi jesteś zmuszony żyć całe życie. Zmagać się z nimi na co dzień lub się załamać. Nie będzie mógł więcej latać. Jestem pewien, że cień przylgnał do niego wystarczająco silnie. Naszej trójce - dorzucił, spoglądając na Mojrę i Roderigo - przyjdzie żyć bez niektórych wspomnień. Może to i lepiej.

Przejechał dłonią po лыsej głowie i znów wzruszył ramionami.

- Radźcie sobie z tym sami. Mojro, skończyłaś już z kapitanem? Można na słówko?

Podeszła, co rusz oglądając się na krąg i stojących przy nim mężczyzn.

- Masz swoje notatki? Pozwolisz, że do nich zajrzę?

Powoli przerzucał kartki, upewniając się, czy są wszystkie. Przysiadłszy po

drugiej stronie kręgu, przytknął papiery do płomienia świecy, patrząc, jak ogień pożera czarne litery, znaczki i strzałki.

Mojra stała za jego plecami. Wstrzymując oddech, nie spuszczała wzroku z Teredo, Wątróbki, Makrena i krasnoludów.

W powietrzu trzepotały motyle, wiele siadało na ciałach leżących w kręgu. Jeden wylądował na czole Petera, potem przeszedł na jego nos. Pylek ze skrzydełek osypywał się na pokraśniałe policzki, na zamknięte powieki. W tym momencie zaciśnięte wargi chłopca rozszerzył uśmiech.

De Forbin zaklął pod nosem, odwrócił się i poszedł do „domu”. Reszta ruszyła powoli za nim. Kapitan spoglądał za nimi, potem zamknął oczy i zasnął, równo oddychając.

- A gdyby jednak oni... - spytała Mojra drżącym głosem - pozwoliłbyś im na to?

Wiedźmin odwrócił się. Spojrzała mu w oczy i zaczerwieniła się.

- Idź - powiedział. - Zaraz przybiegną malcy, trzeba się o nich zatroszczyć. I o pozostałych. Najbliższe dni będą bardzo ciężkie.

- A ty?

- Na razie przypilnuję tych dwóch. Kiedy dojdą do siebie, potrzebna im będzie pomoc, zwłaszcza Peterowi.

Kiwnęła głową i poszła do „domu”.

Świece dopalały się, a niebo na wschodzie zabarwiło się na czerwono. Gdzieś w zaroślach kumkały żaby i rozśpiewało się ptactwo.

Wiedźmin rozsiadł się wygodniej i zaczął czekać na przebudzenie braci.

18.02. - 1.08.2012 Kijów

Przełożył Witold Jabłoński

Władimir Wasiliew

Barwy braterstwa

(cykl Wiedźmin z Wielkiego Kijowa) Wiatr wyl ponuro pod rdzawymi belkami bardzo starego mostu. Geralt otworzył oczy. Od dołu most przypominał zwieńczony kratownicami dach wielkiej fabrycznej hali, lecz brakowało podtrzymujących go ścian, a ponadto na dole, pośrodku, zamiast szeregu obrabiarek lub innych maszyn, szła szeroka, asfaltowa szosa, całkiem nieźle zachowana, doprowadzona jednak do takiego stanu, że trudno było nazwać ją autostradą. Szosa była równie stara jak most, być może nawet starsza.

Geralt zakaszlał starczo, siadając. Plecy miał całkiem zawilgocone, jak to przewidywał wieczorem. Za legowisko wiedźminowi posłużył stos brudnych szmat, których dawne przeznaczenie niełatwo było rozpoznać. Poduszkę zastąpił plecak z naszytymi pasami.

Muris siedział nieopodal na podobnej kupie szmat, chytrze mrużąc oczy.

- Dzień dobry - burknął Geralt. - Cholera by to wzięła! - dorzucił, nie zdzierżywszy.

- Najlepiej pański kaszel! - odparł pogodnie tamten.

Geralt wstał, z obrzydzeniem odkopując stos brudów i skierował się do niewysokiego, wyłożonego kafelkami nasypu, na którym opierał się pierwszy filar mostu. Znajdowały się tam, niemal pod samymi zardzewiałymi nośnymi kłodami, drzwiczki do pomieszczenia technicznego, gdzie były muszla klozetowa i umywalka z jako tako działającą kanalizacją. Teoretycznie można

było zanocować w owej komórce, lecz strasznie w niej śmierdziało, bo wszystko było stare, zardzewiałe, zetłale i zatęchłe, toteż wiedźmin postanowił zanocować na zewnątrz, na świeżym powietrzu, tym bardziej, że most doskonale zastępował dach na wypadek deszczu, a szmaty Murisa były wprawdzie brudne, lecz nie zawszone.

A co tam, nie pierwszyzna...

Gdy Geralt powrócił, Muris krzątał się przy ognisku, nalewając wodę z sześciolitrowej butli do pogiętego, zakopconego kociołka.

- Mam nadzieję, że nie będzie to śniadaniowa potrawka ze szczurów? - upewnił się sarkastycznie Geralt.

- Kasza - oznajmił flegmatycznie Muris. - Gryczana - dodał po chwili namysłu.

Geralt podszedł bliżej i zaczął sceptycznie obserwować towarzysza. Tenże napelnił kociołek mniej więcej w dwóch trzecich i sypał teraz krupy z brązowej papierowej torby ze schematycznie narysowanymi kłosami pszenicy. Nie wiadomo, jaki związek miała pszenica z gryką.

- Mam sól - oznajmił Muris, nie odwracając się - ale brak innych przypraw. Masz może jakieś?

- Zdaje się, że tak.

Geralt pogrzebał w plecaku i znalazł w bocznej kieszeni parę niewielkich torebek pieprzu.

- Trochę tego mało.

Muris lypnął okiem, poskrobał nieogolony podbródek w zadumie i zasugerował:

- To już lepiej będzie wsypać do miski.

- Słusznie - zgodził się Geralt i przelożył dwie torebeczki z plecaka do kieszeni dzinsów.

Muris tymczasem schował niewykorzystaną połowę kaszy do pamiętającej

lepsze czasy ciemnozielonej torby, którą Geralt na własny użytek nazwał „workiem”.

- Wiesz, co jest najważniejsze przy gotowaniu gryki? - spytał Muris niemal wesoło.

- Co?

- Nasypać, przykryć i nie ruszać. Pamiętaj, nigdy nie mieszać kaszy! Zrobi się kleik.

Przykrył precyzyjnie kociołek cienką metalową płytką rozmiarów okładki do płyty gramofonowej. Geralt postanowił trochę posurfować w sieci, gdyż nie miał co robić przez najbliższe czterdzieści minut. Nie chciało mu się wymieniać baterii w notebooku, toteż wrócił do kanciapy z kibelem i umywalką, wetknął przedłużacz do źródła energii przy wejściu z ledwo działającym przełącznikiem i wyszedł na zewnątrz. Przedłużacza starczyło, żeby usiąść za rogiem na łagodnym spadku, gdzie nie cuchnęło tak mocno. Sygnał z sieci był słabiutki, blokował go most, a długość przewodu nie pozwalała spod niego wyjść. Geralt męczył się dwadzieścia minut, nie mogąc niczego załadować, w końcu splunął i rozłączył się.

Gdy wrócił do ogniska, zastał tam nowych gości.

Dwa silne typy w skórzanych kurtkach z nitami i zatrzaskami. Jeden ścisnął w dłoniach pompkę od roweru, drugi gardło Murisa.

„Bajkerzy, czy co?” - pomyślał zdziwiony Geralt, nie wiedząc, co począć.

Był w prawdziwej rozterce. Oczywiście, intruzi nie wyglądali na bankierów z Kreszczatika, lecz ich skórzana odzież wyglądała na nową i na pewno nie taną. Tak samo gnomie glany. Geralt nosił też takie, dlatego znał ich cenę.

Muris był tym, na kogo wyglądał: bezdomnym, mieszkającym pod mostem. Komuś w skórze i glanach nie przyszłoby do głowy łapać za gardło takiego, choćby z oczywistej odrazy. Włóczęga nie miał napisane na czole, że czyścił co najmniej raz na dwa tygodnie swoje łachy w najbliższej pralni automatycznej,

zresztą od tego lachmany jeszcze się bardziej niszczyły.

- A oto nasz zachwalany wiedźmin - zauważył z satysfakcją drab z pompką.

Drugi nic nie mówił, tylko cały czas szczyrzył się drapieźnie i złowieszczo.

- Tak, jestem wiedźminem - potwierdził spokojnie. - Szukaliście mnie?

- Szukaliśmy, szukaliśmy - przytaknął uzbrojony. - Zbieraj się, pójdziesz z nami.

- Aha, już pędzę! - warknął Geralt. - Kasza się jeszcze nie uwarzyła.

Dwaj zabijacy mimowolnie zerknęli na kociołek nad ogniem.

- Jaka, do chuja, kasza? - wrzasnął wściekle ten, który trzymał Murisa.

- Gryczana - spokojnie sprecyzował Geralt. - Przestańcie wrzeszczeć, bo uszy puchną.

Usiadł u ogniska, starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, tak, aby kociołek znalazł się między nim a nieproszonymi gośćmi. Zdjął plecak z ramienia.

- Ej, ej! - Zdenerwował się uzbrojony. - Ręce! Trzymaj na widoku!

- Proszę bardzo!

Zademonstrował obie dłonie nad kociołkiem. Lewa była pusta, w prawej trzymał konserwę z tuszonką.

Muris zachrypiał słabiutko, mocno ściskany za gardło. Zabijacy odwrócili się na chwilę. Geralt pomyślał, że nie będzie lepszej okazji, lecz w tej samej chwili ktoś z mostu zaryczał:

- Ej, głupki, gdzie jesteście?

- Sam jesteś głupek, Gaston! - natychmiast odezwał się duszący Murisa.

Musiał chyba rozluźnić nieco chwyt, bo włóczęga wciągnął powietrze ze świstem. Drugi osilek nerwowo ściskał pompkę w łapach, jakby nie mógł się zdecydować, kogo zaatakować: Geralta, Murisa, czy tego, kto zaraz zejdzie na dół.

Po chwili pokazał się trzeci „bajker”. Ubrany był mniej więcej tak samo w

skórę i glany, lecz wyraźnie ustępował gabarytami kolegom. Przerastał za to obu rozmiarami mózgu. Geralt pojął to od razu, gdy zobaczył rozumny błysk w jego oczach.

- Tfu! - syknął, podchodząc. - Zostaw go, Tramp, na co ci ten włóczęga?

Nazwany Trampem pociągnął nosem i odparł z powątpiewaniem:

- No, nie wiem... a jak zacznie strzelać?

- Z czego? - spytał Gaston ironicznie. - Od kiedy bezdomni mają broń?

Muris faktycznie nie wyglądał zbyt wojowniczo. Zwłaszcza znów mocno pochwycony za gardło.

Tramp Wahał się chwilę, lecz w końcu puścił delikwenta, który momentalnie uskoczył i skrył się za plecami Geralta.

Gaston zwrócił się w stronę wiedźmina, przybierając zażenowany wyraz twarzy i rozkładając ręce, jakby ze skruchą za nieokrzesanie swych towarzyszy. Geralt uznał, że można się z nim dogadać bez strzelaniny i walki na noże, bez względu na to, co sprowadziło tych pseudobajkerów pod most, gdzie mieszkał Muris.

- Czy jest pan słynnym wiedźminem Geraltem? - upewnił się wystarczająco spokojnie i przyjaźnie, by mieć się przed nim na baczności.

- Zaraz tam, słynnym - burknął Geralt. - Komu w tym świecie potrzebny jest wiedźmin, oprócz tych, których zaatakował oszalały buldożer albo zdziczała ciężarówka?

- Bez fałszywej skromności - odparł Gaston. - O ile wiem, miał pan ostatnio sporo roboty, jak i pańscy koledzy.

Geralt nie odpowiedział. Gaston mówił prawdę i nie było sensu potwierdzać tego, co oczywiste. Chociaż, jeśli być całkowicie dokładnym, w ostatnim miesiącu Geralt nie miał roboty ani kasy. Jeśli jednak patrzeć globalnie, w Wielkim Kijowie wiedźmini mieli roboty pod dostatkiem.

- Polecono mi pana wynająć - oświadczył tamten i znacząco skłonił głowę w

stronę towarzyszy - oraz, oczywiście, przeprosić za zachowanie tych karków.

- Sam jesteś kark, Gaston! - wtrącił gniewnie Tramp.

- Zamknij się, Tramp, nie z tobą gadam! - osadził go przywódca ostro i bez wahania.

Nic dziwnego, że Tramp zaraz się zamknął, choć dyszał nasrożony. Gaston nic sobie z tego nie robił.

- Osoba, która uznała, że potrzebuje usług wiedźmina, wybrała konkretnie pana, po skonsultowaniu się ze znanym chyba panu łowcą maszyn, Volvo. Zarekomendował pana i mój boss przyjął kandydaturę. Znamy procedurę najmu, jak również fakt, że wiedźmini pracują wyłącznie za przedpłatą. Pan pozwoli z nami, zaprowadzimy pana do szefa na rozmowę i podpisanie kontraktu. Notabene, Volvo podpisał już umowę, on i jego drużyna potwierdzili udział w tym przedsięwzięciu.

„Ale ma gadkę! - ocenił Geralt. - Bez dwóch zdań! To nie prymityw Tramp ani koleżka z pompką, ale inny rodzaj potwora”.

- Pójdę z wami - oświadczył stanowczo - jak tylko zjem śniadanie z przyjacielem.

- Bez obaw, zje pan śniadanie w restauracji.

- Ale kiedy to będzie - odparł wiedźmin, wzdychając. - Mam teraz ochotę na żarcie. Dawno nie jadłem pachnącej dymem kaszy gryczanej z tuszonką. Współczuję, jeśli tego nie znacie!

Normalnie powiedziałby „jadłem”, a nie „jadłem”, lecz w grzecznych słowach „pan pozwoli” kryło się wiele, wiedźmin czuł to każdym włóknem swojej skóry, a tego rodzaju przeczucia zawodziły go cholernie rzadko.

Geralt zwrócił się do wystraszonego Murisa:

- I co z tą kaszą? Długo jeszcze?

- Myślę, że już gotowa - wychrypiał tamten i ostrożnie zbliżył się do ogniska. Chwycił improwizowaną pokrywę przez połą obszarpanej kurtki i zajrzał do

kociołka.

- Gotowa! - potwierdził. - Jeszcze chwilę można by poczekać, jeśli się da wytrzymać... ale i taka ujdzie.

Geralt bez wahania wydobyl nóż, który i tak cały czas miał pod ręką, otworzył puszkę tuszonki i podał Murisowi. Ten natychmiast wrzucił zawartość do kociołka i wymieszał wszystko wydobytą z wewnętrznej kieszeni cynową łyżką.

Gaston i jego zbiry cierpliwie czekali.

Geralt także wyjął łyżkę, składaną w odróżnieniu od należącej do Murisa. Kiedyś była częścią niezbędnika turystycznego, lecz wiedźmini dawno uznali, że widelec w podróży to przesadny luksus. Łyżka całkowicie wystarczy. Tym bardziej, że dołączony był do niej korkociąg.

Kasza okazała się smakowita, nie klejąca się, a do tego tuszonka Geralta nie była byle jaka, dobrej jakości, bez warstwy tłuszczu, którą każdy normalny człowiek usuwa. Wiedźmin dosypał pieprzu i zrobiło się jeszcze smaczniej. Jedli prosto z gara, dmuchając na gorące i mlaskając.

W ciągu kwadransa Geralt poczuł się najedzony, wiedział jednak, że Muris nie uspokoi się, dopóki nie wylże dna kociołka, nie zostawiając ani ziarenka szczurom czy ptakom. Siedział więc dalej, leniwie i powoli pojadając po pół łyżeczki.

„Bajkerzy” czekali.

W sumie wyglądało to dosyć dziwnie: zazwyczaj takie typy szybko zaczynają się wściekać i cała sprawa kończy się strzelaniną lub mordobiciem. Minęło pięć do siedmiu minut i Tramp nie wytrzymał:

- Długo jeszcze, łysy czorcie?

Geralt chrząknął. Tramp nie był bardziej kudłaty od niego, ogolony na zero. Miał jednak gęste kosmate brwi, wąsy i krótką, okalającą wargi bródkę.

„Chuj z nimi - pomyślał Geralt. - Pójdę. Ciekawe, czego chcą”.

Faktycznie przydałaby się mu jakaś robota. Po co nocować pod mostem, skoro można w hotelu? Dobrze byłoby uzupełnić amunicję. Geralt nie znalazł odpowiedniej w nielegalnych składach, pozostawał więc normalny zakup.

Wstał, wytarł łyżkę, złożył ją i wsunął do kieszonki plecaka. Nóż wcześniej wsadził pod kurtkę za pas.

- Bywaj, Muris - pożegnał się z bezdomnym. - Może tu jeszcze wrócę, ale raczej nieprędko.

Muris zamruczał coś, nie przestając przeżuwać. Cały czas zerkał ze strachem na „baj ker ów”.

- Nie bój się, nic ci nie zrobią.

Geralt poklepał go lekko po ramieniu, schylając się, po czym podszedł do Gastona i jego zbirów.

- Jedźmy.

Tramp i jego towarzysz natychmiast odwrócili się i ruszyli w stronę przechodzącej pod mostem autostrady. Gaston zaczekał chwilę i poszedł razem z Geraltem. Co najdziwniejsze, w całkowitym milczeniu. Geralt zaczął od niechcienia oglądać identyczne emblematy na plecach Trampa i drugiego „bajkera”: nietoperz z rozwiniętymi skrzydłami na bordowym polu oraz wymyślny, trudny do odszyfrowania gotycki napis. Tramp miał po lewej stronie obrazka, tuż nad nietoperzowym skrzydłem nacięcie w formie litery Z. Geralt zdołał zauważyć, że kurtkę Gastona zdobiło analogiczne godło.

Przeszli drogę w poprzek i zaczęli wspinać się ku drugiemu krańcowi mostu. Wyżej była lepsza i szersza droga, niż w dole, nocą nawet przejezdna, co wiedźmin zarejestrował przez sen.

Wkrótce minęli zakręt i jeszcze jeden. Geralt zrozumiał po paru minutach, że wysłaną po niego trójkę facetów można było nazywać „bajkerami” bez cudzysłowu. Na poboczu czekały dwa tricykle marki „Hetman” z przerobionymi na bajkerską modłę kierownicami, błyszczące chromem i stalą.

- Siadaj! - burknął Tramp, sadowiając się za kierownicą trójkołowca.

Za siodelkiem motocyklisty wbudowane było siedzenie przypominające tylne siedzenia w samochodach, przy czym wcale tamtym nie ustępowało.

Silniki zawyły i twarz owiał świeży poranny wietrzyk. Geralt dobrze wiedział, że nazywa się go flagowym.

Restauracja okazała się znacznie lepsza, niż się Geralt spodziewał. Być może ten lokal nie był otwarty dla zwykłych klientów, tylko na zamówienie. W każdym razie nie miał żadnego szyldu.

Siedzieli w misternie rzeźbionej drewnianej altanie za masywnym stołem, a wokół na pięćdziesiąt metrów rozciągał się strzyżony trawnik i niewielkie jeziorko z szemrzącą po skalce kaskadą. W wodzie trzepotał jeden kaczor, którego właściciel nazywał Jasza.

Właściciel był człowiekiem, lecz z lekką domieszką krwi orka. Według ludzkiej miary mógł być około pięćdziesiątki.

- Potrzebuję wiedźmina - oznajmił spokojnie. - W ogóle dla tego przedsięwzięcia potrzebne jest dużo rzeczy. Dwa ambulanse, straż pożarna, mnóstwo ruchomych punktów z piwem i szaszłykami, scena z aparaturą, muzycy, dziewczynki potrząsające cyckami... wreszcie szambowóz. Teraz administracja zażądała jeszcze wiedźmina na kontrakcie ze wszystkimi bajerami.

Właściciel sięgnął po zapotniały kieliszek i wychylił go bez toastu. Potem niespiesznie zakąsił kawałkiem wędliny i marynowanym grzybkiem.

- Gwarantuję spanie na zapleczu, trzy posiłki dziennie i darmowe piwo. Dostaniesz dwanaście tysięcy, cztery za każdy dzień. Musisz cały czas przebywać na terytorium i reagować na sygnał administracji, gdy się odezwie. Dostaniesz telefon komórkowy, który zwrócisz po wszystkim. Jeśli coś się pojawi na twojej działce, rozwalisz to, chociaż podczas wielu festiwali nic takiego się nie zdarzyło. To wszystko.

Geralt pomilczał chwilę dla przyzwoitości.

- Właściwie to, delikatnie mówiąc, robota nie dla mnie - rzekł cicho. - Wiedźmini pracują tylko za stuprocentową przedpłatę.

- Wiem o tym - potaknął szef. - Pieniądze zostaną przelane zaraz po podpisaniu kontraktu.

Znowu pomilczał dla przyzwoitości.

- Zgódź się, wiedźminie, ta robótka to nie kopanie leżącego. Trzy dni pokręcisz się po terenie, popijesz piwka i to wszystko. W zasadzie nawet cztery: zaczniesz od południa do wieczora, potem dwie pełne doby i w ostatni dzień do południa. Pieniądze potrzebne są do życia, a tutaj nie trzeba specjalnie się narobić, wystarczy być.

Po długim paśmie niepowodzeń finansowych i noclegu pod mostem, ostatni argument okazał się bardzo przekonujący. Geralt musiał przyznać się sam przed sobą, że nie ma nic przeciwko napiciu się darmowego piwa zagryzanego szaszłykiem w hardrockowym zgiełku festynu bajkerów. Tym bardziej, że jeszcze mu za to zapłacą. W głębi duszy nie tylko się zgodził, lecz uznał, że Arzamas 16 dowie się o wszystkim post factum. Nie należy marnować szansy płatnego urlopu.

Ostatecznie, to całkiem wygodny wariant dla wiedźmińskiego bractwa: Arzamas nie musi opłacać urlopu, przeciwnie, zgarnie zwyczajowo pięćdziesiąt procent jego honorarium.

- Dobrze - powiedział Geralt właścicielowi - ale najpierw przeczytam umowę.

- Naturalnie - zgodził się restaurator. - Przynieście kontrakt! - zawołał.

Tricykl podjechał do szlabanu, który oddzielał festyn od reszty świata. Na niewielkim wyasfaltowanym placu stłoczyło się około dwudziestu motocykli wraz z użytkownikami, a za szlabanem były ich już setki. W obowiązującym bajkerskim dizajnie, nowoczesnie sportowym, trafiały się także prawdziwe zabytki techniki, niektóre trochę śmieszne, a także przyciągające wzrok

najświeższe modele z Wielkiego Tokio oraz twory własnej roboty, a nawet przestarzałe dwukołowce. Większość stanowiły trzy - i czterokołowe monstra, brakowało jeszcze tylko samochodów. Wszyscy rozmieścili się jak popadło pod drzewami i po chwili bajkerzy zaczęli krążyć między namiotami, krzewami i punktami sprzedaży, witając się i bratając ze śmiechem w stylu kijowskich uliczników. Panował ogłuszający zgiełk.

Geralt skrzywił się. Rzadko zdarzało mu się bywać w tak hałaśliwym towarzystwie.

Tramp w tym momencie rozgonił kolejkę przed szlabanem, przepchnął się do pasiastej zapory, która się natychmiast podniosła. Przybyli.

- Złaź, mądralo, jesteśmy na miejscu! - burknął drab.

Odczuwał wyraźnie silną antypatię do wiedźmina i nie zamierzał tego ukrywać.

Geralt złapał plecak i zeskoczył na drogę. Gaston, zostawiwszy swój motocykl pod opieką trzeciego zbira o ksywie Kudłaty, chwycił wiedźmina za rękaw.

- Chodźmy cię zameldować.

Przed głównym budynkiem kłębił się jeszcze gęstszy tłum, niż przed wjazdem, lecz Gaston zręcznie lawirował pomiędzy ludźmi, jak ryba w gęstej wodzie.

- Cześć, Munia. Rejestracja służbowa - oświadczył wykończonemu, ewidentnie niewyspanemu tłuściochowi w dżinsach.

Grubas podniósł wzrok znad papierów, zerknął na Gastona, a potem długo i uważnie na Geralta.

- Kto to? Inspektor rybny? - mruknął.

- Nie. Wiedźmin.

- Wiedźmin? - powtórzył przeciągle Munia, chrząkając ze zrozumieniem. - Gdzie go dołączyć?

- Do łowców maszyn, jak sądzę - zasugerował Gaston.

- Słusznie! - przytaknął grubas, sięgając dłonią do pudełka z kartkami. - W dwieście czterdziestce jest jeszcze jedno wolne łóżko.

Zapisał coś na karteczce i wrzucił z powrotem do pudełka.

„Co za prymityw - pomyślał Geralt, przyglądając się protokołowi. - Nie mogli stworzyć podręcznej sieci i podłączyć notebooka, zamiast ślęczyć nad papierami?”

- Masz.

Munia wyłożył na blat prymitywną komórkę do wysyłania sygnałów.

- Nie wylączyć, nie zgubić, odpowiadać natychmiast na dzwonek. Bateria wystarczy na trzy dni. Klucz do pokoju ma współlokator, sam go znajdziesz.

- Jak się nazywa mój współlokator? - spytał z westchnieniem Geralt, myśląc o tysiącach ludzi przybyłych na imprezę.

- Schodek Rozwalka, kobold - odburknął Munia. - Gastonie, pokaż mu, gdzie może coś zjeść i niech sobie idzie.

- Schodek Rozwalka? - powtórzył z radosnym zaskoczeniem wiedźmin.

- A bo co? Masz coś do niego? - zainteresował się grubas.

- Tak jakby - odparł Geralt wymijająco. - Znajomek.

- No widzisz, jak cię dobrze ulokowałem!

Munia wyszczerzył się zadowolony, a chwilę później przeniósł uwagę na kolejnego interesanta, tym razem zwykłego bajkera, co przyjechał się zabawić.

- Idziemy - rzekł Gaston, znów ciągnąc Geralta za rękaw.

- Pokażę ci służbową stolówkę.

Organizatorzy jadali za zrujnowanym parterowym budynkiem obok gigantycznej kuchni polowej. Dochodził z niej znajomy zapach kaszy gryczanej i tuszonki. Geralt mimo woli uśmiechnął się szeroko. Na dodatek przy jednym ze stołów zasiadała niemal cała kompania Volvo: elfy Iland i Wachmistrz, gnomy karpackie Buskermolen i Roelowskiemon, orkoogr Michaj, pólogr Zeppelin,

niziołki Mina i Bielutki, czarny ork Wasia z dziwną ksywką „Seks”, której co prawda nikt nie używał od czterdziestu lat, ork TipTop, według Geralta najlepszy dowódca w Wielkim Kijowie, połowicznik Trynia i trzech ludzi, z których wiedźmin rozpoznał tylko jednego, szofera Rudzika.

Schodek Rozwalka był także tutaj, siedział między gnomami i Wasią, lyskając czerwoną gębą. Wasia nalewał mu akurat kolejny kieliszek miejscowego samogonu, który cała kompania Volvo popijała z ochotą.

- Jasny gwint! - zawołał siłacz Zeppelin. - Patrzcie, kto przyszedł!

Michaj w milczeniu wydobyl skądś graniastą szklanke (kompania Volvo nie uznawała naczyń jednorazowych) i postawił na wolnej części stołu. Niziołki i ludzie ścieśnili się trochę, ustępując miejsca Geraltowi.

- Geralt! - wykrzyknął Schodek, najstarszy weteran obok elfów.

- Witajcie, łowcy! - Geralt skłonił się wszystkim, ponieważ ściskanie dłoni zajęłoby zbyt dużo czasu. - Ulokowali nas razem, Schodku!

- No i dobrze - odparł tamten. - Siadaj, masz nalane!

Geralt usiadł. Trącił się z innymi kieliszkiem, wypił i zakąsił kawałkiem wędzonki.

- Zachodzę go, słuchajcie, z lewej burty - kontynuował dyżurną bajkę Buskermolen - a tam, nie do wiary, otwór strzelnicy i dwunastomilimetrowa lufa!

- A... a... a...! - przyjacielsko ocenili słuchacze.

Geralt znów się uśmiechnął. W tej drużynie mało co zmieniał się z czasem. Najczęściej wymieniali się krótko żyjący ludzie. Przywiązanie do tradycji i zwyczajów okazywało się niezmiennie. Zjawienie się Geralta nikim nie wstrząsnęło, choć na pewno byli mu radzi. Rozstania i powroty, nawet jeśli przedzielone latami czy dziesięcioleciami, uważane były za oczywistość. Buskermolen i Roelowskiemon, wyruszający często na długie wędrówki, mogli po powrocie do rezydencji Volvo podjąć rozmowę z Ilandem albo Wachmistrzem w tym samym miejscu, w którym przerwali ją rok, dwa albo dziesięć lat temu.

Rozstania i powroty traktowali jako normalną część życia i tym właśnie różnili się od krótko żyjących ludzi.

Siedzący obok Rudzik ziewał co chwila.

- Siódmy raz już to opowiada - szepnął konfidencyjnie, wylapawszy spojrzenie Geralta - a ci mu nawet nie przerywają!

- Wynajęli całą waszą bandę, żeby trzy dni żarła szaszłyki i żłopała samogon? - spytał Geralt z lekkim zdziwieniem.

Zasady zasadami, ale utrzymywać taką zgraję, a do tego wypłacić żold, to spory wydatek. Tym bardziej, że szef festiwalu wspominał także o strażakach, lekarzach, muzykach, a nawet czyścicielach szamba, zaliczonych do personelu. Z drugiej strony motocyklistów zjechało się co najmniej pięć tysięcy i każdy zapłacił wpisowe...

Geralt spróbował rozliczyć w myśli przychody i rozchody, lecz szybko wymiękł, słusznie uznając, że cudza kasa nie jest jego problemem.

- Wynajęli nas w jakimś celu - zauważył siedzący po drugiej stronie niziołek Mina, saper. - Pewnie znowu będziemy łapać zdziczałe motocykle. Przywrócenie do grupy bajkerów, braterstwo z dwukołowcami i cały ten ich rytuał. Co roku to samo. Pierwszy raz widzę tu jednak wiedźmina, wybaczone, Geralcie.

- Szef mówił, że tak życzyła sobie w tym roku administracja. Wiedźmin jest teraz wymagany na równi ze strażakami i czyścicielami. Mam nadzieję, że szambowóz okaże się potrzebniejszy.

- Właściwie można się było tego spodziewać - stwierdził drugi niziołek o przydomku Bielutki, także saper. - W zeszłym roku pięciu uczestników zginęło na polowaniu. Oczywiście przez własną głupotę. Ciężarówka okazała się jednak także... niezwykła.

- Masz rację! - rzekł z ożywieniem Rudzik. - Zatrudnili wiedźmina z powodu tamtego wypadku! Gdyby mieli wówczas wiedźmina, może by nikt nie zginął.

„Tak... - pomyślał lekko stroskany Geralt - widzę, że tutaj wypocznie! Popiję

piwka, podjem szaszłyków... Zresztą - dodał w myślach po chwili - zawsze tak jest. Obiecują łatwą robotę, a w końcu natrafiasz na całą górę problemów...”.

- Daj klucz, Schodku. Zaniosę swoje rzeczy.

Kobold rzucił na stół przedpotopowy podwójny klucz na zardzewiałym łańcuszku i Geralt na krótko oddalił się do ich kwatery. Zostawił w pokoju plecak i poczynił starania, by zabezpieczyć wejście przed nieproszonymi gośćmi. Nigdy nie zawadzi coś takiego w miejscu pełnym obcych.

Długo siedzieli tego wieczoru przy samogonie i piwie z szaszłykami. Piwo i zakąska były na własny rachunek, ściślej na rachunek kompanii Volvo, bo Geralt miał pustkę w kieszeniach, a w tej guszy nie było gdzie podjąć pieniędzy za otrzymany kwit. Nikt nie skąpił, gdyż wcześniej zdarzało się, że Geralt karmił i poił cały oddział, a czasem Volvo wyręczała Arzamas 16 w trudnych chwilach. Organizatorzy fundowali tylko kaszę gryczaną z tuszonką na obiad i ryż z tym samym na kolację. Pierwsze z tych dań jadł Geralt rankiem, drugie wczorajszego wieczoru, wybrał zatem szaszłyki.

Tymczasem festyn szedł swoją drogą, piwo lało się strumieniami, nie zapomniano także o czymś mocniejszym, muzycy na zapiaszczonej estradzie grali ostry metal, uczestnicy przemieszczali się chaotycznie od jednego do drugiego nalewaka, pieszo lub na ryczących motocyklach, przy czym oklaskiwano te najbardziej hałaśliwe. Niektórzy próbowali zaczepiać Geralta, ale bez powodzenia, tym bardziej, że trzeźwiejsi koledzy ich wstrzymywali, a wiedźmin wołał unikać konfliktów, obeszło się więc bez kłopotów. Ogólnie rzecz ujmując, bez względu na pozorną brutalność uczestników, impreza zorganizowana była tak dobrze, że Geralt zdziwił się parokrotnie. Schodek Rozwółka tylko pochrząkiwał w odpowiedzi. Za drugim razem Buskermolen zauważył jakby od niechcienia, że połowa obecnych skrywa broń po kieszeniach i za złe słowo można dostać kulkę w brzuch, trzeba się więc pilnować. Geralt przemyślał to i przestał się dziwić, ale starał się mieć zawsze pod ręką pistolet,

zwłaszcza gdy patrolował obóz.

Zajęło mu to czterdzieści minut. Wśród tłumu motocyklistów prędko wyłowił kwiat miejscowego klanu: ich symbolem był nietoperz. Czasem trafiały się inne, pojedyncze godła. Widocznie motocykliści nie mieli zwyczaju jeździć na cudze festyny większymi grupami, a może byli to goście specjalni, czort ich wiedział. Wkrótce Geralt zauważył nielicznych bajkerów z innego klanu stojących wokół jednej z nalewarek, pod latarnią, na skraju placu z estradą.

Było ich trzech, a na plecach mieli godło nie widziane wcześniej przez wiedźmina. Stylizowany wizerunek kruka na srebrnym polu. Na upartego można też było odczytać dewizę, wypisaną jak należy gotyckimi literami, lecz Geraltowi nie chciało się męczyć wzroku. Zwłaszcza, że w tym momencie ogarnęło go złe przeczucie.

- A oto i wiedźmin z gębą jak koparka.

Dziwne, lecz głos nie dobiegł z miejsca, gdzie stali tamci trzej, lecz od stołu pod najbliższą płachtą. Nie docierało tam światło latami, było całkiem ciemno i zdawało się, że jest tam pusto.

Po chwili spod daszku wyszedł Tramp ze swym kolegą oksywie Kudłaty, zbiry Gastona. Ci sami, którzy go tu przywieźli.

- Marzy mi się zobaczyć cię w akcji, wiedźminie - rzekł drwiąco Tramp.

- Możesz pomarzyć - odparł Geralt, wzruszając ramionami. - Nikt ci nie broni.

Tramp się nabzdyczył.

- Chyba nie rozumiem...

- Bo jesteś tępakiem - oznajmił wiedźmin. - To chyba dla ciebie nic nowego.

Pod daszkiem rozległy się śmiechy.

Tramp zacisnął dłonie w pięści i zrobił krok do przodu.

- A teraz - podjął spokojnie Geralt - pójdiesz dalej pić piwo, czy co tam w siebie wlewacie, bo jesteśmy na festynie, a ja tu pracuję.

- Tramp! - zachrypiał cicho Kudłaty, wskazując palcem na trzech obcych, którzy nie patrzyli teraz na scenę z rockersami, lecz uważnie obserwowali wiedźmina i Trampa.

Tramp zmełł w ustach przekleństwo i wrócił szybko za stół. Jego druh zniknął wraz z nim w półmroku.

Trzech gości w milczeniu przypatrywało się wiedźminowi, potem jak jeden mąż zwrócili swój wzrok na grający zespół. Złe przeczucie zniknęło. Wiedźmin odetchnął z ulgą i uznał, że dosyć tego szwendania się.

Wrócił do stołu dla łowców maszyn i siedział z nimi dość długo.

Wieczór zakończył się na tym, że Geralt nie bez trudu oderwał się od pewnej zgrabnej, podpitej młódki i poszedł spać. Schodek Rozwalka od dawna już chrapał. Wiedźmin rzucił się w ubraniu na pryczę i od razu zasnął.

Nocą ktoś dwa razy uchylał drzwi do ich domku, nie przestępując progu. Geralt rejestrował ten fakt, nie budząc się.

Zbudziłby się natychmiast w razie przekroczenia progu. A tak, tylko to zapamiętał.

Spełniły się wszystkie jego najgorsze przeczucia. Co prawda, nie jak się obawiał, na polowaniu następnego dnia ani wieczorem, kiedy łowcy maszyn z kolumną przewodników wrócili do obozu, pohukując radośnie i wiodąc w pętach dziesiątkę schwytej dziczy. Polowanie poszło całkiem gładko, z nielicznymi uszczerbkami, jak dwa rozbite pickupy, jeden zniszczony rozrusznik, pięć stłuczek i jeden niegroźny upadek z motocykla do rowu. Mieli dobry sprzęt...

Wszystko zaczęło się po obiedzie trzeciego, ostatniego dnia festynu, gdy wszyscy planowali rozjechać się następnego dnia, kończąc imprezowanie. Geralt popijał samotnie piwo za stołem Volvo, myśląc o tym, że będzie wolny nim minie następna doba. Z każdą minutą rosła nadzieja wiedźmina, że festiwal obejdzie się bez wypadków, bez konieczności jego interwencji.

Już w to praktycznie uwierzył i rozluźnił się. Kiedy jednak udał się patrolować obóz, zobaczył kilka aut policyjnych w głównej alei, a potem pasiastą, czerwono-białą taśmę rozpiętą wokół jednego z namiotów.

W kieszeni pierwszy raz zabrzączał wydany mu na początku telefon. Brzęknął i zamilkł.

Geralt zamarł.

- To ja dzwoniłem, wiedźminie - usłyszał cichy głos za plecami.

Geralt odwrócił się i zobaczył Gastona.

- Chodź, jesteś tam potrzebny.

Zapieczętowanego namiotu pilnowało czterech umundurowanych gliniarzy, ale nie widać było oficera.

Geralt poszedł w milczeniu za Gastonem do głównego budynku. Znajdowali się tam funkcjonariusze, trzech śledczych, prokurator z asystentem i oczywiście szef festiwalu ze swoimi pomocnikami.

Kiedy właściciel odesłał ruchem ręki Gastona i wiedźmin został sam przed całym tym towarzystwem, prokurator spytał ponuro:

- Jesteście pewni, że powinniśmy we wszystko go wtajemniczyć?

- Bardziej niż pewni - odparł jeden ze śledczych, najmłodszy z wyglądu.

- W zasadzie nie powinniśmy dopuszczać do śledztwa osób postronnych - zaburczał prokurator, po czym zwrócił się z pytaniem do asystenta: - Co ty na to?

- Panie prokuratorze, osoby postronne mogą występować w charakterze konsultantów i należy to do pańskiej kompetencji. Ponadto, wiedźmin został wynajęty na festyn w charakterze, hm, wiedźmina i jeśli podejrzewamy, iż zabójstwa dokonała maszyna, to jest jego działka.

„Zabójstwo! - pomyślał ponuro Geralt. - No, świetnie!”.

- Udział maszyny trzeba jeszcze udowodnić - wycedził dobitnie prokurator.

- Jestem tego absolutnie pewien - wtrącił młodszy śledczy.

- No cóż - zakonkludował gderliwie prokurator - uznajcie, że mnie przekonałście. Zanotuj, że dopuszczenie wiedźmina jest nieodzowne dla śledztwa.

Ostatnie zdanie skierowane było do asystenta.

Tymczasem młody śledczy zwrócił się do wiedźmina:

- Witaj, GERALCIE! Nazywam się Szekter Orno, jestem technikiem oddziału śledczego policji w Pikowcu.

„Technik! - zauważył w myślach Geralt. - Nie byle kto, widać, że chłopak z głową na karku”.

- Wątpię, by mnie pan pamiętał, lecz miałem parokrotnie przyjemność przyglądać się pańskiej pracy. Jestem pewien, że tym razem też może nam pan naprawdę pomóc.

- Dosyć tych wstępów - odrzekł oschle wiedźmin. - Przejdźmy do rzeczy.

Śledczy, wyglądający na najstarszego z całej trójki, spojrział na wiedźmina z prawdziwym szacunkiem.

- Około półtorej godziny temu jeden z gości festynu został znaleziony martwy we własnym namiocie. Ktoś albo coś rozcięło ściankę namiotu, dostało się do środka i poderżnęło mu gardło. Namiot jednoosobowy, czterościankowy, wysokości około jednego metra, rozmiaru metr osiemdziesiąt na półtora. Uważam, że mordu dokonała maszyna, nie żywy człowiek. Wyjaśnić, dlaczego?

- Koniecznie.

- Wokół namiotu znajdowały się cztery rejestratory wideo, dwa naprzeciwko wejścia, dwa po bokach. Kamery nie zarejestrowały żadnych odwiedzin w środku namiotu ani nawet w jego pobliżu. W sąsiednich namiotach panował ruch, lecz do interesującego nas nikt się nie zbliżał. Rozpruta została tylna ścianka, gdzie nie sięgał zapis wideo. Teoretycznie mechanizm niewielkich rozmiarów mógł podkraść się do namiotu tak, by nie zarejestrowały tego kamery. Nawet połowicznik albo niziołek znalazłby się w kadrze. Mechanizm

mógł całkowicie oszukać kamery, jeżeli o nich wiedział.

- Rejestratory wideo? - wypytywał nachmurzony Geralt. - Na festynie bajkerów? Zabity był ważną osobą, czy po prostu miał manię prześladowczą?

- Szybko wychwytuje pan to, co istotne, Geralcie. Zabitym był Technik z Humania. Dla nikogo nie było tajemnicą, że lubił gnać na motocyklu i blisko był z humańskimi bajkerami, zwłaszcza z klanem Homa. Nie sądzę jednak, by znany był każdemu z widzenia. Dla większości był jednym z wielu bajkerów, nie Technikiem...

Wiedźmin zerknął z ukosa na szefa festiwalu. To właśnie był Horn, głowa klanu bajkerów, a do tego jeszcze potężny biznesmen. Cały obóz należał do niego, do ostatniej sztachety w płocie. A także okoliczne lasy na trasie między Pikowcem a Kijowem i Odessą.

- Wywieźli już zabitego? - zainteresował się Geralt.

- Tak. A czemu pan pyta?

- Chciałbym obejrzeć rany.

- Mamy zdjęcia. Jeśli trzeba, jest też zapis wideo. Chce pan zobaczyć?

- Tak - potwierdził Geralt. - A potem, jeśli pozwolicie, chciałbym obejrzeć namiot i podejście do niego.

- Proszę tutaj. - Technik Szekter zaprosił go gestem do stołu, na którym stał notebook. - Najpierw foty czy wideo?

- Najpierw fotki - zdecydował Geralt, siadając za stołem. - A w ogóle, jakie tam były konkretnie kamery?

Z fotografiami i materiałami wideo Geralt męczył się pół godziny i pierwsze podejrzenia pojawiły się już przy pobieżnym przejrzeniu. Chwilami dochodziło do niego zza niedomkniętych drzwi jak złościł się starszy śledczy: „Co on może o tym wiedzieć? Może jeszcze zacznie pouczać mnie, jak prowadzić śledztwo?!” i jak uspokajał go młodszy: „Proszę mi wierzyć, panie majorze, on naprawdę zna się na maszynach!”.

Gdy Geralt uznał, że wycisnął ze zdjęć i zapisów wszystko, co się dało, wstał i wyszedł z gabinetu, w którym zostawili go samego. Cała śledcza i prokuratorska banda pojadła i popijała w sąsiedniej salce.

- Mogę obejrzeć namiot? - zapytał cicho Geralt.

- Zaprowadź go! - warknął major do technika Szektera.

Ten zerwał się, ocierając twarz ręcznikiem, nie banalną papierową serwetką, i wyszedł zza stołu.

- Chodźmy! - powiedział.

Nikt się do niego nie przyłączył, co wcale nie zdziwiło wiedźmina.

O wydarzeniu wiedzieli już wszyscy uczestnicy festynu. Mało kto się chyba jednak domyślał, w jaki sposób został zabity jeden z nich. Horn nie ogłosił jeszcze zakończenia festiwalu, twardo blokując prawdziwe informacje i plotki. Jednakże sam fakt, że na miejsce zbrodni wybrał się śledczy w towarzystwie wiedźmina, mógł dawać do myślenia. Najbardziej przemyślni zaczęli pakować rzeczy, chociaż nie zwijali jeszcze namiotów.

Oględziny miejsca zdarzenia potwierdziły podejrzenia Geralta.

Namiot stał pośrodku niewielkiej polanki, pod pojedynczym, rozłożystym dębem. Pozostałe drzewa rosły w odległości siedmiu, ośmiu metrów. Geralt zajrzał do środka, nie spodziewając się zobaczyć niczego interesującego i uważnie obejrzał rozcięcie.

- Rozcięte z zewnątrz - stwierdził nie odstępujący wiedźmina na krok młody śledczy.

- Tak wygląda - zgodził się Geralt i zaczął obchodzić namiot dookoła, oglądając uważnie ziemię pokrytą cienką warstwą żółtkłego listowia. Geralt usuwał liście na bok czubkiem buta.

- Aha - rzekł na koniec.

Szekter, dyżurujący policjanci i gapie z okolicznych namiotów nadstawili uszu.

- Co? - zapytał z ciekawością technik.

- To - wyjaśnił Geralt, wyjmując nóż.

Przykucnął i zaczął ryć ziemię ostrzem, raz, drugi, trzeci, a potem wyciągnął z jamki coś podłużnego, z długimi wąsami, znikającymi pod gruntem.

- To chyba nie trufla - mruknął z ironią.

Szekter kucnął obok, oglądając z wielkim zainteresowaniem znalezisko.

- Dziwne, że nie znaleźliśmy tego przy pierwszym przeszukaniu! - rzekł z lekka zmieszany.

- Nie znaleźliście, bo nie szukaliście - burknął Geralt.

- Sprawdziliśmy całą łąkę wykrywaczem metalu! Na czterdzieści metrów wokół tego miejsca!

Geralt postukał czubkiem noża „truflę” na swej dłoni.

- Nie ma w tym ani grama metalu. Sama ceramika i plastik. Przewody to w istocie światłowody. Pokopcie wokół namiotu, a znajdziecie jeszcze trzy, może nawet pięć takich, połączonych światłowodami w obwód zamknięty.

Szekter odwrócił się i dał znak dwóm policjantom.

- Tylko dokładnie! - ryknął na nich. - Inaczej major głowy wam pourywa!

Dwaj gliniarze zaczęli ostrożnie wydobywać światłowody spod ziemi.

- Co to takiego, GERALCIE? Pierwszy raz widzę takie urządzenie, słowo honoru!

Szekter wykazywał gorącą ciekawość, charakterystyczną dla wszystkich nowicjuszy w danym zawodzie.

- Tłumik sygnałów „Anty groza”. Żaden mechanizm nie przejdzie nad tymi światłowodami: ogłuchnie, straci orientację, nastąpi zwarcie i przepalenie izolacji, i tak dalej.

Geralt mówił specjalnie cicho, żeby usłyszał go tylko technik.

- Zabity rzeczywiście zabezpieczył się przed nieproszonymi gośćmi. Nie znaleźliście wokół namiotu jakichś zepsutych mechanizmów, namierzonych

przez światłowody?

- Nie - zaprzeczył śledczy. - Kompletnie nic!

- Nawet maleńkich? Mniejszych od tego grzybka? - dopytywał się Geralt, podrzucając znalezisko na dłoni.

- Nawet maleńkich. Ktoś jednak mógł je odnaleźć przed naszym przyjazdem. Znaleźć i zabrać. Trzeba będzie popytać...

- To nie takie proste, techniku - przerwał mu Geralt. - Kiedy światłowody unieruchamiają metalowe urządzenie, zostaje dodatkowo naładowane. Przy dotknięciu tak kopie, że strach! Gwarantowana utrata przytomności.

- Jasny gwint! - odparł przejęty śledczy. - Trzeba sprawdzić, czy ktoś ostatnio nie zemdlął w pobliżu. Natychmiast!

Już zwracał się w stronę dwóch pozostałych funkcjonariuszy, lecz Geralt go powstrzymał.

- Nie spiesz się, techniku. Jeśli zabójczy mechanizm był też ceramiczny, można spokojnie go ruszać. Problem w czym innym: powinny go zauważyć kamery, tymczasem nie wychwyciły niczego, żywego ani mechanicznego. Twoja teoria o przybliżeniu się wyłącznie od strony drzewa, jest, delikatnie mówiąc, bezpodstawna. Nawet gdyby zręcznie ominął pień, zauważyłaby go najbliższa kamera, choćby nie wiem jak byłby filigranowy. Nic nie podeszło do namiotu po ziemi, to fakt.

- Po ziemi? - powtórzył zdeorientowany technik. - W jakim sensie?

- W dosłownym - odpowiedział spokojnie Geralt i zadarł głowę, by popatrzeć na wspaniałą koronę dębu.

Technik uczynił to samo.

- To znaczy... chce pan powiedzieć...

- Organizatorzy mają pewnie pilę łańcuchową - zauważył rozsądnie wiedźmin - ale nie pozwolą ściąć drzewa. Na pewno są pod specjalną ochroną.

- Tak, tak - potwierdził zafrasowany technik. - Wszystkie kompleksy leśne i

parkowe są pod nadzorem władz miejskich.

- Włazimy - szepnął Geralt.

Podskoczył, chwycił za najbliższą gałąź i podciągnął się. W jego wykonaniu wyglądało to tak, że po prostu podskoczył i zniknął między gałęziami.

Technik Szekter zaklął pod nosem i niechętnie podążył za nim znacznie mniej zgrabnie, szamocząc się i nieumiejętnie szurając podszwami po pniu. Gdy jednak stanął na najniższym grubym konarze, poszło mu łatwiej, gdyż po wyżej rosnących gałęziach można było wspinąć się jak po drabinie. Szybko znalazł się na wysokości dobrych pięciu metrów. Namiot siniał w dole, częściowo przesłonięty listowiem.

- Oto jest - powiedział cicho Geralt gdzieś z góry.

Szekter natychmiast podniósł głowę. Wiedźmin, przyglądnąwszy do pnia, oglądał coś między liśćmi na gałęzi tuż nad głową technika. Szekter także się przyjrzał i od razu wypatrzył coś podwieszono pod gałęzią, co w pierwszej chwili skojarzyło mu się z byczymi jądrami, choć nie potrafiłby wyjaśnić, skąd wzięło się podobne porównanie.

- Jesteś zdziwiony, techniku? - zagadał cicho wiedźmin.

- To coś strzela cieniutką nicią i podciąga się na niej. Wspięło się na koronę dębu i podczepiło na odpowiedniej gałęzi, na tej samej nici opuściło się do namiotu, w sam środek pierścienia systemu ochronnego, dlatego pozostało w pełni sprawne. "Anty groza" działa na dwa metry w kierunkach wertykalnych. Rozpruło ściankę namiotu, zabiło uczestnika, podciągnęło z powrotem na gałąź i czekało na dalsze polecenia z bazy. Potem wysiadła mu bateria, bo tymczasem odkryto zwłoki, zrobiło się zamieszanie i sterujący urządzeniem postanowili nie wydawać poleceń na próżno.

- Ale dlaczego? To dowód przeciwko nim!

- Chyba obawiali się, że ich sygnał wychwycą i zapiszą pozostałe bazy. Ktoś mógł też zauważyć ruch w gałęziach. W policji nie siedzą sami idioci, jak się

ogólnie uważa. W koronie drzewa pozostała nieruchoma, niewidoczna gruszka. Kto by ją zauważył, nie wiedząc, w czym rzecz?

- Jasny gwint! - rzekł technik, zwieszając głowę.

Popatrzył zamysłony na namiot i znowu na wiedźmina.

- I co teraz zrobimy?

- Wiadomo, co - parsknął tamten. - Jeśli doładuje się bateria modułu, po jakimś czasie sam zacznie szukać nadajnika. Wtedy go wyśledzicie!

- Ale czy moduł podłączy się akurat do tej bazy? - wyraził wątpliwość Szekter. - Może jest inny sposób na doładowanie?

- Oczywiście, że jest!

- I zna go pan? - upewnił się technik.

- Owszem, znam. Zaraz odetnę to gównno, a ty łap. Postaraj się nie upuścić.

Wiedźmin wyciągnął dłoń z nożem i zaczął ciąć gałąź w miejscu podwieszenia nici. Nietrudno było zgadnąć, że cięcie delikatnej ceramicznej nici zwykłym wiedźmińskim ostrzem niczego by nie dało.

Gałąź poddała się po dziesięciu minutach, ułamała się z trzaskiem i poleciała w dół, zawadzając o inne. Technik złapał ją wolną ręką, starając się nie dotykać modułu, choć mechanizm miał rozładowaną baterię. Całkiem dobrze pamiętał zdjęcia poderzniętego gardła Technika z Humania.

Geralt zszedł w dół pnia zręcznie jak wiewiórka, wyminął Szektera i zeskoczył na ziemię.

- Rzucaj, złapię to - polecił.

Technik z czystym sercem rozprostował palce. Moduł poleciał na dach namiotu ciągnąc za sobą gałąź.

Wiedźmin, w odróżnieniu od technika, nie bał się chwytać zabójczej maszynki gołymi rękami.

Moduł ładował się dwadzieścia minut, potem mignął ledwie zauważalną diodą i przeszedł w stan oczekiwania.

- Ożył? - władczy głosem upewnił się major.

- Powiedzmy tak: z martwoty przeszedł w uśpienie - wyjaśnił wiedźmin jak potrafił.

- Długo będzie tak spać?

- Nie wiem. To zależy od zaprogramowania. Zwykle każdy moduł powinien raz na dobę połączyć się z bazą, by otrzymać nowe instrukcje albo i nie, ale połączenie jest konieczne. Teoretycznie ten konkretnie moduł powinien otrzymać polecenie większego doładowania, skoro był całkiem wyczerpany. Radzę uważnie go obserwować, panie majorze.

Starszy śledczy zwrócił się do technika Szektera.

- Przyjechali już twoi mózgowcy?

- Zaraz będą, panie majorze! - bystro zameldował tamten.

- A co z tym dalej robić? Czekać, aż się doładuje?

Szekter zerknął błagalnie na Geralta.

- Proponuję, by się dalej ładował. Za niecałą godzinę znów zdechnie połowicznie.

- Rozumiem. Skonfiskuję ładowarkę i oddam ją, kiedy nie będzie potrzebna - rzekł oficer tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Mam nadzieję - zgodził się Geralt cierpliwie.

- Możesz iść, wezwiemy cię, jeśli będziesz potrzebny.

Geralt wyszedł z uczuciem ulgi. Nie miał najmniejszej ochoty być zanadto wmieszany w tę sprawę. Najchętniej dosiedziałby spokojnie do jutrzejszego południa i wyjechał z czystym sumieniem. Wątpił jednak w taki dar losu, w tej kwestii Geralt był wyjątkowym sceptykiem.

Przy wyjściu dopadł go Horn.

- Zaczekaj, wiedźminie!

Geralt zatrzymał się i zawrócił.

Szef podszedł blisko, barczysty, masywny, muskularny. Jak zwykle odziany

w skórę i w glany. Na plecach miał bez wątpienia niewidoczne w tej chwili godło klanu: nietoperza z rozpostartymi skrzydłami obwiedzonego gotyckim napisem. Na pierwszy rzut oka żadna figura, jeden z wielu bajkerów. Tak jak Technik z Humania zresztą.

- Kto to zrobił według ciebie? - cicho zapytał Horn.

- Bojowy moduł operacyjny „Hajdamak 7” - odparł oschle wiedźmin. - Według mojej wiedzy model bardzo funkcjonalny i niebezpieczny.

Horn skrzywił się szpetnie.

- Nie o to chodzi. Kto się tym posługuje?

- A skąd mam wiedzieć? - odparł Geralt, wzruszając ramionami. - Szukajcie tych, którym śmierć Technika z Humania była na rękę albo komu zależało, by tak wysoko postawiony osobnik zginął akurat na waszym festynie.

Po tym jak zadrżały mięśnie na szczękach Homa, Geralt zorientował się, że druga sugestia była bliższa prawdy od pierwszej. Myślał, że tamten będzie dalej go wypytywał, lecz tylko wycedził ponuro:

- Nie gadaj o tym z nikim. Jesteś w pracy. Rozumiesz?

- Jak najbardziej - potwierdził, wzruszając znów ramionami. - Czytałem kontrakt uważnie. Tajemnica służbowa gwarantowana.

Horn kiwnął głową i wrócił do sztabu. Geralt poszedł przez boisko piłkarskie, którego połowę zajmowała pusta na razie estrada, a po drugiej szwendały się grupki bajkerów w różnym stadium upicia. Za stolami przy nalewarkach też było pełno, chociaż według obserwacji wiedźmina w pierwszych dwóch dniach było ich więcej.

Próbowali go zaczepić przy pierwszym stole.

- Ej, chłopie! Co tak łazisz? Gadaj!

- Przepraszam - odparł smutno wiedźmin. - Jestem w pracy.

- No dobra, siadaj, wypijemy, pogawędzimy. Polej, Riaba!

- W pracy nie piję - odparł Geralt i poszedł dalej.

- Osioł - usłyszał za plecami. Nie zareagował ani nie przyspieszył kroku, po prostu szedł dalej, gdzie zamierzał. Za budynkiem kuchnia połowa buchała dymem i parą. Personel spożywał kolejne śniadanie. Bez wątplenia znów coś z tuszonką. Sądząc po zapachu, tym razem była to kasza perłowa. Za stołem Volvo siedziało tylko trzech członków grupy: gnomy Buskermolen i Roelowskiemon, a także zagończyk półogr Zeppelin.

- Cześć, Geralt - powitali go chórem.

Wiedźmin uściskał kolejno ich dłonie.

- Wasi są znów przy wolieryze? - zapytał.

- No tak! I co jeszcze? - odezwał się Zeppelin. - Zagończyk nie ma tam nic do roboty, ale pozostali owszem.

- Zwłaszcza saperzy - mruknął Geralt.

- Wyobraź sobie, że oni razem z Wasią odpowiadają za całość woliery! Tak naprawdę nasza czwórka potrzebna jest na polowaniu.

- Czwartym jest Michaj? - sprecyzował Geralt, wymownie się rozglądając.

- Aha - przytaknął Zeppelin. - Od samego przyjazdu ugania się za jakąś babką. Może dziś ją dopadnie.

- Rozumiem - rzekł Geralt i usiadł za stołem.

- Co za kipisz? - zainteresował się Buskermolen niby od niechcienia.

Geralt westchnął skruszony.

- Wybacz, Bus, szef kazał mi trzymać język za zębami.

- Jasne - odparł tamten. - Nie masz za co przeproszać.

„Przynajmniej z nimi nie ma żadnych problemów - pomyślał z ulgą Geralt. - Ciekawe, dlaczego najmniejsze na tym świecie problemy są z tymi, którzy choć trochę wyznają się na maszynach. Ciekawe, dlaczego?”

- Lepiej ty mi powiedz - zaczął Geralt, zły na siebie, że nie wytrzymał i jednak zapytał - czy klan Homa ma wrogów?

- Jasne! - potwierdził gnom. - Każdy klan bajkerów ma wrogów i przyjaciół.

„Gacki” Horna są w ostatnich latach na noże z „Krukami” z Czernichowa. Poza tym z nikim specjalnie nie walczą.

- Te trzy zuchy z krukiem na plecach?

- No tak! Pokazywałem ci ich wczoraj na polowaniu, długo leżeli przed naszym samochodem. Bałem się, że zepsują nam całe lowy.

- Wasz parowóz tak huczy, że nic nie słyszałem przez całą drogę. Domyślałem się tylko, że coś mówileś, skoro otwierałeś usta. Zresztą, mówiąc szczerze, ciężko dojrzeć twoją otwartą gębę w gęstwinie brody.

Buskermolen chrząknął i pogładził bujny, rudy zarost.

- A dlaczego Horn wpuszcza ich na festyn? - zaciekawił się Geralt. - Skończyłby się problem...

- Niepojęte! - odparł gnom. - Festiwale są otwarte dla wszystkich, nieważne czy jesteś „Gackiem”, czy „Krukiem”, czy czort wie kim jeszcze. Takie prawo. Jest także drugie: żadnych bójek na festynie z nożami i strzelaniną. Wszystkie porachunki zostają za szlabanem. Nikt nikogo nie zmusza, by się bratał z wrogiem, może omijać go szerokim łukiem, ale trzymają się żelaznej zasady, żeby nie było rozróbek. Dlatego są tak poruszeni. Wszyscy plotą jakoby „Kruki” kogoś w nocy dopadły, ale nie wiedzą niczego konkretnego. Policjanci kręcą się od rana po terenie, szybko przyjechali i wywieźli jednego z uczestników, a namiot został opieczętowany i wystawiono przy nim straż. Sam rozumiesz, ludzie się niepokoją.

- To znaczy - podjął Geralt w zadumie - że „Kruk” byłoby na rękę, gdyby „Gacki” zaliczyły na festynie jakąś ogromną wpadkę? Do tego kryminalną?

- Jeszcze jak! Tylko jednak w tym przypadku, jeśli nie padnie na nich cień podejrzeń. Gdyby dowiedziono, że maczali w tym palce, minus dla nich, nie dla festiwalu „Gacków”. Bardzo duży minus. Liczne klany przyjeżdżają na wrogie festiwale, ponieważ bajkerów bez przydziału jest znacznie więcej. W

sumie wojna klanów jest walką o pozyskanie sympatii neutralnych. Wszyscy jednak wiedzą doskonale, że brojenie na festiwalu może ich słono kosztować. Dlatego trzymają się zasad. Tak to wygląda, wiedźminie... Nalej, Roel, bo w gardle mi zaschło od tego wykładu.

- Prawda - mruknął drugi gnom. - Zasułałeś gadkę, aż mi szczęka opadła. Na początku trzech słów nie umiał wydusić, a teraz istny potok...

- Daj spokój - odparł Buskermolen bez gniewu, trącając kulakiem w bok kolegę.

Nic nowego nie zaszło przez około pół godziny, gadali więc i popijali. Potem przyszedł zasepiony Michaj, wychylił duszkiem setkę samogonu, siadł na boku i nalał sobie następną.

- A jednak jej nie dopadł - skostatował cicho Zeppelin, wzdychając ze współczuciem.

Bus i Roel starannie skryli wymowne uśmiechy w gęstwie zarostu.

Gnomy zamówiły później szaszłyki, także dla Geralta, ponieważ wcześniej ominął go obiad.

Wiedźmin praktycznie uporał się ze swoją porcją, gdy zjawił się umundurowany policjant. W zasadzie nie robił niczego szczególnego, przechadzał się po alejce, obserwując namioty i budynki oraz snujących się wokół uczestników festynu. Jeśli jednak przyjrzeć się uważniej, blokował całą przestrzeń na zachód od stołu.

Geralt spojrział w przeciwnym kierunku i zobaczył drugiego policjanta, patrolującego dróżkę wiodącą na środek obozu.

„Chyba się zaczęło” - stwierdził, przeżuując cierpliwie ostatni kawałek mięsa.

Nie mulił się. W tej chwili zadzwoniła służbowa komórka.

- Słucham - powiedział wiedźmin.

Telefonował szef.

- Gerałcie, to pan?

- Tak - potwierdził, zdziwiony, że Horn zwraca się tym razem do niego na „pan”.

- Przyjdź pan do sztabu - nakazał szef.

- Idę.

Geralt rozłączył się i wstał.

Domyślał się, że moduł zaczął szukanie bazy. Inaczej, do czego byłby potrzebny im wiedźmin?

- A ty dokąd? - zainteresował się prostodusznie Zeppelin.

- Wzywają mnie - rzekł Geralt, wzdychając. - Niech ich cholera! Myślałem, że sobie odpocznę...

W gabinecie szefa siedzieli śledczy, niezwykle pobladły technik Szekter, prokurator z asystentem, sam Horn i jak się wyjaśniło po zamknięciu drzwi, dwóch pozostałych, rosłych i silnych mundurowych. Stali po obu stronach wejścia jak wartownicy.

Geralt zerknął na nich przez ramię, potem pytająco na szefa.

- Wiedźminie Gerałcie! - przemówił, wbrew oczekiwaniu nie Horn, lecz starszy śledczy. - Jak pan sądzi, dlaczego go wezwaliśmy?

- Sądzę - odpowiedział spokojnie Geralt - że moduł zaczął szukanie bazy.

- Całkiem słusznie - przytaknął śledczy. - Co więcej, już znalazł bazę. Wie pan gdzie?

- Nie.

Śledczy przeszył Gerałta ponurym wzrokiem. Pozostali także, tylko Szekter nie wyglądał ponuro, bardziej na zmieszanego.

Drugi śledczy nieoczekiwanie wydobyl spod stołu podniszczony plecak Gerałta i wyłożył na blat.

- Zna pan ten przedmiot? - upewniał się starszy śledczy.

- Tak, panie majorze - odparł bez wahania Geralt. - Znam. Funkcjonariusze

ewidentnie oczekiwali dalszych wyjaśnień, ale wiedźmin postanowił odpowiadać tylko na konkretne pytania.

- I co to takiego? - z lekka rozdrażnionym tonem sprecyzował śledczy po dłuższej chwili.

- Mój podręczny śmietnik. Przepraszam, plecak.

Geralt zachował spokój, mając po temu powody.

- Dobrze - rzekł major, nie doczekawszy się drobiazgowych wyjaśnień ani nerwowych pytań. - Widzę, że każde słowo trzeba z pana wyciągać kleszczami. Powtarzam. Moduł rzeczywiście odnalazł nadajnik. Wie pan gdzie?

- Zapewne w dwieście czterdziestym pokoju, gdzie mieszkam razem ze Schodkiem Rozwałką - zasugerował Geralt. - A przede wszystkim w moim plecaku. Inaczej, po co ten cały cyrk?

- Zgadł pan! - potwierdził major, kiwając skwapliwie głową. - Pański spokój po prostu poraża. Nie wygląda pan na idiotę, Geralcie. Skierować śledztwo na właściwy trop i tak głupio się zdradzić, to nie trzyma się kupy. Niech pan powie od razu, co wie. Niezależnie od mego przeczucia, jest pan w tej chwili głównym podejrzanym. Radzę powiedzieć wszystko.

Geralt nadal pozostał spokojny.

- Panie majorze, niestety, nie wiem więcej od was - odpowiedział - a nawet mniej. Nie mam pojęcia, skąd wziął się nadajnik w moim plecaku. Jest jednak prosty sposób, aby wyjaśnić, skąd się tam wziął.

- Jaki sposób? - zapytał śledczy z uwagą.

- Trzeba pójść do pokoju dwieście czterdzieści. Kto mnie odprowadzi?

Wszyscy chcieli z nim iść, włącznie z prokuratorem.

Geralt nachmurzył się.

- Panie majorze, ten mój śmietnik wynosiliście z domku z taką sama paradą? To znaczy całą delegacją razem z mundurowymi, na oczach wszystkich?

- Uważa nas pan za dyletantów? - prychnął śledczy. - Cały czas siedział pan

w pobliżu swego domku i miał go w polu widzenia. Coś pan zauważył?

- Prawdę mówiąc - przyznał szczerze Geralt - niczego nie zauważyłem, ale niespecjalnie się przyglądałem. No dobrze. Niech on - dodał, wskazując na technika Szektera - pójdzie do mnie, zabierze nagranie wideo i wróci tutaj. Myślę, że zobaczymy ciekawe kadry!

- Podłączył pan rejestrację wideo w swoim pokoju? - rzekł major, unosząc brwi ze zdziwienia.

- Niech pan sobie wyobrazi - potwierdził z uśmiechem wiedźmin.

- Uważa się pan za ważną osobę, czy to mania prześladowcza? - spytał złośliwie śledczy i zaraz dodał: - Żartuję. Kolejny raz mnie pan zdumiewa, Geraltcie. Tym razem pozytywnie. Orno! - zwrócił się do podwładnego.

- Tak jest, panie majorze! - odpowiedział technik.

- Weź kogoś ze swoich i jeszcze Zawadzkiego. Bez hałasu i rzucania się w oczy. Zrozumiano?

- Tak jest, panie majorze!

- Proszę wyjaśnić technikowi, gdzie jest ukryta kamera - nakazał śledczy Geraltowi i zmęczony odchylił się na oparcie fotela.

Wiedźmin wyjaśnił i Szekter wyszedł z gabinetu.

- Dopóki się tym zajmują - rzekł major, przyglądając się uważnie Geraltowi, ale bez uprzedniego napięcia - może powiesz mi, z jakiego powodu ustawiłeś u siebie rejestrator, wiedźminie?

- Zawsze go nastawiam, kiedy nocuję w gęsto zamieszkałych miejscach - odparł z prostotą Geralt i dodał, wzdychając:

- To bardzo kuszące zwalić swoje ciemne sprawy na wstrętnego wiedźmina, którego zazwyczaj nie lubią, a nawet wprost nienawidzą. Rejestrator jest w takiej sytuacji bardzo przydatny.

Major pokiwał głową i westchnął przeciągle.

- Tak... Jeśli nawet przesadzasz, to tylko trochę...

Geralt milczał chwilę, potem na wszelki wypadek zapytał:

- Sądząc z tego, że znów jesteśmy na „ty”, przestałem być głównym podejrzanym?

- Nie wychodź przed szereg, wiedźminie - burknął major, wyciągając krótkofalówkę. - Desna, tu Sokół, odbiór!

- Tu Desna - odezwała się radiostacja.

- Jak tam karasie?

- Siedzą i piją.

- A okonie?

- Okonie grają w piłkę srakami - zameldował Desna.

Asystent prokuratora śmiał się w kulak, a jego przełożony zarżał na całe gardło. Dopiero po chwili dotarło do wiedźmina, że miały to być dwa słowa „z rakami” i też się roześmiał.

- Idioci! W piłkę gra się nogami! - warknął major do krótkofalówki i odłożył ją na bok. - Co za osioł wymyślił ten szyfr, Chyła?

Drugi śledczy skulił ramiona ze skruchą.

- Ja wymyśliłem. I co w nim złego? Karasie, okonie, raki...

- Sraki! - dorzucił major z nieskrywanym sarkazmem. - Dobrze, do diabła z tym.

- Niezła konspiracja - wtrącił Geralt, kiwając głową.

- Jest, jaka jest - syknął major. - Słuchaj, a jak się domyśliłeś, że to paskudztwo nie podpełzło do namiotu, tylko opuściło się z drzewa? Nietradycyjne podejście, by nie rzec mocniej.

- Czyta pan książki? - odpowiedział pytaniem Geralt.

- W sensie? - nasrożył się śledczy.

- W najprostszym. Jest cały cykl opowiadań o detektywie z Wielkiego Londynu. Często posługiwał się prostą zasadą: odrzucić wszystko, co niemożliwe, a zostanie to, co się naprawdę zdarzyło. Nie dosłownie, tylko

domyślnie. Bardzo dobra zasada według mnie.

- Hm, tak... - mruknął major z powątpiewaniem.

- To nie „Kruki” - odezwał się niespodziewanie szef festiwalu.

Wszyscy odruchowo zwrócili się ku niemu. Horn siedział wsparty z lekka o blat. Miał spuszczonego wzrok, jakby coś ciekawego działo się między jego łokciami.

- Podeszli do mnie - podjął Horn. - Wierzę im.

- Wierzysz, nie wierzysz, zawsze sprawdzaj - odpowiedział major przysłowiem. - Siadaj, wiedźminie, na co czekasz. Przy tamtym stoliku podłączymy notebook, jak tylko wróci Orno.

Geralt posłusznie usiadł przy stoliku w rogu pokoju.

Minęło dziesięć minut męczącego oczekiwania, aż wreszcie niejaka Róża zameldowała przez radiostację, że Pirożek powraca. Parę minut później do gabinetu wchodził się technik „złota rączka” i dumnie wyłożył na stół przed nosem majora wiedźmiński rejestrator, sądząc po wyglądzie, zdjęty delikatnie, nie zaś wyrwany ze ściany, jak się w duchu obawiał Geralt.

Minął jeszcze kwadrans zanim podłączyli wideokamerę do notebooka, odtworzyli zapis i odnaleźli właściwy fragment. Wokół stolika zgromadzili się wszyscy uczestniczący w śledztwie, oprócz policjantów przy drzwiach i siedzącego z boku Geralta. Nie widział obrazu, gdyż monitor zasłonił asystent prokuratora.

- Ósma szesnaście - oznajmił technik Szekter. - Ósma szesnaście, panie majorze!

- Widzę, nie jestem ślepy - mruknął tamten.

- A to sukinsyn! - wycedził Horn takim tonem, że poruszył nawet Geralta. Ten, którego wódz „Gacków” miał przed oczami, nie powinien się mu więcej pokazywać.

- Tak! - krzyknął major, klaskając dźwięcznie w dłonie. - Panie Horn,

zrobimy tak: niech pan pośle kogoś, żeby po cichu wyśledził, gdzie się tamten znajduje. Resztą my się zajmiemy.

- Prościej byłoby go wezwać - stwierdził ponuro Horn.

- Niekoniecznie, jest ryzyko ucieczki.

- Dobrze. Jak pan sobie życzy.

- A także... - zaczął śledczy, lecz przypomniał sobie o GERALCIE i nagle się zaciął. - Wiedźminie! - zwrócił się do niego.

- Jesteś wolny na razie. Ani kroku poza teren obozu bez naszej wiedzy, uznaj to za obowiązek.

- Tak czy owak wykonuję obowiązki - przypomniał Geralt.

- Dokąd mam iść?

- Nie mędrkuj, wypuścimy cię po skończonej pracy. Najważniejsze, żebyśmy cały czas wiedzieli, gdzie jesteś.

- W porządku. Nie oddalę się nigdzie bez waszej wiedzy.

- Zatrzymamy na razie rejestrator i plecak - oświadczył major. - Dostaniesz je z powrotem, jak zrobisz kopię. Możesz odejść.

Geralt wstał i skierował się do wyjścia. Gliniarze rozstąpili się przed nim.

- GERALCIE! - nieoczekiwanie zawołał za nim Szekter.

Wiedźmin odwrócił się.

Technik patrzył nań pytająco.

- W ogóle pana nie obchodzi, kto go próbował wystawić?

Geralt pomyślał chwilę i chciał szybko odpowiedzieć w tym sensie, że zawsze w życiu muszą być jakieś sekrety, lecz odrzekł tylko prozaicznie:

- Nie. Nie obchodzi.

- Nawet w tym celu, by się dowiedzieć, komu nie można ufać i przed kim mieć się na baczności?

Tym razem wiedźmin chciał powiedzieć, że i tak nikomu nie ufa, a podstępnie spodziewa się zawsze po każdym, kogo spotyka na swej drodze, lecz zamiast

tego po prostu się odwrócił i wyszedł w milczeniu.

W kuchni polowej akurat podwieszali kociołek na rożen i wzywali na kolację.

Plecak zwrócono Geraltowi z samego rana, gdy obóz opustoszał co najmniej w dwóch trzecich i pustoszał coraz szybciej. Przy szlabanie ludzie kupowali ostatnie pamiątki, ściskali się na pożegnanie i rozjeżdżali. Kuchnia polowa przestała dymić. Na boisku robotnicy rozbierali zapiaszczoną estradę. W powietrzu wyczuwało się nastrój minionego święta, choć dla niektórych zaprawiony goryczą, a dla byłego Technika z Humania była to w ogóle ostatnia impreza. Szybko jednak owo wrażenie zanikło, organizatorzy bowiem postarali się odgraniczyć uczestników od toczącego się śledztwa.

Geralt sprawdził zawartość plecaka. Wszystko było na swoim miejscu, nawet bezprzewodowa ładowarka, brakowało tylko rejestratora wideo, o czym wcześniej uprzedził major. Poza tym nie stracił niczego. Pożegnał się w myślach z aparatem, zapiął plecak i spojrzął na zegarek. Dochodziła dwunasta.

Za stołem łowców maszyn było niezwykle pusto. Oddział Volvo wyjechał wczesnym rankiem, o świcie. Geralt wziął piwo z najbliższej nalewarki i zasiadł przy ulubionym stole. Ostatni bajkerzy zwijali namioty, pakowali je na swe wierne dwukołowe monstra i niespiesznie udawali się w stronę szlabanu.

W samo południe zadzwonił służbowy telefon.

- Geralt?

- Tak.

Telefonował szef.

- Przyjdź się rozliczyć do sztabu.

- Już mi zapłaciliście? - zdziwił się Geralt. - Pozostaje tylko oddać komórkę.

- To przyjdź ją oddać - rzekł Horn i rozłączył się.

Na tarasie kwatery głównej tłoczyło się około dwudziestu „Gacków” i stało kilka motocykli. Dwóch orków na drabince zdejmowało wiszący nad daszkiem

transparent z powitaniem. Horn, gruby Munia i jeszcze trzech organizatorów stali przy wejściu, burzliwie o czymś rozprawiając. Na boku, w cieniu, widoczne były pojazdy śledczych: „Weres” prokuratora, „Stuhr” policjantów i typowa suka z okratowanymi okienkami.

Geralt podszedł, wyjmując po drodze służbową komórkę.

Gdy się przybliżył, rozmowa natychmiast ustała. Geralt uznał początkowo, że to z jego powodu, a jednak nie. W tym momencie drzwi sztabu otworzyły się i na wyasfaltowany placyk wyszli najpierw dwaj uzbrojeni konwojenci, dalej Kudłaty, Tramp i Gaston w kajdankach, a za nimi znów konwojenci i na końcu śledczy oraz prokurator z nieodłącznym asystentem.

Nie zaprowadzili jednak od razu aresztantów do suki, ponieważ Horn wrzasnął: „Chwileczkę!”. Podszedł do prokuratora i coś mu cicho powiedział. Prokurator zastanowił się chwilę i jakiś czas naradzał się szeptem z majorem. W końcu ten ostatni gromko zakomenderował:

- Konwój! Otoczyć kręgiem podejrzanych! Chaszczenko, zdejmij im na razie kajdanki!

Strażnicy zatrzymali się, otoczyli pojmanych bajkerów i wycelowali w nich broń. Geralt pomyślał się, że kiepsko by się poczuł w takim kręgu.

- Zdejmijcie nasze barwy klubowe! - wycedził Horn.

Z trójki aresztantów zdarto kurtki z godłem „Gacków” i z powrotem założono im kajdanki.

- Do samochodu! - rozkazał major, machając ręką.

Aresztowanych po kolei zapakowano do szarej furgonetki.

Prokurator i Horn chwilę jeszcze ze sobą szeptali, po czym funkcjonariusz odjechał swoim „Weresem”, a w ślad za nim policyjne auto, do którego wsiedli śledczy, potem pojechała suka, zamykały zaś konwój jeszcze dwie policyjne „Hortice”.

Szlaban był otwarty cały czas, sterczał do góry, celując czubkiem w letnie

niebo.

Kiedy Horn był swobodniejszy, Geralt podszedł do niego.

- Komu oddać komórkę? - zapytał.

- Odbierz ją, Munia - polecił Horn.

Wiedźmin oddał grubasowi aparat, który faktycznie pracował trzy doby bez doładowania.

- To wszystko? - na wszelki wypadek upewnił się Geralt.

- Jest dwunasta dziewięć.

- Nie całkiem - mruknął szef i przejechał dłonią po krótko ostrzyżonej czaszce. - Naradziliśmy się z kolegami... Sam także chciałem ci dać premię...

- Oczywiście dziękuję - delikatnie zaoponował Geralt - lecz wiedźmini biorą zapłatę tylko raz i to z góry.

- Nie mówię o pieniądzach - odparł spokojnie Horn. - Co sądzisz o tym?

Wskazał na jeden z motocykli stojących przed gankiem.

Geralt przyjrzał się maszynie.

- Niezły sprzęt - przyznał. - Dawno oswojony? - Pięć lat. Bak jest pełen. Horn wręczył Geraltowi kluczyki z metalowym brelokiem w kształcie wilczego łba. - A także... - dodał szef - to nie było dawniej przyjęte, ale chłopaki się zgodzili. Sięgnął ręką za siebie i podali mu jedną z kurtek. - Noś ją z honorem - powiedział Horn, unosząc obiema rękami kurtkę w stronę Geralta godłem do przodu. Na lewym skrzydle nietoperza widniało wyraźne nacięcie w kształcie litery Z.

- Gdyby ktoś pytał, jakim prawem to nosisz, powiedz, że Horn pobłogosławił cię na „Pięć Dróg”.

Geralt milcząc, założył skórzaną kurtkę na dżinsową. Darowana w sumie najlepsza na motocykl.

- A to masz ode mnie - oznajmił Horn, wręczając okulary motocyklowe. - Najlepsze, bajkerskie, dobrze chroniące od wiatru, który nazywają flagowym.

I... dziękuję za wszystko, wiedźminie. Przyjedziesz znowu, jeśli cię wezwę?

- Niczego nie obiecuję - odpowiedział szczerze Geralt - ale nie widzę przeciwwskazań.

Mocno uściskał wyciągniętą dłoń, zarzucił plecak na ramiona, wsiadł na darowanego „Hetmana” i z chrzęstem przekręcił kluczyk w stacyjce.

Silnik zapalił momentalnie. Wiedźmin zatrąbił na pożegnanie i dodał gazu. Wyjechał na aleję prowadzącą do wyjazdu. „Gacki” wołali coś za nim, lecz nie słyszał tego zbyt wyraźnie.

„No proszę - dumiał z mieszanymi odczuciami - bajkerzy zaliczyli mnie do swoich. Wiele lat trzymałem się na uboczu, a tu taki zwrot. Przynajmniej sprawa transportu się rozwiązała...”.

Dobrze wiedział, że podarowanego „Hetmana” nie zatrzyma na długo. Co zrobić, taka specyfika profesji. Przyda się w Arzamas 16 do wożenia młodych wiedźminów. Póki co może sobie jednak pojeździć.

Prędko znalazł się na trasie Kijów-Odesa i skręcił w prawo do Centrum. Po długim nocowaniu pod mostem całą duszą pragnął porządnego pokoju hotelowego, wanny, snu w czystej pościeli i przynajmniej dwóch posiłków w dobrej restauracji, gdzie podają prawdziwe piwo pilzneńskie, warzone w Pilźnie, a nie w Kryżopolu.

Przed Żaszkowem przegoniło go trzech „Kruków”, przy czym ostatni z jadących dawał mu jednoznaczne sygnały, by się zatrzymał.

„Tak... - pomyślał zirytowany Geralt - zdaje się, że dognało mnie prawo bajkera...”. Zahamował i stanął na poboczu. Na wszelki wypadek odbezpieczył pistolet pod kurtką.

„Kruki”- stanęli tuż przed nim, jednocześnie zsiadli z motocykli i podeszli do Geralta. Byli to ci sami, którzy bawili na festynie „Gacków”.

- Cześć, wiedźminie - rzekł basem jeden z nich, pozostali tylko skinęli głowami. - Widzę, że cię przyjęli do klubu.

- Barwy „Gacków” nie czynią ze mnie bajkera - odrzekł chłodno Geralt. - Byłem i pozostałem wiedźminem. Czego chcecie?

- Nie najeżaj się, mamy pokojowe zamiary. Przede wszystkim chcemy ci podziękować. Gdyby nie ty, zabójstwo w końcu zwałiliby na nas. Nie ma co łąć, „Gacki” nie są naszymi braćmi. Szybko wszystko wyjaśniłeś, a w dodatku zawarliśmy z „Gackami” rozejm. Mamy u ciebie dług, wiedźminie. Pomyśleliśmy, że... Skoro zaczęłeś nosić barwy „Gacków”, mogą się wśród naszych pojawić pytania, a nie powinno ich być. Postanowiliśmy załatwić to raz na zawsze. „Gacki” wiedzą o tym i nie sprzeciwiają się. Masz, wiedźminie, noś to z honorem.

Bajker wręczył Geraltowi czapkę z metalowo połyskującym daszkiem. Nad daszkiem widniało godło kruka na srebrnym polu.

Geralt przymierzył. Czapeczka pasowała.

- tylko nie pędź w niej, bo wiatr ją zwieje - przestrzegł motocyklista. - Jeśli spytają, jakim prawem to nosisz, powiedz, że Mitaj pobłogosławił cię na „Pięć Dróg”.

- Ludzie nie będą się wyśmiewać, jak mnie zobaczą? - zainteresował się Geralt. - Na kurtce jeden znak, na czapce drugi...

- Może i będą wyśmiewać - zachichotał rzeczony Mitaj - ale wiadomo, że wiedźmini wszystko robią na opak.

- Co prawda, to prawda - odparł Geralt z westchnieniem.

- Jadę dalej. Bywajcie.

Czapkę z godłem „Kruków” schował do wewnętrznej kieszeni kurtki z godłem „Gacków”.

To dopiero przymierze...

Sierpień-wrzesień 2012, Nikołajew - Koblevo

Przełożył Witold Jabłoński

Aleksandr Zołotko

Okupanci

Do Polski dotarłem samolotem. Tu-154. Prosto z Charkowa. Leciałem za granicę - po raz pierwszy w życiu, i tak daleko od domu - też po raz pierwszy. Wszystkiego dwie godziny lotu, a jakby na inną planetę. Wszystko inne: niebo, ziemia, drzewa... Brzoza, niby to nasze drzewo, a mimo to - inne.

A może tak mi się tylko wtedy zdawało? Jeśliby mi nie powiedzieli, że lecimy do Polski, być może nie zauważyłbym różnicy.

Zresztą, nie mówili nam początkowo, gdzie będziemy służyć. Przywieźli do koszar pod Charkowem, wydali mundury, i przez cały tydzień - my, osiemnastoletni chłopcy z ostrzyżonymi na goło głowami - spieraliśmy się: dokąd nas przerzuca?

Jednym z wariantów był Afganistan. Nie to, żeby budziło to lęk, gdzie tam... Który z chłopców nie marzył o wojowaniu? Bohaterstwo, medale... A i w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku nasi w Afganistanie, jeśli wierzyć gazetom i telewizji, wciąż jeszcze budowali dla Afgańczyków szkoły, drogi, mosty...

Jeśli wierzyć... Chociaż... Przecież i budowali. I mosty, i tunele, i szkoły...

To znaczy czuliśmy, że w Afganistanie coś złego się dzieje, ale trumien do Związku Radzieckiego nie przywieziono jeszcze wiele, a te, które przywieziono... Ponoć same nieszczęśliwe wypadki i choroby, nie w walce zginęli chłopaki.

A potem w gazetach zaczęły pojawiać się informacje o Polsce. „Solidarność”, strajki, demonstracje, knowania zachodnich służb specjalnych i tym podobne... Mówili i mówili, a nawet pokazywali migawki. Przywykliśmy do czytania między wierszami. Nawet jeśli niczego tam nie napisano i tak rozumieliśmy.

Wtedy już wiedziałem, że będę służyć albo w Afganistanie, albo w Polsce. Nikt mi niczego nie mówił, a ja wiedziałem. Tak bywa.

Ale przez cały tydzień przed przeniesieniem niczego nam nie wyjaśnili. Dopiero przed samolotem, gdy staliśmy już na płycie lotniska, oficer powiedział, że służyć nam przyszło w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, że byle kogo tam nie wysyłają - tylko najlepszych, i że od nas zależy... Ogólnie, powodzenia, powiedział oficer, i wyglądał tak... jakby czuł się nieco winien... Niby on tu zostaje, a nas wysyła niemal na wojnę...

Chociaż najpewniej wszystko to zmyśliłem. Dla upiększenia. Bo tak być powinno. Dlatego, że wysyłając kogoś na... nie, nie na śmierć, a... kiedy zamiast siebie wysyłają tam, gdzie może być niebezpiecznie, to poczucia winy, jeśli nawet je odczuwają, nie okazują.

Tak jak dowódca mojego plutonu w październiku osiemdziesiątego drugiego. Zadzwoił wtedy na odwach wartownik i powiedział, że ktoś strzela. Nie w niego, jasna sprawa, ale obok. Całkiem obok, jakby w pobliżu dworca. A od jego posterunku do dworca było metrów sto, nie więcej. Wyszliśmy na ganek - faktycznie, strzelają. Na początek - dwa, trzy wystrzały z pistoletu, potem seria z automatu.

A potem - wybuch. Jakby granat.

Jeśli wystrzały mogły być tylko ostrzegawcze, to już granat. To znaczy, że jeden Polak najzupełniej na poważnie próbował innego Polaka zabić. Nie, to była oczywiście ich własna, wewnętrzna sprawa: dopóki nas nie ruszają - wtrącać się nie zaczniemy.

Jak to ktoś powiedział: każdy naród ma prawo do rewolucji? Dokładnie, ma. I każda władza ma obowiązek bronić siebie i konstytucji. Wychodzi na to, że wszyscy wokół mają rację, każdy ma istotny powód do strzelania i rzucania granatami... Wszyscy są w prawie, winnych potem się wyznacza, kiedy wojna się zakończy. Wyznacza zwycięzca.

Czyli huknęło obok dworca i zaraz ucichło, jakby wszyscy się pochowali, przestraszyli się, przeliczyli swoich, nogi i ręce na okoliczność kompletności posprawdzali, a potem znów kilka razy kropnęli. Też automat.

A wartownik zaraz zadzwonił, że ktoś obcy wzdłuż ogrodzenia przemknął. Albo mu się zdawało, albo chciał, żeby ktoś ze swoich podszedł do posterunku mu potowarzyszyć w trudnej chwili. To przecież nic przyjemnego, kiedy obok strzelają. Niechby nawet nie do ciebie, ale do człowieka przecież. Do żywego człowieka.

Powinien pójść chorąży, dowódca plutonu. Był szefem warty i według wszystkich regulaminów świata to on powinien ruszyć na wezwanie wartownika. Wziąć ze sobą dwóch żołnierzy, latarkę i sprawdzić, co się dzieje.

Ale chorąży miał dwoje dzieci i żonę. Popatrzył więc na mnie i powiedział, że nogę wczoraj mocno stłukł sobie... albo naciągnął wiązadło... w ogóle, boli, zaraza, nie ma siły chodzić.

A dajcie ja pójde, zaproponowałem; a proszę bardzo, łatwo zgodził się chorąży. I poszedłem. Nic tam się nie działo, strzelanina ustała - przespacerowałem się tylko trochę i wróciłem. Ale twarz mojego dowódcy plutonu zapamiętałem. Nie było na jego twarzy winy. Ulga tak, ale winy - nie było.

A gdyby mnie tam obok posterunku zabili, to, kto wie, na twarzy pojawiłaby się może radość, że to nie jego...

No dobra, co tam. W końcu i ja byłem ciekaw... Żaden wyczyn, ale przecież zrobiłem to, czego nie zdołał dokonać inny człowiek.

Byłem ciekaw. Do samolotu wspiałem się wtedy też z wielką ciekawością, i całe dwie godziny lotu próbowałem dojrzeć w iluminatorze ziemię, żeby móc stwierdzić - nasza się skończyła i zaczęła cudza.

Przy okazji, dziwna rzecz ten ludzki mózg. Bardzo dobrze wiedziałem, że ziemia jest cudza. Ale nawet na sekundę nie przyszła do głowy wątpliwość - jeśli ona cudza, to po kiego czorta lecimy tam służyć? I nawet nie mamy nic przeciwko umieraniu, jakby co...

Niczego w iluminatorze nie dojrzałem. Wszystko było takie samo - od startu do lądowania. Za to po lądowaniu...

Kto po raz pierwszy zobaczył wojskowe lotnisko, ten nigdy go nie zapomni. Szerokie betonowe pole, opancerzone kaponiery, bardzo rzeczowo wyglądające radary i inne anteny. Robi wrażenie, nie ma co... A jeśli dodać do tego wszystkiego wspaniałą myśl, tłukącą się po głowie, że to wszystko stanie się twoim domem na dwa lata, na siedemset trzydzieści dni, że to nowe życie, i tamtego starego, cywilnego, jakby w ogóle nie było...

A zaraz wszystko to odeszło na dalszy plan. Bo ujrzelśmy dwa śmigłowce. Dwa Mi 24, nie spiesząc się, leciały nieco z boku od lotniska. Nazywają je „krokodylami”, bo bez wątpienia do prawdziwych krokodyli są nieco podobne. W plamach kamuflażu, posępne i wyglądające na niezadowolone. I śmiertelnie niebezpieczne.

Było na co popatrzeć, tylko, jak by to najlepiej ująć... to nie na nie tak naprawdę wszyscy się gapiliśmy. Śmigłowce nie leciały na jakiś ćwiczebny lot. Gonily za smokiem.

Za najzwyczajnym smokiem. Jeśli smoki, rzecz jasna, bywają zwyczajne. Dwa ponure „krokodyle” za lśniącym metalicznie w świetle słonecznym potworem. Smok nigdzie się nie spieszył i nie robił sobie nic z pościgu, wchodził od czasu do czasu w wiraże, jakby zapraszając śmigłowce do zabawy. Albo tak naprawdę zbierał się do ataku - kto go tam wie?

Leciała taka trójca: smok z przodu macha skrzydłami, a dwa śmigłowce z tyłu klekoczą łopatomi turbin. Potem smok nagle wali się na bok i rusza wprost na jeden ze śmigłowców, ten rzuca się w bok, uchyla się, a drugi szybko wchodzi smokowi na ogon i skrzydlaty potwór powraca na kurs.

Wydawało mi się wtedy, że trwa to z godzinę. Być może więcej. Chłopaki mówili potem, że pięć minut. Wreszcie smok i śmigłowce zniknęły za horyzontem, a nas zaprowadzono na plac apelowy, do „kupców”.

„Kupcami” nazywają oficerów, którzy z ogólnego tłumu rekrutów wybierają ludzi do swych oddziałów. Dla jednego ważne jest wykształcenie, dla innego - klasa sportowa. Nas wybrano ze względu na wzrost. W naszym batalionie była kompania warty honorowej - brali do nas chłopaków nie niższych od metra osiemdziesiąt jeden, i tak nas wybrali, przejrzawszy w kartach nasze dane fizyczne. Jak mówią - nic osobistego.

Dziesięciu ludzi wsadzono do starego autobusu i powieziono do Legnicy trasą E-22. Zbudowali ją jeszcze Niemcy. Dobrze zbudowali, pierwsza klasa. Niemcy w ogóle budowali pierwsza klasa. Nasze koszary na przykład. W samym centrum Legnicy, dwupiętrowe czerwone budynki z grubymi ścianami - cegły leżały jak od linijki, równiuteńko. I ani jedna nie była pęknięta. Przed nami w koszarach stacjonował pułk SS, zmotoryzowany. Do wojny, a potem - my.

W autobusie zapytałem chorążego, który nam towarzyszył, o tego smoka. Zapewne wszystkie chłopaki chciały spytać, ale ja zdążyłem pierwszy. I gdyby chorąży po prostu powiedział, że to tajna technika wojenna, sterowana radiem zabawka, uwierzyłbym i zamilkłbym. Nie na długo oczywiście, potem o wszystkim i tak bym się dowiedział, ale do miasta dojechałbym spokojnie. Ale chorąży zachował się dziwnie.

- To nie twoja sprawa - powiedział chorąży z taką nawet złością. - Nic tam nie było. Śmigłowce i nic więcej. Zrozumiałeś?

Nie rozumiałem - ale zatkało mnie. Jeśli w armii czegoś nie rozumiałeś

albo z czymś się nie zgadzasz - lepiej milczeć. Przyswoilem to od razu, już pierwszego dnia. I chłopaki, którzy razem ze mną jechali autobusem, też to sobie przyswoili. Na tyle dobrze pojęli, że nawet sierżantom w plutonie szkolnym o tym nie mówili.

Uczyliśmy się maszerować, przyszywać guziki, cierpieć i harować, ale o smokach - ani słowa. Nawet między sobą. I było to z pewnością prawidłowe: jakie tam smoki, skoro wokół skomplikowana sytuacja polityczna, Związek Radziecki znajduje się w awangardzie walki o pokój, a tylko patrzeć jak Polacy za ogrodzeniem naszego wojennego miasteczka zaczną robić rewolucję.

Nieco później, gdy już trafiliśmy do zwykłej kompanii i kiedy zaczęli nas przygotowywać do tego, że przyjdzie nam regularnie pełnić wartę, to wtedy opowiedzieli nam więcej...

Zazwyczaj młodym różne bzdury opowiadają. Żeby przstraszyć i zakpić. A nam mówili prawdę. I my od razu uwierzyliśmy, bo po smoku - jakże nie uwierzyć?

Opowiedzieli nam o leśnych dziewczkach, których w żadnym wypadku nie należy wołać, nawet jeśli będą prosto przez posterunek szły; o „żywych cieniach” i o tym, że boją się stali i żelaza, i dlatego strzelać w nie bez sensu, tylko kłuć bagnetem; o ogromnych jadowitych ropuchach, mogących jednym uderzeniem szponiastej łapy rozpruć brzuch nieuwważnemu wartownikowi. Wiele jeszcze opowiadali. Nie oficerowie, ci mówili o gotowości bojowej, sytuacji politycznej. O tych tajemniczych nieprzyjemnościach opowiadali swojacy - żołnierze i podoficerowie służby zasadniczej. Jasna sprawa, że większość z nich tych stworzeń nie widziała, im też opowiedzieli to żołnierze, ale trzeba było się mieć na baczności. Dobrze było pamiętać. Ponieważ...

Pewnego razu nagle zza drzewa ruszył na mnie wysoki ciemny kształt, czarna postać, tylko z grubsza przypominająca człowieka, nie wrzasnąłem po rosyjsku i polsku „Stój, kto idzie!” i „Stój, bo strzelam!”, lecz wbilem w ten

kształt bagnet i nie poczułem oporu. Prawie nie poczułem. Mniej więcej tak, jakbym tym samym bagnetem rwał pajęczynę. Trzask? Chrzęst? Szmer? A czort wie, jak to nazwać.

Cień szarpnął się, osiadł na ziemi, rozplynał w kałużę i zniknął. A ja stałem nad nim i trząsałem się, ze strachu? Z zaskoczenia? Bagnet był czysty, ale mimo to kilkakrotnie wetknąłem go w ziemię. A potem, w wartowni, jeszcze na wszelki wypadek wymyłem go pod kranem. Chłopakom oczywiście opowiedziałem, długo klęli, ale na posterunek pomimo tego wartownicy szli i ja wychodziłem w wyznaczonym czasie. A po tygodniu - znów zacząłem podrzemywać na posterunku.

No cóż, tak człowiek ma skonstruowany umysł. Nie może się długo bać. Nawet kiedy odesłano Sieriegę Nikonowa do domu w ocynkowanej trumnie. Nie odpowiedział na wezwanie telefoniczne, dowódca warty przybiegł na posterunek, a tam Sieriega siedzi na ziemi, oparłszy się plecami o drzewo, automat na kolanach, na twarzy - uśmiech. Na martwej twarzy.

Potem nam powiedzieli, że miał poważną wadę serca, mógł w każdej chwili umrzeć. Ktoś uwierzył. Ale ja na przykład do tej pory myślę, że po prostu nie zauważył zbliżającego się „żywego cienia”. Zaspał.

Trzynastego grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku miałem dyżur.

Posterunek objąłem o czwartej nad ranem. To była niedziela, pobudka - o siódmej rano, zamiast szóstej jak w dni powszednie. Ale o piątej do kompanii zaczęli przychodzić oficerowie - pod bronią. Coś takiego zawisło w powietrzu, napięcie jakieś. To znaczy niby nic się nie zdarzyło, nikt niczego takiego nie powiedział, ale jasne było, że zaraz, za minutę, za sekundę...

Rozkazali obudzić kompanię, krzyknąłem: „Pobudka, zbiórka na korytarzu!”. Dowódca kompanii stanął przed szeregiem i zamyślił się. I nagle w głowie zabrzmiało mi: „Towarzysze! W ciągu ostatnich dni sytuacja w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej zaostrzyła się nagle”. Mam czasem taki dar

przewidywania. Szósty zmysł się włącza. Na przykład, na posterunku budziłem się na dziesięć minut przed pojawieniem się oficera. Jakby coś mnie tknęło. Podobnie było tego ranka.

Ledwo wypowiedziałem sobie tę frazę, gdy dowódca kompanii zaczął: „Towarzysze, sytuacja w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej...” i tak dalej. Tylko zakończył ją słowami: wprowadzono stan wojenny.

Trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku stwierdziliśmy, że trafiliśmy na wojnę.

Zrozumiałe, że jeśli rewolucja, to do nas powinni strzelać. Jesteśmy okupantami. Mnie, na przykład, kilka razy mówili o tym Polacy na ulicy. Okupancie, spływaj do domu.

Nie wszyscy, oczywiście. Niektórzy podchodzili po prostu pogadać, niektórzy chcieli kupić papierosy - z tytoniem u Polaków zawsze było kiepsko. Kiedy w czasie patrolu staliśmy obok Muzeum Chwały Bojowej Północnej Grupy Wojsk, mamy podchodziły, pytały: czy można ich dzieciom po naszej technice bojowej polazić. Oczywiście, można. Niech łażą, co mogą czołgowi zrobić albo armatom?

Polacy do nas nie strzelali. Może gdzieś tak, nie mówili nam, a wierzyć plotkom... Ale w Legnicy nie strzelali. Nie chcieli ryzykować. W polskiej telewizji puszczała kronikę z wydarzeń na Węgrzech w pięćdziesiątym szóstym. Prawidłowo robili, jak nic, że puszczała. Kiedy widzisz, co kule z karabinu maszynowego dużego kalibru wyczyniają ze ścianami domu mieszkalnego, kiedy patrzysz, jak czołg miażdży samochody na ulicy, a kogoś - rannego lub zabitego - szybciutko wleką za róg, wtedy zaczynasz się zastanawiać. Dokładnie - zastanawiasz się.

Jeden do drugiego - jeszcze można, a w radzieckich żołnierzy... Dowódcy wyjaśnili nam, żeby z koszar nie wylazić. Walczą, biją się, strzelają - nie wylazić. Oni są tam, my tu...

Do tego - okupanci.

Tak, wiele mogłem opowiedzieć na ten temat dziewczynie, która pierwsza poinformowała mnie, że jestem okupantem. Mogłem opowiedzieć o sześciuset tysiącach naszych, którzy zginęli w Polsce w czasie drugiej światowej, i o tym, że w ich sprawy nie włączymy. Tylko nic by to nie zmieniło.

Przecież miała rację. Bo jak inaczej nazwać armię, która wyzwoliła, ale nie odeszła? Prawie czterdzieści lat znajdowała się na obcej ziemi. Wychodzi na to, że jesteśmy okupanci? Ma rację. Spróbuj się połapać. Ale ja miałem wtedy przecież tylko dziewiętnaście lat. Dziewiętnaście. I zrozumieć, kto ma rację, kto jest winien - nie potrafiłem. Nie ma w przyrodzie mających absolutną rację, bądź absolutnie winnych.

Raz pod Muzeum Chwały Bojowej podeszło w środku nocy dwóch chłopców i dziewczynka, po czternaście piętnaście lat, powiedzieli, że uciekli z domu dziecka, czy jakiegoś poprawczaka, gdzie wsadzono je, bo na ścianach malowali hasła „Solidarności”. Tak nam w każdym razie powiedzieli. Czy mieliśmy rację z kolegą, kiedy okryliśmy śpiące dzieciaki swoimi płaszczami? Były przecież wrogami, popierali „Solidarność”, a my byliśmy okupantami. Być może powinniśmy raczej zadzwonić do dowództwa, wezwać milicję i wysłać młodocianych rewolucjonistów z powrotem do domu dziecka? Miałem rację?

Albo czy miał rację Polak, który wystrzelił do mnie z procy? On walczący z reżimem, ja wsparcie owego reżimu, okupant. Czy miał rację, kiedy spróbował postrzelić mnie kulką z łożyska, stalową hartowaną kulką centymetrowej średnicy?

Nawet nie zauważyłem, kto i skąd strzelał. Zobaczyłem, jak ta kulka uderzyła w granitową płytę obok mojej nogi, odbiła się, stuknęła o podeszwę buta i zatrzymała się.

Nie zdołałem się nawet porządnie przestraszyć. Rozejrzałem się, podniosłem kulkę, podrzuciłem na dłoni. Wieczorem w koszarach chłopaki

zauważyli, że gdyby ten strzelec patriota nie przestrelił, a trafił mnie tylko w żebra - nawet nie w głowę - to mógł mnie zabić.

Miał rację, ten strzelec?

Kilka miesięcy później jechałem przez miasto na pace ciężarówki. Byłem już młodszym sierżantem, albo kapralem, jak nas nazywano polską manierą. Miałem automat, na głowie hełm, obok mnie siedmiu uzbrojonych żołnierzy radzieckich; jechaliśmy na wartę, obserwując spod plandeki cywilne życie i dziewczyny w niezwykłych spodniach, które nazywano dziwnym dla nas słowem „sztruksy”.

Jakiś miejscowy chłopak, mój rówieśnik, nagle wycelował w moją stronę. Nie z broni, po prostu rękoma przedstawił, że celuje we mnie, w przekłętego okupanta... Oczywiście, miał do tego prawo.

Tyle że takie prawo niesie za sobą odpowiedzialność. Jako sierżant i dowódca warty mam i obowiązki, i prawa. Nie myślałem o nich jednak wtedy, po prostu podniosłem automat i wycelowałem w chłopaka. Automat był niezaladowany, ale chłopaka rzuciło na ścianę, jakby kula go trafiła. Zdążyłem zauważyć, jak jego twarz pobladła, a w oczach pojawił się strach.

No tak, okupant skierował na niego broń, groził. Ale nawet dziś jestem pewien, że postąpiłem prawidłowo. Chcesz walczyć? Proszę bardzo, masz prawo. Bierz broń, strzelaj, zabijaj, miej jednak na uwadze, że to nie zabawka. Nie zapominaj, że każdy dowódca warty, czy to radziecki, czy polski, a choćby i amerykański, ma prawo strzelać tak, by trafić w przypadku napaści na niego albo na wartę. Może też rozkazać otworzyć ogień swoim żołnierzom.

Przestało być śmiesznie? Mnie też nie było śmiesznie.

Chociaż, jak to mawiają u nas - kto w armii służył, ten w cyrku się nie śmieje.

Stan wojenny w ogóle nie odebrał dowódcy naszego batalionu pociągu do piękna. Major uznał, że pod oknami sztabu brakuje niewielkiej fontanny,

obsadzonej wokół choinkami. Żeby można było posiedzieć w cieniu obok chłodnego strumienia, albo spojrzeć z gabinetu i nacieszyć się jego widokiem.

Każdemu z nas było nakazane ograniczenie kontaktów z Polakami. Wychodzenie poza teren bez oficerów czy chorążych było zabronione, za coś takiego można było trafić na odwach, a jeśli wpadło się na kradzieży - to do aresztu. Wszystko było jasne i zrozumiałe. Ponadto wszyscy bardzo dobrze wiedzieli, że włóczenie się po zagajnikach może być niebezpieczne nie tylko ze względu na złapanie przez leśnika albo miejscowych. W lesie albo na bagnie można wpaść na jakiegoś straszniejszego stwora. Na to wszystko zdecydowano się jednak nagwizdać, kiedy dowódcy naszego batalionu wymarzyły się choinki i fontanna.

I nawet to, że na zewnątrz było trzynastego, do świadomości nie trafiło. Trzynastego każdego miesiąca czciliśmy nie dlatego, że byliśmy przesądni. Trzynastego grudnia osiemdziesiątego pierwszego został wprowadzony stan wojenny, i każdego miesiąca, trzynastego, Polacy coś organizowali, by przypomnieć władzy i osobiście generałowi Jaruzelskiemu, że pamiętają i niczego nie wybaczyli. I że to nie koniec, a dopiero początek.

A trzynastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku dostałem zadanie bojowe.

Operacja zaplanowana była zgodnie z najlepszymi tradycjami strategii i taktyki. Starszy sierżant kompanii dowozi nas ciężarówką w las, na bagna, wysadza i szybko odjeżdża. My - ja i czterech żołnierze - heroicznie wykopujemy odpowiednie drzewka, okręcamy je w stare pałatki i ukrywamy przy drodze. Po dwóch godzinach przyjeżdża ciężarówką starszy sierżant, ładujemy się na nią razem z choinkami i zwyczajnie wracamy do koszar.

Choinki wykopaliśmy, a samochód nie przyjechał. Ani po dwóch godzinach, ani po czterech. Zaczęło się ściemniać, a długo oczekiwany Ził-131 nie przybył.

Zaczął padać deszcz - drobny, zimny, obrzydliwy. I jeszcze bardziej

nieprzyjemny zdawał się przez to, że przyszło mi dokonać wyboru i podjąć decyzję. Powinniśmy pewnie czekać na samochód na miejscu. Ci, co zabłądzili tak właśnie powinni postępować: nie kręcić się, lecz stać i czekać. Ale przed szóstą wieczór stało się jasne, że czekanie nie ma sensu. I zimno.

I mokro. Chłopakom skończyły się papierosy i cierpliwość. Nie pałę, mnie było łatwiej, jednak nocleg na mokrej ziemi przy plus dziesięciu pod deszczem również mnie nie satysfakcjonował. Zupełnie. W nocy spokojnie mogło schłodzić się do zera.

Można było postawić namiot z pałatek, rozpałić ognisko i przenocować. Bez żarcia i picia, ale i bez specjalnych problemów. Już prawie dałem rozkaz, by stawiać obóz. I dałbym, trzydziestokilometrowy spacer nie pociągał mnie, ale Sadreddin Miechtijew, którego wszyscy dla ułatwienia nazywali Sania, oddaliwszy się za potrzebą, przybiegł przestraszony, nawet spodni dokładnie nie zasunął, i oznajmił, że w lesie są baby.

Z językiem rosyjskim miał problemy i w życiu codziennym - a kiedy się denerwował, to w ogóle trudno go było zrozumieć. Sania stał się sławny, gdy podczas warty nastraszył chorążego. Noc, dowódca posterunku ze zmianą idzie zmienić Miechtijewa, a ten, ujrawszy z wieżyczki delegację, zaczął działać dokładnie według regulaminu. Zatrzymał, kazał oświetlić twarz, następnie rozkazał chorążemu podejść bliżej do wieżyczki, a potem wychylił się z niej i spytał: „Towarzyszu chorąży, strzelać przed czy po?”.

Tak zatem słów Miechtijewa brać zbyt do serca nie należało, ale teraz wyglądał na przerażonego niemal do szaleństwa.

Baby, szepcze straszonym głosem, baby. Takie! Z gestykulacji wychodziło, że wielkie. I z piersiami, także wielkimi.

I straszne. Sania próbował coś pokazać, strojąc miny, ale wychodziło mu to niezbyt zrozumiale.

- Czarne - powiedział Miechtijew. - Pasiaste... Takie...

Czarne, pasiaste i szczególnie - takie, to budziło niepokój.

W legendach leśne dziewczki wyglądały właśnie tak - niczym angielscy komandosi, z twarzami pomalowanymi w brązowe i zielone pasy. I do diabła z nimi, z pasami i dziewczkami, tyle tylko, że zgodnie z tymi samymi legendami leśne dziewczki bardzo nie lubiły widowni. Czasami znikaly między drzewami, niczym bezcielesne duchy, a czasami mogły zabić nazbyt natrętnego obserwatora. Nożem albo nawet strzałą z łuku.

W naszym batalionie nic takiego dawno się nie zdarzyło, właściwie nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś został zabity. A spotykaliśmy je, leśne dziewczki, niejednokrotnie.

- Gdzie? - spytałem.

Sania tknął drżącym palcem w stronę lasu, a ja rozkazałem wszystkim zabrać pałatki i ruszyć drogą jak najdalej od tych pięknotek.

W końcu, jeśli samochód po nas jedzie, to się z nim spotkamy. Wykopanych choinek targać jednak nie zamierzaliśmy. Schowaliśmy je między drzewami: jeśli będzie trzeba, przyjedziemy jutro i zabierzemy.

I poszliśmy do domu.

Pięciu radzieckich żołnierzy - sierżant i czterech szeregowców, z czterema łopatami, ruszyliśmy leśną drogą, przez deszcz, mrok, zimno i stan wojenny. Pięciu mokrych radzieckich żołnierzy, bez przerwy przeklinających, wspominających starszego sierżanta, dowódcę batalionu i obrzydliwą pogodę w Polsce, która akurat winna nie była.

Trzydzieści kilometrów - za dnia to było nie mniej niż pięć godzin ciągłego marszu. Za dnia. Pod warunkiem, że dowódca grupy zna trasę. Ale drogi akurat nie znałem. Tylko to, co widziałem z kabiny.

Zdawało mi się, że za dziesięć kilometrów powinna być wieś. Niewielka, z tych, które rozkładają się wzdłuż drogi - domki po prawej, domki po lewej.

Jak to będzie wyglądało - nasza wizyta w polskiej miejscowości -

wyobrażałem sobie słabo. Dotrzemy do wsi za dwie, dwie i pół godziny, mieszkańcy wsi będą spać, i dobijanie się do zamkniętych drzwi wydało mi się niezbyt dobrym pomysłem. To znaczy absolutnie niedobrym. Mieszkańcy wsi w ogóle na wiele rzeczy reagują specyficznym, czy to polscy, rosyjscy czy ukraińscy. Wyobraziłem sobie, co powinien czuć zwykły chłop, żyjący obok niespokojnego lasu, kiedy w środku nocy ktoś zaczyna się dobijać do jego drzwi lub okna, w łamanej polszczyźnie próbując wyjaśnić, że zablądził i prosi o schronienie albo podwiezienie do miasta. Przy czym nie za pieniądze - skąd u radzieckiego żołnierza pieniądze? - a z litości. Ze współczucia i międzynarodowej solidarności.

Innych możliwości i tak nie było. Może we wsi znajduje się posterunek milicji? To byłby najlepszy wariant. Cerkiew... kościół znaczy, też by się nadał. Byłem człowiekiem całkowicie niereligijnym, ale gdzieś w głębi duszy tkwiła pewność, że duchowny powinien pomóc. Czy to ksiądz czy mulla...

Albo niech będzie choćby otwarta jakaś knajpka. Piwiarnia. Cokolwiek. Ludzie, światło, pomoc...

Ludzi spotkaliśmy po półtorej godzinie.

Kiedy w twarz wbił mi się promień światła, nawet się ucieszyłem.

Zmrużyłem oczy, zakląłem, ale się ucieszyłem. I kiedy po polsku spytano mnie, kto idzie, odpowiedziałem, że żołnierze radzieccy. Po polsku, oczywiście, w takim zakresie większość z nas językiem polskim władała. Prócz komend przewidzianych regulaminem, w rodzaju „stój, bo będę strzelał!”, radziecki żołnierz mógł palnąć, na przykład, „piękna kobieta”. I każdy z przyjemnością używał „kurrrrrwa”, demonstrując swoją znajomość polskiej kultury, chociaż, zdawało się, w rosyjskim przekleństwie było więcej, i sami Polacy często używali mocnych rosyjskich wyrażen. Wzajemne przenikanie kultur pozwala na coś takiego.

I bardzo nas na początku śmieszyło, że „sklep” po polsku brzmi tak samo,

jak budowla na cmentarzu po rosyjsku, a „magazynem” Polacy nazywają czasopismo... Tak...

Powiedziałem, że jesteśmy „żołnierzami radzieckimi”, Polak kazał stać na miejscu i promienia światła z mojej twarzy nie zabrał. Mocną miał latarkę, przyszło mi oczy ręką zasłonić.

Drobne krople wody świecą się, trafiając w promień, rozlatują się w pył, uderzając o rękę Polaka, powstaje coś w rodzaju pierścienia wokół. Deszcz stuka po mojej pałatce, pluszcze w kałużach, wiatr szumi, poświstując w nagich gałęziach gdzieś ponad naszymi głowami, moje zęby już od dawna wystukują werble, a Polak świeci mi w twarz i nie zamierza odsunąć latarki.

Zasłaniam się dłonią i próbuję zobaczyć, kto stoi za latarką. Niczego nie widzę, wiem tylko, że Polak trzyma latarkę w lewej ręce, a w prawej... Nie od razu uwierzyłem własnym oczom, zamrugalem, wytarłem twarz, jeszcze raz spojrzalem - automat. Gdyby to była lufa, powiedzmy, AKM, nie przestraszyłbym się. Polski żołnierz na posterunku i tym podobne. Kursanci szkoły chorążych chodzili z akamami na patrole, niejednokrotnie się spotykaliśmy. Opowiadałem im o naszych nowych automatach, o AK-74, w których pociski z przesuniętym środkiem ciężkości przy trafieniu ręce i nogi odrywają.

I śmiałem się z tego, jak noszą broń, poluzowawszy pasek automatu, że kolba bujała się obok prawego obcasa.

Ogólnie kałasznikow nie zaniepokoiłby mnie i nie przestraszył, natomiast od tego, że celowano we mnie ze schmeissera, niemieckiego pistoletu maszynowego z czasów wojny, zrobiło mi się gorąco. Jakby ktoś tam, na górze, w ciemnym niebie, zakręcił kran z zimną wodą - i lunął na mnie wrzątek.

Na temat drugiej wojny światowej wiedziałem więcej z filmów, a w nich ze schmeisserami, prócz Niemców, chodzili partyzanci albo bandyci. Biorąc pod uwagę sytuację i czas akcji, partyzanci czy bandyci, tego wieczoru dla mnie było

jedno i to samo.

Przez myśl przemknęło i to, że dziś trzynastego, rocznica wybuchu stanu wojennego, a nas ciągle uprzedzano o możliwości akcji oporu i protestów, i... całe życie przemknęło mi przed oczyma. Do schmeissera były dwa metry, w jego magazynku - trzydzieści nabojów. Polacy w sumie nie mieli nas za co lubić.

Nacisną na spust, kule na początku przeszyją mnie, potem pozostałych. I przyszła do głowy zupełnie już idiotyczna myśl. Zainteresowało mnie nagle, jak to jest, gdy kula trafi w pierś? Czy to boli czy nie? I czy umieranie jest bolesne? I długie?

Jeszcze coś do głowy lazło, nie pamiętam już...

- Czto wy dielajetie zdies? - spytał po rosyjsku ktoś stojący na lewo ode mnie.

W sumie frazę wypowiedział czysto, tylko „l” zabrzmiało z charakterystycznym akcentem. Jak krótkie „u”. Zwykła polska wymowa.

Zacząłem wyjaśniać. Przedstawiłem się, żeby nadać temu wszystkiemu choć namiastkę oficjalności.

O choinkach mówić było niezręcznie, zacząłem coś wymyślać o tym, że oto idziemy... nie doczekaliśmy się samochodu... i musimy dostać się do Legnicy...

- Z daleka idziecie?

- Już półtorej godziny - powiedziałem, starając się nie patrzeć na lufę pistoletu maszynowego. - Bez postoju...

Znów pauza.

- Nikogo nie spotkaliście?

- Nie - odpowiedziałem szybko.

Przecież nie opowiem im o leśnych dziewczkach. Radzieccy żołnierze w diabelstwo nie wierzą. Radzieccy żołnierze, nawet jeśli wierzą w diabelstwo, to nikomu się do tego nie przyznają. Radzieccy żołnierze wytrwale znoszą trudy i niedostatki służby wojskowej. Kto wie, może wszystkie te dziewczki i cienie to

tajemnica wojskowa?

W sumie, przychodziły mi na myśl różne bzdury. Tak ze mną bywa, gdy się denerwuję. Myśli skaczą, jedna zahacza o drugą. A powód do denerwowania się miałem, i to bez dyskusji.

- Pan, nie znajdzie się co zapalić? - nagle zza moich pleców wysunął się Leszka Gromow.

Gromow to nie do końca dureń. Prosty jest. Przed służbą w armii nawet nie podejrzewałem, jakich prostych ludzi można spotkać na świecie.

Leszka, na przykład, mógł na zajęciach politycznych najzupełniej serio szukać na mapie stolicy Antarktydy, a potem i kontynentu, krążąc wskaźnikiem po Afryce, Ameryce, Azji i znów po Afryce...

Do wszystkich Polaków zwracał się wyłącznie per „Pan”, będąc szczerze przekonany, że to krótkie i energiczne słowo stanowi niemal obrazę. Nasi Polaków „panami” za plecami nazywali, a on - prosto w oczy. Myślał, że poniżej w ten sposób rozmówcę. Demonstruje swą wyższość.

- Nie dacie zapalić? - powtórzył pytanie Leszka.

- Zaraz - powiedział Polak. - Chodźcie za mną. Macie broń?

- Cztery łopaty - powiedziałem.

- Dobrze - pochwalił Polak i nie mogłem zrozumieć: dobrze, że nie automaty, czy też fakt, że mamy łopaty, naprawdę go uradował. - Za mną. Tu niedaleko.

Poszliśmy za nim, człowiek z automatem ruszył w ślad za nami, oświetlając drogę i nieco plecy idącego z przodu Polaka.

Ten był w płaszczu, błyszczącym w świetle latarki. Takim ceratowym, czarnym płaszczu z peleryną, w zwykłym życiu takich nie widziałem, ale w filmach właśnie w takich chodzili szpiedzy i mordercy. I esesmani. Rąk spod płaszcza nie było widać, mógł w nich być zatem choćby topór, lub automat.

Skręciliśmy z drogi na jakąś ścieżkę, promień latarki wychwytywał z

ciemności nagie, pokryte świecącymi kroplami wody gałązki zarośli. Pod nogami chlupotało błoto.

- I zjadłoby się... - powiedział idący tuż za mną Leszka.

Jemu było dobrze, on automatu nie widział. A ja tylko o automacie myślałem. I kombinowałem, czy nie odskoczyć w bok, nie wyrwać przez zarośla w głąb lasu, przecież nie trafiają, jak nic nie trafiają. Drzewa nie przepuszczają. Jeśli uciekać, pochylając się i klucząc, to chybią. Jak nic - chybią. Ruszą w ślad za mną, ale nie dostaną.

Ale chłopaków - tak. To znaczyło, że nigdzie nie pobiegnę. Choć zapewne był to nie heroizm, a głupota. Jeśli zamierzali nas zabić, to i tak zabiją, a ja miałem szansę. Po co ginąć z pozostałymi, jeśli jest szansa na przeżycie?

Teraz ze wstrettem wspominam te swoje myśli. I do tej pory jestem dumny, że wtedy nie poddałem się im. Zapewne to najodważniejszy czyn w całym moim życiu. Albo nawet jedyny naprawdę śmiały.

Po dziesięciu minutach dotarliśmy na miejsce.

Na początku zobaczyłem światło latami.

Latarnia wisiała nad bramą - wysoką, drewnianą, z solidnymi żelaznymi zawiasami. Brama była otwarta.

Krople deszczu wylatywały z ciemności i uderzały z mocą o kałuże. Mogło wydać się, że woda leje się spod blaszanego klosza, jak z wielkiego prysznica.

Na prawo i lewo od bramy ciągnęło się ogrodzenie z grubych, szerokich desek. Ogrodzenie ginęło w ciemnościach, tak jakby, nie skręcając, przegradzało całą ziemię - od jednego końca do drugiego.

Sam nie wiem dlaczego, ale przez głowę przemknęła myśl: zamek. Choć od dzieciństwa wiedziałem, że zamek to coś wysokiego, kamiennego, na szczycie góry albo, w skrajnym przypadku, wzgórza. A tu - drewniane ogrodzenie i brama, mimo to jednak - zamek.

Zawiało czymś starym. Nie starzyzną, nie, a właśnie starym.

Na przykład dziedziniec - wyłożony grubymi kamieniami polnymi, mieniącymi się w świetle latami niczym oksydowana stal. Przestronny dziedziniec. Z prawa i lewa stały jakieś zabudowania gospodarcze, być może szopy albo składy. W głębi dziedzińca przyczaił się dom. Wszystkie budowle były zbudowane z bali, które z trudem dałoby się objąć ramionami. Ze starych bali, spękanych, lecz nie zbutwiałych.

Dom był jednopiętrowy, z niewielkimi oknami. I z wysoką piramidą dachu.

Polak w czarnym płaszczu wszedł na ganek, zapukał do drzwi.

- Zmarzłem jak pies - powiedział Leszka. - Słuchaj, pan, będzie co zjeść? Coś gorącego...

Drzwi się otworzyły, Polak powiedział coś, potem obejrzał się na nas, twarzy jednak nie zobaczyłem - kaptur był głęboki.

- Wejdźcie do domu - dobiegło z ciemności pod kapturem.

W domu było ciepło. Korzennie pachniało jakimiś ziołami. I chyba lekarstwami. I jeszcze czymś nieznanym i nieprzyjemnym.

Zatrzymałem się w progu, ale Leszka pchnął mnie w plecy i wszedłem. Za mną - pozostali.

Nogi wytarliśmy jako tako na ganku, ale i tak zostawialiśmy mokre ślady.

- Stać - rozkazałem. - Dom zapaskudzimy.

- Mogę zdjąć buty - od razu zaproponował Leszka. - Słuchaj, pan, buty zdjąć?

- Dawno zmieniałeś onuce? - spytałem.

Już lepiej packać niż smrodzić.

Zapewne o tym samym pomyślał i Polak, dlatego powiedział, że możemy chodzić w butach.

- Wejdźcie tam - wskazał na drzwi z boku. - A wy, towarzyszu sierzancie, chodźcie za mną.

Półgłosem ostrzegłem Leszkę, żeby nie robił głupstw. Po prostu żeby

wszedł, usiadł albo stał w kącie i nie rzucał się w oczy. I o nic nie żebrał. Ani, uchowaj Boże, niczego nie zamyślił ukraść, czy to jedzenia, czy serwisu. Uprzedziłem, że jeśli coś podobnego przyjdzie mu do głowy, to sprawa nawet do trybunału nie dojdzie. Ja osobiście, własnymi rękoma...

Chłopcy kiwali głowami, nie dyskutowali, i obiecali zachowywać się przyzwoicie, chyba nawet szczerze, w szczególności Leszka.

W jego szczerłość nie wierzyłem w najmniejszym stopniu, ale wybierać i tak nie było z czego. Szeregowym rozkazano - na lewo, a towarzyszowi sierżantowi - na wprost. Do sali zapewne.

Zdażyłem jeszcze pomyśleć, że „towarzysz sierżant” zabrzmiało bez ironii i nabijania się. I kto wie, wszystko jeszcze może zakończyć się dobrze. Wyprowadzą nas, na przykład, na dukt i wyprawią w dalszą drogę. A jeśli jest tu telefon, to po prostu zadzwonią do miasta, na milicję, a ci - do nas do komendantury - przyślą swój samochód albo dadzą znać do batalionu. Będzie, oczywiście, skandal, ale lepszy on, niż dalsze zasuwanie na piechotę.

O schmeisserze starałem się nie myśleć. Pozostawiłem myśli o nim za drzwiami. Tu bronie nie ma, pomyślałem, i fajnie...

Okazało się jednak, że nie fajnie.

Za drzwiami, w niewielkim pokoju, broń akurat była. Pierwszą rzeczą, która rzuciła się w oczy, był karabin maszynowy. Stał na stole, na rozstawionych podpórkach, i, skłoniwszy na bok pudełkowaty magazynek, spoglądał na drzwi. To znaczy na mnie, stojącego na progu. Kaem był stary, też z czasów wojny, magazynek mocowało mu się od góry, cała konstrukcja sprawiała wrażenie wiekowej, ale godnej zaufania. I śmiertelnej, zdaje się...

Kilka karabinów leżało obok stołu, na blacie - rozsypane naboje, pięć sztuk granatów - naszych, radzieckich „cytryn”.

- Wchodźcie, towarzyszu sierżancie, usiądźcie - powiedział Polak i zdjął z siebie płaszcz. - Usiądźcie na ławeczce, przy ścianie...

Miał Polak lat czterdzieści - starzec według mojego ówczesnego mniemania, ale starzec krzepki. Taki... zwietrzały jakby. W kurtce, spodniach wpuszczonych w buty, na pasie - kabura. Czarna, wytarta. I, zdaje się, z niemieckim pistoletem w środku. W filmach w każdym razie w takich Niemcy nosili parabellum.

- Powinniśmy do miasta... - powiedziałem. - Już nas z pewnością szukają... Żeby nie minąć się z samochodem...

- Nie miniecie się - uspokoił mnie Polak. - Do jutra nikt drogą jeździć nie będzie. I chodzić.

„I chodzić” - to specjalnie dla mnie dodał, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. Coś w rodzaju - nikt was stąd nie wypuści.

Podszedłem do ławki - grubaśna, szeroka na dłoń deska na klockach zamiast nóżek - i usiadłem. Nawet pałatki nie zdjąłem. Woda kapiała na podłogę, a ja nie zwracałem na to uwagi. Czapkę z głowy ściągnąłem, otrzepałem jako tako. Siedziałem i rozmyślałem.

Pytanie było proste - co dalej. Samochody nie jeżdżą - niedobrze, ale niech będzie. Ludzie nie chodzą - też przeżyć można. I do rana - zrozumiałe. A co będzie potem?

Po co ta cała broń? I dlaczego mi ją pokazują, niech to diabli? Milczeć nie będziemy, gdy do naszych trafimy. Nawet jeśli obiecamy. A jeśli naprawdę zechcemy milczeć, to kto nam uwierzy? Ja bym nie uwierzył.

Informujemy o grupie uzbrojonych Polaków, przysyłają tu milicję... czy jak tu u nich nazywa się miejscowe KGB. Wiele takich domów w okolicy? Charakterystyczny domek, nie da się zaprzeczyć.

Czy do rana wszyscy odejdą? Nie ci dwaj, których już widziałem. Broni tu starczy dla minimum dwudziestu ludzi. Czyżby zatem na kogoś czekali? I do rana wszyscy się zbiorą i wyruszą... gdzie? Na Warszawę? Komunistyczną dyktaturę obalać? Albo za kordon? Granica niezbyt daleko stąd, ale to granica z bratnią Czechosłowacją i nie mniej bratnimi Niemcami. Demokratycznymi przy

tym. Tam uzbrojoną grupę przywitają oschle.

W szczególności, jeśli o niej poinformuję.

Znaczy się, trzeba zrobić tak, żebym nic nikomu nie powiedział. Jak? Ja wiem jak. A oni tym bardziej wiedzą.

Twarz miał Polak sympatyczną. Taką pociągającą. I znajomą. Początkowo nie zrozumiałem, dlaczego, ale potem sobie uświadomiłem, że był podobny do polskiego aktora, który w „Czterech pancernych” grał Gustlika. Miał on takie śmieszne imię. A dokładniej - nie imię, a nazwisko. Na imię miał Franciszek, a nazwisko - Pieczka. I ten Polak przypominał Franciszka Pieczkę. Takie samo wysokie czoło z zakolami, kręcone włosy, głęboko osadzone oczy. W filmie Gustlik był bardzo dobrym i uczynnym facetem. W książce - również. A kto u nas filmu nie oglądał? Wszystkie psy u nas nazywali później Szarikami. Taki wesoły był czolgista. Chociaż Niemców także zabijał lekko i wesoło.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, wszedł starzec.

To znaczy, jeśli tamten Gustlik wydał mi się wtedy starym, to ten, który właśnie wszedł, był już całkiem wiekowy. Lat siedemdziesiąt, jak nic, ale krzepki. Wysoki, kiedy przechodził przez drzwi, nawet głowę pochylił. Nie masywny, pokryty muskularni, a taki jakby z lin skręcony. Żyłasty. Siwy, pomarszczony, ale oczy błyszczały mu młodo.

Nie miał broni, co mnie wtedy ucieszyło. Futrzany bezrękawnik na wierzchu swetra, spodnie wpuszczone w ciepłe wełniane skarpety. Na nogach - skórzane pantofle, przypominające indiańskie mokasyny.

- Kto to? - spytał starzec Gustlika.

Po polsku spytał, a ten po polsku mu odpowiedział, że pięciu chłopaków szło drogą. Nie zrozumiałem od razu, dlaczego nie powiedział, że żołnierze z sierżantem, a potem uświadomiłem sobie, że Gustlik wybiera takie słowa, aby nie były podobne do rosyjskich. Żołnierze i sierżant - każdy by zrozumiał, a chłopaków - nie.

Zatem był pewien, że może swobodnie rozmawiać w mojej obecności. To znaczyło, że lepiej dla mnie przemilczeć, że jestem Ukraińcem i polski jako tako rozumiem. Przez półtora roku przywykłem i do tempa i do wymowy, telewizję rozumiałem bez problemu. Mówić się nie zdecyduję, nie udaje mi się rozróżnić słów ukraińskich od polskich, a na słuch mogę zrozumieć. Ale gospodarze wiedzieć o tym nie musieli.

- Moskale... - przeciągnął starzec, patrząc na mnie w zamyśleniu. - A CI nie przyjechali?

- Pogoda taka... - wzruszył ramionami Gustlik. - Samochodem mocno rozpędzić się nie da. Przyjadą, nie zginą. Jak tam Bolesław?

- Bolesław umiera - odpowiedział starzec. - Starucha jest z nim, ale co ona może? Oczy zamknąć? I on się męczy, i ona...

Starzec usiadł przy stole, odsunął niedbale naboje i granaty, jedna cytryna doturlała się do krawędzi, wstrzymałem oddech, ale Gustlik granat zręcznie złapał i wsunął do kieszeni kurtki.

- Co robiłeś w lesie chłopcze? - spytał starzec.

- Szedłem - odpowiedziałem.

A co jeszcze mogłem powiedzieć? O tym, że choinki kradłem? Wyglądałoby to wszystko śmiesznie na tle karabinu i granatów. Poszedł sierżant po choinki, no i trafił do niewoli.

- Szedłeś, znaczy się... - starzec mówił po rosyjsku czysto, z lekkim akcentem, który niby był, ale dokładnie usłyszeć go się nie dawało. - Niezbyt szczęśliwie wybrałeś czas na spacer, Moskalu. I z tobą jeszcze czterech?

- Czterech.

- Pewnie chcecie jeść?

- Wysłałem żołnierzy do kuchni - powiedział Gustlik. - Są tam Lucyna i Jerzy, nakarmią...

- No to niech i ich dowódca idzie - kiwnął starzec. - Jaki stopień? - Sierżant -

wstałem z ławki. - Sierżant - bez wyrazu powtórzył starzec. - Dobrze, idź. - A co potem? - nie wytrzymałem. - Potem co będziemy robić? - Nie wiem - starzec popatrzył na Gustlika. - Co będziemy robić, Stefan? Gustlik, okazuje się, miał na imię Stefan. Stefan w milczeniu rozłączył ręce i uśmiechnął się niewesoło. - Dlaczego się uśmiechacie? - szczerze mówiąc, było mi już w tym momencie wszystko jedno, czy od razu teraz mnie zabiją, czy nakarmią przed śmiercią. - Po kiego diabła przytaszczyliście nas tutaj?

- Pojeść, popić, obeschnąć - wyjaśnił Stefan. - Przecież tego chcieliście? Wasz żołnierz to właśnie powiedział - zjeść coś gorącego. To i zjecie czegoś gorącego...

- A to wszystko po co? - wskazałem na broń. Głupio, oczywiście, wyszło, lazałem w nie swoje sprawy, należało po prostu milczeć i poczekać, ale moja cierpliwość skończyła mi się, nawet nie zacząwszy. Jak mówił pewien mój przyjaciel, kiedy skromność dawali, ja stałem w kolejce po bezczelność. - Życzyć mi smacznego?

- Widzisz, Stefan - powiedział w zamyśleniu starzec, spoglądając gdzieś obok mnie. - Na ile znam Moskali, wszyscy pchają się pytania zadawać. Pojeśćpopićpospać... i pytania.

Wszystko to powiedział starzec po rosyjsku, specjalnie dla mnie.

Stefan odpowiedział po rosyjsku, że jestem chłopak młody, ciekawski.

A ja im powiedziałem, że chłopak jestem młody, ale nie głupi. I chcę wiedzieć - kim są i co nas czeka.

Ja także chciałbym wiedzieć, co nas czeka, powiedział Stefan, a starzec kiwnął, potwierdzając, że i on chciałby wiedzieć. Choćbyś wrzeszczał, choćbyś płakał - nikt niczego nie zamierza wyjaśniać. Pojawiła się wtedy u mnie pokusa złapania ze stołu granatu, wyrwania z niego zawlecзки i oznajmienia, że jeśli natychmiast nas nie wypuszczą, to... Pokusa pojawiła się i znikła. Po pierwsze, nigdy w życiu nie trzymałem w ręku granatu. Po drugie, nie chciałem umierać,

chciałem wrócić do domu. Zostało mi sto trzydzieści pięć dni do cywila. Trzeba było tylko wytrzymać. Sto trzydzieści pięć - i już. A jutro - sto trzydzieści cztery. Potem - sto trzydzieści trzy... Rozumiałem też, że nawet jeśli złapię granat ze stołu i wyciągnę zawleczkę, to rozewrzeć ręki nie zdołam. Takie buty.

Wyszedłem z pokoju i nawet drzwiami za sobą nie trzasnąłem - łagodnie zamknąłem. Bo po cóż histeryzować? Czekać trzeba było i żyć. Jakie tam starzec sformułował główne zasady Moskala? Pojeśćpopićpospać?

Było coś w tym z prawdy. Pozostawało tylko owe zasady wprowadzić w życie. Poszedłem do kuchni. Chłopaki już jedli. Siedzieli wokół wielkiego stołu i wtrząchali łyżkami z glinianych talerzy coś w rodzaju gulaszu. Pachniało smakowicie. W piecu płonął żywy ogień.

Dziewczyna w dżinsach i swetrze w milczeniu postawiła na stole talerz dla mnie, chłopak - mój rówieśnik albo ciut starszy - odkroił z okrągłego chleba grubą kromkę i podał mi. Też w milczeniu.

Wziąłem chleb, powiedziałem „dziękuję” i siadłem do stołu.

- Pytałem, co to za lura, a oni nie odpowiadają - powiedział Leszka. - Jasne, że z kapusty i z szynką, ale co konkretnie... Ale smaczne.

- Pewnie bigos - zaproponowałem. - tylko nie taki, jak w naszej stolówce, a prawdziwy.

- Tak? A ja naszych kucharzy już dawno zamierzałem głową w kocioł wsadzić - Leszka resztką chleba wyczyścił miskę.

- Teraz jak nic - wrócę, ukarzę. Potwory.

- Kiedy pójdziemy dalej? - spytał Miechtijew. Dziewczyna podała mu już filiżankę, upił z niej i z błogością przymknął oczy. - Może tu zostaniemy?

- I poprosimy o azyl polityczny - podchwycił Leszka i roześmiał się. - Słuchaj, sierżancie, mówił ci pisarz ze sztabu, że interesowali się tobą w wydziale specjalnym? Nie opowiadasz aby dowcipów politycznych? Nie oczerniasz socjalistycznej, no... rzeczywistości?

Pisarz opowiadał mi o tym. I o tym, że wzywali go do wydziału specjalnego i dokładnie o mnie wypytywali, tylko że miałem to w nosie. Dowcipów politycznych nie opowiadałem byle komu, socjalistyczną rzeczywistość miałem gdzieś. Wszyscy zresztą mieli ją gdzieś.

Dziesiątego tego miesiąca zmarł Sekretarz Generalny KC KPZR Leonid Ilicz Breżniew. Staliśmy na warcie, gdy rozległ się dzwonek i oficer z komendantury poinformował o śmierci i polecił wzmóc czujność. Dowódca warty, który akurat spał, wysunął głowę z szynela i powiedział tonem pełnym niezadowolenia: „Wydzwaniają tu z byle powodu, spać nie dają”. Takie oto epitafium.

Socjalistyczna rzeczywistość. A nasz osobisty po prostu znienawidził mnie po tym, gdy jeszcze jako szeregowy odmówiłem pisania donosów. Wszystko proste i ode mnie nie zależy. Nazbiera - spróbuje zrobić mi świństwo. Nie nazbiera...

Sto trzydzieści pięć dni, przypomniałem sobie. I tyle. I do domu.

Jedzenie było smaczne, herbata, choć nie prawdziwa, lecz trawiasta, była gorąca, słodka i aromatyczna. Nawet zdjąłem pałatkę i rozpiąłem buszlat.

Bagdasarian rozmawiał o czymś z Galimowem, Sania Miechtijew znów zaczął swoją niekończącą się opowieść o tym, jak to był kierowcą zastępcy ministra spraw wewnętrznych Azerbejdżanu i jak sekretarki na urodziny podarowały mu skórzaną marynarkę. Łgał Sania nieudolnie, ale ze szczegółami i detalami, marynarka zawsze była skórzana i w kolorze białym, nikt z nas nawet wyobrazić sobie czegoś takiego nie był w stanie. Ale słuchaliśmy, czasami żartując. Jakbyśmy wypełniali rytuał.

Dziewczyna zebrała naczynia i zaczęła je myć.

Figurkę miała całkiem całkiem, obcisłe džinsy, do tego pochyliła się tak udanie, że spodnie bardzo szczerze podkreślały wszystko, co należy. Tyleczek pierwsza klasa. Pomyślałem o tym. Pomyślałem, a Leszka, dureń, chlapanął na

głos.

Jeśli przełożyć to na przyzwoity język, to powiedział, że z przyjemnością wstąpiłby z dziewczyną w intymne stosunki i to nawet dwukrotnie. Przy tym, zapewne, niczego złego na myśli nie miał, w jego języku oznaczało to tylko komplement, wysoką ocenę osoby płci przeciwnej. Ale bałwan nie wziął pod uwagę jednej okoliczności. Pojęcie „wstąpić w intymne stosunki” w naszym batalionie zazwyczaj przekazywano polskim terminem. I to tego terminu Leszka z przyzwyczajenia użył.

Ale bym ją... i tak dalej.

Chłopak, który kroił dla nas chleb był spokojnym człowiekiem i, zapewne, szlachetnym. Najpierw odłożył nóż na bok, a dopiero potem strzelił Leszkę w ucho.

Leszka spadł z taboretu, rozciągnął się na podłodze, chłopak zwałił się na niego z góry i zaczął starannie obrabiać durnia pięściami. Z prawa i z lewa, z prawa i z lewa... Leszka nie od razu zrozumiał, co się dzieje.

To Polak myślał, że jeszcze sekunda - i Leszce urwie się film, ale Leszka dopiero się rozgrzewał. Opowiadał mi kiedyś o bijatykach na tańcach w swej rodzinnej wsi i chwalił się, że był tam jednym z pierwszych. Podobaly mu się te rzeczy - w mordę dać i dostać też.

Teraz kilka uderzeń przepuścił, pociekła krew z rozbitej wargi, nie zdążyłem się wtrącić, dziewczyna coś krzyczała do swojego kawalera, żeby przestał, bo rosyjska Świnia nie jest godna... i tym podobne, z hukiem przewrócił się taboret, coś wrzasnął Miechtijew, ze zdenerwowania przelączywszy się na rodzimy azerski. I wtedy Leszka zabrał się do roboty.

Złapał rękę chłopaka, uderzył go głową w twarz, potem odepchnął biedaka na bok, poderwał się i przyłożył mu nogą, i jeszcze raz. Następnie szarpnięciem poderwał ofiarę na nogi i uderzył kolanem w pachwinę, przytrzymał go w pozycji pionowej i znów uderzył czołem w twarz, i dopiero potem pchnięciem

odprawił chłopaka na drugi koniec kuchni.

Koniec walki. Tak się wydawało.

Leszka nawet nie zdążył niczego pouczającego powiedzieć Polakowi. Ja nie zdążyłem niczego na czas zauważyć. Ale Bagdasarian zdążył. Jak udało mu się wybić z ręki pochylonej dziewczyny nóż - nie wiem. On sam zapewne nie wiedział. Ale wybił. Dziewczyna z marszu przejechała mu po twarzy paznokciami, od razu obu rąk. I do Leszki.

Rzuciłem się między nich, w ogóle nie broniąc tego przyglupa spod NowoKujbyszewska. Przeciwnie. Leszka bez problemu mógł uderzyć dziewczynę - niejednokrotnie przecież wyjaśniał mi swoje specyficzne spojrzenie na równouprawnienie płci. To dziewczynę zatem ratowałem, ale ona o tym nie wiedziała, próbowała mnie odepchnąć. Twarz pociąć, jak Araratowi Bagdasarianowi, i odepchnąć.

Tylko że już widziałem, jakim sposobem ona walczy, dlatego zdołałem pochwycić obie ręce i uchylić się przed jej kolanem. W rezultacie uderzenie poszło w biodro, a nie tam, gdzie celowała dziewczyna.

Doskoczyli Galimow z Miechtijewem, złapali ją za ręce. Próbowałem jakoś przytrzymać jej nogę, żeby nie biła; Leszka kłął, chłopak z zakrwawioną twarzą pod ścianą próbował wstać, w ogóle obraz z tych, co to oczu oderwać nie można. Grupa zezwierzęconych żołdaków próbuje zgwałcić nieszczęsne dziewczę.

Do tej pory dziwię się, jak to się stało, że Stefan nie wystrzelał nas prosto od progu?

Być może usłyszał, co krzyczy dziewczyna.

A było czego posłuchać!

O ruskich świniach i okupantach; po prostu wyliczanka przekleństw, tak polskich, jak i rosyjskich...

Stefan nie zaczął strzelać. Nawet za pistolet nie złapał.

Powiedział cicho do Lucyny, by się uspokoiła. A ta uspokoiła się. I poszła wycierać krew z twarzy swojego Jerzyka.

- A więc - powiedział Stefan - zjedliście kolację? A to w ramach wdzięczności?

Poważnie tak spytał, bez groźby, ale z naciskiem.

- Oni pierwsi zaczęli - od razu oznajmił Leszka. - Siedzę, nikogo nie ruszam, a on mnie w mordę...

Stefan popatrzył na Lucynę, uniósł brew. Lucyna kiwnęła.

- Właśnie - ucieszył się Leszka i dłonią spróbował wytrzeć krew ze swojej twarzy. - A potem ona...

Uśmiech z leszkowej twarzy znikł - zobaczył rozpiętą kaburę. I dwóch mężczyzn o budzącym strach wyglądzie za plecami Stefana. Jeden z nich trzymał w rękach schmeissera, drugi - karabin. I lufy spoglądały w naszą stronę.

- A ci to czego? - spytał Leszka.

Nawet się nie przestraszył, przyglądł jeden. Po prostu się zainteresował. Gdybym mu powiedział, że nas rozstrzelają, pewnie skinąłby głową i powiedział „aha”. Czego tu nie rozumieć - jak rozstrzeliwać, to rozstrzeliwać. Najważniejsze, że Leszce wytłumaczyli. A poza tym, to jego „aha” wcale nie oznaczało, że Leszka nie tylko zrozumiał, ale jeszcze i zaakceptował sytuację. Co nastąpi po tym - nawet Leszka z pewnością nie wiedział.

- Co z Jerzym? - po rosyjsku spytał Stefan Lucyny.

Wyglądało na to, że cały czas próbował informować nas na bieżąco o rozwoju sytuacji, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje.

- Złamali mu nos - powiedziała dziewczyna.

- Nie oni, a ja sam - zaprotestował Leszka i wysmarkał się krwią prosto na podłogę. - A on walnął mnie...

Jerzy wstał, trzymając się jedną ręką ściany, a drugą - ramienia Lucyny. Od tego ruchu jego sweter uniósł się, odsłaniając niewielką kaburę na pasku. Po co

rzucił się do bójk, jeśli mógł po prostu głupi leć Leszki przestrzelić?

- Tak w ogóle to trzeba by was zamknąć - rzekł w zamyśleniu Stefan. - Tyle że mamy w domu jedną piwnicę, i jest zajęta...

- Do piwnicy? - powtórzył Leszka. - A to niby z jakiego...

- Stul pysk - poradziłem, ale on nie mógł od razu się zatrzymać. Musiał sobie trochę pokrzyzczyć. Wyrazić sprawiedliwy gniew. Nawet na dowódcę kompanii zaczął pokrzykiwać.

- Kto on jest, żeby mnie do piwnicy wsadzać? Czy wiesz, co zrobią z tobą nasi, gdy im powiem... - zaczął gorączkować się Leszka.

- Jeśli powiesz - niedobrze i wieloznacznie uśmiechnął się Stefan. - Nikt przecież nie wie, że tu jesteście. Wokół bagna, wszystkich pięciu tam i...

Groźby - to akurat nie był dobry pomysł. Grozić Leszce nie wolno. Od tego głupek całkiem zaczyna się wściekać. Pewnie po to, żeby nikt nie pomyślał, że może stchórzyć. Dureń, co z nim poradzisz?

- A poszedł! - wrzasnął Leszka. - Tak ty... A ja...

Sprytny Tatar Galimow zazwyczaj nie mieszał się w skandale Leszki. W ogóle to nikt, poza Leszką, z własnej woli w nie nie włąził. Galimow zwykle stał sobie z boku i cichutko czekał, aż szum ucichnie. Tym razem jednak Galimow prawidłowo zrozumiał aluzję i właściwie ocenił frazę „jeśli powiesz”. Nie zaczął oczekiwać na bliższą znajomość z bagnem, tym bardziej że automat i karabin wpatrywały się w Leszkę bez chwili przerwy.

Na uzbrojonych Polaków Leszka rzucić się nie zdążył - otrzymał uderzenie po nogach, grzmotnął na podłogę, z góry zwałił się na niego Galimow, potem przyłączyli się Miechtijew i Bagdasarian. Przycisnęli Leszkę do podłogi i wykręcili ręce za plecy. Potem popatrzyli na mnie. Moje zdanie, jako sierżanta, znaczyło w tej sytuacji wiele. Potem będą musieli wyjaśnić sobie wszystko z Leszką w koszarach, jeśli w ogóle do koszar wrócimy. Ale jeśli w egzekucji brałbym udział ja, to wszystko mogłoby skończyć się dla nich nie tak boleśnie.

Nie śpiesząc się pochyliłem się nad ryczącym z oburzenia Leszką, wyciągnąłem pas z jego spodni, związałem ręce.

- I ty z nimi, sierzancie! - wrzasnął Gromow. - Z tymi brudasami na swoich?!

Leszka nie był nacjonalistą, broń Boże. Ale nie nazwać Tatarą, Azera i Ormianina brudasami w takiej chwili, oczywiście, nie mógł. Aby jakoś urazić. Jeśli wziąć pod uwagę, że sam nie był Rosjaninem, a Mordwinem, to ten jego krzyk o brudasach był zupełnie bezsensowny.

- Położymy go w kącie - powiedziałem Stefanowi.

Stefan popatrzył na zegarek i pokręcił głową.

- Nic z tego. Was jeszcze można zostawić, a związany radziecki żołnierz zepsuje mi całą koncepcję... Odprowadźcie go za mną. Nic mu się nie stanie. Uspokoi się...

Odprowadzić Leszki się nie udało, rzucał się, próbował dosięgnąć choćby jednego z nas nogą, nawet pluł w Polaków i raz trafił. Przyszło związać mu jeszcze i nogi, potem podnieść i odnieść do piwnicy.

Stefan poszedł przodem, pokazując drogę.

Miałem rację, twierdząc, że trafiliśmy do zamku. Kiedy Stefan podniósł drewnianą klapę luku, okutą żelazem, okazało się, że pod nią znajdują się kamienne, wytarte stopnie. Ściany były kamienne. Zacząłem podejrzewać, że drewniany dom postawiono na starym fundamencie. Na pozostałościach starej twierdzy.

Kiedy dźwigaliśmy przycichłego nagle Leszkę, zdążyłem dojrzeć pierścienie na pochodnie na ścianie i, spojrzawszy pod schody, spostrzegłem, że spiralnie schodzą coraz niżej - okrążenie za okrążeniem. Ale daleko w dół nie poszliśmy, Stefan ruszył pierwszym korytarzem.

- Tutaj - powiedział Stefan i ze zgrzytem odsunął zasuwę na drzwiach w końcu korytarza, otworzył drzwi i powiedział, zajrzawszy do środka. - To my, nie strzelaj.

Pomyślałem wtedy, że u Polaków to wszystko bardzo na poważnie. Nawet zbyt na poważnie.

Piwnica miała dziesięć metrów na dziesięć. Przed samymi drzwiami stał masywny drewniany stół, za nim, na taborecie, siedział starszy mężczyzna w kożuchu. Na twarzy miał żałośnie obwisłe wąsy, a na stole przed sobą - starą pepeszę i lampę naftową. Światło z trudem docierało do dalszego końca pomieszczenia.

- Jeszcze jednego jeńca przyprowadziliśmy - powiedział Stefan po polsku. - Ale jego nie do TYCH. Na ławkę posadzimy. Tylko uważaj, rzuca się. Nie zabijaj go może...

I dodał, ściszywszy nieco głos: „Jeśli się da...”.

Udałem, że nic nie usłyszałem. Co jeszcze mogłem powiedzieć? Zacząć buntować się i znaleźć się razem z Leszką? Nie, dziękuję.

Posadziliśmy z chłopakami Leszkę na stojącej wzdłuż ściany ławce i zebraliśmy się do wyjścia.

- Sierzancie - zawołał Stefan. - Proszę, spójrz tam. Może się przyda...

Nie od razu zrozumiałem, na co mam patrzeć. Potem zorientowałem się, że Stefan pokazuje w dalszy koniec pomieszczenia, i to nie palcem, lecz lufą parabellum. Kiedy to zdążył je wyjąć?

- Tylko nie podchodź zbyt blisko do kraty - uprzedził Stefan. - Niebezpiecznie.

Krata, cztery pręty grube na dwa palce - od ściany do ściany. Początkowo wydało mi się, że w kracie nie było drzwi, ale potem dojrzałem je przy ścianie, z ogromną kłódką. Prawie niczym ludzka głowa, słowo honoru.

Klatka początkowo wydała mi się pusta, światło lampy naftowej nie dochodziło do przeciwległej ściany. Ale kiedy w ręce Stefana zapaliła się latarka, zrozumiałem, że klatka nie była pusta. W głębi, kilka metrów od kraty, siedzieli ludzie. Czwooro w jakichś szarych płaszczach zbiło się w kupę, zapewne żeby nie

zmarznąć. Nie od razu zrozumiałem, że to ludzie, początkowo wziąłem to za kupę jakichś szmat. Ale potem jeden z nich odwrócił twarz w naszą stronę i światło latarki odbiło się w jego oczach.

- Kto to? – spytałem.

- Leśni - odpowiedział Stefan.

- Leśne dziewczki?

- Tak ich nazywacie?

- Eee...

- Nie, to nie dziewczki. Driad starszkwowie by tutaj nie zaciągnęli. To Leśni. Nazywają ich jeszcze uszastymi. Nocni zabójcy. Potwory. Różnie ich zwa... - Stefan poruszył promieniem latarki, jakby czemuś się przyglądał, potem wyłączył ją, szybkim krokiem wrócił do drzwi i coś powiedział cicho do wartownika. Mężczyzna odpowiedział także cicho, położył z jakiegoś powodu rękę na automacie.

- Idziemy! - rzucił do mnie Stefan i niemal wbiegł schodami na górę.

Coś go zdenerwowało. A nawet chyba rozzłościło.

Wszedłem w ślad za nim.

- Posiedźcie w kuchni - rzucił do mnie Stefan i wszedł do pokoju, w którym byli starzec i karabin maszynowy.

Moi chłopcy siedzieli wokół stołu i, przyglądając się sobie wzajemnie, milczeli ze smutkiem. Teraz już żalowali swojego bohaterskiego czynu, już wyobrażali sobie, jak ukarze ich Leszka, gdy tylko wyrwie się na wolność.

Co dziwniejsze, dziewczyna i chłopak także tu byli. Jerzy zmył już krew z twarzy, siedział blady, odchyliwszy głowę, a Lucyna przykładła jakieś okłady do jego twarzy.

Próbowałem przeprosić, ale dziewczyna w milczeniu wzruszyła ramionami, zamilkłem zatem. Nie bardzo zresztą miałem na przeprosiny ochotę. Gdyby Ararat jej nie powstrzymał, teraz Leszka leżałby nie związany, lecz zarżnięty.

Bardzo zdecydowanie poruszała się dziewczyna. I fizjonomię pokieroszowała Arze artystycznie. Cztery krwawe pręgi od prawego ucha do ust, cztery - od lewego. Wyszła taka zabawna ukośna kratka. Ależ gadania będzie w batalionie...

Nie podjąłbym kolejnych prób porozmawiania z Lucyną, ale ta znów powiedziała coś o okupantach. Ruscy okupanci, powiada, wynieślibyście się do swojej gównianej Rosji. Po rosyjsku powiedziała, żebyśmy zrozumieli.

- Kogo nazywasz Rosjanami? - spytałem, nie wytrzymawszy. - Ormianina, Azera, Tatara i Ukraińca?

- To wszystko jedno... wszystko jedno... Rosjanie wszystkich zarażają swoim jadem. Jesteście niewolnikami, robicie to, co wam rozkażą. Jesteście gorsi niż Rosjanie. Oni inaczej nie mogą, zawsze byli oprawcami, a wy... wy pacholkami tych oprawców.

Chłopcy spojrzeli po sobie i przemilczeli.

- Czego tu, u nas, szukacie? - spytała Lucyna. - Prosiłszy was do siebie?

- Nie prosiłście - powiedziałem. - Również i w czterdziestym czwartym nie zapraszaliście.

- I nie trzeba było przychodzić... A jeśli przyszliście bić Niemców, to dlaczego tu zostaliście? Rozbiliście ich, zdobyliście Berlin i wrócilibyście do siebie. Ale Rosjanie powiedzieli wam, żebyście zostali... Jesteście niewolnikami. Do Afganistanu poleźliście w ślad za Rosjanami. Po co, co tam jest takiego? Zabijacie kobiety i dzieci. Wy wszyscy - Rosjanie, Ukraińcy, Ormianie i Azerowie. I Tatarzy - dodała Lucyna, spojrzawszy na Galimowa. - Nie starcza wam męstwa i dumy, żeby wygnać Rosjan ze swojej ziemi. To i płacicie daninę krwią, swoją i cudzą... Gardzę wami. Wami wszystkimi!

- A wasi nie są tacy? - spytałem.

- Nie, nie są tacy! Polacy nigdy nie byli najeźdźcami! Nigdy nie poszlibyśmy do Afganistanu tylko dlatego, że ktoś tak zdecydował. Nigdy!

Głupia wychodziła rozmowa. Rozumiem to teraz, i wtedy rozumiałem, ale

nie mogłem się powstrzymać. Wychodziło obraźliwie. Chciało się powiedzieć dziewczynie, że jest głupia, wszystko co powiedziała to bzdura, ale przecież dobrze rozumiałem, że nie wszystko. Ale i nie we wszystkim miała rację.

Mogłem jej powiedzieć, że razem z Napoleonem w tysiąc osiemset dwunastym szli na Rosję nie na spacer, a ona by mi powiedziała w odpowiedzi o rozbiorach Polski i tłumieniu polskich powstań. Wpadł mi jakoś w ręce polski podręcznik historii, w którym bardzo obrazowo było napisane o Kozakach, nabijających na piki niemowlęta. A także o polskim mieście Lwowie.

A ja jej o polskich panach na Ukrainie. A ona - o napaści w trzydziestym dziewiątym. Ja - że zniszczyli ukraińskie republiki w dziewiętnastym, a ona - o Warszawie w dwudziestym.

I cóż z tego, że początkowo Polacy zajęli Kijów i dopiero potem cała ta zabawa przeniosła się pod Warszawę.

Dużo przed armią czytałem, interesowałem się historią.

Ale co mogłem przeciwstawić jej słowom o Afganistanie?

Nie było ich tam. Nasi nie wzięli ich z sobą, czy też wszystkie socjalistyczne kraje odmówiły - skąd miałem to wiedzieć? Mówiła to z takim przekonaniem, że wierzyło się od razu - ona nie pójdzie. I chłopak jej nie pójdzie walczyć na obcej ziemi.

Chciałem coś powiedzieć, ale wtedy otworzyły się drzwi, do kuchni zajrzał Stefan, i Lucyna zamilkła.

- Sierzancie - powiedział Stefan. - Nie mógłby mi pan służyć odrobiną swojego czasu...

Oczywiście, że mogłem. On miał pistolet, a ja nie. Wszystko w porządku, uczciwie.

- Znaczy się tak, towarzyszu sierzancie - cicho rzekł Stefan, gdy drzwi do kuchni zamknęły się. - Staniecie się teraz świadkiem pewnego ważnego wydarzenia. Wasze zadanie - siedzieć i milczeć. Dacie radę?

- Spróbuję - powiedziałem. - Milczeć - tego mnie uczyli. A potem?

- Potem, być może, wypuścimy was. Albo nie wypuścimy.

- Niewielki wybór.

- Szczerze mówiąc - ja bym wypuścił. Ale nie wszystko zależy ode mnie.

Nawet od dziadka Piotra nie wszystko zależy. Mamy gości i w zależności od wyniku rozmów...

Otwarły się na oścież drzwi wejściowe - pociągnęło zimnym powietrzem i wilgocią. Deszcz na dworze wciąż padał. I już nie szeleścił po kamieniach bruku, lecz łupił ze wszystkich sił. Jakby za wszelką cenę zapragnął owe kamienie porozbijać - na tłuczeń, a potem na piasek. I zmyć gdzieś do morza.

Do domu weszło czterech, jeden za drugim. Pierwszy - chłopak ze schmeisserem, podobny do tego, co nas na drodze zatrzymał. Chłopak odstąpił na bok i przepuścił trzech, którzy szli za nim.

W płaszczach z kapturami byli podobni do jakichś zbłąkanych gnomów. Ale kiedy kaptury zostały odrzucone, podobieństwo do baśniowych postaci zniknęło całkowicie. Od razu stało się jasne, że przyszli nie próżniaczy wędrowcy, lecz poważni ludzie. W pełni zdający sobie sprawę ze swojej wartości i z tego, że pozostali powinni ową wartość uznawać i przyjmować. W każdym razie - dwóch z trzech. Trzeci, niższy wzrostem, trzymał się pewnie, ale bez zuchwałości w ruchach. Poprawił wąsy, wytarł szkła okularów i z ciekawością omiół spojrzeniem pomieszczenie.

Wszyscy trzej byli prawie rówieśnikami, wszyscy mieli około czterdziestki, może ciut mniej, wszyscy trzej ubrani byli w garnitury - nienaganne; nie wiadomo dlaczego wydało mi się jednak, że trzeci, w okularach i z wąsami, nie pasował do nich. Pierwsi dwaj - zdecydowani, przepelnieni dumą i doniosłością. Widziałem takich wielu. Kierownicy, tacy rejonowego formatu. Zawsze i w każdym czasie wymagali w stosunku do siebie specjalnego traktowania. Wielki kierownik mógł pozwolić sobie na bycie demokratą i nawet pożartować z

prostym ludem, a tacy - nie. Tacy zawsze trwali w walce o swój image. Nawiasem mówiąc, kiedy zagrzmiało i ZSRR się rozpadł, oni w ogóle niczego nie stracili. Jak byli kierownikami, tak nimi pozostali. Partię zmienili - i zostali. A to, że byli komunistami... Ja, na przykład, jestem teraz pewien, że gdyby na wysokie stanowiska mianowali nie komunistów, a, powiedzmy, eunuchów, to w kolejce do kastracji stałyby tysiące. Jak nic wam mówię - tysiące i dziesiątki tysięcy.

Trzeci natomiast...

Niewysoki, nic szczególnego nie było ani w postaci, ani w twarzy. Jasne wąsy, solidne okulary... ale oczy za szklami okularów miały jakiś dziwny wyraz. Jakby przymierzał się do otaczających go ludzi, oceniał, jak przyłożyć, gdyby ktoś nagle pozwolił sobie na niepoważne traktowanie jego osoby. Gdyby wyobrazić sobie pana Wołodyjowskiego z Trylogii, gdyby wyrzucić go ze służby, odebrać szablę i uprzedzić, że walczyć nie może - wyszłoby dokładnie na to samo. Dokładnie tak spoglądałby i wyglądał „mały rycerz” w naszych czasach.

To znaczy, dwaj byli spokojni o swoje miejsce na tym świecie, a trzeci - gotów był o to miejsce walczyć, gdyby zaszła taka potrzeba. Tak mi się wtedy wydało. Być może tylko się wydało. W taką noc wiele się mogło przywidzieć.

- Co to ma znaczyć? - oburzonym głosem spytał jeden z tych, którzy weszli, ten, który pojawił się w domu jako pierwszy. - Czy wy tu powariowaliście? Co to za barykada na drodze? Co za uzbrojeni ludzie? Daję wam dziesięć minut na oczyszczenie drogi, złożenie broni i wyjaśnienie wszystkiego...

Nawet na zegarek próbował spojrzeć, powolnym, przepelnionym stanowczością gestem podniósł nadgarstek do oczu... próbował podnieść.

Stefan nagle podszedł do niego i przystawił parabellum do kierowniczego czoła.

- Kurwa mać... - kierownik ochryple wypuścił powietrze z płuc.

Drugi zrobił jakiś nieokreślony gest, jakby zamierzał wsunąć prawą rękę pod

swoją marynarkę, ale chłopak ze schmeisserem zacykał językiem i z dezaprobatą pokręcił głową.

- Ma pan broń? - spytał uprzejmie Stefan, dociskając pistolet do jego czoła.

- Nnnie...

- A pański towarzysz?..

- Nie wiem... Wojciech, masz broń? - spytał kierownik.

- Przecież wiesz, Heniek... - odpowiedział Wojciech, blednąc w oczach.

- Skąd miałbym to wiedzieć? - po twarzy Henryka ściekały krople, ni to deszczówka, ni to spocił się pan kierownik. - Nie mam związków z twoją służbą...

- Mam pistolet... Wyjąć? - Wojciech przelknął ślinę.

- Nie trzeba - Stefan lewą ręką obmacał kieszenie najpierw Henryka, potem Wojciecha, wyciągnął zza jego pazuchy niewielki pistolet i, nie patrząc, wsunął do kieszeni własnych spodni.

- Co to wszystko znaczy? - spytał Henryk.

Jeśli wszystko dobrze zrozumiałem, to był to sekretarz partyjny, a drugi, Wojciech, raczej z polskiego odpowiednika KGB. Dlatego Henryk zachowywał się o wiele swobodniej. To nie jego powinni, jakby co, zastrzelić w pierwszej kolejności.

- Ja nie mam broni - powiedział „Wołodyjowski” z taką miną, że zrozumiałem nawet ja: obszukać się nie pozwoli. Prędzej pogodzi się z kulą w łeb, niż pozwoli komukolwiek sięgać do swoich kieszeni. - Daję słowo honoru...

- Słowo honoru? - spytał z uśmiechem Stefan.

Człowiek z automatem także się uśmiechnął, usłyszawszy tak niepoważny argument.

- Panie Andrzeju!.. - Henryk podniósł głos, próbując sprowadzić „Wołodyjowskiego” na miejsce. Komu się będzie podobać, gdy współtowarzysz

zaczyna zachowywać się wyzywająco pod celownikiem. Mnie by się nie spodobało.

- No, jeśli słowo honoru - to niech będzie - skinął Stefan.

- Jakże nie uwierzyć?

- Zadałem panu pytanie - powiedział Henryk. - A pan...

- A ja nie odpowiedziałem. I nie zamierzam. Przyjechaliście porozmawiać z Leśnymi? Zgadza się?

Henryk rzucił szybkie spojrzenie na Wojciecha, ten ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

- Wiem, że rozmawiał pan z nimi wczoraj, ale dziś w ciągu dnia zadzwonili do pana i oznajmili, że Leśni chcą jeszcze o czymś pogadać...

- Skąd?...

- Skąd wiem? To ja dzwoniłem - powiedział Stefan.

Parabellum już schował do kabury, a na czole Henryka pozostało kółko po lufie pistoletu. Kalibru dziewięć milimetrów.

- Niemożliwe, skąd pan zna hasło? - spytał Henryk.

- To dobre pytanie, panie Henryku. Bardzo dobre. Hasło znał pan i Wojciech. Uzgodniliście je z Leśnymi przy ostatnim spotkaniu, wychodzi zatem na to, że to oni mi je zdradzili. I opowiedzieli o wszystkim. O tym, co im pan obiecał, i o tym, czego potrzebowali. Przy okazji, zapomniałem przedstawić panu towarzysza sierżanta Armii Radzieckiej. - Stefan kiwnął w moją stronę.

- Po co on tu...

- Po prostu. Żeby nieco ożywić atmosferę. Żeby stało się jasne - dogadać się z nami, jak zrobił to pan z Leśnymi, nie uda się. Ponieważ przyjdzie wtedy sierżanta zabić, żeby ten nie wygadał swoim szczegółów.

Pan Henryk popatrzył na mnie, i przeczytałem w jego oczach „zabić”. Jakbym w książce czytał, jasno i niedwuznacznie.

- Ale o tym - później. Teraz trochę poczekacie, a ja zajdę do Drwala... -

kiedy Stefan wymówił „Drwala”, obaj kierownicy zadrżeli i spięli się. - Po kilku minutach będziemy mogli kontynuować.

Stefan ruszył do drzwi, otworzył je, ale zatrzymał się na progu, jakby przypomniał sobie coś ważnego.

- Żeby nie wyszła jakaś głupota - ten oto chłopaczek z automatem strzela bardzo dobrze. I zezwolono mu na zabicie każdego, kto spróbuje wyjść z domu bez zezwolenia. Czy to jest zrozumiałe?

- A można palić? - spytał „Wołodyjowski”.

- Można - pozwolił Stefan i zamknął za sobą drzwi.

- Panie Andrzeju, zachowuje się pan... - Henryk wstrzymał oddech ze wzburzenia. - Rozumie pan...

- Mnie tu wcale nie ma - powiedział pan Andrzej. - Jestem teraz w Kanadzie, w sprawach handlowych. Nie ma mnie, jestem fikcją. Iluzją. Machnij ręką, a się rozwieje...

„Wołodyjowski” pomachał w powietrzu ręką, rozganiając obłoczek papierosowego dymu.

Palił pan Andrzej marlboro, a nie jakieś polskie czy radzieckie papierosy. Pudełko schował do kieszeni, nie proponując innym.

- Powiedziałem panu - te pertraktacje nie mają sensu. Nawet jeśli Leśni coś panu naobiecują, to obecnych jeszcze w tej grze jest paru innych uczestników. Taki Drwal...

- Nie trzeba o tym...

- Ale jeszcze niedawno mówił pan, że nie ma żadnego Drwala, a to wszystko to legenda. Leśnym się pan nie sprzeciwił, ale po rozmowie wypowiedział się pan jednoznacznie. I nawet Wojciecha ofuknął pan, kiedy ten się sprzeciwił i powiedział, że z jego agenturalnych informacji... Jak on powiedział, panie Wojciechu? Wsadźcie sobie swoje informacje gdzieś...?

Wojciech nie odpowiedział.

- A teraz...

- Wydaje mi się, panie Andrzeju, że trochę się pan zapomina... - syknął Henryk. - Zapomniał pan...

- To pan zapomniał, panie Henryku. Zapomniał pan, jak próbowałem odradzić tę aferę. Jak mówiłem panu, że są jeszcze ludzie mieszkający w pobliżu Wrót i im wcale się to nie spodoba... I wtedy oznajmił mi pan, że moja rzecz tłumaczyć. Nie jestem człowiekiem, lecz maszyną do przekładów. I swoją opinię mogę wsadzić sobie tam, gdzie pan Wojciech swoje agenturalne informacje. W ogóle jest pan bardzo pewny siebie, towarzyszu Henryku. I, obawiam się, nazbyt pewny. Według papierów - znajduję się daleko stąd. Mnie tu nie ma. I tylko pan będzie odpowiadał...

- Niech mnie pan nie straszy! - krzyknął towarzysz Henryk. Ja...

Otworzyły się drzwi.

- Wejdźcie! - powiedział Stefan. - I wy, sierżancie, także...

Swoje uczucie pamiętam do tej pory - pustka. Wewnątrz całkowita pustka. Niczym nadmuchiwany balonik, lecę na wietrze. A wokół, kurwa, mnóstwo igiełek, szpilek, kolców wszelakich. I niech tylko pójdzie coś nie tak, a pęknę, rozlecę się na drobne strzępki.

Przeszliśmy przez pokój z bronią - kaemu ani karabinów nikt nie schował. Uznali to za niepotrzebne albo zdecydowali, że zademonstrują powagę ich zamiarów. Ale towarzysze Henryk z Wojciechem na broń uwagi nawet nie zwrócili. Za to wpatrzyli się w to, czego nawet za drugim razem nie zauważyłem. W kącie pokoju stało kilka włóczy z długimi, szerokimi ostrzami.

Towarzysze wymienili spojrzenia.

Pan Andrzej nawet podszedł do włóczy, dotknął. Pokręcił głową zadziwiony.

- Proszę nie ruszać ostrza - powiedział Stefan.

Pan Andrzej stanął na czubkach palców, przyjrzał się ostrzom.

- No no... - wymamrotał. - Szybka śmierć?

- Nie - zaprzeczył Stefan. - Powolna. Bardzo powolna i bolesna. Uszaści i driady w tych miejscach posługują się tylko powolną trucizną. Tak im się bardziej podoba. Rana - człowiek zaczyna umierać. Może nawet pojawić się iluzja tego, że uda się wyprosić u Leśnych antidotum, oni nie odmawiają od razu. Myślą, radzą. Potem domagają się czegoś w zamian... Drobiażdżek. Z reguły dziesięcioro dzieci, nie starszych niż pięć lat, najlepiej dziewczynek. Nie słyszał pan o czymś takim?

- Słyszałem - cicho powiedział pan Andrzej i odszedł od włóczni.

- Dobrze, zapraszam... - Stefan otworzył kolejne drzwi, zrobił zapraszający gest ręką. - Wejdźcie do sali.

I faktycznie była to sala. Tyle tylko, że była jakby zlepiona z dwóch połówek. Podłoga była marmurowa, z białych i czarnych kwadratów o boku nieco krótszym niż metr. Zrobiwszy krok do przodu, poczułem się niczym figura szachowa. A zrobiwszy drugi - zrozumiałem, że ponad pionka nie mam co mierzyć.

Wzdłuż ścian stali królowie i królowe. Z marmuru, też czarnego i białego. Figury wykonane były bardzo naturalistycznie, z najdrobniejszymi szczegółami - z fałdami tkanin, puklami włosów. Rycerze w zbrojach, damy w długich do ziemi sukniach.

Tylko głów nie miały ni damy, ni rycerze. Zapewne wcześniej byli różnego wzrostu, mężczyźni wyżsi, kobiety niższe, ale teraz ktoś ich zrównał. Jakby gigantyczne ostrze ścięło górną część figur. Kobietom - same głowy. Rycerzom - razem z ramionami.

Kolumny z marmuru także były przycięte, i ściany - resztki ścian. Na półtora metra od podłogi - marmur, wyżej - drewno. Leżące horyzontalnie grube bale. I kolumny przedłużone ustawionymi pionowo kłodami.

Jakiś gigant ogromnym mieczem ściał górną część sali, niczym czubek jajka

ugotowanego na miękko. A potem ktoś po prostu nadbudował resztki ścian balami.

- Podoba się? - spytał Stefan. - Na mnie do tej pory robi wrażenie. Pan, panie Andrzeju, jak rozumiem, badał historię Wrót i wszystkiego, co z nimi związane?

- Nawet język Leśnych - powiedział pan Andrzej. - To, jak rozumiem, zamek na Granicy? To, co z niego zostało?

- Dokładnie. Linia pęknięcia przebiegła w ten sposób...

- Stefan wskazał ręką na skraj marmurowej ściany. - Niewykluczone, że gdzieś stoi górna część zamku. W jakimś innym świecie...

- Albo za Wrotami - rzekł w zamyśleniu pan Andrzej. - W piętnastym wieku ktoś wyraził przypuszczenie, że świat nie rozpękł się, lecz przesunął, jedna część ześlizgnęła się z drugiej. A zamkowi na Granicy dostało się już w końcowej fazie...

- Być może - Stefan podszedł do masywnego, drewnianego stołu pośrodku sali.

Trzy metry średnicy. I, jak mi się wydało, z jednego kawałka. Z pnia jakiegoś olbrzymiego drzewa. Za takim swobodnie mogli siedzieć rycerze. Tak, może i siedzieli wcześniej. Na tych samych drewnianych krzesłach z wysokimi, rzeźbionymi oparciami.

- Siadajcie - powiedział Stefan.

Nie powstrzymałem się i, nim usiadłem, przyjrzałem rzeźbieniu na oparciu krzesła. Był tam orzeł, jednak nie polski. Prędzej niemiecki, z koroną, jakby cesarską, na głowie. Na piersi - przewrócony półksiężyc z krzyżem, wyrastającym z niego dokładnie pośrodku, między ostrymi końcówkami. I dwie figury po bokach. Rycerz w pełnej turniejowej zbroi i goły muskularny mężczyzna, okryty dębowymi liśćmi. Obaj trzymali w rękach włócznie z flagami.

- Interesujące? - spytał Stefan, rozsiadając się na krześle.

- Piękne.

- To herb prowincji Schlesien. Czy, towarzyszu sierżancie, zwróciliście uwagę na leśnego człowieka?

- To... - z jakiegoś powodu dotknąłem palcem tego samego leśnego człowieka. - Czy to... właśnie ten Leśny?

- Myślę, że tak. Byli tu od dawna. Byli częścią tych miejsc, cechą charakterystyczną, jeśli wolicie. Ale ktoś widzi w nim mitycznego Oberona...

- A ktoś w mitycznym Oberonie widzi przedstawiciela Dawnych - zakończył za niego pan Andrzej.

- Mogło tak być - kiwnął Stefan.

Do sali wkroczył starzec, ten sam, który nazwał mnie Moskalem.

Brzmi to zapewne górnolotnie: wkroczył do sali, przez co rozumieć należałoby: krocząc z godnością przeszedł do swojego krzesła. Starzec po prostu wszedł. Jak do pokoju. Albo jak do boksu. I jednocześnie wyglądał na tle wszystkich tych obciętych rzeźb i kolumn bardzo na miejscu, całkiem naturalnie. Gdy szedł do stołu, wydało mi się nagle, że jest jednym z posągów tej sali. Tylko on nie poddał się owemu niewidzialnemu ostrzu, zdołał ustać, okazał się być mocniejszy od marmuru i granitu. I miał ów starzec nie siedemdziesiąt, jak wydało mi się na początku, lecz siedemset lat. Albo nawet tysiąc.

Potem diabelstwo rozwiał się.

- Nazywam się Piotr - powiedział starzec. - Nazywają mnie też Drwalem.

Henryk i Wojciech wymienili spojrzenia. Wojciech uniósł brew, jakby mówiąc - przecież uprzedzałem. A po ustach Henryka prześlizgnął się... nie, nie uśmiech, grymas jakby obrzydzenia.

- Dowiedzieliśmy się, że Leśni zaprosili was na rokowania - powiedział starzec.

Nie usiadł na krześle, stał obok stołu, pochylony nieco, wsparty pięściami o blat. Teraz był podobny do starego ptaka. Nie orła czy gryfa, lecz do wrony -

ogromnej, starej wrony.

- To nie wasza sprawa - powiedział Henryk. - To tajemnica państwowa.

- Po raz pierwszy od zawsze Leśni rozmawiali nie z Sowietami, a z wami. Z przedstawicielami polskich władz. Partia, oczywiście, w te pędy pobiegła stanąć na czele pertraktacji - uśmiechnął się starzec. - A co by powiedzieli Rosjanie, gdyby się o tym dowiedzieli?

- A to...

Stefan w milczeniu położył pistolet na stole przed sobą.

- Słyszeliście, towarzyszu Henryku - z największym spokojem zainteresował się pan Andrzej - że pistolety parabellum mają paskudny zwyczaj strzelać ni z tego ni z owego. Leży, nikt go nie rusza, a potem nagle, od najmniejszego wstrząsu... albo nawet spojrzenia - lubudu! U nas w Łodzi był taki przypadek... A pistolet, zdaje się, skierowany jest dokładnie w waszą stronę, towarzyszu Henryku.

- To znaczy, że nie zamierzacie już Ruskich brać pod uwagę? - spytał starzec.

- To znaczy jest pan pewien, że...

- Oni są przekonani, że dogadawszy się z Leśnymi otrzymują ochronę przed wszystkimi możliwymi udrękami. Rosjanie, Amerykanie, „Solidarność”, komuniści - wszyscy będą z nimi prowadzić rozmowy, wszyscy będą nimi zainteresowani... - powiedział z uśmiechem Stefan. - Leśni im to twardo obiecali... Prawda? Co jeszcze obiecali? A może już coś spełnili? Wszystkim coś obiecują. Wszystkim i każdemu. I zawsze naruszają swoje obietnice. Rosjanom obiecali nieśmiertelność. Elixir długowieczności. I co? Stalin się nie doczekał, ponieważ Leśni dogadali się z jego możliwymi następcami, Breżniew wierzył do ostatniej minuty, że dostanie... I co, dostał? A może Leśni znów zdążyli się już z kimś dogadać? Z kim? Z kimś z rosyjskiego Komitetu Centralnego? Pojutrze pogrzeb, jeśli się nie mylę, zostanie ujawniony następcą. Wszyscy wiedzą, że będzie to Andropow. Z nim dogadali się Leśni? Czy też z kimś z naszych? Takie

przyszły czasy - dogadywania się. Nie od razu, bez robienia nagłych ruchów, ale dogadywać się - dogadywać się - dogadywać. Zamarliśmy nad samą przepaścią. Polska zamarła - i wszyscy nagle zrozumieli, że najmniejszy drobiazg może zepchnąć ją w dół. Komuniści zrozumieli i antykomuniści też... Dogadywać się, a nie strzelać. Uchowaj Boże, jeśli na wystrzały zwrócą uwagę nasi sowieccy bracia. Zacznie się zawierucha, krwawa zawierucha... Możemy nienawidzić Ruskich, ale rozumiemy, że teraz tylko oni nie dają nam zarżnąć się nawzajem. Dlatego, jakbyśmy się nie dogadywali, musimy brać pod uwagę rosyjskie czołgi, samoloty, armaty... i tego sierżanta także...

Stefan popatrzył na mnie; nie odwróciłem wzroku.

Niech mówi. Może ma rację, może łże, mam to gdzieś. Mam siostrę i mamę. Nie chcę nikogo zabijać i nikogo do niczego zmuszać. Chcę o czasie wrócić do domu. Ale jeśli ktoś, choćby Stefan, czy Leśni, „Solidarność” czy miejscowi komuniści spróbują zabić mnie lub moich przyjaciół, będę walczył nie o zwycięstwo komunizmu, nie za pokój na świecie, lecz za siebie i swoich przyjaciół.

Na tym polega sekret wszystkich rządzących Ziemi. Trzeba wziąć zwykłych, normalnych ludzi i wysłać ich na cudze ziemie. Nie trzeba ich szczuć na miejscowych, bo po co? Wszystko wydarzy się samo. Miejscowi będą nienawidzić przybyszy, którzy sami niezbyt dobrze odnoszą się do swoich władz. Wcześniej czy później nienawiść przekształci się w coś realnego. Ktoś na niby wyceluje w ślad za przejeżdżającym samochodem, a ktoś weźmie i z niego wystrzeli. Albo czyjaś stalowa kulka z łożyska przebije czaszkę jednemu z okupantów...

- Nie odejdziemy stąd - powiedział starzec. - Nikt z nas stąd nie odejdzie. To nasza ziemia, bez względu na to, co o tym sądzicie...

- Posłuchajcie jednak... - Henryk odkaszlnął i wstał z krzesła, jak na zebraniu partyjnym. - Nie rozumiecie.

- A co tu rozumieć? Są Wrota. Jest Diabelski Kraj za nimi. Są Leśni i driady, które żyją w Diabelskim Kraju, tuż za Wrotami, na granicy z naszą ziemią. A za Wrotami są jeszcze potwory i jest magia z czarami. Leśni i Driady jakoby ochraniają naszą ziemię, powstrzymują potwory, żeby te nie przeniknęły tutaj... Tak?

- W ogólnych zarysach, to tak... - powiedział Henryk. - Tak. Coś was nie urządza?

- Nie urządza mnie, kiedy mnie okłamują - rzekł spokojnie staruszek. - Złości mnie to.

- Kto was okłamuje?

- Leśni. Nasi też lżą, i sowieccy lżą... Wszyscy przemilczają to, że tu w ogóle są Wrota. Milczą. Jeśli ktoś próbuje o tym opowiedzieć, to... A ty, chłopcze - staruszek wskazał na tłumacza. - Skąd znasz język Leśnych? Przecież nie sam się nauczyłeś?

- Zaproponowali mi - powiedział pan Andrzej. - Mam talent do języków, to i zaproponowali. Zamierzali, jak później zrozumiałem, handlować ze Starożytnymi.

- A potem rozmyślili się?

- A potem Rosjanie powiedzieli, żeby nasi tutaj nie włączili. Że jesteśmy na to za cieni - brzydko uśmiechnął się Wojciech. - Dla Rosjan to możliwość otrzymania czegoś interesującego w zamian za produkty i różnego rodzaju drobiazgi. Dla Rosjan to wspaniałe miejsce na bazę. Diabelskiego Kraju za Wrotami nie widać z kosmosu, satelity szpiegowskie nie namierzą go, można tam ukryć choćby milion czołgów, zbudować setki lotnisk. Można nawet schować się tam, jeśli rozpocznie się wojna jądrowa. Przepiękne miejsce. Tylko jedno wejście - przez Wrota. Można ich bronić bez końca.

- Nazbierało się, co? - niemal ze współczuciem spytał Stefan.

- Nawet u naszej tajnej policji znajdzie się poczucie patriotyzmu?

- Niech pan sobie wyobrazi - wyzywająco krzyknął Wojciech. - Znajdzie się. I zrobimy wszystko, żeby wrota należały do nas, do naszego kraju...

- Tak, a kraj był od morza do morza - powiedział cicho pan Andrzej.

Wojciech rzucił na niego spojrzenie pełne złości, ale nic nie powiedział. Wstrzymał oddech.

- Zatem Leśni obiecali, że będą z wami przyjaźnić się bardziej szczerze niż ze starcami z sowieckiego KC? - Stefan rozłożył szeroko ręce. - I uwierzyliście? Ach tak, Breżniew trzy dni temu umarł, teraz wszystko będzie inaczej.

- Teraz ich starcy będą wymierać - cicho powiedział Henryk. - Jeden za drugim. I cokolwiek by robili, wszystko szybko się rozwali. Pięć lat - i już. No, może dziesięć. Są gotowi stąd odejść, trzeba ich tylko popchnąć.

- A Leśni to wspaniali sojusznicy. Niezawodni. I Breżniewa, uważaj, zabili... Proszą tylko o drobiazg - żeby im tutejsze ziemie zwrócili. Żeby mogli swoje kobiety i dzieci tutaj ukryć, a sami, rzecz jasna, będą powstrzymywać diabelstwo z tamtej strony. Niezawodnie, jak zawsze... - obwieścił Stefan. - Tak?

- Tak - skinął Henryk.

- Nie, nie tak! - krzyknął starzec i uderzył dłonią w stół.

- Nie tak! Oni nie bronią naszych ziem: stwory z tamtej strony swobodnie pełzną tutaj i już dawno wszystko by tu podbiły, gdyby nie my... Chcicie, zaprowadzę was do komórki, pokażę wypchane eksponaty? Nie? Łowimy i unicestwiamy potwory. Chodzimy nawet za Wrota. I wiecie co? Leśni są tam dla nas bardziej niebezpieczni od potworów. Leśni zabijają każdego, kto przychodzi na ich ziemie. Leśni i Driady.

Chodzimy do Diabelskiego Kraju tylko wtedy, kiedy nie mamy już innego wyjścia. Kiedy giną dzieci... Regularnie zwracamy się do władz, informujemy, że zaginęła dziewczynka. Każdego roku po kilka. Co nam odpowiadają? Tu są bagna, dzikie zwierzęta. To nasi ludzie, odpowiadają. A Leśni śmieją się nam w twarz. A teraz uzgodniliście z nimi, że powinniśmy zostawić nasze domy i pola,

przeprowadzić się do innych wsi i miast. Dlaczego?

- Dlatego, że każdy ma prawo do życia - z przekonaniem powiedział Henryk. - I jeśli tysiące rozumnych stworzeń proszą o pomoc, to...

- Stworzeń? Żywych stworzeń? Poczekajcie, spróbujmy się w tym wszystkim połapać. Z punktu widzenia nauki nie istnieją. Nie mogą istnieć. Smoki nie mogą istnieć, widma nie mogą istnieć, Leśni nie mogą istnieć. Czyż nie tak? Z komunistycznego punktu widzenia też ich nie ma. To mistyka, wszystkie te wiedźmy, czarownicy, przywidzenia. A mistyka - to wymysł, wytwór religijnego mroku. Prawda? - Stefan uśmiechnął się. - A z punktu widzenia kościoła - kim są te stwory? Uszaści są ludźmi? Mają duszę? Wiecie, jak z nimi postępowano w wiekach średnich? Wiecie? Zgadza się - na stos. Tępiono ich jak dzikie zwierzęta, ponieważ byli nie lepsi od dzikich zwierząt. Zabijano ich, torturowano, unicestwiano wsie i osady...

- Walczyli o...

- A niech walczą o co im wygodnie... - machnął ręką Stefan. - Ale oni walczą o ziemię, którą taki pan Piotr uważa za swoją. I jeszcze tysiące Polaków uważa za swoją. Oni nie mają prawa do swojej ziemi?

- To demagogia! Czystej wody demagogia - opędził się zdecydowanie Henryk. - Tysiące Polaków. Przecież nie na pustynię proponujemy ich przesiedlić. Osiedlimy ich w o wiele lepszych warunkach. Kto zechce - w oddzielnych domach jednorodzinnych, kto zechce - w mieszkaniach. My...

- A jeśli ja nie zechcę? - przymrużył oko starzec. - Nie chcę stąd odchodzić. Będziecie mnie wysiedlać pod przymusem? Sprowadzicie wojsko? Będzie wojna. Ona i tak będzie. Czy dacie radę wyjaśnić pozostałym, że walczyacie nie o przedłużenie życia reżimu komunistycznego, lecz z grupką ludzi, nie chcących odstąpić swojej ziemi obcym? I wiecie, co się stanie, jeśli Uszaści przesiedlą się tutaj, a granica z ich ziemią stanie się dłuższa, nie setki metrów jak teraz, lecz na wiele kilometrów? Wyobrażacie sobie, co stanie się później? Przyjdą za nimi

potwory. I zaczną rozpelzać się wokół. Wciąż więcej i więcej. I nikt tych potworów nie będzie w stanie powstrzymać. Nie da rady. Na przykład smok przyleci do Wrocławia. Albo dotrze do Warszawy... Albo do Krakowa, by zemścić się za swego dalekiego krewniaka. W rzekach i błotach pojawią się monstra. Dawno nie widzieliście wilkołaków na wybrzeżu?

- Zatrzymają je Leśni, rozmawialiśmy z nimi o tym...

- To dlaczego już teraz tego nie robią? Dlaczego naszych zwiadowców przechwytyją i likwidują? Jest im potrzebna cała nasza ziemia, nie zatrzymają się... Wiem to, nie zatrzymają się. Będą rozpelzać się wciąż dalej i dalej...

- Ale inaczej zginą - cicho powiedział pan Andrzej.

- Powiedzieli to panu? - chciał dowiedzieć się staruszek. - A cóż jeszcze panu powiedzieli.

- Nie chcecie zrozumieć - Henryk usiadł na krześle i znów się poderwał. - Tam są tysiące ludzi...

- Leśnych - poprawił staruszek. - Oni nie są ludźmi.

- No i co? Oni żyją, cierpią. Trzeba ich ratować.

- To przesiedlcie ich po jednym, po dwóch. I tak przyjdzie wam opowiedzieć ludziom o nowych sąsiadach, a oni sami nie będą się ukrywać. To teraz zabijamy ich, jak tylko znajdą się w pobliżu naszych domów, a tam nie zaczną się chować. Rozsiedlajcie ich zatem po jednym na wieś, po dwóch. Męża z żoną, w skrajnym przypadku z dziećmi... - starzec przy każdym słowie uderzał pięścią o stół. - Jeśli chcą wyżyć, to...

- Nie mogą tak postąpić. Powinni chronić swoją kulturę - Henryk znów dojrzał do dobrze sobie znanego tematu i zaczął mówić z przekonaniem. - Chcą pozostać narodem, zachować tysiącletnią kulturę. I kto, jak nie Polacy, mogą ich zrozumieć? My, którzy tyle lat przeżyliśmy pod cudzoziemskim uciskiem, chroniąc swoje polskie serce. Czyż nie rozumiemy takich uczuć u innego rozumnego stworzenia?

Starzec zachichotał.

Wyglądało to strasznie - starca zgięło w pół, jego ciało trzęsło się, niczym w ataku padaczki.

- Cóż takiego śmiesznego powiedziałem? - chciał wiedzieć Henryk.

- Zapomniał pan, w jakim miejscu się znajduje - wydusił z siebie starzec między atakami chichotu.

- W zamku?

- Nie, na Śląsku. Na Śląsku. Pamięta pan, jak wysiedlali stąd Niemców? Po prostu wyganiali z domów albo pozostawiali na kilka lat, by mogli odpracować przestępstwa. Pamięta pan? A pamięta pan, że przesiedlali tu ze wschodniej granicy Ukraińców? Tych, którzy postanowili żyć w Polsce, a nie w Związku Radzieckim? I nikt nas nie pytał, czy chcemy chronić swoją kulturę i poczucie narodowe. Przywieźli nas tutaj i osiedlili po jednym, po dwóch ludzi w polskich wsiach. Wiecie, jak na mnie patrzyli sąsiedzi? Jak na bandytę. Przecież pomagałem ukraińskim nacjonalistom. I pomagałem im, żywnością, materiałami. Nawet razem z nimi walczyłem przeciwko bolszewikom i przeciwko waszym. Ale kiedy pojawiło się pytanie - żyć czy zdechnąć, wybrałem, jasna sprawa, życie. Zostałem Polakiem. I moje dzieci zostały Polakami, nawet nie znają ukraińskiego. Nie uczyłem ich, ponieważ żyją w Polsce, znaczy się - Polacy. Mój młodszy mieszka w Gdańsku i jako jeden z pierwszych wyszedł na ulicę. Moje wnuki uczą się w Warszawie, na uniwersytecie, i noszą w klapach te części radiowe, jak one tam się nazywają... oporniki. Nazywają Rosjan okupantami i nienawidzą komunistów. Nawet słowem się nie sprzeciwiłem. Mają prawo. Tylko kiedy wnuk przyjechał tutaj o broń prosić, sprąłem go. Ponieważ nie można zabawiać się ogniem w rodzinnym domu. Nie można, jego mać! Ruscy są tutaj? Strzelać do nich? Przecież odejdą, wcześniej czy później. Kola nas w oczy, niby wspierają naszych komunistów. Ale przecież nie wyganiają nas z domów, w nasze sprawy nie leżą.

Dlatego wnuka spralem, a on się nie pogniewał - zrozumiał. Wiemy, że to nasza ziemia. Wiemy. I oni wiedzą, wszyscy wiedzą. Mam gdzieś, że wcześniej żyli tu Niemcy, mam gdzieś, że wyrzuciliśmy ich stąd niczym śmieci. To moja ziemia, i nikt nie ośmielił się mi rozkazywać, jak na niej żyć! Kiedy pojawiły się u mnie chłopaczki z miasta z wypchanymi portfelami, obejrzały moje pole i spytały, ile bym zarobił na urodzaju, co im powiedziałem? Spytałam, na co im to? Odpowiedzieli - zapłacą mi tyle, ile planowałem zarobić, byle tylko pszenica zgniła na polu. Nawet z górką chcieli dać, żebym nie zbierał swojego chleba na swojej ziemi. Żeby w sklepach nie było chleba, to pomoże Polsce odzyskać wolność. Pogoniłem ich. A teraz chcecie, żebym stąd odszedł? Tam, w sąsiednim pokoju, umiera mój syn Bolesław. I będzie umierać jeszcze wiele dni, jeśli nie zdecyduję się wziąć grzechu na własne sumienie i własną ręką...

Starzec zamilkł, próbując zapanować nad sobą.

Wszyscy w sali milczeli. Henryk bezszelestnie usiadł na krześle. Stefan zabrał pistolet ze stołu, schował do kabury i opuścił głowę.

- Takich są tu setki. Takich jak ja. Polaków. Mieszkańców tej ziemi. I nie odejdziemy stąd. Będziemy bić się z nimi i z wami, jeśli spróbujecie... i z Rosjanami też będziemy się bić, nawet jeśli z tego powodu zapłonie wszystko wokół... Wolę spłonąć we własnym domu niż oddać go komuś, tym bardziej...

- starzec powoli usiadł. - Walczymy z nimi już dziesiątki lat. Bronimy was, bronimy wszystkich ludzi, żyjących w tym kraju... całego świata bronimy.

- Nie za dużo aby na siebie bierzecie? - spytał Wojciech, spoglądając na swoje ręce. - Takie brzemień nie do udźwignięcia. Nie boicie się, że Rosjanie przestaną strzec Wrót, przepuszczą Leśnych tutaj i nie będą to maleńkie oddziały, lecz wszyscy, wszyscy ich wojownicy. I nie tylko pański syn - setki czyichś synów polegą w tej wojnie. Tego się pan nie boi?

- A spróbujmy - powiedział prosto starzec. - Może kiedy Rosjanie przestaną strzec Wrót, przejdziemy przez nie? I to nas będą tysiące i dziesiątki tysięcy?

Wypalimy w końcu gniazda, z których wypelzają potwory, nie będziemy odławiać ich tu po jednym, lecz zniszczymy ojczyznę tych stworów? Znajdziemy w końcu tych, którzy wywołują upiory, dowiemy się co się tam naprawdę dzieje, za Wrotami?

- Nie puszczą was tam. Ani Rosjanie, ani nasi. Tam...

- Wiemy - powiedział Stefan. - Tam jest kraj niewyobrażalnych możliwości. Tam są skarby i magia. I ktokolwiek by był u władzy, na początku spróbuje zagarnąć to wszystko swoimi rękami. Jutro w Warszawie zmieni się władza - i co, ludzie staną się inni? Tam, w fotelach nagle, nie wiadomo skąd, pojawią się święci nieprzekupni i samarytanie? Wciąż będą tacy jak wy, którzy zdążą zakręcić się i dogadać. Na pewno już zaczynacie się dogadywać. Jutro, pojutrze zaczniecie wypuszczać tych, których posadziliście po Radomiu. Trzeba tylko poczekać i starcy z KC wymrą, a młodzi zapragną zmian, przecież przy zmianach tak wygodnie organizować swoje ciemne interesiki. Tyle tylko, że my nie chcemy być pionkami na planszy. Wiemy, co nas czeka, jeśli zgodzimy się stąd wyjechać.

- Musicie jednak zrozumieć!...

- Niczego nie chcemy rozumieć - uciął starzec. - Już zdecydowaliśmy. I tej decyzji nic już nie zmieni.

- Po co w takim razie nas wezwaliście? Zaczęlibyście swoją partyzancką wojnę! - wykrzyknął Henryk. - Czy też mimo wszystko nie starcza wam odwagi i postanowiliście dogadać się z nami? Przedstawić swoje warunki w negocjacjach, zostać trzecią stroną? I sądzicie, że wam się to powiedzie?

- Nie, oczywiście że się nie powiedzie - powiedział pan Andrzej. - Nie zrozumiałeś jeszcze wszystkiego? Wezwali nas, żeby poinformować o swojej decyzji. A to, że znali hasło i to, o czym pertraktowaliście, niczego ci nie wyjaśnia? Nie zrozumiałeś, że oni...

Rozległ się ogłuszający gwizd, nawet ja się wzdrygnąłem. Skupiłem się na tym, żeby rozumieć ich rozmowę. Nikt więcej nie mówił po rosyjsku, krzyczeli,

wypluwając bardzo szybko słowa, mimo to jednak rozumiałem ich. Słuchałem, słuchałem, słuchałem, rozumiałem, co mówią, nie zawsze jednak - o czym. Wtedy - nie rozumiałem.

Starzec zagwizdał na czterech palcach, otworzyły się drzwi w dalszej ścianie Sali i ktoś przez nie wepchnął człowieka. Tak wydało mi się na początku.

Drzwi zatrzasnęły się, człowiek nie utrzymał się na nogach i upadł: Twarzą na marmurową podłogę - ręce miał związane za plecami.

- Kiego czorta?! - Henryk i Wojciech skoczyli na nogi.

- Siadać! - rozkazał Stefan, a kiedy kierownicy nie posłuchali, machnął ręką.

Mężczyzna z karabinem, o którym wszyscy już zdołali zapomnieć, puścił serię w ścianę. Po belkach. Poleciały drzazgi, zapachniało spalonym prochem.

- Siadać! - powtórzył Stefan, wstając z krzesła. - Wszystko wam pokażę.

Podszedł do leżącego i szarpnięciem, dwoma rękami, postawił go na nogi. Zmusił do podejścia do stołu.

To była kobieta. Była, ponieważ pozostało z niej niezbyt wiele. Nie miała oka - pusty oczodół był zapełniony zapiekłą krwią. Jej uszy... Zebrało mi się na wymioty i odwróciłem się.

- Zwariowaliście - niemal jęknął Henryk. - Czy rozumiecie, że...

- A czy wy wiecie, co oni robią z myśliwymi, gdy złowią ich za Wrotami? - odpowiedział pytaniem starzec. - Wiecie, co wyprawiali tu w latach czterdziestych... wspólnie z Niemcami? Jak palili wsie przesiedleńców?

- Kiedy to było? Będziecie mścić się za przestępstwa przeszłości... Za cudze...

- Dlaczego za cudze? - spytał Stefan. - Ta kreatura dostała za to, co zrobiła sama. Oni żyją długo, czyżbyście zapomnieli?

Stefan odwrócił ofiarę twarzą do światła - nie widziałem, usłyszałem tylko, jak powiedział: proszę, popatrzcie.

- W czterdziestym piątym nazywali ją Białą Śmiercią. I zaocznie skazali na

karę śmierci. Na własne oczy widziałem fotografie w archiwum. Ona - patrosząca dzieci. Ona - rąbiąca na kawalki polskiego milicjanta. Ona - podpalająca polską szkołę pod Legnicą...

A potem usłyszałem jej głos - głęboki, dźwięczny, niewymownie piękny. Niemal odwróciłem się na jego dźwięk, ale w samą porę się powstrzymałem.

- Zabijałam... Zabijaliśmy... - powiedziała kobieta. - Wspólnie z Niemcami. Ponieważ i oni, i my chcieliśmy pozostać tu, w swej ojczyźnie... tak trudno to zrozumieć?

- Ilu zabiłaś?

- Nie liczyłam... Setkę... tysiąc... Zabijałam tak długo, że nie byłam w stanie zapamiętać. A ty pamiętasz, ilu ludzie zabili naszych? Wy, żyjący dając się policzyć lata, odbieraliście nam wieczność. Kiedy wydarzyła się Koniunkcja Świątów, zaczęliście nas zabijać. Przyszliście do naszych lasów, rąbaliście drzewa, a przy okazji i nas. Po prostu, żebyśmy nie płatali się pod nogami. I zabijaliście nas przez wieki. Na początku po prostu jako obcych, potem - paliliście jako wytwory diabła... mogliście walczyć jeden z drugim, ale nas staraliście się zabijać w każdym przypadku. Kiedy przyszli tu ludzie z Czech, walczący z katolikami, nie zgasili ognisk. Palili nas. Zrozumieliśmy, że zwyciężyć was można tylko w sojuszu z wami. I nauczyliśmy się zawiązywać sojusze...

Patrzyłem na ścianę. A raczej na pozbawioną głowy statuę pod ścianą. Jeszcze wczoraj świat był tak prosty i przejrzysty. Nawet żywe widma były tylko przykrym defektem w kryształach codzienności.

Teraz przede mną otworzyły się na oścież drzwi... nawet nie do innego świata, nie, otworzyły się drzwi do piekła. I wiecie, byłem chyba nawet rad, że to nie mnie przyjdzie szukać wyjścia z tego krwawego labiryntu. Zostało mi wszystkiego sto trzydzieści pięć dni.

To ich sprawa. Ich problem. Nie mój. Obok mojego domu nie ma takich Wrót. Poszczęściło mi się. I dobrze.

- Niech pan posłucha - powiedział Henryk. - Wie pan przecież, kim ona jest. Przecież rozumie pan, że Leśni nie wybaczą jej śmierci ani mnie, ani panu, ani żadnemu z pańskich ludzi...

- Wiem - powiedział starzec.

- Wypuście ją - poprosił Wojciech. - Wy i tak nie macie nic do stracenia, o Drwalu wiedzą, Drwała i tak czeka śmierć. Ale jeśli zginie ona, to więcej nie będzie negocjacji... Będzie tylko śmierć...

Huknął strzał.

Brzęknęła luska o podłogę. Głucho uderzyło padające ciało.

- Będzie tylko śmierć - powiedział Stefan. - Przyjdzie nam ich zniszczyć, jeśli zechcemy przerwać śmierć. Czyż nie tak?

- Bądź przeklęty - jęknął Henryk. - Bądź przeklęty...

- Już od dawna jestem przeklęty - powiedział Stefan. - Od tego samego momentu, w którym zagięły moje córki i zginęła moja żona. Sierzancie!

Przyszło mu powtórzyć jeszcze dwukrotnie, nim zrozumiałem, że to do mnie się zwraca.

- Idź do piwnicy, zabierz swojego żołnierza.

- Tak, dobrze.

- Nim wejdiesz, zapukaj do drzwi. Powiedz, że ode mnie. Inaczej on...

Wstałem.

Pan Andrzej wstał.

Wyszedł w ślad za mną.

Zeszliśmy do piwnicy, zapukałem do drzwi, krzyknąłem, że przysłał mnie Stefan, potem odsunąłem zasuwę.

Leszka już był rozwiązany. I zdążył nieco wypić - butelka jakiejś mętnej lury stała między nim a wartownikiem.

- O! - wrzasnął Leszka, gdy tylko mnie zobaczył. - Zjawił się... A my tu z Maciejem za polsko-radziecką przyjaźń odrobinę. To w porządku facet. Tylko

głupi. Piosenkę śpiewał, o dziewczynie do laseczka. Taką przyśpiewkę nam zwędzili... Gdzie jest ta ulica, gdzie jest ten dom - przecież to nasza pieśń. Już ją w filmie „Młodość Maksyma”... śpiewali. Tłumaczę mu, a on nie rozumie... ni w ząb nie rozumie ludzkiego języka. Powiedz, dlaczego nie rozumie, kiedy mu po rosyjsku tłumaczę...

- Dobra, Leszka, idziemy... - powiedziałem. - Pora na nas...

- No, skoro pora to pora, to ty jesteś sierżant, ty wiesz lepiej... - Leszka wstał z ławki. - Jesteś dobry człowiek, chociaż i swołocz... Wszyscy wy chachoły jesteście swołocze... Dobrzy ludzie, ale swołocze...

Pan Andrzej powoli podszedł do kraty.

- Tam nie można - powiedział strażnik, podnosząc się zza stołu. - Niebezpieczne to. Wczoraj Michała zabili. Podszedł, a oni mu gardło wyrwali. Ręką... ot tak, po prostu...

Strażnik wziął w lewą rękę latarkę ze stołu, w prawą - automat. Podszedł do klatki.

- Niech pan sobie idzie - strażnik lekko tknął ramieniem pana Andrzeja. - Jak rozumiem, na górze już zakończyli?

- Tak.

- To znaczy, że i tutaj trzeba posprzątać. Żeby każdy...

- strażnik postawił latarkę na podłogę, szarpnął zamkiem automatu.

- Co pan zamierza robić? - spytał tłumacz.

- A jak pan myśli? Przecież im rąk nie związali, kiedy tutaj wtaszczyli. Od razu się nie zorientowaliśmy, a teraz - za późno. Myśli pan, że tak po prostu wyjdą? - strażnik westchnął. - Chcesz - nie chcesz, a przyjdzie... Idźcie sobie, po co to wam...

Pan Andrzej odwrócił się i wyszedł z pokoju. Wyprowadziłem Leszkę w ślad za nim.

Zdążyliśmy wspiąć się do połowy schodów, gdy za plecami huknęła seria z

automatu. Potem - jeszcze jedna. I kilka pojedynczych wystrzałów.

Na górze obok luku stali wszyscy moi chłopcy. I Lucyna z Jerzym. Stali i patrzyli na nas.

Pan Andrzej zapalił papierosa, Leszka od razu poprosił dla siebie. Tłumacz poczęstował wszystkich.

- Zabili ich? - spytała Lucyna.

- Tak - powiedziałem. - A co?

Lucyna nie odpowiedziała. Chciałem powiedzieć coś obraźliwego, spytać, czy nie chciała sama tego zrobić, ale popatrzyłem na jej pobladłą twarz i przemilczałem.

- To nasza ziemia - powiedziała Lucyna. - I my z niej nie odejdziemy. Nigdy...

- To ich ziemia - powiedział pan Andrzej. - Oni nie są zza Wrót, a stąd. I stworzenia, które tam żyją - też są nasze, tutaj po prostu je unicestwiono. A tam przeżyły. Monstra, potwory...

Dopalił papierosa, wyciągnął następnego, przypalił od niedopalka.

- Początkowo ucieszyli się nawet, gdy otworzyły się Wrota. Myśleli, że zdołają tam schować się przed ludźmi, przeżyć... - Pan Andrzej zaciągnął się mocno. - Przeżyli, tylko... Okazało się, że ich kobiety nie mogą tam rodzić. Ani zająć w ciążę... Tylko tu.

- Co? - cicho spytała Lucyna.

- Dlatego tu się pchają. Dlatego porywają dzieci. Chcą przeżyć. Żyją długo, bardzo długo, dzieci natomiast... I tu rzadko rodzili, a tam w ogóle. Z poprzednimi gospodarzami uzgodnili, że ich młodym parom pozwolą jakiś czas tu żyć, dopóki dziecko się nie urodzi. Za to im służyli. I dlatego walczyli tu nawet wtedy, gdy Niemcy odeszli. A potem... Milczeli o tym, rozumiejąc, że inaczej będą ich szantażować. Wy nam - to, a my wam - możliwość posiadania dzieci...

- To nieprawda - powiedziała Lucyna.

- Niestety - powiedział pan Andrzej. - Mówilem tamtym, że negocjacje to głupota. Negocjacje to pułapka. Leśni chcą napuścić na siebie Rosjan i Polaków, żeby co najmniej się zemścić. Nikt mi jednak nie wierzył. Jeśli dogadamy się z Leśnymi, to Rosjanie po prostu odsuną się na bok, jasna sprawa. To takie łatwe - odsunąć się na bok. Szczególnie, jeśli odsunąć się powinieneś nie ty, lecz twój sąsiad.

- Wszyscy tutaj... - Stefan podszedł do nas, westchnął.

Za jego plecami stał facet z automatem, a zatem nic się jeszcze nie skończyło. Może dogadali się z towarzyszami z kierownictwa? I wyprowadzą nas z domu, i...

- Wiecie, towarzyszu sierżancie, poszczęściło się wam...

- powiedział Stefan. - Postanowiono was wypuścić. Żebyście opowiedzieli swoim o tym, co tu zaszło. Diabelski Kraj pozostanie u nich, u waszych. Nasze władze we Wrota nie poleżą. Dopóki Sowietci będą tutaj, rozumie się. A potem... Dowiemy się, co z tym bogactwem robić. Może sobie zostawimy, może...

Na próżno Stefan próbował wyglądać na wesołego i pewnego siebie. Ręce mu się jednak trzęsły. I usta. Oczywiście, mścił się za dzieci i żonę, swojej ojczystej ziemi bronił, ale przecież nie był oprawcą. Tak właśnie - nie był oprawcą, widziałem to po jego oczach.

- Herbaty na drogę nikt nie chce? - spytał Stefan.

Chcieliśmy jak najszybciej zabrać się stamtąd.

- Nie macie co się spieszyć i tak przyjdzie jeszcze kilka godzin czekać albo iść pieszo wzdłuż drogi.

- Barykada? - spytałem.

- Nie ma już barykady. Ale droga jest zajęta. Chłopaki do mnie zadzwonili: radzieccy towarzysze, okazuje się, czujnie trzymali rękę na pulsie swych polskich

braci.

Kiedy otworzyły się drzwi na dwór, usłyszałem głuchy niski ryk. Początkowo nawet przestraszyłem się, że to jakiś smok, którego przygnali Leśni, żeby się zemścić. Ale potem zorientowałem się, że to ryczą silniki. Mnóstwo potężnych silników.

Zabraliśmy swoje łopaty i ruszyliśmy w stronę ryku. Poszedł z nami Stefan. Szedł w milczeniu, trzymając ręce w kieszeniach kurtki. Deszcz skończył się, tylko z gałęzi kapalo. Chmury wciąż jednak wisiały nad samymi czubkami drzew.

Drogą sunęła radziecka technika wojskowa.

Czołgi i bojowe pojazdy piechoty. „Szyłki” czujnie wpatrywały się swoimi automatycznymi działami w niebo, zapewne wypatrując smoków.

Jeden za drugim nad samymi głowami przeleciały „krokodyle” - cztery sztuki.

Interesujące, pomyślałem, co powiedzieli chłopakom siedzącym w pojazdach, gdzie idą i z czym przyjdzie im mieć sprawę? Czy im także będą robić wykłady z sytuacji politycznej, opowiadać o progresywnej roli Związku Radzieckiego, czy jednak przyznają, że świat, mimo wszystko, jest znacznie bardziej złożony, niż wynika to z podręczników? Ostrzegą o „widmach” i o tym, że broń Leśnych wysmarowana jest powolną śmiercią?

- Wybacz, sierżancie - wykrzyczał Stefan, pochylając się do mojego ucha. - Teraz waszym chłopcom przyjdzie umierać w Diabelskim Kraju...

- Aha - powiedziałem. - A potem waszym. Przecież kiedyś stąd odejdziemy, sam pan przecież mówił. Z Polski odejdziemy, z Afganistanu też. A wy przyjdziecie po nas. Dla was też wymyślą piękną i wzniosłą ideę.

Mówiłem z przekonaniem - jakby spłynęło na mnie objawienie, jakbym w rzeczy samej widział przyszłość. Czasami coś takiego się ze mną dzieje.

- A jak wyjaśnisz staremu, że można było tego wszystkiego nie urządzać? -

spytałem ze złością. - Trzeba było po prostu poczekać, i Leśni nienawidziliby tylko nas? Albo wywozilibyśmy ich do uzdrowiska na rozmnażanie. A syn starca, Bolesław, żyłby dalej. Ile jeszcze dni przyjdzie mu się męczyć?

- Wymęczył się - cicho powiedział Stefan, tak cicho, że odczytałem to słowo tylko z jego ust.

Odeszliśmy bez pożegnania. Po kilku kilometrach zatrzymał nas patrol. Potem odwieźli nas prosto do sztabu Północnej Grupy Wojsk. Długo tam rozpytywali. Niczego nie ukrywaliśmy.

Oczywiście, opowiadałem ja, chłopcy niczego dokładnie nie widzieli, a jeśli widzieli, to nie zrozumieli.

I to już mniej więcej cała historia. Do tej pory nie wiem, co potem wydarzyło się w zamku na Granicy, jak potoczyło się u naszych chłopców, którzy weszli do Diabelskiego Kraju. Nie udało mi się znaleźć nikogo, kto tam służył. Czy to o czymś świadczy?

Nikt nie wrócił? Czy raczej nikt nie chce opowiadać, co właściwie tam widział. Być może. Ja przecież w końcu też nie rozpowiadam o tym, że widziałem żywego smoka i własnoręcznie zabiłem „żywy cień”? Nawet z kumplami z wojska nie rozmawiamy na ten temat.

Jednego razu rozmawiałem z gościem, który służył w Afganistanie. Wspomniał legendę o żmii, która uratowała żołnierza, i powiedział, że tam jeszcze nie takie rzeczy się działy. Próbowałem go rozpytać, ale on jakby spostrzegł się i dalej opowiadał tylko o zasadzkach, duszmannach i o swojej ranie. A ja nie naciskałem.

Minęło już trzydzieści lat.

Czasami robi mi się strasznie na myśl o tym upływie czasu. Nie zdecydowałem się pojechać w te miejsca, w których służyłem. Była taka możliwość, a jednak nie pojechałem. Zapewne przestraszyłem się.

Teraz mam pewność, że ludzkie tycie składa się z wiedzy, wiary i nadziei.

Początkowo człowiek wie, że wszystko będzie dobrze.

Potem wierzy, że wszystko się jeszcze ułoży.

I wreszcie ma nadzieję, że jego dzieci będą tyć lepiej i właściwiej, niż on sam.

I ja mam nadzieję, że Miechtijewowi nie przyszło ostrzeliwać się z Bagdasarianem, kiedy runął Związek i Armenia dzieliła ziemię z Azerbejdżanem. Mam nadzieję, że Leszka nie umarł na marskość wątroby, i mam nadzieję, że jego syn nie walczył w Czeczenii. Mam wielką nadzieję, że moim wnukom nie przyjdzie walczyć z wnukami Galimowa o Krym, a dzieci Lucyny i Jerzego nie trafiły i nie trafią do Afganistanu.

Nie wiem, nie wierzę.

Pozostała mi tylko nadzieja.

Lipiec, 2012 r.

Przełożył Paweł Ludański

Andriej Bielanin

Zawsze jesteśmy odpowiedzialni za tych, których...

- Gerałcie, czy mógłbyś wynieść śmieci?

- Słucham?

- Kochanie, proszę cię już trzeci raz dzisiaj. Czwartego może nie być...

Geralt dokładnie wiedział, co to oznacza.

Nie, bynajmniej nie to, że jego ukochana Yennefer machnie ręką i wzorem cierpliwych rosyjskich kobiet wyniesie śmieci sama. O nie! Niedoczekanie! Jego małżonka, jak każda typowa Polka prędzej wyniesie z domu mózg męża, niż wiadro ze śmieciami.

Geralt z ociąganiem odłożył niedoczytaną gazetę. Obwieszczenia polityków Rosji, USA i zachodniej Europy, ciągle na nowo tworzących z niepodległej Polski buforowe państwo dla zabezpieczenia swoich tymczasowych interesów, złościły i równocześnie intrygowały. Jak długo można igrać z polskim honorem?!

- Trudno - mamrocząc do siebie pod nosem, Geralt wsunął nogi w kapcie i podniósł się z fotela. - Rozbiliśmy im Układ Warszawski, to teraz rozbijemy Unię Europejską; albo nie znam swojej ojczyzny. Słowo „honor” to punkt wyjścia rozwoju całej naszej nacji! Bez honoru nie ma Polaka!

Usatysfakcjonowany tym pustym sloganem, uchwycił spojrzenie żony, która posyłała mu pocałunek z kuchni i, wciągnąwszy nosem zapach sklepowych flaków, wyszedł z kubłem za drzwi. Po głowie wciąż kołatały mu się wzniosłe

hasła z dopiero co czytanej gazety; strofy wysławiających wolność wierszy.

Zawsze jesteśmy odpowiedzialni. Adama Mickiewicza zagłuszone tłoczonym profilem żelaznego Feliksa i niezrozumiałe wyjaśnienia polskich polityków w sprawie katastrofy samolotowej w Katowicach... Wszyscy kłamią! - Otacza nas beznadziejny, upadły świat. Polacy i Rosjanie rozmawiają ze sobą po angielsku! Czy można wymyślić większą bzdurę dla braterskich słowiańskich narodów?! Może rzeczywiście wiecznie się żremy, ale są to utarczki pomiędzy krewnymi i inni nie powinni pchać nosa w nie swoje sprawy! Mnie, Polaka z dziada pradziada, jakaś wszawa Ameryka ma uczyć demokracji?! Jeszcze ich Kolumb nie odkrył, kiedy nasi dumni szlachcice na sejmach sami wybierali sobie królów, w najbardziej demokratycznym głosowaniu - szablą!

Geralt tępo wbił wzrok w luk zsypu na śmieci, na którym tkwiła przyczepiona taśmą samoprzylepną karteczka z napisem: „Uszkodzony!”.

I co z tego? Od kiedy to niby powstrzymywały nas trudności?! Wyteżył siły i szarpnięciem otworzył luk zapchany po brzegi. Ze sterty śmieci doszedł go podejrzany szelest. Chwilę później pokazała się kolczasta głowa owadagnusa, pospolitego kąsacza. Zębata bestyjka wyhodowana na średniowiecznym wysypisku, po dziś dzień wyczekująca w zbiornikach na śmieci na prawdziwą zdobycz. Najczęściej ofiarami jej padały plotkujące gospodynie, które dopiero w domu zwracały uwagę na brak kilku palców, czy też sporego kawałka pośladka.

- Psiakrew! - zaklął odruchowo Geralt, ściągając kaptura i wymierzając owadowi dwa ciężkie ciosy. - Poszedł won w swój śmierdzący luk, brudny stworze! Napadasz na słabych? Czy nie tak broniły nas sowieckie wojska, kiedy Niemcy łamali warszawski opór?! Przyszła pora na ciebie! A masz! Już ja ci przypomnę, jak armia generała Koniewa weszła do Krakowa, rozbijając Niemców w drobny mak. W pył! Na proch! Dostałeś?! Cholera jasna!

Owadgnus zdechl; nie zdążył nawet pojąć, dlaczego jego ciało nie ulega już krwawym instynktom; tak samo, jak nie zdążył pojąć, na kogo właściwie się

natknął. Na wiedźmina wynoszącego śmieci! Straszna to rzecz, uwierzcie mi na słowo...

- Trzeba będzie pójść na ulicę - Geralt skrupulatnie wepchnął rozbitą głowę owadagnusa głębiej między kapuściane liście i zużyte podpaski, mocniej docisnął luk i niespiesznie zaczął schodzić z trzeciego piętra. Można było skorzystać z windy, ale czy miałoby to sens?

Jeszcze w zeszłym roku zdecydowanie postanowił nie korzystać z wind.

W tym czasie bowiem, częściej niż dwadzieścia razy na miesiąc, windowe gargulce podejmowały próby rozerwania mu gardła. Niezgrabne nietoperze o ciele małpki kapucynki i klach długości pięciu centymetrów ginęły dziesiątkami, ale kontynuowały ataki na Geralta, jakby to był akt świętej wojny. Jakiś puszkinowski bunt; niedorzeczny i bezlitosny. Pierwsze stwierdzenie odnosiło się do prób gargulców, drugie do reakcji Geralta na wszystkie te porządnie naprzykrzające się potwory i ich zamachy.

Trupy nietoperzy gargulców wyrzucał do tego właśnie zsypu, dokarmiając jedno paskudztwo drugim. Miał spokojne sumienie. Ostatecznie to było prostsze i bardziej zrozumiałe niż polityka. Weźmy dla przykładu choćby taką Wielką Wojnę Ojczyźnianą, jak ją nazywają Rosjanie. W Polsce również było wielkie partyzanckie powstanie, ale o innym charakterze; każdy walczył sam za siebie. A chociaż wszyscy razem byli przeciwko nienawistnym faszystom, to jednak ze zrzucenia jarzma wroga bez pomocy sowieckiej armii guzik by wyszło. A dlaczego? A dlatego, że honor!

Po ilu dniach Hitler podbił Polskę, wstyd wspominać do tej pory. Ale jeśli ktoś powie, że Polacy chociaż na chwilę ulegli, to takiego historyka łgarza należy publicznie spalić pod pomnikiem króla Zygmunta w Warszawie, a zakopać i zasypać mogiłę solą już w podziemiach Wieliczki.

- Dlaczego nie urodziłem się w Rosji? - zastanawiał się głośno Geralt, idąc z pełnym kubłem do pojemników na śmieci położonych na tyłach

dziewięciopiętrowego bloku. - Zapewne dlatego, że cała rosyjska literatura niesie w sobie ustawiczny smutek wszechludzkiego cierpienia, współczucie maluczkemu człowiekowi, czechowowski ból i dostojewszczyznę. W pozytywnym sensie, rzecz jasna. Fiodor Dostojewski był wielkim pisarzem i wytrawnym znawcą dusz. Z jego punktu widzenia, bohatera nie da się łatwo poznać. Takiego kniazia Myszkina dajmy na to!

Ale przecież jest różnica między bohaterem realnym a literackim? Najwidoczniej musi być, skoro taki Raskolnikow, jak gruchnął siekierą jedną babę, to gryzł się wyrzutami sumienia przez całe życie; a ile to razy mi przyszło gruchnąć tego i owego, pomyślał Geralt, i nic... sypiam doskonale!

Podszedł do trzech pojemników na śmieci z napisami: „szkło”, „papier”, „plastik”; ustanowionymi przez wszechwładne normy Unii Europejskiej. Na chwilę zatrzymał się, próbując sobie wyobrazić, jak zacznie wyciągać z kubelka śmieci i segregować zgodnie z nakazem. Czy oni w tej Unii Europejskiej naprawdę wierzą w to, że wolna Polska stanie się odpowiednikiem prawomyślnych Niemiec? A macie!

Geralt w porywie patriotyzmu wysypał całą zawartość kubła w kontener z napisem „papier”. Należy się wam! U siebie, w Berlinie, porządek z Turkami najpierw zróbcie, a potem nas pouczajcie!

Delikatny zgrzyt za plecami sprawił, że Geralt odwrócił się z niezauważalną dla zwykłych oczu szybkością.

Szmarogłot, żabopodobne monstrum, interesujący się głównie niewinnymi dziewczycami, zamarł w odległości pięciu kroków od niego, ze zdumieniem wpatrując się w niecodzienną zdobycz. Ośliniona paszcza wyszczerzyła dwa rzędy żółtych kłów, ukazując zielonkawy język ze zrogowaciałą, podobną do grotu kopii, końcówką.

- Wiedźmin...

- Już od czterystu lat zwykły obywatel - chłodno poprawił Geralt. -

Mieszkam na prowincji, wziąłem legalny ślub z Yennefer, posłałem Ciri do szkoły; będzie ekonomistką. Sam dorabiam jako konsultant. Ba... nawet nad Bałtyk wyjeżdżam raz w roku na tydzień urlopu. Coście się wszyscy do mnie przyczepili?

- My do ciebie?! - potwór niemal podskoczył, z oburzenia pozostawiając po sobie kałużę wydzielin. - Z powodu twoich głupich historii, które po pijaku rozpowiadałeś pismakom w jakiejś literackiej knajpie, setki młodych ludzi zostało nagle wiedźminami. Poczuli, psiakrew, Zew i Przeznaczenie! Wiesz, ilu standardowych wiedźminów w białych perukach, z aluminiowymi mieczami i w płaszczach z halloweenowej wyprzedaży przypada teraz na jednego potwora? Na każdego z nas dwadzieścia tysięcy takich błaznów!

- O niczym nie wiem...

- Gnojek z ciebie, Geralt - szmarogłot od serca splunął zieloną ciecżą, ale nie trafił. - Jestem ostatnim szmarogłotem w Polsce. Nie mam się z kim połączyć w parę, zrozumiałeś?!

- To była propozycja?

- Raczysz żartować? Mamy różne fizjologie, zadowolenia z tego nie byłoby ani dla mnie, ani dla ciebie.

- Tylko mi się tu nie popłacz - Geralt gwałtownie ruszył do przodu i wyrysował przed krostowatym nosem monstrum znak Ognistego Kamienia. Na całą minutę szmarogłot ze swoimi problemami zmuszony był się zamknąć. Wiedźmin bez pośpiechu omiótł otoczenie wzrokiem, po czym podniósł cegłę rzuconą pod płótem i włożył ją do pustego kubła.

- Wiem, że ponoszę odpowiedzialność przed wami wszystkimi. W dawnych czasach pożeraliście ludzi, a mnie płacili za to, żebym zabijał takie ekstremalne formy życia. Jakby na to nie patrzeć, byliście nieodzownym elementem mojej pracy. Honor mi nie pozwalał udawać fałszywego bohatera, walczącego z gumowymi smokami; a tym bardziej brać pieniędzy za zabicie wymyślonego

potwora. Nie zastanawiałem się nad tym, co będę robił, kiedy już wyrzecie. A już tym bardziej nie myślałem, że moja niełatwa profesja w przyszłości stanie się tak pospolita. Ci młodzi idioci giną setkami, ale co setny jednak dobija swojego szydłochwosta błotnopieprzowego, birchawę bigosową, mamozęba bezkręgowego, gryzbuła luskowatopachwinowego, chrusta podkrzaczastego i kolejne dziwolągi, i następne...

Geralt zważył w ręce obciążone wiadro, z przyzwyczajenia szukając na głowie szmarogłota trzeciego, fałszywego rogu. Pamięć usłużnie odpowiedziała, gdzie i z jaką siłą należy skierować uderzenie. Szybko wsunął drugą rękę w kieszeń starych sportowych spodni, wyciągnął z niej komórkę i wybrał znajomy numer.

- Tak. Nie. To ja, panie sierżancie. Mam tu kolejne ciało. Przyślijcie samochód. Tak, jak zawsze.

Schował telefon, spojrział w przytomniejące oczy szmarogłota i z impetem zamachnął się wiadrem.

- To jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu.

Uderzenie byłego wiedźmina wymierzone było bez zarzutu, z matematyczną dokładnością. Potwór runął tam, gdzie stał, rozpryskując ciecz z popękanych gruczołów po całym placyku. Doświadczony Geralt zdążył się, oczywiście, uchylić.

Policja przybyła w ciągu pół godziny.

Epilog

- Kochanie, ciebie to tylko po śmierć wysyłać.

- Trafił mi się owadgnus w zsypie, musiałem iść na ulicę.

- Szmarogłot. Wszystko widziałam przez okno. Geralt, ile można? Wypełniłeś już ginącymi gatunkami potworów ponad połowę polskich ZOO.

- On był taki żaloszny. Przeniosą go pod Kraków.

- Bierzesz chociaż za to pieniądze?
 - Przecież wystarczają nam tantiemy z literackich honorariów.
 - Mój biedny wiedźmin altruista - Yennefer wytarła ręce w kuchenną ściereczkę i objęła męża. - Czym cię omamił ten konkretny potwór? Biadoleniem, że głodny chodzi, czy łzami nad brakiem swojego miejsca w życiu?
 - Nie miał samicy. A wiem, że pod Krakowem jest.
 - Zatem oszczędziłeś go w imię miłości. Kochanie moje, jesteś niepoprawnym romantykiem. I za co ja ciebie tak kocham?
 - No cóż - Geralt miękko objął żonę w talii - zapewne za to, że jestem jednak znaną osobistością. A propos, moskiewskie ZOO chciałoby dla siebie bezwłosego wilkołaka dwugłowego. Nie widziałaś może jakiegoś w okolicy?
- Przy kolacji dobili jeszcze jednego owadagnusa pospolitego kęszacza próbującego cichaczem wynieść z kuchni kaszanekę.
- Życie toczyło się dalej..

Przełożyła Iwona Czapla

Siergiej Legieza

Gry na serio

- Hop! - powiedział Arcyszew i tak się stało. Wołodka kręcił głową z powątpiewaniem, jakby chciał powiedzieć: w ten sposób to i my, uczniowie, możemy. Chłopakowi bardziej imponowała simranga maga, niż cyfrowe sztuczki, od których miał problemy z utrzymaniem się na nogach. Byle fajerwerki, niechby nawet najprostsze, a już głowę mu zrywało i niosło gdzieś hen... niczym domek Dorotki, dziewczynki z Kansas.

Wołodkę dostali dzięki protekcji Trojana, jako bojową jednostkę o szerokim profilu możliwości. Szczerze mówiąc, od Trojana każdy dostał tyle, że można było podejrzewać pułapkę, a nawet spisek. Specjalistą od spisków był wśród nich Arcyszew, zatem wszystkie jego sztuczki i wybiegi mogły okazać się sprawdzianem. Albo transmisją informacji. Albo, równie dobrze, banalnym przekierowaniem.

W tych okolicznościach zresztą nie miało to żadnego znaczenia, jeśli tylko to, o czym opowiadał Trojan, było prawdą.

- Słuchajcie! - powiedział Słoń. - Jakże to tak: pstryk i już jest nas czwórka? Tak po prostu? - I pstryknął palcami.

Arcyszew odrobinę zmienił kolejność kanałów, rozłożył ręce i z jego dłoni trysnęło chłodne światło. Jego rozdrażnienie wyraźnie dysharmonizowało ze szczeniackim entuzjazmem Słonia.

- O! - powiedział z drwiną Stryj. - Żebyś tylko do mamy nie zapomniał

zadzwoić, na pewno się ucieszy.

Arcyszew cicho zachichotał. Słoń spojrział na nich obrażony.

Wokół ciągnęły się szeregi podmiejskich domków, spłaszczone i szare. Kozycz, ogólnie rzecz biorąc, był takim miasteczkiem... trudno było znaleźć słowo, które by je określało. Skamieniałość minionych epok w oprawie ze szkła i metalu. Koproilit. Stryj pamiętał, jak niespiesznie jechali przez centrum: Słoń raz za razem pohukiwał, z zakłopotaniem lub podziwem, przyklejony do okna, a jego palce drżały na selfkontaktach. Stary Słoń poważnie traktował powierzone mu zadania i uczciwie pracował na swój chleb, odgrywając słabiutki kamuflaż, jakby ktokolwiek mógł uwierzyć w samozwańczego dziennikarza, klecącego reportaż o rodzinie pracującej w tych okolicach. Ale Słoń z pełną powagą odnosił się do wszystkiego, co trzeba było zrobić tu i teraz. Nie ma, powiadał, niczego prawdziwszego od złudzenia. Fiszka z reportażem nie była tutaj niczym szczególnym.

Jego nick był zresztą konsekwencją jego powagi i solidności.

Napotykanii po drodze mieszkańcy nie zwracali na nich uwagi. Oczywiście, gdzieś pośród nich powinien tkwić czujnik tarczy - i to nie jeden! Ale próba jego odnalezienia nie miała sensu, ponieważ plan polegał na demonstracyjnej otwartości wejścia. Rzucić kamień w staw i patrzeć, jak będą rozchodzić się fale.

Jeśli, ta nagła myśl zapaliła się w umyśle Wołodki, w ogóle jeszcze było czego tutaj szukać. Bez względu na błogosławieństwa Trojana.

- Słuchaj - huczał mu nad uchem Słoń. - Czy to możliwe, żeby oni zagrzebali się w takiej dziurze? Rodzaj szpanu, czy co?

Biorąc pod uwagę wyznaczone z góry role, Stryjowi było go nawet żal. Odrobinę.

- Słoń, przestań, OK? - poprosił Arcyszew, coś kombinując i kręcąc dość szybko głową na prawo i lewo, jakby odganiał latającego mu przed oczami komara.

Panorama Kozycza prezentowała się nijako, pasowała do atmosfery miasta: budynki były koślawe, jakby zaledwie naszkicowane; kilka tłustych kresek, wysypisko śmieci. Na Stryju szczególne wrażenie zrobił napis, wyginający się w najlepsze w poprzek drogi: „Idź do diabła!”. Jeśli skupić wzrok na napisie, po chwili ukazywała się za nim sylwetka przewoźnika o chudych, gołych nogach, w długim płaszczu i trzymającego przed sobą wiosło.

Wizerunek tego Charona wydał się Stryjowi na tyle stosowny do sytuacji, że aż wstrząsnęły nim dreszcze.

Arcyszew zatrzymał koronę, wyszedł, rozejrzał się. Pozostali wygramolili się w ślad za nim.

Korona, podległa woli Arcyszewa, błysnęła „stopami” i potoczyła się bez pośpiechu po trasie. Stali nieruchomo i tylko Słoń przestępował z nogi na nogę, wydając świszczące dźwięki przy wydechu.

Ostatnie instrukcje nie miały za grosz sensu: słowa wyuczone, role wyznaczone. Oficjalna przykrywka - reportaż, przykrywka nieoficjalna - poszukiwania simzbanowanej jednostki; oświadczenia krewnych, warunki marszruty, oznakowanie tarcz), cele pierwszych priorytetów, cele drugich priorytetów, realne i pozorne. Minimum do wykonania: wejść, narobić szumu i, jak już powiedziano, spojrzeć na rozchodzące się kręgi. Zadanie probabilistyczne, poszukiwania artefaktu drugiej kategorii.

Usłyszawszy zadanie, rechotał nawet Słoń. Jednak Trojan był absolutnie pewny instrukcji. Starzec potrafił dopiąć swego w każdych okolicznościach i w wodach swojego świata był, niewątpliwie, nawet nie „grubą rybą”, a kaszalotem. Starym, mądrym, złym kaszalotem.

Chodziły słuchy, że przyłożył rękę do stworzenia rządu simświatów; w tym i tego, w którym właśnie się zebrali.

- Tamtędy - odezwał się wreszcie Arcyszew.

„Tamtędy” znaczyło podążać w zaułek, nad którym zwisały gałęzie; stara

czereśnia pobłyskiwała między liśćmi krwawym mięsem. Wołodka zatrzymał się, wyciągnął rękę, ale od razu ją cofnął; wytarł palce o koszulę. Rozejrzył się z zakłopotaniem:

- Nieprawdopodobne! - powiedział tylko.

Stryj uniósł palec w pouczającym geście:

- Tak właśnie, synku - oznajmił. - Wręcz nie można się powstrzymać.

Zaulek odchodził od centrum nie prostą drogą, a licznymi zakrętami, wijąc się w prawo, potem w lewo, niczym ranne zwierzę. Następnie, tracąc resztkę sił, upadł i umarł, ostatnim zrywem wbijając się w polną drogę.

Zrobiło się gorąco. Słoń sapał tak, że Stryj pożałował korony, odesłanej na autopilocie z powrotem na trasę. Regulacja klimatu nie przeszkadzałaby wtedy Słoniowi. Ale dwie tony zimnego żelastwa w ich przypadku były zupełnie nie na miejscu.

- No, chłopaki - odezwał się Arcyszew, a w jego głosie dało się wyczuć napięcie. - Szybko, łapcie mnie za ręce.

Posłuchali.

Przestrzeń rozplynęła się na chwilę, rozświetlając się złudnymi, zielonkawymi błyskami, które zawsze pojawiały się za plecami, zawsze na granicy widoczności. Potem wszystko ustabilizowało się, ale Stryj wiedział, że zaszła jakaś zmiana. Tylko nie mógł jeszcze pojąć, co dokładnie się zmieniło?

- No - stwierdził Arcyszew, z wysiłkiem rozprostowując plecy. - Chyba weszliśmy.

Stryj rozejrzył się, wiedząc doskonale, że nic szczególnego raczej nie zobaczy, gdyż nie oczami należało tu patrzeć. Wyuczonym gestem powiódł rękoma w powietrzu, szczytując złocistą wiązkę ukazujących się znaków kodu autoryzacji.

Zatem weszli.

- Tak - potwierdził. - Słoń, bądź tak dobry i zabezpiecz tyły. Osłona na

ciebie. Wołodia, idziesz przodem.

Wołodka kiwnął głową na znak zgody i trącił Arcyszewa ramieniem, a Słoń sapnął głośniej i kichnął; raz, drugi.

- Co jest? - Arcyszew wyglądał na wykończonego, jakby wejście wyciągnęło z niego sporo sił.

- Cholera wie - odezwał się Słoń. - Nie wyczuwam kanału. I przebija się real.

Stryj błyskawicznie przykucnął, wymamrotał standardowe zakłęcie i wetknął palec w kurz polnej drogi. Pył drgnął i rozszedł się wyraźnym, koncentrycznym kręgiem. Stryj nie utrzymał się w kuckach i klapnął dupą w koło.

A Wołodka - Angus ep Erdill, mag Czerwonej Gałęzi - nagle odwrócił się twarzą do nich; położył dłoń na owiniętej czerwonym sznurem rękojeści krótkiego, ceremonialnego noża. Jego głos był suchy niczym pustynny wiatr, kiedy zapytał:

- Czy mogę wiedzieć, z kim mam zaszczyt, szlachetni panowie, w tak dzikim miejscu, jak soddeńskie pustkowia?

- Kurwa mać - syknął Arcyszew. Trudno było się z nim nie zgodzić.

Dawno, dawno temu, trzy życia wstecz, siedzieli z Trojanem na otwartej werandzie drewnianego domku; kostki lodu dzwoniły o gruby kryształ szklanek pokrytych szronem. Z pobliskiego lasu wyszedł jednorożec i ułożył się wśród traw, a Stryj nawet się nie skrzywił na widok tak demonstracyjnie banalnej symulacji.

Wiesz, mówił Trojan, dzwoniąc kostkami lodu, doskonale pamiętam jeszcze te czasy, kiedy straszono nas sztuczną inteligencją i siedmioma plagami egipskimi, które, rzekomo wkrótce, zaczną prześladować nieostrożną ludzkość. Roboty o morderczych instynktach i szalone komputery, wyobrażasz sobie? Tak, dla was, tarcz, to byłoby zajęcie! Nieustraszeni rycerze przeciwko żądnym krwi metalowym monstrowi, prawda?

Stryj chrząknął, nie wiedząc, co powiedzieć, ponieważ akurat tarczą bywał

niezwykle rzadko. Ale zdawało się, że starzec nie potrzebuje potwierdzenia. Ciągnął dalej, splatał niekończącą się rozmowę z samym sobą, a Stryj był dla niego raczej, jak... współlistniejący parametr. Tło.

I oto teraz, kontynuował Trojan, siedzimy sobie na werandzie, gdzie rzeczywistość trudno odróżnić od symulacji, pijemy wirtualny koktajl i patrzymy na prawdziwego jednorożca. Prawdziwego, możesz pomacać później. Cóż, mam u jednego dobrego człowieka poważny dług do spłacenia. Nie potrafił odmówić starcowi. Straszydłami z przeszłości, obecnie nawet dzieci nie przestraszysz. A głównego zagrożenia po prostu nie zauważyliśmy. To ten wasz wychwalany socjalararchizm... Współczesnemu światu brakuje zorganizowania i przewidywalności.

Stęknął, wygodniej usadawiając się w fotelu.

Nigdy nie nachodziła cię taka dziwna myśl: istniejemy naprawdę, czy tylko kręcimy się w kółko w scenariuszu symulacji, ha? Dziwna, stara, trywialna myśl... A propos, zauważ, powiedział, nie ma żadnej pewności, że nie jestem wirtualnym omamem. I że twoje wspomnienia są naprawdę twoje. Pewności nie ma i być nie może. Jak zawsze... Od pewnego momentu technologia staje się nieodróżnialna od magii.

Wiele wtedy mówił; o sobie, o świecie, o czasach, które stają się coraz gorsze i coraz bardziej niezrozumiałe. Myśli jego przeskakiwały z tematu na temat i w taki też sposób ta przemowa zapadała w pamięć Stryja - fragmentami i przypadkowo. Jednak potem Trojan powiedział coś, co Stryj zapamiętał na zawsze, ponieważ później raz za razem natrafiał na namacalne potwierdzenie tych słów.

Pamiętasz, kontynuował Trojan, historię o Iblisie? Tę, w której demon odmawia oddania pokłonu stworzonemu z gliny człowiekowi? Czasami myślę sobie, że nasze życie staje się podobne do tej historii - z tymi wszystkimi naszymi simświatami. Pozostało nam tylko zrozumieć, którym aspektem jest

Iblis. Tu jest nawet więcej form. Jesteśmy teraz symbiontami; tworzymy symulacje, żeby te tworzyły nas; żebyśmy z kolei kontynuowali tworzenie nowych światów - i tak bez końca... Całe to kucie polisabów, wszystkie te zabiegi wokół „psychologii płynnego podmiotu”... Wkrótce pojawią się całkowicie wewnętrzne artefakty, które, bynajmniej, nie będą tworzone przez ludzi. I ten, kto będzie potrafił to wykorzystać, będzie mógł wszystko. Burzyć i budować, być łowcą ludzi i zawracać czas. Lepić historię od zera, na nowo. I to nie tylko w simach. Nie tylko.

Stryj ostrożnie zapytał, gdzie takie cudo, według rachuby Trojana, powinno się ujawnić. Starzec zaś odpowiedział beztrąsko, że nie ma najmniejszego pojęcia. Wiem za to, dodał, kto zdobędzie dla mnie taki artefakt. Kto? - postanowił podpytać go Stryj, chociaż już mu świtało, do czego to wszystko zmierza.

I wtedy Trojan spojrział na niego wyblakłymi oczami i przemówił cicho: ty. Jakby wbił gwóźdź.

Potem znowu zaczął docierać do niego gwar rozmów. Głosy rozchodziły się wolno, jak fala po kisielu. I oto sięgnęły aż do ostatniego stołu, solidnego, zbitego z krzywych czarnych desek; odbiły się od ściany, cofnęły się... coraz głośniejsze, wyraźniejsze.

- Zdaje się, że oni mówią o mnie - stwierdził Angus ep Erdill z wyraźnym znudzeniem w głosie.

- Albo o nas wszystkich - powiedział Arcyszew. - Sądzę, że w tutejszych krajach nie darzą sympatią nie tylko elfów, ale i tych, którzy się z nimi prowadzą.

- Ludzie, jak widzę, w większości wciąż są jeszcze ciemnymi dzikusami - Angus ep Erdill podciągnął mankiety.

Jak i wy, elfy, ciemnymi snobami i zasrańcami, pomyślał Słoń w nagłym rozdrażnieniu, aż Arcyszew ze Stryjem spojrzeli na niego niemal oskarżająco.

Angus ep Erdill, jeśli nawet odebrał jego słowa, to nie dał tego po sobie poznać.

Co dziwne, wewnętrzna konstrukcja grupy podczas pierwszego przerzutu nie uległa destrukcji: Stryj nadal wszystko wyczuwał (czy może widział? przeczuwał? - właściwie próba znalezienia odpowiedniego słowa nie miała sensu, bowiem nie o słowo tu chodziło, a o sedno rzeczy) każdego z pozostałych; także i to, że miejsce Wołodki zajął teraz Angus - mag Czerwonej Gałęzi; z charakterystycznymi emocjami i nie mniej charakterystycznymi poglądami na życie owej postaci. Wyraźnie na przykład, nie przypadł mu do gustu Słoń, a Stryj nijak nie mógł zrozumieć, dlaczego.

Na wszelki wypadek Słoń trzymał się z dala od byłego Wołodki.

W momencie, kiedy wszyscy się zapadli, Słoń najpierw wpadł w prostrację. Jakby gdzieś w jego wnętrzu małeńki chłopczyk zakrył uszy dłońmi, zacisnął powieki i ukrył się pod kocem, mamrocząc przy tym zaklęcie chroniące przed ciemnością i strzygami; bo jak tu obejść się bez takiego. Sprawę komplikował fakt, że Trojan nie uściłił wcześniej, w co przeobrazi się Słoń. Jednak, znając starca, można było oczekiwać wszystkiego, czy to w settingu, czy też poza nim.

Geografia simświata, początkowo niejasna i ledwo rozpoznawalna, stawała się coraz bardziej wyrazista; nasycala się barwami i znaczeniami; tylko w miejscu wiedzy o aktualnej politycznej sytuacji ziała nieprzyjazna pustka, którą należało wypełnić jak najszybciej, a do tego celu zajazd nadawał się równie dobrze, jak każde inne miejsce.

Karczma Gustawa Ebblarda stała trochę na uboczu od wiodącego na Mahakam traktu, ale kto potrzebował, ten o niej słyszał i zajazd Ebblarda Trzy Pięty nie świecił pustkami nawet w czasie najpaskudniejszych politycznych zawieruch.

Dwóch zamożnych wieśniaków spojrzalo na ich czwórkę, kiedy zajmowali wolne miejsca za długim stołem na końcu sali, przystawionym szczytem do okopconej ściany. Po chwili chłopci wstali i oddalili się kaczkowatym chodem,

zabierając ze sobą po kuflu piwa i głęboką misę ostro pachnącego rybnego pieczywa.

Zza parcianki, zasłaniającej przejście do kuchni, wyskoczył sam Gustaw Trzy Pięty, ciągnąc za sobą kwaśny, ostry zapach mięsnego sosu, tak gęstego, że aż zaciskało szczęki, a usta wypełniały się śliną. Słoń ryknął w najlepszej tradycji hulaszczej hanzy:

- Dawajcie tu, gospodarzu, coś na ząb! A żywo! Piwa, kapusty dajcie, gulaszu i co tam jeszcze macie!

- Kielbaski wieprzowe z kminem - dorzucił Angus, splatając dłonie i opierając łokcie o deski stołu. Na gospodarza, arogancki drań, nawet nie spojrział.

Żeby nam tylko do piwa nie napluli, pomyślał Stryj z lekkim niepokojem.

To także był symptom zanurzenia. Znajome sytuacje, sytuacje powszednie i zwyczajne, tutaj, w simie, stawały się nadmiernie wyraziste; jawiły się jako ważne i prawdziwe, a o ich nierealności nie przekonywała ani wiedza, ani wieloletnie doświadczenie. One po prostu istniały i nic nie można było z tym zrobić.

Rozmowy tymczasem dobiegały ich z każdego zakątka sali, zlewając się w jednostajny szum, posiekany, jak błyskawicami, staccatem podwyższonych tonów:

-...łżesz!

-...pali, szanowny panie lekarzu, piecze, pali, a moczu nie ma... a więc boli, a przecież nie powinno tak szarpać korzonków.

-...morda przez drzwi nie przelazi, ręce jak balerony i tymi baleronami jeszcze zaciska i czka, i gryzie, jak twój ghul na wiejskim cmentarzu.

-...nie ma takiego prawa, żeby uczciwie pracującego gnać batogami! A zresztą, co mi tam prawo, kiedy ja mogę każdego w barani róg wygiąć... No i napuścił na nas swoich osobistych sługusów.

-...i co wy, Temeryjczycy, zrobicie, kiedy Podmieniec i za was się weźmie?

No cóż, pomyśleli z niejakim zadowoleniem, zdaje się, że akurat taka jest potrzeba. Arcyszew zrobił ruch rękoma i rozmowa o „Temeryjczykach i Podmieńcu” stała się słyszalna dla każdego z ich czwórki. Angus chrząknął nad swoimi wieprzowymi kielbaskami, ale nic nie powiedział.

Rozmawiali we trójkę: dwóch Temeryjczyków i krótkonogi, pyzaty, szeroki w barach tubylec, nieco podobny do przerośniętego krasnoluda. Stercząca broda wojowniczo wystawała przed facjatą właściciela, a głos przetaczał się tak, że raz za razem zagłuszał knajpianą pieśń, która niosła się gromko od stołu handlarzy bydła, siedzących przy samych drzwiach.

Temeryjczycy, jeden starszy, drugi młodszy, podobni byli do siebie jak dwa kawałki drewna cięte jedną i tą samą ręką; tylko że ręka ta widocznie drgnęła raz jeden, bowiem przez szczękę młodszego, odciągając w dół powiekę i kącik ust, biegła gruba, krzywa szrama. Odzienie tej dwójki miało srebrzyste szycia, ale nie było nowe. W oczy rzucał się delikatny połysk kółek kolczugi pod kaftanami. Szlachetnie urodzeni, sądząc po stroju.

-...i moglibyśmy obiecać, że dziewczyna otrzyma wszystko, co niezbędne.

- Na dworze Foltesta? Ha!

- Panie baronie - widać było, że tych dwóch ledwo powstrzymuje gniew - przyszliśmy, ponieważ dotarły do nas słuchy o was i waszej... wychowance. Nie nam opowiadać o tym, co dzieje się w Temerii. To problemy kupców, problemy rzemieślników. Pogoda coraz paskudniejsza. Zimniej i zimniej, więc urodzaj słabszy. Czarna Śmierć dopiero co uszła z naszych stron i nie wiadomo, czy nie powróci. Ludzie nie chcą zasiedlać porzuconych wiosek. Napływ tanich towarów z Nilfgaardu prawie zlikwidował rzemiosło, potem Nilfgardczycy sami wdali się w wojnę domową. A teraz jeszcze te zamki...

- A któż jest winien? Może Meve z Demawendem? - Może i oni - głos starego przepelniony był żarem. Młodszy Temeryjczyk wyglądał na bardziej opanowanego. - Może i oni. Dlatego, że Demawend nie miał potrzeby kłaniać

się „wiewiórkom”.

- No, jednemu „wiewiórki”, a drugiemu zamożni poddani i kawałek chleba. Wiecie chociaż, ile myta król pozyskuje z handlu z Doi Blathanna? A my tutaj, w Sodden, wiemy. Ponieważ to myto z naszych pieniędzy, z naszego potu i krwi.

- Dla nieludzkich odrodków nie ma miejsca na ziemiach wolnych ludzi. Ochranianie elfickiego królestwa było niewybaczalną pomyłką.

Brodaty głośno wysmarkał się pod nogi Temeryjczyków.

- Wielce mnie interesuje - powiedział w przestrzeń między tymi dwoma - czy śpiewalibyście inaczej, gdyby wasz Foltest potrafił jednak utrzymać pod butem krasnoludzki Mahakam, ha? Patrzcie ich, elfie królestwo im nie po drodze.

- Gdyby wtedy, dwadzieścia lat temu, Północ posłuchała głosu rozsądku, to...

- To byłoby jak? Jak wtedy, kiedy Podmieniec z novigradskimi obludnikami postanowił podpalić czarodziejki i zaczął od tej, która walczyła tutaj, na Wzgórzu Sodden, Wzgórzu Czarodziejów, za nasze domy i rodziny? Od tej, która ocaliła Północ od Nilfgaardczyków? Czy może, jak trochę wcześniej, kiedy wasz Foltest ścigał czarodziejki z Temerii?

- Czarodziejki to też przeklęte odrodki - pochmurniejąc, oświadczył starszy Temeryjczyk.

- To po co żeście do mnie przyszli ze swoją propozycją, ha? I po cóż prosicie mnie o to, o co prosicie? Nie wam, poddanym Foltesta mówić o odrodkach, bowiem on sam, ten wasz królek, jak mawiają, z rodzoną siostrą bękarta wystrugał. Zatem, wypadaloby chyba zacząć od własnej rodzinki? A może teraz jego szlachetnie urodzona zbereżna wysokość i córuchnę swoją ujeżdża, jak wcześniej jej mamusię?

Obaj Temeryjczycy skoczyli na równe nogi, chwytając za miecze.

- Jak nazwałeś Jego Wysokość?! - młodszy, który wreszcie przemówił, a miał głos, jakby ktoś zardzewiałym nożem po kamieniu przeciągnął.

Ich pękaty rozmówca tylko się wykrzywił:

- On tylko u was, w Temerii, jest „jego wysokością”, a my krwią własną i ojców naszych, wywalczyliśmy sobie prawo nazywać każdego żłopa - żłopem! I rączki z cacek swoich zdejmijcie, ponieważ jesteście tutaj tylko we dwóch, a za mną dziesiątek najlepszych mieczy stanie; a jakem baron Kroach asSoter, sam, że tak powiem, potrafiłbym załatwić was, panowie, nie wyjmując palca z nosa. A w ogóle, to chrzan wam, nie dziewczynę. Najlepiej byłoby was wyrzucić, ale już dobrze, niechaj będzie; posiedzicie tutaj, przegryzicie kapłonów w miodzie. Na mój koszt. A później grzecznie wróćcie do siebie.

Powiedziawszy to, grubas z najbardziej obrażoną miną, na jaką było go stać, rzucił na stół złotą koronę i poszedł precz.

Temeryjczycy stali wciąż w tym samym miejscu, przewracając oczami. Młodszy poczerwieniał tak, że pewnie słusznie byłoby wezwać lekarza, żeby upuścił mu krwi. A potem starszy zauważył Angusa ep Erdilla.

Zauważył i ruszył w jego stronę, wysuwając groźnie szczękę.

- Cóż, panowie - powiedział Angus, nie odrywając wzroku, od swojej miski z wieprzowiną - zdaje się, że będziecie mieli możliwość wykazania, ile warci są ludzcy wojownicy.

- Ej, gospodarzu, ile jesteśmy dłużni za strawę i naczynia? - zawołał Stryj do Gustawa Ebblarda, ssąc od czasu do czasu zadraśniętą dłoń, bowiem młodszy Temeryjczyk okazał się wystarczająco obrotny, żeby zdążyć wydobyć kindżał, ale już niewystarczająco, żeby użyć go z sensem.

- Pozwólcie, łaskawy panie, zapłacić mnie - Angus mówił wolno, z trudem wydobywając słowa z gardła, ciągle jeszcze ściśniętego gorączkową wściekłością. Jego płaszcz cały uwalany był w słomie i błocie, a na roztrzaskanym blacie, tam, gdzie wbił dłoń, kiedy Słoń zadał mu cios pod kolana, wybijając z zaklinającego transu; pozostał wklęsnięty ślad.

Gustaw Trzy Pięty obrzucił wszystko spojrzeniem tak filozoficznym, że

tylko w Królewskiej Radzie go posadzić, i rzekł:

- Coś mi się wydaje, waszmości, że po tym, coście tutaj urządzili, wasze monety mogą mi się nie spodobać. Wiecie chociaż, kogo umoczyliście w wychodku?

Słoń, który właśnie wrócił z dworu i teraz z obrzydzeniem strzepywał ręce, wzruszył ramionami.

- Temeryjskich zasrańców - stwierdził melancholijnie.

W głębi sali ktoś nerwowo zachichotał i natychmiast ucichł. Lud w ogóle zareagował na drakę dziwnie; żadnych krzyków, żadnych dobrych rad. Wszystko odbyło się tak, jakby ktoś wyłączył błyskawicznie dźwięk i zapomniał go potem włączyć.

Było to zastanawiające, ponieważ tutaj, w Sodden, Temeryjczyków, nawet teraz, niemal dwadzieścia lat po zakończeniu Wielkiej Wojny, lubić nie mógł nikt.

„Temeria”, „Sodden”, „Doi Blathanna” - nazwy zajęły wyznaczone im miejsce, przestały być tylko zbiorem liter. Za nimi pojawiło się znaczenie, tragedie i zwycięstwa. Pojawili się ludzie. I pojawiła się historia, a w niej powolne rytmy zmian klimatycznych, chłodu przychodzącego zbyt wcześnie i na zbyt długo; poplątane, skomplikowane wzajemne stosunki ludzi i Starszych Ludów oraz kraje, jako uosobienia swoich panów i, na końcu, samowładcy jako uosobienie najgłębszych instynktów simgraczy. Wszystko to łączyło się w dziwnych proporcjach w ich głowach, mieszało się i splywało jako spójna całość, topiąc w nurcie zdarzeń również ich samych; przeobrażając z graczy w Gracza. W ten sposób objawiała się wyższa alchemia ducha, w imię której lepiono simrzeczywistości.

Stryj potoczył wzrokiem po siedzących naokoło: drwale, handlarze bydłem, kilku najemników, aedimski kupiec, jeden z tych, co to handluje drobiazgami i nie lezie pod nogi wielkim ludziom. Ani jednego przedstawiciela Starszego Ludu,

uświadomił sobie nagle. Tylko ludzie.

Ich czwórka, do spółki z Angusem, rzucała się w oczy jak pryszcz na czole.

Podobna myśl przyszła do głowy i Arcyszewowi. Patrzył gdzieś w bok, ale Stryj wyraźnie usłyszał: Wychodzimy!

- Powinniście już iść, waszmości - jak echo odezwał się karczmarz.

Stryj potakująco kiwnął głową. Angus położył jeszcze na brzegu stołu dwie złote korony. Gospodarz akurat zmiatał ścierką skorupki i resztki jedzenia. Monety zniknęły, jak za sprawą czarów.

Wieczór okazał się zaskakująco ciepły, jak na występujące tutaj, nawet w pełni lata, chłody. Karczma niemal przylegała do lasu, w związku z czym, chociaż słońce jeszcze nie zaszło, mrok czaił się za plecami. Szli, prześlizgując się między ciemnością a światłem; naprzód po leśnej drodze, po mokrym od wieczornej rosy poszyciu, po mięsistym paprotniku i chrzęszczących uschniętych gałęziach. Przed cieniami jednak nie dało się uciec.

- A o koniach nie pomyśleliśmy - odezwał się, posapując, Słoń.

- Nie pomyśleliśmy - zgodził się Stryj.

Arcyszew poruszył palcami.

- Do miasteczka Ain Addan, Tańczący Ognik, mamy z dziesięć mil. Jedna noc drogi stąd. A tam, na rynku, jak sądzę, znajdą się i konie, i siodlarz z uprzężą.

- I jeszcze bicze i skórzane kostiumy - warknął Słoń.

- Wasz przyjaciel ma bardzo specyficzne poczucie humoru - powiedział Angus, a Słoń odpowiedział w duchu szyderczo: to nie ogon - i nerwowo potarł ręce w odpowiedzi na krótki chichot Arcyszewa.

- A gdzież jest ten Ain Addan? - Stryj zachował całkowity spokój. - Na północ, trzymając się Osi Świata. - No to w drogę. I ruszyli. Słoń wciąż jeszcze najeżony. Stryj próbował poprawić mu helmofon, ale kompan fuknął wściekle, więc się wycofał. Od Angusa rozchodziły się fale chłodnego spokoju, niemal

obojętnego, w co Stryj, biorąc pod uwagę okoliczności, nie wierzył ani odrobinę.

Nie powinniśmy zwolnić? - zapytał niemo.

Arcyszew przytaknął i poruszył palcami, jakby wygrywał wirtualne takty. Dokładna somatyka wizualizowała się już bardzo precyzyjnie.

Raptem Arcyszew zatrzymał się, wyprężył, szybko przetarł twarz dłońmi i znowu się wyprężył.

- O żeż mać - oznajmił zdezorientowany.

A po chwili dodał:

- Stryju, zdaje się, że konisko zdechło, a my weszliśmy w sam środek padliny.

Angus natychmiast uniósł głowę.

- Panowie - odezwał się tym samym, chłodnym i obojętnym tonem - coś mi się zdaje, że za nami pogoń.

I wtedy, na samej granicy percepcji, pozostali również usłyszeli tętent kopyt.

Zdarza się tak: otwierasz oczy i dociera do ciebie, że nie wiesz, gdzie i w jakim czasie się znajdujesz. Podnosisz się i okazuje się, że leżysz w pościeli, albo na kupie słomy, albo obok dogasającego ogniska, przykryty derką, kożuchem albo zwierzęcym futrem. Rozglądasz się wokół i oglądasz siebie samego. Widzisz stare blizny, odciski na rękach; brudne, nierówne, zrogowaciałe paznokcie albo przeciwnie, paznokcie wypielegnowane i czyste. Każda rzecz, na jaką patrzysz, oznacza coś, co ci się przydarzyło; na dniach, niedawno, kiedyś, bardzo dawno... Początkowo w pamięci twojej nie ma nic więcej oprócz rzeczy. Jakbyś sam był tylko tymi rzeczami, niczym więcej. Rzeczy to zawód, to pozycja w społeczeństwie, to miejsce, które zajmujesz lub miejsce, do którego możesz pretendować.

Dotykasz grubego, glinianego naczynia, przetartych rzemyków na rękojeści miecza, kolczugi o porudziałych kółkach albo aksamitu płaszcza. Czujesz ciężar i fakturę świata, w którym się znalazłeś, jego konkretność i kanciastość. Jego, jak

ci się zdaje, nieuchronność. Stopniowo kontury tego świata nakładają się na ciebie, z ich przecięć wylania się twoja własna tożsamość, z nich wchodzisz w ten świat ty.

W lesie pohukuje sowa, na podwórzu szczekają psy i parska spętany koń, ktoś chodzi na piętrze poniżej, poskrzypują deski podłogi. Twoja przeszłość spada na ciebie, jakby była drapieżnikiem, a ty ofiarą. Jest brutalna jak gwałciciel, ale równocześnie łasi się niczym wiemy pies. Zna cię tak, jak znalazby wieloletnia kochanka; jest wyrafinowana w swoich pretensjach do ciebie, jest też konkretna jak poprzecierane rzemyki na rękojeści miecza, jak chropowatość glinianego naczynia, jak aksamit płaszcz. Wchodzi w ciebie, wypełnia cię, staje się tobą. I tylko gdzieś bardzo głęboko, pod podszewką wypełniającej cię brutalnej, konkretnej przeszłości; otaczających cię właśnie rzeczy, realności tego świata, tli się pamięć o innym świecie, pod innym niebem. Świat, w którym tkwisz nie jest ani lepszy, ani gorszy. Jest po prostu inny. I teraz, gdziekolwiek byś nie był, dokądkolwiek byś nie wędrował, w jakich bitwach i ucztach byś nie uczestniczył, to uczucie - odtąd na zawsze - zagnieźdża się w tobie, żyje w tobie, wprawia cię w ruch, zmusza do dokonywania różnych czynów i szaleństw, ponieważ coraz bardziej wydaje ci się, że to inne życie i inne niebo znaczy coś więcej; jest ważniejsze niż twoja obecna, konkretna, brutalna rzeczywistość, w której obudziłeś się w pościeli, na kupie słomy, obok dogasającego ogniska, przykryty derką, kożuchem albo zwierzęcym futrem. Masz wrażenie, że tam istniejesz lepszy ty i lepszy świat. Twój świat.

Później, pewnego razu, kiedykolwiek, jeśli ci się powiedzie, spotykasz innych, takich jak ty, idących przez życie z pamięcią o innym świecie i innych niebiosach. I coś was do siebie przyciąga: może los, może pamięć, może sny o tamtym niebie i tamtym świecie. Nagle zaczynasz wyczuwać, co czują ci ludzie; przewidywać ich czyny i słowa. Potrafisz działać. Nie, to wy potraficie działać. Jak jeden człowiek, jak palce jednej ręki. Dwóch, trzech, pięciu... rzadko kiedy

więcej. Czasami to może zmienić twoje życie, czasami nie; ale kiedy znajdziesz tych innych ludzi, już nigdy nie będziesz taki jak przedtem. Żaden z was nie będzie już taki jak przedtem, ponieważ wszyscy staniecie się jednym.

Potem, pewnego razu, kiedykolwiek - odejdiesz: zginiesz w walce, utoniesz w morzu, runiesz z przepaści, potknąwszy się na skalach. Albo, jak to również bywa, odejdiesz zwyczajnie, kiedy sprzykrzy ci się przebudzenie w pościeli albo na kupie słomy, albo obok dogasającego ogniska; przykryty derką, kożuchem albo zwierzęcym futrem. Odejdiesz, ponieważ przypomnisz sobie, gdzie znajduje się inne niebo i inny świat.

Odejdiesz, a twoje ciało - jego cyfrowa kopia - będzie żyło dalej: bez celu, bez sensu, w uformowanym w czasie twojej tam bytności, scenariuszu simrzeczywistości.

Ale, gdy tylko znajdziesz się po tej stronie, kiedy powrócisz (wyjdiesz - jak sądziłeś) i wejdiesz w ten inny świat pod innym niebem, znowu zaczniesz wspominać niebo i świat, zupełnie inne od tych, które teraz oglądasz.

I wtedy nagle wiele zaczynasz rozumieć o istocie rzeczywistości.

Bieganie po lesie w simrzeczywistości, wiedząc, że nie ma żadnej różnicy między cyfrowością a ciałem, okazało się zadaniem nader wyczerpującym. Nogi plątały się, a powietrze ciasnym węzłem stawało w gardle. Wszystko wokół stało się rzeczywiste. Prawdziwe.

To znaczy, że pułapka zadziałała. Pozostało tylko wypatrywać myśliwego. A przy tym kontynuować bieg, ponieważ tętent kopyt za plecami stawał się coraz głośniejszy.

Oczywiście, to nie stanowiło jakiegoś totalnego zaskoczenia: na tym zbudowany był cały sens simscenariusza. Nieoczekiwany okazał się najwyżej wybrany moment. To, że wszystko tak się ze sobą zbiegło; jeśli, oczywiście, zbiegi wydarzeń w simie można porównać ze zbiegami wydarzeń w realu; pod względem następstwa akcji było bardzo dramatyczne.

Zresztą, dawno już zauważono, że częstotliwość zdarzeń w scenariuszu simrzeczywistości jest około dwa stopnie wyższa niż w świecie zero, czyli w realu.

Stryj potknął się o korzeń i poleciał głową do przodu na wyciągnięte ręce, obcierając dłonie. I nagle okazało się, że z prawej strony mają pogoń, z lewej zarośla tarniny, a za plecami taki wiatrołom, że i wąż się nie przecisnie.

To wszystko, co ciekawe, również wpisywało się w zaostrzony scenariusz simświata, gdzie cudem zdaje się tylko to, że podrzucona moneta raz za razem staje na sztorc, a to, że orzeł wypada dwadzieścia razy z rzędu nikogo nie dziwi.

I tutaj się posypali. Wpadli w panikę i stracili kontrolę nad wewnętrznym Graczem. Zaczęli się miotać jak zające w świetle reflektorów. Poza Angusem ep Erdillem. Elf zatrzymał się, rzucił pod nogi swój plecak i opuścił ramiona, spochmurniał. Zaciskał i luzował palce. Szczupły i niezgrabny, w tym momencie zdawał się jednak równie groźny jak Stryj. Słoń i Arcyszew przestali się w końcu miotać i bezsensownie wpadać co chwila w kolczaste zarośla.

Brzęknęła stal wyciąganych mieczy.

Może być zabawnie, przemknęło przez myśl Stryjowi. Co nam w ogóle zostało? zapytał po chwili telepatycznie. Połączenie simów i osobników, odpowiedział Arcyszew. Kilka zwrotników ku infopakietom. Stopklucz. No i wszystkiego po trochu.

Tętent kopyt zbliżał się coraz bardziej.

- Ar, na lewo! Słoń, osłaniasz! Bez pirotechniki - rzucił Stryj do Angusa. - Najpierw patrzemy, kto za nami jedzie. Potem działamy.

Zdawało się, że elf skrzywił się lekko, ale nic nie odpowiedział. Między jego palcami pulsowała czerwień.

Tętent ucichł. Zarżał koń. Zadźwięczał metal.

- Ej! - rozległo się nagle z ciemności i ktoś kaszlnął gwałtownie; chrypiąc i charcząc. - O żeż twoja mać... Ej tam, słuchajcie, chodźcie, tylko powoli. Bez

rań, ognia i żelaza. Nie mam ochoty na ostre pogawędki z tymi, którzy Foltestowe psy w wychodku umoczyli.

Angus nawet nie warknął, a zagotował się w duchu. Cicho, odpowiedział mu Stryj i elf przygasił wewnętrzny płomień.

Zwrot akcji okazał się zaskakujący, ale nie było już czasu na analizy.

Z ciemności wyłonił się bowiem pucułowaty, brodaty baron Kroach asSoter. Ręce trzymał na pasie, koślawo stawiając nogi. Za jego plecami poparskiwały konie i pobrzękiwało żelazo. Baron wyraźnie nie przybył w pojedynkę.

Zobaczył czwórkę wędrowców i zatrzymał się.

- Acha! - powiedział. - Zatem dobrze odgadłem, kto w środku nocy, pieszo lezie północną drogą. Właśnie tak sobie pomyślałem, panowie, czy nie zawrócilibyście do mnie w gościnę? Dwie beczułki rivijskiego wołają o kompanię, a wy, jeżeli wierzyć w to, co wykrzykiwały te dwa gównozjady z karczmy, jesteście kompanią jak się patrzy. Co na to rzekniecie? A może i temeryjskiej miernocie figę pod nos ostatni raz podetkniemy!

Stryj nawet nie naradził się z pozostałymi: fabuła zakreślała tak, że nie było możliwości powiedzieć „nie”. Nawet nie można było o tym pomyśleć. Jeśli w czarodziejskiej krainie wydarzenia nagle się splatają w takie zbieżności... chcąc nie chcąc, trzeba było przelknąć przynętę i odegrać scenariusz.

Ostatecznie, pomyślał sobie, czym ryzykujemy? Co najwyżej nieśmiertelnością cyfrowej duszy...

Widocznie coś z tych myśli musiało odzwierciedlić się na jego twarzy, ponieważ baron Kroach asSoter rozplynął się w pełnym zadowolenia uśmiechu:

- No to świetnie - powiedział, obejrzał się i, wsunawszy dwa palce w swoją czarną brodę, krótko, ogłuszająco zagwizdał.

Potem odwrócił się do nich, zrobił krok, drugi, zatrzymał się blisko. Wionęło od niego skórą i koźmi.

- Jeszcze tylko jedno, raczcie wybaczyć, panowie, za waszego druha - powiedział i... nawet Słoń, z całym jego wychwalanym szybkim refleksem, nie zdążył nic zrobić. Po prostu stał i patrzył na leżącego pod ich nogami Angusa ep Erdilla. Podobnie pozostali. Po prostu stali i patrzyli. Na czole elfa wykwitła purpurowy guz.

- Nie lubię magów - powiedział baron. - A już tym bardziej elfickich. To tak na wszelki wypadek, żeby spokojniej było.

I dał swoim żołnierzom znak, żeby związali Angusowi ręce.

Simświaty tworzy się tak: bierze się gęstą osnowę i przepikowuje się ją na wskroś, nawet nie tyle fabułą, co jej obietnicą. Dobrzy ludzie, źli ludzie. Proroctwa. Magia. Smoki i podziemia. Niekiedy do powstania intrygi wystarczy tylko aluzja; innym zaś razem trzeba stworzyć rozległą prehistorię. Czasami, żeby zakreśliły się koła fantazji, potrzebny jest Wielki Mroczny Władca. Częściej jednak wystarczy etyczna niejednoznaczność krwawej zawiesiny świata, zmierzającego poza granice stabilności.

Jednorożce, a propos, jakoś nie znalazły odzewu w sercach graczy. Podobnie jak i historyczny hardcore. Kilka razy, co prawda, próbowano wykorzystać, jako osnowę simu, rzeczywistą epokę. Krucjaty. Rosja pod jarzmem Zakonu. Konkwistadorzy. Jednak ostateczność i inercyjność realnej historii przypadły do gustu tylko najbardziej zdesperowanym zapaleńcom. Pozostali oddawali pierwszeństwo, choćby najmniejszej, szansie stania się bohaterami wydumanego świata. Nawet takiego, gdzie troje, z czwórki bohaterów, całe życie musiało grzebać się w gnoju. Albo walczyć; co, jak się okazało, również było zajęciem ciężkim i niewdzięcznym.

Czasami gracz miał więcej swobody, innym razem był ostro ograniczony brakiem społecznych dźwigni i różnymi blokadami rozwoju wewnątrz simu; w takim przypadku pociąg do przygód stawał się podobny do ciężkich form masochizmu.

I nigdy, przenigdy, kluczowe dla simświata role nie były oddawane graczom - bez względu na to, jak długo by nie grali i jakich zasług by się nie dorobili. To po prostu nie wchodziło w rachubę. Przypadek „Baktrii” i półroczny ból głowy tarcz, próbujących wyciągnąć z subgraczowego „nawiedzenia” parę tysięcy graczy, przekształconych w niewolników miejscowego Tamerlana, „skórkę” którego przywdział koreański podrostek, ukształtował maksymalnie sztywne standardy simrozwoju. Gracz może pretendować do średniego poziomu. Żadnych monarchów. Żadnych rewolucji. Żadnych spisków w celu obalenia władzy. Tylko same przygody ciała, albo ducha, jeśli już tak wypadło. W czystej postaci. I wyćwiczenie, staranne wyćwiczenie psychoplastyki, jako dopełniający bonus dla gracza; i główny, zdaje się, dla wszystkich pozostałych zainteresowanych osób.

Psychoplastyka to błogosławieństwo i zarazem przekleństwo simświatów. Jedyne środowisko, gdzie można bez przemocy (a to znaczy, o wiele bardziej skutecznie, niż przy pracy nad warstwami psychiki) stworzyć polisaby; przestrzennie podzielone wielosubiektywne osobowości. A stąd już tylko pół kroku do nowych, utopijnych projektów: horyzontalnie jednorodne społeczeństwo, „trzecia natura”, „piąta fala”. Wszystko dla wszystkich. Co komu pasuje i co kto chce.

Właśnie w celu wyćwiczenia strategii i taktyki tworzenia „wielomianów”, simświaty cały czas rozrastają się i zmieniają.

I nikt nie pyta, dokąd te zmiany mogą doprowadzić.

Spoza szarego, omszałego wiązu, który właśnie mijala kawalkada podróżnych, wysunął się tępy ryjek pokryty zielonkawą sierścią, poruszył się w górę i w dół. Smyrgnął w górę po pniu rozmyty cień; wyraźnie chlasnął po konarze ogon. Ale na drobiazgi nie trzeba było zwracać uwagi. Nadzorcy reguł simrzeczywistości i kontrolerzy simducha nie mogli zaszkodzić aktywnej „skórcie”, jeśli przyjmowane formy były zgodne z simmetafizyką. Zdaje się, że

gracze zazwyczaj dokładnie ich nie widzieli, o ile, oczywiście, nie posiadali darów od staruszka Trojana.

- Nijak nie mogę pojąć, panowie, kim jesteście i skąd przychodzicie. Do tego wędrujecie w towarzystwie elfa, a to oznacza, że nie jesteście z Redanii, ani z Kaedwenu, ponieważ tam, obecnie, nie są radzi ani elfom, ani ich przyjaciółom. Po naszymu mówicie czysto, a więc nie jesteście też Nilfgaardczykami. Temeryczyków z kolei wsadziliście w gówno. A jak na Rivijczyków, to zbyt dobrze wam z oczu patrzy, szczere wasze lica, nieskażone przebiegłością. Czyżby Cintryjczycy? Wygnańcy? Dobrze, wasze prawo; nie chcecie mówić, nie mówicie.

Dobrej odpowiedzi na takie wynurzenia Stryj nie znalazł; postanowił jednak słuchać, nawet nie intuicji, a ósmego, a może nawet dziewiątego zmysłu.

- Nie będziemy ukrywać, że jesteśmy z tych, których serce boli z powodu Sodden. Inna sprawa, że do takiej rozmowy właściwsze są cztery oczy i ściany wokół.

- Taak? - baron patrzył na nich spod przymrużonych powiek. - I czegoż to tak się boicie, panowie?

- Podmjeńca - odpowiedział tylko Stryj.

I to wystarczyło. Kroach asSoter zgarnął brodę w garść i szarpnął parę razy, jakby sprawdzając jej wytrzymałość.

- A więc to tak - powiedział. - Znaczy się tak... gadzi syn poruszył się w końcu w swojej norze... No, dobrze, co ma być, to będzie.

Jakiś czas jechał w milczeniu, oczywiście na swój sposób: smarkał, kaszłał, z wielkim rumorem drapał się pod kolczugą. Pochrząkiwał i mamrotał coś niewyraźnie pod nosem.

Nie wytrzymał jednak długo i odwróciwszy się do Stryja, rzekł: - Już dawno mówiłem, że dobrze się to nie skończy! Radowid był jeszcze smarkaczem, jakieś trzy lata po ustanowieniu Wielkiego Pokoju, zaledwie Czarna Śmierć wycofała

się po raz pierwszy. Już wtedy im mówiłem: Pod nóż trzeba szczeniaka wziąć; dobry człowiek nie może takich rzeczy wyczyniać, jakie ten gadzi syn w Redanii wyrabia. W czasie wojny na różne rzeczy się napatrzyliśmy, dlatego też gotowi byliśmy Foltesta błagać, żeby ruszył na Redanię całą kupą z tamtejszymi szlachcicami, coby szczeniakowi leb ukreć. A teraz, zapewne, stary kozioł żałuje, że nie posłuchał głosu rozsądnych ludzi. Ech...

Angus ep Erdill zakaszlał raptownie i spróbował chwycić się związanymi rękami za głowę. Nie udało mu się, ponieważ nadgarstki miał mocno przywiązane do lęku siodła. Żeby otrzeć twarz, elf musiał pochylać się w dół i do przodu. Przechylił się i jęknął znowu.

Kroach asSoter nie miał najmniejszego zamiaru oswobodzić elfa i pozostawał głuchy na wszelkie argumenty trójki towarzyszy. Słoń, w zapamiętaniu, chciał nawet dołożyć baronowi, ale na szczęście poza słownymi potyczkami w obrębie grupy do niczego więcej nie doszło.

Na wszystkie ich wyjaśnienia baron reagował istic po baronowsku: „Skąd się zjawil, skąd, powiadacie? Tir na Fo? A co to znowu za cholera? Zerrikańska pustynia? A idźże!” - i rechotał, odchylając się w siodle całym ciałem.

Dodatkowym utrudnieniem było to, że w żaden sposób nie można było ustanowić kontaktu z samym Angusem, jak wtedy, przed przybyciem Kroacha asSotera. Nadal go wyczuwali: emocjonalny fon, cielesne niewygody; zdrętwiałe nogi i wpijający się w nadgarstki sznur. Ale słowa i obrazy, wysyłane do niego, wpadały jakby w otchłań.

Dla grupy, która dopiero co zyskała cielesność, było to tak, jakby oślepla na jedno oko.

- Chciałbym jednak zapytać, panie baronie, dlaczego nazywacie Radowida Podmieńcem? - Arcyszew cały czas był skoncentrowany, próbując znaleźć jakiś słaby punkt barona. I prawdopodobnie mu się udało, ponieważ Kroach asSoter aż się poderwał, obejrzał się wojowniczo wokół i wyprężył pękaty brzuch:

- U nas w Sodden nikt inaczej nie nazywa tego gadziego syna. Bo wiedzą, że nie darmo go swatali z Cirillą Czarną. o niej zaś teraz też już wszystko wiadomo. Płynie w niej krew przeklętej Falki i to po jej śladach chłód i zaraza na Północ przyszły. Zaś matką Podmieńca nie była, bynajmniej, Hedwig, a jedna z północnych szlachcianek, które urodziły się pod Czarnym Słońcem. A królewicza podmienili na wyrodka - już wtedy chcieli ich połączyć z krwią Falki. Prawda, różnie gadają ludziska. Jedni prawią, że Nilfgaardczycy za wszystkim stali, a drudzy, że to sprawa Novigradców obludników, albo elfów. W to ostatnie nie wierzę. Po co mieliby coś takiego robić? A poza tym, nawet by nie potrafili. Prawdę mówię, drobnozębny? - tknął trzonkiem bicia w bok Angusa.

Czerwony drgnął, szczerząc się szeroko. I nagle wyprostował się, nie zwracając uwagi na wbijający się w bok bat. Poruszył związanymi rękami.

- On się zbliża - powiedział nagle głośno i wyraźnie. - Zbliża się i dobrze by było, zacni panowie, gdybyście byli na to gotowi.

I wtedy wszyscy poczuli. Wszyscy troje. I nie były to przecucia Angusa ep Erdilla. To przyszło z zewnątrz: wilgotne i chwytające za gardło, niczym popiół po pożarze lasu. Wraz z ciężkim, siarczanym powietrzem.

Baron i jego towarzysze pokręcili głowami. Zarżały konie, potrząsając łbami, popielaty źrebak stanął dęba; koń Angusa, parskając, poszedł bokiem. Któryś z ludzi barona przekościolkował przez kłęb znarowionego ogiera. Pozostali zatrzymali się, próbując uspokoić konie. Słoń zszedł z siodła i raptem runął na kolana, wbijając pięści w ziemię. Natychmiast poderwał się z wysiłkiem, wczepiając w strzemiona konia Angusa.

Pomalowane na purpurowo skórzane nakładki na piersi elfa wypłowiwały i zakurzyły się, a spizowa blacha na pasie zrobiła się matowo zielonkawa. Ale rude nici, na krzyż oplatające duże palce u rąk, błyszczwały niczym dachy novigradzkich świątyń.

- Rozwiążcie mnie - powiedział Angus ep Erdill. - Rozwiążcie.

- To... - odezwał się ze zmieszaniem Słoń. - Jego nożyk się rozgrzewa.

I z jeszcze większym wysiłkiem odsunął się dalej od ceremonialnego ostrza maga Czerwonej Gałęzi z Tir na Fo; nad pochwami zaczęły snuć się pasma rudego dymu.

- Rozwiążcie mnie! Szybko! - Angus szarpał się jak ryba na haczyku, próbując unieść ręce. - Póki nie jest za późno, proszę, zacni panowie!

Słoń, nie pytając nikogo o zgodę, podniósł ostrzem noża sznur, włókna zatrzęszczały i pękły. Elf rozczapierzał palce nad pętami obejmującymi jego biodra. Wokół unosiła się woń spalenizny; koń zarżał, wierzgnął i pchnął bokiem Słonia.

Niewątpliwie był już najwyższy czas, powiało dusznym chłodem, jakby nogi po kolana zapadły się w roztajały śnieg. Z trudem szło oddychać. Zrobiło się tak głośno, jakby zaszumiało tysiące wronich skrzydeł. Powiało smrodem zgniętego mięsa. Stryj nie pamiętał takiego ustępu w scenariuszu, ale nie było czasu, by go szukać. Miał ochotę paść na ziemię i zakryć głowę rękami. I tylko Arcyszew wykrzykiwał coś, przypadając do szyi konia, a pod jego dłońmi drżały srebrzyste rozbłyski.

Potem wyraźnie coś załopotalo, z ostrym, świszczącym dźwiękiem, wypełniającego się wiatrem żagla. To potargany płaszcz Angusa ep Erdilla rozpościerał się niczym skrzydła; lopotał, uginając się pod falą zimna. Stryj i pozostali znaleźli się akurat w jego cieniu, którego rozmiar był cztery razy większy, a kontur słabo opalizował.

Fala chłodu uderzyła w ten niby żagiel i znikła, docierając do Stryja tylko dreszczem rzeškości. Elf ciężko upadł na jedno kolano i wetknął kościstą rękę w trawę. Płaszcz obwiedziony szkarłatem, jakby wybuchł w ułamku sekundy, potem przygasł; a trawa, tam, gdzie Angus uderzył dłonią, poczerniała, przygnieciona ni to żarem, ni to mrozem.

- W imię Wszechmogącego... w trzech osobach boga, opiekuna dusz...

Stryj, toż to... toż to... - Arcyszew chwiał się, w końcu spelzł z siodła i przykucnął, żeby nie upaść. - Co za cholera! - zakończył bez patosu.

Angus leżał na wznak, a jego grdyka drgała, jakby elf małymi łykami pił wodę. Zdawało się, że „Czerwonym” zaczynały trząść dreszcze i to nie z zimna, jak można by przypuszczać.

- Tak blisko od Doi Blathanny - powiedział wyraźnie, nie otwierając oczu. - Tak blisko. Zło chodzi teraz krętymi drogami.

- Kto to był? - zapytał baron Kroach asSoter niemal normalnym głosem. - Jeśli, oczywiście, mogę zapytać, łaskawi panowie...

Panika, która opanowała Słonia, odbiła się od strachu Angusa ep Erdilla i Stryj musiał powstrzymać emocje, żeby całej grupy mu nie rozniosło.

- Za to teraz wszyscy o mnie wiedzą - z żalem, jak wydawało się Stryjowi, stwierdził elf, próbując podnieść się z ziemi.

Zawinał poly płaszcz i od razu stał się podobny do lekko przygarbionego starca.

W tym momencie na polanę wpadli niscy, krótkonodzy kopijnicy, złowrogo potrząsający orężem, a baron Kroach asSoter, znajdując w sobie siłę, żeby unieść się na łokciu, wpatrywał się w nich z niemalą ulgą. Pomachał do nich ręką.

- Nie wiem, czy wy wszyscy w tym waszym Tir na Fo jesteście tacy sami, ale nie daj nam Pramatko z wami wojować - powiedział baron do pleców elfa. - A ręce tobie, Angusie jak cię tam zwał, nie na darmo, jak się okazuje, związywałem.

- Nie ma żadnych dowodów na to, że wiedźmini rzeczywiście istnieją.

- Acha, akurat! - ryknął baron, aż z pobliskiego drzewa z szumem zerwały się kawki. - Osobiście rozmawiałem z ludźmi, którzy znali tych, którzy znali Geralta Przekłętego. A i o innych wiedźminach tyle się gada...

- O tym właśnie mówię - Arnold van Gaal, doktor honoris causa na wygnaniu, krótkowzrocznie mrużył oczy, spoglądając na krążące po niebie

kawki. - Dokładnie o tym. Zawsze tylko informacje z trzeciej i czwartej ręki. Zawsze tylko bajki, które... eee... informatorom opowiadały wędrujące dziady w czasach ich... eee... informatorów, rzecz jasna, dzieciństwa. Nie ma ani jednego portretu. Ani jednego udokumentowanego świadectwa. Żadnej materialnej pozostałości; mieczy, medalionów, czy choćby receptury na ich wychwalane dekokty. A i fabuły z przygodami wiedźminów... sami wiecie, co to są za fabuły! Bez trudu można w nich odnaleźć poprzerabiane bajki wieśniaków. Jak chociażby tę o zaczarowanym Potworze i ratującej go Piękności!

- No - wzruszył ramionami Angus ep Erdill - słyszałem, że nie ocalał również ani jeden portret Cirilli Czarnej, jednak to nie powód, żeby poddawać w wątpliwość jej istnienie.

Doktora honoris causa Oxenfurckiego Uniwersytetu spotkali pół mili od zamku, przy sterczącym dwoma czartowskimi palcami ostańcu.

- O! - krzyknął na jego widok baron. - A oto i mój mózgowiec! Nieszczęście Oxenfurtu, groza miejscowych gospodyń. Żebyście wiedzieli, panowie moi, jak zmarniał pan Arnold od badania garnków moich wieśniaków. Ani skorupki nie przepuści.

Arcyszew, zachowując powagę, zainteresował się, skąd podobna obsesja.

Okazało się, że sprowadzony przez Kroacha asSotera doktor, zbiegły z Redanii, podobno jeszcze w czasach czystek w szeregach uczonych dokonanych przez Podmieńca, zajmował się ideą rdzennego pochodzenia ludu, a dokładniej Dwóch Fal przesiedleńców. Według niego, ludzie byli pierwotnymi mieszkańcami tutejszych okolic, natomiast elfy i krasnoludy, to zwyczajni przybysze i nic ponadto. Dla potwierdzenia swoich idei, Arnold van Gaal szukał starożytnych osad i często wspominał naskalne rysunki pod Gorgoną, Górą Diabła. Uważał, że to właśnie są ślady pierwszych mieszkańców i sięgają one czasów o wiele wcześniejszych, niż pojawienie się krasnoludzkich miast w Mahakamie.

Do Angusa ep Erdilla doktor przyczepił się jak kleszcz. Elf pochodzący z osad, nie mających niemal styczności z ludźmi - czy ktoś inny mógłby wzbudzić w uczonym człowieku większe zainteresowanie?

- Wy, szanowny panie elfie, trafiacie w samo sedno problemu - radośnie przytakiwał Arnold van Gaal słowom Angusa.

- Jestem przekonany, że większość opowieści o Cirilli Czarnej, to tylko streszczenie starożytnych podań, falsyfikat. Próba zrozumienia wydarzeń Wielkiej Wojny, wykorzystująca popularne fabuły. Ale, rozumiecie, w świadomości ludu - jeśli oczywiście przyjmiemy, że lud posiada świadomość - zawsze zawiera się fantazja, skrojona na lokalną modłę. Sądzę, że to dlatego, iż znajome fabuły łatwiej zapamiętywać i prościej przekazywać z pokolenia na pokolenie. Właśnie dlatego w pamięci ludzi Druga Fala całkowicie nałożyła się na Falę Pierwszą; rdzenną, początkową.

Baron pokręcił głową.

- Pewnego razu, doktoru, doprowadzisz mnie, swoimi opowieściami do ostateczności i wtedy stworzę ci fabułę znaną każdemu wieśniakowi na moich ziemiach. Tę, którą nazwą „wściekłość Barona Kroacha asSotera, rozzłoszczonego dumotami, którymi ktoś próbował go nakarmić”. Patrzcie go, nawet w Cirille nie wierzy! Może jeszcze fakt Wielkiej Wojny zaczniesz poddawać w wątpliwość?

- A niby dlaczego - wzruszył ramionami Arnold van Gaal.

- Wojnie zaprzeczać nie będę...

- Chwała bogom! - baron uniósł ręce.

- Jednakże... - doktor honoris causa nie potrafił odpuścić. - Jednakże, naiwny byłby ten, kto przypuszczałby, że cała wojenna maszyna Nilfgaardskiego Imperium była zajęta poszukiwaniem i przechwyceniem jednej tylko niepełnoletniej dziewczynki wątpliwego pochodzenia.

- Dziewczynki dziewczynkom nierówne - warknął baron.

- Jednakże - przemówił Stryj, włączając się do rozmowy - logiczne jest przypuszczenie, że jeśli są potwory, to są i ci, którzy na nie polują. Profesjonalnie. A przecież, mistrzu, nie poddacie w wątpliwość istnienia strzyg czy bazylijszków, prawda?

- Ale w ostatnich latach potworów jest coraz więcej, a wiedźminów jakoś nie widać.

- A ty, doktorze, nie miałeś ochoty wybrać się osobiście do ruin Kaer Morhen?

- Pewnie! A może i jeszcze dalej. Człowiek, mój zacny panie, dąży do nieosiągalnego, ale opiera to na możliwościach. Dlatego też sądzę, że tak liczne w ostatnich czasach namnożenie się potworów mówi o bliskości zdarzeń o wiele ważniejszych niż wszystkie Proroctwa Ithlinne.

- A żeby ci język kolkiem stanął - warknął baron i splunął pod nogi.

Ale Angus niespodziewanie zainteresował się słowami doktora.

- Co chce pan przez to powiedzieć, doktorze van Gaal? Że władcy Północy są prawi, a czarodzieje nie tylko próbowali przechwycić władzę, ale i całkowicie zlekceważyli Wielki Układ i znowu, jak za dawnych czasów, płodzą potwory?

Arnold van Gaal uśmiechnął się pobłaźliwie:

- Nieźle, nigdy bym nie przypuszczał, że i pośród elfów mechanizm wysnuwania wniosków, tak bardzo podobny jest do mechanizmu myślenia ludzkiego. Jakbyśmy pochodzili od jednego korzenia - i zamilkł, zadumawszy się nagle.

Akurat, pomyślał Stryj. Simświaty, jeśli spojrzeć na nie od wewnątrz, zawsze wypełnione są głębokim sensem i wielkimi odkryciami. Szkoda, że ich logikę i prawidłowości buduje, nie jakiś tam historyczny determinizm, a jedynie następowanie po sobie zaprogramowanych scenariuszy.

- I co niby macie na myśli? - ton głosu Angusa stał się zaczepny.

- Co? Ach, tak - ocknął się biegły doktor. - Mówię o tym, jak w

rzeczywistości przedstawiały się sprawy z pojawieniem się potworów.

- No więc, jak? - zapytał Arcyszew. - Była jakaś inna przyczyna? Elficki spisek?

- Nie, a dlaczegoż by? Zupełnie nie to mam na myśli - Arnold van Gaal zerknął na elfa i pozostałych. - Przecież, jak sędzę, znacie legendy o pojawieniu się potworów, panowie?

- Magowieodszczepieńcy? - pokiwał głową Arcyszew.

- Właśnie. Tylko że zawsze zapomina się, że potworne rezultaty doświadczeń pierwszych magów były nie przyczyną, a skutkiem. Do pojawienia się pierwszych mutacji doprowadziło unikalne zdarzenie: Sprzężenie Sfer. To samo, które jakoby pozwoliło pierwszym rodom dotrzeć do ujścia Jarugi. Jestem przekonany, że ówczesna Fala Przesiedlenia była tak naprawdę Drugą, ale sęk nie w tym. Sprzężenie Sfer osłabiło klamry naturalnych praw, przez co stało się możliwe zaistnienie wszystkich tych hybryd i mutacji, z powodu których przeklinają teraz magów.

- Zatem wynika z tego, że liczba potworów zwiększa się teraz, ponieważ...

- Dokładnie - skonkludował van Gaal. - Dokładnie! Przyczyną jest nowe Sprzężenie! Sędzę, że stoimy na progu niebywałych wydarzeń. Nowe rasy, niespotykane stworzenia, wrota do innych światów... A, co tam: kiedy nastąpi Sprzężenie, nie wykluczałbym i możliwości, że na ziemię wkroczą nowi, a może nawet i starzy, bogowie! I u pana barona...

W tym momencie baron głośno się wysmarkał i wytarł palce o cholewę wysokiego buta.

- Za to właśnie nie lubię uczonej braci - powiedział. - Tak, właśnie za to; że proste rzeczy, wy, mózgowcy, staracie się uczynić skomplikowanymi. A ja powiem krótko: wszystko jest o wiele prostsze. Początkowo czarodzieje zaczęli łąć jeden drugiego na tej swojej wysepce, a potem ze wszystkich szczelin wylazło różnorodne paskudztwo. Ot i cała bajka. I cała ta prastara mądrość.

- Ale trzęsienie ziemi na południu, pod sam koniec Wielkiej Wojny...

- Jeszcze powiedz, że tylko dlatego pokonaliśmy Nilfgaardczyków, to osobiście ci tę główkę z karku strącę. Przyszedł Nilfgaard, natłukliśmy ich, ot i cała opowieść. A jak przyjdą znowu, oni, czy jakieś inne bydlaki, znowu im nakopiemy.

Trzeba powiedzieć, z ironią zauważył Stryj, że wersja pana barona wyróżnia się niemalym wdziękiem i prostotą. Zachował jednak tę myśl tylko dla siebie.

Jak na gust Stryja, mięso było za bardzo wypieczone, zupa nadmiernie słona, ale piwo nie zawiodło. Nie zawiodło na tyle, że nie chciało mu się nawet zastanawiać, czy jest ono simem, osnową, czy może realem.

- Słuchaj - szepnął mu do ucha Arcyszew - przeleciałem po protokołach, oczywiście w miarę moich możliwości i dostępnych mi mysich norek. Sprawa wygląda tak, że nie mogę ich zadrasnąć. I nie zdołałbym. To znaczy, całkowicie. A to z kolei oznacza, że...

Nie dokończył, ale Stryjowi i tak z ledwością udało się zachować spokojny wyraz twarzy, skoro już nawet Arcyszew nie potrafi rozróżnić simu od realu, to oznacza, że wszystko nie jest tak proste, jak mówił Trojan. Jest jeszcze gorzej.

Kroach asSoter pił tymczasem z Angusem ep Erdillem z całkiem sporych czarek. I, zdaje się, że była to już trzecia kolejka. Żebyśmy nie zmarnowali naszego bruderszaftu, pomyślał Stryj z lekkim niepokojem.

Zresztą od strony Angusa biegł całkiem pozytywny fon. Wyglądało na to, że czerpał niemalą przyjemność z zaistniałej sytuacji. Elf w ogóle lubił proste rzeczy i Stryj o tym wiedział; tak jak wiedział o tym, że Angus ep Erdill nie lubił pietruszki w mięsie, że Słoń wciąż jeszcze nie może się uspokoić po wydarzeniach w lesie, a Arcyszew obawia się odwrócić plecami do luster w ciemnej komnacie.

I wiedział, że każdy z ich czwórki wie to samo. W tym właśnie tkwiła istota grupy. Być całością i działać jako całość. Dziś trudno wprost uwierzyć, że były

kiedyś czasy bez psychoplastyki. Każdy wtedy czuł się obcy w obcym kraju, nie człowiekiem nawet, a funkcją; trybikiem w wielkich, socjalnych maszynach. Złe, zapewne, były to czasy. Czasy mocarzy i bohaterów. I tak właśnie pamiętał je Trojan, który wciąż jeszcze darzył sympatią siłę państwowej maszyny wówczas stworzonej. Ale Trojan, według Stryja był przeżytkiem, na tyle staroświeckim, że brać pod uwagę jego wspomnienia i upodobania, byłoby jednak ekstrawagancją. Nie rozmawiamy przecież z pomnikami, prawda?

Jednak Stryj pamiętał, jak Trojan wyłożył mu, czego oczekuje od ich grupy: „Nie mam więcej kogo posłać, Losza. Po prostu, nie mam. A zresztą, być tarczą... pamiętasz jak to było, prawda?” Stryj pamiętał i cenił sobie to, chociaż z powodu takiego zaufania nieraz musieli nadkładać drogi i głowa pękała im z bólu.

Kroach asSoter szalał dalej. Teraz chciał, żeby czarękę rozpił z nim Słoń. Ten, stateczny i surowy, patrzył na niego ponuro z góry; tymczasem tęgi Kroach asSoter, baron zamku Długi Mur, naskakując na niego, wypiął brzuch i wojowniczo potrząsał brodą.

Arcyszew przepuścił jego obraz przez dostępne bazy od razu przy pierwszym spotkaniu, ale Stryj i bez tego wiedział, że w Kroacha asSotera wcielił się w swoim czasie jeden z przypadłych, Miłosz Boguszan, dziewiętnastolatek, korporacyjny analityk koreańskich „czerwonych doboszy”. Mówiąc krótko, cel priorytetów trzeciego rzędu. I, jak na taką „skórkę”, Kroach asSoter był irytująco nadaktywny. Należało ten fakt, obowiązkowo, zrzucić na paranoję Arcyszewa. Ale jakoś nie szło i to było naprawdę dziwne. Osobliwość „skórki” Kroacha asSotera przyprawiała o dreszcze, może nie te największe, ale jednak. Stawała się powodem do podejrzeń.

Podobnie rzecz miała się ze „skórką”, w którą przeobraził się w simie Wołodka, szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę całe to woodoo, wszyte w niego pod wpływem nalegań Trojana. Przecież ten, w którego przemienił się

Wołodka, okazał się stanowczo niestandardowym bytem w settingu „Sapkowii”, raczej jakąś niezwykłością. Jakby to nie była improwizacja. Chociaż, z drugiej strony; jakie, w fikcyjnym simświecie, mogą być improwizacje grupy, wysłanej z misją przez człowieka pokroju Trojana? To już nawet nie było śmieszne.

I cóż teraz? Dręczyć się niepewnością? Sprawdzać wciąż od nowa? Szarpać stopkłucz i salwować się ucieczką? To też nie było śmieszne.

Tak naprawdę, Stryja niepokoiło jedno: problemy z realem. Doskonale przecież pamiętał, jak Trojan, formułując wersję osłony, rozrzucił przed nim, niczym karty z talii, operacyjne orientacje: „Trofim”, „Grymza”, „Liponow”, solo, dwadzieścia trzy lata, designer dynamicznych systemów, lokalizacja nieznana... Miłosz Boguszan i Milena Arno, duale, dziewiętnaście lat średnich, korporacyjny analityk, lokalizacja nieznana... Grupa Alkonost, przełożony Walentyn Choroszew, dwadzieścia trzy średnich, szesnaście minimalnych, lokalizacja nieznana... Wszyscy przepadli jak kamień w wodę. Całkowicie bez śladu. Wiele tu jeszcze tego, Losza. Tyle, że tarczom powinno już coś świtać. I tu rodzi się pytanie: dlaczego posyłam ciebie, a od nich nikogo nie widać? I nie można ich zobaczyć? Dobrze pytanie, prawda? Z drugiej strony - odpowiedział wtedy on, Stryj - nie ma byłych tarcz, prawda? Trojan tylko chrząknął i nie skomentował pytania.

Tych graczy, którzy rozplynęli się w cyfrowym świecie i jakby startych z realu, było półtorej dziesiątki z dwudziestu dwóch ludzi. Wszyscy, na ile można było przypuszczać, zagospodarowywali simświat „Sapkowii”: wyższe miejsca na wykresach, milion aktywnych graczy, około czterech simskórek. Jeśli wierzyć w oficjalne statystyki, oczywiście.

Poszukiwanie ich było dobrą przykrywką.

Na tyle dobrą, że doskonale zaciemniała główny cel, czyli kontakt z Rekonstrukcją - jedną z tych, które, jeśli wierzyć graczom, ujawniały się w głuchych miejscach „Sapkowii”. Zaznaczmy; ujawniały się, w żaden sposób nie

odbijając się przy tym w przebiegu wydarzeń. Wszystko to były informacje z drugiej ręki, żadnego bezpośredniego świadka. Cóż, opowieści zawsze są barwne i fantastyczne.

Z jakichś, tylko sobie znanych powodów, Trojan był przekonany, że w trójkącie KozyczRepninkaOskoryca wystarczy poszperać za jednym trendów - ni to Cintry, ni to Novigradu. I że gdzieś w pobliżu niedawno pojawiła się podobna Rekonstrukcja.

Właściwie to grupa Stryja przybyła tutaj, żeby się o tym przekonać. Albo nie. Jednak w takim wypadku negatywny rezultat, mógł czasami okazać się ważniejszy od rezultatu pozytywnego.

I oto dotarli do celu i nos w nos zetknęli się ze „skórką” jednego z przypadłych bez wieści. Wypadałoby zebrać się i skoncentrować, „wysilić mózg we czterech”, jak mawiał Słoń. Pozostało tylko wyrwać z łap Kroacha asSotera maga Czerwonej Gałęzi, wędrowca z Zerrikanii, niezwykłego elfa z południa, żeby był zdrowy i trzeźwy.

Tymczasem Kroach asSoter już wywijał w tańcu, wysoko unosząc kolana, a puszczalki dely tak przenikliwie, że Stryjowi mrówki biegały po skórze. W chwilę potem zrozumiał, że to nie mrówki; Angus ep Erdill coś poczuł, jak to potrafią tylko elficcy magowie z zerrikańskich pustyń.

I Stryj poczuł dziwny zapach, chociaż nie wiedział, jaki. Ale, co to za różnica, jeśli rybka w końcu poruszyła błysk?

W zasadzie zawsze wszystko można sprowadzić do suchych wersów podsumowujących lata i dziesięciolecia, do następowania po sobie zer i jedynek; gdy po człowieku pozostaje tylko słaby ślad, a po jego myślach i uczuciach jeszcze mniej. Zapewne, w tym także zawiera się wyższa sprawiedliwość. Ponieważ ludzie ci, zbyt często, faktycznie nie są niczym więcej niż zbiorem zer i jedynek; przynajmniej w ich „tu i teraz”, które staje się ważniejsze od mięsa i krwi. A możliwe, że krew i mięso to także tylko suche linijki w zapisach innego

porządku, do którego, w naszym „tu i teraz”, nie mamy dostępu. „Na razie” albo „nigdy”. Różnica między tymi dwoma rękojmiami istnienia jest mniejsza, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Do suchych linii można sprowadzić wszystko.

Prymitywne mechanizmy czasów, kiedy „żelazo” oznaczało żelazo. Pierwsze nieśmiałe próby, nie tylko zwykłego zabawiania się w sieci, ale i współdziałania. Tygrysy i bawoły, które, jak się okazało, kryją się w każdym z nas. Spryciarze, kupcy i bohaterowie. Ekonomia i psychologia, z powodu których real silniej przeplatał się z ówczesnymi odpowiednikami obecnych simów. Powstawanie pierwszych legend i mitów. Czasy i czyny współtowarzyszy Trojana, złych, potężnych starców. Czasy i czyny tytanów, ducha i soli ziemi. Jak zwykle - mityczne i niewyobrażalne. Wtedy wielu wydawało się, że to ucieczka. Wycofanie. Brak chęci do życia w realnym świecie z jego realnymi problemami. Z islamskim zagrożeniem. Z ekonomicznymi kryzysami. Z globalizacją. Tymi zagrożeniami, które okazały się zaledwie pęcherzami ziemi, które jednak pękły wystarczająco głośno, gdy tylko zmieniły się okoliczności. Gdy tylko, niezauważalnie dla samego siebie, świat stał się inny. Nie lepszy. Nie gorszy. Po prostu inny. I cały szereg, co tam szereg, ogrom ograniczników zniknął. Jak, dajmy na to, prawo autorskie, czy zwyczajowy system płatności gotówkowych. Jak ekonomika przemysłu haftowego. Do tego wszystkiego wystarczyło paru geniuszy, wyścig biotechników i kilku zręcznych chłopaków. Przynajmniej nowe mity przedstawiały to w ten sposób. Takie właśnie opowieści tutaj wprowadzono. Na przykład taki Trojan. Chociaż on to mawiał jeszcze: nieważne, co jest szczerą prawdą, ważne, co za tę prawdę jest uważane.

A prawdą stały się implanty trzeciego pokolenia, otwarcie algorytmu przestrzeni simświatów. Jak to powiedział ktoś pod koniec minionej ery: my nie budujemy światów, my je tworzymy. Wrzucamy fabularne schematy w przestrzeń zbiorowej nieświadomości i patrzymy, jak narastają kryształki.

Przypomnieli sobie starą dewizę, która dała konturom nowego świata określonosc: „Kiedy Adam orał, a Ewa prała, kto był panem?”

Pana, zresztą, raz za razem jakiegoś znajdowali; pojawiał się znikąd i równie szybko odchodził donikąd. Znikał. Nie jego czas. Pojęcia „na razie” albo „nigdy” pozostawały niejasne.

Wtedy to stało się oczywiste, że człowiek nigdy nie jest końcem ani początkiem tego łańcucha. Nigdy nie był i nigdy nie będzie. W wodach tych pływają monstra o wiele większe i o wiele bardziej przerażające. W wody te mogą wstąpić bogowie. Albo - bóg może z nich wyjść.

My, ludzie, tylko gramy. To znaczy - żyjemy.

Księżyc jaśniał bezlitośnie. Biała, krzykliwa plama wyglądała trochę jak wrota do innego świata. Szybko przemykający cień zatrzymał się przed okienkiem i wrota zamknęły się. Tylko ruda rdza posypała się z zawiasów.

Najtrudniejsze okazało się rozbudzenie maga Angusa ep Erdilla. „Czerwony” był zupełnie zielony na twarzy po wczorajszych bruderszaftach i trzeba było nakładać na niego proste słowo i czyścić rejestr; Arcyszew robił to, jak najlepiej potrafił, ale szło mu coraz ciężiej. Wreszcie Angus ep Erdill usiadł na posłaniu i obrzucił ich mętnym, ale przerażająco trzeźwym spojrzeniem.

- Jesteście mi dłużni pół kwarty - oznajmił schrypniętym głosem.

Wczoraj, kiedy ich gościnny gospodarz już się natańczył, elf rzeczywiście podszedł bezgłośnie i rzucił:

- Kroach asSoter niedawno odwiedził zamek Kaer Loc i Kaed Morkvide w Toussaint. I kogoś stamtąd przywiózł, jakąś dziewczynę, a sam się zmienił, chociaż nie pojmuje, jak dokładnie. Ludzie, którzy z nim poszli, nie wrócili. O tym się nie mówi, ale tylko nieliczni potrafią ukryć swoje myśli przed magiem Czerwonej Gałęzi. I oto mówię: odwiedził zamek Kaer Loc, a pozostali teraz się boją. A boją się, jakkolwiek dziwne by się to wydawało, nie jego, nie barona, nie zmienionego.

Stryj popatrzył na Arcyszewa, ten skoncentrował się przez chwilę.

- Acha, jest ślad - powiedział. - Mam coś interesującego; pozostałe postaci rzeczywiście nie bywały w tym zamku.

Sprawdziłem to. Zamek pojawił się w simie całkiem niedawno, po prostu nie zdążyliby. No! Oto nasza Rekonstrukcja, chłopaki. Zatem, przyjdzie nam ją zbadać.

I dało się wyczuć, że zbieżność ta Arcyszewowi wcale się nie podoba. Zalatywało siarką, a nie krwawą biegunką, co byłoby nieco bardziej typowym zjawiskiem, biorąc pod uwagę okoliczności.

Wyszli na zwiady. Wetknąć kij w gniazdo os i zobaczyć, co się Steinie.

- Czy wiesz - zapytał Arcyszew później, kiedy leżeli już niedaleko fortu Vidort między kruchymi, czarnymi krzewami i kiedy niczego nie można było już zmienić - czym zajmują się tam, w tych Rekonstrukcjach? Zapewne czarują - odpowiedział Stryj. A co tutaj znaczy czarować? - nie uspokoił się Arcyszew i tylko uśmiechnął się blado, kiedy Stryj palnął się w czoło. Pozostało nam zatem dowiedzieć się, co oni zrobią z taką liczbą jagniąt i jak postąpią z kozłętami - powiedział. Pomysł był stary, tylko Stryj nie pamiętał, żeby chociaż raz odegrali go na poważnie. Dokładnie tak samo gadali wcześniej, że w simach działają psychotechniki głębokiej korekty zachowania. A jeszcze wcześniej, że tutaj są simwięzienia dla socjopatów. Stryj zawsze uważał, że to zwykła paplanina, w rodzaju bajek o „czarnym serwerze”.

A potem Trojan zaproponował im to, co zaproponował.

Siedziba Kroacha asSotera nocą sprawiała jeszcze mroczniejsze wrażenie. Bardziej przerażające. Wszystkich nachodziła rozpaczliwa chęć na strzaśnięcie z siebie diabelstwa i powrót do realu. Tylko, niestety, nie było już pewności, co jest realem, a co simem.

I znowu wypełzały wątpliwości.

Dla nich, zdawało się, przywykłych do wszystkiego, okazało się to

poważnym problemem. Świat obrastają szczyty logiki i nielogiczności. Jest on niczym ostrze miecza, w którym wszystko jest na „tak, tak - nie, nie”; przypadkowości jest tu o wiele mniej niż tego, co przesądzone. W na wpół zgnilej skrzyni, w pieczarze, w której, rzekomo przez przypadek, skryłeś się przed niepogodą, pojawia się starożytna mapa skarbów twojego rodu, a grupa poszukiwaczy przygód zawsze dociera do celu w ten jeden jedyny dzień, kiedy drożdź wskazuje drogę do tajemnego wejścia.

To właśnie dlatego śmiejnostki, jak zresztą i „skórki”, niemal nie odczuwają wątpliwości. I to, że ich czwórkę, łącznie z Angusem ep Erdillem, tak teraz skręcało od braku pewności siebie i wiary w swoje działania, nie mogło nie budzić zaniepokojenia.

Biorąc pod uwagę słaby fon informacyjny, na który natknął się Arcyszew; ten sam, po którym mieli zamiar teraz przejść, zadanie nie było proste. „Coś takiego się nie zdarza - powiedział Słoń, kiedy Arcyszew wrzucił w głąb coś na próbę.

- Po prostu się nie zdarza”.

Ale ślad był: prowadził do lewego skrzydła zamku, do podziemnych kondygnacji. I tam właśnie mieli zamiar prześliznąć się niepostrzeżenie.

Za drzwiami prowadzącymi na galerię coś nagle zaskrzypiało, zatrzeszczało, jakby skradął się tam żelazny bożek. Słonia, który stał przy oknie, przeszły dreszcze.

Jednak w korytarzu nikogo nie było, tylko nad stopniami schodów pływała delikatna zielonkawa poświata, jakby w powietrzu rozkruszono próchno. Schody i korytarze ziały pustką, jakby zamek nie tyle usnął, co raczej wymarł. Arcyszew, zresztą poinformował, że za cyfrowymi drzwiami daje się wyczuć ludzi; ni to śpiących, ni to odurzonych po ucicie. Elf ponuro kiwał potakująco głową.

Gdy schodzili coraz niżej i niżej, zdawało się, że plecy przewierca im złe spojrzenie, ale twierdza stała parę dni drogi uszczy druidów, kształtującej losy

tutejszych ziem już od kilku stuleci, zatem niczego dziwnego w takich odczuciach być nie mogło. Później dziwili się najwyżej temu, że w ogóle cokolwiek wyczuwali, i dorzucali, że gdyby nie było z nimi Angusa ep Erdilla wszystko zapewne potoczyłoby się inaczej. Ale zerrickański mag był i Stryjowi pozostało tylko ciągle na nowo zadawać sobie pytanie, co jest tutaj przyczyną, a co skutkiem.

Idący przodem Angus ep Erdill, zatrzymał się i podniósł rękę: pachnie krwią, oznajmił telepatycznie grupie. I w tym momencie, zanim zdążyli się zdziwić, w cieniu ktoś westchnął, przestępując z nogi na nogę. Dwóch pacholków. I to bynajmniej nie ze świty Kroacha asSotera.

- Powiadają także, że na zachodnich wzgórzach widziano króla jelenia - powiedział jeden, a drugi głośno westchnął. Podrapał się, grzechocząc orężem.

- To nie nasza sprawa - powiedział wreszcie. I dodał - Naszym zadaniem jest stać i czekać. Tylko jakoś tak straszno tutaj.

Głos drugiego był, wnioskując ze słuchu, sporo starszy od głosu pierwszego.

Stryj obejrzał się na elfa, a ten skoncentrował się, wyciągnął jak struna i zniknął. Natychmiast na dole coś zabrzęczało; o kamień zadzwoniło żelazo.

- Droga wolna - wyjrzał z niszy elficki mag.

Obaj wojacy siedzieli teraz oparci o ścianę. Arbalety leżały oparte o kamień, helmy pospadały. Z kącika ust starszego pacholka zwisała nitka śliny.

Temeryjczycy - gwizdnął Stryj w duchu. Szlag - dorzucił Słoń. Po czym westchnął i zapytał - Działamy? Co za retoryczne w swojej bezsensowności pytanie - odpowiedział Arcyszew, nieoczekiwanie złym głosem. - Potem chyba wypytam was, panowie, jak wam się coś takiego udaje - dodał jeszcze ponuro, także telepatycznie, Angus ep Erdill. I w tym momencie plan, dokąd i którądy iść, narzucił się sam.

Korytarz rozdwaiał się. W lewo prowadziło krótkie odgałęzienie, a

kamienne płyty aż do samych uchylonych drzwi pomazane były krwawymi plamami. Wiało stamtąd śmiercią i zupełnie nie miało się ochoty zaglądać do środka. Natomiast prosto i odrobinę w dół ciągnęły się wilgotne ściany z brodami siwego mchu; zdziwili się, skąd się tu tego tyle wzięło. Kiedy zbliżało się do niego palce, mech poruszał się, wolno falując, ale nie na boki, a do środka, jakby chciał pochwycić nieostrożną dłoń.

Korytarz kończył się kutymi drzwiami o wysokości trzech czwartych ludzkiego wzrostu; niezbyt solidnie wbitych w kamienną bryłę ściany. Trzy pasy jasnego metalu biegły w ich dolnej części i dawało się wyczuć na nich runy Starszej Mowy, przy czym nawet nie elfickiej, a krasnoludzkiej.

Angus ep Erdill już przykucnął przy drzwiach i, pochyliwszy się, wodził rękoma w powietrzu, nie przysuwając ich zbyt blisko.

- Tam coś jest - powiedział. - Coś... czego nie rozumiem. To coś nieznanego.

- Popatrzmy, co tu mamy - Słoń przysiadł obok, śmiało (zbyt śmiało, przemknęło przez myśl Stryjowi, ale Słoń tylko niedbale machnął ręką) przyłożył dłonie między jasnymi pasami.

Drzwi zaskrzypiały i otworzyły się do wewnątrz.

Było to tak nieoczekiwane, że Jagren Foli, przewany przez przyjaciół i krasnoludzką rodzinę z powodu jakiegoś durnego młodzieńczego wyczynu, Dzwoneczkiem; nie zdążył zareagować i, nie przytrzymany w porę przez elfa, poleciał głową do przodu.

Momentu przemiany Stryj nie wychwycił, ale szczerze mówiąc, wcale nie próbował. Dziwiło go raczej to, że Słoń powstrzymywał się tak długo, ponieważ zazwyczaj kryzys ujawniał się szybko i osobnik przemieniał się w ciągu kilku pierwszych godzin.

Tymczasem zza otwartych gwałtownie drzwi wytoczyło się coś kudłatego, krępego, rozczapierzonego. Pazury zazgrzytały o napierśnik Dzwoneczka, a ten

nawet nie zdążył się osłonić i przewrócił się na plecy. W tym momencie dwa cienkie, rozpalone do słonecznej żółci sznury zacisnęły się pętlą na zwierzu, które zaskomlało dziko; zaleciało paloną sierścią i przypalaną skórą. W następnej chwili topór Jagrena Foli z trzaskiem wbił się bobolakowi dokładnie w sam kark, zaraz za kudłatą głową.

Najprawdopodobniej na drzwi nałożone było jeszcze jakieś zacierające dźwięki zakłęcie; gdyż dopiero teraz w dole dały się słyszeć krzyki i pobrząkiwania stali.

- Naprzód! - zakomenderował Stryj. Synchronizacja grupy stała się teraz niemal niewiarygodna, ośmiorekim i czterogłowym stworzeniem stoczyli się po schodach na sam dół, gdzie korytarz rozszerzał się w niewielką okrągłą salę, którą oświetlała para czadzających pochodni. Wokół wałowały się połamane meble, pod ścianą zalegały ludzkie trupy - jedne w barwach barona i inne, których odzież zdobiły srebrzyste nici na czarnozielonym hafcie; do tego jeszcze martwe bobolaki.

Korytarz prowadził dalej, do większej sali, gdzie między lukami sklepienia miały się cienie i dzwoniła stal. Pod najdalszą ścianą roilo się od bobolaków. Z całej ich zgrai rozległ się nagle ryk, którego nie można było pomylić z niczym innym. Kroach asSoter bynajmniej nie wołał o ratunek, wyglądało raczej na to, że rzucał wyzwanie samemu losowi. I to, że oni, jako czterogłowe i ośmiorekie stworzenie przyszli mu na pomoc, można było uznać za akt kapitulacji tegoż losu.

Kiedy wszystko się skończyło, a nieliczni ocalali wojownicy barona kończyli dobijanie poszatkowanych na plastry bobolaków i Temeryjczyków, osłaniających odwrót głównego oddziału, Kroach asSoter, który nie starł jeszcze krwi z owłosionych rąk, krótko pokłonił się im i powiedział:

- Panowie, może wydać wam się to śmiesznym, ale proszę waszą drużynę o pomoc raz jeszcze.

Wtedy Arcyszew wypowiedział się w imieniu wszystkich, gdyż nie utracili jeszcze bojowej spójności:

- Poczytujemy to sobie za zaszczyt, panie baronie. Ale i my chcielibyśmy dowiedzieć się trochę więcej o zamku Kaer Loc i o tym, co stamtąd przywieźliście.

Baron zmierzył ich ciężkim, ponurym spojrzeniem, potem zakaszłał i splunął na bok.

- Lepiej byłoby powiedzieć nie „co”, a „kogo”.

Trzeci jeniec okazał się silniejszy niż poprzednicy; ryczał, potrząsał głową, spluwał. Ale Arcyszew z elfem obsiedli go z dwóch stron, a czyż słabe, cyfrowe ciało, zdolne jest przeciwstawić się wspólnemu naporowi programisty i maga?

W końcu jeniec sflaczał niczym szmaciana kukła porzucona przez manipulatora: stał się tylko pustą „skórką”, bezwolnym ciałem. Angus ep Erdill sprężył się, lekko pochylając się do przodu i łapiąc za kolana. Jego twarz zrobiła się purpurowa, jakby pod skórą płonął ogień.

- Pytajcie - wycedził przez zęby i kiwnął na Arcyszewa.

Twarc programisty nabrała również nietypowych dla niego rysów. Drobne mięśnie wokół ust i oczu zmieniły naprężenie, czyniąc jego twarz jakby obcą. Zdawało się, że zmienił się nawet jego oddech i motoryka.

Stryj znalazł tę sztuczkę, zwaną przez Trojana „linieniem”, ale jej nie lubił. Cały czas wydawało mu się potem, że patrzy na niego nie całkiem Arcyszew; bez względu na to, na ile określenie „całkiem Arcyszew” miało jeszcze sens, biorąc pod uwagę okoliczności.

Kroach asSoter przysiadł, aż chrupnęło mu w kolanach. Wpatrywali się przez chwilę w twarz nowego, zmienionego Arcyszewa, po czym obejrzał się na Stryja. Chrząknął.

- Po co ją porwaliście? - zapytał.

Arcyszew uśmiechnął się, krótko i strasznie.

- Wzięłeś to, co do ciebie nie należy. Co nie może do ciebie należeć.

Kroach asSoter zacisnął pięści. Zachrzęściły stawy.

- I do nikogo innego - warknął.

- Ale ty to sobie przywłaszczyłeś.

Baron umościł się ponownie, ciężko dysząc. Nieustannie zaciskał i rozluźniał pięści.

- Kto was posłał? - spróbował znowu. - Foltest?

- Foltest nas nie posyłał. Sami się tego podjęliśmy.

- Dokąd ją wywieźli?

- Sądzę, że do Vidort. Nie wiem dokładnie.

- Tam są przecież same ruiny. - Nie, zbudowano tam obóz. - Po co zmierzacie do Vidort? - Powinniśmy się spotkać z pozostałymi Braćmi. - A potem? - Droga wiedzie międzyrzeczem Chotly i Travy na Maribor. Tam, w elfickich podziemiach, niedawno znaleziono jakby coś ważnego. Coś, gdzie powinniśmy dostarczyć...

- Sssucze syny - wycedził baron i ciężko poruszył głową.

- Ale nie zapytałeś jeszcze o jedno - powiedział nagle Arcyszew, cały czas jeszcze tym zdławionym, nie swoim, głosem. Tym samym, a jednak innym, ledwie zauważalnie zmienionym.

Stryj ożywił się i zaczął przysłuchiwać się rozmowie uważniej.

- A o cóż to?

- Kim jesteśmy.

- No to kim jesteście?

- Tymi, którzy wiedzą, co znalazłeś w zamku Kaer Loc.

- Tego nikt nie wie - Kroach asSoter potrząsnął głową.

- Dlatego, że zabiłeś wszystkich, którzy byli tam z tobą?

- Dlatego, że oni wszyscy zostali na zamku.

- Żyją?

- To nie ma żadnego znaczenia. Już ich nie ma.
- Mogą wrócić?
- Jeśli on zechce. I jeśli zechcą oni. Ale nie zechcą.
- Dlaczego?
- Dlatego, że teraz służą.
- A tobie nie służyli?
- Tego nie da się porównać.
- Po co ją stamtąd zabrałeś?
- Sama mnie poprosiła. Nie tłumaczyła po co.
- A jak myślisz?
- Myślę, że chciała zobaczyć, jak żyją inni ludzie.
- A ten, do którego jeździłeś do zamku Kaer Loc, również tam został?
- Tak. Ale on nie ma potrzeby nigdzie chodzić. Wkrótce będzie z nami wszędzie.

- I jak go nazywają?
- Różnie. Jadący we Mgle, Konstruktor Wszechświatów, Zasilający Źródła.

Drugi Autentyczny.

- Interesujące imiona.
- To tylko imiona, nic więcej.
- A jak ty byś go nazwał?
- Bogiem.
- Liczę do trzech - stanowczym głosem oznajmi! Arcyszew.
- Wtedy się ockniesz. I nie będziesz pamiętał, jak odpowiadałeś na moje pytania. Zapamiętasz tylko swoje pytania do mnie. Raz. Dwa. Trzy.

Słoń trącił nogą hełm i ten potoczył się z łoskotem po kamiennej podłodze. Kroach asSoter otrząsnął się i rozejrzał, jakby tyle co ocknął się ze snu. I w pewnym sensie tak było, bowiem sprytny Arcyszew potrafił wycisnąć z sytuacji maksimum.

Bractwo Białej Róży, Temeryjczycy, pół religijny zakon - przekazywał w tym czasie telepatycznie pozostałym to, co udało mu się wydobyć z poddającego się jego woli napastnika.

- Nie są związani z Foltstem, przynajmniej bezpośrednio. Był tutaj oddział braci (z jednej matki) Borlachów, Petera i Bogarda o przezwisku Krzywousty. To ci sami, którzy byli w karczmie. Po co tu przyszli, nie udało mi się wyciągnąć. Baron nazywa to „nią” i uważa za żywą. Pozostałe informacje słyszeliście.

W ten oto sposób dowiedzieli się, że w zamku Kaer Loc baron spotkał boga. Pozostało zdecydować, co z tą wiedzą zrobić.

Ale najpierw należało dogonić Temeryjczyków. I to nie dlatego, że poprosił o to Kroach asSoter. A raczej - nie tylko dlatego.

Bóg to brak wyboru, twierdzi Arnold van Gaal, blady, roztargniony, o nieskoordynowanych ruchach, ze szczęką otoczoną nie szczecina nawet, a cieniem szczeciny. W nocnym nalocie ludzi Bractwa Światła zginął jego sługa, a drugi został poważnie ranny.

Stryj nadal nie rozumiał, dlaczego doktor przyczepił się do nich. Nie ufal mu, chociaż wedle logiki simrzeczywistości, pragnienie doktora honoris causa, żeby zobaczyć ruiny elfickich podziemi w Mariborze, uwzględniając motywującą go do działania ideę Dwóch Fal, brzmiało całkiem przekonywująco.

- Bóg to brak wyboru - mówił Arnold van Gaal, mocniej wczepiając się w lęk siodła. - To wyższe uwarunkowanie. To koniec wolnej woli człowieka. Jeśli jest Stwórca świata, który dał temu światu reguły i koordynację, to co w tej prawomocności i koordynacji zostaje człowiekowi? W czym tu jego wola i samodzielność? Chyba że w dążeniu do zła. Nie chciałbym się stać wyznawcą takiego boga i takiego wyboru dla człowieka.

- A jeśli świat nie jest rezultatem tylko przyczyną? - pyta Kroach asSoter. Jest posępny i skoncentrowany, nawet jego broda sterczy teraz bez poprzedniej zadziorności. - Jeśli to, co nazywamy „bogiem” jest tylko finałem zagmatwanego

dramatu albo komedii? I my wszyscy, którzy płasamy na tych teatralnych deskach; ludzie, elfy, krasnoludy; wszyscy jesteśmy tylko formami przejściowymi ku czemuś większemu. Albo po prostu ku czemuś idącemu w ślad za nami. Co, jeśli w całym tym zamieszaniu chodzi tylko o to, żeby poprzez splatanie naszych losów powstała istota wyższego rzędu? Co, jeśli bóg, to przyszłość?

- Przyszłość? - chłodno uśmiecha się Angus ep Erdill. - Zatem cała historia upadku cywilizacji Starszych Ludów pod naporem nowych przybyszów; licznych, chciwych ludzi, których przewaga objawia się jedynie w nieograniczonej naturą płodności ich samic oraz w chciwości i drapieżności samców. Cała tragiczna historia niezrozumienia, zguby i śmierci ras nieopisanie mądrzejszych, to komedia sytuacji wprowadzająca na scenę... kogo? Istotę jeszcze bardziej ludzką we wszystkich wątpliwych przejawach tego człowieczeństwa? Istotę, która będzie nadczłowiekiem? W takim razie prędzej uwierzę w upadek niż w postęp świata i niech bóg okaże się tylko rekompensatą za wszystkie słabości ludzkiej natury, zwycięzcą, że tak powiem, który dostaje wszystko; niechby nawet było to zwycięstwo ilościowe, a nie jakościowe.

- Wy, elfy - mruczy Dzwoneczek - za bardzo przyzwyczailście się chępić mądrością, wynikającą tylko z długowieczności i wtajemniczenia w arkany magii. To was zgubiło, gdy przyszli ludzie i okazało się, że nie tylko Długowieczni potrafią biegle żonglować magicznymi sztuczkami. A my, którzy żmudnie podkopujemy korzenie gór, my, którzy obeznani jesteśmy z trudem rąk tak samo dobrze, jak z trudem umysłu, powiedzielibyśmy tak: bóg to siła uporu i wytrwałość, niezmiennosc w zmienności. Powolne rytmy zmieniające oblicze ziemi. Odejdziemy my, odejdą elfy, nawet czas ludzi zakończy się chłodem i Białym Morem, a ziemia nawet tego nie zauważy. Ruiny miast zarosną wrzosem, a na kamiennych fundamentach wzejdą młode drzewka i nowe stworzenia zajmą wasze miejsce. Może bobolaki, albo szczury. Wszyscy, z jakiegoś powodu, umieszczamy w centrum świata samych siebie, ale tam zawsze znajduje się tylko

świat i nic więcej. Bóg jest obojętny na nasze wysiłki.

- Po prostu nie widzieliście go... jej... ich... - niemal jęknął, nie rozchylając ust, Kroach asSoter. - Po prostu nie widzieliście. Na świecie nie ma takiej doskonałości, więc nie ma jej z czym porównać. Cała magia świata nie jest zdolna do czegoś takiego.

- A cóż to? - pyta Arnold van Gaal. - Czyżby magia była krokiem ku bożej doskonałości? Albo może jest tylko kulami, które trzeba odrzucić, żeby przestąpić próg?

- Próg - warczy Angus ep Erdill. - Nie ma żadnego progu, co za bzdury! Nie ma ruchu tylko do przodu albo do tyłu. Życie to wieczne krążenie; zygzaki, zwroty i piruety w miejscu. Wy, żyjący krótko i szybko, po prostu nie zdążacie tego zauważyć. Życie to ciągle powtarzanie kilku fabuł, ruch po okręgu, wariacje niezmiennego. Jeśli to nie jest dowodem kreacji naszego „tu i teraz”, naszego świata i każdego innego z możliwych światów, to ja już nie wiem...

- Powtarzalność jako oznaka kreacji - wtrąca Stryj, ponieważ nie można, wręcz nie do pomyślenia jest, powstrzymać się i przemilczeć. - To nie jest śmieszne. Po prostu naszemu osobistemu szaleństwu niezbędna jest przestrzeń do dopasowania się do szaleństwa innych. A to, co się powtarza, łatwiej staje się przyzwyczajeniem. To, co staje się przyzwyczajeniem, z kolei, zmierza ku powtarzaniu, reprodukcji. Po prostu tak widzimy, taka już właściwość naszej percepcji. A bóg, jeśli okaże się autentyczny, przejawiałby się, jak sędzę, w wyrwie między przyzwyczajeniem a zmiennością, a nie w regularności. Bóg to niedopasowanie. Tym bardziej, jeśli... - i milknie, pojmując nagle, co oznacza to jego jeśli”.

Arcyszew milczy, ponieważ, kto jak kto, ale on dokładnie wie, czym jest bóg w simrzeczywistości. Bóg, to chaotyczny system z nieprzewidywalnymi szczytowymi fluktuacjami, coś, czego logika przekracza nasze pojmowanie.

- Nilfgaardczycy! - wy skrzeczał Jagren Foli.

- Tylko tego nam brakowało - baron zgarnął brodę w garść i targał nią w zamyśleniu. Wyglądało na to, że spodziewał się zobaczyć tutaj każdego, tylko nie żołnierzy w czarnych płaszczach.

Stryj go rozumiał. W simlogice „Sapkowii” kompatybilne działania oddziałów dwóch wrogich stron na terytorium leżącymi pomiędzy grodami krasnoludów a lasem Brokilon były, nie żeby niemożliwe, ale na pewno wątpliwe. Zbyt poważne mogłyby okazać się następstwa takiej sytuacji dla układu sił w simpolityce. Chociaż...

Iw tym właśnie „chociaż” cały problem.

Nilfgaardczyków było pięciu. I około dziesiątki ludzi z Północy. To znaczy, że stosunek sił, jeśli dojdzie do starcia, będzie dwa do trzech. Normalny rozkład, jeśli zapomni się o bobolakach w piwnicach zamku. I o tym, że z ludźmi barona jest im po drodze tylko do momentu, kiedy stanie się jasne, co dokładnie Kroach asSoter zyskał w zamku Kaer Loc. I dlaczego to coś spodobało się najpierw Temeryjczykom, a teraz zainteresowało Nilfgaardczyków.

Wtedy Arnold van Gaal zaproponował swój plan, a baron popatrzył na niego, mrużąc oczy.

- Nie pomyślałbym nawet - powiedział wreszcie - że atramentowe duszyczki to takie krzepkie chłopaki. Jakże ty wierzchem jeździsz z takimi jajami? - i zarechotał cicho, trzęsąc brodą.

Ale z planem się zgodził, a wraz z nim cała reszta.

Doktor dał im niewiele czasu na przygotowania, zanim wyjechał w pojedynek na ścieżkę prowadzącą do omszałych ruin starego fortu Vidort, spalonego pokolenie wstecz, w czasie Wielkiej Wojny.

Arnold pojechał ścieżką, a pięciu ludzi barona weszło niziną, od strony starych wyrębów. Baron zaś, ze starym żyłastym kapitanem straty i z ich czwórką poszedł górą, gdzie mocne, młode drzewa i chaszczce krzewów podchodziły pod sam wyłom w przegniłym częstokole.

Stąd, z góry, droga widoczna była jak na dłoni, ale prawie niewidoczne pozostawały resztki zabudowań fortu w głębi dziedzińca.

- Srebrny niedźwiedź - mruknął nagle Kroach asSoter. - Komandor sotni, wychodzi. I cóż my tam mamy? Jest ich pięciu? Słabo to widzę. Jak by nie było, wpadliśmy nosem w gówno, panowie - wskazał palcem na wysokiego Nilfgaardczyka, który w bramie rozmawiał cicho z innymi „czarnymi”. Na jego naramienniku rzeczywiście srebrzył się niedźwiedź.

Stryj przypomniał sobie, jak Trojan, wprowadzając go w okoliczności sprawy, zainteresował się mimochodem, czy jego podopieczny jest zorientowany w tym, jak geografia simświata nakłada się na światzero.

Simy, Losza - mówił, wpatrując się marzycielsko w jakiś punkt ponad głową Stryja - simy to taka sztuka, z pomocą której łatwo stać się Danilem, Nostradamusem i fatimskimi prorokami w jednym garnku; najważniejsze to wiedzieć, gdzie patrzeć. Zauważyłeś, jak nasi północni sąsiedzi znowu przyczepili się do starego słówka „mocarstwo” na poziomie rozmów o ręcznie dzierganych bransoletkach przyjaźni i swoich dziecięcych sekretach? Zapominając przy tym o całym dzisiejszym socjalanarchizmie. A simy zawsze są wyczulone na subtelne zmiany. Niedawno chłopcy robili dla mnie wybiórczą statystykę opartą na kilku parametrach... Jest tam, w „Sapkowii”, kraina Nilfgaard. Przegrane imperium, porozrywana na części po śmierci genialnego samowładcy. Tak oto dwie trzecie uosobień jej „skórek” raptem znalazło się pod jurysdykcją naszych północnych sąsiadów. I jak tu teraz zrozumieć; czy to urok zła, czy może coś innego chodzi po głowach i po ziemi... Wyobrażasz sobie, co będzie - powiedział - jeśli dokręcić do czegoś takiego sprzężenie zwrotne?

Trojan mówił z uśmiechem, jak o czymś mało istotnym i bez mała śmiesznym. I dopiero teraz jakieś kółka nagle się obróciły, kawałki układanki zaczęły do siebie pasować, widoczne stały się cienkie, niemal niezauważalne

strunki. Cały obraz wypłynął nagle z mglistego niebytu, nie w osobnych częściach, a w całej swojej złożonej okazałości. Zdawało się, że lada moment zdoła on (oni!) uchwycić coś na tyle ważnego, że...

- Wciąż nigdzie nie widzę sukinsynów Borlachów - odezwał się nagle Kroach asSoter i splunął pod nogi.

Teraz, powiedział Angus ep Erdill i Arcyszew zaczął filtrować strumienie precyzyjnie poruszając palcami.

Cóż, uczynmy ciemność jasnością.

- A propos, baronie - odezwał się Stryj, lekkomyślnie poruszając drażliwy temat - dlaczego nie zgodziliście się na cenę, jaką zaproponowali wam bracia?

Zdumienie Kroacha asSotera było na tyle szczere i niezmacone, jak wściekłość, która ogarnęła go chwilę później.

- A cóż to?! Ty mnie oskarżasz, jakobym ja...

Kapitan straży ruszył do przodu, ale Jagren Foli pokręcił tylko znacząco głową i zważył w dłoni topór.

- Tylko bez zbędnych... - zaczął, spojrzawszy na kapitana, a potem na barona jak drwał na sosenkę: dwoma uderzeniami uda się ją zrąbać, czy może potrzebne będzie jeszcze trzecie.

W tym momencie usłyszeli telepatyczny przekaz Angusa ep Erdilla: nie on. To nie on. To doktor.

Ale było już, oczywiście, za późno.

- Ach, ty... - szarpnął się Kroach asSoter i niteczka krwawej śliny zawisła mu na brodzie.

- Mam nadzieję, że jednak zrozumiecie moje powody, panie baronie. Wiem, że nie wybaczycie, ale przynajmniej zrozumiecie.

Temeryjczycy zataszczyli na zarosły trawą dziedziniec ostatniego z pięciu ludzi barona, posłanych dołem na przeciwległą stronę częstokołu. Z gardła żołnierza sterczała arbaletowa strzała, kołysząc się lekko to w lewo, to w prawo,

niczym bezmyślny metronom. Ciekawe, czy tutaj są metronomy? Nie myśl o tym, przerwał sam sobie, albo komuś innemu? Arcyszewowi? Na pewno Arcyszewowi, skąd bowiem o metronomie miałby wiedzieć Jagren Foli o przyzwisku Dzwoneczek?

Nilfgaardski oficer stał, z rękami założonymi za plecy i sprawiał Wrażenie, że jest mu zupełnie obojętne, o czym mówią zdrajca i zdradzony. Ponadto, Stryj wyczuwał to bardzo wyraźnie, oficer był rozwścieczony ucieczką Angusa ep Erdilla. Uwzględniając fakt, że dwóch jego „czarnych” było elfami, Stryj niemal widział macki podejrzliwości wzrastające w duszy setnika.

Sześciu martwych, dwóch Nilfgaardczyków i czterech pacholków Białej Róży, ani trochę nie poprawiło mu nastroju.

-...po prostu - kontynuował Arnold van Gaal, jakby nic się nie wydarzyło - jestem pewien, że tylko w Nilfgaardzie istnieje możliwość potwierdzenia mojej teorii. A jeśli zdołam udowodnić, że ród ludzki przybył wcześniej niż pozostałe Starsze Ludy, jeśli teoria Dwóch Fal jest prawdziwa... Obiecali, że mi pomogą, jeśli pomogę z dziewczyną.

- W dupie mam twoje powody - ryknął Kroach asSoter.

- I ciebie samego, razem z twoją matką dziwką, żeby ją po śmierci dymali we wszystkie dziury, co za życia!

Najbardziej niepokojące było to, że Stryj nie wyczuwał elfickiego maga. Może rzeczywiście zbląkana strzała?

Borlach Krzywousty podszedł do barona i wymierzył mu siarczysty policzek tak, że kudłata głowa szarpnęła się ciężko.

- Przecież mówiłem ci, zacny baronie, że trzeba się zgadzać na zaproponowaną cenę.

Odwrócił się do Nilfgaardczyka i zapytał:

- Kończymy?

- Ależ z was, ludzi północy, dziki naród - zapytany pokręcił głową.

Śmieszny ten ich akcent, pomyślał Arcyszew, poprzez dzwonienie w uszach.

- Poza tym, panie Borlach, zdaje się, że jeszcze dzisiaj narzekaliście na problemy w kontaktach z... sami wiecie z kim. Na waszym miejscu, spróbowałbym wykorzystać nadarżającą się okazję bardziej... ekonomicznie. Właśnie, gdzie ona jest? Sądzę, że warto by było przyprowadzić dziewczynę tutaj.

Starszy Borlach kiwnął na jednego ze swoich pacholków. Ten zanurkował za ocalałą ścianę w głębi fortu. „Czarny” tymczasem nie spuszczał z oczu Kroacha asSotera.

- Nie chcecie mi czegoś powiedzieć, panie baronie?

- Z tobą, Nilfgaardczyku, rozmawiać mi się nie chce. Mało to was biliśmy i cięliśmy?

Setnik pochylił się w stronę barona.

- Zapewniam was, panie Kroach, już niedługo. My też doskonale rozumiemy, kto dokładnie znalazł się w waszych rękach. I czym ona może się stać i dla nas, i dla waszych krain.

Ciekawe, przemknęło przez myśl Stryjowi, co też on myśli o istocie boga? A tfu! Skąd w ogóle takie myśli i te rozmowy w krainie, gdzie miejsce bogów już dawno całkowicie zajęła magia? Co za fabuła, dlaczego zawiązuje się wyłącznie na Rekonstrukcjach?

Dość już tego, uciszył go Arcyszew. Przecież palec trzymamy już na zatrasku. Jeśli się nam powiedzie, puścimy, żeby chociaż jednym okiem spojrzeć na to, po co przyszliśmy. Albo się nie poszczęści, ponuro burknął Dzwoneczek, któremu dostało się bardziej niż pozostałym ponieważ postura krasnoludów zawsze skłaniała ludzi do stosowania nadmiernej siły.

Folii.

Nilfgaardczyk odwrócił się do nich, jakby ich usłyszał.

- A wy, panowie, jak znaleźliście się w takim towarzystwie?

- Wiatr nas przywiał - odpowiedział, uśmiechając się okrwawionymi ustami Jagren.

Wyglądało na to, że Nilfgaardczyków nie lubił równie mocno jak baron. - Krasnolud kumający się z elfem. Nie często spotyka się taki układ. Przy okazji - dodał setnik, poufnie pochylając się nad Dzwoneczkiem - bracia Borlachowie baaardzo chcieliby porozmawiać z tobą sam na sam.

- Sam na sam ze mną to oni nawet ręki w rozporek zapuścić nie zdołają, uwierz mi, już ja to wiem. Raz ich widziałem, w dole na śmieci. Żaloszny widok - wyszczerzył się znowu krasnolud i Kroach asSoter, nie mogąc się powstrzymać, gruchnął śmiechem i natychmiast jęknął z bólu od złamanych żeber.

Plastyczność simrzeczywistości porażała. Jak dobrze wpasowują się w nią poprzerzucani intruzi w wymiennej „skórcie” simatrybucji. Ale o wiele bardziej wstrząsające były budowane post factum, jakby tyłem do przodu, objaśnienia czynów simosobników. Porażające okrucieństwo Borlachów podczas napadu na zamek barona, stawało się teraz - po tym, jak Słoń, który wrzucił ich w gówno, oraz przekształcił się w krasnoluda o śmiesznym przezwisku Dzwoneczek - tylko aktem zemsty na tym, kto przygarnął znieważycielanieczłowieka. Co było do pewnych granic wybaczone w przypadku człowieka, obecnie wymagało niezwłocznej i przesadnie surowej kary. Ale tak naprawdę wstrząsające było to, że dwóch z ich czwórki w tej simrzeczywistości z wplecioną w codzienność nutką rasizmu, okazało się akurat rasową mniejszością. To już w żaden sposób nie mogło być przypadkiem.

- Jesteś bardzo odważny, panie krasnoludzie - teraz z kolei nilfgaardzki setnik rozciągnął usta w uśmiechu. - Wprost nieludzko odważny.

- Taka już, widać, natura nas, nieludzi; być nieludzko odważnymi.

Elfy z oddziału setnika nie spuszczały z nich oczu.

Brzęknęła uzda konia. Gdzieś za omszałymi ścianami zakaszlał i zamilkł, jakby się zaciął, pacholek Białej Róży, posłany po zagadkową „nią”. Powiał

wiatr, nieoczekiwanie pachnący spalenizną, chociaż zdawałoby się, że to już tyle lat po wojnie...

Potem Nilfgaardczyk, który cały czas bacznie obserwował Dzwoneczka, rozprostował palce i powiódł nimi w powietrzu, jak przygotowujący się do gry pianista.

Cała somatyka wprasowuje się na amen, cokolwiek byś nie zrobił; przemknęło przez głowę Stryja. Tylko że somatyka ta była z innego świata. A to oznaczało, że i Nilfgaardczycy, i nocny napad...

- O żeż twoja mać! - powiedział z mocą Arcyszew i to, zdaje się, na głos.

Setnik obrzucił ich zakłopotanym spojrzeniem.

Zza spalonej, pokrytej szczelinami ściany, wyszła dziewczynka, na oko dziesięcioletnia... nie, nie dziewczynka, pojęcie „dziewczynka” było tylko złudzeniem, powłoką, simskórką, jak simskórką był każdy z nich; stamtąd wypłynęło... Stryj pogubił się zupełnie, nie wiedząc jak nazwać to, co widzi. Może gwiazda? Ale jej światło było żywe, a ona sama, zdawało się, wolno zmieniała formę, jakby w każdej chwili przeniecywała się: znowu... i znowu... i znowu... i znowu.

Nie można było oderwać oczu.

- Hop! - powiedział Arcyszew, szeroko rozkładając związane jeszcze chwilę temu ręce.

Dalej wszystko potoczyło się niemal równocześnie.

Z prawej strony opuszczonego częstokołu drzewo wystrzeliło ogniem. Jeden z dwóch elfów w czarnej zbroi zgiął się jak marionetka, której obcięto sznureczki i zwałił się bezkształtnym czarnym zewłokiem. Z jego karku sterczała strzała arbaletu. Zarżały konie, wiele, więcej niż dziesięć. Zadźwięczało żelazo. Młodszy Borlach przykucnął, usta ściągnięte w dół blizną, skrzywiły się jeszcze bardziej. Kroach asSoter szarpnął się, próbując wyswobodzić się z pęt. Za dziewczynką - gwiazdą - niemożliwością - czymś - powstał Angus ep Erdill,

wyciągnął rękę, chcąc dotknąć...

...nad ruinami fortu raptem zbitą ścianą powstała mgła poprzecinana wijącymi się w warkocze i smugi, jakby przenicowanymi, słonecznymi promieniami. Wydawało się przy tym, że słońce jest kilka. I jednocześnie... żadnego. Że świat nie jest po prostu zasnuty zasłoną, ale że zasłona ta jest teraz całym ich światem.

Wychodzimy - rzucił Stryj w kierunku zasłony, czując, jak poruszył się Arcyszew, jak prostuje się Jagren Foli, jak Angus...

Potem spadła na nich ciemność i nic więcej się nie stało.

To, co na pierwszy rzut oka wydaje się tylko ciemnością, posiada strukturę. Poprzecinane jest miliardami nici, a każda z nich szepcze, śpiewa, szeleści, opowiada historie, z których każdej należy wysłuchać. Ale nie można się zatrzymać, trzeba poruszać się w przód, w dół, prześlizgując się między płaszczyznami ciemności i krążąc w korowodzie szepczących nici. Tutaj nie ma pamięci, jednak jest wszechwiedza. Tutaj nie ma słów, jednak świat ustępuje sile twojej myśli. Wydaje się, jakby można go było formować niczym gorący wosk: oto wilk, oto sosna, oto kruk. Tutaj niczego się nie pamięta i niczego nie zapomina. Tutaj czujesz się na właściwym miejscu, właśnie dlatego, że jesteś gościem, obcym. Stoisz, opierając się o kostur. Tutaj modlitwa warta jest królestwa. Królestwa przekształcają się w taniec pyłu w blasku światła, a słowa tracą sens, stają się tylko nićmi przecinającymi ciemność. Tutaj nie można powiedzieć: „Jestem!”, ponieważ nie ma nikogo, kto by to usłyszał. Tutaj nie można też milczeć, ponieważ ten, kto milczy, nie istnieje i to nie „na razie”, a „na zawsze”.

I oto ty, straciwszy imię i cielesną powłokę zyskujesz głębię i zrozumienie. Wznosisz się i spadasz, coraz niżej, coraz głębiej. Szybujesz, kierując się z dołu do góry, a ostatnią przeszkodą zawsze jesteś tylko ty sam.

Nie wyjdiesz poza tę przeszkodę, nie pokonasz jej. Nie rozburzysz. Nie

przeskoczysz. Ale, jak szepczą nici, pamięć i wszech wiedza - można uciec. Każdy może uciec. Trzeba tylko stać się innym. Zmienić siebie albo świat. Nie tylko skoczyć w gęstą, gorącą, woskową kulę; nie tylko zmienić maskę, ubranie, twarz, ale zmienić też siebie. Stworzyć na nowo świat albo siebie. Przybrać nową formę i wypalić ją w piecu, wypalając minione i przetapiając możliwości. Ale jak nazwać tego, kto mógłby tego dokonać? Bogiem? Demiurgiem? Twórcą? I czy akurat ty osobiście musisz stać się bogiemtwórcą? Czy może wystarczy, upadając i wznosząc się, podsłuchać, podpatrzeć, poczuć, jak grzmi jego puls, jak ślizgają się pod skórą i w kościach słowa, które nie stały się jeszcze miejscem i czasem? I tak to już bywa, że tutaj, w beczasie, w niebycie, w szepczącej swoje historie ciemności, pomiędzy wilkiem, krukiem i sosną, możesz spotkać boga.

Bóg miarowo oddycha. Bóg klaszcze w dłonie. Bóg mówi. Jego głos jest wyraźny, a od jego pieśni kości rozsypują się w pył, a czerwień staje się zielenią. Jego pieśń nic dla ciebie nie znaczy, ale przysłuchujesz się, starając się zapamiętać; może słowo, może znaki, może melodię. Tyle, ile zdołasz. A z każdym usłyszonym słowem przed tobą, w dole, w niewyobrażalnej dali, w punkcie, gdzie słońce spotyka się z obłokami; zmienia się świat: gęstnieją żyły rzek, stają dęba włosy lasów, chrzęszczą i przelamują się kości gór. A jeszcze dalej pojawiają się ludzie, wielu ludzi. Stoją niczym kukły; ale to jeden, to drugi, nagle ożywa, rzuca się w tan, wykonuje skoki i rusza w drogę. Dokonuje czynów. A kiedy ludzie ożywają, nic już nie można z tym zrobić, tak jak nie można nic zrobić ze swoją własną piętą czy łokciem, albo karkiem.

Ludzie nagle zwracają swoje twarze ku niebu, do słońca, do ciebie szybującego w głębi boskiego umysłu. Ich twarze zmieniają się, ich ciało staje się melodią i trzeba pochwycić rytm, pochwycić ten ruch, który czyni świat - światem. I jeśli to się uda, wtedy wielu zajmie nowe miejsce, a wielu innych opuści swoje miejsca obecne.

I pozostanie tylko zrozumieć, kto i po co wypowiedział to słowo.

A słowo dźwięczy, rozszerza się, ogarnia całą przeszłość i to, co się staje. Ziemię - Jawię, i zaświatowe Podziemia - Nawię; wszystkie światy i wszystkich mieszkańców, wszystkich ludzi i całą materię myśli, ruchów i czynów. Wtedy stajesz się, realizujesz się i działasz. Wtedy jesteś.

Teraz jesteś!

Zasłona rozpraszała się powoli.

Stryj otworzył oczy i stwierdził, że leży w trawie; zakurzonej i wysuszonej letnim słońcem. Ono też tu było, to znaczy tam, na górze. Wisiało na niebie jak złota, roztopiona moneta. Słońce było prawdziwe.

Zapewne wyrzuciło ich w real, a teraz są gdzieś nieopodal Kozycza, w strefie gry, ale cali i zdrowi.

Ciekawe, pomyślał apatycznie, czy Angus zdążył pochwycić artefakt? Co do tego, że trafił im się artefakt, o którym kiedyś - kiedyż to? - bardzo dawno temu mówił Trojan, nie miał najmniejszej wątpliwości. Teraz w ogóle wszystko wydawało się takie proste, wyraźne... Łącznie z tym faktem, że to właśnie ten artefakt był odpowiedzialny za zniknięcie wszystkich osobników, o których informacje wdrukował w niego Trojan w przeddzień ich infiltracji. I za zaćmienie w Skandynawii. I za wymieranie karłowatych pingwinów. I za...

- Że też - mruknął do siebie, ciężko przekręcając się na plecy i rozkładając ręce krzyżem - znaleźliśmy autentyczny artefakt. System, który produkuje systemy, przy czym daleko poza ramami wszystkiego, co mógłby wymyślić dla nich człowiek. Pora, jak widać, zacząć próbować nawiązywać kontakty trzeciego stopnia. Jak to mówią, dalej współmyśliciele! Do dzieła!

Stryj zachichotał. I chichotał dotąd, aż ujrzał pochyloną nad nim twarz; zarosłą kudłatą brodą, z zaplątanymi w tej brodzie wiązaniem helmu, z krzywą, źle zrosniętą szramą, biegnącą przez cały policzek i nos.

- Żyje - powiedział ów człowiek. - Ej, setniku, ten też żyje!

I zamachnąwszy się, kopnął Stryja w głowę podkutym butem.

- Piwnice u nich, to prawdziwe cholerstwo.

Było to prawdą.

Dziwne było nie to, że jednak nie wyrzuciło ich do realu, ale to, że nie czuli teraz nawet simu, pozostając przy tym sobą. To było niemożliwe - niebywale.

Właściwie to przekłete miejsce, czegoż więc chcieć. Rekonstrukcja. Trafili dokąd chcieli.

Ponadto Stryj w żaden sposób nie mógł odtworzyć w pamięci wydarzeń w formie Vidort, tego, co stało się, zanim ludzie Podmieńca wtargnęli do fortu i pojмали zarówno przeciwników, jak i sprzymierzeńców. Pamiętał, jak podkradali się do ruin. Pamiętał kolor nieba w prześwitach między drzewami. Pamiętał Arnolda van Gaala, doktora honoris causa i zarazem paskudnego Judasza. Pamiętał setnika, Nilfgaardczyka ze srebrnym niedźwiedziem na ramieniu. A potem następowała, nawet nie wyrwa, a głucha, gładka, szklana ściana. Do tego nieprzezroczysta.

I coś w niej rosło, jakaś... iskra? Przebłysk? Tchnienie?

Nie dało się tego pojąć. Żadnym sposobem.

- O - odezwał się Arcyszew. - Szczur...

Czerwony mag, wysoki elf Angus ep Erdill skrzywił się z obrzydzeniem i rzucił w węszącego gryzonia pęczkiem słomy. Angus ep Erdill nie lubił szczurów.

Zwierzątko zignorowało elfa i dumnie podreptało w kierunku kawałka chleba, leżącego na środku celi. Stało na tylnych łapkach i poruszyło pyszczkiem, węsząc dookoła. Posypały się okruszki.

Angus ep Erdill zgrzytnął zębami i odwrócił się: elficka magia, a pewnie i każda inna, jak podejrzewał Stryj, pozostawała tutaj niedostępna. Miało to jakiś związek z murami i jakimś starym zaklęciem. Pozostało im tylko liczyć na Jagrena Foli, ponieważ w podziemiu znaleźli się we trzech, bez krasnoluda, co dawało niejaką nadzieję na to, że Redańczycy, którzy wzięli ich w niewolę,

pokpili sprawę. Oczywiście, jeśli uznać za szansę możliwość wyrwania się z wirtualnego więzienia do wirtualnej rzeczywistości. Zresztą, tego typu nadzieja była podstawą simświatów. Cud, który zdarza się tu i teraz. Dlatego pokładać w kimś nadzieję można zawsze. W tym wypadku w Dzwoneczku. W Trojanie. W kawalerii zza wzgórz i czarodziejskim srebrzystym rogu.

Taka już jest duma wymiarowość simfabuł: zawsze coś trzeba w podziemiach zaczynać, a coś kończyć.

Gorsze było co innego, bowiem Stryj czuł, jak rozmywa się sam kontekst. Do niedawna wyraźne i przejrzyste nazwy krain i imiona, za którymi stali ludzie, miejsca i wydarzenia; teraz mętniały, bledły, zlepiały się tak, że nie można ich było rozerwać ani rozdzielić. Cintrodzień - Temerania - Novigaard - Radoltest... Soddentontaradonblathann... Ich miejsce, nagle, fragmentami, jak wklejone aplikacje, zajmowało coś dziwnego; białe płaszcze z czarnymi krzyżami pod gorącym słońcem i nad rozpalonym piaskiem, wąż o siedmiu głowach i dwunastu przyssawkach, niekończąca się lodowa ściana po skraj horyzontu. Wszystko to tłoczyło się gdzieś na granicy świadomości, domagało się nadania imienia i zarazem życia. Ale to imię i to życie można było dać, tylko wyjmując, skądś czerpiąc. Czerpiąc z samego siebie. Tym samym skazując się siebie na roztrwaniąca ztratę.

- Jestem Aleksy Strojew, zwany Stryjem; była tarcza, kwadra, jednoścwczterech, dobry człowiek - powtarzał w kółko, wypowiadał niczym mantrę, sprawiał, że wszystko stawało się realnie jawnym. - Obok, moja grupa, jesteśmy w simrzeczywistości, możemy... powinniśmy stąd wyjść; to tylko pozór, program, następstwo jedynek i zer, fabuła, to, co wymyślają, to, o czym mówią. Mówią...

Mówią w hrabstwach, że w najgłębszej głuszy Starych Puszczy rośnie cudne drzewo. Na jego gałęziach gnieździ się siedem ptaków, a przy korzeniach rośnie siedem traw. Jeśli usiądziesz w jego cieniu i wyobrazisz sobie coś, czego

pragniesz najbardziej na świecie; wtedy, jeśli śpiewa w tobie krew drzewa, wszystko stanie się wedle twojego słowa.

Zamknął oczy, wyobraził sobie, że siedzi oparty o ciemny, omszały pień. Czerwony ptak przysiadł na gałęzi z lewej strony, a bursztynowy ptak ptaków na gałęzi z prawej; u stóp modra trawa skłania się w kierunku falującego światła; teraz trzeba sobie tylko jeszcze wyobrazić, że pomoc jest w drodze i lada moment wszyscy znajdą się w domu, a słońce...

- Stryj! - usłyszał nagle tuż obok. - Stryj, co z tobą? Mości elfie, szturchnij go. I to tak mocniej, z łaski swojej.

Świat powrócił, boleśnie uderzając Stryja w plecy i w bok.

- Loszka - powiedział Arcyszew. - Całkiem odpłynąłeś, Loszka. To znaczy i w realu, i w wirtualu.

- Jak to? - zapytał Stryj. W głowie cały czas jeszcze mu się dwoiło; dziwna przytłaczająca realność, a może jednak sim? Majaczyło to wszystko gdzieś na peryferiach ni to świadomości, ni to widzenia.

- A tak to - Arcyszew dla zobrazowania pstryknął palcami. - I jeszcze... - zawahał się, ale jednak dokończył - jeszcze mi się zdawało, że zmienił się kod. Nawet nie to, że się zmienił, przerobił się. On się przekształcił.

- To znaczy... jak to?

- No, już mówiłem: tak to.

- A potwierdzenie, że my to my...

Arcyszew tylko lekceważąco parsknął. Nie pamiętam, pomyślał Stryj, czy on zawsze był taki, z tą nutką szyderstwa, czy to rezultat... rezultat...

Angus znowu szturchnął go w biodro, przywracając do przytomności.

- Obawiam się, panowie, że długo tu nie pociągniemy. Słyszałem o takich miejscach, wysysają nie życie, a duszę. A to jest bardzo stare miejsce, panowie.

- Albo bardzo nowe - warknął Arcyszew. - A ja w takie zbieżności nie wierzę.

Tak, pomyślał Stryj, cały czas szukając, ale nie był w stanie namacać żadnego z pozostałej trójki, przy czym, dwóch z nich siedziało naprzeciwko niego. Tak. Znikanie graczy. Trojan, wszystkie jego dary i wytrychy, wszystkie jego obsesje i przemowy; to, w co przeistoczył się Słoń i Wołodka, baron Kroach asSoter, który przestał być Miłoszem Boguszanem, ale za to zdobył coś w zamku Kaer Loc; splot temeryjskich, redańskich i nilfgaardzkich interesów, ich odzwierciedlenie w geografii i polityce realu; setnik Nilfgaardczyk z cechami simoperatora, zagadkowa dziewczynkaniedziewczynka; a teraz to podziemie, gdzie przestajesz być sobą...

- Panowie, a nie wydaje się wam... - zaczął Angus ep Erdill, ale nie zdążył dokończyć.

Skrzypnęły drzwi i przez próg, lekko pochylając głowę, wkroczył jasnobrody mężczyzna z redańskim srebrnym orłem na półpancerzu.

- Witam was, zacni czarodzieje - powiedział - i powiódł ręką, jak przygotowujący palce do gry pianista.

- Temeryjczycy. Nilfgaardzycy. Redanie. Kto następny? Zerrikanie?

- Zerrikanie nigdy by...

- Mości elfie, ironizowałem.

- Chwileczkę, Stryju, nigdy nie zrozumieję...

- Co jest dla ciebie niejasne? Nie jesteśmy jednym. Układ jest przejrzysty.

- Tak, to jest jasne. Stary pomysł. Wielka Gra, „graj realnie”, sprzężenie zwrotne i takie tam. Ale dlaczego tu i teraz? Artefakt?

- Dokładnie. A starowina ciągle się burzy: dlaczego tarcze siedzą grzecznie na dupie, a nie ryją w ziemi.

- Panowie, ja jednak nie...

- Obawiam się, panie Angus, że nie będę mógł złożyć wam szczegółowych wyjaśnień.

- Wystarczyłoby mi i w ogólnych zarysach...

- Dziewczynka, którą porwali panu baronowi... Sądzymy, że może zmienić świat.

- Hmm, druga Cirilla Czarna?

- Co?

- Klucz, panowie. Przepowiednia Ithlinne, Starsza Krew. Zapewniam was, że co nieco i my słyszeliśmy w naszej głuszy.

- Właśnie, Stryju, w tym jest sens. No i Arnold van Gaal. Drugie Sprzężenie Sfer. Ściany są coraz cieńsze.

Stryj spochmurniał.

- I tak nie widzę obrazu. A poza tym ludzie przepadają bez śladu...

- Jesteś pewien, że znikają? Ty, Stryju, jesteś piechur i tarcza ze stażem. Trafiało ci się widywać taką aktywną „skórkę”, jak nasz baron? Poza tym ci, którzy zniknęli, mieli kontakt z Rekonstrukcjami. My siedzimy w oczywistej Rekonstrukcji i co? Znowu dziewczynka?

- Tak, znowu dziewczynka. I, popatrz; zjednej strony Nilfgaardczycy i panujący tam układ, który nikogo nie cieszy. Te rozpadające się imperia, pamiętające sławę ojców... Odbierają je, jeśli wierzyć w słowa Trojana, głównie północni sąsiedzi. Z drugiej strony biały orzeł, Redaniaze swoim Podmieńcem... cholerstwo...

- A alternatywa? Starsze Ludy, gnębione i pogardzane? Ja to sobie wyobrażam. Ale Trojan? To jego otumanienie... Zawrócić czas i takie tam... To jest mechanizm?

- A czymże jest mechanizm? Przecież wiesz, forma zawsze zależy od simmitologii. I stąd dziewczynka.

- Tak, tylko że nowa Cirilla nie będzie miała swojego Geralta.

- Acha. I zauważ, wiedźminów wykluczono z „Sapkowi” programowo. Pozostały tylko legendy i wspomnienia.

- Słuchaj - powiedział Arcyszew i zachichotał. - A w ogóle czujesz się

jeszcze sobą?

Stryj także zarechotał, wyobraziwszy sobie, jak spust zostanie zwolniony i on sam stanie się takim zombie z postapokaliptycznych simów.

Angus ep Erdill ciężko poruszył głową:

- Chciałbym zrozumieć, panowie, o czym wy... - I my chcielibyśmy zrozumieć, panie Angus. Oj, chcielibyśmy! Z sufitu posypał się drobny gruz, a ściany zakolysały się odczuwalnie. Drzwi zazgrzytały, jakby ktoś wbił się w nie z rozmachem, po chwili zazgrzytały znowu. Otworzyły się wolno. Plecami do nich wszedł były redańczyk. Nogi mu się poplątały, ale zdołał zejść pięć stopni niżej, zanim przewrócił się na wznak; w miejscu twarzy ziała krwawa miazga.

Przestraszony szczur z piskiem rzucił się pod ścianę i zanurkował w szczelinę między kamiennymi blokami.

Przez drzwi wdzierali się uzbrojeni ludzie w czarnych odzieniach, a gdzieś za ich plecami majaczyła wysoka sylwetka chudego, przygarbionego starca. Wojownicy rozstąpili się i starzec stał się wyraźnie widoczny. Wspierał się o ramię dziewczynki, która stała świetlista i jaśniejąca. Po schodach zszedł tęgi, niemal kwadratowy Jagren Fologii, Dzwoneczek. Padł na kolano w brudną słomę, wbił pięść w zdeptaną podłogę.

Pochylił głowę przed Arcysze... przed młodym człowiekiem, w czarnym, sfatygowanym kaftanie.

- Witamy z powrotem, wasza wysokość - powiedział.

W ciele Stryja jakby wybuchł zimny, bezlitosny ogień, wypalając stare i rozświetlając nowe: imię, wspomnienia, samo życie. A on wręcz widział ten ogień; dziwną żywą gwiazdę, jaśniejącą przygluszonym światłem, co chwila zmieniającą formę.

Tymczasem księżę Joan Kalwet, przeciwnik Morwrana Woorysa, „uzurpatora tronu” i ciągle jeszcze imperatora; miłościwie kiwnął głową, jakby stał nie w zapluty podziemi zamku na pogranicznych ziemiach, a w sali

tronowej Miasta Złotych Wież nad Albą.

Dobrze by jeszcze było rozkuć mi ręce - powiedział cicho.

Elficki mag, który trafił do niewoli razem z księciem stał z pochyloną głową, a drugi więzień, niewysoki, ciężkawy blondyn patrzył nie pojmując, co się właściwie dzieje. Książę nie mógł go sobie przypomnieć, chociaż podejrzewał, że doskonale wie, kim jest ten człowiek. I nagle, jakby padły mury i wręcz stało się dziwnym, jakże mógł nie rozpoznać w półmroku podziemia mistrza Orłoga. Wysoki, ogniście rudy mężczyzna nie zgubił swojej kuli nawet w niewoli. Na jego piersi kołysał się medalion w kształcie głowy gryfa.

Książę odwrócił się do starca i powiedział:

- Jak rozumiem, mimo wszystko udało się wam, Watie; nawet jeśli dopiero teraz. - To nie było pytanie, raczej stwierdzenie.

Starzec pochylił się w pokłonie.

- Tak, wasza wysokość. I wybaczenie, że nie zdążyliśmy w forcie Vidort, ze zdrajcami...

Joan Kalwet potrząsnął głową:

- Przypomnij mi o tym, kiedy zasiądę na tronie, Watie. A teraz może pokażesz mi, po co i w imię czego wszczynaliśmy całą tę aferę? Poza tym napilibyśmy się piwa - dodał jeszcze.

I uśmiechnął się.

- Ja przecież także nigdy nie widziałem ani jego, ani jej. Nie udało się. Potem obrosło to taką ilością kłamstw...

Dziewczynka bawiła się na podwórzu. Było w niej coś takiego... Orłogowi wydawało się, że dziecku wystarczy tylko obrócić się, przykucnąć, machnąć ręką, zakręcić się po wypalanej trawie, a natychmiast coś ukrytego, niewidocznego, niebywałego nagle odkryje się przed nim, przed starcem Watie i przed innymi.

- To znaczy... - poczuł suchość w gardle, odkaszlnął i zaczął znowu. - To znaczy, że to wszystko...

I znowu nie zdołał dokończyć.

- Prawdopodobnie znowu przydadzą nam się łowcy potworów. Ten doktor... van Gaal, prawda? Miał dziwne pomysły, ale jestem przekonany, że jeśli chodzi o Sprzężenie Sfer, miał rację. I jeśli trafi się nam...

- Zabiliście go...

- Van Gaala? Nie, nie zdążyliśmy. Sprzątnęli go Redańczycy. Dokądś go zabrali. Coś czuję, że z Podmieńcem będą jeszcze problemy, zbyt jest popędliwy i uparty...

- Mówię o baronie...

- O kim?

- O baronie Kroachu asSoterze. Jest martwy?

- A niby dlaczego? - wzruszył ramionami starzec. - Prędzej pijany. Zresztą, nie wiem.

- Ufał nam. I obiecałem mu pomóc.

Starzec z rozdrażnieniem wzruszył ramionami»

- Wiesz, co mnie zawsze złościło w waszym bracie? Niezmierna duma. Życie jest wypełnione okolicznościami, które zawsze będą ważniejsze od waszych głupich zasad. Trzeba to przyjąć i poskromić. Albo przestać żyć. Potrafisz zabijać potwory, zabijaj. Po co raz za razem przełamywać swój i cudzy los, starając się grać na polu, które nie jest tobie przeznaczone. Wszystko i tak splotło się zbyt szczelnie; ten głupi świat i te głupie wyobrażenia o honorze i uczciwości. Jestem zbyt stary, żeby czekać aż wszystko stanie się samo z siebie. Jestem starym człowiekiem i myślę starymi kategoriami. Urodziłem się dwie krainy wstecz, a ludzie nie żyją, nie mogą żyć, nie powinni, sami dla siebie. Wszystkie te wasze zaślinione utopie o państwie bez państwa, całe to wasze „Kiedy Adam orał...” - wycedził jadowicie. - I jeśli już trafia się szansa dla mnie, dla krainy, dla wszystkich...

Dziewczynka odwróciła się do nich, stojących u okna i nieśmiało

uśmiechnęła się do Orłoga. Lekko pomachała ręką.

Miała przenikliwe, zielone oczy.

Starzec parsknął z rozdrażnieniem:

- Ocknij się, Losza, no co ty? Przecież to tylko program; następstwo zer i jedynek, zwykły pozór. Prosty instrument, żeby co nieco ulepszyć i jeszcze coś stworzyć od podstaw - powiódł w powietrzu rękami, poruszał palcami jak przygotowujący się do gry pianista.

Stryj cały czas patrzył jeszcze na dziewczynkę bawiącą się na dziedzińcu zaniedbanej twierdzy simrzeczywistości, na następstwo zer i jedynek, zielone oczy, czarne, nierówno przystrzyżone włosy. Ciekawe, czy ona naprawdę jest boginią, czy to sama jej obecność zmienia zwyczajowe zasady gry, czy może to tylko przypadek? Zresztą, to wcale nie jest ważne. Po prostu są potwory i są ci, którzy chronią przed nimi ludzi.

A on, Stryj, mistrz Orlog, hałaśliwy, rudy wiedźmin szkoły Gryfa, ma miecz.

Strażnik, stojący po prawej, zginał pierwszy. Stryj trafił go w szyję czubkiem ostrza. Zakreślił się, ciągnąc za sobą miecz i ciał na skos przez pierś drugiego z Nilfgaardczyków. Ten runął na kolana, jakby wyjęto z niego wszystkie kości. Ostatni, który ocalał, zdążył wydobyć szeroki pałasz i nawet odparował dwa uderzenia, zanim Orlog, szerokim zamachem nie przerąbał mu ręki do łokcia i ruchem powrotnym rozciął skroń.

Odwrócił się do starca. Ten stał, nie będąc w stanie wymówić ani słowa; tylko wodził przed sobą palcami prawej ręki, niczym pianista.

Tylko że teraz nie mogło mu to już w niczym pomóc.

- Masz rację - powiedział Stryj, niespiesznie idąc ku niemu z uniesionym mieczem. - Masz rację, Trojan. Potrafię zabijać potwory.

Przełożyła Iwona Czaplą